

Ogar piekielny

ściga mnie

Zamach na Martina

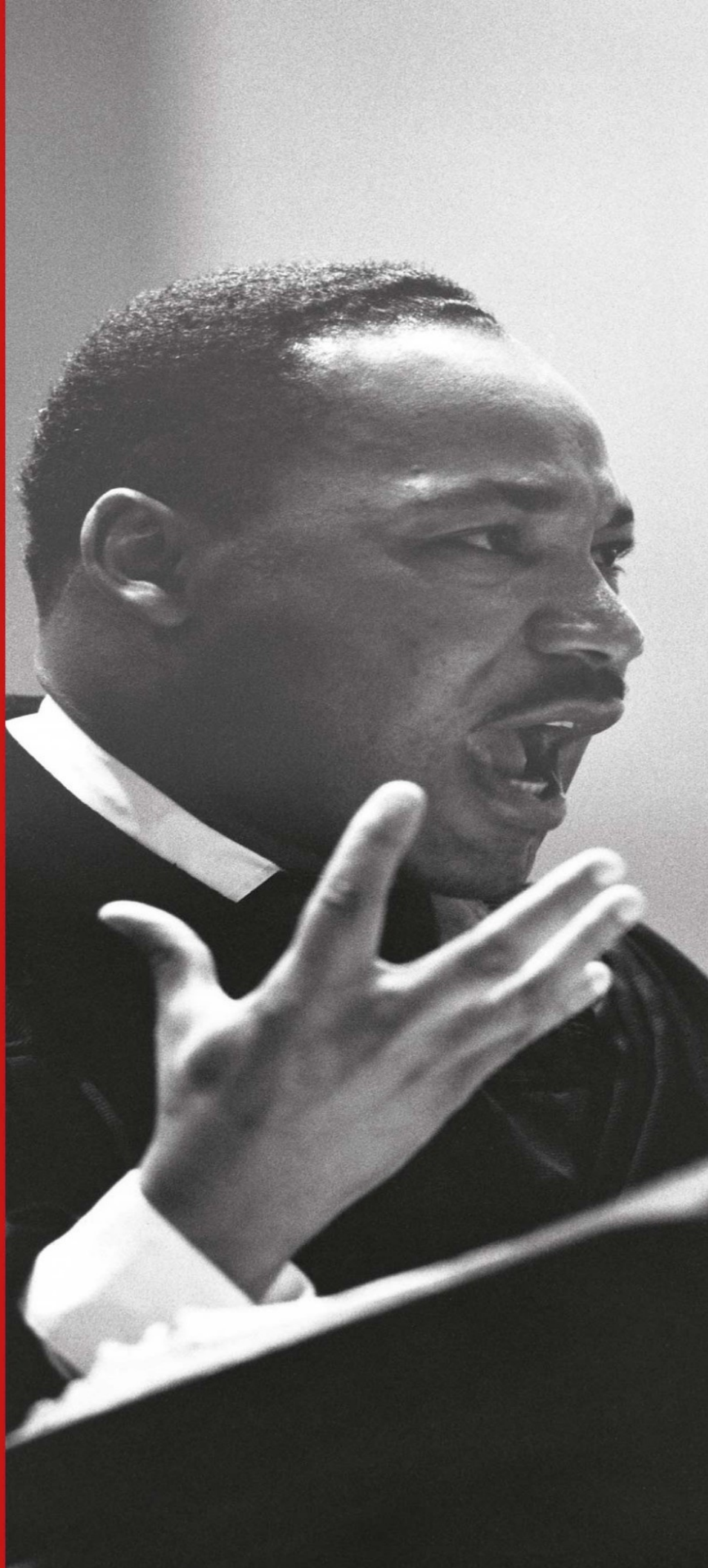
Luthera Kinga

i wielka oblawa

na jego zabójcę

HAMPTON SIDES

Jego odwaga była zdumiewająca. Osiemnaście razy trafił do więzienia. Jego dom obrzucano koktajlami Mołotowa. Obląkana Murzynka dźgnęła go nożem, jakiś nazista uderzył go w twarz, raz dostał kamieniem w głowę. Brał udział w marszach w całym kraju, mając przeciwko sobie gaz łzawiący, psy policyjne, paralizatory i armatki wodne. Nie sposób zliczyć, ile razy spalono jego podobizny. Jakby tego wszystkiego było mało, bez przerwy deptało mu po piętach FBI, obserwowało go i podsłuchiwało. Czasami marzył o prostszym życiu jako pastor, pracownik akademicki czy pisarz. (...) Żyjąc w nieustannym zagrożeniu śmiercią, „od czasu do czasu czuję się zniechęcony i mam wrażenie, że moja praca zdaje się na nic. Ale potem Duch Święty odradza moją duszę”.



SERIA AMERYKAŃSKA

Patti Smith *Poniedziałkowe dzieci*

Jack Kerouac Allen Ginsberg *Listy*

Magdalena Rittenhouse *Nowy Jork. Od Mannahatty do Ground Zero*

Geert Mak *Śladami Steinbecka. W poszukiwaniu Ameryki*

Johnny Cash *Cash. Autobiografia*

Allen Ginsberg *Listy*

Bob Dylan *Kroniki. Tom pierwszy*

William S. Burroughs Jack Kerouac *A hipopotamy żywcem się ugotowały*

Lawrence Wright *Droga do wyzwolenia.*

Scjentologia, Hollywood i pułapki wiary

Charlie LeDuff *Detroit. Sekcja zwłok Ameryki*

S. C. Gwynne *Imperium księżycy w pełni. Wzlot i upadek Komanczów*

David Ritz *Respect. Życie Arethy Franklin*

Alysia Abbott *Tęczowe San Francisco. Wspomnienia o moim ojcu*

Jon Krakauer *Pod sztandarem nieba. Wiara, która zabija*

Kim Gordon *Dziewczyna z zespołu*

Dennis Covington *Zbawienie na Sand Mountain. Nabożeństwa z węzami w południowych Appalachach*

Rick Bragg *Jerry'ego Lee Lewisa opowieść o własnym życiu*

Scott Carney *Śmierć na Diamentowej Górze.*

Amerykańska droga do oświecenia

Hampton Sides *Krew i burza. Historia z Dzikiego Zachodu*

James Grissom *Szaleństwa Boga. Tennessee Williams i kobiety z mgły*

Patti Smith *Pociąg linii M*

Billie Holiday, William Dufty *Lady Day śpiewa bluesa*

Dan Baum *Dziewięć twarzy Nowego Orleanu*

Jill Leovy *Wszyscy wiedzą. O zabójstwach czarnych w Ameryce*

Tom Clavin Bob Drury *Serce wszystkiego, co istnieje. Nieznana historia Czerwonej Chmury, wodza Siuksów*

Brendan I. Koerner *Niebo jest nasze. Miłość i terror w złotym wieku piractwa powietrznego*

HAMPTON SIDES
OGAR PIEKIELNY ŚCIGA MNIE

Zamach na Martina Luthera Kinga
i wielka obława na jego zabójcę

Przełożył Tomasz Bieroń



Wrocław 2017

Wszelkie powielanie lub wykorzystanie niniejszego pliku elektronicznego inne niż autoryzowane pobranie w zakresie własnego użytku stanowi naruszenie praw autorskich i podlega odpowiedzialności cywilnej oraz karnej.

Tytuł oryginału angielskiego *Hellhound on His Trail. The Electrifying Account of the Largest Manhunt in American History*

Projekt okładki Agnieszka Pasierska / Pracownia Papierówka

Projekt typograficzny Robert Oleś / d2d.pl

Fotografia na okładce © by Flip Schulke Archives / Getty Images

Fotografie wewnątrz tomu: s. 13 i 425 © Bettman / Corbis,

s. 23 © AP / Wide World Photos

Copyright © 2010, 2011 by Hampton Sides. All Rights Reserved

This translation published by arrangement with Doubleday, an imprint of The Knopf Doubleday Group, a division of Penguin Random House LLC

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Czarne, 2017

Copyright © for the Polish translation by Tomasz Bieroń, 2017

Redakcja Anna Brynkus-Weber

Korekta Katarzyna Rycko / d2d.pl,

Małgorzata Tabaszewska / d2d.pl

Redakcja techniczna Robert Oleś / d2d.pl

Skład Sandra Trela / d2d.pl

Skład wersji elektronicznej d2d.pl

ISBN 978-83-8049-589-0

SPIS TREŚCI

Seria

Strona tytułowa

Strona redakcyjna

Dedykacja

Motto

Nota do czytelników

PROLOG #416-J. 23 kwietnia 1967, Jefferson City, Missouri

KSIĘGA PIERWSZA W mieście królów

1 Miasto białego złota

2 Postawić wszystko na jedną kartę

3 Miesiąc iguany

4 Postrach dla złoczyńców

5 Zachodnie Dixie

6 Absolwent

7 To, co ukradkowe, jest zaraźliwe

8 Pełen jadu stentorowy głos

9 Czerwone goździki

10 Boże Narodzenie na pomarańczowo

11 Chodzące myszołowy

12 Na balkonie

13 Twarze to moja specjalność

14 Coś wisi w powietrzu

15 „Martin Luther King jest skończony”

16 Rozgrywający

17 Losy ruchu zależą od Memphis

18 Strzelanie do tarczy w Shiloh

19 Ostrzeżenie przed tornadem

20 Nie boję się żadnego człowieka

21 Pokój z widokiem

22 Mężczyzna w 5B

- 23 Oto stoję nad rzeką
- 24 Jak u człowieka na krzyżu
- 25 Tej broni nie wolno dotykać
- 26 Przerwa, która miała się nigdy nie skończyć
- 27 Kilka minut i kilka kilometrów
- 28 Wszystko zniszczyli
- 29 Krew ma w sobie moc

KSIĘGA DRUGA Kim jest Eric Galt?

- 30 Wezwanie do Memphis
- 31 Pętlice i wiry, pola i bruzdy
- 32 Uciekinier
- 33 Rok 1812 Redivivus
- 34 Home Sweet Home w Toronto
- 35 A potem przychodzi Wielkanoc
- 36 Niziny społeczne
- 37 MURKIN Files
- 38 Kanada ci wierzy
- 39 Niebezpieczny i uzbrojony
- 40 Nieuchwytny zbieg

KSIĘGA TRZECIA Najmodniejszy człowiek w kraju

- 41 Pierwsza dziesiątka
- 42 Miasto Zmartwychwstania
- 43 Plan emerytalny
- 44 Plagi egipskie
- 45 Wypłata z konta
- 46 Nie potrafię normalnie myśleć
- 47 Trzy wdowy
- 48 Stalowy pierścień

EPILOG #65477. 10 czerwca 1977, Petros, Tennessee

POSŁOWIE Chorzy biali bracia

Podziękowania

Nota o źródłach

Bibliografia

Przypisy końcowe

Przypisy

Kolofon

*Dla McCalla, Grahama i Griffina
Przyszłość wygląda optymistycznie*

Dyskryminacja to ogar piekielny, co kąsa czarnych każdego dnia.

Martin Luther King junior (1967)

Czas ruszać w drogę

Czarne myśli opadają mnie

Każdego dnia się boję

Ogar piekielny ściga mnie

Robert Johnson (1937)

przekład Janusz Ruszkowski

NOTA DO CZYTELNIKÓW

Kiedy to się wydarzyło, byłem małym dzieckiem – sześciolatkiem mieszkającym w pełnym zakamarków domu z cegły na Cherry Road, blisko Southern Railway. Mój ojciec pracował w kancelarii prawnej w Memphis, która reprezentowała Kinga, kiedy przyjechał do miasta walczyć o prawa śmieciarzy. Pamiętam, że tego wieczoru tata wrócił do domu wzburzony, nalał sobie kilka drinków i zaniepokojony opowiadał o tym, co się stało i jakie będą tego konsekwencje dla miasta, dla kraju i dla świata. Pamiętam godzinę policyjną, wycie syren, żołnierzy z bagnietami na karabinach. Pamiętam, że po raz pierwszy w życiu widziałem czołgi. Przede wszystkim jednak przypominam sobie strach w dorosłych głosach dochodzących z radia i telewizji – wszystko było podszyte paniką, ponieważ ludzie mieli wrażenie, że nasze miasto się rozpada.

Cztery dni po zamachu do Memphis przyjechała Coretta Scott King, z twarzą zasłoniętą wdowim welonem, i stanęła na czele pokojowego marszu, którego nie mógł poprowadzić jej mąż. Ciągący się kilometrami pochód żałobników sunął w stronę ratusza posępnymi ulicami śródmieścia. Wszystko spowijał piękny smutek, nikt się nie odzywał. Nie było krzyków ani haseł, nie było nawet śpiewów. Słychać było tylko odgłos kroków.

Wszyscy pisarze prędzej czy później wracają do miejsca, z którego pochodzą. Pisząc tę książkę, chciałem wrócić do *przełomowego momentu* dla miejsca swojego pochodzenia. W kwietniu 1968 roku do miasta, które znam i kocham, przyjechał zabójca. Uzbrojony w snajperski karabin, zajął stanowisko kilka przecznic od rzeki Missisipi i wziął na cel historię. Z pokoju 306 w motelu Lorraine do tej pory wychodzą fale wstrząsowe rejestrowane na całym świecie. Lorraine stał się międzynarodowym celem pielgrzymek, odwiedzanym przez takich ludzi jak Dalajlama, Nelson Mandela czy członkowie zespołu U2 – miejscem świętym. Ludzie przyjeżdżają z całego świata, żeby stanąć na balkonie, na którym stał King, mrużąc oczy przed blaskiem słońca i oglądając horyzonty przyszłości wyznaczone przez los. Próbują sobie wyobrazić, co się naprawdę stało i jakie mogły być ukryte za tym wszystkim scenariusze.

Pierwszy pisarz, którego w życiu poznałem, wybitny historyk z Memphis Shelby Foote, powiedział kiedyś o swojej trylogii na temat wojny domowej, że „posłużył się metodami powieściopisarza, ale bez jego *licentia poetica*” – tak w skrócie można określić cel, jaki sobie postawiłem. Dołożę starań, żeby opowieść tę czytało się płynnie, ale nie jest to beletrystyka. Każda scena znajduje oparcie w źródłach historycznych. Każdy szczegół dotyczący topografii i atmosfery wywodzi się z danych faktograficznych. Każda rozmowa jest zrekonstruowana na podstawie dokumentów. Wykorzystałem protokoły posiedzeń komisji kongresowych, relacje prasowe, opowieści, wspomnienia, protokoły sądowe, raporty z sekcji zwłok, archiwalne materiały telewizyjne, fotografie z miejsca zdarzenia oraz oficjalne raporty władz Memphis, FBI, Departamentu Sprawiedliwości, Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej i Scotland Yardu. Przeprowadziłem dziesiątki rozmów i przemierzyłem dziesiątki tysięcy kilometrów – od Puerto

Vallarta po Londyn, od Saint Louis po Lizbonę. Czytelników zainteresowanych tym, jak zbudowałem swoją opowieść, odsyłam do przypisów i bibliografii.

Co się tyczy zabójcy Kinga, chciałem, żeby jego opowieść przemówiła sama za siebie. Niezależnie od tego, czy przypadkowo, czy celowo, nierozsądnie pozostawił ogromny materiał dowodowy. Znaczna część mojej relacji z jego podróży po całym świecie opiera się na jego własnych słowach. Reszta pochodzi z dokumentów. Bez odpowiedzi pozostaje wiele pytań na temat jego pobudek, źródeł finansowania i ewentualnych współników. Nie zmienia to faktu, że zabójca, dosłownie i w przenośni, na wszystkim zostawił odciski palców.

Santa Fe, Nowy Meksyk

PROLOG

#416-J



23 kwietnia 1967, Jefferson City, Missouri

Więzienni piekarze, smażąc się w żarze bijącym od pieców, robili chleb dla wygłodniałych ludzi z więziennego gospodarstwa rolnego. Od świtu upiekli ponad sześćdziesiąt bochenków. W środku unosił się zapach drożdży, kiedy świeży chleb stygł na półkach przed pokrojeniem. Wokół kuchni krążył uzbrojony, ale niezbyt czujny strażnik.

Jednym z piekarzy w ten słoneczny niedzielny poranek był więzień #00416-J, smukły mężczyzna pod czterdziestkę, z jasną cerą i kruczoczarnymi włosami, nieco posiwiałymi na skroniach. Skazany w 1960 roku za napaść z bronią w rękę, 416-J odsiedział siedem lat w więzieniu stanowym w Jefferson City. Wcześniej przez cztery ponure lata kiblował w Leavenworth za kradzież i realizację pocztowych przekazów pieniężnych wartych kilka tysięcy dolarów. Za kratkami spędził większość dorosłego życia, więc dobrze wiedział, jak przetrwać w środowisku więziennym.

W „Jeff City”, wielkiej gotyckiej bastylji powstałej w 1836 roku jako pierwsze amerykańskie więzienie na zachód od Missisipi, tłoczyło się ponad dwa tysiące osadzonych. Z czasem zakład ten wyrobił sobie renomę szkoły dla bandziorów – i jednego z najbardziej brutalnych w Stanach Zjednoczonych. W 1954 roku zespół penitencjarystów następująco opisał to więzienie, w którym co rusz wybuchały zamieszki: „Jest to milimetr po milimetrze najkrwawsze dwadzieścia hektarów Ameryki”¹. A przecież kompleks więzienny był usytuowany w leniwym, niemal bukolicznym regionie Środkowego Zachodu. Za murami z wapienia po rzece Missouri pływały holowniki, a klucze gęsi gęgały podczas przelotu do ciepłych krajów. Po starych torach wzdłuż rzeki wlekły się pociągi towarowe, pogwizdując ciężko.

W Jeff City 416-J spędzał dużo czasu na oglądaniu tego krajobrazu i rozmyślaniach o tym, jak się do niego przedostać. W piekarni należał do starych wiarusów. Od lat pracował w kuchni i nigdy nie było z nim żadnych kłopotów; właściwie nie zwracał na siebie uwagi. Większość funkcjonariuszy więziennych nie wiedziała, jak się nazywa, i słabo pamiętała jego twarz – dla nich był tylko kolejnym osadzonym z numerem. Jeden ze strażników w Jeff City określił go jako drobnego kieszonkowca. Pewien sędzia sądu penitencjarnego ujął to trochę dosadniej: „On był tam po prostu *nikim*”².

Rok wcześniej 416-J zbadał psychiatra stanowy i stwierdził, że chociaż nie można go nazwać szaleńcem, jest to „ciekawy i dosyć skomplikowany człowiek – osobowość socjopatyczna z ciężką nerwicą”³. Nie był upośledzony umysłowo, z IQ 106 lokował się trochę powyżej średniej. Psychiatra zwrócił jednak uwagę, że więzień przejawia „nieuzasadnione lęki” i „obsesyjno-kompulsywne zainteresowanie” swoim zdrowiem. Był hipochondrykiem, nieustannie skarżył się na różne dolegliwości i przeglądał książki medyczne. Twierdził, że ma palpitacje serca i zdeformowany mózg. Często można go było zobaczyć, jak ze stoperem w dłoni mierzy sobie puls. Martwił się o swój żołądek, dlatego nie jadał niczego ostrego. Zazywał

librium na nerwy i rozmaite środki przeciwbólowe na prawie nieustanne migreny, ale lekarz uznał, że trzeba się nim poważniej zająć⁴.

„W moim przekonaniu więzień potrzebuje pomocy psychiatrycznej – zaopiniował stanowy psychiatra w podsumowaniu – ponieważ coraz bardziej się o siebie zamartwia”⁵. Taka diagnoza mogła dotyczyć wielu więźniów w Jeff City – być może setek z nich – toteż funkcjonariusze nie zwrócili na raport psychiatry większej uwagi.

Gdyby strażnicy baczniej go obserwowali w pierwszych tygodniach kwietnia 1967 roku, zauważyliby, że 416-J zachowuje się dziwnie. Czytał książki podróżnicze o Meksyku i wypożyczył z więziennej biblioteki słownik angielsko-hiszpański. Próbował pociemnić sobie skórę barwnikiem z orzecha włoskiego⁶. Wypijał znaczne ilości oleju mineralnego⁷ (jednego z wielu dziwnych medykamentów, które z zapamiętaniem stosował) i nie spał do późna w nocy z powodu natłoku myśli.

Przyczyną tej gonitwy myśli bardzo często była amfetamina – pod różnymi nazwami: speed, bennies, splash, spaniels – łatwo dostępna w Jeff City. Z reguły zażywał ją w postaci pastylki albo proszku, ale zdarzało mu się również dawać sobie w żyłę, a wśród współwięźniów był znany jako amfetaminowy „kupiec”. „Po wzięciu prochów – powiedział jeden z więźniów, który znał go od lat – kładł się w swojej celi i myślał. Mówił, że przejaśnia mu się po tym w głowie. Wracał do czasów, kiedy miał sześć lub siedem lat. Albo opowiadał o swojej pracy i popełnionych błędach”⁸.

Od pewnego czasu 416-J ćwiczył w celi jogę, a w każdym razie coś, co ją przypominało. Zwijał się w kulkę i trwał w tej pozycji przez kilka godzin, usiłując maksymalnie ścisnąć swoje ciało. Udawanie obwarzanka powinno się wydać osobliwe mijającemu celę strażnikowi, jednak 416-J ciągle robił w celi dziwne rzeczy – pompki, trenował kalistenikę, chodził na rękach i tak dalej.

Ale była jeszcze jedna rzecz: wcześniej, 22 kwietnia, 416-J przyjął gościa w sali widzeń. Odbiegało to od normy – wydawało się, że ten samotnik nie ma na zewnątrz żadnej rodziny ani znajomych. W więzieniu rozeszła się plotka, że gościem był jego brat z Saint Louis, jednak 416-J nie chciał o tym z nikim rozmawiać⁹.

Tego dnia o ósmej rano pozwolono mu opuścić salę i pójść do kuchni. Miał ze sobą torbę kąpielową, która nie zwróciła niczyjej uwagi, ponieważ osoby zatrudnione w kuchni miały prawo wziąć prysznic i ogolić się w kuchennej łazience. Wyjechał windą do piekarni, w której pojawił się na długo przed jedenastą, kiedy zaczynała się jego zmiana. Ugotował i zjadł dosyć zaskakującą liczbę jajek: tuzin¹⁰.

Potem poszedł do łazienki, rzekomo po to, żeby się umyć. W torbie miał lusterko, grzebień, maszynkę do golenia i kilka zapasowych żyletek, mydło i dwadzieścia batoników. Było tam też kieszonkowe radio tranzystorowe Channel Master, które dwa dni wcześniej kupił w więziennej kantynie. Zgodnie z obowiązującymi w Jeff City przepisami na obudowie radjyka wygrawerowano numer 00416. W butach schował dwa zwitki banknotów – które z pewnością nieprzyjemnie uciskały mu stopy – o łącznej wartości prawie trzystu dolarów¹¹.

Kilka dni wcześniej ukrył gdzieś w łazience czystą białą koszulę i parę więziennych spodni, które zafarbował tuszem na czarno, szczególnie starannie zakrywając wymowny pasek z boku. Szybko zdjął więzienny strój, włożył czarne spodnie i białą koszulę i na powrót wskoczył w pasiak, miał zatem teraz na sobie dwie warstwy ubrania.

Następnie zjechał windą do punktu odbioru towaru, w którym stała metalowa skrzynia z odchylanym wiekiem, częściowo załadowana świeżym chlebem. Miała wymiary sto dwadzieścia na dziewięćdziesiąt na dziewięćdziesiąt centymetrów, toteż dorosły mężczyzna bez problemu mógł do niej wejść. I tak właśnie postąpił więzień – zmiążdżył kilka bochenków ciepłego, miękkiego chleba, a następnie zwinął się do pozycji embrionalnej.

W tej fazie musiał mieć współnika – albo kilku współników – ponieważ przykryto go fałszywym dnem, w którym zrobiono małe dziurki, żeby się nie udusił. Na to drugie dno położono kolejne kilka warstw chleba, a kiedy skrzynia się wypełniła, opuszczono wieko. Potem skrzynię wytoczono na zewnątrz i zostawiono na rampie.

Kilka minut później przyjechał samochód dostawczy. Dwóch osadzonych dźwignęło skrzynię z chlebem do kabiny ładunkowej, która miała plandekę, ale z tyłu była otwarta. Więźniowie dali sygnał kierowcy, który podjechał do tunelu bezpieczeństwa. Z wartowni wyszedł funkcjonariusz i sprawdził, czy w pojeździe nikt się nie schował, obejrzał podwozie i zaglądnął pod maskę, a potem wszedł na pakę.

Więzień, rozgrzany i lepki od potu w swoim ciasnym legowisku, niespokojnie oddychał nasyconym zapachem drożdży powietrzem, kiedy ktoś na górze uchylił wieko skrzyni z chlebem. Strażnik ostukał kontener i trochę nim potrząsnął, ale zobaczył, że bochenki chleba leżą jeden na drugim aż do samej góry. Więzień zapewne odetchnął z ulgą, kiedy usłyszał, że wieko się zamyka.

Strażnik przeszedł do przodu i kiwnął głową do kierowcy, że może jechać. Brama się otworzyła i kierowca ruszył w drogę do więziennego gospodarstwa rolnego.

Tego samego ranka, kiedy 416-J uciekał, pewien polityk, którego więzień darzył wielkim podziwem, siedział półtora tysiąca kilometrów dalej w studiu telewizyjnym NBC. W odpowiedzi na jedno z pytań prowadzącego Lawrence'a Spivaka z programu *Meet the Press* ów kontrowersyjny człowiek ogłosił społeczeństwu, że rozważa ubieganie się o prezydenturę. Nazywał się George C. Wallace. Ten były gubernator Alabamy kilka lat wcześniej wprowadził Amerykanów w osłupienie, gdy zablokował wejście do budynku Uniwersytetu Alabamy, żeby zapobiec integracji rasowej na tej uczelni.

Czterdziestosiedmioletni Wallace był populistą, który gwałtownie gestykulował, złorzeczył i kokietował publiczność, energicznie unosząc krzaczaste brwi. Niektórzy mówili o nim, że potrafi dumnie kroczyć na siedząco¹². Ale tego ranka grał człowieka dostojnego i opanowanego, który nadaje się na prezydenta. Miał na sobie gładko wyprasowany garnitur, starannie modulował głos i do minimum ograniczał aktorskie zapędy. Jego zawsze wypomadowane włosy błyszcząły jakby trochę mniej. Wallace zapewniał naród, że nie jest rasistą i w swojej kampanii nie urzęduje „nagonki na ludzi o innym kolorze skóry”¹³.

Dodał jednak: „W naszym kraju prowadzi się nagonkę na silne państwo”. Spojrzał prosto do kamery, a jego czarne jak smoła oczy rozświectliły się dla milionów jeszcze zaspanych Amerykanów.

„Jest to ruch obywateli – powiedział – i nie ma żadnego znaczenia, czy politycy go poprą, czy nie”. Kampania będzie zaadresowana do „[...] zwykłego człowieka [...] pracownika zakładów włókienniczych, pracownika stalowni, fryzjera, kosmetyczki, policjanta patrolującego ulicę, drobnego przedsiębiorcy. To o nich chodzi. Właśnie ci ludzie chcą zmiany polityki wewnętrznej w naszej ojczyźnie”¹⁴.

Potem zerknął w kamerę z lekkim grymasem i powiedział: „Jeżeli politycy staną na drodze tego ruchu, to wielu z nich zostanie rozjechanych”¹⁵.

Poza murami Jeff City 416-J wydostał się ze skrzyni, przy okazji depcząc i zgniatając chleb. Po przybyciu na miejsce bochenki były tak bardzo zmasakrowane, że pracownicy farmy dali je kurom¹⁶. Stojąc na pace furgonetki pod plandeką, 416-J zdjął zielony więzienny uniform i włożył go do torby. W zafarbowanych na czarno spodniach i białej koszuli od biedy mógł uchodzić za cywila. Furgonetka przejechała na drugą stronę rzeki i poruszała się teraz z prędkością prawie osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, za szybko, żeby mógł się bezpiecznie ewakuować. Ale kiedy kierowca zwolnił na kilka sekund przed wysypanym żwirem wjazdem na farmę, więzień wyskoczył do tyłu. Furgonetka pojechała dalej – kierowca nie zobaczył go w lusterku wstecznym.

Teraz 416-J zszedł na brzeg rzeki. Skierował kroki w stronę dawnego złomowiska blisko mostu i ukrył się w chaszczach koło zardzewiałych wraków porzuconych samochodów. Przez cały dzień nasłuchiwał odgłosów końskich kopyt albo ujadania psów gończych. Co jakiś czas włączał swoje radjko, żeby sprawdzić, czy ogłoszono komunikaty o jego ucieczce. Na razie wszystko było w porządku: w wiadomościach o niczym nie wspomniano, chociaż wydział penitencjarny stanu Missouri miał niedługo wysłać za nim list gończy z niewygórowaną nagrodą w wysokości pięćdziesięciu dolarów za ujęcie zbiega.

Po zapadnięciu zmroku wrócił na drugą stronę rzeki i zaczął iść na zachód wzdłuż torów kolejowych w stronę Kansas City – co było podstępem, ponieważ nie wybierał się do tego miasta. Funkcjonariusze więzienni wiedzieli, że ma rodzinę w Saint Louis (około stu pięćdziesięciu kilometrów na wschód), i z pewnością tam skierowali pierwsze kroki. Zbieg liczył na to, że idąc na zachód w kierunku Kansas City, zyska trochę czasu.

Przez sześć dni maszerował na zachód wzdłuż torów kolejowych, żywił się zachomikowanymi w więzieniu batonikami, pił wodę ze strumieni, a w nocy rozpałał ognisko skradzionymi ze starej przyczepy zapalkami. „Dużo patrzyłem na gwiazdy – powiedział później. – Przedtem długo ich nie oglądałem”¹⁷. Pewnej nocy zaskoczyło go dwóch robotników kolejowych, kiedy grzał się przy ognisku. Powiedział im, że polował nad rzeką i przemókł do nitki. Najwyraźniej mu uwierzyli i zostawili go w spokoju. Ale innej nocy zobaczył żołnierzy gwardii stanowej, którzy powoli jechali wiejską drogą równoległą do torów, i doszedł do wniosku, że są na jego tropie.

Jednak szóstego dnia zeszło z niego napięcie. Cały czas słuchał radia i z zaskoczeniem stwierdził, że w wiadomościach nie wspomniano o jego ucieczce. Gdzieś po drodze znalazł pilnik albo inne odpowiednie narzędzie i próbował zetrzeć z radjka swój więzienny numer.

Szóstej nocy zobaczył w oddali niewielki sklep, którego światła błyskały zapraszająco. Żeby nie wyglądać na włóczęgę, trochę się ogarnął i wszedł do środka. Kupił kanapki i piwo – pierwsze prawdziwe jedzenie od czasu, kiedy w więziennej kuchni napchał się jajkami.

Był głodny jak wilk, miał obolałe stopy i nerwy w strzępach po tygodniu uciekania w napięciu i prawie bez snu. Ale teraz, jedząc kanapki, mógł sobie pozwolić na uśmiech satysfakcji. *W skrzyni nachleb!* Musiał się tym ponapawać, pogratulować sobie klasycznego piękna tej akcji. Z Jeff City nie da się uciec – ciągle to słyszał i większość osadzonych w to wierzyła. W całej historii tej instytucji doszło tylko do trzech zarejestrowanych prób ucieczki – wszystkie udaremniono.

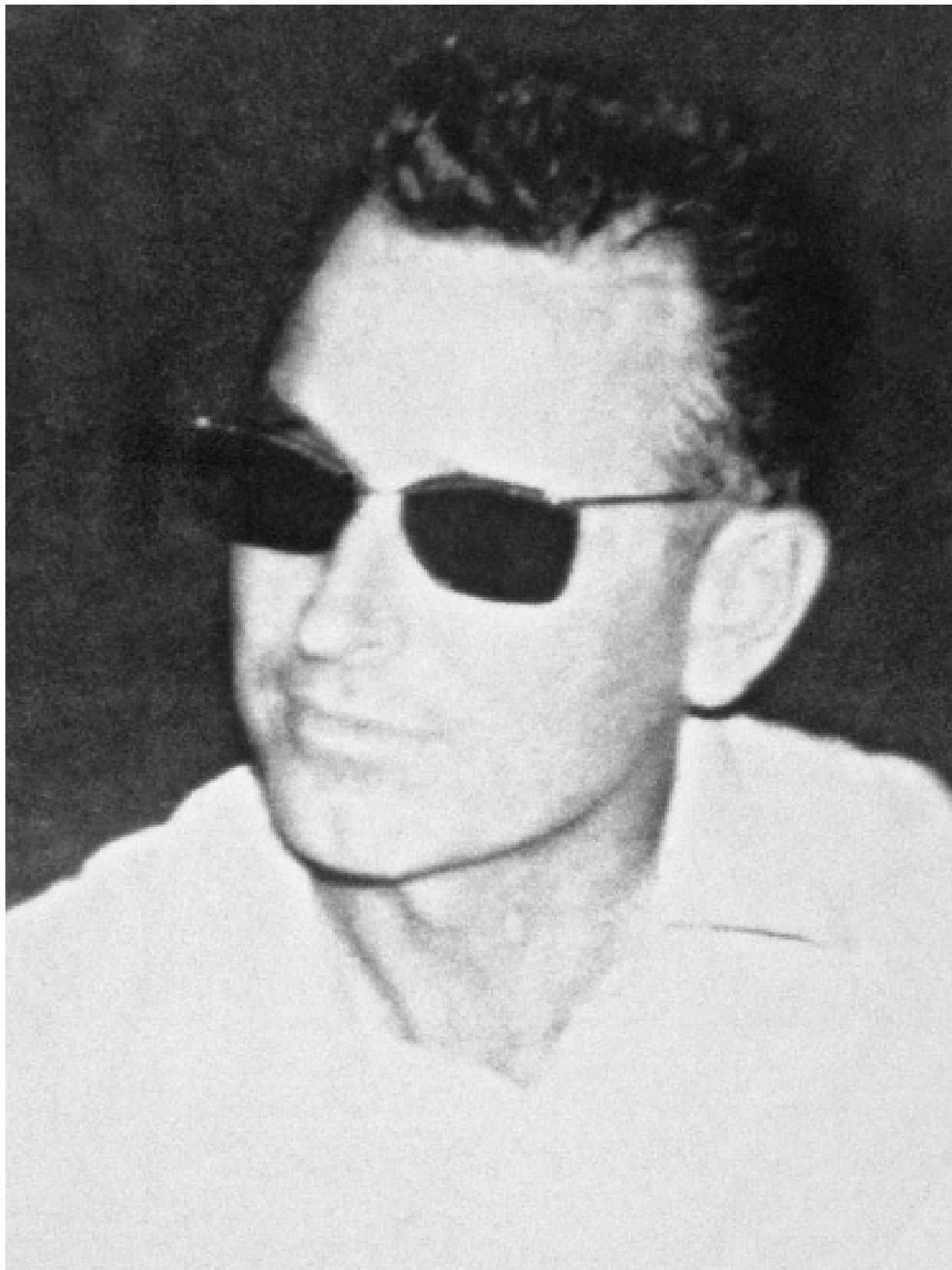
Za posępnyimi szarymi obwałowaniami Jeff City spędził siedem lat, a w perspektywie miał kolejne osiemnaście. Zorganizował swoje więzienne życie wokół ucieczki – skupienie energii na tym celu pomagało mu przetrwać. Oszczędzał pieniądze i tkwił w cieniu narzuconej sobie anonimowości. Wypracował swoistą antytożsamość, żeby nikt go nie dostrzegł – i nie zauważył jego nieobecności.

Tego wieczoru 416-J zadzwonił do brata i ustalił miejsce spotkania¹⁸. Potem wskoczył do pociągu towarowego jadącego na wschód¹⁹. Koło kompleksu więziennego Jeff City przejechał zapewne z poczuciem niepokoju i zachwytu jednocześnie. Ileż to nerwowych nocy przeleżał bezsennie w swojej celi i słuchał gwizdania lokomotyw jadących po tych samych torach, po których teraz uciekał?

Kiedy więzienne mury przestały go otaczać, skierował umysł na inne zadania, bardziej skomplikowane i ambitniejsze projekty. Na razie jednak jechał do domu, w kierunku Saint Louis.

KSIĘGA PIERWSZA

W mieście królów



Kiedy podniosłem krzyż, zrozumiałem jego znaczenie...
Krzyż to jest coś, co dźwigasz i na czym w końcu umierasz.
Martin Luther King junior (1967)

Miasto białego złota

Na początku maja 1967 roku mieszkańcy Memphis stali na nadrzecznej promenadzie pięćset kilometrów w dół rzeki od Saint Louis i rozkoszowali się orzeźwiającym chłodem, który wiatr przywiewał znad wody. Siedemdziesiąt pięć tysięcy stosownie ubranych na tę okoliczność ludzi czekało o zmierzchu. Wywodzili się ze wszystkich tajnych organizacji: z Mistycznego Stowarzyszenia Memphi, Osiris, RaMet i ze Sphinx²⁰. Przyszli członkowie wszystkich klubów – Chickasaw, uniwersyteckiego, kolonialnego, łowieckiego i polo, Memphis Country Club – i stowarzyszeń ogrodniczych. Porządne rodziny, stare rodziny, w najlepszych ubraniach od Jamesa Davisa i z butelkami burbona w rękach, zebrały się na inauguracji największej imprezy Południa.

Powierzchnia brązowej rzeki Missisipi, szeroka od wód roztopowych z północy, była zmarszczona różnymi prądami i bystrzynami. W głównym korycie ku morzu pędziły całe drzewa. Półtora kilometra dalej, za rzeką, ciągnęła się równina zalewowa Arkansas, świat tropikalnych pcheł, aligatorów i węży mokasynów mieszkających w mulistych jeziorach starorzecza. Na długich łąkach piasku dzikie świny biegały pośród cmentarzy naniesionego przez rzekę drewna i zbutwiały kikutów cyprysów.

Ale na suchych terenach za tymi dzikimi peryferiami rozciągały się setki kilometrów bawełny. Jak okiem sięgnąć – bawełna, w idealnie równych rzędach. *Gossypium hirsutum*. Białe złoto wydobywane na najżyźniejszej równinie aluwialnej świata.

Memphis zbudowano w miejscu, w którym hiszpański podróżnik Hernando de Soto w 1541 roku jako pierwszy Europejczyk zobaczył rzekę Missisipi²¹. Miasto założył dwieście siedemdziesiąt osiem lat później Andrew Jackson z grupą kolegów inwestorów, a nazwę zapożyczono od starożytnej stolicy Egiptu koło piramid w Gizie. Ale Memphis zaczęło się naprawdę rozwijać dopiero w połowie XIX wieku, kiedy postanowiono wyciąć gęste lasy liściaste nad rzeką, dzięki czemu na równinie zalewowej zwanej deltą Missisipi nareszcie można było uprawiać rolę. Kiedy kraj zmierzał w stronę wojny domowej, Memphis stało się stolicą regionu, który gorączkowo budował ostatni przyczółek południowego społeczeństwa plantatorów. Delta Missisipi późno weszła w bawełniany biznes, ale zrobiła to z wielkim rozmachem i fanatyczną desperacją wyznawcy osaczonej religii.

Bawełna rosła nad Nilem koło pierwotnego Memphis, ale współczesne Memphis tego wilgotnego wieczoru 10 maja 1967 roku przybyło nad rzekę oddać hołd tej roślinie. W Arkansas i sąsiednim Missisipi cenne pędy zaczęły już wychodzić spod ziemi, piloci samolotów szykowali się do rozpylania chemikaliów – jednym słowem, zbliżał się początek pradawnego cyklu. Mieszkańcy Memphis przyszli pobłogosławić kolejny sezon w prześwietnym królestwie bawełny.

Za chwilę miał się rozpocząć trzydziesty trzeci doroczny Karnawał Bawełny, odpowiedź Memphis na Mardi Gras. W programie festiwalu były degustacje, targi i bale charytatywne.

W konkursie piękności miano wybrać najurodziwszą Maid of Cotton, Królową Bawełny. Wiele tysięcy ludzi miało odwiedzić gigantyczną salę recepcyjną i wziąć udział w paradach z pracowicie skonstruowanymi makietami – niektóre z nich tkano z bawełny i przedstawiano na nich nieistniejące już, ale niezapomniane Stare Południe i zdradzieckość kwieciana bawełnowca. Zaplanowano trwające cały tydzień imprezy na dachu Peabody. W hotelu tym swoją rezydencję miały kaczkę krzyżówki, które od czasu do czasu wychodziły po czerwonym dywanie, żeby się popluskąć w fontannie w foyer.

Pierwszego wieczoru odbywała się inauguracyjna parada – majestatyczne przybycie króla i królowej, siedzących na tronach w otoczeniu dworzaków w wybitych cekinami strojach, na wielkiej rozmigotanej barce, która miała zawinąć do portu w Memphis tuż po zachodzie słońca. Celebrowano nie tylko bawełnę, lecz także ufundowany na niej szczególny osiadły tryb życia – życia wypełnionego polowaniami na synogarlice, pieczeniem świniaka i balami dla dziewcząt wprowadzanych do towarzystwa, życia arystokracji ziemskiej, którego relikty wciąż można było znaleźć na niektórych obszarach Memphis.

Bawełna, wszędzie bawełna. Operatorzy dźwigów podnoszących dziesiątki dwustukilowych bel bawełny zbudowali wielkie łuki rozpięte nad śródmiejskimi ulicami. Uczestników zachęcano do wkładania na siebie ubrań z bawełny i oczywiście się zastosowali: panie w sukniach z krynoliną, dandysi w garniturach z kory, dzieci w wykrochmalonych koszulach z tkaniny oksfordzkiej. Czekając na przybycie królewskiej barki, ludzie jedli watę cukrową^[1].

W zgromadzonym nad rzeką tłumie znaleźli się przedstawiciele wszystkich warstw społecznych z bawełnianego świata delty Missisipi: factorzy, sortowacze, operatorzy odziarniarek, pośrednicy handlowi, sprzedawcy nasion, właściciele plantacji, właściciele maszyn włókienniczych, członkowie zarządu giełdy bawełnianej, analitycy z Banku Związku Plantatorów, inżynierowie chemicy, którzy nauczyli się wykorzystywać oleje i tajemne związki chemiczne pozyskane z tej rośliny do wszelkich celów przemysłowych, jakie potrafiła wymyślić bogini Mamona.

Obecność bawełny, a także jej przeszłość, wyczuwało się na całej długości ocienionego nabrzeża. Za wiwatującymi tłumami, wysoko na porośniętej magnoliami skarpie zamieszkaną niegdyś przez Indian Czikasawów, rozciągał się park Konfederacki z wykonanym z brązu pomnikiem Jeffersona Davisa, który zamieszkał w Memphis po wojnie domowej. Kawalek od parku, przy Adams Avenue, znajdował się zarządzany przez Nathana Bedforda Forresta gigantyczny targ niewolników, uchodzący za największy na Południu i szczytujący się „najlepszym wyselekcjonowanym asortymentem robotników rolnych, służby domowej i mechaników [...] ze świeżymi dostawami zapewne młodych Murzynów”.

Równolegle do krawędzi skarpy przebiegała Front Street, główna arteria bawełniana²². W sortowniach na piętrze specjaliści o wyostrzonym spojrzeniu do tej pory sortowali próbki bawełny, posługując się wyłącznie intuicją – dzielili ją na kategorie o takich osobliwych nazwach jak „ściska kiepska przeciętna” albo „ściska dobra zwyczajna”. W tamtych czasach Memphis nadal należało do największych targów bawełnianych świata, nadal budowano i trwoniono tu wielkie fortuny. Wiele nazwisk otoczono legendą – Dunavant, Cook, Turley, Hohenberg, Allenberg okazali się mistrzami tego trochę hermetycznego zajęcia. W październiku, porze żniw, nad Front Street nadal wirowały tumany kłaków.

Bawełna, bawełna, bawełna. Miasto Memphis nigdy nie miało jej dosyć. Bawełna nadal była królem. I na zawsze miała nim pozostać.

Prawdę powiedziawszy, chociaż tej balangowej nocy w 1967 roku nikt nie chciał o tym rozmawiać, stary bawełniany świat w delcie Missisipi znalazł się w poważnych tarapatkach. Życie na plantacjach zmieniało się nie do poznania. Coraz mocniejszą pozycję w bawełnianej monokulturze rolnej zdobywała soja. Garderoby Amerykanów podbijał poliester. Ogromne maszyny żniwne, a także nowe receptury pestycydów i herbicydów odesłały robotników rolnych z delty Missisipi do lamusa. Zepchnięci na margines przez chemikalia i maszyny czarni pracownicy plantacji masowo je opuszczali i przyjeżdżali z rodzinami do Memphis, najbliższego miasta, a jednocześnie jedynej większej amerykańskiej miejscowości nazwanej od afrykańskiej stolicy.

Niestety większość byłych robotników rolnych nie miała kwalifikacji, które mogłyby wykorzystać w mieście, bo z pewnością nie należały do nich poganianie mułów ani krojenie bawełny. Niektórym udawało się zarobić na utrzymanie graniem bluesa na Beale Street, głównej ulicy czarnego Memphis. Wielu pracowało jako służący, woźni, kelnerzy, ogrodnicy, kucharze, dokerzy. Niektórzy nie mieli wyboru i brali najpodlejszą pracę – zgłaszali się do wydziału robót publicznych i zostawali śmieciarzami.

Na plus mogli natomiast zaliczyć to, że przyjechali do miasta bogatego, tajemniczego i zwichrowanego. Memphis, liczące sześćset tysięcy mieszkańców miasto wciśnięte w południowo-zachodni narożnik Tennessee, zawsze cechowała odrobina szaleństwa, ale również sympatyczne, choć czasem obrazoburcze, poczucie humoru. Słynęło z nietuzinkowych postaci i na poły obłąkanych geniuszy: zapaśników, kapitanów statków rzecznych, wynalazców, hazardzistów, handlarzy olejem wężowym, muzyków naszprycowanych jakimś dziwnym rodzimym specyfikiem, którego obecność się wyczuwało, ale nie sposób było to udowodnić. Od stu pięćdziesięciu lat na brukowane kocimi łbami nabrzeża wylewały się cały ból i patos rzeki. W 1878 roku epidemia żółtej febry o mało nie wybiła wszystkich mieszkańców, ale metropolia nad amerykańskim Nilem wróciła do zdrowia, jeszcze bardziej szalona i dziwna, stawiająca sobie jeszcze zuchwalsze cele²³. Jak powiada autor pewnego znanego cytatu, Memphis „zbudowano na blefie^[2], a później zarządzano nim zgodnie z tą samą zasadą”²⁴.

Memphis od samego początku funkcjonowało na styku dwóch ras. Pierwszy burmistrz Marcus Brutus Winchester wywołał niemały skandal, ponieważ zakochał się w „kolorowej kobiecie” i ostatecznie ją poślubił. Jedną z najbardziej fascynujących mieszkanek miasta pod koniec lat dwudziestych XIX wieku, urodzona w Szkocji utopistka Fanny Wright, założyła eksperymentalną komunę niewolników, których chciała wykształcić i którym chciała przyznać pełne prawa obywatelskie²⁵. Kilka pokoleń później Memphis dało światu Idę B. Wells, jedną z pierwszych siłaczek ruchu praw obywatelskich, niezwykle odważną kobietę, która w ostatniej dekadzie XIX stulecia wielokrotnie narażała życie, głośno protestując przeciwko samosądom²⁶. Inna ciekawa postać to zagadkowy pan Forrest, który podczas wojny domowej porzucił swój targ niewolników i chwycił za miecz, dołączając do grona najwybitniejszych generałów w dziejach Ameryki. Po wojnie wrócił do Memphis, gdzie przez jakiś czas sprawował urząd wielkiego czarnoksiężnika Ku Klux Klanu, a potem najwyraźniej spłynęło na niego objawienie – wyrzekł się tej organizacji i na krótko przed śmiercią nawoływał do pojednania rasowego²⁷.

Największym darem i szczególnym *genius loci* miasta była jednak muzyka: blues Beale Street W. C. Handy’ego, soul wytwórni Stax Records i pewna międzyrasowa mikstura dźwiękowa, którą kiepsko wykształcony wirtuoz Sam Phillips upichcił w maleńkim studio przy Union Avenue, mniej niż sto metrów od miejsca pochówku Forresta. Kwintesencją muzyki

z Memphis było płodne połączenie czarnego i białego. Elvis Presley, zachęcany i mobilizowany przez Phillipa, znalazł sposób na przekształcenie surowego brzmienia Beale Street w coś, co znalazło oddźwięk na całym świecie. Białe i czarne gwiazdy, które przeszły przez studia i nocne kluby Memphis, były równie liczne, jak legendarne: nie tylko Elvis, lecz także Rufus Thomas, Johnny Cash, B. B. King, Albert King, Carl Perkins, Ike Turner, Jerry Lee Lewis, Carla Thomas, Isaac Hayes, Roy Orbison, Muddy Waters, Howlin' Wolf, Otis Redding, John Lee Hooker, Memphis Minnie, Memphis Slim. Enigmatyczny Robert Johnson, bodaj najwybitniejszy bluesman z delty Missisipi, w Memphis i okolicy spędził większość swojego krótkiego i tragicznego życia. Można się pokusić o tezę, że muzyczny ferment w Memphis bardziej przyczynił się do integracji rasowej Ameryki niż sto ustaw.

W jakimś sensie podstawą tego fermentu była bawełna, bo to ona zrodziła Memphis. Zbudowała miasto, dzięki któremu blues wypłynął na szerokie wody. Nie da się jednak ukryć, że większość czarnych mieszkańców Memphis skończyła z bawełną i nienawidziła prawie wszystkiego, co wiązało się z tym kosmatym, kolczastym krzewem, który ich tak długo niewolił. Tego majowego wieczoru 1967 roku nad rzeką z pewnością nie było zbyt wielu czarnych oczekujących na przybycie królewskiej szkiuty.

Niebo nad Arkansas oblało się głęboką czerwienią, a potem zniknęło w ciemnościach. Można było odnieść wrażenie, że słońce dosłownie zakopało się w polu bawełny. Orkiestra grała Vivaldiego, a niebo trzaskało fajerwerkami.

Potem z pomostu wyłonił się olśniewający okręt, z podziwem oglądany przez tłumy. Najpierw buchnęło jasne światło i nad taflą wody przemknęła muślinowa zjawa. Dopiero kiedy szkiuta znalazła się bliżej przystani, można było dostrzec zachwycające detale. Barka miała rozmiary boiska futbolowego, a nad tą rozmigotaną konstrukcją wisała gigantyczna torebka nasienna bawełny w stylu art déco. W dekoracje wpleciono motywy egipskie: piramidy, sfinksy, hieroglify – Stare Południe spotkało się z krainą faraonów.

Wysoko w okazałej torebce nasiennej siedzieli na tronach król Joseph i królowa Blanche, monarchowie w 1967 roku, w koronach na głowach i z berłami w rękach. Jak zawsze, wybrano ich w tajemnicy, w ramach jakiejś sekretnej procedury znanej tylko Mistycznemu Stowarzyszeniu Memphi. Jak zawsze, król był starszym mężczyzną, potentatem biznesowym, a królowa gibkim ucieleśnieniem południowej kobiecej urody, dziewczyną w wieku studenckim i z założenia dziewicą. Byli oślepiająco biali, mieli na sobie oślepiająco białe stroje i siedzieli wysoko w swojej majestatycznej sali tronowej. Zgodnym gestem unieśli odziane w rękawiczki dłonie i zakreślili nimi w powietrzu niewielkie falki, tak jakby chcieli powiedzieć: „Oto jesteśmy!... Oto wy jesteście!... Oto wszyscy jesteście!”.

Królewska świta składała się z ponad stu osób, stojących na szkiucie jak uczestnicy hucznego wesela. Byli wśród nich księżniczki, hrabiowie, paziowie i osoby do towarzystwa we frakach. Były dygające z wyćwiczoną sztucznością młode dziewczyny, które troszczyły się o tren sukni Jej Wysokości. Były chrząszcze ryjkowce, zielone błazny w maskach, których tożsamości nikt nie znał²⁸. Przy jednej burcie królewskiej szkiuty stały damy królestwa – piękności miast plantacyjnych delty Missisipi. Przy drugiej burcie stały dwórki – piękności samego Memphis, panny na wydaniu z dobrych rodzin.

Na pokładzie szkiuty dwór wykonywał starannie wyreżyserowany balet. Wszyscy się uśmiechali, kłaniali, machali.

– Nie podskakujcie – ostrzegł żartobliwie król – bo każę was wszystkich skrócić o głowę.

Kiedy wezbrały muzyczne fanfary, król Joseph i królowa Blanche powstali i się pokłonili. Wzdłuż całej skarpy z gardzieli siedemdziesięciu pięciu tysięcy lojalnych poddanych dobyły się ogłuszające wiwaty: „Niech żyje król Bawełna i jego królowa!”.

Potem, w wirze świateł, dwór zszedł ze sceny, a następnie ze szkuty i pod strażą młodych mężczyzn w mundurach konfederackich pułkowników stąpał po starym bruku. Jak kaczki z hotelu Peabody dworzanie paradnym krokiem zdążali po długim czerwonym dywanie do konwoju kabrioletów marki Cadillac, którymi rozwieziono ich na pierwsze bale w sezonie.

Postawić wszystko na jedną kartę

Sześć miesięcy później, w listopadzie 1967 roku, Martin Luther King junior znalazł się w miejscowości Frogmore, w bagnistym regionie Karoliny Południowej niedaleko Hilton Head, gdzie jego organizacja obrony praw człowieka Southern Christian Leadership Conference (Konferencja Chrześcijańskiego Przywództwa Południa, dalej SCLC) zorganizowała swój doroczny zjazd. King postanowił wykorzystać tę okoliczność do ogłoszenia odważnego nowego kierunku programowego SCLC. W obecności prawie stu sztabowców, członków zarządu i wolontariuszy miał przedstawić ambitny plan zmiany sposobu działania organizacji. Była to kontrowersyjna, radykalna, rewolucyjna wizja.

King postanowił, że wiosną następnego roku – 1968 – ponownie pojedzie do National Mall, miejsca, z którego wygłosił swoje słynne przemówienie „Miałem sen”. Tym razem jednak wyobraził sobie coś znacznie bardziej konfrontacyjnego niż popołudnie podniosłych deklaracji. Zamierzał przyprowadzić ze sobą armię biednych ludzi z całego kraju – nie tylko Afroamerykanów, lecz także nędzarzy z różnych plemion indiańskich, białych z Appalachów, Latynosów, Portorykańczyków, Eskimosów, mieszkańców amerykańskich wysp na Oceanie Spokojnym. Mieli tygodniami obozować na terenie Mall, mieszkać w ogromnym prowizorycznym miasteczku u stóp pomników. Mieli sparaliżować miasto, zakorkować ruch, codziennie urządzać okupacje budynków rządowych, mieli zająć stolicę kraju i pozostać tam do czasu, aż ich żądania zostaną spełnione. Miał to być akt nieposłuszeństwa obywatelskiego na bezprecedensową skalę. King znał tylko jedno porównywalne wydarzenie: akcję Bonus Marchers^[3], weteranów I wojny światowej, którzy latem 1932 roku wkroczyli do Waszyngtonu i zażądali obiecanych im świadczeń.

King od lat zmierzał w tym kierunku, ale plan ten ostatecznie wykrystalizował się w lecie 1967 roku, po tragicznych w skutkach zamieszkach w Detroit i Newark, które wzbudziły w nim przekonanie, że Ameryka – jej struktury, jej praktyki, jej zasadnicza *idea* – jest w poważnych tarapatach. „Przez wiele lat – powiedział – pracowałem nad reformą istniejących instytucji społecznych: trochę zmian tutaj, trochę zmian tam. Teraz podchodzę do tego zupełnie inaczej. Uważam, że musimy przebudować całe społeczeństwo, musimy doprowadzić do rewolucji wartości”²⁹.

W jego opinii Ameryka była społeczeństwem potrzebującym „radykalnej operacji chirurgicznej moralności”. Stała się arogancka, egoistyczna, bardziej zainteresowana rzeczami niż ludźmi. Waszyngton kontynuował katastrofalną wojnę w Azji Południowo-Wschodniej, a jednocześnie uprawiał zimnowojenną politykę, która zdawała się prowadzić świat ku zagładzie jądrowej. „Mój własny rząd stał się największym siewcą przemocy w dzisiejszym świecie”³⁰.

King stwierdził, że masowe zamieszki są objawem rozleglejszej choroby republiki. Rząd, zaprzątnięty Wietnamem, wyścigiem w kosmosie i innymi kosztownymi projektami wojskowo-przemysłowymi, nie chciał się zmierzyć z problemem fatalnych warunków panujących w gettach

Ameryki. King uważał, że ten brak empatii jest krótkowzroczny, ponieważ jeżeli nie zrobi się czegoś natychmiast, następnego lata wybuchną znacznie bardziej destrukcyjne zamieszki. Autentycznie się obawiał, że Ameryka może się pogrążyć w wojnie rasowej, która ostatecznie doprowadzi do przejścia władzy przez skrajną prawicę i budowy quasi-faszystowskiego państwa policyjnego.

Przekonywał, że niektóre spośród fundamentalnych problemów wiążą się z samym kapitalizmem. Kinga od lat oskarżano o to, że jest utajonym komunistą, co było wierutną bzdurą, ale rzeczywiście od kilku lat grawitował ku jakiejś formie socjaldemokracji podobnej do skandynawskiej (koncepcję tę zainspirowała między innymi jego wizyta w Szwecji i Norwegii, gdzie w 1964 roku odebrał Pokojową Nagrodę Nobla). „Dobre i sprawiedliwe społeczeństwo – powiedział – nie jest ani tezą kapitalizmu, ani antytezą komunizmu, lecz społecznie wrażliwą demokracją, która godzi ze sobą prawdy indywidualizmu i kolektywizmu”³¹.

Koncepcja najazdu biednych ludzi na Waszyngton wyrosła z wielomiesięcznych przemyśleń i pobytu w kamienicy czynszowej w jednym z najgorszych slumsów Chicago, gdzie spędził lato. Przez cały ten czas zastanawiał się nad kwestią biedy – jej korzeni, skutków i możliwych rozwiązań problemu. Nową kampanię traktował jako alternatywę dla zamieszek, ostatnią szansę na pokojowe rozstrzygnięcie. Jego armia biednych ludzi miała zażądać, żeby rząd zainicjował coś w rodzaju planu Marshalla do walki z biedą w Ameryce – programy tworzenia miejsc pracy, reformę służby zdrowia, stworzenie lepszych szkół, gwarantowany dochód minimalny dla każdego obywatela.

Zdawał sobie sprawę, że jest to znacznie bardziej radykalne od wszystkiego, co do tej pory proponował. Taką koncepcję zawsze byłoby trudno sprzedać, ale podczas wojny zadanie wydawało się prawie niewykonalne. Miał świadomość, że jego projektowi brakuje logistycznej i moralnej klarowności z dawnych czasów ruchu praw obywatelskich, kiedy zło wydawało się tak oczywiste, a naród był podatny na płomienną retorykę Kinga. Zamiast domagać się czegoś już zagwarantowanego w konstytucji, King żądał, żeby jego kraj sięgnął głęboko do kieszeni i rozwiązał jeden z najtrudniejszych problemów od zawsze trapiących ludzkość. „Likwidacja barier rasowych w lokalach gastronomicznych nie kosztowała kraju ani centa – powiedział. – Zagwarantowanie prawa do głosu nie kosztowało kraju ani centa. Teraz jednak mamy do czynienia z kwestiami, których nie da się załatwić bez wydania miliardów dolarów, bez radykalnej redystrybucji władzy ekonomicznej”³².

King nalegał jednak, aby SCLC przystąpiła do tej kampanii, tej pokojowej okupacji na ogromną skalę. „Jestem na to totalnie napalony – powiedział swoim ludziom we Frogmore. – Tym razem musimy postawić wszystko na jedną kartę”³³.

Większość sztabowców Kinga była jednak znacznie mniej „napalona”. Kampania Biednych Ludzi pachniała im donkiszoterią – co gorsza, uważali, że pomysł ten odzwierciedla zaburzony stan umysłu ich przywódcy.

Jesienią 1967 roku Martin Luther King był wyczerpany psychicznie. Ten trzydziestoosmiolatek od dwunastu lat bez chwili wytchnienia walczył o prawa obywatelskie. Jego życie nie należało do niego. Napięty do granic możliwości grafik, praca do późna w nocy i nieustanne podróże – jego sztabowcy nazywali to „wojną ze snem” – zrobiły swoje. Za dużo palił i pił, przybierał na wadze, zażywał tabletki nasenne, które nie skutkowały. Prawie codziennie grożono mu śmiercią. Jego małżeństwo się rozpadało. W wyniku krytyki wojny

wietnamskiej stracił prawie wszystkich najważniejszych sojuszników w Waszyngtonie. Coraz więcej osób traktowało go jako niegdyś wybitnego przywódcę, którego czas minął.

Z całą pewnością nie był już mile widziany w Białym Domu. Martin Luther King i Lyndon Johnson razem tworzyli historię – wspólnymi siłami przeforsowali przełomową ustawę o prawach obywatelskich z 1964 roku i ustawę o prawie wyborczym z 1965 roku – ale teraz Johnson nie chciał nawet rozmawiać z Kingiem. Prezydent widział w nim zdrajcę, zdarzyło mu się nazwać go „tym czarnuchem kaznodzieją”.

Chociaż King nadal cieszył się powszechnym szacunkiem, jego pozycja się pogorszyła, nawet wśród swoich. W 1967 roku po raz pierwszy od dekady nie trafił do pierwszej dziesiątki „najpopularniejszych Amerykanów” w sondażu Gallupa. Jego baza poparcia od kilku lat powoli się wykruszała. W 1965 roku, kiedy pojawił się w Los Angeles podczas zamieszek w dzielnicy Watts, czarni go wygwizdali. Jego wizja pokojowych protestów znajdowała w gettach coraz mniej zwolenników. Wielu młodych ludzi nazywało go „Lordzik” i traktowało jako kaznodzieję z Południa, sztywniaka, który stracił kontakt z rzeczywistością. Ruch Black Power, pod wodzą młodych radykałów takich jak Stokely Carmichael i H. Rap Brown, rósł w siłę. King znalazł się między młotem a kowadłem.

Chodziło mu po głowie, żeby porzucić ruch praw obywatelskich. Po co się dalej męczyć? Dostyc już zrobił i wycierpiał. Od 1955 roku, kiedy niechętnie zgodził się zostać rzecznikiem bojkotu autobusów w Montgomery, historia złapała go w sidła i nie chciała puścić. Jego odwaga była zdumiewająca. Osiemnaście razy trafił do więzienia. Jego dom obrzucano koktajlami Mołotowa. Obląkana Murzynka dźgnęła go nożem, jakiś nazista uderzył go w twarz, raz dostał kamieniem w głowę. Brał udział w marszach w całym kraju, mając przeciwko sobie gaz łzawiący, psy policyjne, paralizatory i armatki wodne. Nie sposób zliczyć, ile razy spalono jego podobizny. Jakby tego wszystkiego było mało, bez przerwy deptało mu po piętach FBI, obserwowało go i podsłuchiwało.

Czasami marzył o prostszym życiu jako pastor, pracownik akademicki czy pisarz. Zdarzało mu się mówić, że chętnie złożyłby śluby ubóstwa, rozdał swój skąpy majątek i spędził rok za granicą. Sam wiedział, że powinien przynajmniej wziąć krótki urlop, na jakiś czas rozstać się ze swoim ruchem i pozbierać myśli³⁴. „Mam dosyc tego ciągłego podróżowania, do którego jestem zmuszony – powiedział do swoich wiernych w Atlancie. – Wykańczam się i rujnuję sobie zdrowie. Jestem zmęczony”³⁵. Żyjąc w nieustannym zagrożeniu śmiercią, „od czasu do czasu czuję się zniechęcony i mam wrażenie, że moja praca zdaje się na nic. Ale potem Duch Święty odradza moją duszę”³⁶.

Sprawy zaszły jednak tak daleko, że King nie był w stanie się z tego wszystkiego wyplątać. Ruch praw obywatelskich stał się jego życiem. King nie miał innego wyboru, jak tylko zacząć następny logiczny etap walki.

Doszedł do wniosku, że podstawowa kwestia została przesunięta ze sfery czysto rasowej do sfery ekonomicznej. Porównał położenie czarnych do sytuacji więźnia, który po wielu latach odsiadki został wypuszczony na wolność, ponieważ okazało się, że fałszywie go oskarżono. „Idź, jesteś wolny”, mówi naczelnik więzienia. Ale więzień nie ma żadnych kwalifikacji, żadnych perspektyw, a naczelnik więzienia nie pomyślał nawet o tym, żeby dać mu pieniądze na autobus do miasta.

Kampania Biednych Ludzi miała więc podjąć kwestię długiego cienia niewolnictwa, cienia *ekonomicznego*. Mimo oporów sztabu King przeforsował swój pomysł. SCLC zamierzała poświęcić następne kilka miesięcy na zorganizowanie wielkiej kampanii.

King powrócił do Atlanty podbudowany podjętą we Frogmore decyzją. 4 grudnia wystąpił na konferencji prasowej. „Wiosną następnego roku SCLC poprowadzi fale biednych i wydziedziczonych Amerykanów do Waszyngtonu – zakomunikował nieco skonsternowanym mediom ogólnokrajowym. – Nie wiemy, co się wydarzy. Mogą próbować nas przegonić. Jak pamiętacie, zrobili tak przed laty z Bonus Marchers”³⁷.

King nie ukrywał, że jego plan jest ryzykowny, ale niepodjęcie żadnych działań, jak ogłosił, „[...] byłoby moralną nieodpowiedzialnością. Kiedy poszliśmy do Birmingham, mówiono nam, że Kongres nie ustąpi. To samo nam mówiono, kiedy poszliśmy do Selmy. Nasze doświadczenia pokazały, że potulne domaganie się sprawiedliwości nie rozwiąże problemu. Musimy przystąpić do zmasowanej konfrontacji ze strukturami władzy”³⁸.

King rwał się do największego przedsięwzięcia w całym swoim życiu. „Jest to rodzaj ostatniej rozpaczliwej prośby do narodu, żeby w końcu zareagował na pokojowe protesty”³⁹.

Miesiąc iguany

Na pustej plaży pod Puerto Vallarta, mając w uszach szelest liści palm Colimy, Eric Galt wycelował obiektyw w leżącą na piasku młodą Meksykankę⁴⁰. Majstrując przy nowym aparacie Polaroid 220 Land, próbował tak ustawić światło i kadr, żeby wyszło mu zdjęcie podobne do tych, które oglądał w sprośnych pisemkach.

Był ciepły tropikalny dzień w listopadzie 1967 roku. Przez wizjer widział toczące się fale Pacyfiku. Wydmy za jego plecami wspinały się stromo ku dżungli orchidei i bromelii, w tym zielonym baldachimie roiło się od papug.

Pora monsunowa dobiegła końca i powietrze było tak przejrzyste, że Galt mógł dostrzec Bahía de Banderas, drugą co do wielkości zatokę Ameryki Północnej, dosięgał wzrokiem aż po zarośnięty cypel Punta de Mita daleko na północy. Na tym krętym odcinku wybrzeża rozciągały się dziesiątki takich trudno dostępnych plaż, do niektórych z nich dało się dotrzeć tylko wodą – w tych ukrytych miejscach turyści mogli spędzić cały dzień, smażąc się w słońcu jak dziki Kaliban.

Plaża, którą znalazł Galt, znajdowała się w tak odludnym miejscu, że jego modelka, miejscowa dziewczyna Manuela Medrano, nie miała powodów do skrępowania. Nie licząc wszechobecnych *pangas* rybackich, które chygotały w oddali, fotograf i uwieczniany przez niego obiekt mieli całe to miejsce dla siebie.

W pewnym momencie Galt powiedział Manuelei, żeby usiadła za kierownicą jego mustanga, oparła stopy o deskę rozdzielczą i podciągnęła spódnicę. Zachichotała i uśmiechnęła się, ale ochoczo wykonała polecenie. Galt zaczął ją fotografować pod różnymi kątami. Taki ekshibicjonizm nie był dla niej niczym nadzwyczajnym. Chociaż miała dopiero dwadzieścia trzy lata, od dawna pracowała w burdelu Casa Susana – największym w Puerto Vallarta – i należała do największych atrakcji tego przybytku.

Galt jeszcze trochę pomajstrował przy aparacie i poinstruował Manuełę, jak ma się ustawić. Robił zdjęcie, wyjmował naświetloną błonę i patrzył na wyłaniający się obraz.

Błady, nerwowy i chudy mężczyzna pod czterdziestkę nie znał się na sztuce ani fotografii, ale był gorliwym uczniem. Od jakiegoś czasu zastanawiał się nad wejściem w biznes pornograficzny – filmy i pisemka ze zdjęciami. Był to jeden z kilku pomysłów, które chodziły mu po głowie. Wyobrażał sobie, że będzie kiedyś zarządzał stajnią talentów i dysponował koneksjami w przemyśle wydawniczym, dystrybucji i organach ścigania, żeby nie mieć problemów z wymiarem sprawiedliwości. Był ambitny i gotowy do ciężkiej pracy. Wiedział, że jeżeli ma być liczącym się graczem, najpierw musi opanować swój nowy sprzęt.

Z katalogu wysyłkowego zamówił niedawno kamerę Kodak Super 8, projektor Kodak Dual i maszynę do montażu, sześciometrowy kabel do zdalnego obsługiwania kamery i rozmaite akcesoria⁴¹. Rozglądał się również za projektorem dźwięku i nagrywarką do kopiowania filmów, które miał nadzieję robić. Czytał czasopismo „Modern Photography”, zdobył też podręczniki

i gadzety erotyczne. Przeglądał sprośne czasopisma, żeby się dowiedzieć, jakie fotografie dobrze się sprzedają, i zauważył, że wydawcy szczególnie lubią zdjęcia zrobione w egzotycznej zagranicznej scenerii, na przykład na odludnych plażach w tropikach.

Ale kiedy obejrzał swoje polaroidy z Manuełą, był na siebie zły. Zdjęcia go nie porywały, były nijakie i nieciekawe. Może zaczął się obawiać, że nie ma talentu fotograficznego. Manuela zauważyła frustrację na jego twarzy. Wyraźnie wzburzony podarł wszystkie polaroidy⁴².

Eric Starvo Galt przyjechał do Puerto Vallarta drogą krajową 200 trzy tygodnie wcześniej. Tego popołudnia w czwartek 19 października zameldował się w hotelu Rio na końcu brukowanej kocimi łbami głównej ulicy, przecnicę od plaży. Hotel nie był luksusowy, ale przyzwoity, ze ścianami z białego stiuku, żeliwnymi balustradami i dachem krytym hiszpańską dachówką⁴³. Po cztery dolary za noc wynajął pokój na pierwszym piętrze, z widokiem na rzekę Cuale, gdzie rybacy rozciągali sieci w słonawej wodzie, a potem smażyli złapane ryby w cieniu kauczukowców, które porastały pachnące piżmem brzegi.

Kierownictwo hotelu nie wiedziało, co ma sądzić o tajemniczym nowym gościu. Galt był nerwowym gringo, który chodził z daszkiem na głowie i mówił bardzo niewyraźnie. Przyjechał fordem mustangiem kabrioletem z 1966 roku, który miał zachlapane opony z białymi bokami i tablice rejestracyjne z Alabamy. Galt powiedział recepcjoniście, że jest „asystentem wydawcy”⁴⁴, ale innym spotykanym w miasteczku ludziom przedstawiał się jako pisarz na urlopie. W swoim pokoju miał maszynę do pisania i czasem do późna w nocy stukał w klawisze, jednocześnie słuchając tranzystorowego radjka.

Okolice Puerto Vallarta wydały się Galtowi „idylliczne”, a miasteczko tak bardzo przypadło mu do gustu, że rozważał zamieszkanie tam na stałe⁴⁵. Przed przyjazdem większość 1967 roku spędził w ruchu: w Saint Louis, Chicago, Toronto, Montrealu, a potem Birmingham w stanie Alabama. Na kilka dni zatrzymał się w Acapulco, ale czuł się tam fatalnie – nie podobały mu się zbyt gęsta zabudowa i tłum turystów, a poza tym „wszyscy chcieli tylko pieniędzy, pieniędzy, pieniędzy”⁴⁶. Tymczasem Puerto Vallarta wciąż było prawie nieskażonym cywilizacją rajem – ocean z ciepłą wodą, zachody słońca w kolorze czerwonego grejpfruta, dzikie laguny przemierzane przez krokodyle. Po niebie śmigły fregaty i pelikany, a w zatoce widywało się czasem gejzery wystrzeliwane przez humbaki, które przyplływały tutaj, żeby się rozmnażać w ciepłych wodach. Strome wzgórza były upstrzone motylami, a tysiąc kogutów każdego ranka ogłaszało nadejście kolejnego dnia. Ludzie zamieszkujący okolicę sprawiali wrażenie biednych, ale szczęśliwych, spędzali życie poza domem, jedli poza domem, a nocowali na dachach pod gwiazdami. Obyczaje były bardzo swobodne, zwłaszcza w kwestii ubioru, którego zasady dobrze podsumowywało lokalne powiedzenie: „Mężczyźni mają chodzić w spodniach, a kobiety mają pięknie wyglądać”.

Niedługo po przyjeździe do Puerto Vallarta Galt zaczął regularnie odwiedzać miejscowy burdel. W tym wyjątkowo tanim przybytku klient wchodził po drabinie do któregoś z ustawionych jeden na drugim boksów, gdzie czekała na niego prostytutka – wskakiwał do jednego z tych pudełek na szybki numer za kilka peso. Przez cienkie jak papier ściany przenikały jęki innych usługobiorców, tworząc swoiste erotyczne sprzężenie zwrotne: każda hałaśliwa para słyszała wszystkie inne hałaśliwe pary, co składało się na kakofonię, która bardzo podniecała Galta⁴⁷.

Później zaczął uczęszczać do trochę bardziej ekskluzywnego Casa Susana w recepcji na dole, która służyła również za bar i kantinę, gdzie kurwy siedziały na metalowych krzesłach pod brudnymi ścianami⁴⁸. Małe półprzezroczyste jaszczurki przywierały do sufitu i skrzeczały w cieniu między posiłkami złożonymi z komarów. Szeroko uśmiechnięty barman z fatalnym uzębieniem nie szczędził gorzałki, a klienci siedzieli wokół stolików albo tańczyli do broadwayowskich kawałków ze zdezelowanej szafy grającej.

Prowincjonalna, trochę zapyziała Casa Susana ze swobodną atmosferą była czymś w rodzaju miejscowego domu kultury. Wielu mieszkańców przychodziło tutaj tylko dla widowiska. Zdarzało się, że po pomieszczeniach na dole truchtały kwiczące dzieci, a nawet kwiczące świnie. Manuela Aguirre Medrano z jakiegoś powodu wpadła w oko Galtowi. Była trochę przy kości, ale młoda, z szerokim uśmiechem i rozmarzonymi oczami w kolorze ciemnoczekoladowym. Przedstawiła się mu jako Irma – jak się okazało, był to jej pseudonim zawodowy zaczerpnięty z komedii Billy’ego Wildera *Słodka Irma*, w której Shirley MacLaine gra chodzącą w siatkowych pończochach paryską prostytutkę cieszącą się dużym wzięciem.

Galt zabrał Manuellę na górę i zaspokoił się za równowartość mniej więcej ośmiu dolarów. Kilka dni później znowu przyszedł i również poprosił o Manuellę. Z czasem się zaprzyjaźnili. Galt siedział z nią przez cały wieczór przy stoliku w kantine Casa Susana, pijąc wódkę z sokiem pomarańczowym. Manuela prawie nie mówiła po angielsku, a on po hiszpańsku, więc porozumiewali się za pomocą uniwersalnych gestów i zakłopotanych uśmiechów.

Czasami Galt przyjeżdżał po nią w ciągu dnia i woził ją po Puerto Vallarta swoim mustangiem, driftując po błotnistych drogach. Dziewczyna, wychowana w miasteczku z kilkoma starymi dryndami i rzęzącymi gruchotami, miasteczku, w którym większość mężczyzn jeździła na osłach, nigdy nie widziała takiego luksusowego samochodu, a tym bardziej takim nie jechała, więc kiedy Galt paradował z nią po *ciudad*, czuła się jak królowa.

Kilka razy pojechali na oddaloną o dwadzieścia kilometrów plażę w Mismaloi, gdzie cztery lata wcześniej John Huston sfilmował *Noc iguany*. Eric i Manuela lubili pić piwo pod palmą w zacisznym wąwozie niedaleko planu *Iguany*, który do tej pory niewiele się zmienił. W rozciągającej się przed nimi wielkiej zatoce czasem widywali delfiny figlujące wokół skalistych wysepek z licznymi jaskiniami, zwanych Los Arcos.

W filmie Hustona – „Jeden mężczyzna... trzy kobiety... jedna noc”, jak można było przeczytać na plakatach – Richard Burton grał suspendowanego księdza, a Ava Gardner rozerotyzowaną właścicielkę taniego nadmorskiego hotelu podobnego do tego, w którym zatrzymał się Galt. Podczas kręcenia filmu do Puerto Vallarta ściągnęły dziesiątki paparazzich, żeby obfotografować wybuchową mieszkankę wielkich osobowości, obejmującą między innymi dramaturga Tennessee Williamsa (scenariusz filmu był oparty na jego sztuce), ale światowe media były zainteresowane przede wszystkim burzliwym romansem Elizabeth Taylor i Burtona. Mimo że oboje byli w związkach małżeńskich, Burton zaprosił Taylor do Puerto Vallarta, żeby mu towarzyszyła podczas pracy nad filmem. Wynajął jej dom naprzeciwko swojego i zbudował „mostek miłosny” łączący dwie rezydencje.

Romans wywołał tak wielki międzynarodowy skandal, że głos zabrali nawet przedstawiciele Watykanu, oskarżając Taylor o „erotyczne włóczęgostwo”. Sukces kasowy *Iguany* w połączeniu z kolportowanymi przez prasę zakulisowymi informacjami ugruntowały reputację Puerto Vallarta jako przybytku rozwiązłości i dramatycznych intryg – uruchamiając pierwszą falę gringo. W 1966 roku w Puerto Vallarta ukrywał się pisarz Ken Kesey, który uciekał przed FBI,

ścigającym go za narkotykowe ekscesy. Teraz, rok później, do tego exodusu dołączył Eric Galt. O Puerto Vallarta dowiedział się z jednego z licznych artykułów na temat kręcenia filmu przez Hustona. Podczas prawie miesięcznego pobytu w Meksyku żył jak typowy Amerykanin w tropikach, to znaczy leniuchował i się łądaczył. W przerwach między alkoholowo-erotycznymi sesjami udawał pisarza, dziennikarza, fotografa, reżysera filmowego; swoją tożsamość budował z rozmaitych informacji, które przeczytał albo usłyszał.

Tak jak z góry skazana na zgubę iguana, Galt sprawiał wrażenie człowieka, który znalazł się w ślepej uliczce. Manueli wydawał się dziwny. Uskarżał się na bóle głowy, bóle żołądka i inne dolegliwości. Był zamknięty w sobie, rozkojarzony, wiecznie zmęczony⁴⁹. Rzadko dawał napiwki i nigdy się nie śmiał⁵⁰. Żył w paranoicznym strachu przed policją, ciągle oglądał się przez ramię. Pod siedzeniem samochodu woził naładowany rewolwer Liberty Chief .38 z krótką lufą, który nazywał swoim „uspokajaczem”⁵¹. Twierdził, że odsłużył dwadzieścia lat w amerykańskiej armii. Od czasu do czasu jeździł do okolicznych wiosek, najprawdopodobniej po marihuanę⁵².

Jak na częstego klienta niehigienicznych burdeli zaskakująco starannie się ubierał i prowadził regularny tryb życia. Prawie codziennie jadł obiad w tym samym lokalu Discotheque Café i zawsze zamawiał to samo: hamburgera i pepsa. Bardzo chciał się nauczyć hiszpańskiego, wszędzie nosił ze sobą rozmówki angielsko-hiszpańskie. Z nie mniejszym zapałem uczył się kroków meksykańskich tańców. Za instruktorkę służyła mu Manuela, ale okazało się, że Eric ma drewniane nogi⁵³.

Manuela musiała jednak przyznać, że przy wszystkich swoich dziwactwach Galt był dla niej miły. Razem spacerowali po Malecón, chłonąc barwne uliczne życie: słuchali ciekawostek związanych ze Świętem Zmarłych, jedli mango na patyku, oglądali zrobione z paciorków figurki znanych z zamiłowania do pejotlu Indian Huichol, którzy mieszkali w Sierra Madre. Kilka razy, gdy Galt się upił, prosił Manuelę o rękę (uprzejmie odmawiała). Zdarzyło się nawet, że pojechał obejrzeć dom wystawiony na sprzedaż – właściciel tej nieruchomości zaproponował zamianę jej na mustanga Galta. „Poważnie się zastanawiałem nad tą transakcją – powiedział później Galt. – Meksyk to kraj nieskażonej natury. Tak bardzo polubiłem Puerto Vallarta, że myślałem o tym, by zbudować sobie jakąś chałupkę i przejść na emeryturę”⁵⁴.

Pewnego wieczoru w Casa Susana Manuela Medrano zobaczyła inne oblicze Erica Galta, co dało jej do myślenia. Wszedł do kantyny o dziewiątej – w poniedziałek – i jak zawsze usiadł przy stoliku koło Manueli. Pili i słuchali szafy grającej, ale kilka stolików dalej sześciu Amerykanów, którzy parę godzin wcześniej zeszli z jachtu, strasznie hałasowało. Dwóch było białych, czterech czarnych.

Jeden z Afroamerykanów, pijany, potknął się, przechodząc koło stolika Galta i Manueli, prawdopodobnie w drodze do łazienki, i odruchowo złapał Manuelę za ramię, żeby się nie wyrzucił. Galt nagle stężał, pochylił się do dziewczyny i powiedział coś na temat „czarnuchów”. Nigdy wcześniej nie widziała go tak wkurzonego. „Powiedział wiele obraźliwych rzeczy: »sukinsyn« i inne wyzwiska”, wspominała, chociaż z powodu bariery językowej nie rozumiała większości jego słów⁵⁵. Nagle Galt wstał, podszedł do stolika Amerykanów i zbłuzgał czarnego, który dopuścił się tego karygodnego czynu. Po krótkim pojedynku na miny i pozy wrócił do swojego stolika i usiadł.

Ale na tym się nie skończyło. Szafa grała dalej, a Eric nadal się dąsał. Kilka minut później Afroamerykanin podszedł do nich, żeby się pogodzić, ale Galt warknął kolejną obelgę. Potem znowu wstał i wyszedł na parking. Po kilku minutach wrócił.

– Gdzie byłeś? – zapytała Manuela.

– Pomocaj moją kieszeń – odparł z ukradkowym spojrzeniem.

Wyciągnęła rękę i stwierdziła, że Galt ma w kieszeni broń – rewolwer spod siedzenia mustanga.

Amerykanie, którzy z pewnością nie wiedzieli o tym niespodziewanym zwrocie akcji, niedługo wstali i wyszli z kantyny; roztropnie postanowili udać się na spoczynek. Galt rzucił się za nimi do drzwi. „Zabiję ich”, powiedział, a w każdym razie tak się wydawało Manueli⁵⁶.

Udało jej się przekonać go do odstąpienia od tego zamiaru – w jakiś sposób przekazała mu, że za chwilę zjawi się policja, jak zawsze o dziesiątej. Wytłumaczyła, że zadzieranie z Amerykanami akurat w tym momencie byłoby głupie, katastrofalne nie tylko dla niego, lecz także dla Casa Susana. Argument poskutkował – Galt, który panicznie bał się konfrontacji z policją, zaczął się uspokajać. Manuela nie miała pewności, czy jego gwałtowna reakcja wynikała z uprzedzeń rasowych, czy po prostu z tego, że obcy mężczyzna dotknął jego kobiety. Ale nigdy wcześniej nie widziała go takiego. Rozstrojona tą awanturą zaczęła się bać zmiennych nastrojów Erica.

Nie zmieniło to jednak faktu, że w chwilach pijackiego rozklejenia Galt nadal oświadczał się Manueli, a ona nadal odmawiała, między innymi dlatego, że wiedziała o tym, iż sypia z innymi kobietami – a raczej korzysta z usług innych prostytutek. Pewnego wieczoru, kiedy kolejny raz odrzuciła jego oświadczyzny, wyciągnął rewolwer i zagroził, że ją zabije.

Galt nie zabawił długo w Puerto Vallarta. Jak można było przewidzieć, jego znajomość z Manułą została zerwana. Pod koniec listopada mniej więcej przez tydzień spotykał się z inną Meksykanką – Elisa pracowała jako handlarzka papierosami i asystentka fotografa. Chodzili do nocnych klubów i nocowali razem w hotelu Las Glorias.

Galt zainteresował się Elisą ze względu na jej wiedzę fotograficzną. Wydobywał z niej wszystko, czego się nauczyła w swojej pracy. Tak jak to było z Manułą, zabierał ją na zaciszne plaże i robił jej zdjęcia polaroidem. Pewnego razu usiadł na Elisie okrakiem i posługując się wspomnianym kablem do zdalnej obsługi aparatu, pstryknął sobie i jej fotkę w pornograficznej pozie⁵⁷. Zdarzało mu się również robić autoportrety. Sprawiał wrażenie człowieka, który ma obsesję na punkcie swojej twarzy. Nosił przy sobie lusterko i czasami przez kilka minut wpatrywał się w swoje odbicie, wykrzywiając gębę na widok pewnych elementów urody, które mu się nie podobały – wydatnego cebulastego nosa i kłapciatych uszu⁵⁸. Stwierdził, że chciałby mieć „twarz, której nikt nie potrafiłby opisać”.

Pewnego dnia powiedział Elisie, że płynie kupić marihuanę do Yelapy, wioski rybackiej bez elektryczności, dostępnej tylko drogą wodną. Osiadło tam trochę Amerykanów, którzy prowadzili proste życie, mieszkali w wyplatanych *palapas* bez dachów, tak jak miejscowi. Hipisi udawali się tam po silne ziele, które podobno rosło w dżungli nad miejscowością. Odbijając od brzegu, Galt dał Elisie czterdzieści osiem dolarów, żeby wynajęła dla nich jakieś małe gniazdko miłosne, ale ona uciekła z tymi pieniędzmi do Guadalajary. U barmana w Posada Vallarta zostawiła mu list pożegnalny, w którym prosiła go o wybaczenie.

Galta tak to zniechęciło, że postanowił wyjechać z Puerto Vallarta. „W Meksyku nie mogłem niczego więcej osiągnąć w kwestii zamieszkania tam na stałe”⁵⁹, stwierdził, dorabiając uzasadnienie do swojej decyzji. „W Meksyku nie da się mieszkać. Nie mają tutaj klasy średniej, jesteś albo na górze, albo na dole, a myślę, że byłoby trudno się przyzwyczaić do życia na dole, ponieważ wiąże się to z różnymi niedogodnościami”⁶⁰.

Tydzień później, prawdopodobnie 16 listopada, Eric Galt wypchał dętkę zapasowej opony najlepszej jakości konopiami z Jalisco, zapakował bagaże do mustanga i wyjechał z miasteczka. Wkrótce znalazł się na drodze 15 i zmierzał na północ w kierunku Tijuany⁶¹.

Postrach dla złoczyńców

Na przełomie jesieni i zimy 1967 roku Martin Luther King wytrwale realizował swój ambitny plan poprowadzenia armii biednych ludzi do Waszyngtonu w lecie następnego roku. Przedsięwzięciu temu z całą pewnością uważnie przyglądał się J. Edgar Hoover, siedemdziesięciodwuletni dyrektor FBI. Hoover urodził się i wychował w Dystrykcie Kolumbii i spędził tam całe swoje życie zawodowe, szefując FBI za dziewięciu prezydentów. Ten pobożny prezbiterianin, który kiedyś chciał zostać pastorem, już dawno mianował się strażnikiem stołecznej moralności. Perspektywę najazdu armii ubogich wywrotowców na National Mall postrzegał nie tylko jako zagrożenie dla republiki, lecz także jako atak wandalii na swoje rodzinne miasto.

Siedząc za biurkiem w swoim sanktuarium na trzecim piętrze budynku Departamentu Sprawiedliwości z szarego granitu, z otrzymaną od matki, oprawioną na czarno Biblią zawsze przy sobie, amerykański szeryf numer jeden z narastającym niepokojem czytał raporty FBI na temat planów SCLC. Co ten King kombinuje? Czy to początek murzyńskiej rewolucji? Czy za tą awanturą stoją Sowieci? A przede wszystkim czy tego buraka da się zatrzymać?

„Burak” to jedno z licznych przezwisk Kinga nadanych mu przez Hoovera, który żywił do pastora niemal patologiczną nienawiść od 1955 roku, kiedy ten stanął na czele ruchu praw obywatelskich⁶². FBI Hoovera toczyło na razie nieskuteczną kampanię, której celem było (jak to barwnie określano w rozmaitych notatkach funkcjonariuszy) „zdemaskowanie tego łajdaka”, „strącenie go z piedestału”, „zneutralizowanie go” jako przywódcy społecznego. Kilka miesięcy wcześniej Hoover poinformował prezydenta Johnsona w prywatnym liście: „Z niedawnych działań i wypowiedzi publicznych Kinga jednoznacznie wynika, że jest on narzędziem w rękach wywrotowych sił, które chcą osłabić nasz kraj”⁶³.

Chociaż J. Edgar Hoover nadal miał pełną kontrolę nad FBI, były to schyłkowe lata jego kariery – szef federalnych śledczych stał się karykaturą samego siebie z plamami wątrobowymi na twarzy. W tamtym okresie miał sterczący brzuch, worki pod oczami i wydatne czerwone podgardle. Cierpiał na nadciśnienie i inne dolegliwości. Ubierał się równie elegancko, jak zawsze, w prążkowany garnitur z odpowiednio dobranymi kolorystycznie chusteczkami i krawatami, ale jego krok nie był już tak prężny jak dawniej. Przejawiał różne dziwne fobie związane z robactwem, muchami czy niedoskonałym kształtem żółtka porannego jajka na parze⁶⁴. Posługiwał się archaicznym językiem, okraszał swoje tyrady sformułowaniami z czasów wielkiego kryzysu, które wprawiały młodszych funkcjonariuszy w konsternację, takimi jak „kryminalne szumowiny”, „moralne szczury” czy „zagraniczna hołota”. Lubił powtarzać, że jego wrogowie cierpią na „mentalną halitozę”⁶⁵.

Pod koniec lat sześćdziesiątych był żywym anachronizmem, zamieszkującym zastygły w dawnej epoce świat, który sam sobie zbudował. Art Buchwald żartował, że Hoover to „postać mityczna wymyślona przez »Reader’s Digest«”⁶⁶. Hoover jak zawsze posługiwał się swoim

niebieskim długopisem z gderliwą precyzją. Jak zawsze sporządzał indeks wichrzycieli i inne listy niebezpiecznych radykałów, realnych albo wyimaginowanych. Nadal regularnie wyjeżdżał na „nieurlopy” (prasę informowano, że nawet przebywając poza Waszyngtonem, ani na chwilę nie przestaje pracować) do centrów gry w shuffleboard^[4] w Miami Beach albo trącących myszką hoteli w pobliżu torów wyścigów konnych w Del Mar czy Saratodze, gdzie zawsze rezerwował sąsiadujące ze sobą apartamenty ze swoim wieloletnim przyjacielem i zastępcą Clyde'em Tolsonem. Wytrwałe starokawalerstwo Hoovera w połączeniu z jego dziwnie matrymonialną relacją z Tolsonem rodziły liczne spekulacje, a także mnóstwo dowcipów, z których jeden przytacza Truman Capote: „Spotkałeś się kiedyś z terminem »zabójczy owoc«? Jest to gatunek homosia, którego krwiobieg chłodzi freon. Na przykład Hadrian albo J. Edgar Hoover”⁶⁷.

FBI Hoovera stało się instytucją dziwnie zuniformizowaną. Od sześciu tysięcy porzrzuconych po całym kraju agentów oczekiwano, że będą wyznawali poglądy dyrektora, naśladowali jego styl i przewidywali jego zachcianki. „Musisz zrozumieć – napisał pewien agent specjalny do kolegi – że pracujesz dla obłąkanego maniaka, że twoim obowiązkiem jest wykryć to, czego on chce, i stworzyć świat, w który on wierzy”⁶⁸. Pewnego razu, kiedy Hoover wziął do ręki swój niebieski długopis i z wściekłością napisał na jakiejś notatce „pilnujcie granic” [*watch the borders*], agenci pognali na granice meksykańską i kanadyjską, aby sprawdzić, o co chodziło szefowi, a okazało się, że wściekłość Hoovera wzbudziły za małe, jego zdaniem, marginesy w tej konkretnej notatce⁶⁹.

Gabinet Hoovera był reliktem dawnych czasów. Ścianę zdobiła maska pośmiertna Johna Dillingera, tapicerowane krzesła kojarzyły się z dziewiętnastowiecznym mieszczaństwem, wykwintne filizanki i inną porcelanową zastawę dyrektor odziedziczył po swojej drogiej świętej pamięci matce, a nad drzwiami wisiało jego wędkarskie trofeum *istiophorus*. Oddana sekretarka Helen Gandy sumiennie pracowała w sąsiednim pokoju⁷⁰. Odbierała telefony do Hoovera, opłacała jego rachunki, oddawała jego rzeczy do pralni, umawiała ogrodnika do jego domu i zajmowała się wszystkimi drobiazgami od czterdziestu dziewięciu lat.

Mimo że Hoover był przeżytkiem dawnych czasów, zachował bardzo silną pozycję na scenie politycznej, a pod względem pewności zatrudnienia prawdopodobnie nikt w Waszyngtonie nie mógł się z nim równać. Dyrektorem ówczesnego Biura Śledczego został w 1924 roku, w wieku dwudziestu dziewięciu lat. Jako pierwszy i do tamtej pory jedyny dyrektor FBI siedział w centrum świata, który praktycznie sam stworzył. Nomenklatura, urzędowy głos, zasady ubioru, zamiłowanie do skrótowców i struktur quasi-militarnych – wszystko to było jego dziełem. Hoover zaszczycał swoją obecnością uroczystości zaprzysiężenia wszystkich prezydentów od Calvina Coolidge'a, niezłomny i najwyraźniej nie do ruszenia. Uchodził za człowieka charakteryzującego się „straszną cierpliwością”. Doświadczony waszyngtoński dziennikarz Hugh Sidey napisał na łamach miesięcznika „Life”, że zawsze, kiedy uczestniczył w paradach inauguracyjnych, uroczystościach pogrzebowych albo świętach państwowych, widział Hoovera stojącego na balkonie swojego gabinetu, „w milczeniu i z wysoka obserwującego swoje zamglone królestwo na dole, prezydent po prezydencie, dekada po dekadzie”⁷¹.

W długoletnim okresie swojego urzędowania Hoover wprowadził do pracy policyjnej zasady profesjonalizmu i naukowego rygoru. Nadzorował wprowadzanie wszelkich postępów w kryminologicznym rzemiośle, od centralnego rejestru odcisków palców, przez

supernowoczesne laboratorium balistyczne, po usystematyzowanie zasad sprawozdawczości. Laboratorium Kryminalistyczne FBI, lista wrogów publicznych, rejestr najbardziej poszukiwanych przestępców, powszechne wykorzystywanie analizy włókien i charakteru pisma – wszystko to przyszło za urzędowania Hoovera. Dziennikarz Jack Anderson całkiem słusznie napisał, że Hoover „przekształcił FBI ze zgrai wyrobników, odmieńców i lizusów w jeden z najskuteczniejszych i najpotężniejszych organów ścigania na świecie”⁷².

Pod koniec drugiej dekady XX wieku Hoover wykreował się na pierwszego waszyngtońskiego eksperta od zagrożeń anarchistycznych i komunistycznych; od tej pory w polu jego zainteresowań znajdowali się wszyscy wywrotowcy albo rzekomi wywrotowcy. Zarządził skandaliczne operacje Palmer Raids przeciwko ludziom podejrzanym o radykalizm. Ściągał Marcusa Garveya. Aresztował i deportował Emmę Goldman. W czasach wielkiego kryzysu FBI zaczęło być utożsamiane z rozwiązywaniem zagadek głośnych przestępstw. Agenci Hoovera złapali Machine Gun Kelly’ego, schwytali i zabili Johna Dillingera, zatrzymali podejrzanego o zamordowanie dziecka Lindberghów Brunona Hauptmanna. Podczas zimnej wojny funkcjonariusze FBI uczestniczyli w udanym polowaniu na Algiera Hissa oraz Ethel i Juliusa Rosenbergów.

Przez te wszystkie lata Hoover założył teczki niezliczonym osobom publicznym, gromadził wszelkie kompromitujące je plotki i legendy. Frank Sinatra, Harry Truman, Eleanor Roosevelt, Charles Lindbergh, Helen Keller – wydawało się, że Hoover ma na oku wszystkich. John F. Kennedy chciał się go pozbyć, ale żywił słuszne obawy, że cwany dyrektor ma na niego za dużo haków. Brat prezydenta Robert, który jako prokurator generalny przez jakiś czas nominalnie był zwierzchnikiem Hoovera, nazwał go człowiekiem niebezpiecznym i raczej psychopata: „Myślę, że cierpi na starcze zniedołężnienie i jest dosyć przerażający”⁷³.

Do momentu zamachu na JFK Lyndon Johnson przez chwilę się zastanawiał nad zwolnieniem Hoovera, ale przejrzał na oczy i podobno powiedział: „Wolę, żeby był w moim namiocie i sikał na zewnątrz, niż żeby był poza namiotem i sikał do środka”⁷⁴. 1 stycznia 1965 roku, kiedy Hoover skończył siedemdziesiąt lat, czyli osiągnął ustawowy wiek emerytalny, Johnson przedłużył jego urzędowanie na czas nieokreślony. „J. Edgar Hoover – oświadczył prezydent podczas którejś uroczystości – jest bohaterem dla milionów porządnych obywateli i postrachem dla złoczyńców. Pod jego przewodnictwem FBI stało się najwybitniejszym urzędem śledczym w dziejach”⁷⁵.

W innym miejscu Johnson nazwał Hoovera „opoką siły w mieście słabych ludzi”⁷⁶.

Hoover miał obsesję na punkcie Martina Luthera Kinga juniora od co najmniej dekady. Przez prawie całe lata sześćdziesiąte prowadził półoficjalną walkę z Kingiem i SCLC. Publicznie nazwał Kinga „najczęściej kłamiącą osobą w kraju”⁷⁷. Kiedy w 1963 roku tygodnik „Time” ogłosił Kinga „Człowiekiem Roku”, Hoover z oburzeniem napisał na marginesie notatki: „Musieli sięgnąć głęboko do kubła ze śmieciami, żeby to wymyślić”⁷⁸. W 1964 roku, kiedy rozeszła się wiadomość o Pokojowej Nagrodzie Nobla dla Kinga – najmłodszego jej laureata w całej historii – Hoover psioczył, że King zasługuje co najwyżej na „nagrodę dla największego chuligana na podwórku”⁷⁹. Kiedy King odwiedził w Watykanie papieża Pawła VI, Hoover nie posiadał się z wściekłości. „Jestem zdumiony – napisał na wycinku prasowym – że papież udzielił audiencji takiemu degeneratowi”⁸⁰.

Już na wczesnym etapie kariery Kinga Hoover nabrał przekonania, że przywódca ruchu praw obywatelskich jest narzędziem Sowietów, i pod koniec 1963 roku nakłonił prokuratora generalnego Roberta Kennedy'ego, by ten wyraził zgodę na podsłuchy i inne środki operacyjne w celu wytropienia rzekomych powiązań Kinga z komunistami. Całe lata wytężonego śledztwa i niezliczone roboczogodziny inwigilacji nie potwierdziły jednak podejrzeń Hoovera. Najbardziej obciążającym dowodem, który udało się zdobyć FBI, było to, że jeden z najważniejszych doradców Kinga, liberalny żydowski adwokat z Nowego Jorku Stanley Levison, w młodości był blisko związany z partią komunistyczną, ale później według wszelkich danych nie utrzymywał z nią żadnych kontaktów.

Agenci Hoovera dowiedzieli się również, że pewien związany z Amerykańską Partią Komunistyczną człowiek mający tę samą grupę krwi co King w odpowiedzi na publiczny apel w 1958 roku oddał krew po napaści na pastora, do której doszło podczas podpisywania książki w Harlemie; przez jakiś czas w notatkach FBI z upodobaniem rozwodzono się nad tym, że w żyłach Kinga dosłownie płynie komusza krew.

Na tym jednak kończyły się owoce wieloletniego, kosztownego śledztwa Hoovera, które miało na celu wykrycie czerwonych powiązań Kinga. Martin Luther King junior nigdy nie był komunistą i nie miał żadnych związków z Chinami ani Sowietami. Uganianie się przez FBI za tym mirażem było gigantycznym marnotrawstwem publicznych pieniędzy. Jak to kiedyś ujął King, „w ruchu wolnościowym jest tylu komunistów, ilu Eskimosów na Florydzie”⁸¹.

Wszystkie te lata szpiegowania przywódcy ruchu praw obywatelskich zaowocowały jednak innymi informacjami – takimi, które Hoover uznał za równie smakowite. FBI odkryło, że King ma słabość do kobiet. Agenci Hoovera dowiedzieli się o kilku kochankach Kinga i stwierdzili, że piękne dziewczyny miały zwyczaj włożyć mu do łóżka, kiedy kursował po kraju, a on nieszczęśliwie się bronił przed tymi awansami. Zbulwersowany Hoover usłyszał również, że King mówi o seksie sprośnym językiem, pije, pali i imprezuje do rana, a także opowiada świńskie dowcipy. FBI dysponowało kiepskiej jakości nagraniem, na którym rzekomo słychać, jak King uprawia seks w waszyngtońskim hotelu, używając przy tym dosyć wulgarnego języka.

Hoover był przerażony, a jednocześnie podniecony tym, co przeczytał – nazwał Kinga „kocurem z obsesyjnymi i zboczonymi ciągotami seksualnymi”⁸². Pewien urzędnik FBI napisał, że kiedy Hoover czytał raporty wywiadowcze na temat Kinga, „mrużył oczy i wydymał usta”⁸³. Purytański Hoover „uważał seks pozamałżeński za dowód na degenerację moralną – w latach sześćdziesiątych, zanim Hollywood zaczęło lansować rozwiązłość jako uszlachetniającą, opinię tę podzielało wielu Amerykanów”⁸⁴.

Robert Kennedy, któremu seksualne ekscesy nie były obce, stwierdził: „Gdyby społeczeństwo dowiedziało się tego, co wiemy o poczynaniach Kinga, byłby skończony”⁸⁵. Hoover oczywiście próbował się podzielić z narodem swoim coraz grubszym dossier Kinga; jego podwładni regularnie przekazywali pikantne szczegóły prasie, kongresmenom, prezydentowi Johnsonowi, a nawet zagranicznym dyplomatom. Media nie połknęły jednak tej przynęty i etykiетка rozpustnika nie przylepiła się do Kinga.

W Hooverze budziło to niemałą frustrację. „Nie rozumiem, dlaczego nie jesteśmy w stanie dotrzeć do społeczeństwa z tymi faktami – napisał w jednej z notatek. – Nie możemy nawet pokazać naszego dorobku. Nigdy nie podejmujemy agresywnych działań”⁸⁶.

W końcu jednak FBI podjęło agresywne działania. Funkcjonariusz FBI William C. Sullivan, prawdopodobnie szef Wydziału Operacji Wywiadowczych, wysłał Kingowi anonimową paczkę

z „największymi przebojami”, czyli zestawieniem najbardziej kompromitujących nagrań, oraz listem zachęcającym pastora do popełnienia samobójstwa. „Zajrzyj w swoje serce, King. Jesteś duchownym i dobrze o tym wiesz [...]. Jesteś wielkim oszustem i podłym złoczyńcą. King, twój koniec jest bliski, zresztą wszystkich oszustów to czeka. Mogłeś być naszym największym przywódcą. Ale jesteś skończony. Wszystkie te doktoraty *honoris causa*, Nagroda Nobla (co za ponura farsa) i inne nagrody cię nie uratują. Powtarzam: jesteś skończony, King. Społeczeństwo amerykańskie [...] dowie się, kim naprawdę jesteś – złoczyńcą, nikczemną bestią. King, zostało ci już tylko jedno. Wiesz, o co chodzi [...]. Masz tylko jedno wyjście. Lepiej to zrób, zanim naród się dowie, z jakim obleśnym, zboczonym krętaczem ma do czynienia”⁸⁷.

Przesyłka zrobiła na Kingu tym większe wrażenie, że otworzyła ją Coretta. Jednak liściki i towarzyszące mu nagrania – w większości niezrozumiałe – nie wywołały pożądanego rezultatu. Jeśli już, to wzmocniły małżeństwo Kinga i jego determinację, żeby się nie poddawać w obliczu zmasowanej – jak sobie teraz uświadomili z Corettą – akcji FBI mającej na celu zniszczenie przywódcy ruchu praw obywatelskich.

„Chcą mnie złamać – powiedział do znajomego. – To, co robię, to sprawa wyłącznie między mną a moim Bogiem”⁸⁸. King postanowił kontratakować. „Hoover jest stary i niedołącznieje – powiedział. – Trzeba w niego uderzyć ze wszystkich stron”⁸⁹.

Zachodnie Dixie [5]

Na początku zimy 1967 roku Martin Luther King był coraz bardziej zaniepokojony nową sytuacją polityczną: o prezydenturę ubiegał się polityk, który od wielu lat był jego zmorą – i zanotował niedawno zaskakującą zwyżkę w sondażach.

Jako kandydat powołanej przez siebie samego Amerykańskiej Partii Niezależnej George C. Wallace jeździł po kraju niemal równie niestrudzenie jak King i od wybrzeża do wybrzeża podburzał swój robotniczy elektorat. Najlepsi dziennikarze i komentatorzy polityczni w kraju mieli używanie, relacjonując skandaliczne, ale zawsze barwne wystąpienia demagoga z Alabamy. Wallace'a nazywano Cyceronem dla taksówkarza⁹⁰. Mówiono, że ma w sobie tyle żółci, że „gdyby się pogryzł, umarłby na wściekliznę”⁹¹. Z kolei Marshall Frady napisał o nim: „Arogancka sierota amerykańskiej polityki [...] ponury dzoker w talii, którego zbójce kandydatura w dużym stopniu odzwierciedla potencjał faszyzmu w Ameryce”⁹².

Ludzie uwielbiali jego pyszałkowane poczucie humoru, prowincjonalny zaśpiew w głosie czy potrząsanie pięścią, kiedy się porządnie nakręcił. Wydawało się, że Wallace, dawny bokser startujący w zawodach Golden Gloves, walczy z siłami, którym nikt inny nie ma odwagi się postawić. Na wiecach w całym kraju wyrzucał z siebie litanie zawsze tych samych sformułowań, obliczonych na wywołanie u słuchaczy rechotu satysfakcji. Obiecał, że kiedy zdobędzie Biały Dom, wszystkich tych „brodatych bitników biurokratów” wrzuci do Potomacu razem z ich aktówkami. Pomstował na „liberalne płaczki” i „uzalających się nad cudzym losem socjologów”. Wallace lubił powtarzać, że zawsze, kiedy na ulicach amerykańskich miast dzieje się coś złego, takiego jak zamieszki w Watts, można liczyć na to, że „jajogłowi jakoś to wytłumaczą, będą ubolewali nad tym, że ci biedni protestujący nie jedli arbuźów, gdy mieli dziesięć lat”⁹³.

Wallace uważał, żeby nie przesadzić z rasistowską retoryką, ale konsekwentnie głosił „prawa stanów”^[6] i segregację rasową, a także mówił, że zmiany wprowadzone na skutek działań ruchu praw obywatelskich należy uchylić. Kiedy przemawiał do szczególnie przychylnych gremiów, postulował, żeby zabronić czarnym zasiadania w ławach przysięgłych, i przekonywał: „Murzyn dalej mieszkałby w afrykańskim buszu, gdyby biali ludzie z tego kraju nie wzniesli swoich sztandarów”⁹⁴. Ustawy dotyczące praw obywatelskich, które prezydent Johnson przepchnął przez Kongres, Wallace nazwał „nożem zamachowca wbitym w plecy wolności”.

„Niech mnie nazywają rasistą – powiedział dziennikarzowi w Cleveland. – To nie ma znaczenia. Cała kupa ludzi w tym kraju myśli tak samo jak ja i dzięki kwestii rasowej wygram te wybory”⁹⁵.

Sprawując urząd gubernatora, George Wallace od samego początku głosił, że najważniejszym celem jego działań będzie biała supremacja – tylko z rzadka ubierał tę kwestię w eufemistyczny język praw stanów. W przemówieniu inauguracyjnym, wygłoszonym w 1962 roku w Montgomery na żółtej gwieździe wyznaczającej miejsce, w którym Jefferson Davis został

zaprzysiężony jako prezydent Konfederacji, Wallace wygłosił tyradę napisaną przez zawodowego autora przemówień Asę Cartera, znanego członka Ku Klux Klanu i antysemitę. „W imieniu najwybitniejszych ludzi, którzy kiedykolwiek stąpali po tej ziemi – powiedział Wallace – rysując linię w pyłe, rzucam rękawicę tyranii i mówię: segregacja dzisiaj, segregacja jutro, segregacja na wieki!”

Słowa te sprawiły, że zyskał ogólnokrajowy rozgłos, a podjęte kilka miesięcy później działania na Uniwersytecie Alabamy oznaczały pójście pod prąd historycznego kursu obranego przez rząd federalny. 11 czerwca 1963 roku, w obstawie gwardii stanowej, fizycznie uniemożliwił dwóm czarnym studentom wejście do sali wykładowej na Uniwersytecie Alabamy w celu zapisania się na zajęcia. To „staniecie w drzwiach szkoły” okazało się oczywiście nieskuteczne – kierowany przez Kennedy’ego Departament Sprawiedliwości wysłał dwóch funkcjonariuszy, którzy nakazali Wallace’owi odblokowanie wejścia. Dzięki tej akcji Wallace stał się jednak najbardziej słyszalnym i widzialnym postrachem ruchu praw obywatelskich.

W latach sześćdziesiątych wielokrotnie kierował swój gniew na jednego człowieka: Martina Luthera Kinga juniora – w niemałej części dlatego, że w rodzimym stanie gubernatora King odniósł swoje najbardziej satysfakcjonujące zwycięstwa. Wallace obrzucił laureata Nagrody Nobla wszelkimi możliwymi wyzwiskami poza „antychrystem”, ale gubernator Alabamy potrzebował Kinga, rozumiał bowiem, że wielkie batalie polityczne tylko przez jakiś czas mogą się rozgrywać na płaszczyźnie abstrakcyjnej, a potem muszą zejść na poziom osobisty.

Kalumniom i epitetom rzucanym przez Wallace’a z pewnością nie można odmówić dynamizmu i rozmachu. Nazwał Kinga „komunistycznym agitatorem”, „uzurpatorem” oraz „oszustem, który organizuje marsze, idzie do więzienia i tak dalej, ale ogólnie pławi się w luksusach”⁹⁶. Zdarzyło mu się powiedzieć, że King spędza większość czasu na „jeźdzeniu wielkimi cadillacami i paleniu drogich cygar”, a także konkurowaniu z innymi czarnymi pastorami o to, „kto pójdzie do łóżka z większą liczbą Murzynek”. A przecież, ku oburzeniu i konsternacji Wallace’a, rząd federalny konsekwentnie stawał po stronie Kinga. Władze w Waszyngtonie, mówił gubernator, „chcą od nas, żebyśmy oddali stan Kingowi i jego prokomunistycznej organizacji”⁹⁷.

King wielokrotnie nie pozostawał mu dłużny. W wywiadzie udzielonym w 1963 roku Danowi Ratherowi nazwał Wallace’a „najbardziej niebezpiecznym rasistą w dzisiejszej Ameryce [...]”. Nie jestem pewien, czy on wierzy w te wszystkie pełne jadu bzdury, które wygłasza, ale jest dostatecznie sprytny, aby przekonać innych, że wierzy”. Kiedy bojówkarze segregacjoniści we wrześniu 1963 roku podłożyli bombę w kościele baptystycznym przy Szesnastej Ulicy w Birmingham, co spowodowało śmierć czterech dziewczynek, które brały udział w zajęciach szkółki niedzielnej, King wysłał do gubernatora miażdżący telegram, w którym w gruncie rzeczy oskarżył go o morderstwo, pisząc: „Ma Pan na rękach krew naszych małych dzieci”⁹⁸. Dwa lata później, kiedy King przemaszerował z Selmy do Montgomery i pod siedzibą władz Alabamy wygłosił triumfalną przemowę, zaadresował swój komunikat bezpośrednio do urzędu gubernatora. Ogłosił, że segregacja leży na łożu śmierci i pozostaje tylko pytanie, „jak bardzo Wallace wywinduje koszty pogrzebu”⁹⁹.

Przy wszystkich tych potyczkach King przyznał się do przewrotnego podziwu dla talentów oratorskich Wallace’a. „On ma tylko cztery przemówienia – powiedział kiedyś o gubernatorze – ale je dopracowuje i dopieszcza, dzięki czemu wszystkie są swoistymi perełkami”¹⁰⁰.

A teraz stała się rzecz niewiarygodna: ten neokonfederat ubiegał się o prezydenturę, co głęboko zaniepokoiło Kinga. Pastor powiedział do pewnego dziennikarza telewizyjnego, że jego zdaniem kandydatura Wallace'a „tylko wzmocni reakcyjne siły w naszym kraju i podsyć szowinizm, nienawiść, a nawet przemoc. Myślę, że rozbudzi w naszym narodzie wiele złych sił”.

Jednak kampania Wallace'a nabierała rozpędu – od czasów Teddy'ego Roosevelta, który w 1912 roku startował jako szef nowej Bull Moose Party, żaden niezależny kandydat nie miał tak wysokich notowań. Komentatorzy przewidywali, że chociaż Wallace jest bez szans na zwycięstwo, może zrujnować wybory, zmuszając Izbę Reprezentantów do tego, żeby po raz pierwszy od 1825 roku wybrała prezydenta. Notowania gubernatora Alabamy konsekwentnie rosły, z dziewięciu do dwunastu, a potem do czternastu procent. Jak oceniło czasopismo „Life”: „Zarówno na północy, jak i na południu Wallace najwyraźniej dobrze się wpisuje w nastroje niezadowolonia, które panują w pewnych odłamach społeczeństwa”¹⁰¹.

Jesienią 1967 roku walka Wallace'a o prezydenturę skupiła się na Kalifornii. W listopadzie rozpoczął zbieranie podpisów przed czerwcowymi prawyborami, ponieważ kalifornijskie prawo wyborcze było pod tym względem szczególnie restrykcyjne i od kandydata nienależącego do zarejestrowanej partii wymagało zebrania sześćdziesięciu sześciu tysięcy podpisów. Wiązało się to z wielkim wysiłkiem organizacyjnym i finansowym, ale doradcy Wallace'a uważali, że Kalifornia, najludniejszy i najbardziej wpływowy stan Ameryki, stanowi pierwszy newralgiczny test dla kampanii gubernatora, która znajdowała się dopiero w początkowej fazie.

Wallace przeniósł zatem większość swojego sztabu do Los Angeles i niebawem do Kalifornii przyjechały setki jego zaangażowanych zwolenników z Alabamy. W nowo otwartej siedzibie Amerykańskiej Partii Niezależnej w Los Angeles armia mówiących z południowym akcentem mieszkańców miast Mobile, Tuscaloosa czy Birmingham zaczęła wydzwaniać do potencjalnych wyborców. Legislatorzy, wysocy funkcjonariusze policji, urzędnicy i inni pracownicy państwowi z Alabamy, którzy bynajmniej nie mieli tego w zakresie obowiązków, przyjeżdżali na Zachodnie Wybrzeże, żeby wesprzeć gubernatora. Wallace przemierzał Kalifornię, przemawiał na setkach wieców i kwest, ochraniający przez buńczucznych osiłków, w których z reguły wcielali się nieumundurowani członkowie gwardii stanowej Alabamy.

Można było odnieść wrażenie, że Stan Niedźwiedziej Flagi stał się Zachodnim Dixie. „Stolicą Alabamy nie jest Los Angeles – napisał pewien dziennikarz polityczny na łamach »Wall Street Journal« – ale można się łatwo pomylić”¹⁰².

Przeprowadzka władz z Montgomery do Los Angeles wyglądała tym bardziej surrealistycznie, że z formalnego punktu widzenia Wallace nie był gubernatorem Alabamy. Ponieważ zgodnie z obowiązującym w tym stanie prawem urząd gubernatora można sprawować tylko raz, w 1966 roku, po zakończeniu pierwszej kadencji, mimo ogromnej popularności Wallace był zmuszony ustąpić. Potem jednak przeżył olśnienie i uświadomił sobie, że przepisy stanowe nie zabraniają ubiegać się o urząd gubernatorski jego żonie.

W 1967 roku pierwsza dama Lurleen Wallace, powszechnie lubiana tradycjonalistka z Południa, która wszystko miała na swoim miejscu, lecz prawie w ogóle nie interesowała się polityką, objęła najwyższy urząd stanowy – przynajmniej na papierze. Wallace oficjalnie stał się „pierwszym gentlemanem”, lecz bardzo niewielu mieszkańców Montgomery miało jakiegokolwiek wątpliwości co do tego, kto naprawdę kieruje sprawami stanu. Był to, eufemistycznie mówiąc, niekonwencjonalny układ, lecz wyborcy z Alabamy podziwiali swojego zawsze pomysłowego

gubernatora za wsadzenie na urząd swojej marionetki – jeden z najbezpieczniejszych numerów z „politycznym brzuchomówstwem” w dziejach Ameryki, jak to później nazywano¹⁰³.

Lurleen Wallace od czasu do czasu wyprawiała się do Kalifornii, żeby stać u boku męża podczas wieców, ale była poważnie chora i lekarze odradzali jej nadmierny wysiłek. Niedawno zdiagnozowano u niej raka jelita grubego i wycięto guza wielkości jajka, a teraz przechodziła chemioterapię w szpitalu w Teksasie. Niknęła w oczach. Lekarze dawali jej kilka miesięcy życia.

Wallace, pogrążony w kampanijnym amoku, starannie ukrywał powagę sytuacji przed swoimi słuchaczami w Alabamie i Kalifornii – i dalej wiecował.

Absolwent

Eric Galt z dyplomem w ręku pozował fotografowi do zdjęcia. W Międzynarodowej Szkole Barmanów przy Sunset Boulevard świętowano zakończenie „roku szkolnego”. Galt, w pożyczonym fraku i muszce, stał w miękko oświetlonym pokoju, który udawał salę bankietową, z minimalistycznymi nowoczesnymi meblami i puchatą wykładziną dywanową pochłaniającą nieustanny brzdęk szklaneczek i kieliszków za barem szkoleniowym.

To tutaj, pod kierunkiem Tomasa Reyesa Lau, mężczyzny ze starannie przystrzyżonym wąsem, Galt i jego koledzy nauczyli się sztuki barmańskiego, zgłębiając chemiczne tajemnice koktajli Rusty Nails, Mai Tai, Harvey Wallbanger, Sloe Gin Fizz i Singapore Sling. Podczas sześciotygodniowego kursu, który kosztował dwieście dwadzieścia dolarów w gotówce, Galt opanował przepisy na co najmniej sto dwanaście koktajli.

Pan Lau, nadskakujący, pedantyczny człowiek, który mówił z latynoskim akcentem, był pod wrażeniem Galt i uważał, że jego uczeń doskonale by się sprawdził w branży gastronomicznej. „Sympatyczny facet, bardzo inteligentny, spokojny i powściągliwy – oceniał. – Doskonale się nadawał do tej dziedziny usług”¹⁰⁴. Galt mówił kolegom ze szkoły, że pracował jako „kuchcik” na parowcu pływającym po Missisipi, ale teraz chciał się ustatkować – a któregoś dnia otworzyć w Los Angeles knajpę.

Lau znalazł mu pracę barmana, ale ku jego zdziwieniu Galt odrzucił propozycję. Wytłumaczył, że niedługo wyjeżdża z miasta.

– Muszę się zobaczyć z bratem – stwierdził. – Nie miałoby sensu, żebym brał robotę na dwa albo trzy tygodnie. Gdy wrócę, znajdę sobie stałą pracę. – Powiedział, że jego brat ma knajpę w stanie Missouri.

Fotograf nastawiał aparat. Galt stał koło Lau, który promieniał z dumy z nowego absolwenta. Galt nerwowo patrzył w obiektyw, skoncentrowany na ruchach fotografa. Mimo że sam bez powodzenia próbował swoich sił po drugiej stronie obiektywu, a podczas pobytu w Puerto Vallarta niemal obsesyjnie robił sobie zdjęcia portretowe, nie znosił być fotografowany przez innych, nie znosił całego tego nużącego rytuału – bezsensownego nieruchomienia, poczucia, że na chwilę schwytano go w pułapkę, świadomości, że jego wizerunek znajdzie się w cudzych rękach.

Galt zeszywniał, nerwowo poruszał rękami, zaciskał usta i nieznacznie przechylił głowę. A potem zrobił coś dziwnego: w ostatniej chwili zamknął oczy i otworzył je, dopiero kiedy nabrał pewności, że zdjęcie zostało zrobione.

W Puerto Vallarta Eric Galt zaznał odrobiny beztroskiej wolności, ale te kilka miesięcy spędzonych w Los Angeles przyniosło ze sobą coś głębszego i bardziej satysfakcjonującego. Przybył tam 19 listopada i szybko wciągnął się w wir niespokojnej energii tego miasta. Ostatecznie zamieszkał w hotelu Saint Francis przy Hollywood Boulevard, w pokoju z odrapanymi ścianami za osiemdziesiąt pięć dolarów miesięcznie¹⁰⁵. Na parterze budynku

z jasnej cegły znajdował się bar, zadymiona speluna o nazwie Sultan Room, gdzie Galt chętnie spędzał czas na oglądaniu w telewizji meczów bokserskich albo grze w bilard na podniszczonym starym stole i popijaniu drinków za sześćdziesiąt centów. Kiedy się znudził, jechał swoim mustangiem do centrum, słuchając muzyki country z samochodowego odtwarzacza – szczególnie lubił Johnny’ego Casha. Czerpał otuchę ze świadomości, że gdyby wpadł w jakieś tarapaty, nadal ma schowany pod siedzeniem naładowany „uspokajacz”.

W ciągu ostatnich kilku miesięcy Galt pełnymi garściami korzystał z tego, co południowa Kalifornia pod koniec lat sześćdziesiątych miała do zaoferowania głodnym wrażeń kawalerom: samorealizacji, alternatywnych stylów życia, transcendencji, przygodnego seksu, narkotyków. Miał szybki samochód z ośmiocylindrowym silnikiem i jaskrawoczerwonym wnętrzem, okna oblepił naklejkami z meksykańskim napisem „*Turista*”, reklamując się jako globtroter. Dysponował pewnymi środkami finansowymi, najprawdopodobniej pochodzącymi z rozmaitych włamań i przemytu, a także ze sprzedaży przywiezionej z Meksyku marihuany. Niewykluczone, że obrabował również bank w Illinois. Kiedy naszała go ochota na seks, wynajmował „egzotyczne tancerki” spotkane w klubach przy Hollywood Boulevard. Wiele wskazuje na to, że zażywał amfetaminę, która w długie samotne noce pomagała mu skupić myśli¹⁰⁶.

W pokoju hotelowym włączał radio tranzystorowe Channel Master i zasiadał z nosem w książkach – był fanem kryminałów i powieści Iana Fleminga o Jamesie Bondzie. Czytał do późna w nocy, a iskrzący neon hotelowy bombardował okno jego pokoju 403 odłamkami mandarynkowego światła¹⁰⁷. Usilnie, niemal desperacko, pracował nad sobą, jakby zbliżało się jakieś ważne rozstrzygnięcie w jego życiu. Chciał zrobić z tym życiem coś sensownego i znaleźć jakiś rodzaj szczęścia. Nadal snuł marzenia o przemyśle porno – w Los Angeles kupił podręczniki seksualne i japońskie chromowane kajdanki, a nawet korespondował z lokalnym klubem dla balangowiczów – ale po wyjeździe z Puerto Vallarta podchodził do tego tematu z mniejszym entuzjazmem. Zapisał się natomiast na korespondencyjny kurs ślusarski oferowany przez firmę z New Jersey, wymyślił sobie bowiem, że zostanie fachowym włamywaczem, kasiarzem wirtuozem. Brał lekcje tańca, czytał poradniki, a nawet skonsultował się z chirurgiem plastycznym w kwestii kilku niewielkich poprawek. A teraz został „absolwentem” szkoły dla barmanów.

Dla Erica Galta był to okres samorozwoju, twórczego i wszechstronnego, choć trochę chaotycznego. Przypominał puste naczynie, do którego duch czasów wrzucał różne nowinki. Wypróbowywał różne style życia, mody i wyglądy. Zaczął się zastanawiać, czy nie wyjechać na stałe za granicę, może do Nowej Zelandii, Ameryki Południowej albo południowej Afryki. Wspominał o założeniu sierocińca dla zaniedbywanych dzieci – złe traktowanie dzieci było jego czułym punktem, temat ten zawsze budził w nim zauważalny odruch współczucia. Kiedy indziej znowu marzył o pracy marynarza albo wykorzystaniu swoich nowo nabytych kwalifikacji barmańskich do otwarcia pubu w Irlandii. W życzliwej, wybaczącej anonimowości Los Angeles wczesną wiosną 1968 roku Galt miał poczucie, że może zrobić ze swoim życiem, co tylko zechce.

Bez wątplenia w dużej mierze wynikało to z atmosfery panującej w Mieście Aniołów, energicznej, młodej metropolii gwiazdek filmowych i kosmopolitów, poprzecinanej autostradami, eksplodującej milionami przelotnych mód, buchającej stalagmitami lustrzanego szkła, z ruchliwym lotniskiem, nad którym górowała futurystyczna wieża podobna do latającego spodka na czterech nogach. Lew Alcindor udoskonalał wsady w UCLA, a Elgin Baylor i Jerry

West robili wielką karierę w Lakersach. The Doors nagrywali swój trzeci album studyjny *Waiting for the Sun*. Rosey Grier właśnie skończył swój trzeci sezon w zespole Rams jako jeden z „Przerazającej Czwórki”, być może najlepszej linii obrony w historii futbolu amerykańskiego. Do popularnych seriali telewizyjnych kręconych w Los Angeles należały *Laugh-In*, *Gunsmoke*, *Star Trek* i *The Beverly Hillbillies*. Kiedy Galt nabierał wprawy w posługiwaniu się szejkerem i kieliszkami do wódki, na ekrany kinowe wszedł film, który doskonale podsumowywał panujący w Ameryce niespokojny nastrój kontestacji. Film nosił tytuł *Absolwent*.

Eric Starvo Galt miał czterdzieści lat, nosił się schludnie, skórę miał gładką i zdrową, ale bladą jak brzuch ryby, bo opalenizna nabyta na plażach Puerto Vallarta już dawno zeszała. Pożerał ogromne ilości aspiryny i uskarżał się na bóle głowy, bezsenność i różne nieokreślone dolegliwości. Miał przyspieszone tętno i odczuwał dziwne bóle w klatce piersiowej. Mimo że badania u okulisty nie wykazały żadnych wad wzroku, czasem się martwił, że ślepie. Ciągłe zmieniał zestaw medykamentów, dostrajając swój reżim samoleczenia. Zazywał witaminy i różne suplementy. Był chudawy, ale trzymał formę dzięki regularnej gimnastyce i ćwiczeniom z hantlami, które niedawno zakupił¹⁰⁸.

Galt kupował tanie ubrania, ale starannie je dobierał. Mokasyny z udawanej skóry aligatora pastował na wysoki połysk. Dbał, żeby jego uszyty na zamówienie garnitur zawsze był wyprasowany, a każdej niedzieli po południu zanosił rzeczy do pralni na Hollywood Boulevard, parę kroków od hotelu.

Podobnie traktował kwestie higieny i był za pan brat z lusterkiem. Zawsze chodził gładko ogolony, miał równo obcięte paznokcie i kruczoczarne włosy zaczesane do tyłu na brylantynie, przez co połyskiwały w świetle jak plama benzyny w kałuży. Schludność i higiena napawały go szczególną dumą. Chociaż nocował w nędznych kwaterach, przesiadywał w najgorszych spelunach i czuł się swobodnie wśród wyjątkowo szemranych postaci, czerpał satysfakcję ze świadomości, że w jakimś sensie wyrósł ponad otaczającą go hołotę.

Przy wszystkich tych staraniach Galt miał kompleksy na punkcie swojego wyglądu. Wydawał się człowiekiem dziwnie płochliwym, towarzystwo innych budziło w nim zakłopotanie i ciężko było go rozgryźć podczas rozmowy. Sprawiał wrażenie kombinatora zaprzątniętego jakimiś podejrzanymi przedsięwzięciami, których nie chce ujawnić. Większość ludzi traktowała to jako sygnał, żeby się z nim nie zadawać.

Ci, którzy mimo wszystko z nim rozmawiali, mieli kłopoty ze zrozumieniem jego słów, ponieważ mówił nierytmicznie, zdawkowo i bełkotliwie, tak dziwnie układał wargi, jakby miał usta pełne ostrych kamieni. Ludziom sprawiało też trudność odgadnięcie, skąd pochodzi, na podstawie jego akcentu. Była to zaciągająca wymowa wiejskiego Illinois, a dokładniej doliny rzeki Missisipi, gdzie wychowywał się w okresie wielkiego kryzysu w kolejnych biednych domach. Był to akcent Saint Louis, miasta, w którym z przerwami mieszkała jego rodzina i które włóczęga Galt uważał za swój dom.

Na pewne rzeczy – takie jak lekcje tańca, szkoła dla barmanów czy przenośny telewizor Zenith – nie szczędził pieniędzy, ale tak naprawdę był sknerą. Cerował ubrania, przyszywał guziki do wystrzępionych koszul, pił najtańsze piwo, nocował w najnędzniejszych hotelach, rzadko dawał napiwki w restauracjach i wszystko starał się kupować na wyprzedazach. Jeżeli już jadł poza domem, to najczęściej zamawiał ociekające tłuszczem hamburgery w *drive-in*, ale z reguły posilał się w swoim pokoju, przede wszystkim sucharami, konserwami i zupami w proszku, który wsypywał do wody zagotowanej w kubku przy użyciu grzałki. „Był skąpy jak

Szkot”, powiedział o nim pewien znajomy. Jego wydatki trochę przekraczały pięć dolarów dziennie.

Równie oszczędny był w słowach i myślach. Jego emocje pozostawały zagadką. Rzadko gestykulował i prawie nigdy się nie śmiał. Lubił pozostawiać ludzi w niepewności, a kiedyś następująco sformułował swoją osobistą dewizę: „Niech nie wie lewica, co robi prawica”. Innym razem stwierdził z dumą, że od dwunastego roku życia nigdy się nie rozpląkał.

Jego relacje seksualne były przelotne i powierzchowne. Mawiał, że kobiety są po to, żeby je wykorzystać i zapomnieć. Nigdy się nie ożenił i nigdy nie był zakochany – nie znosił słowa „miłość”. „Mężczyzna nie powinien gadać o miłości i innych bzdurach. Dla mnie to trochę dziwne. Kobiety załamują się, płaczą i tak dalej”¹⁰⁹. Tak samo jak w Puerto Vallarta korzystał z usług prostytutek. Według jednego ze znajomych jego preferowaną rozkoszą było „polerowanie druta”¹¹⁰. W jego życiu nie było romantyzmu. „Nikommu nie można za bardzo ufać, zwłaszcza kobiecie – napisał później. – Żadna kobieta nigdy się mną szczególnie nie zainteresowała; zresztą ożenek utrudniły mi podróże”.

Ci, którzy rozmawiali z Galt, często z konsternacją uświadamiali sobie, że w gruncie rzeczy nie przekazał żadnych konkretnych treści – i że rzadko odwzajemniał spojrzenie. Nawet momentu poznania nie dało się zaliczyć do przyjemności – wyciągnięta na powitanie dłoń była wiotka i bierna, a potem Galt odwracał głowę i patrzył w dół albo na boki, więc trudno było go ocenić. Przypominał kałamarnicę, która otacza się chmurami przesłaniającego wszystko atramentu, jakby chciał się odgradzić od ludzi i nie pozwolić im odgadnąć, kim jest i co myśli.

Kursanci z National Dance Studio, gdzie Galt przez kilka miesięcy brał lekcje rumbi i cza-czy, szybko zauważyli jego tajemniczą milkliwość. Do szkoły tej, przy Pacific Avenue w Long Beach, przychodzili głównie ludzie samotni, którzy w intymnych warunkach tańca parami chcieli poznać kogoś bliżej. Galt – przeciwnie, nie spoufalał się z innymi kursantami. Zależało mu tylko na tym, żeby nauczyć się kroków. Powiedział, że być może niedługo wyjedzie do latynoskiego kraju. „Latynosi mnie pociągają – stwierdził. – Są bardzo swobodni. Nie przejmują się zbyt konwenansami i przepisami”¹¹¹. Dodał jednak, że „stosunki towarzyskie są łatwiejsze, kiedy coś wiesz o latynoskich tańcach”. Musiał się nauczyć kroków, ale był sztywny i niezdamny. Zgłębił technikę rumbi, lecz nie jej duszę.

Galt był szczególnie skrupowany wobec swoich partnerek i nie dawał się wciągać w niewinne flirty. Trzymając kobiety w ramionach, drżał wstydliwie i patrzył w dół.

„Był nieśmiały – powiedział jeden z instruktorów tańca. – Rozmawiałem z nim kiedyś i próbowałem przełamać lody. Kiedy rozmowa zesłała na osobiste tematy, zamilkł”. Potwierdził to kierownik National Dance Studio Rod Arvidson: „Był człowiekiem wycofanym, a tacy często *potrzebują* nauczyć się tańczyć”¹¹².

Prawie wszystko, co dotyczyło Erica Galta, wydawało się nieciekawe i banalne, szczegóły jego wyglądu lokowały się gdzieś w pobliżu statystycznej średniej: przeciętny wzrost, przeciętna waga, przeciętna budowa ciała, przeciętny wiek. Łączny efekt tych wszystkich pospolitych cech sprawiał, że szybko się o nim zapominało.

Ale jeżeli ktoś poświęcił trochę czasu na przeanalizowanie tego człowieka, pewne przymioty zaczynały się wyłaniać jak wcześniej niewidoczne obrazy wywoływane przez odczynniki chemiczne w ciemni. Można było na przykład dostrzec krzywy uśmiech na jego twarzy, subtelny, ale prawie zawsze obecny, ironiczny i zdający się sugerować, że Galt wie coś, czego nigdy nie powie. Były też maleńki dołeczek na policzku, odrobina siwizny na skroniach, gęste

kępy czarnych włosów na przedramionach i niewielka blizna na środku czoła. Był ciężki, człapiący, lekko utykający krok typowy dla znacznie starszych ludzi. Były różne nerwowe tiki: częste ciągnięcie się za lewe ucho, nienaturalny chichot, natrętny zwyczaj ciągłego przesuwania kieliszka wódki – do przodu i do tyłu – po lakierowanym blacie baru.

Skutkiem tego wszystkiego większość ludzi, która spotkała Erica Starva Galt, uważała go za dziwaka, jeśli w ogóle go zauważyła, kipiącego ambicjami przeciętniaka, napiętego i czujnego, prawdopodobnie paranoika – i totalnego samotnika.

Przez jakiś czas po przybyciu do Los Angeles Eric Galt chodził do psychologa klinicznego doktora Marka O. Freemana. Pierwsza wizyta odbyła się późnym popołudniem w poniedziałek 27 listopada 1967 roku. Galt, jak zawsze schludnie ubrany, wszedł do gabinetu Freemana w Beverly Hills około piątej. Doktor Freeman zapisał w swoim zeszycie, że nowy pacjent chce „przezwyciężyć nieśmiałość, zyskać większą pewność siebie w sytuacjach towarzyskich i nauczyć się autohipnozy, żeby móc się odprężyć, zasypiać i lepiej zapamiętywać”¹¹³.

Zaczęli rozmawiać i doktor Freeman wyrobił sobie pewien pogląd na temat tego człowieka. Galt naiwnie sądził, że hipnoza jest formą komunikacji oczami, wysyłaniem jakichś tajemniczych fal. „Hołdował dawnym wyobrażeniom o hipnozie jako rodzaju władzy – powiedział Freeman. – Wierzył, że można spojrzeć komuś w oczy, zahipnotyzować go i wydawać mu polecenia”¹¹⁴.

Galt przywiązywał wielką wagę do reklamowanych korzyści zdrowotnych hipnozy – i bardzo liczył na to, że nauczy się jej poddawać. Z doktorem Freemanem spotkał się łącznie sześć razy w listopadzie i grudniu 1967 roku. Freeman powiedział później, że Galt „zrobił na nim korzystne wrażenie”. Sesje wydawały mu się owocne i miał z pacjentem dobry kontakt.

„Był dobrym uczniem – powiedział. – Ten człowiek naprawdę chciał usprawnić swój umysł. Miał zamiłowanie do czytania i nie walczył z hipnozą. Pokazywałem mu, jak się jej poddawać; chwilę później leżał na plecach na kanapie i zaczynał mówić. Nauczyłem go skupiać wzrok, odprężyć ciało i otwierać się na sugestię. Przekazałem mu mnóstwo pozytywnych uczuć na temat jego kompetencji”¹¹⁵. Galt nie zdradzał żadnych „głębokich, mrocznych tajemnic”, ale Freeman zauważył, że na co najmniej jednym spotkaniu ujawnił „głęboką antypatię do Murzynów”.

Potem, z nieznanых przyczyn, Galt zakończył terapię. Jednemu ze znajomych powiedział, że Freeman „w ogóle się nie zna na hipnozie”. Odwołał ostatnią wizytę, wyjaśniając psychologowi, że brat znalazł mu pracę marynarza w Nowym Orleanie. Od tej pory Freeman nie miał kontaktu z Erikiem Galtem.

To, co ukradkowe, jest zaraźliwe

Martin Luther King miał nieprzejednanego wroga w postaci J. Edgara Hoovera, ale także nie mniej niezłomnego sojusznika, który pracował w tym samym co szef FBI budynku Departamentu Sprawiedliwości: prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych Ramseya Clarka. Ambitny idealista, żołnierz piechoty morskiej z dyplomem magistra i doktor praw Uniwersytetu w Chicago, czterdziestoletni Clark był wysokim, szczupłym mężczyzną z płomiennymi oczami i gęstą czupryną czarnych włosów. Od dawna darzył Kinga podziwem. Uważał go za „wodza krucjaty moralnej, siłę jednoczącą, przekonujący głos domagający się sprawiedliwości społecznej i głosiciela chyba najważniejszej lekcji, jaką może sobie przyswoić społeczeństwo masowe – idei zmiany bez użycia przemocy”¹¹⁶.

Jako zwierzchnik amerykańskich organów ścigania Clark od dawna obawiał się, że ktoś może zabić Kinga. Od wielu lat jego urząd badał doniesienia o rzekomych planowanych zamachach i pogłoski o wyznaczeniu nagrody za głowę Kinga. Dwa lata przed omawianymi wydarzeniami, wtedy jeszcze jako zastępca prokuratora generalnego, pojechał do Alabamy, żeby nadzorować marsz z Selmy do Montgomery, i osobiście sprawdził odcinki drogi, na których mógłby się ukryć zamachowiec. Miał silne przeczucie, że King może zostać zastrzelony w Selmie, oparte na twardych danych wywiadowczych: FBI zidentyfikowało ponad tysiąc dwieście agresywnych białych rasistów, w tym wielu z wyrokami za przestępstwa na tle rasowym, którzy według doniesień agentów planowali przyjazd do Selmy. Zaniepokojony tymi zagrożeniami, odszukał Kinga podczas marszu i zastał go smacznie śpiącego w namiocie przy drodze.

„My wszyscy nerwowo obgryzaliśmy paznokcie – wspominał – a on spał sobie jak niemowlę. Ten człowiek nie znał strachu; dosłownie szedł doliną cienia śmierci. Wzbudziło to mój szacunek”¹¹⁷.

Urodzony w 1927 roku w Teksasie Clark był synem Toma Clarka, wybitnego prawnika z Dallas, który sprawował urząd prokuratora generalnego za prezydentury Trumana, a niedawno przeszedł w stan spoczynku jako sędzia Sądu Najwyższego. Młody Ramsey, jasnowłosy książę Waszyngtonu, wychowywał się w domu pełnym polityków, dyplomatów, sędziów i biurokratów. Kiedy jego ojciec był prokuratorem generalnym, Ramsey raczkował po korytarzach FBI, pozwalano mu nawet siadać w gabinecie J. Edgara Hoovera.

Dyrektor FBI nadal uważał Clarka za małe dziecko i traktował wybitnie protekcyjnie. Liberalna polityka i poglądy Clarka na temat korzeni przestępczości, które uznawał za wyraz pięknoduchostwa, bardzo mu się nie podobały. Jego zdaniem Clark zbyt łagodnie podchodził do komunizmu, protestów społecznych i przestępczości. Clark był człowiekiem, który w swoich licznych tekstach na temat przestępczości ani trochę nie wstydził się pisać takich zdań jak: „Musimy ugruntować w społeczeństwie pietystyczny stosunek do życia oraz dążyć do łagodności, tolerancji i troski o innych”¹¹⁸. Przekonany, że Ameryka jest państwem policyjnym, które w coraz większym stopniu stosuje technologie elektroniczne do szpiegowania własnych

obywateli, stwierdził: „humanitarna i wielkoduszna troska o każdą osobę w większym stopniu złagodzi i ucywilizuje nasze dzikie serca niż jakiegokolwiek działania policyjne, które człowiek mógłby wymyślić”¹¹⁹.

Kiedy Hoover słyszał takie rzeczy, zbierało mu się na wymioty.

Chociaż formalnie rzecz biorąc, Clark był jego zwierzchnikiem, w szeregach FBI Hoover nie ukrywał wgardliwego stosunku do młodszego od siebie szefa. Określał prokuratora generalnego rozmaitymi przezwiskami, takimi jak „człowiek bez kręgosłupa”, „pięknoduch” i „mięczak”¹²⁰. Mawiał, że Clark jest najgorszym szefem Departamentu Sprawiedliwości, z jakim miał do czynienia. Podejrzewał go nawet o to, że może być hipisem. Odwiedził kiedyś Clarka w jego domu i z przerażeniem zobaczył, że pani Clark chodzi po kuchni boso. „Co to jest za osoba?”, psioczył później w rozmowie z dziennikarzem¹²¹.

Clark ze swej strony roztropnie powstrzymywał się od komentarzy na temat Hoovera. „Ja określam nasze stosunki jako serdeczne, a on jako poprawne”, brzmiały przytoczone kilka miesięcy wcześniej słowa Clarka¹²². Nieoficjalnie jednak uważał, że FBI Hoovera stało się zbyt „zideologizowane” i nadmiernie zaprzątnięte szukaniem komunistów pod każdym kamieniem. Przede wszystkim jednak miał poczucie, że FBI dyskredytuje „nadmierna dominacja jednej osoby i jej egoistyczna troska o własną reputację”¹²³.

Clark wiedział wszystko o fiksacji Hoovera na punkcie Martina Luthera Kinga. Musiał wiedzieć: FBI zasypywało go wnioskami o założenie podsłuchu w gabinecie, miejscu zamieszkania i pokojach hotelowych Kinga, które prokurator generalny niezmiennie odrzucał. Clark uważał, że nadzór elektroniczny wolno stosować tylko w sytuacjach wyraźnego zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego. „To, co ukradkowe, jest zaraźliwe – przekonywał. – Skoro wolno naruszyć czyjąś prywatność podsłuchami, to dlaczego miałyby nie być wolno włamać się do jego mieszkania? Społeczeństwo nie przetrwa, jeżeli policji zezwoli się na stosowanie takich metod. Jutro to ty możesz być ofiarą”¹²⁴. Powiedział, że praktyka podsłuchiwania jest „czymś więcej niż tylko brudną robotą – narusza fundamenty godności jednostki”¹²⁵.

Ale mając do czynienia z wywrotowcami kalibru Kinga, Hoover nie widział sensu, by wikłać się w takie konstytucyjne subtelności. Clark zdawał sobie sprawę, że jako obiekt gniewu Hoovera King spełnia wszystkie kryteria. „Hoover żywił trzy względnie łatwo zauważalne uprzedzenia – powiedział do Curta Gentry’ego, biografy dyrektora FBI. – Był rasistą, wyznawał tradycyjne wartości obyczajowe i nie tolerował nieposłuszeństwa obywatelskiego. King podpadał pod wszystkie te kategorie”¹²⁶.

Hoover i Clark mieli odmienne opinie o Kingu i na prawie każdy inny temat. Ich światopoglądy diametralnie się różniły, a ich dysfunkcyjne relacje były coraz bardziej napięte ze względu na prosty administracyjny fakt, że Hoover *musiał* na bieżąco współpracować z urzędem Clarka. Do tego obmierzłego zadania dyrektor prawie zawsze wybierał swojego zaufanego wysłannika DeLoacha.

Cartha D. DeLoach (wszyscy mówili na niego Deke) pełnił prestiżową funkcję asystenta dyrektora, co czyniło go trzecią osobą w hierarchii FBI. Oficjalnie zarządzał Wydziałem Ogólnym, Specjalnym Wydziałem Śledczym, wywiadem krajowym i kartoteką. Jego prawdziwym zadaniem było jednak odgadywanie – z mikroskopijną dokładnością – zaszyfrowanych i wiecznie zmieniających się kaprysów szefa. Był w tym dobry – tak dobry, że

wielu funkcjonariuszy uważało go za prawdopodobnego następcę Hoovera, gdyby dyrektor umarł albo podał się do dymisji.

DeLoach nie był zachwycony swoją rolą łącznika Hoovera z Ramseyem Clarkiem. Nie znośli być stawiany w delikatnym położeniu między tymi dwoma silnymi ludźmi – nazywał to „chybotaniem na linii”. Też nie przepadał za Clarkiem, ale uważał, że Hoover czasami posuwa się za daleko, że traktuje prokuratora generalnego „jak małe dziecko”.

Deke DeLoach, wysokiego wzrostu katolik irlandzkiego pochodzenia z miasteczka Claxton w stanie Georgia, miał grube powieki, różową obwisłą twarz i włosy piaskowego koloru zaczesane na brylantynie do tyłu w coś, co przy odrobinie wyobraźni można było uznać za pompadour. Ten czterdziestoosmiolatek od dwudziestu sześciu lat pracował w FBI, najpierw jako agent, a później jako urzędnik w tak odległych od siebie oddziałach terenowych jak Cleveland i Norfolk. DeLoach, wpływowy członek American Legion^[7], był wytrawnym waszyngtońskim lwem salonowym, a także człowiekiem, który doskonale umiał się poruszać wśród stosów notatek produkowanych dzień w dzień przez FBI Hoovera.

Wręcz wyrażał się językiem tych notatek, tubalnym i nieco napuszonym tonem rzucał okrągłymi zdaniami, które mówiły wszystko i nic, ale działały uspokajająco na opinię publiczną. Pełnił również funkcję łącznika Hoovera z Białym Domem i tak się tam rozpanoszył, że prezydent Johnson w gruncie rzeczy stworzył dla niego drugi gabinet w zachodnim skrzydle. Pewien dziennikarz powiedział o DeLoachu, że „lubi prawić morały”. Dysponując gładkimi manierami, których brakowało Hooverowi, potrafił być powściągliwie, powierzchownie uroczy, ale miał wybuchowy temperament i pod byle pretekstem bluzgał całą instytucjonalną furią urzędu, który reprezentował. Deke’owi DeLoachowi lepiej było nie wchodzić w drogę.

Chociaż lojalnie bronił dyrektora i dzień w dzień wykonywał jego polecenia, przyznawał, że Hoover jest „człowiekiem z monstrualnym ego”, jak to później nazwał¹²⁷. Był „zręczliwy, despotyczny, czasami drażliwy i najlepsze lata miał już za sobą”¹²⁸. DeLoach stwierdził, że – tak jak MacArthur podczas okupacji Japonii – Hoover zrobił z siebie „półboga”. W jego obecności „byłeś nie tyle odrębną osobą, ile trybikiem w ogromnej maszynie wszechświata, który on stworzył. Istniałeś dzięki jego kaprysowi i gdyby zechciał, pstryknąłby palcami i byś zniknął”¹²⁹.

DeLoach od lat dostrzegał „silną animozję” Hoovera do Kinga. I nie tylko dostrzegał – asystent dyrektora osobiście brał udział w wielu działaniach COINTELPRO (w FBI tak nazywano różne operacje kontrwywiadowcze) przeciwko Kingowi. Sprawiał wrażenie prawie tak samo zbulwersowanego seksualnymi wybrykami Kinga jak Hoover. „Takie zachowanie – napisał później – wydawało się nie pasować do przywódcy, który powoływał się na autorytet duchownego. Rozwiązłość Kinga była tak wybujała, że niektórzy znający go ludzie kwestionowali jego szczerść w głoszeniu podstawowych zasad chrześcijańskich i wykorzystywaniu murzyńskiego Kościoła jako zaplecza jego ruchu”¹³⁰.

DeLoach był jednak zdania, że walka FBI z przywódcą ruchu praw obywatelskich poszła za daleko – napisał, że gniew Hoovera urósł „jak biblijna gorczyca z małego ziarna do wielkiej żywej istoty, która rzucała ogromny cień na krajobraz”¹³¹. Wojnę agencji z Kingiem uważał za – przy najkorzystniejszej interpretacji – „najwyższej miary katastrofę wizerunkową [...], która będzie przez lata ciążyła nad FBI”.

Pod koniec 1967 roku, kiedy do FBI spływało coraz więcej raportów na temat planowanej Kampanii Biednych Ludzi, Hoover zaczął się domagać dokładniejszych informacji. Chciał

założenia kolejnych podsłuchów w siedzibie SCLC w Atlancie. W kierowniczych kręgach FBI krążyła notatka przedstawiająca argumenty za podsłuchami. „Musimy je zainstalować, aby uzyskać informacje wywiadowcze na temat ich planów [...] i móc poczynić odpowiednie kroki gwarantujące bezpieczeństwo wewnętrzne Stanów Zjednoczonych”¹³².

Pod koniec grudnia 1967 roku na biurko Deke’a DeLoacha trafił oficjalny wniosek o zgodę na założenie podsłuchów. Wystąpienie w roli buforu między FBI a prokuratorem generalnym również tym razem mu się nie uśmiechało. Na reakcję Clarka nie zapatrywał się zbyt optymistycznie. „PG [prokurator generalny] tego nie zaaprobuje – przewidywał w notatce. – Ale uważam, że powinniśmy to mieć na piśmie”¹³³.

2 stycznia 1968 roku Clark otrzymał wniosek o zgodę na założenie podsłuchów w biurach SCLC w Atlancie. „Musimy być na bieżąco poinformowani o strategii i planach tej organizacji – napisano we wniosku. – Masowe demonstracje mogłyby wywołać zamieszki, które rozlałyby się po całym kraju”.

Zgodnie z przewidywaniami DeLoacha Clark odrzucił wniosek. „Nie wykazano w dostatecznym stopniu bezpośredniego zagrożenia dla bezpieczeństwa narodowego”, odpowiedział¹³⁴. Pozostawił jednak lekko uchyloną furtkę do przyszłej dyskusji: „Gdyby pozyskano dalsze dowody na takie zagrożenie lub gdyby zaistniała konieczność ponownej oceny, proszę złożyć kolejny wniosek”.

Pełen jadu stentorowy głos

Kiedy Eric Galt mieszkał w Los Angeles, jego wyobraźnią i czasem zawładnęła jeszcze jedna pasja (obok rumbi, barmaństwa i hipnozy) – zachwyciła go kampania wyborcza Wallace’a.

Odkąd Wallace zadeklarował zamiar kandydowania do Białego Domu, Galt śledził jego poczynania z rosnącym zainteresowaniem. W listopadzie 1967 roku, niedługo po przyjeździe do Los Angeles z Puerto Vallarta, zgłosił się do sztabu Wallace’a w północnym Hollywood i brał udział w zbieraniu sześćdziesięciu sześciu tysięcy podpisów niezbędnych do uczestnictwa w prawyborach.

Praca dla kampanii stała się jego najważniejszym zajęciem. Kiedy postanowił założyć sobie telefon, przedstawicielowi firmy telekomunikacyjnej powiedział, że sprawa jest pilna, ponieważ „jest pracownikiem sztabu George’a Wallace’a”, a tym samym telefon jest mu potrzebny do pracy¹³⁵. Został kaszodzieją Amerykańskiej Partii Niezależnej – agitował po knajpach, zaczął obcych ludzi na ulicy i namawiał wszystkich znajomych, żeby przyszli do sztabu.

Wśród typów, którzy zgłaszali się na ochotnika do kampanii Wallace’a w Los Angeles, byli różni dziwacy, szowiniści, rozbitki życiowe, poszukiwacze, skrajni prawicowcy, ostrzy rasiści, libertariańscy marzyciele, a także zwykli wariaci. Jako przedsięwzięcie w dużym stopniu zaimprovizowane ruch Wallace’a musiał wykorzystywać energię ekscentrycznych żołnierzy, którzy powyłazili z rozmaitych dziwnych zakamarków, więc trudno było zweryfikować podawane przez nich dane osobowe; zresztą sztabowcy nie byli do tego szczególnie skorzy. Jeden z najważniejszych koordynatorów w sztabie Wallace’a przyznał, że lwią część pracy w Kalifornii wykonywały „półgłówki” i „czuby”. Jak to ujął Dan Carter w swojej znakomitej biografii Wallace’a zatytułowanej *The Politics of Rage* [Polityka wściekłości], „wielu rekrutów, którzy powtarzali katastroficzne ostrzeżenia o komunistycznych spiskach i zagrożeniach związanych z fluoryzacją wody, bardziej przypominało ambulatoryjnych pacjentów psychiatrycznych niż działaczy politycznych”¹³⁶.

Zastępy wolontariuszy nosiły wyraźne cechy paramilitarne. Carter opowiada charakterystyczną anegdotę o tym, jak Tom Turnipseed, członek sztabu wyborczego Wallace’a, przyleciał z Birmingham na spotkanie z jednym z koordynatorów dzielnicowych w Los Angeles i z zaskoczeniem usłyszał, jak ten człowiek się przechwala, że wyjeżdża w weekend „na manewry”. Turnipseed zapytał, czy jego rozmówca jest członkiem Gwardii Narodowej, a wojowniczy koordynator odpowiedział: „Nie, mamy swoją grupę”, a potem zaprowadził Turnipseeda do swojego samochodu i pokazał mu arsenał broni w bagażniku – były tam między innymi karabin maszynowy i dwie bazooki. Zaniepokojony Turnipseed zapytał go, przeciwko komu zbroi się jego „grupa”. „Interesy Rockefellera. Wie pan, Komisja Trójstronna”, powiedział koordynator takim tonem, jakby rzecz nie wymagała dalszych wyjaśnień¹³⁷.

Z tego rodzaju ludźmi Galt współpracował pod koniec 1967 roku i chociaż starał się z nimi za bardzo nie spoufalać, doskonale pasował do tej zbieraniny odmieńców. Jako wolontariusz prawie

na pewno brał udział w niektórych wiecach Wallace'a w Los Angeles. Na te dosyć przaśne imprezy, odbywające się na parkingach galerii handlowych, w klubie Elks albo w wesołych miasteczkach na wsi, przychodzili rybacy, robotnicy fabryczni i kierowcy ciężarówek, w tym wiele dzieci mieszkańców Oklahomy, którzy uciekli do Kalifornii podczas klęski suszy w latach trzydziestych. Wallace lubił mówić, że są to pobożni, pracowici ludzie, którzy „kochają muzykę country i twardo stąpają po ziemi”.

Jeden z największych i najbardziej udanych wieców odbył się na torze wyścigowym w Burbank, niecałe dwadzieścia minut jazdy od miejsca zamieszkania Galt¹³⁸. Widownię rozgrzał zespół gospel, a potem, kiedy przyjechała kawalkada samochodów z Wallace'em, mistrz ceremonii, niestroniący od alkoholu aktor Chill Wills, doprowadził publiczność do stanu wrzenia. Kiedy na scenę wyszedł Wallace, tłum zaczął wznosić nie zawsze cenzuralne okrzyki, przepychać się i bić na pięści.

Wallace sprawiał wrażenie, że czerpie siłę z tego unoszącego się w powietrzu napięcia. „Miał pełen jadu stentorowy głos – napisał komentator »New Republic« – i instynktownie wyczuwał uprzedzenia swojej publiczności”¹³⁹. Korespondent „Newsweeka”, który relacjonował wiece Wallace'a, odnotował „gorącą atmosferę, buntownicze okrzyki, wymachiwanie flagami” oraz legiony „rozchwianych psychicznie” zwolenników i ocenił, że Wallace „odwołuje się do niepokojów społecznych, które wyczuwają wszyscy Amerykanie”¹⁴⁰.

W głębi swojej gniewnej duszy Eric Galt utożsamiał się z protestami Wallace'a przeciwko nadmiernej roli państwa, z jego obroną człowieka pracy, jego jeremiadami na temat komunistycznej zarazy. Utożsamiał się nawet z korzeniami gubernatora Alabamy – przez pewien czas (w 1967 roku) mieszkał w Birmingham, a jego mustang miał tablice rejestracyjne z Alabamy z wypisanym przydomkiem stanu „HEART OF DIXIE”.

Jednak Galtowi najbardziej podobał się nieprzejednany segregacjonizm Wallace'a. Retoryka gubernatora doskonale oddawała tłące się w Galcie uprzedzenia. Wprawdzie nie miał zbyt wielkiego rozeznania politycznego, ale czytał gazety i był wręcz uzależniony od wiadomości radiowych i telewizyjnych. Jego poglądy polityczne składały się z różnych ogólnikowych pretensji, frustracji i uraz. W większości kwestii najlepiej pasowało do niego określenie „reakcjonista” – pociągały go na przykład przekonania głoszone przez Stowarzyszenie Johna Bircha, do którego słał listy, ale nigdy się nie zapisał.

Pod koniec 1967 roku Galt zaczął grawitować ku skrajnym poglądom na kwestie rasowe. Zaintrygował go supremacyjny reżim Iana Smitha w Rodezji. W Puerto Vallarta kupił „U. S. News & World Report”, w którym znalazł ogłoszenie zapraszające do Rodezji imigrantów. Pomysł ten tak bardzo mu się spodobał, że 28 grudnia 1967 roku napisał list do Rady Amerykańsko-Południowoafrykańskiej w Waszyngtonie z prośbą o informacje na temat możliwości wyjazdu do Salisbury¹⁴¹.

„Piszę do Państwa dlatego, że rozważam emigrację do Rodezji – stwierdził Galt w swoim liście, wspominając, że do rady odesłało go Stowarzyszenie Johna Bircha. – Byłbym wdzięczny za wszelkie możliwe informacje”. Nie tylko liczył na uzyskanie obywatelstwa Rodezji; był tak żarliwym wyznawcą rządów białych i rasowego apartheidu, że jak to później ujął, zamierzał „odsłużyć dwa albo trzy lata w jednej z armii najemniczych” w południowej Afryce. Mieszkając w Los Angeles, napisał do prezesa kalifornijskiego oddziału organizacji Friends of Rhodesia – działającej na rzecz poprawy stosunków ze Stanami Zjednoczonymi – list z kolejnymi pytaniami

o możliwości emigracyjne i dociekał, w jaki sposób mógłby zaprenumerować sprzyjające Ianowi Smithowi czasopismo zatytułowane „Rhodesian Commentary”¹⁴².

Czytywał również „Thunderbolt”, podżegające do nienawiści rasowej pismo publikowane w Birmingham przez zajadłe segregacjonistyczną Narodową Partię Praw Stanów¹⁴³. Był wielkim miłośnikiem prezesa tej partii, dynamicznego pogromcy mniejszości rasowych Jessego Benamina Stonera. Urodzony u stóp Lookout Mountain w Tennessee i od szkoły średniej członek Ku Klux Klanu, Stoner naprawdę wierzył, że Anglosasi są narodem wybranym przez Boga. Zapisał się w historii między innymi takimi stwierdzeniami jak to, że Hitler był „zbyt umiarkowany”, czarnych nazywał „odgałęzieniem rodziny małp” i stwierdził, że „bycie Żydem powinno być przestępstwem karanym śmiercią”. Prezydenta Johnsona uznał za „największego miłośnika czarnuchów w Stanach Zjednoczonych”.

Stoner nie ograniczał się tylko do słów. Ten prawnik z zawodu skutecznie bronił członków Ku Klux Klanu, a FBI podejrzewało go o bezpośredni udział w co najmniej kilkunastu zamachach na synagogi i murzyńskie kościoły na Południu (wiele lat później miał zostać skazany za swoje zaangażowanie w zamach na kościół w Birmingham). W 1964 roku szef policji w Atlancie powiedział o nim: „Kiedy gdzieś wybuchnie bomba, ten sukinsyn zawsze jest w pobliżu”¹⁴⁴.

Ów zadeklarowany kawaler z wadą wymowy i utykający po przebytych w dzieciństwie polio miał zwyczaj nosić muszkę w grochy i wywieszać na swoim domu flagę Narodowej Partii Praw Stanów – z nazistowskimi błyskawicami zapożyczonymi od Waffen SS na tle konfederackiego sztandaru bojowego. Według historyka Dana Cartera wśród członków partii pojawiały się wyraźne wątki homoseksualnego campu. Pewien partyjny weteran, figlarnie zniewieściał organizator zwany Kapitanem X, nosił bryczesy i wojskowe buty na szpilkach¹⁴⁵. W 1964 roku tajny agent policji w Birmingham widział, jak Kapitan X chodził po siedzibie partii, kołyszając biodrami, z grubą warstwą tuszu i różu na twarzy i pejcem jeździeckim w garści.

„Thunderbolt”, comiesięczny biuletyn Narodowej Partii Praw Stanów z czterdziestoma tysiącami wiernych czytelników, regularnie atakował Kinga, a kampanię prezydencką Wallace’a nazywał „ostatnią szansą białego wyborcy”¹⁴⁶. „Thunderbolt” wzywał do egzekucji sędziów Sądu Najwyższego i opowiadał się za wydalaniem wszystkich amerykańskich czarnych do Afryki. Galt uwielbiał czytać elaboraty Stonera w „Thunderbolt” i powielał jego markowe zagrywki: w ślad za nim zaczął nazywać Kinga „Martin Luther Coon^[8]”, a nawet nakleił nalepkę z tym rasistowskim przydomkiem z tyłu telewizora, który trzymał w swoim pokoju w Los Angeles¹⁴⁷.

Uprzedzenia Galta, które długo się marynowały w tego rodzaju podżegającej do nienawiści literaturze, w Los Angeles czasami przeradzały się w przemoc. Pewnego grudniowego wieczoru Galt siedział w knajpie Rabbit’s Foot przy Hollywood Boulevard 5623, gdzie program rozrywkowy obejmował tańczące na parkiecie dziewczyny. Według dziennikarza, który odwiedził ten lokal, była to „szemrana speluna z szafą grającą, dla samotnych ludzi z ograniczonymi środkami finansowymi”¹⁴⁸. Galt przez wiele tygodni regularnie tam zachodził i zazwyczaj pił sam, ale ostatnio zaczął „agitować za Wallace’em na prezydenta”, jak twierdził barman James Morison. Inny stały klient Rabbit’s Foot zapamiętał Galta jako „ponurego faceta z Alabamy”, który pił wódkę i wybierał stołek najbliżej drzwi. Przedstawiał się jako biznesmen

i mówił, że właśnie wrócił z Meksyku, gdzie przez kilka lat prowadził bar¹⁴⁹. Dla zwiększenia wiarygodności swoich słów rzucał kilkoma hiszpańskimi zwrotami.

Tego konkretnego grudniowego wieczoru pewna młoda kobieta, która nazywała się Pat Goodsell i prawdopodobnie była jedną z barowych tancerek, siedziała obok Galta w barze Rabbit's Foot i z kilkoma innymi stałymi klientami prowadziła niezobowiązującą rozmowę o sytuacji na świecie, ale kiedy ktoś zauważył tablice rejestracyjne z Alabamy zaparkowanego na zewnątrz mustanga Galta, rozmowa zeszała na temat głębokiego Południa¹⁵⁰.

– Nie rozumiem, jak możecie tak traktować Murzynów – powiedziała Goodsell do Galta. Początkowo tylko się z nim droczyła, ale kiedy zaczął bronić rodzinnego stanu Wallace'a, docisnęła go: – Dlaczego nie chcecie im przyznać ich praw?

Dla Galta to już było za wiele. Pozostali klienci przy barze wyczuli wzrost napięcia. Nigdy wcześniej nie widzieli takiego oblicza tego z pozoru nikomu niewadzącego człowieka. Galt powiedział do Goodsell:

– Co ty wiesz na ten temat? Byłaś kiedyś w Alabamie?

Nagle zeskoczył ze swojego stołka, chwycił Goodsell za rękę i ściągnął ją na podłogę. Można było odnieść wrażenie, że chce się z nią boksować.

Do rękoczynów nie doszło, ale Galt histerycznie piskliwym głosem zaczął sztorcować Goodsell.

– Skoro tak bardzo kochasz kolorowych – krzychał – to zawiozę cię do Watts i zostawię! Zobaczymy, jak ci się tam spodoba!

Kiedy w końcu wyszedł z Rabbit's Foot, podążyło za nim dwóch mężczyzn, jeden czarny i jeden biały. Wdali się z nim w bójkę – „napadli na mnie”, stwierdził później – ściągnęli mu marynarkę i zegarek. „Żebyś mógł uciec – powiedział – podniosłem cegłówkę i walnąłem nią czarnucha”.

Galt puścił się biegiem do swojego samochodu, żeby wyjąć spod siedzenia rewolwer Liberty Chief .38, ale po drodze uświadomił sobie, że wpadł w poważne tarapaty: kluczyki do mustanga były w marynarce, podobnie jak portfel z prawem jazdy i sześćdziesięcioma dolarami. Do mieszkania miał niedaleko, ale nie chciał wracać do domu, ponieważ obawiał się, że dwaj napastnicy wrócą i ukradną mu samochód. Spędził więc całą noc przykucnięty w cieniu Rabbit's Foot, trzymając straż przy mustangu.

Rano znalazł ślusarza, który dorobił mu kluczyki. (Wprawdzie zapisał się na korespondencyjny kurs ślusarstwa, ale nie miał jeszcze dostatecznych kwalifikacji). Potem zamówił rozmowę międzymiastową z Wydziałem Motoryzacji w Alabamie i poprosił o duplikat prawa jazdy, który miał mu zostać wysłany na adres w Los Angeles.

Czerwone goździki

– Dostałaś? – zapytał Martin Luther King swoją żonę, do której zadzwonił z biura. – Dostałaś kwiaty?¹⁵¹

Była zima i King wybierał się w kolejną podróż. Coretta Scott King, jego żona od piętnastu lat, dochodziła do siebie po niedawno przebytej operacji usunięcia macicy, w której wykryto zmiany nowotworowe. King, wiedząc, że jest osłabiona i czuje się źle, postanowił zamówić kuriera z kwiatami. Ten przybył do niewielkiego dwupoziomowego domu przy Sunset 234, stojącego pośród wzgórz z czerwonej gliny w dzielnicy Atlanty Vine City, niedaleko od *Alma Mater* Kinga, Morehouse. Dom był oszczędnie urządzone (głównie meblami odziedziczonymi po rodzicach), na ścianie wisiał portret Gandhiego.

King wysłał żonie ciemnoczerwone goździki.

– Są przepiękne... ale sztuczne – powiedziała Coretta.

Mnóstwo razy dostawała od męża kwiaty, ale zawsze żywe. Nie pogniewała się ani nie obraziła, tylko zaciekawiała.

– Dlaczego?

– Chciałem ci dać coś trwałego – odpowiedział po dłuższej chwili milczenia. – Coś, co będziesz mogła zachować na zawsze.

Coretta uznawała swojego męża za „człowieka trawionego poczuciem winy”¹⁵². King miał poczucie, że nie nadaje się do roli symbolu, przedstawiciela czarnej Ameryki. „Nigdy nie uważał się za właściwego człowieka na zajmowanym przez siebie miejscu”, napisała. Często powtarzał, że jego kariera jest dla niego „zagadką”, od momentu, kiedy trafił na czołówki światowych gazet jako jeden z architektów protestu przeciwko segregacji rasowej w komunikacji miejskiej w Montgomery. W ostatnich latach działalność w ruchu praw obywatelskich całkowicie go pochłonięła, oddaliła od żony i dzieci, co podsyciło w nim wyrzuty sumienia. King był poślubiony ruchowi. „Pragnę złożyć ślubowanie – oznajmił kiedyś publiczności złożonej z członków SCLC. – Ja, Martin Luther King, biorę sobie ciebie, bierny oporze, za żonę”¹⁵³.

Tej zimy, tuż po świętach, poprosił Corettę, by usiadła, i przyznał się jej do jednej z kilku kochanek¹⁵⁴. Chodziło o absolwentkę Fisk University w Nashville, dystyngowaną panią, która mieszkała teraz w Los Angeles i była żoną znanego murzyńskiego dentysty. Romans trwał od kilku lat i King nie obiecywał zerwania z tą kobietą. Nie powiedział Corettie o pozostałych kobietach obecnych w jego życiu – kochankach w Louisville, Atlancie i Nowym Jorku, a także innych, z którymi sporadycznie sypiał. W kazaniach coraz częściej napomynał o swoich słabościach. „Každy z nas ma w sobie dwóch ludzi – powiedział kiedyś do zgromadzonych w kościele wiernych. – Naszym wielkim zadaniem życiowym jest dążenie do tego, aby zawsze rządziło nami to lepsze ja”¹⁵⁵.

Coretta z pewnością była zdruzgotana, chociaż niewątpliwie od dawna coś podejrzewała. Od wielu lat oddalali się od siebie i napięcia były coraz bardziej wyczuwalne. „Ten biedak był

nękany u siebie w domu – powiedział pewien członek SCLC. – Gdyby przeżył, jego małżeństwo by się rozpadło. Coretta King była wdową na długo przed śmiercią doktora Kinga”¹⁵⁶.

Romanse i eskapady Kinga były tylko jednym z wielu źródeł małżeńskich napięć. Coretty nie zadowalała rola tradycyjnej gospodyni domowej, która siedzi w domu z czworgiem dzieci, podczas gdy jej mąż paraduje po światowej scenie. Rzadko miała okazję wykorzystać swoje niemałe talenty – jako piosenkarka i mówczyni – na korzyść ruchu. Nie da się ukryć, że King chciał, aby jego żona siedziała w domu. Był tradycjonalistą, a niektórzy powiedzieliby nawet, że męskim szowinistą, ale poza tym bał się o dzieci, gdyby oboje zostali zamordowani. „Martin przez całe życie miał ambiwalentny stosunek do roli kobiet – powiedziała później Coretta. – Wprawdzie uważał, że kobiety są równie inteligentne i zdolne, jak mężczyźni, że powinny zajmować najwyższe stanowiska [...], ale w odniesieniu do własnej rodziny myślał zupełnie inaczej, traktował żonę jako gospodynię domową i matkę swoich dzieci. Zanim się ożenił, nie ukrywał, że od kandydatki na żonę oczekuje, żeby po ślubie siedziała w domu i na niego czekała”¹⁵⁷.

Jak większość małżeństw kłócili się o pieniądze. Kiedy się poznali na początku lat pięćdziesiątych na uniwersytecie w Bostonie, King był trochę dandysem – mieszkał w luksusowym mieszkaniu, jeździł ładnym samochodem i elegancko się ubierał. Teraz żył prawie jak asceta. Jego pensja jako drugiego pastora w kościele baptystycznym wynosiła zaledwie sześć tysięcy dolarów rocznie, a za swoją pracę dla SCLC nie otrzymywał żadnych pieniędzy. Ku wielkiej frustracji Coretty na działalność ruchu przeznaczał prawie wszystkie dodatkowe dochody – honoraria za przemówienia, stypendia, a nawet pięćdziesiąt cztery tysiące dolarów z Nagrody Nobla. Prawie nigdy nie wychodzili razem wieczorami i rzadko wyjeżdżali na wakacje. Przez większość małżeństwa mieszkali w małym wynajmowanym domu, nie mieli służących i jeździli jednym samochodem. Dom przy Sunset kupili dopiero niedawno i nie sposób go było nazwać luksusowym. „Absolutnie nie była to modna dzielnica – powiedział Andrew Young. – W gruncie rzeczy można ją nazwać slumsem”¹⁵⁸. Coretta złościła się na Kinga, że nie odłożył żadnej sumy na edukację dzieci. Nie spisał nawet testamentu. „Nie zostawię po sobie żadnych pieniędzy – powiedział King w swoim baptystycznym zborze. – Nie zostawię po sobie pięknych i luksusowych rzeczy. Chcę zostawić po sobie tylko zaangażowane życie”¹⁵⁹.

Kiedyś powiedział o swoich słabościach: „[...] nie dotyczą żądz bogactwa i moja żona dobrze o tym wie. Uważa nawet, że z tym przesadzam”. Miał świadomość, że Coretta chciałaby zaznać w życiu trochę przyjemności – to również pogłębiało w nim poczucie winy.

Coretta zauważyła, że odkąd wymyślił Kampanię Biednych Ludzi, zmienił się, że jest coraz bardziej rozgorączkowany i napięty. „Mieliśmy poczucie, że los nas osaczył – napisała później. – Można było odnieść wrażenie, że Martina napędzają jakieś wielkie siły. Pracował tak, jakby to miało być jego ostatnie zadanie”¹⁶⁰.

W tych ostatnich miesiącach często wspominała, jak jej mąż zareagował na wiadomość o zamachu na prezydenta Kennedy’ego w 1963 roku. Wpatrując się w ekran telewizora, skwitował rzeczowym tonem: „To samo stanie się ze mną”¹⁶¹. Coretta nic na to nie odparła. Nie umiała go pocieszyć. Nie powiedziała: „Nie stanie się”. Już wtedy czuła, że jej mąż ma rację.

„To milczenie było przejmujące – napisała później. – Przysunęłam się do niego i ścisnęłam go za rękę”.

Boże Narodzenie na pomarańczowo

W pierwszych tygodniach grudnia Eric Galt poznał młodą kobietę Marie Tomaso, która pracowała jako kelnerka w Sultan Room, barze na parterze jego hotelu¹⁶². Pochodziła z Nowego Orleanu, miała oliwkową cerę, ciemne oczy, rubensowską figurę i nosiła rzucającą się w oczy czarną perukę. W niektóre wieczory dorabiała sobie jako „egzotyczna tancerka” w pobliskim klubie przy Hollywood Boulevard.

Marie Tomaso uważała, że Galt zupełnie nie pasuje do Sultan Room. Chodził w eleganckim ciemnym garniturze, nie miał żadnych znajomych i prawie się nie odzywał. Zauważyła, że ma niezdrowo bladą cerę, „jakby rzadko wychodził na powietrze”¹⁶³. Powiedział jej, że przez sześć lat mieszkał w Guadalajarze, gdzie prowadził bar. Zaprzyjaźnili się i gdy któreś nocy odwiózł ją do domu, przedstawiła mu swoją kuzynkę, tancerkę Ritę Stein. Zaczęli spędzać czas we trójkę.

Rita Stein była młodą mamą, która ostatnio przeżywała problemy emocjonalne. U matki w Nowym Orleanie zostawiła swoje ośmioletnie córki bliźniaczki, ale opieka socjalna zagroziła oddaniem ich do rodziny zastępczej. Rita rozpaczliwie potrzebowała przywieźć je do Los Angeles, ale nie miała samochodu ani pieniędzy, a poza tym jej pracodawca raczej nie udzieliłby jej urlopu. W końcu Rita i Marie namówiły Galta, żeby im pomógł. Powiedział, że bardzo chętnie to zrobi, bo współczuje małym dzieciom w potrzebie, a zresztą i tak ma do załatwienia „interes” w Nowym Orleanie. No i dobrze mu zrobi, gdy na jakiś czas wyrwie się z Los Angeles.

Rita przedstawiła Galta swojemu bratu Charliemu Steinowi, który mieszkał tuż za rogiem od hotelu Saint Francis, przy Franklin Avenue. Zdołała nakłonić Charliego, żeby pojechał z Galtem i wymieniał się z nim jako kierowca.

Charles Stein był człowiekiem nadzwyczaj ekscentrycznym – może jeszcze większym dziwakiem niż Galt¹⁶⁴. Ten alfons i dealer narkotyków z wyrokiem na koncie, a także zapalony szachista, uważał się za uzdrowiciela. Rozmawiał z drzewami i żywymi istotami, stosował też dziwne metody leczenia: przysięgał, że kiedyś wyleczył Marie z artretyzmu, zakopując jej spodnie w ogródku. Wierzył również w latające talerze; w weekendy często wyjeżdżał do doliny Yucca, żeby wypatrywać na niebie UFO.

Chociaż Stein i Galt byli w tym samym wieku, nie mogli bardziej różnić się od siebie wyglądem: Stein był rozmemłanym, łysiejącym grubasem, który ważył ponad sto dziesięć kilo. Miał czarną brodę biblijnego proroka, nosił koraliki i chodził w sandałach. Zasadniczo był hipisem, ale w dosyć oryginalnym wariacie. Jego matka, która mieszkała w Nowym Orleanie, opisała go jako „nieszkodliwego wariata”.

Galt nie ufał Charliemu Steinowi. Kiedy Rita zaproponowała, żeby towarzyszył mu w podróży do Nowego Orleanu, zwęszył podstęp i w ataku wściekłości powiedział do Rity i Marie: „Mam broń. Jeśli to jest ustawka, to go zabiję”¹⁶⁵.

Charlie Stein też nie przepadał za Galtem. Uważał, że „przesadza z brylantyną”. Ten obdarzony parapsychicznymi mocami człowiek od pierwszej chwili wyczuł od Galta silne „antywibracje”. Ale Charlie chciał pomóc siostrze w sprowadzeniu bliźniaczek do Los Angeles i cieszył się, że znowu zobaczy Big Easy, swoje rodzinne miasto, w którym pracował między innymi jako bramkarz w lokalu ze striptizem w dzielnicy francuskiej.

Decyzja zapadła 15 grudnia. Para ekscentryków zapakowała rzeczy do mustanga i szykowała się do rycerskiej misji przywiezienia z Luizjany uciemiężonych chudziniek przed Bożym Narodzeniem. Galt postawił jeden warunek: żeby Charlie, Marie i Rita pojechali z nim do siedziby Amerykańskiej Partii Niezależnej przy Lankershim Boulevard w północnym Hollywood i podpisali się pod wnioskiem o zarejestrowanie Wallace’a jako kandydata na prezydenta¹⁶⁶. Galt traktował to śmiertelnie poważnie: jeżeli nie podpiszą, nie pojedzie do Nowego Orleanu. Ten postawiony za pięć dwunasta warunek bardzo ich zaskoczył – zwłaszcza że w ogóle nie interesowali się Wallace’em – ale ustąpili i wcielili się w wyznawców ideologii rasistowskiej. „Pomyślałem, że płacą mi za podpisy”, stwierdził później Charlie, który zwrócił uwagę, że Galt porusza się swobodnie „po siedzibie Wallace’a”¹⁶⁷.

Kiedy Charlie Stein podpisał się na liście, siedząca za stolikiem uroczą starsza pani Charlotte Rivett podziękowała mu i powiedziała:

– Niech Bóg pana błogosławi, że włączył się pan w misję pana Wallace’a.

Stein spojrzał na nią i odparł:

– A co Bóg ma z tym wspólnego?¹⁶⁸

Teraz, kiedy Rita, Marie i Charlie wywiązali się ze swojej części umowy, Galt rwał się do wyjazdu. Odwiózł Ritę i Marie, a Charlie wrzucił swoje rzeczy do bagażnika mustanga, obok walizki z niebieskiego skaju i futerału z kamerą Kodak. Tego popołudnia Galt i Charlie Stein przedzierali się przez korki, żeby wyjechać z Los Angeles w kierunku wschodnim.

Jechali przez pustynię całą noc i część następnego dnia, wymieniając się za kierownicą, kiedy prowadzący był zmęczony¹⁶⁹. Przejechali przez Yumę, Tucson, Las Cruces, El Paso i zagłębili się w porośnięte jałoszynami tereny Teksasu. Zdarzało się, że kiedy Galt zasnął na siedzeniu pasażera, Charlie go „trącał i wołał, że po niebie właśnie przeleciało UFO”¹⁷⁰. Kilka razy zatrzymali się, żeby kupić hamburgery – Galt zawsze zamawiał „ze wszystkimi dodatkami”. Podczas podróży Galt dwa razy do kogoś dzwonił – nie powiedział do kogo – z telefonu wrzutowego. Stein uznał, że umawia się z kimś w Nowym Orleanie.

Podczas tego przełajowego maratonu niewiele rozmawiali, ale Galt zdążył powiedzieć, że służył w armii i że żyje teraz z pieniędzy, które uzyskał ze sprzedaży baru w Meksyku. Lubił prowadzić z jedną ręką na kierownicy i piwem w drugiej. W pewnym momencie zaczęli rozmawiać na temat George’a Wallace’a i „kolorowych”. Galt powiedział Steinowi, że z tablicami rejestracyjnymi z Alabamy niebezpiecznie się jeździ po murzyńskich dzielnicach Los Angeles.

– Któregoś razu obrzucili mnie pomidorami!

Przez całą drogę Stein odbierał od swojego towarzysza podróży „antywibracje”. Był pewien, że Galt jest „mentalnie zablokowany”.

„Czuł misję – powiedział później Stein. – Grał jakąś rolę. Niewiele się odzywał; nie dało się do niego zbliżyć”.

– Przypomnij mi: jak masz na nazwisko? – spytał w pewnym momencie Stein.

– Galt – odparł rozdrażnionym tonem. – Eric Starvo Galt. *Galt!*¹⁷¹

Jedyny raz wyraźnie artykułował słowa, jakby chciał mieć pewność, że Stein go zrozumie. Charlie uznał jednak, że gdyby nazwisko było prawdziwe, jego towarzysz nie wypowiedziałby go tak stanowczym tonem.

Przejechawszy przez San Antonio i Houston, 17 grudnia przybyli do Nowego Orleanu. Charlie Stein zatrzymał się u matki, a Galt wynajął pokój w hotelu Provincial przy Chartres Street w dzielnicy francuskiej. Zameldował się jako „Eric S. Galt z Birmingham”. Nie zdradził Steinowi swoich planów – „mam coś do załatwienia”, to wszystko, co ujawnił – chociaż w pewnym momencie wspomniał, że zamierza się spotkać z jakimś człowiekiem o włosko brzmiącym nazwisku. Powiedział również, że wybiera się do knajpy Le Bunny Lounge.

Ale zaledwie półtorej doby po przybyciu do Nowego Orleanu był już gotowy do wyjazdu. 19 grudnia rano podjechał po Charliego i ośmioletnie bliźniaczki Kim i Cheryl, które zabrały trochę ubrań i kilka zabawek, między innymi miniaturową tablicę szkolną. Potem ruszyli w drogę powrotną do Los Angeles. Nie licząc przerw na tankowanie, jedzenie i wizyty w ubikacji, zatrzymali się tylko raz – na walkę na śnieżki w Teksasie. Kim i Cheryl, które jechały na tylnym siedzeniu, nie znosiły muzyki country puszczonej przez Galtę w samochodzie. Poza tym irytowało je, że nucił pod nosem – w ich uszach brzmiało to jak „gwizdek pociągu”¹⁷².

Ta mocno niedobrana ekipa zdobywców Dzikiego Zachodu przybyła do Los Angeles 21 grudnia, w czwartek, Galt i Stein odstawili więc dziewczynki do matki przed Bożym Narodzeniem. Galt spędził następne kilka dni zamelinowany w hotelu Saint Francis. Bo też nie bardzo miał co ze sobą zrobić – nawet kampania Wallace’a zwinęła się przed świętami. Sam Wallace wrócił do Montgomery, gdzie jego żona, nominalny gubernator, leżała przykuta do łóżka i umierała.

W Boże Narodzenie Galt siedział w swoim pokoju i czytał, skąpany w pomarańczowym świetle neonu za oknem. „Trzeba ci wiedzieć, że Boże Narodzenie jest dla ludzi rodzinnych – napisał później. – Dla takiego samotnika jak ja święta nic nie znaczą. To dzień taki jak każdy inny, a wieczorem jak zawsze idzie się do baru albo siedzi w pokoju, czyta gazetę, wypija parę piw i może włącza telewizor”¹⁷³.

Na Nowy Rok Galt postanowił wybrać się do Las Vegas i rozejrzeć po mieście – tym razem pojechał sam i spał w mustangu. „Nie uprawiałem hazardu – powiedział. – Pojechałem tam, rozejrzałem się i poobserwowałem ludzi, którzy wrzucali pieniądze do automatów”¹⁷⁴.

Kiedy wrócił do Los Angeles, gazety były pełne dobrych wiadomości: kampania Wallace’a w Kalifornii odniosła oszałamiający sukces. Amerykańska Partia Niezależna zmieściła się w terminie i 2 stycznia 1968 roku ogłosiła, że zebrała ponad sto tysięcy podpisów, niemal dwa razy więcej od wymaganej liczby. Fenomen Wallace’a wprawił komentatorów w osłupienie. Pewien politolog uznał zebranie podpisów za „prawie niemożliwe osiągnięcie”¹⁷⁵.

„Eksperci mówili, że nam się nie uda! – zawołał Wallace do wiwatującego tłumu w Los Angeles. – To po raz kolejny pokazuje, że w kwestiach politycznych prawdziwymi ekspertami są sami ludzie. Skoro można zebrać podpisy w Kalifornii, to można je zebrać w każdym innym stanie!”

Galt mógł rozpocząć nowy rok z satysfakcją wynikającą ze świadomości, że dołożył swoją cegiełkę do przedsięwzięcia, dzięki któremu nazwisko George’a Wallace’a miało się w czerwcu znaleźć na kalifornijskiej liście kandydatów w prawyborach.

Kilka dni później, 4 stycznia 1968 roku, Galt poszedł do innego hipnotyzera w Los Angeles, pastora Xaviera von Kossa, który miał swój gabinet przy Crenshaw Boulevard 16010. Koss cieszył się renomą i był prezesem Międzynarodowego Stowarzyszenia Hipnozy. Podczas godzinnej wizyty Galt mówił o swoim pragnieniu poddania się terapii, ale ku jego irytacji Koss nękał go ogólniejszymi pytaniami.

– Jakie są pańskie cele życiowe?

Galt próbował jak najbardziej zawęzić swoją odpowiedź:

– Myślę o kursie dla barmanów.

– A dlaczego interesuje się pan hipnozą?

Galt powiedział, że liczy na to, iż hipnoza usprawni mu pamięć i funkcjonowanie umysłu.

– Zdarzało mi się widzieć, jak osoba pod wpływem hipnozy potrafi w trzydzieści sekund rozwiązać problem, co zwykłemu człowiekowi zajęłoby trzydzieści minut.

Koss wyczuwał, że za zainteresowaniem Galt hipnozą kryje się coś więcej niż wzmocnienie sprawności umysłu. Uznał go za zagubioną duszę, człowieka poszukującego samopotwierdzenia, a także chcącego się dostosować do społeczeństwa. „Wszyscy ludzie, którzy tak jak ja pracują z umysłem, łatwo dostrzegają najważniejszy czynnik motywacyjny u danej osoby – powiedział później Koss. – Galt należy do kategorii osób, które poszukują *uznania*, pragną uznania ze strony swojego środowiska. Zależy mu na tym, żeby poczuć się kimś. Pragnienie uznania jest dla niego ważniejsze niż seks, ważniejsze niż pieniądze, ważniejsze niż przetrwanie”¹⁷⁶.

Koss doradził Galtowi, że jeśli chce mieć lepsze i bardziej sensowne życie, to musi zajrzeć w swoje wnętrze i odpowiedzieć sobie na pytanie, co chce osiągnąć. Galt skwapliwie się z tym zgodził. Koss polecił mu książki do przeczytania: *Psycho-Cybernetics* [Psychocybernetyka] doktora Maxwella Maltza, *Self-hypnotism: The Technique and Its Use in Daily Living* [Autohipnoza. Opis techniki i jej wykorzystania w codziennym życiu] Lesliego LeCrona i *How to Cash In On Your Hidden Memory Power* [Jak wykorzystać ukrytą w nas potęgę pamięci] Williama Herseya. Galt był mu wdzięczny – zanotował tytuły i powiedział, że kupi wszystkie pozycje.

Koss ostrzegł go jednak, że same książki na wiele się nie zdadzą. Zaczął mówić Galtowi o ciężkiej pracy, która go czeka, jeżeli naprawdę chce poprawić swoją pozycję życiową.

– Musi pan ukończyć kurs dla barmanów, musi pan ciężko pracować, musi pan pójść do szkoły wieczorowej, musi się pan ustatkować¹⁷⁷.

Tego już było dla Galt za wiele, więc zaczął się wycofywać z rozmowy. „Straciłem go – powiedział Koss. – Czułem, że wyrasta między nami mur. Jego umysł odsunął się daleko od tego, co do niego mówiłem”¹⁷⁸.

Galt powiedział jednak, że nadal jest zainteresowany poddaniem się hipnozie, i pastor Xavier von Koss wyraził na to zgodę. Przystąpił do serii testów, które miały na celu ustalenie, czy Galt jest osobą podatną. Koss szybko wyczuł „bardzo silny podświadomy opór”. „Zawsze tak jest, kiedy ktoś się obawia, że w hipnozie może ujawnić coś, co wolałby ukryć”.

Chodzące myszołowy

1 lutego 1968 roku był deszczowy, a niebo ołowiane. Chude gałęzie dereni wczepiały się pazurami w zimne powietrze. Hałaśliwa pomarańczowa śmieciarka wypełniona po brzegi odpadkami z warkotem mijala domy w stylu angielskim, pseudoszwajcarskim i pseudotudorskim, gdzie jednolitość porośniętych us pioną trawą ogródków zakłócały tylko złośliwe liście magnolii, brązowe i matowe, szeleszczące na wietrze.

Za kierownicą śmieciarki siedział Willie Crain, szef ekipy¹⁷⁹. Z tyłu jechało dwóch ludzi, chowających się przed deszczem w paszczy mechanizmu zgniatającego. Byli to dwudziestodwuletni Robert Walker i trzydziestopięcioletni Echol Cole, dwaj nowicjusze, którzy dopiero uczyli się swojego fachu i lokowali na samym dole drabinki płacowej. Zarabiali mniej niż sto dolarów tygodniowo, a ponieważ figurowali jako „pracownicy nieklasyfikowani”, nie przysługiwały im dodatki, emerytura, wyższa stawka za nadgodziny, procedura skargowa, ubezpieczenie zdrowotne, mundury, a także, co tego dnia było szczególnie istotne, płaszcze przeciwdeszczowe.

„Kubłowym” z wydziału robót publicznych powodziło się niewiele lepiej niż pracownikom rolnym w delcie Missisipi, z której zresztą pochodzili. Pod wieloma względami nadal żyli tak jak ich przodkowie; można powiedzieć, że plantacja przeniosła się do miasta. Nosili używane ubrania wystawiane przed domy zamożnych rodzin. Przywykli do tego, że właściciele domów mówili do nich „chłopcze”. Wypracowali sobie charakterystyczny człapiący krok, ani za szybki, ani za wolny, ani dumny, ani służalczy, sposób poruszania się, który nie przyciągał uwagi.

Przez cały tydzień dyskretnie sprzątali dzielnice Memphis, anonimowo i nie skarżąc się na nic – kasta niedotykalnych. Mówili na siebie „chodzące myszołowy”.

Śmieciarka, którą jeździli Walker i Cole – buchająca spalinami, hałaśliwa landara zwana beczką wiedeńską – był to przestarzały model wprowadzony przez wydział robót publicznych dziesięć lat wcześniej. Wielki hydrauliczny zgniatacz uruchamiano guzikiem na zewnątrz pojazdu. Miasto modernizowało swoją flotę, ale ulicami Memphis nadal jeździło sześć beczek wiedeńskich. Wiedziano, że śmieciarki te mogą być bardzo niebezpieczne: w 1964 roku defekt zgniatacza doprowadził do przewrócenia się pojazdu, który zmiotł dwóch pracowników¹⁸⁰. Awaryjność tych śmieciarek była tylko jednym z całej chmury powodów, dla których pracownicy miejskiego przedsiębiorstwa oczyszczania chcieli się zorganizować w związek zawodowy, a gdyby zaszła taka konieczność, zastrajkować.

Po obskoczeniu całego rewiru Crain, Walker i Cole ucieszyli się, że mogą pojechać na wyspisko przy Shelby Drive, a potem nareszcie udać się do domów. Byli zmarnięci i jak zawsze na koniec zmiany mieli obolałe stopy od przeciągania ciężkich kubłów przez podmiejskie trawniki dziesięć godzin z rzędu. Zarządowi MPO w Memphis najwyraźniej nie przyszło do głowy, żeby zamówić kubły na kółkach. Poza tym w tamtych czasach nie oczekiwano od właścicieli domów, żeby wychodzili śmieciarzom naprzeciw i wystawiali worki

na chodnik. Skutek był taki, że jak wszystkie inne chodzące myszołowy w Memphis Walker i Cole musieli przechodzić długimi podjazdami do tylnych drzwi albo wiat, a czasem nawet za dom, niekiedy obszczekiwani przez psy. Wkładali worki ze śmieciami do kubłów, a przy okazji zbierali patyki, kupy liści, martwe zwierzęta, wyrzucone ubrania, popsute meble i wszystkie inne rzeczy, których mieszkańcy chcieli się pozbyć.

Teraz, kiedy Crain, Cole i Walker jechali na wysypisko, ubrania mieli nasiąknięte deszczem i oblepione obrzydliwą mazią, która przez cały dzień sączyła się z kubłów. Breja ta składała się zazwyczaj z wytopionego tłuszczu, zsiadłego mleka, kurzej krwi czy sosu pieczeniowego z kuchni wschodniego Memphis, z domieszką zgniłego smrodu starych liści. Worki plastikowe nie były jeszcze w powszechnym użyciu, nie było tasemek, ściągaczy ani innych sposobów na to, żeby płynne odpady nie wylewały się na zewnątrz. Znaczna część tych mało aromatycznych pomyj lądowała na ubraniach śmieciarzy, a miasto nie umożliwiała im wzięcia prysznic ani wyprania odzieży po skończonej zmianie. Trochę się na to uodpornili, ale po powrocie do domu zrzucali z siebie wszystko w przedpokoju – ich żony nie mogły wytrzymać smrodu.

Tego dnia o 16.20 pewna biała kobieta wyglądała przez okno swojej kuchni przy Colonial Road. Usłyszała jakiś dziwny odgłos – zgrzyt, krzyk, wrzask. Wybiegła z domu i z przerażeniem patrzyła na scenę, która rozegrała się na jej oczach.

Pod domem stała beczka wiedeńska prowadzona przez Williego Craina. Dwaj „kubłowi” Walker i Cole, którzy stali wcześniej z tyłu śmieciarki, teraz znaleźli się w tarapatach. W przewodach do siłownika zgniatacza nastąpiło zwarcie – być może ktoś wbił łopatę w nieodpowiednie miejsce albo w pobliżu strzelił piorun.

W każdym razie doszło do awarii elektrycznej i hydrauliczny zgniatacz obracał się, mielił, miażdżył, stękał. Crain nacisnął hamulec, wyskoczył ze śmieciarki i podbiegł do wyłącznika awaryjnego. Naciskał go raz po raz, ale zgniatacz się nie zatrzymał.

Walker i Cole, którym w swoich przemoczonych, ciężkich ubraniach trudno było się poruszać, próbowali uciec, jak tylko usłyszeli, że włączył się siłownik zgniatacza, ale maszyna zapewne chwyciła ich za jakąś część ubrania i teraz zaczęła wciągać do środka. Wydawało się, że jeden z nich się wyswobodził, ale w ostatniej chwili zgniatacz porwał również jego.

Wrzaski miażdżonych w śmieciarce ludzi były przerażające. Crain dalej gorączkowo naciskał guzik. Ze środka dobiegały odgłosy pęknięcia kości, a siłownik wył bez końca.

Przerażona kobieta, która była świadkiem śmierci tylko drugiego z pracowników, opowiadała o tym dziennikarzom: „On stał tam, z tyłu śmieciarki, która jechała. Wciągnęło go głową do przodu i nogi mu wystawały. Potem ta wielka maszyna całego go połknęła”¹⁸¹.

Lokalna prasa nie poświęciła temu śmiertelnemu wypadkowi zbyt wiele miejsca – następnego dnia pojawiła się tylko sucha jak pieprz notka w „Commercial Appeal”. Nie wspomniano w niej, że ten model śmieciarki już wcześniej miał na koncie ofiary śmiertelne, że rodziny Walkera i Cole’a nie mają pieniędzy na ich pochowanie i że wdowom przysługuje tylko jednorazowy zasiłek w wysokości miesięcznej pensji. Earline Walker, ciężarna wdowa po Robercie Walkerze, postanowiła pochować męża w kwaterze dla nędzarzy w hrabstwie Tallahatchie w delcie Missisipi, gdzie ich przodkowie byli robotnikami rolnymi¹⁸².

Nagłówki prasowe zarezerwowano dla najbardziej znanego mieszkańca Memphis Elvisa Presleya, którego żona Priscilla niecałą godzinę po śmierci Walkera i Cole’a powiła w szpitalu baptystycznym dziecko ważące 3,10 kilograma¹⁸³. Córeczka państwa Presleyów miała ciemne

włosy i niebieskie oczy, a na imię dano jej Lisa Marie. Elvis starannie zaaranżował swój poranny przejazd z Gracelandu do szpitala, między innymi wypuszczając zajęcia, za którym pojechali reporterzy. W jasnoniebieskim garniturze i niebieskim golfie, pozdrowił wszystkich życzliwych zgromadzonych pod szpitalem, w którym odpoczywała po porodzie jego żona, a potem odjechał w konwoju lincolnów i cadillaców.

„Mnie się poszczęściło i mojej córeczce też się poszczęściło – powiedział – ale co z tymi wszystkimi noworodkami, które nie mają nic?”¹⁸⁴

Trochę ponad tydzień później, 12 lutego, tysiąc trzystu pracowników MPO i kanalizacji zastrajkowało. Śmierć Walkera i Cole’a była punktem zapalnym, ale organizatorzy strajku mieli długą listę skarg, które dalece wykraczały poza kwestie bezpieczeństwa. Domagali się wyższych zarobków, korzystniejszych godzin pracy, prawa do zrzeszania się oraz procedury rozstrzygania sporów. Chcieli, żeby zaczęto ich traktować jak pracowników sfery budżetowej, a nie „chłopców”. Był to spór pracowniczy z wyraźnymi podtekstami rasowymi, ponieważ prawie wszyscy pracownicy MPO i kanalizacji byli czarni.

Pora roku nieszczęśliwie sprzyjała rozpoczynaniu strajku przez śmieciarzy. Mówiono, że lepiej byłoby to zrobić w lecie, kiedy odpadki szybciej się rozkładają i potwornie cuchną. Na korzyść strajkujących działała jednak pewna głęboko zakorzeniona w miejskiej pamięci zbiorowa trauma. Od czasów epidemii żółtej febry w 1878 roku – jak wówczas sądzono, wywołanej przez gnijące śmieci składowane w otwartych szambach – miasto przywiązywało wielką wagę do utrzymywania ulic w czystości.

Władze miasta od początku nie uznawały roszczeń śmieciarzy ani nawet istnienia ich związku zawodowego. Szybko znalazło się kilku łamistrajków, ale nie nadążali z robotą i w całym mieście zaczęły się gromadzić odpadki. Burmistrz Memphis Henry Loeb przekonywał, że pracownikom miejskim nie wolno strajkować.

– Nie możecie tego robić – mówił do nich. – Łamiecie prawo. Sugeruję, żebyście wrócili do pracy¹⁸⁵.

Henry Loeb III był gadatliwym dryblasem z kanciastą szczęką, który podczas II wojny światowej dowodził kutrem torpedowym na Morzu Śródziemnym¹⁸⁶. Pochodził z rodziny milionerów, właścicieli pralni, restauracji i agencji nieruchomości. Jego żona Mary, pochodząca z bogatej rodziny plantatorów bawełny, w 1950 roku została królową Karnawału Bawełny. Loeb nie zasługiwał na miano rasisty – a już z całą pewnością nie można go porównywać do takich fanatyków jak Bull Connor – i bynajmniej nie należał do typowych wiecowych populistów. Po pierwsze kształcił się na wschodzie (w Phillips Academy w Andover i na Uniwersytecie Browna), a po drugie miał korzenie żydowskie, co wykluczało jego członkostwo w Memphis Country Club (mimo że niedawno przyjął chrzest i wstąpił do Kościoła episkopalnego, do którego należała jego żona).

Podobnie jak wielu innych potentatów biznesowych na Południu burmistrz Loeb do kwestii rasy pracowników podchodził z paternalizmem przypominającym czasy plantacyjne. Chociaż zawsze odnosił się do czarnych uprzejmie, odruchowo nazywał ich „nigras”. Najwyraźniej uważał, że w jego pięknym mieście nie występuje problem rasowy, ponieważ udało się uniknąć nieprzyjemnych historii, jakie wydarzyły się w Little Rock, Birmingham i Montgomery¹⁸⁷. Podczas jednej z wcześniejszych kadencji Loeb bezboleśnie wprowadził integrację w miejscowych placówkach publicznych, szkołach i restauracjach. Podbudowany tym

zasadniczo pozytywnym doświadczeniem wyznawał pogląd, że czarni w Memphis są *zadowoleni* – i będą zadowoleni, dopóki z północy nie przyjadą agitatorzy i nie zaczną podburzać miejscowych Murzynów.

Taka postawa dominowała zresztą wśród mieszkańców. Chyba najlepiej podsumowuje ją cykl rysunków satyrycznych, które codziennie ukazywały się na łamach „Commercial Appeal”. W *Hambone’s Meditations* [Medytacjach Hambone’a] autorstwa J. P. Alleya z Memphis niezbyt rozgarnięty Murzyn, ktoś w rodzaju mędrca-idioty, dzielił się z czytelnikami swoimi ludowymi mądrościami. Hambone, który był mocno na bakier z gramatyką, mówił rzeczy typu: „Nieważne, jaką masz gębę, byleś się uśmiechał!”.

Śmieciarze nie wydawali się bardzo różni od Hambone’a; wielu z nich było starszymi ludźmi, którzy mówili i zachowywali się podobnie jak on. Stanowili „najmniej prawdopodobny materiał na rewolucjonistów w całym świecie”, jak napisał w tamtych czasach dziennikarz Garry Wills¹⁸⁸. Nie mieli żadnego doświadczenia w protestowaniu. Tych niewykształconych ludzi z delty Missisipi niektórzy biali wciąż nazywali „*blue-gums*” – epitet ten oznacza człowieka, który drapie się tam, gdzie go nie swędzi, i śmieje się z rzeczy, które nie są śmieszne. Śmieciarze z Memphis przełamywali jednak ten stereotyp. Nie posłuchali burmistrza i nie chcieli wrócić do pracy. Dzień w dzień maszerowali główną ulicą – mijając nastroszonych policjantów i wrogo nastawionych kupców – pod ratusz, żeby przedstawić „*massa*”^[9] swoje skargi.

Burmistrz Loeb, uparty jak John Wayne, nie docenił powagi sytuacji. Memphis, przez wiele pokoleń rządzone przez sprawną maszynę polityczną, którą sterował wpływowy kacyk E. H. Crump, było ładnym, spokojnym i kulturalnym miastem, pełnym zielonych parków i pięknych zaułków. Crump zmarł w 1954 roku, ale jego pedantyczny duch przetrwał. Wszystko miało chodzić jak w zegarku, a ludzie mieli być mili. Trąbienie w Memphis było nie tylko niegrzeczne, ale i wręcz *nielegalne*.

– To nie jest Nowy Jork – mówił Loeb do strajkujących. – Nikomu nie wolno łamać prawa. Przypieracie mnie do muru, a ja nie zamierzam ustąpić ani o milimetr¹⁸⁹.

Nominalnym przywódcą strajku był obcesowy, otyły emerytowany śmieciarz T. O. Jones, narwaniec, którego niewątpliwa odwaga nie do końca rekompensowała brak rozeznania i doświadczenia. Ostatecznie strajkujących wsparli sprawniejsi organizatorzy, związkowcy z kierownictwa Amerykańskiej Federacji Pracowników Stanowych, Okręgowych i Miejskich. Moralną twarzą strajku okazał się jednak miejscowy pastor, intelektualista, który przypadkiem został legendarnym taktikiem ruchu praw obywatelskich, James Lawson.

Ten dawny znajomy Martina Luthera Kinga zasad nieposłuszeństwa obywatelskiego nauczył się podczas pobytu w Indiach, odegrał główną rolę podczas skutecznych strajków okupacyjnych w Nashville, a w 1960 roku jeździł do Wietnamu w ramach pierwszych misji pokojowych¹⁹⁰. Lawson traktował strajk śmieciarzy jako coś więcej niż protest pracowniczy, a mianowicie jako krucjatę na rzecz praw obywatelskich. Szybko zyskał znaczny posłuch.

– Jesteście ludźmi. Zasługujecie na godne traktowanie – mówił do strajkujących. – Nie jesteście niewolnikami. Jesteście ludźmi¹⁹¹.

Pewnego dnia, kilka tygodni po rozpoczęciu strajku, śmieciarze zaczęli nosić zainspirowany słowami Lawsona transparent, który zgrabnie podsumowywał ich walkę. Slogan znalazł żywy oddźwięk w Memphis, a potem w całym kraju. Brzmiał: „JESTEM CZŁOWIEKIEM”.

Na balkonie

W lutym 1968 roku, kiedy Martin Luther King jeszcze intensywniej niż zwykle jeździł po kraju, żeby wypromować Kampanię Biednych Ludzi, dla jego otoczenia stało się oczywiste, że pastor rozpaczliwie potrzebuje wakacji. Mówił tak jego lekarz, mówiła tak Coretta. Znajomi i współpracownicy zauważyli worki pod oczami, rozpacz w głosie, troskę na twarzy. King coraz bardziej wątpił w siebie i skuteczność działań ruchu. Bezsenność się nasiliła. W przemówieniach i kazaniach coraz częściej poruszał tematy związane ze śmiercią. Przeworsował nawet zapisanie w statucie SCLC, że gdyby coś mu się stało, ma go zastąpić jego najbliższy przyjaciel i prawa ręka Ralph Abernathy. Było wyraźnie widać, że King zaraz się rozsypie.

Ostatecznie sztabowcy postawili na swoim. Przyszła pora, żeby ich przywódca wyjechał w jakieś słoneczne okolice. Abernathy miał mu towarzyszyć. O tej porze roku zwykle spędzali tydzień na Jamajce, tym razem jednak King miał inny pomysł: polecą do Acapulco.

Wyruszyli w pierwszym tygodniu marca. Podczas lotu do Dallas King wdał się w spór z białym segregacjonistą z Karoliny Północnej¹⁹². Miał zasadę nie angażować się w bezsensowne potyczki słowne jeden na jednego, ale ten człowiek z jakiegoś powodu wyjątkowo go zdenerwował. W nietypowy dla siebie agresywny sposób King mówił, że celem Kampanii Biednych Ludzi jest zapobiegnięcie zamieszkom. Oczywiście nie przekonał swojego rozmówcy, ale po wylądowaniu w Dallas segregacjonista życzył mu powodzenia w Waszyngtonie i dodał:

– To może być ostatnia szansa na pański rodzaj biernego oporu.

Na schodach samolotu Abernathy zapytał Kinga:

– Po co tracisz czas na spory z takimi facetami? Przecież wiesz, że ich nie przekonasz.

– Już się z nimi nie patyczkuję, Ralph – odparł King rozdrażnionym tonem. – Nie obchodzi mnie, czy kogoś urażę¹⁹³.

Na lotnisku w Dallas King i Abernathy wstąpili do sklepu odzieżowego. Kiedy King zauważył, że jego przyjaciel podziwia kolekcję eleganckich krawatów, w przypływie szczodrości dał mu swoją kartę kredytową i powiedział:

– Kup jeden dla mnie i cztery czy pięć dla siebie. Które chcesz.

Poszedł do poczekalni, żeby do kogoś zadzwonić, a Abernathy kupił krawaty za prawie pięćdziesiąt dolarów.

Po południu wylądowali w Acapulco i zameldowali się w hotelu El Presidente, gdzie dostali apartament z balkonem wychodzącym na plażę Condesa i błękitny Pacyfik. Spędzili dzień na oglądaniu słynnych nurków skaczących z klifu, a potem zaczęli buszować po sklepach przy La Costera. King nadal był w sentymentalnym i niezwykle hojnym nastroju, który Abernathy uznał za uroczy, ale zaskakujący. Pastor chciał kupować wszystko, co wpadło mu w oko.

Po tym długim dniu padli na hotelowe łóżka. Abernathy obudził się w środku nocy, o trzeciej, z jakimś dziwnym przeczuciem¹⁹⁴. W półmroku zobaczył, że Kinga nie ma w łóżku.

Zmartwiony, sprawdził w łazience i salonie, ale nigdzie nie znalazł przyjaciela. Już chciał dzwonić do hotelowej ochrony, kiedy przypomniał sobie o balkonie.

Gdy otworzył rozsuwane drzwi, zastał tam Kinga w piżamie, opartego o poręcz i zatopionego w myślach. Stał obok, ale King chyba nie zarejestrował jego obecności. Abernathy i King byli razem od samego początku – od bojkotu autobusów w Montgomery i powołania SCLC. Poznali się w 1951 roku, kiedy Abernathy, urodzony w Alabamie weteran II wojny światowej, studiował socjologię. Od tego czasu razem maszerowali, razem dostawali po oczach gazem łzawiącym, razem wsadzano ich do więzienia. Podczas nieustannych podróży prawie zawsze mieszkali w tym samym pokoju hotelowym. Byli nierozłącznymi przyjaciółmi. Tworzyli zespół; „każdy z nas bez drugiego jest jak kaleka”, powiedział Abernathy¹⁹⁵. Ale przez wszystkie te burzliwe lata Abernathy nigdy tak bardzo nie martwił się o przyjaciela. Miał obawy, że King dostał kolejny list od FBI z zachętą do popełnienia samobójstwa¹⁹⁶. Bał się, że opartemu o barierkę Kingowi chodzi po głowie taka decyzja.

– Martin, co ty tutaj robisz o tej porze? Co cię dręczy?

King początkowo nie odpowiadał. Stał z dłońmi na poręczach i wpatrywał się w ocean.

– Widzisz tę skałę? – zapytał w końcu¹⁹⁷.

Abernathy spojrział we wskazanym kierunku i zobaczył sterczącą pośród wód zatoki wielką skałę, obryzgiwaną przez fale.

– Tak, widzę – odparł zaskoczony.

– Jak myślisz, od kiedy tam jest?

– Nie mam pojęcia. Od wieków. Pewnie Bóg ją tam postawił.

Fale z szumem rozbijają się o kamień.

– Wiesz, o czym myślę? – zapytał King.

– Nie bardzo. – Niepokój Abernathy’ego powoli przeradzał się w irytację. – Powiedz mi.

– Nie potrafisz odgadnąć, o czym myślę, patrząc na tę skałę?

Abernathy pokręcił głową – ta zgadywanka zaczęła go solidnie wkurzać.

King zaczął śpiewać:

– „Skała wieków, coś dla mnie się rozszczepiła, pozwól, by moja dusza w Tobie się ukryła”.

Abernathy nareszcie zrozumiał. Był to stary hymn, który wcześniej śpiewali wiele razy, rozważania o nadchodzącej śmierci, o znalezieniu pociechy w ostatnich godzinach. Chociaż teraz był już ciężko spanikowany, przyłączył się do Kinga i przez jakiś czas starzy przyjaciele razem śpiewali pieśń, którą unosiła morska bryza w Acapulco:

Gdy po raz ostatni oddechu zaczerpnę,
Gdy moje oczy zamkną się pośmiertnie,
Gdy mnie świat nieznany pochłonie,
Gdy ujrzę Ciebie na sędziego tronie,
Skała wieków, coś dla mnie się rozszczepiła,
Pozwól, by ma dusza w Tobie się ukryła^[10].

Twarze to moja specjalność

Jednym z poradników, które pastor Xavier von Koss polecił Ericowi Galtowi, była *Psycho-Cybernetics* autorstwa doktora Maxwella Maltza, wydanie broszurowe w jaskrawopomarańczowej okładce. Opisywała „nową technikę wykorzystywania mocy podświadomości” dzięki niedawnym odkryciom z raczkującego świata komputerów.

Galt uważnie przeczytał lekturę. W tej dziwnej książeczce doktor Maltz snuł analogie między osobowością człowieka a takimi „serwomechanizmami” jak komputer elektroniczny. Przekonywał, że człowiek może mieć szczęśliwsze, bardziej satysfakcjonujące życie, jeżeli wykorzysta bezwzględnie ukierunkowane na cele procesy, za których pomocą „serwomechanizmy” wykonują wyznaczone im zadania i rozwiązują problemy obliczeniowe.

„Twój mózg i system nerwowy stanowią dążący do osiągnięcia celów mechanizm, który działa automatycznie”, napisał¹⁹⁸. Zasadnicza teza Maltza mówiła, że podobnie jak komputer osobowość człowieka dąży do osiągnięcia centralnego, nadrzędnego celu. „Automatyczny mechanizm twórczy w twoim wnętrzu może działać tylko w jeden sposób: musisz celować do jakiejś tarczy”¹⁹⁹.

Tajemnicą szczęścia i spełnienia, twierdził Maltz, jest „wymazanie z pamięci wszystkich dawnych porażek” i wzbudzenie w sobie „tęsknoty za przyszłością”. „Pożądany rezultat należy nieustannie mieć przed oczyma”, agresywnie korzystać z każdej możliwości zbliżenia się do niego. „Musisz przejść do ofensywy”, podkreślał, i sterować umysłem, tak jak mózg elektroniczny steruje bronią samonaprowadzającą. Napisał, że mechanizm dążący do osiągnięcia celu „działa bardzo podobnie jak samosterująca torpeda czy rakietą, która namierza cel i skręca w jego stronę”.

Doktor Maltz lubił przytaczać sentencję Emersona: „Zacznij działać, a moc przyjdzie sama”. Cel nie może być jakąś odległą abstrakcją, o której ogólnikowo marzymy, ale nie podejmujemy konkretnych działań. Musi to być ostry bodziec do intensywnej działalności i wzmoczonego wysiłku.

„Nie myśl przed działaniem. *Działaj* i na bieżąco koryguj swoje działania – radził. – Wszystkie serwomechanizmy *muszą* funkcjonować w ten sposób. Torpeda nie »przemysłiwuje« wcześniej wszystkich swoich błędów. Najpierw musi zacząć działać, ruszyć w stronę celu, a dopiero potem koryguje ewentualne błędy”²⁰⁰.

Co dziwne, doktor Maltz nie był ani psychologiem, ani informatykiem; był chirurgiem plastycznym. Przez lata kroił twarze pacjentów oparzeniowych, osób z wrodzonymi deformacjami, ofiar wypadków samochodowych i nieszczęśliwych z zajęczymi wargami i rozszczepionymi podniebieniami.

Kochał swoją pracę i twierdził, że u wielu pacjentów po zabiegu następowała radykalna przemiana osobowości – rozpromieniali się, rozkwitali i zaczęli skuteczniej dążyć do swoich celów. „Kiedy zmienisz czyjaś twarz, prawie zawsze zmieniasz jego przyszłość – napisał. –

Chirurg plastyczny zmienia nie tylko twarz człowieka, lecz także jego wnętrze. Skalpel często sięga głęboko w duszę”²⁰¹.

5 marca, być może pod wpływem lektury *Psycho-Cybernetics*, Galt odwiedził znanego chirurga plastycznego doktora Russella Hadleya, który miał gabinet przy Hollywood Boulevard²⁰². Ten misiowaty, sympatyczny człowiek, lekarz wojskowy podczas II wojny światowej, wykładał medycynę na Uniwersytecie Południowej Kalifornii. Galt zapisał się na rynoplastykę – korektę nosa.

Galt chciał, żeby jego nos został przykrojony do mniej cebulowatej postaci. Kiedy doktor Hadley zapytał dlaczego, odparł, że jest aktorem i musi poprawić swoją urodę, ponieważ zaczyna dostawać oferty ról w reklamach telewizyjnych. „Powiedziałem mu rzeczowym tonem – wspominał później – że liczę na to, iż zabieg poprawi moje perspektywy zawodowe. Lekarz nie dostrzegł w tym niczego nadzwyczajnego”²⁰³.

Galt chciał poprawić również inne rzeczy – przede wszystkim odstające uszy, których zawsze się wstydził – ale zabiegi te zarezerwował sobie na inny dzień.

– Uszy będą musiały zaczekać – powiedział²⁰⁴.

Gdy doktor poinformował, że rynoplastyka kosztuje dwieście dolarów, Galt zapłacił od ręki gotówką. W formularzu medycznym w rubryce „Adres” napisał: „Hotel Saint Francis”, a jako najbliższego krewnego wymienił Carla L. Galta z Birmingham w Alabamie.

Hadley jak zawsze zrobił Galtowi zdjęcie „przedtem”, aby je porównać ze zdjęciem „potem”, wykonywanym po całkowitym wygojeniu się blizn. Następnie, w masce i fartuchu chirurgicznym, zrobił mu miejscowe znieczulenie, napchał do nosa wacików nasączonych kokainą i za pomocą precyzyjnych skalpeli i narzędzi odsysających w małym gabinecie zabiegowym przeprowadził rynoplastykę. Trwało to około godziny. Po założeniu szwów i zabandażowaniu otartej tkanki doktor Hadley odesłał Galta do domu.

Wszystko przebiegło zgodnie z planem, ale Galt nie był do końca zadowolony. Po powrocie do hotelu zdjął bandaż, stanął przed lustrem i postanowił dokonać poprawek. Nacisnął rozpaloną chrząstkę nosa, wyginając go trochę w prawo. Musiało go to strasznie zboleć, ale uznał, że niektóre elementy korekty należy uwydatnić. Przykleił plastrem nos, jak to później ujął, „w pozycji wywierającej większy nacisk na koniec”, licząc na to, „że po zagojeniu się przybierze bardziej rzymski, orli kształt”²⁰⁵.

7 marca poszedł na wizytę kontrolną, podczas której usunięto mu waciki z nosa, a 11 marca na zdjęcie szwów. Lekarz stwierdził, że rany „dobrze się goją”.

Następną wizytę doktor Hadley wyznaczył za kilka tygodni – podczas tej kontroli pacjent miał pozować do zdjęcia „potem” – ale Eric Galt już nigdy nie zjawił się w gabinecie doktora Russella Hadleya.

Mimo że Galt spędził pod opieką Hadleya – który chlubił się doskonałą pamięcią do twarzy – wiele godzin, szczegóły jego fizjonomii szybko uleciały mu z pamięci. „Jestem dosyć spostrzegawczy – powiedział później. – Twarze to mój zawód. Ale w tym przypadku stało się coś zdumiewającego: choćbym nie wiem jak się starał, niczego sobie nie przypominam na temat Erica S. Galta”²⁰⁶.

Parę dni później w Los Angeles przebywał również Martin Luther King; zatrzymał się w hotelu oddalonym zaledwie o kilka kilometrów od Saint Francis. 16 marca wygłosił odczyt na zebraniu

Kalifornijskiej Rady Demokratycznej w hotelu Disneyland w Anaheim, gdzie pochwalił wiwatującą publiczność za poparcie kandydatury senatora Eugene'a McCarthy'ego na prezydenta (mimo że sam oficjalnie tego nie zrobił). Potem rzucił kilka lekceważących uwag na temat Lyndona Johnsona, które trafiły do mediów.

– Rząd jest emocjonalnie nastawiony na prowadzenie wojny – powiedział – ale emocjonalnie wrogi wobec potrzeb ludzi biednych²⁰⁷.

Wspomniano o tym w lokalnych wiadomościach telewizyjnych, a także na łamach „Los Angeles Times”, ale jego wypowiedzi w dużym stopniu przyćmiła formalna deklaracja Roberta Kennedy'ego, wygłoszona tego samego dnia w Waszyngtonie, że będzie się ubiegał o prezydenturę.

Następnego dnia, w niedzielę 17 marca, w Dniu Świętego Patryka, King wygłosił kazanie zatytułowane „Znaczenie nadziei” w kościele w Los Angeles. Stwierdził, że nienawiść, zarówno ze strony białych, jak i ze strony czarnych, staje się chorobą narodową.

– Widziałem nienawiść – powiedział do wiernych – na zbyt wielu twarzach: na twarzach szeryfów z Południa i na twarzach członków Stowarzyszenia Johna Bircha z Kalifornii. Nienawiść jest zbyt ciężkim brzemieniem. Ja nie potrafię nienawidzić²⁰⁸.

Tego samego dnia pastor James Lawson z Memphis dozwonił się do Kinga, który przebywał wtedy w swoim hotelu. Miał do niego pilną sprawę: chciał, żeby przyjaciel przyleciał do Memphis i przemówił do strajkujących śmieciarzy. Strajk trwał już od ponad miesiąca i według Lawsona wchodził w fazę kryzysową. Parę dni wcześniej, podczas pokojowego marszu główną ulicą miasta, policja zaatakowała śmieciarzy gazem łzawiącym i pałkami. Burmistrz Loeb dolewał oliwy do ognia i robiło się coraz bardziej niebezpiecznie. Czy King mógłby pomóc?

Pastor zapytał, kiedy ma przyjechać.

Lawson odparł, że im wcześniej, tym lepiej, i dodał, że na następny wieczór, 18 marca, zaplanowano masowy wiec. Powiedział Kingowi, że jeżeli przyjedzie, może się spodziewać, że przemówi do co najmniej dziesięcioletniego tłumu. Stwierdził, że to, co się dzieje w Memphis, doskonale wpisuje się w dążenia Kinga w ramach Kampanii Biednych Ludzi – jest to połączenie kwestii rasowych i socjoekonomicznych. Uważał, że King powinien to zobaczyć na własne oczy.

Tak się złożyło, że na następny dzień King już wcześniej miał zaplanowaną podróż po stanie Missisipi, więc uznał, że zahaczenie o Memphis zasadniczo nie wydłuży jego marszruty.

Lawson usłyszał w tle narzekania współpracowników Kinga. Wśród utyskujących był Andrew Young, wiceprezes SCLC, który uznał, że wyjazd do Memphis to próba odciążenia Kinga od ważniejszych spraw, a może nawet pułapka; King powinien się skupić na głównym celu – marszu w Waszyngtonie. Na ten miesiąc mieli już o wiele za dużo umówionych spotkań, a King był wyczerpany nieustannym podróżowaniem. Young wiedział, że King ma niepoprawny zwyczaj wplątywania się w lokalne konflikty przez przyjmowanie „tylko tego jednego małego zaproszenia do wygłoszenia tylko tej jednej małej przemowy”.

Ale King zbagatelizował zastrzeżenia Younga i innych współpracowników. Powiedział Lawsonowi to, co tamten chciał usłyszeć. Zmienił trasę i następnego dnia poleciał do Memphis, żeby zdążyć na wiec. To tylko jeden wieczór – świat się od tego nie zawali.

W tym samym momencie, kiedy King kilka kilometrów dalej wygłaszał niedzielne kazanie, Eric Galt zszedł do recepcji hotelu Saint Francis i poinformował, że opuszcza pokój. Wypełnił

oficjalny druk z wnioskiem o przesyłanie poczty na *poste restante* w Atlancie²⁰⁹. Ta zmiana adresu do doręczeń musiała zaskakiwać: Eric Galt nie miał żadnych osobistych powiązań ze stanem Georgia i najprawdopodobniej nigdy w życiu nie był w Atlancie.

Od ostatniej wizyty u doktora Hadleya minął tydzień. Ślady po szwach na nosie prawie zniknęły i Galt czuł się wśród ludzi swobodniej. Tego dnia załatwił kilka spraw w ramach przygotowań do podróży na drugi koniec kraju. Następnego dnia rano, w poniedziałek 18 marca, wrzucił do samochodu cały swój dobytek: radio tranzystorowe Channel Master, przenośny telewizor Zenith, sprzęt fotograficzny, gadżety erotyczne i poradniki. Podjechał do mieszkania Marie Tomaso po pudło z ubraniami, które miał na jej prośbę zawieźć jej rodzinie w Nowym Orleanie.

Potem ruszył swoim mustangiem na wschód, w stronę rodzinnego miasta Martina Luthera Kinga.

Coś wisi w powietrzu

King poleciał na wschód późnym popołudniem 18 marca. Wylądował w Memphis w samą porę, żeby zdążyć przemówić do osób zgromadzonych w Mason Temple, ogromnym kościele zielonoświątkowców w centrum miasta. Lawson nie przesadził z liczbą obecnych – przeciwnie, mocno jej nie doszacował. Kiedy King wszedł do olbrzymiej świątyni i stanął za mównicą, zobaczył przed sobą ponad piętnaście tysięcy wiwatujących fanów.

Kiedy wrzawa ucichła, powitał śmieciarzy i pogratulował im walki.

– Okazuje się – zaczął – że wszyscy mamy na sobie jedną szatę przeznaczenia i jeżeli jedna czarna osoba upadnie, wszyscy upadniemy. Przypominacie nie tylko Memphis, ale całemu narodowi, że to zbrodnia, aby mieszkańcy tego bogatego kraju otrzymywali głodowe pensje²¹⁰.

Chłonął fale energii, które płynęły do niego od publiczności. Nikt nie buczał, nikt nie przeszkadzał. Publiczność go uwielbiała i wszyscy zdawali się stać murem za strajkującymi – zamiast tac po kościele krążyły wielkie kosze na śmieci, do których wrzucano datki.

– Chcę, żebyście przetrwali – powiedział King – dopóki burmistrz Loeb nie powie „tak”, chociaż na razie chce powiedzieć „nie”.

Przemawiał przez godzinę, prawie bez notatek. Wyjaśnił, że Memphis wpisuje się w szerszą walkę, która jest teraz najważniejsza dla jego ruchu – walkę o sprawiedliwość ekonomiczną symbolizowaną przez nadchodzącą Kampanię Biednych Ludzi.

– Po Selmie i ustawie o prawach wyborczych – powiedział – zakończyła się pewna epoka. Teraz walczymy o autentyczną równość, czyli równość *ekonomiczną*. Jaką człowiek ma korzyść z tego, że w jadłodajniach zniesiono bariery rasowe, skoro nie stać go na kupienie sobie kawy?

King sformułował akt oskarżenia przeciwko społeczeństwu amerykańskiemu – jak to możliwe, że tak bogaty i technologicznie rozwinięty naród nie dostrzega nędzy swoich najuboższych obywateli?

– Stawiamy gigantyczne budynki, które dotykają nieba, i potężne mosty rozpięte nad morzami. Naszymi statkami kosmicznymi wytyczamy w stratosferze autostrady. Nasze okręty podwodne przemierzają morskie tonie. Wydaje się jednak, że słyszę, jak Bóg wszechświata mówi: „Zrobiliście to wszystko, ale byłem głodny, a nie nakarmiliście mnie. Byłem nagi, a nie odzialiście mnie. Nie wejdziecie więc do Królestwa Niebieskiego”.

King odszedł na chwilę od mikrofonu, żeby skonsultować się z Lawsonem, po czym zakończył swoje przemówienie deklaracją, która nie spodobała się jego współpracownikom: za kilka dni wróci do Memphis, aby stanąć na czele potężnego marszu poparcia dla śmieciarzy.

– Poprowadzę was przez centrum miasta – powiedział. – Chcę, żeby jak najwięcej ludzi poszło do pracy i przyłączyło się do mnie razem z rodzinami i dziećmi.

Tłum oszalał i twarz Kinga się rozjaśniła. Był zachwycony panującą w Memphis atmosferą. Wydawało się, że wszyscy ludzie zgromadzeni w wielkim kościele są uśmiechnięci – wszyscy

oprócz Ralpa Abernathy'ego i Andrew Younga, którzy mogli jedynie przewrócić oczami i pomyśleć: „Tylko jedno małe przemówienie...”.

Prawdę powiedziawszy, King miał mieszane uczucia co do Memphis, miasta, które wcześniej wielokrotnie odwiedził. Bardzo różniło się od Atlanty, było mniej cywilizowane, bardziej młodzieżowe, zamieszkane przez ludzi biedniejszych i mających więcej wspólnego z polami bawełny. Po raz ostatni King zatrzymał się tutaj na dłużej w czerwcu 1966 roku. James Meredith, który cztery lata wcześniej zyskał ogólnokrajową sławę jako pierwszy Afroamerykanin studiujący na Uniwersytecie Missisipi, podjął samotny marsz z Memphis do Jackson – nazwał to Marszem przeciwko Strachowi – żeby zaprotestować przeciwko brutalności wobec czarnych. Po drodze został postrzelony przez jakiegoś białego fanatyka; poważnie, lecz nie śmiertelnie ranny stał się ofiarą tego, przeciwko czemu protestował. King dołączył do grupy działaczy na rzecz praw obywatelskich w Memphis i kontynuował przerwana przez Mereditha wędrówkę. W potwornym upale dotarli do samego Jackson, ale na mecie powitano ich gazem łzawiącym, a ponadto wydarzenie to pogłębiło konflikt między Kingiem a rosnącym w siłę ruchem Black Power Stokely'ego Carmichaela. King niezbyt dobrze wspominał tę historię.

Podczas tamtego pobytu w Memphis nocował tam, gdzie zawsze – w należącym do murzyńskich właścicieli motelu Lorraine, położonym kilka przecznic od rzeki na południowym krańcu centrum. King i jego świta udali się tam po przemówieniu w Mason Temple.

Lorraine od dawna był popularny wśród muzyków nagrywających dla wytwórni Stax, wykonawców gospel i wędrownych pastorów²¹¹. Zatrzymali się tutaj Count Basie, Ray Charles, The Staple Singers, Otis Redding, Aretha Franklin, Cab Calloway, Sarah Vaughan, Louis Armstrong i Nat „King” Cole. W starej części budynku – *hotelu* Lorraine – mieścił się kiedyś biały burdel²¹². W połowie lat czterdziestych obiekt zakupiło małżeństwo Walter i Loree - Baileyowie, które ciężko pracowało nad przywróceniem mu dawnej reputacji, dobudowując nowoczesne skrzydło motelowe.

King lubił tamtejszą domową atmosferę. Podobało mu się, że można było pójść do kuchni o dowolnej godzinie i zamówić, co się chciało. Zatrzymywał się tam co najmniej kilkanaście razy. Baileyowie stali się dla niego jak rodzina. Wynajęcie pokoju kosztowało trzynaście dolarów za noc, ale oni nie chcieli przyjmować od Kinga pieniędzy.

King z reguły brał pokój 306, na pierwszym piętrze, na środku długiego balkonu. Abernathy nazywał go apartamentem Kinga–Abernathy'ego²¹³. Niewielki, z dwoma pojedynczymi łózkami, tanimi duńskimi meblami i czarnym telefonem z tarczą, był urządzony w typowym dla lat sześćdziesiątych stylu, który jak później powiedział Andrew Young, „wtedy wydawał się taki nowoczesny, a dzisiaj wydaje się taki okropny”²¹⁴.

King, Abernathy, Young i kilku innych współpracowników długo nie kładli się spać, rozmawiali z miejscowymi pastorami i planowali nadchodzącą demonstrację. Postanowiono, że przejdą Beale Street, sławną aleją bluesa. Organizacją marszu pod przewodnictwem Kinga mieli się zająć Lawson i przywódcy Amerykańskiej Federacji Pracowników Stanowych, Okręgowych i Miejskich. Po tym, co zobaczył tego wieczoru w kościele, King tryskał optymizmem. Od czasów Selmy nie brał udziału w wydarzeniu, które przebiegałoby w tak wspaniałej atmosferze.

Następnego dnia King i jego ekipa wstali wcześniej rano i ruszyli na południe w najbardziej niebezpieczne regiony delty, aby rozpocząć szybkie tournée po stanie Missisipi i niektórych częściach Alabamy.

Zaczęli od Clarksdale, stolicy krainy bluesa – według jednej z wersji legendy młody Robert Johnson spotkał o północy diabła w knajpie The Crossroads i sprzedał mu duszę w zamian za lekcje gry na gitarze. King miał łzy w oczach na widok nędzy w plantacyjnych osadach pełnych naprędcie skleconych bud, otoczonych podmokłymi, leżącymi odłogiem polami bawełny.

Później przenieśli się na wiec w Jennings Temple w Greenwood, miejscowości również związanej z Robertem Johnsonem. W 1938 roku tuż pod Greenwood ten wędrowny bluesman, który nie skończył jeszcze trzydziestu lat, zmarł makabryczną śmiercią, prawdopodobnie otruty strychniną, którą miał mu dosypać do whisky wścickły właściciel knajpy z szafą grającą. Inny muzyk relacjonował później, że Johnson przed śmiercią „czołgał się po podłodze i szczekał jak pies”.

Dla Kinga była to kraina upiorów, oddalona tylko o kilka kroków od niewolnictwa, idealne miejsce na start Kampanii Biednych Ludzi.

Za trzy dni miał wrócić do Memphis.

W ten wietrzny wiosenny dzień 22 marca Eric Galt przyjechał swoim mustangiem do Selmy w stanie Alabama. Po wyprawie przez cały kontynent był wykończony i chciał zmyć z siebie brudy podróży. Jazda z Los Angeles zajęła mu cztery dni. Wybrał trasę południową przez kolczaste pustynie południowego zachodu i przez Teksas. Na jedną noc zatrzymał się w Nowym Orleanie, gdzie zgodnie z obietnicą podrzucił pudło z ubraniami rodzinie Marie Tomaso.

Po wjeździe do Selmy skręcił na parking motelu Flamingo, przy drodze krajowej 80, niedaleko centrum miasta, i zameldował się jako „Eric S. Galt”²¹⁵.

Wszedł do pokoju i spojrzał przez okno na przejeżdżające szosą samochody. Motel znajdował się tylko kilka przecznic od mostu Edmunda Pettusa, przez który trzy lata wcześniej Martin Luther King poprowadził kilkusetosobowy marsz prosto w paszczę konnej policji wysłanej przez gubernatora Wallace’a.

Selma, piaszczyste miasto rolnicze nad rzeką Alabama, w czasach wojny domowej była ważnym węzłem kolejowym i ośrodkiem produkcji zbrojeniowej – wytwarzano tam pociski artyleryjskie, saletrę, a nawet pancerniki. W ostatnich dniach wojny Nathan Bedford Forrest bezskutecznie próbował bronić fabryk zbrojeniowych przed pochodniami wroga. Ogólnoświatową sławę Selma zawdzięczała jednak ruchowi praw obywatelskich, o czym Galt musiał wiedzieć. Oburzeni maszerujący przeszli koło tego motelu ciągnącą się za oknami szosą – drogą krajową 80 – do stolicy stanu, Montgomery, żeby przedstawić swoje skargi ukochanemu przez Galt gubernatorowi Wallace’owi. Marsz z Selmy do Montgomery pod pewnymi względami był zwieńczeniem działań ruchu praw obywatelskich. Starcie na moście Pettusa wstrząsnęło narodem i doprowadziło do podpisania przez prezydenta Johnsona historycznej ustawy o prawie wyborczym z 1965 roku.

Dlaczego Galt przyjechał do Selmy? Co miał do załatwienia w tej silnie zabarwionej rasistowskimi konotacjami miejscowości w Alabamie, w tym dawnym arsenale Konfederacji, z jego sypiącymi się rezydencjami sprzed wojny domowej i dębami porośniętymi oplątą? Nie interesował się zbytnio wojną domową, a już z całą pewnością nie był miłośnikiem ruchu praw obywatelskich. Nie jest łatwo przypadkiem trafić po drodze do Selmy. Miasto nie leży przy żadnej z głównych dróg między Nowym Orleanem, Birmingham i Atlantą, celem podróży Galt. Coś go jednak zainteresowało na tyle, że zdecydował się nadłożyć drogi – prawie sto kilometrów – i spędzić tam noc.

Istnieje jedna poszlaka. Tego dnia rano Galt obudził się w Nowym Orleanie, gdzie miejscowa gazeta „Times-Picayune” poinformowała, że Martin Luther King ma w tym właśnie dniu pojawić się w Selmie i werbować kandydatów do Kampanii Biednych Ludzi. O planach Kinga zawiadomywały również inne gazety i stacje telewizyjne na całym Południu.

Wniosek nasuwa się sam: nadkładając drogi i pędząc do niewielkiej Selmy w ten konkretny dzień, Eric Galt *tropił* Martina Luthera Kinga. Ale w jakim celu? Uzbrojony tylko w swój japońskiej produkcji rewolwer Liberty Chief, z pewnością nie myślał o zabiciu pastora, przynajmniej jeszcze nie teraz. Byłoby to za bardzo ryzykowne. Używając broni krótkiej, musiałby strzelać z bliska, więc z dużym prawdopodobieństwem zostałby schwytany, chyba że zdołałby zaskoczyć Kinga samego.

Z pewnością jednak nie uszedł jego uwagi potężny wymiar symboliczny, jaki miałyby zabicie Kinga w Selmie. Wiele osób, które myślały tak jak Galt, uznałoby za pyszny paradoks, że z mora George’a Wallace’a została unicestwiona w tym samym miejscu, w którym doszło do najbardziej znanego przypadku znieważenia autorytetu gubernatora i honoru jego stanu.

Wydaje się jednak znacznie bardziej prawdopodobne, że Galt przyjechał do Selmy, żeby zorientować się w zachowaniach ekipy Kinga. Chciał sprawdzić, jak pastor podróżuje, jak się przemieszcza, czy ma wokół siebie ochroniarzy i jak postępuje policja. Jakie są słabe punkty Kinga? Jakim samochodem jeździ i w jakim konwoju? Jak długo przemawia przed publicznością? Wizyta Kinga w Selmie byłaby dla Galta czymś w rodzaju próby technicznej.

Być może Galt chciał również osobiście zobaczyć i usłyszeć Kinga, żeby podsyć w sobie gniew na tego człowieka i jego ruch. Jednak do spotkania z namierzoną przez Galta ofiarą nie doszło. King nie dotarł do Selmy i przemówienie odwołano. Werbując rekrutów do Kampanii Biednych Ludzi, przedłużył swój pobyt w oddalonym o sześćdziesiąt kilometrów miasteczku Camden i ostatecznie spędził tam noc (nie można oczywiście wykluczyć, że Galt jakimś sposobem dowiedział się o tej zmianie planów dostatecznie wcześniej, aby zdążyć na wystąpienie Kinga w Camden, ale nie ma na to żadnych dowodów).

Kiedy sfrustrowany Galt obudził się następnego dnia rano w Selmie, zaczął rozważać, jakie ma możliwości. Gazety donosiły, że laureat Nagrody Nobla wraca teraz do domu. Skoro King nie przyszedł do Galta, to Galt przyjdzie do Kinga. Galt nie przedłużył więc pobytu w motelu Flamingo i suchymi drogami ruszył na północny wschód, w stronę Atlanty.

Rano 22 marca, w dzień zaplanowanego marszu przez Beale Street, oczom mieszkańców Memphis ukazał się niezwykle widok. Przez noc spadły czterdzieści trzy centymetry śniegu, który stłamsił żonkile, zamroził kwiecie azalii i przygiął do ziemi gałęzie magnolii. Śnieg był w Memphis raczej rzadkością, zwłaszcza w marcu, a tutaj doszło do wydarzenia, które nadawało się do księgi rekordów: była to druga największa śnieżycyca w całych dziejach miasta. Memphis stanęło. Zamknięto szkoły, fabryki i urzędy państwowe, w całym regionie dochodziło do przerw w dostawach prądu. Jak to ujął pewien dowcipniś, natura zastrajkowała²¹⁶.

Lawson przekazał Kingowi, że to dopust boży i marsz trzeba będzie przełożyć.

– Ale chciałeś, żeby ludzie nie poszli do pracy, to nie poszli! – zażartował²¹⁷.

Lawson i King wyznaczili nowy termin marszu – czwartek 28 marca.

Gazety nazywały to Dniem Wielkiego Śniegu. Znany murzyński pastor z Memphis powiedział: „Nasz Pan znowu to zrobił – świat jest biały”²¹⁸. Wielu mieszkańców Memphis ucieszyło się ze śnieżycy, która oznaczała chwilę wytchnienia od napięć społecznych, ale inni

widzieli w niej zły znak. „Śnieg nigdy nie padał tak późno w marcu – powiedział jeden ze zwolenników strajku. – Niektórzy z nas czuli, że coś wisi w powietrzu i stanie się coś strasznego”²¹⁹.

Dwa dni później Eric Galt przyjechał do Atlanty i mimo że w ogóle nie znał tego miasta, szybko znalazł odpowiednią dla siebie dzielnicę – czyli zaniedbaną, cuchnącą i taną. W dowolnym miejscu świata na kilometr wyczuwał zapyziałe miejsca. Była niedziela 24 marca. Znalazł pokój do wynajęcia przy Czternastej Ulicy 113, przecznicy Peachtree Street koło parku Piedmont w centrum²²⁰. Ta nieco rozmemłana część Atlanty ostatnio przekształcała się w dzielnicę hipisowską – a przynajmniej za taką uchodziła w tym kwitnącym mieście wykrochmalonych kołnierzyków, prężnych biznesmenów i konserwatywnych baptystów, które kilka lat wcześniej wzięło na swoje sztandary buńczuczne hasło: „Miasto zbyt zapracowane, żeby nienawidzić”. Atlanta, siedziba Coca-Coli, linii lotniczych Delta i innych dużych korporacji, stała się dumnym symbolem Nowego Południa; było to miasto bezkompromisowego komercjalizmu i często fałszywego wyrafinowania, ale także, i to na wielu obszarach, zaskakującej tolerancji rasowej – do tego stopnia, że wybitny eseista z Południa John Shelton Reed napisał: „Za każdym razem, kiedy patrzę na Atlantę, widzę to, czemu miało zapobiec ćwierć miliona poległych żołnierzy Konfederacji”²²¹.

Centralnie położona dzielnica, w której zamieszkał Galt, wyłamywała się jednak z tego schematu. Była to niechlujna okolica dealerów narkotyków i lombardów, ulicznych artystów i żebraków, mieszkań komunalnych i sklepów z płytami, barów przy Peachtree, z których wylewały się pierwsze brzmienia południowego rocka, jak to później nazwano. Galt nie był tym wszystkim zainteresowany. Nie znosił „długowłosych”, jak nazywał hipisów, ani ich muzyki – a szczególnie gardził ich polityką protestu, jednym z dyżurnych obiektów szyderstw George’a Wallace’a. Nie licząc zakazanych narkotyków, których był zarówno handlarzem, jak i użytkownikiem, obyczaje kontrkultury były mu obce, a ponadto sprzeczne ze wszystkim, co głosił Wallace.

Mimo to Galt czuł się u siebie w tej części miasta, ze znajomymi klimatami drobnej przestępczości. W takiej okolicy, jak napisał, „człowiekowi nie zadają zbyt wielu pytań”²²². W butach z imitacji skóry aligatora i często pranym ciemnym garniturze musiał wyglądać na sztywniaka, ale był cwany kombinatorem, który umiał sobie radzić na tych ulicach. Mógł tutaj wyżebrać, pożyczyć albo ukraść wszystko, czego potrzebował, żyć oszczędnie i pozostać anonimowy, dopóki okoliczności będą tego wymagały.

Zostawił mustanga na żwirowym parkingu i przez porośniętą chaszczami działkę wszedł do czynszówki z pnączami zbrązowiałego bluszczu wczepionymi bezwładnie w tanie azbestowe ściany. Za półtora dolara za noc wynajął smętny pokoik z wygniecionym łóżkiem, umywalką z zaciekami i małą poobijaną komodą. Pokój 2 znajdował się na parterze i miał w oknie metalowe żaluzje.

Galt zapłacił za tydzień z góry – wysupłał niebagatelną sumę dziesięciu i pół dolara. Zaniósł do pokoju przenośny telewizor, radio tranzystorowe i ubrania – jak zawsze czyste i starannie złożone – i zaczął prowadzić gospodarstwo pośród tego morza plugawości.

Kierownik czynszówki, pijak z Missisipi Jimmie Garner, był w trakcie długiego ciągu alkoholowego. Ponieważ wielu wcześniejszych najemców zaliczało się do kategorii niezbyt higienicznych – „mieliśmy tam po prostu inwazję hipisów” – porządny Galt zrobił na

gospodarzu doskonale wrażenie²²³. Garner uznał, że elegancko ubrany nowy lokator wygląda „jak pastor”; stwierdził: „Ten człowiek nie miał w sobie niczego odbiegającego od normy”²²⁴. Był spokojny, dobrze wychowany i nie sprawiał kłopotów. Garner zauważył jednak, że jego gość jest zawsze sam i niezbyt chętnie opowiada o sobie.

– Z czego pan żyje? – zapytał go któregoś dnia.

– Z wszystkiego po trochu; na przykład przez jakiś czas spawałem w Karolinie – odparł Galt, a zdawkowość jego wypowiedzi jednoznacznie wskazywała, że nie chce być odpytywany.

Przez pierwsze cztery dni wychodził i wracał, czasem jechał gdzieś mustangiem, czasem chodził na piechotę. Większość czasu spędzał jednak w swoim pokoju, z zaciągniętymi żaluzjami.

Co robił w czterech ścianach przez te pierwsze dni i noce? Jeśli to, co zwykle, to czytał gazety, oglądał telewizję, słuchał radia, a żywił się solonymi krakersami, konserwami i zupą w proszku. Wiadomo, że kupił puszkę skondensowanego mleka, butelkę francuskiego dressingu do sałatek i opakowanie mrożonej fasoli. Miał swoje poradniki, w tym ukochaną *Psycho-Cybernetics*. Zamierzał osiąść tam na dłużej, ale zapisywane na kopercie liczby wskazywały, że ma coraz większe kłopoty z gotówką.

Któregoś dnia kupił szczegółowy plan Atlanty i zaczął go dokładnie studiować. Z pewnością spędził sporo czasu na jeźdźeniu po mieście i sprawdzaniu konkretnych miejsc, które zaznaczył na planie ołówkiem. Pragnął poznać teren; albo jak sam to później sformułował, sprawić, żeby „system ulic Atlanty wszedł mu w krew”²²⁵.

Wśród zaznaczonych na planie miasta miejsc była również jego czynszówka²²⁶. Dwa inne przedstawiały się mniej niewinnie: Galt zaznaczył adresy przy Sunset Avenue i Auburn Avenue – znajdowały się tam odpowiednio mieszkanie i kościół doktora Martina Luthera Kinga juniora.

„Martin Luther King jest skończony”

W czwartek 28 marca rano na lotnisku w Newark King wsiadł do samolotu do Memphis. W rejonie Nowego Jorku spędził kilka wyczerpujących dni, mobilizując poparcie dla Kampanii Biednych Ludzi, a jednocześnie nadal prowadząc swoją „wojnę ze snem”. Próbował się zdrzemnąć w samolocie, ale nie potrafił.

Być może martwił się o marsz na Beale Street, który miał się rozpocząć zaraz po wylądowaniu w Memphis, a może nadal przeżywał nieprzyjemną sytuację z poprzedniego wieczoru. Po kolacji w mieszkaniu Harry’ego i Julie Belafonte, podczas której zbierano datki na kampanię, zatrzymał się na noc u Arthura i Marian Loganów (ona była działaczką ruchu praw człowieka i członkinią zarządu SCLC) na Manhattanie. Wdał się z nimi w spór o Kampanię Biednych Ludzi, który trwał do późna w nocy i przebiegał w nerwowej atmosferze. Loganowie w najlepszej wierze próbowali wyrazić swoje wątpliwości co do tego projektu, ale King nie chciał ich słuchać. Wypijając kolejne kieliszki sherry, kłócił się ze swoimi gospodarzami do trzeciej w nocy. Marian Logan odniosła wrażenie, że King za dużo wypił i „przestał panować nad myślami”²²⁷. Nigdy wcześniej nie widziała go takiego nabuzowanego. Zauważyła, że w jednej dłoni kurczowo trzyma kieliszek, a drugą zacisnęła w pięść.

King leciał na południowy wschód z podkrążonymi oczami, podenerwowany i lekko skacowany. Podróżował z asystentem Bernardem Lee, młodym okularnikiem i absolwentem Uniwersytetu Howarda, który organizował strajki okupacyjne w Alabamie, a teraz z zaangażowaniem pracował dla SCLC. Abernathy był już w Memphis i miał wyjść po nich na lotnisko. Zaplanowali, że King spędzi w Memphis nie więcej niż kilka godzin. Po marszu ze strajkującymi śmieciarzami miał polecieć do Waszyngtonu, żeby kontynuować zbieranie funduszy i mobilizowanie poparcia dla Kampanii Biednych Ludzi. Marsz w Memphis miał być tylko przerywnikiem.

King martwił się o marsz, ale wiedział, że jego stary znajomy James Lawson jest doskonałym organizatorem takich wydarzeń, umie szkolić porządkowych i dyscyplinować uczestników. Znał go jako komunikatywnego człowieka, który jest znakomitym strategiem. Wizyta w Memphis dziesięć dni wcześniej przebiegała w tak wspaniałej atmosferze jedności i siły. Solidarność śmieciarzy przypominała Kingowi pierwszy okres istnienia ruchu, Montgomery, Birmingham i marsz na Waszyngton.

Samolot wylądował około wpół do jedenastej. King i Lee wysiedli, w sali przylotów czekał na nich Abernathy. Lot był opóźniony o prawie godzinę, więc poganiani przez Abernathy’ego gnali na nowy terminal, przed którym czekał na nich biały lincoln continental mający zawieźć ich do centrum. Był piękny wiosenny dzień, słońce dopiero zaczynało się przebijać przez poranne mgły. Na bocznych uliczkach zebrało się ponad dziesięć tysięcy osób, które czekały na przybycie Kinga.

Continental przedzierał się przez tłumy przed Clayborn Temple, kościołem afrykańskich metodystów episkopalian, przed którym miał się rozpocząć marsz, kilka przecznic od Beale Street. Ludzie przyciskali nosy do szyb, żeby popatrzeć na Kinga, przez jakiś czas wiążąc wszystkich w limuzynie.

Kiedy King nareszcie wysiadł, rozejrzał się dookoła i natychmiast wyczuł, że coś mu tu „brzydko pachnie”. Powiedział do Abernathy’ego, że atmosfera jest „nie taka, jak trzeba”²²⁸. Ludzie deptali Kingowi po stopach i osaczali go. Śmieciarze posłusznie stali w szyku z transparentami: „JESTEM CZŁOWIEKIEM”, ale King wyczuwał, że nie jest to już ich impreza. Zawłaszczyli ją młodzi bojówkarze, którzy śpiewali, rzucali wyzwiskami i ogólnie sprawiali takie wrażenie, że przyszli tutaj zrobić zadymę. Wiele tysięcy nastolatków poszło na wagary. Rozlegały się okrzyki „*black power*”. Mimo tak wczesnej godziny ludzie pili alkohol. Mnóstwo małolatów miało na sobie podkoszulki z napisem „Invaders” – była to miejscowa organizacja bojówkarzy. Niektórzy przynieśli transparenty z hasłami własnego pomysłu, na przykład z tekstem: „Loeb, jedz gówno”. Jeden z zadymiarzy trzymał w ręku pętlę szubienicy.

Tłum był coraz bardziej nakręcony i rozdrażniony. „Wystarczyło, żeby policja przymknęła oko, a roznieśliby całe miasto – wspominał rzecznik Invaders. – W niektórych licealistach wzbudzone przekonanie, że szykuje się wielka rozpierducha”²²⁹.

King i Abernathy podeszli do Lawsona i zapytali, co jest grane. Gdzie są porządkowi? Czemu te małolaty są takie nabuzowane? Lawson nie miał pewności, ale powiedział, że rozeszła się fałszywa pogłoska o zabiciu licealistki przez policję.

King i Abernathy przez chwilę rozważali odwołanie marszu, ale mieli obawy, że mogłoby to doprowadzić właśnie do tego, czego chcieli uniknąć – wybuchu zamieszek. Wśród tłumu tak bardzo kipiało od złych emocji, że próba przerwania marszu w tym momencie wydawała się nieroztropna. Z doświadczenia Kinga wynikało, że negatywną energię na ogół udaje się rozładować.

Marsz się rozpoczął. King, Abernathy, Lee i Lawson szepili się na przodzie za łokcie i ruszyli, nad głowami hałasowały policyjne helikoptery. Spod Clayborn Temple przeszli kilka przecznic i dotarli do Hernando Street, przyspieszali i przystawali, próbując znaleźć właściwe tempo. Potem skręcili w Beale Street, aleję bluesa, i pomaszerowali na zachód, w stronę rzeki Missisipi.

Ludzie za ich plecami nie troszczyli się o to, żeby maszerować w uporządkowanym szyku. Małolaty trącały się i rozpychały, uczestnicy potykali się i deptali sobie po piętach, co wywoływało efekt domina.

– Każcie im przestać napierać, bo nas zdeptają! – krzyknął King²³⁰.

Po paru minutach minęli W. C. Handy Park, nazwany na cześć bogatego lidera zespołu jazzowego i kompozytora, który jako pierwszy zapisał bluesa w postaci nutowej i przekształcił go w znany na całym świecie gatunek muzyczny. Tak się złożyło, że na ten dzień przypadła dziesiąta rocznica śmierci Handy’ego i ktoś położył wieniec pod brązowym pomnikiem uśmiechniętego bluesmana, który stał z trąbką w gotowości.

Jednak obecna Beale Street była cieniem ulicy, którą znał ojciec bluesa; gdyby żył, wpadłby w rozpacz na widok panującej tam smętnej atmosfery. W czasach Handy’ego była to główna ulica murzyńskiej Ameryki, królestwo muzyki soul i wyśmienitej zabawy, ekstrawaganckich strojów i lokali serwujących flaki, praktyk magicznych hoodoo i wróżbitów, a przede wszystkim zespołów bluesowych na każdym rogu. Unosił się tam zapach tamali i odrywanej wieprzowiny,

bimbru i smalcu. Przez całą dobę Beale Street pulsowała tak autentyczną i czasem gwałtowną witalnością, że jak to ujął Handy w jednej ze swoich słynnych piosenek, „zamykają interes, dopiero gdy ktoś kogoś zabije”.

Przez ponad stulecie czarni z całej delty Missisipi przyjeżdżali na Beale Street, żeby po raz pierwszy posmakować wielkomijskiego życia. Ze swoich obozów przybywali robotnicy budujący tamy, drwale, zbieracze bawełny czy marynarze z parowców. Wykonano tam jedyne potwierdzone studyjne zdjęcie Roberta Johnsona – na tej nieco upiornej fotografii długopalcy bluesman pozuje w fedorze i prążkowanym garniturze ze swoją sfatygowaną gitarą. Muddy Waters, Howlin' Wolf i B. B. King przyjeżdżali tam na swoje pierwsze wielkomijskie koncerty, a Robert Church, pierwszy murzyński milioner z Południa, zbudował tam swoją fortunę na handlu nieruchomościami. Murzyńscy lekarze, murzyńscy fotografowie, murzyńscy dentyści, murzyńskie firmy ubezpieczeniowe, murzyńskie domy pogrzebowe, murzyńskie gazety, hotele i restauracje „tylko dla kolorowych”, afroamerykańskie parady jako przeciwwaga białego Karnawału Bawełny – Beale Street była jedną z ulic, na których w miarę przekonująco zrealizowano koncepcję „odrębni, ale równi”.

„Jeżeli przez jedną sobotnią noc na Beale Street byłeś czarny, to już nigdy nie chciałeś z powrotem być biały”, zażartował kiedyś Rufus Thomas, legenda wytwórni Stax Records²³¹.

Jednak wiosną 1968 roku większość wielkich klubów i sal koncertowych – Daisy, Palace, Monarch, P. Wee's Saloon, Club Handy – była nieczynna lub w ogóle już nie istniała. Bliżej głównej ulicy nadal funkcjonowało trochę porządných lokali, ale znaczna część Beale Street stała się domeną zapyziałych sklepów monopolowych, lombardów, pijaczków i drobnych złodziejasków. Kiedy King maszerował tą ulicą obok pomnika Handy'ego, „odrębni” z całą pewnością nie oznaczało „równi”. Blues leżał na łożu śmierci – odchodził do lamusa razem z całą epoką. Teraz kolumna dumnych, ale zestresowanych ludzi niosła transparenty w stronę ratusza, zmierzając ku niepewnej przyszłości.

Kłopoty zaczęły się w momencie, kiedy King, Lawson i reszta osób z czoła marszu dotarli do skrzyżowania Beale Street z Main Street. King usłyszał za plecami jakiś huk i odruchowo szarpnął całym ciałem. Gdy skręcili w prawo w Main Street, ponownie usłyszał ten hałas. Brzmiało mu to jak odgłos pękających szyb – i nie pomylił się.

Część młodszych maszerujących oderwała transparenty od kijów, którymi zaczęła rozbijać okna sklepów przy Beale Street. Wywołało to reakcję łańcuchową. Inni zaczęli rzucać butelkami, cegłami, kamieniami, wszystkim, co wpadło im w ręce.

– Spal to, stary! – wrzasnął ktoś i spanikowani przechodnie rozpierzchli się z krzykiem na wszystkie strony.

Chodniki migotały od odłamków szkła.

Potem zaczęła się grabież, demonstranci wpadali do sklepów, zabierali towary i ginęli w tłumie. Okradziono i zdemolowano lombard Uncle Sam's, sklep z odzieżą męską Lansky Brothers, sklep sportowy York Arms i kilkadziesiąt innych zakładów przy Main Street i Beale Street. Na chodnikach leżały różne nietypowe przedmioty: roztrzaskane skrzypce, tarka do bielizny, nagi manekin.

King nie widział tego wszystkiego i nie wiedział dokładnie, co się dzieje za jego plecami, ale wyczuwał kłopoty. Marsz przerodził się w zadymę.

– Wybuchła przemoc, Jim – powiedział do Lawsona.

Lawson miał zmartwioną minę. Kawałek dalej szereg uzbrojonych w pałki i tarcze policjantów tarasował Main Street. Ich postawa wskazywała, że maszerujący dalej się nie przedostaną. Niektórzy funkcjonariusze mieli założone maski gazowe.

Lawson uniósł do ust megafon i dał wszystkim znać o swoim niezadowoleniu.

– Zawracać! Wszyscy maszerujący, młodzi i starzy, wracajcie do kościoła! Zaszkoźdiliście sprawie! Nie chcemy przemocy!²³² – Potem zwrócił się do Lee i Abernathy’ego: – Zabierzcie stąd doktora Kinga²³³.

– Powiedzą, że uciekłem, Jim! – zaprotestował King.

– Naprawdę uważam, że powinien stąd zniknąć – powiedział do Abernathy’ego, tym razem nieprzejednanym tonem. Miał obawy, że zagrożone może być życie Kinga, a już na pewno jego reputacja.

King szybko zrozumiał, jakie to byłoby fatalne dla jego wizerunku, gdyby powstało wrażenie, że stał na czele zamieszek.

– Masz rację – przyznał w końcu. – Musimy się stąd wydostać.

Abernathy i Lee wzięli Kinga pod rękę i przepchnęli przez tłum na McCall, boczną ulicę. Tam machnęli na białego pontiaca, za którego kierownicą siedziała Murzynka. Rozpoznawszy Kinga, zaprosiła ich gestem do samochodu. Podjechał policjant na motocyklu i zaproponował, że będzie ich eskortował. Chcieli pojechać do motelu Lorraine, ale policjant stwierdził, że to oznaczałoby powrót między zadymiarzy.

– To niech pan nas wywiezie w jakieś bezpieczne miejsce! – krzyknął Lee.

– Za mną! – rozkazał policjant i poprowadził ich do Holiday Inn Rivermont, wielopiętrowego luksusowego hotelu nad rzeką.

Udał się do recepcji i umieścił Kinga z jego ekipą w apartamencie, pokoju 801. King włączył telewizor i z rozpaczą oglądał transmisję na żywo z Beale Street. Nie mógł uwierzyć w to, co migąło mu przed oczami.

Ludzie wybiegający z okradzionych sklepów... pojemniki z gazem łzawiącym... antyterrorysty w formacji klina... policyjne pałki... krew spływająca po twarzach... strzyknięcia gazu pieprzowego. Na polecenie Lawsona śmieciarze wrócili do Clayborn Temple i schronili się w środku, aby zaplanować następny ruch i przetrzeć sobie nawzajem piekące oczy zwilżonymi gąbkami. Pozostali zdyscyplinowani i wierni sprawie – pewien wysoki funkcjonariusz policji przyznał, że jego ludzie „nie mieli żadnego problemu ze śmieciarzami”²³⁴. Ale część młodych zadymiarzy tak się podochociła tym, co nabroiła na Beale Street, że wtargnęła na kolejne ulice. Niektórzy obrzucili policję kamieniami, a potem uciekli do kościoła. Policjanci wystrzelili w stronę świątyni pociski z gazem łzawiącym – poplamiała ściany i sprawiła, że ludzie w środku mieli kłopoty z oddychaniem.

Zamieszki szybko rozlały się z Beale Street na inne dzielnice. Odzyskanie kontroli nad miastem zajęło policji kolejną godzinę. Kiedy wszystkie nastolatki były już spacyfikowane, kilkudziesięciu zgłosiło się do szpitali z obrażeniami, a setki aresztowano. Zdemolowano dwieście budynków, szkody oszacowano później na czterysta tysięcy dolarów. Jeden z policjantów zabił – według niektórych zamordował z zimną krwią – Larry’ego Payne’a, którego podejrzewał o udział w zamieszkach; z niewielkiej odległości strzelił do nastolatka z pistoletu. Pojawiły się doniesienia o brutalności policji. Wielu funkcjonariuszy z pewnością dało się ponieść emocjom i zareagowało zbyt gwałtownie, ale inni zachowali się

odpowiedzialnie i powściągliwie w sytuacji, z którą nigdy wcześniej nie mieli do czynienia, która mogła eskalować i stać się południową wersją zamieszek w Watts.

Burmistrz Henry Loeb przekonywał w telewizji, że „marsz został porzucony przez jego przywódców”, i ogłosił, że trzy tysiące żołnierzy Gwardii Narodowej przywróci porządek w centrum Memphis i będzie egzekwowało obowiązującą od dziewiętnastej godziny policyjną²³⁵.

– W Memphis mamy wojnę – dodał dyrektor straży pożarnej i policji Frank Holloman z niemalą dozą przesady. – To wojna domowa²³⁶.

Atmosfera wokół Memphis była tak napięta, że rzecznik spółki kolejowej Panama Limited, obsługującej połączenie między Chicago a Nowym Orleanem, zakomunikował, że pociąg nie zatrzyma się w Memphis. Tej nocy maszynista Panama Limited na pełnej prędkości przejechał przez ogarnięte niepokojami miasto.

King oglądał ten koszmar na ekranie telewizora przez całe popołudnie. Wskoczył w ubraniu pod kołdrę, palił papierosy i nie odrywał oczu od ekranu. Nigdy w życiu nie był taki przygnębiony, nie potrafił wydusić z siebie ani słowa. Przez wiele godzin leżał prawie jak katatonik.

Uświadomił sobie, że wszystko, o co walczył, jest zagrożone. Jego marsze zawsze przyciągały przemoc, zawsze działały jak magnes dla zawieruchy i nienawiści. Zresztą taki był ich cel – za pomocą wyreżyserowanego dramatu unaocznic wszystkim społeczne zło, najlepiej przy włączonych kamerach. Pojawienie się jakiegoś Bulla Connora i jego psów policyjnych albo członków Ku Klux Klanu palących kukłę „czarnucha” było marzeniem organizatorów. Przemoc ze strony rasistów tylko wzmacniała przesłanie demonstracji.

Ale nigdy wcześniej się nie zdarzyło, żeby sprawcami przemocy okazali się uczestnicy marszu. Było to zjawisko nowe i niepokojące. King zdał sobie sprawę, że wydarzenia w Memphis to woda na młyn dla krytyków Kampanii Biednych Ludzi. Czy uda mu się zorganizować pokojowy marsz w Waszyngtonie, skoro nie udało się to w przypadku znacznie mniejszego wydarzenia w znacznie mniejszym mieście jego rodzimego Południa? Memphis stało się papierkiem lakmusowym – i pokazało negatywny wynik.

Po kilku godzinach King zdołał się wydostać ze swojej skorupy i przystąpił do analizy marszu. Porozmawiał z Jamesem Lawsonem i innym znanym pastorem z Memphis Billym Kylesem. Powiedzieli Kingowi o Invaders, grupie młodych bojówkarzy spod znaku Black Power. Postrzegano ich trochę jak gang (zresztą sami celowo wytwarzali wokół siebie taki klimat), ale również angażowali się w różne pozytywne działania w swojej społeczności. Nawet jeżeli Invaders nie wywołali przemocy, to nie wykorzystali swoich wpływów do jej powstrzymania. Tak jak na innych obszarach kraju, w Memphis istniała bariera pokoleniowa między starszymi pastorami a młodszymi bojówkarzami. Różnice stylu, języka, celów i wykształcenia oznaczały, że tym dwóm grupom trudno się współpracowało – koloratka zderzała się z dashiki. Przemoc podczas marszu w jakiejś mierze odzwierciedlała pokoleniowe tarcia.

King nie słyszał wcześniej o Invaders. Słuchał uważnie i zaczął przetwarzać to, co mieli mu do powiedzenia Kyles i Lawson. „Nie miał pojęcia, co się stało – wspominał Kyles. – Nie był zły, tylko roztrzęsiony i zrozpaczony”²³⁷.

Tego wieczoru King wisił przy telefonie, sondował najbliższych przyjaciół i doradców. Zadzwoił do Coretty, która bez większego powodzenia próbowała go pocieszyć. Zadzwoił do

Stanleya Levisona, znajomego nowojorskiego adwokata, który mu powiedział, żeby przede wszystkim się wyspał. Zadzwoił do członkini zarządu SCLC Marian Logan, u której spędził poprzednią noc. Jej rada była krótka i konkretna:

– Zwiewaj z Memphis²³⁸.

Ogarnęły go głębokie wątpliwości co do jego roli i tego, kim jest. Jednemu z doradców powiedział, że od tej pory tak będą o nim mówili:

– „Martin Luther King nie żyje. Jest skończony. Jego zasada biernego oporu jest do niczego, nikt się do niej nie stosuje”. Nie łudźmy się. Ponieśliśmy potężną klęskę propagandową, jeśli chodzi o mój wizerunek i przywództwo²³⁹.

Rano Abernathy próbował podnieść Kinga na duchu, ale mu się nie udało. Wyszli na balkon i patrzyli na rzekę Missisipi. Abernathy nigdy nie widział przyjaciela tak przybitego. „Nie umiałem go nakłonić, żeby się przespał – wspominał. – Był strasznie zmartwiony. Głęboko poruszony. Nie wiedział, co ma robić i co powie prasa”. Im bardziej Abernathy próbował go pocieszać, tym większego King miał doła.

– Mieszkamy w chorym kraju, Ralph. Może powinniśmy się poddać i pozwolić, żeby przemoc rządziła. Może ludzie posłuchają głosu przemocy. Nas na pewno nie posłuchają²⁴⁰.

Rozgrywający

Następnego dnia rano, w piątek 29 marca, Eric Galt wszedł do sklepu żelaznego Long-Lewis w Bessemer, robotniczym przedmieściu Birmingham, około dwustu pięćdziesięciu kilometrów na zachód od Atlanty. Podszedł do ekspedienta Mike'a Koppa, który stał pod wiszącą na ścianie ogromną głową łosia, trofeum reklamującym jeden z produktów dostępnych w sklepie, czyli sprzęt do polowania na grubą zwierzynę²⁴¹.

Galt zapytał o dostępne strzelby.

– Mam kilka 30-30 – powiedział Kopp.

– Potrzebuję czegoś mocniejszego – odparł.

Potem zasypał Koppa pytaniami o różne rodzaje amunicji. Na jaką głębokość wszedłby dany pocisk po strzale z pięćdziesięciu metrów? A ze stu metrów? Jaka jest siła uderzenia? Jaka jest siła odrzutu?

Pytania były zbyt szczegółowe, żeby Kopp mógł na nie udzielić autorytatywnej odpowiedzi. Galt zaczął się odwracać do wyjścia, ale zauważył zezujące ze ściany wielkie brodate zwierzę kopytne i zebrało mu się na wspomnienia.

– Próbowałem kiedyś zabić łosia, ale chybiłem.

Kopp przyjrzał się temu blademu, nerwowemu mężczyźnie i doszedł do wniosku, że Galt nigdy nie polował na łosie ani żadną inną grubą zwierzynę.

J. Edgar Hoover monitorował wydarzenia w Memphis i tego dnia rano, 29 marca, przyszedł do pracy z poczuciem satysfakcji, że wyszło na jego. Uważał, że zamieszki na Beale Street potwierdziły słuszność jego wcześniejszych ostrzeżeń: King dużo mówi o biernym oporze, ale to wyłącznie zasłona dymna. Rozruchy w Memphis pokazują, co by się stało, gdyby Kingowi pozwolono pomaszerować do Waszyngtonu. Hoover miał wyjątkowo bliskie relacje z władzami Memphis – dyrektor straży pożarnej i policji Frank Holloman pracował wcześniej jako agent FBI i przez jakiś czas pełnił nawet funkcję dyrektora biura Hoovera w Waszyngtonie. Hoover zadbał o to, żeby jego agenci we współpracy z policją w Memphis zebrali jak najwięcej informacji obciążających Kinga – i możliwych do potwierdzenia przed sądem.

29 marca wcześniej rano w biurze terenowym FBI w Memphis panowało wielkie poruszenie. Z Waszyngtonu zadzwonił wicedyrektor William Sullivan i rozmawiał z zastępcą szefa biura, agentem specjalnym C. O. Halterem. Chciał, żeby ludzie Haltera dowiedzieli się, czy podczas pobytu w Memphis King się łądaczył, za dużo pił, przejawiał inne „niewłaściwe zachowania” albo „naruszał normy w oficjalnej i prywatnej aktywności”. „Pan Sullivan zażądał, żebyśmy uzyskali wszelkie możliwe informacje na temat Kinga i nie spuszczały go z oka, dopóki nie wyjedzie”, wspominał później Halter²⁴². Agenci próbowali się między innymi dowiedzieć, kim była kobieta, której pontiaca Lee i Abernathy zatrzymali na ulicy poprzedniego dnia – przypuszczalnie podejrzewali, że King miał z nią umówioną schadzkę.

Sullivan zażądał od agentów z Memphis, by udowodnili, że odpowiedzialność za rozruchy na Beale Street w dużym stopniu spada na Kinga. Kazał im znaleźć odpowiedzi na takie pytania jak: „Czy Martin Luther King w jakikolwiek sposób doprowadził do wybuchu przemocy? Czy w jego wypowiedziach było coś, co mogło podburzyć tłum? Czy King próbował zapobiec przemocy? [...] Chociaż Martin Luther King głosi bierny opór, prawie wszędzie tam, gdzie się pojawi, wybucha przemoc”²⁴³.

FBI w Memphis nie znalazło niczego, co by sugerowało, że King w jakikolwiek sposób sprowokował przemoc, ale specjaliści z Wydziału Wywiadu Rasowego uchwycili się pewnej potencjalnej linii ataku: King, który nakłaniał czarnych z Memphis do bojkotu białych przedsiębiorców z centrum miasta, jest „hipokrytą”, ponieważ zarezerwował sobie pokój w należącym do białych hotelu Rivermont, podczas gdy mógł się zatrzymać w oddalonym o zaledwie kilka przecznic motelu Lorraine.

FBI wysłało notatkę do „kooperacyjnych mediów”, jak nazywano sprzyjające Hooverowi gazety na terenie całego kraju. „Właścicielami i klientami znakomitego hotelu Lorraine w Memphis – napisano w notatce – są wyłącznie Murzyni, ale King nie udał się tam po swojej pospiesznej ucieczce. Uznał, że najlepszym miejscem na uspokojenie nerwów będzie luksusowy Rivermont, którego właścicielami, zarządcami i klientami są prawie wyłącznie biali. Bojkot białych przedsiębiorców nie obowiązuje Kinga, tylko jego zwolenników”²⁴⁴. (W notatce nie wspomniano, że osobą, która wybrała Rivermont, zaprowadziła tam Kinga i osobiście go zameldowała, był policjant na motocyklu, a zrobił to na rozkaz Komendy Głównej w Memphis).

Ostatecznie FBI nie udało się wywołać wielkiego skandalu na tle zarzutu o „hipokryzję”, ale próba oszkalowania Kinga pociągnęła za sobą inny skutek: kiedy King i jego ekipa znowu przyjechali do Memphis, zatrzymali się w motelu Lorraine, który miał wprawdzie czarnych właścicieli, ale również otwarty dziedziniec z łatwym dostępem do pokoiów.

Przemoc w Memphis skłoniła kierownictwo FBI do ponowienia wniosku o zgodę na założenie podsłuchów w biurach SCLC w Atlancie i Waszyngtonie. William Sullivan wysłał do Carthy DeLoacha notatkę, w której napisał o „powadze sytuacji” w związku ze zbliżającą się Kampanią Biednych Ludzi i zasugerował, że należy wzmocnić działania wywiadowcze wokół Kinga. Stwierdził, że demonstracje w Waszyngtonie „mogłyby się skończyć wielką przemocą i rozlewem krwi. Ponieważ chodzi o stolicę kraju, przyniosłoby nam to niepowetowane szkody propagandowe na całym świecie. Przygotowujemy się do tego zadania od momentu, kiedy King ogłosił zamiar marszu na Waszyngton. Powinniśmy wykorzystać wszystkie dostępne możliwości”²⁴⁵.

DeLoach i Hoover przychylni się do oceny Sullivana. Na biurku Ramseyego Clarka błyskawicznie wylądowała podpisana przez Hoovera depecha, ale prokurator generalny nie zaszczylił jej odpowiedzią.

Tego samego dnia koło dziesiątej rano King obudził się w swoim apartamencie i wziął się w garść. Wiedział, że czeka go ciężki dzień. Drżał na myśl o tym, co przeczyta w gazetach. Reakcje mediów były jeszcze gorsze, niż się obawiał.

W artykułach padały rozliczne barwne epitety. „Memphis Commercial Appeal” nazwał go „kurczakiem^[11] po królewsku”²⁴⁶. W „Dallas Morning News” napisano: „Polujący na nagłówki arcykapłan przemocy bez przemocy”²⁴⁷, a w „St. Louis Globe-Democrat”: „Baran przewodnik prowadzi owieczki na rzeź”²⁴⁸.

Senator Robert Byrd z Wirginii Zachodniej nazwał Kinga „człowiekiem, który wpędza innych ludzi w tarapaty, a potem ucieka jak spłoszony królik”²⁴⁹. Zamieszki w Memphis to „wielka kompromitacja doktora Kinga”, przekonywał zwykle mu przychylny „New York Times” i napisał, że są one kolejnym argumentem za odwołaniem Kampanii Biednych Ludzi²⁵⁰. Senator Howard Baker z Tennessee stwierdził, że w świetle przemocy na Beale Street proponowany przez Kinga marsz na Waszyngton byłby jak „zapalenie zapalki w celu zajrzenia do zbiornika, czy nie skończyła nam się benzyna”²⁵¹.

King szybko wyrobił sobie wyobrażenie o panujących w kraju nastrojach. Zdruzgotany wziął prysznic i zaczął się ubierać²⁵². Kiedy zapinał koszulę, do drzwi jego pokoju zapukał Abernathy.

– Mamy gości, Martin.

King przeszedł do salonu i powitał tam trzech dwudziestokilkuletnich mężczyzn.

– Jesteśmy od Invaders – powiedział jeden z nich. – Przyszliśmy wytłumaczyć, co się wczoraj stało.

Byli to Charles Cabbage, Izzy Harrington i Calvin Taylor, przywódcy organizacji przez większość ludzi obarczanej winą za przemoc na Beale Street.

King usiadł ze swoimi gośćmi przy stole. Poczęstował ich papierosami i zapalili. Przez przesuwne drzwi balkonowe wlewało się do pokoju jasne światło. Osiem pięter niżej rzeka Missisipi toczyła swoje wzburzone wody. Rozmowa zaczęła się dosyć niezręcznie: Cabbage powiedział, że poprzedniego wieczoru zapukał do jego drzwi jakiś człowiek i ostrzegł go przed zamachem na życie Kinga²⁵³.

Pastor zbagatelizował to, mówiąc, że spotyka się z takimi pogrozkami na co dzień.

– Jeśli ktoś naprawdę zechce mnie zabić, to ja mu nie zdołam w tym przeszkodzić – powiedział.

I rzeczywiście Cabbage był zdumiony, że King nie ma w hotelu ochrony – i że nikt nie pofatygował się przeszukać trzech Invaders, którzy przecież mogli mieć przy sobie broń.

W końcu dotarli do zasadniczego tematu rozmowy. Invaders twierdzili, że nie spowodowali zamieszek, a na Beale Street nie było nikogo z przywódców organizacji. Znali jednak młodych prowodyrów i przed marszem w żaden sposób nie próbowali ich powstrzymać. A to dlatego, że Jim Lawson ich obraził. Nie pozwolił Invaders wziąć udziału w przygotowaniach do marszu, w ogóle nie dopuścił ich do głosu. Pastorzy nie rozumieją młodych braci i tego, co się naprawdę dzieje na ulicach, mówił Charles.

King słuchał tego ze strapioną miną. Sprawiał wrażenie, że przejrzał ich na wskroś. Nie do końca uwierzył w ich wersję, ale doceniał gest – że przyszli porozmawiać z nim twarzą w twarz. Wyraził jednak zdziwienie, że ktokolwiek może się uciekać do przemocy.

– Należało usiąść i porozmawiać przed marszem – powiedział. – Jim mi mówił, że w Memphis nie ma ludzi od Black Power.

King był mniej zainteresowany ustaleniem dokładnych przyczyn zamieszek niż zagwarantowaniem, że przemoc nigdy więcej nie wybuchnie: już zdecydował, że wróci do Memphis.

– Co mogę zrobić, żeby poprowadzić pokojowy marsz? – zapytał. – Bo wiecie, że muszę to zorganizować. Nie ma innej drogi²⁵⁴. – Obiecał, że SCLC starannie zaplanuje następne wydarzenie i włączy Invaders do dyskusji. – Weźmiecie w tym udział – przyrzekł im. – Nie zostawimy was na lodzie.

Po wyjściu z hotelu Invaders byli pod ogromnym wrażeniem. Mimo że nie podpisywali się pod filozofią biernego oporu, nie mieli wątpliwości, że przebywali z wybitnym człowiekiem.

„Nie podnosił głosu – wspominał Calvin Taylor. – Nie był rozgoryczony. Kiedy wszedł do pokoju, miało się wrażenie, że przyszedł podmuch wiatru i wszystko spowił spokój. Tego człowieka otaczała pokojowa aura”²⁵⁵.

Kilka godzin później Eric Galt przyjechał swoim mustangiem do dużego sklepu sportowego Aeromarine Supply Company niedaleko lotniska w Birmingham²⁵⁶. Sklep reklamował się jako oferujący jeden z najbogatszych asortymentów wszelkiego rodzaju broni palnej. Galt, zapalony czytelnik gazet, widział zapewne dużą reklamę publikowaną przez cały tydzień w „Birmingham News”: „Broń, broń, broń. Browning, Remington, Colt. Na stanie ponad tysiąc sztuk broni palnej do wyboru. Kup, sprzedaj, wymień. Airport Hiway 5701”.

Podszedł do lady w Aeromarine, za którą stał niejaki U. L. Baker (później szczegółowo zrelacjonował tę rozmowę władzom). Tym razem Galt znacznie lepiej wiedział, czego chce.

– Chciałbym obejrzyć tego winchestera – powiedział.

Był to karabin powtarzalny model 70 kaliber .243, przeznaczony do strzelania do jeleni ze średniej do dużej odległości.

Baker zdjął go z półki i dał Galtowi do obejrzenia. Galt po chwili odłożył go na bok i poprosił Bakera o pokazanie mu kilku innych modeli. Oglądał je przez parę minut i w końcu zdecydował.

– Chciałbym to – powiedział, pokazując na remingtona gamemastera kaliber .243. – Ma pan do niego celownik?

Baker przyniósł regulowany celownik produkcji Redfielda, który spodobał się Galtowi. Galt zapytał, ile to będzie razem kosztowało.

Baker podliczył i wymienił sumę:

– To będzie dwieście czterdzieści osiem dolarów i pięćdziesiąt dziewięć centów.

Galt powiedział, że kupuje. Kiedy Baker montował na zapleczu celownik, inny klient, miejscowy miłośnik broni palnej i weteran Narodowego Stowarzyszenia Strzeleckiego Ameryki John DeShazo, podszedł od tyłu do Galta, który lekko się wystraszył.

– Do czego chce pan tego używać? – zapytał.

– Jadę z bratem polować na sarny.

DeShazo odniósł wrażenie, że w oddechu Galta wyczuwa alkohol.

– Kawał gnata – skomentował.

Galt zaczął nieskładnie tłumaczyć, że będą polowali w Wisconsin. DeShazo uznał, że klient nie wygląda na myśliwego, a jego sposób obchodzenia się z bronią wskazuje, że jest w tej dziedzinie nowicjuszem.

– To naprawdę całkiem mocny karabin – ostrzegł go DeShazo. – Będzie pan musiał się nauczyć go używać.

Galt poprosił jeszcze o kilka pudełek amunicji, na fakturze podpisał się „Harvey Lowmeyer” i powiedział, że mieszka przy South Eleventh Street 1907 w Birmingham. Otworzył portfel, zapłacił gotówką – samymi dwudziestkami – i wyszedł ze sklepu z karabinem w futerale pod pachą.

Po południu zadzwonił do sklepu i powiedział, że chce wymienić karabin na inny.

– Mój brat mówi, że kupiłem nie taki jak trzeba – powiedział do Dona Wooda, syna właściciela sklepu, który odebrał telefon. – Potrzebuję czegoś cięższego.

Wood odparł, że chętnie wymieni mu karabin, ale za chwilę zamykają, więc musiałyby przyjść

następnego dnia. Galt wynajął pokój w motelu Travelodge z zamysłem, że następnego dnia rano znowu pojedzie do sklepu z bronią.

Po spotkaniu z Invaders King skończył się ubierać i zszedł do przedstawicieli mediów zgromadzonych w hotelowej sali konferencyjnej. W zielono-niebieskim jedwabnym garniturze i cieniutkim krawacie wyglądał schludnie i elegancko, ale Abernathy martwił się o przyjaciela. Uważał, że King jest za bardzo zmęczony i przygnębiony, żeby stawić czoło zgrai wrogo nastawionych dziennikarzy. Przewidywał, że go zniszczą.

Jednak po wejściu do jasno oświetlonej sali King najwyraźniej przeszedł metamorfozę. Był skoncentrowany, stanowczy, emanował ostrożnym optymizmem. Kamery nie uchwyciły ani śladu wątpliwości, które targały nim poprzedniego wieczoru. Zdziwiony Abernathy pomyślał, że King przejawia „cechy lwa”.

– Dlaczego uciekł pan wczoraj z marszu?

– Nie uciekłem – zareplikował King niezrażonym tonem. To była kwestia zasad. – Zawsze mówiłem, że nigdy nie poprowadzę demonstracji, w której pojawia się przemoc²⁵⁷.

Wyjaśnił, że sprawcami zamieszek nie byli właściwi uczestnicy demonstracji. Chodziło o garstkę niezdyscyplinowanych młodych ludzi, którzy się pod nią podczepili. Stwierdził, że jego decyzja o wsparciu strajkujących opierała się na „błędnych przesłankach”.

– Kiedy przemawiałem tutaj dwa tygodnie temu, w kościele i na zewnątrz zebrały się tysiące ludzi. Nikt nie buczał. Nikt nie krzyczał „*black power*”. Uznałem, że walki ideologiczne, które znamy z większości miast, zwłaszcza z Północy, tutaj nie istnieją.

Oznajmił, że zrozumiał swój błąd. Gdyby mógł cofnąć czas, usiadłby do stołu z murzyńską młodzieżą z Memphis i przedyskutował z nią całą sprawę.

– Są wściekli – powiedział – i mają poczucie, że społeczeństwo, a nawet czarna społeczność nie chcą słuchać ich głosu.

Jeden z dziennikarzy zapytał Kinga, czy przemoc na Beale Street zapowiada kolejne długie lato zamieszek w całym kraju.

– Nie mogę nikomu zagwarantować, że w Memphis czy innym mieście Ameryki nie dojdzie tego lata do zamieszek – odparł King. – Nasze władze nic nie zrobiły w kwestii poprawy warunków, które wywołały ubiegłoroczne zamieszki.

– Czyli nie może pan dać społeczeństwu gwarancji?

– Nie wiem, co ma pan na myśli, mówiąc o „gwarancjach”. Nie zamierzam udawać człowieka wszechwiedzącego. Mogę tylko zagwarantować, że *nasze* demonstracje, zorganizowane i pilnowane przez SCLC, będą miały pokojowy przebieg.

Wydarzenia z poprzedniego dnia były zasmucające, a nawet tragiczne, ale nie odebrały Kingowi wiary. Mówił, że filozofia pokojowych protestów nadal jest jedyną nadzieją dla Ameryki i świata – wręcz jedyną alternatywą dla zagłady ludzkości.

– Bierny opór może być równie zaraźliwy, jak przemoc – stwierdził i dodał, że zamierza to udowodnić w następnym miesiącu podczas Kampanii Biednych Ludzi w stolicy kraju. – Jesteśmy całkowicie zdeterminowani – oświadczył – aby pójść do Waszyngtonu.

Po rozejściu się dziennikarzy King, bardzo ucieszony w miarę bezproblemowym przebiegiem konferencji, odwrócił się do Abernathy’ego i Lee. „To był chyba jego najlepszy występ dla prasy”, pomyślał Abernathy²⁵⁸. Lee ocenił później, że King „z pewnością został powołany do

tego, co robi – nie przeszedłby w jedną noc takiej przemiany, gdyby Bóg nie nałożył na niego rąk”²⁵⁹.

King był już jednak myślami gdzie indziej.

– Zrobiłbyś coś dla mnie, Ralph? – zapytał²⁶⁰.

– A co?

– Mógłbyś mnie zabrać z Memphis?

Kiedy samolot wylądował tego wieczoru w Atlancie, Abernathy odebrał na lotnisku swój samochód i podrzucił Kinga do YMCA przy Butler Street²⁶¹. King liczył na to, że sauna i działania jego niewidomego masażysty postawią go na nogi.

Jakiś czas później King i Abernathy wraz z żonami zasiedli do przebiegającej w niezbyt radosnej atmosferze kolacji w domu Abernathy’ego²⁶². Juanita Abernathy podała rybę i specjalną zapiekankę, którą robiła tylko raz do roku – ze świńskich uszu, racic i ogona. Po ciężkim posiłku usiedli na sofach. Coretta i państwo Abernathy próbowali pocieszyć Kinga, ale niezbyt im się to udało. Pastor wciąż lizał rany.

Myślał o tym, żeby wzorem Gandhiego rozpocząć długi post, dla oczyszczenia ruchu SCLC. Opowiadał o dawnych czasach w Montgomery, wyławiał z pamięci dawno zapomniane nazwiska i ponownie przeżywał młodzieńcze triumfy z okresu największych sukcesów ruchu. Próbował się zdrzemnąć na fotelu w salonie, zręcząc żartobliwie, że fotel jest za mały.

Następnego dnia w Birmingham Eric Galt pojechał do sklepu z bronią, który był czynny od dziewiętej²⁶³. Don Wood już na niego czekał. Klient wydawał się podejrzany, toteż chciał sprawdzić każdy element transakcji. Podobnie jak John DeShazo szybko wywnioskował, że Galt słabo zna się na broni palnej, a na polowaniach jeszcze gorzej. Galt powiedział Woodowi, że chciałby rzucić okiem na remingtona gamemastera 760 kaliber .30-06. Handlarz zdjął z półki karabin, który natychmiast przypadł Galtowi do gustu. Był przeładowywany „na pompkę”, w materiałach promocyjnych Remingtona reklamowany jako „najszybsza na świecie ręcznie obsługiwana broń na grubą zwierzynę”.

Kiedy Galt obracał w dłoniach gamemastera, Wood go zapytał:

– Po co to panu potrzebne? Z .243 zabije pan każde zwierzę w Alabamie.

– Planuję polować w Wisconsin – odparł Galt, sugerując, że tamtejsze jelenie są większe.

Gamemaster .30-06 z pewnością uporałby się ze zwierzyną nie tylko z Alabamy, lecz także z Wisconsin. Kule do tej broni ważą dwa razy więcej niż do strzelby kalibru .243, którą Galt kupił dzień wcześniej.

Klient zadał trochę technicznych pytań dotyczących prędkości i trajektorii różnych rodzajów amunicji. Wood polecił pociski pełnopłaszczowe Remingtona-Petersa .30-06 z miękkim czubkiem – jak stwierdził, silnie zniekształcający się po uderzeniu pocisk powali największego jelenia na świecie z odległości trzystu metrów. Ze stu metrów zatrzyma szarżującego nosorożca. Cechuje go zaskakująca celność: jeżeli obiekt, do którego się mierzy, znajduje się w odległości stu metrów, pocisk obniży lot o zaledwie jedną setną cala.

Galtowi szczególnie spodobał się sposób przeładowywania broni, umożliwiający trzymanie palca na cynglu i obserwowanie ofiary przy jednoczesnym delikatnym przesuwaniu mechanizmu przeładowującego. Jak napisano w broszurze Remingtona, „ta metoda przeładowywania pomaga

strzelającemu w trzymaniu celu na muszce w sytuacjach, kiedy trzeba wypalić po raz drugi i trzeci... dzięki czemu jeleń częściej trafia do zamrażarki”²⁶⁴.

Galt powiedział, że weźmie gamemastera .30-06, mimo że kosztował trochę więcej niż .243. Z dostępnych celowników wybrał redfielda 2 × 7. Wood poprosił o kilka godzin na zamontowanie celownika i Galt sobie poszedł. Wood zamontował celownik osobiście i ustawił na maksymalne, siedmiokrotne powiększenie – trzymany na muszce jeleń wydawałby się siedem razy bliższy niż w rzeczywistości. Firma chwaliła się, że celownik ten „zapewnia wystarczająco szerokie pole widzenia, aby można było śledzić poruszające się zwierzęta, a jednocześnie daje dostateczne przybliżenie, aby można było strzelać do małych szkodników”²⁶⁵. Dodatkową zaletą urządzenia była powłoka fluorku magnezu na soczewce, co pozwalało polować przy niskim natężeniu światła, nawet późno o zmierzchu.

Jedyny problem z celownikiem polegał na tym, że po jego zamontowaniu gamemaster nie mieścił się w futerale. Kiedy Galt wrócił do sklepu o trzeciej po południu, Wood zasugerował mu zakup eleganckiego skózanego futerału, ale Galt nie chciał już zwiększać swoich wydatków. Wood wymyślił rozwiązanie zastępcze: pogrzebał na zapleczu i znalazł stare pudełko na strzelbę Browninga, trochę większe od pudełka na gamemastera. Włożył strzelbę do pudełka, do którego ledwie się zmieściła, i zabezpieczył je taśmą klejącą.

Galt zaakceptował to zaimprovizowane rozwiązanie, wybrał amunicję – pudełko z dwudziestoma pociskami Remington-Peters .30-06 – i powiedział Woodowi, że chciałby uregulować rachunek. Wyjął portfel i pokrył różnicę w stosunku do zakupu z poprzedniego dnia.

Tym razem również podał nazwisko „Harvey Lowmeyer” i adres w Birmingham. Wood nie prosił klientów o okazanie dowodu tożsamości – prawo tego nie wymagało. Galt uśmiechnął się niezręcznie, wziął pudło pod pachę i ruszył do drzwi.

Losy ruchu zależą od Memphis

Tego samego dnia rano w Atlancie King zwołał nadzwyczajne zebranie SCLC, żeby omówić kwestię wydarzeń w Memphis. Całodniowa narada odbyła się w sali konferencyjnej na drugim piętrze Ebenezer Baptist Church przy Auburn Avenue. Z całego kraju przylecieli najważniejsi doradcy: Chauncey Eskridge, jeden z konsultantów prawnych Kinga z Chicago, Stanley Levison z Nowego Jorku, Walter Fauntroy z Waszyngtonu, delegacja związków zawodowych z Memphis. Byli też najbliżsi współpracownicy Kinga: Andrew Young, James Bevel, Dorothy Cotton, Hosea Williams, James Orange, Jesse Jackson i oczywiście Abernathy.

Przez całe przedpołudnie King siedział w ciasnej ławce szkółki niedzielnej, skrzypiącym meblu z niewielkim blatem do pisania na wąskiej poręczy. Spokojnie słuchał członków swojego sztabu, którzy analizowali katastrofę w Memphis. Kłócili się, miotali oskarżeniami i wymieniali winnych z nazwiska. W niczym nie mogli dojść do zgody – poza tym, że Memphis było katastrofą i że King pod żadnym pozorem nie powinien wracać do tego ogarniętego wrzaniem nadrzecznego miasta. Jeden z doradców stwierdził, że sytuacja w Memphis „była ustawką”, przypuszczalnie zaaranżowaną przez FBI, żeby raz na zawsze zniszczyć Kinga²⁶⁶. Udział w tym marszu oznaczał zejście z drogi do głównego celu i niebezpieczny skręt w lewo, a także obciążenie finansowe, na które SCLC nie mogła sobie pozwolić.

King przysłuchiwał się temu sporowi coraz bardziej poruszony i zestresowany. Bolało go, że wielu członków jego sztabu najwyraźniej nie popiera Kampanii Biednych Ludzi. Projekt waszyngtoński, twierdzili, jest zbyt ambitny, za bardzo skomplikowany logistycznie, za bardzo niejednoznaczny w swoim przekazie. King w milczeniu słuchał doradców, którzy mówili, co powinien robić. Jim Bevel chciał się skupić na wojnie wietnamskiej. Jesse Jackson uważał, że najbardziej obiecującym sposobem wykorzystania czasu i energii SCLC są lokalne inicjatywy gospodarcze takie jak Operacja Koszyk Chleba, którą kierował w Chicago. Hosea Williams powiedział, że najlepszą drogą do zdobycia władzy są kampanie rejestrowania wyborców, które doprowadzą do wyboru polityków sprzyjających ich sprawie.

Po jakimś czasie King stracił wątek dyskusji. Jego młodzi doradcy byli uparci. Ogarniało ich zniecierpliwienie i każdy chciał pociągnąć ruch w swoją stronę. Niektórzy uważali się za inteligentniejszych od Kinga; mieli też poczucie, że stracił kontakt z ludźmi w terenie.

King powoli wstał z ławki i wyraził swój pogląd na całą sprawę.

– Jesteśmy w poważnych tarapatach. Cały ruch jest skazany na porażkę²⁶⁷.

Czy oni tego nie widzą? Tutaj nie chodzi już o Memphis, czy nawet Waszyngton. Tutaj nie chodzi o subtelne szczegóły strategii protestu. Tutaj chodzi o fundamenty filozofii biernego oporu. Płomień ich ruchu może zgasnąć. Stawką jest wszystko, o co walczyli od czasu Montgomery. Zapomnijmy o Waszyngtonie. Trzeba to sobie wybić z głowy, zanim nie udowodnią społeczeństwu, że potrafią zorganizować pokojowy marsz, odkupią swoje błędy i przywrócą prymat swojej zasadniczej idei.

– Memphis to kampania waszyngtońska w miniaturze – powiedział.
Nie ma innego wyboru: trzeba tam wrócić, zanim pójda gdziekolwiek indziej.

– Losy ruchu zależą od Memphis²⁶⁸.

Członkowie zarządu nie chcieli ustąpić. Większość doradców Kinga uważała, że zarówno Memphis, jak i Waszyngton to złe pomysły.

King w końcu stracił cierpliwość. Uznał, że jego współpracownicy są za bardzo zadowoleni z siebie i za bardzo folgują prywatnym ambicjom. Najbardziej zezłościł się na Jessego Jacksona, który najwyraźniej próbował stworzyć w Chicago swoje księstwo udzielne.

– Wymyślaliście własne projekty – powiedział King – a potem mnie wciągaliście. Jeśli uznawałem, że to ważne dla ruchu i dla was, zawsze udzielałem wam pełnego poparcia. Teraz nie mam waszego pełnego poparcia. Teraz, kiedy chcę, żebyście pomogli mi w Memphis, wszyscy są za bardzo zajęci²⁶⁹.

W końcu zwrócił się do Abernathy'ego:

– Daj kluczyki, Ralph. Jadę stąd²⁷⁰.

Abernathy zrobił zaskoczoną minę. Podczas dyskusji bawił się kluczykami Kinga i w pewnym momencie odruchowo włożył je do kieszeni. Teraz je oddał i King ruszył w stronę schodów.

Abernathy poszedł za nim.

– Co cię dręczy, Martin?

– Uciekam, Ralph, tak jak wczoraj uciekłem.

– Dasz mi znać, gdzie jesteś?

King nie odpowiedział.

U szczytu schodów stanął Jesse Jackson.

– Nie przejmuj się, doktorku, wszystko będzie dobrze – rzucił w stronę Kinga²⁷¹.

Pastor przystanął na półpiętrze i powiedział:

– Wcale nie będzie dobrze, Jesse. Jeśli wszystko potoczy się dalej tak jak teraz, to nie tylko SCLC, ale i cały kraj będzie w tarapatkach. Jesteś tak bardzo zajęty własnymi sprawami, że nie bierzesz udziału w osiągnięciu celów naszej organizacji. Jeśli chcesz sobie wykroić swoją niszę w społeczeństwie, to proszę bardzo, ale na litość boską, nie zawracaj mi głowy!

Jacksona zatkało. King wsiadł do samochodu i odjechał. Zostawił swoich doradców skołowanych i zdruzgotanych. Abernathy próbował naprawić sytuację.

– Nasz przywódca jest zdezorientowany i potwornie zestresowany – powiedział posępnym tonem. – Musimy go wesprzeć w tych ciężkich chwilach²⁷².

Tłumaczył, że wydarzenia w Memphis wstrząsnęły Kingiem do głębi. Przeżywa kryzys duchowy. Nie mają wyboru – wszyscy muszą pojechać do Memphis, żeby uratować ruch.

Cała sala się z nim zgodziła. „Nigdy wcześniej nie widzieliśmy takiego wybuchu Martina – wspominał Andrew Young. – Po jego wyjściu ludzie byli tak oszołomieni, że nareszcie zaczęli słuchać. Zaprzęg dzikich koni w końcu się zjednoczył”²⁷³.

Rozmawiali o Memphis i postanowili, że wyślą tam swoich najlepszych ludzi przed Kingiem, żeby skonsultowali się z Invaders i zaplanowali każdy element marszu. Chcieli dać Kingowi wszystko, czego sobie życzył.

Nastąpiła tak wielka przemiana, że kilku członków zarządu miało wrażenie, jakby na salę spłynął Duch Święty. Wznosili okrzyki wojenne i wołali „alleluja”²⁷⁴. Andrew Young tańczył. Ze sporu wykluła się zgoda.

Jednak przez kilka długich godzin nie mogli zlokalizować Kinga, żeby przekazać mu dobrą nowinę. Do dzisiaj pozostaje tajemnicą, co przez ten czas robił. Niektórzy mówili, że poszedł do jednej ze swoich kochanek²⁷⁵. Inni twierdzili, że rozmawiał ze swoim ojcem, Martinem Lutherem Kingiem seniorem, nazywanym „Daddy King”. Jeszcze inni przekonywali, że przeżył coś w rodzaju ogrojca, chwili rozterek i poszukiwania odpowiedzi w jakimś ulubionym miejscu odosobnienia.

Kiedy King znowu się pojawił po kilku godzinach, wiadomość o pojednaniu przyniosła mu wielką ulgę. Musiał się teraz spakować przed szybką podróżą do Waszyngtonu – następnego dnia wygłaszał tam ważne kazanie. Po powrocie ze stolicy miał w całości przeznaczyć swój czas i energię na jedno miejsce: Memphis.

Następnego dnia parę minut po jedenastej rano King wyszedł na wielką białą ambonę Katedry Narodowej w Waszyngtonie. Odziany w duchowne szaty pastor sprawiał wrażenie, że otrząsnął się z wczorajszej rozpacz. W ogromnym wnętrzu zgromadziło się ponad trzy tysiące wiernych, a dodatkowo tysiąc stał na zewnątrz. Miało to być ostatnie oficjalne kazanie Kinga.

King płomiennym tonem mówił o Wietnamie, o tej „jednej z najbardziej niesprawiedliwych wojen w dziejach świata”²⁷⁶. Konflikt ten „wzmocnił kompleks militarno-przemysłowy, wzmocnił siły reakcji w naszym kraju, zachwiał losem naszej ojczyzny i zbudował wizerunek Ameryki jako aroganckiego państwa”.

Głównym wątkiem kazania była bieda w Stanach Zjednoczonych, a także moralny obowiązek jej zwalczania.

– Każdy wielki naród jest narodem współczującym – powiedział – ale Ameryka nie wykonuje swoich zobowiązań wobec biednych.

Amerykańską biedę porównał do „monstrualnej ośmiornicy rozpościerającej swoje napastliwe chwytne macki”. W ostatnich miesiącach był w Appalachach, w gettach Newark i Harlemu i wielu innych spauperyzowanych miejscach Ameryki i zobaczył tam tak nędzne warunki życia, że powiedział: „Przyznam, że dosłownie płakałem”. Zrelacjonował zgromadzonym wiernym, że w Marks w stanie Missisipi, najbiedniejszym hrabstwie w kraju, na twarzach tamtejszych robotników rolnych widział tyle głodu, że doszedł do wniosku, iż konieczne jest jakieś radykalne posunięcie, aby uświadomić przywódcom kraju spustoszenia poczynione przez systemową, utrzymującą się od wielu pokoleń biedę.

– Przychodzimy do Waszyngtonu z Kampanią Biednych Ludzi – zapowiedział.

Obiecał przyprowadzić ze sobą armię ludzi wszystkich ras i ze wszystkich środowisk, ludzi, „którzy nabrali poczucia, że życie jest długim, opuszczonym korytarzem bez wyjścia, ludzi, którzy nigdy w życiu nie widzieli lekarza ani dentysty”. Członkowie armii biednych ludzi „nie zamierzają zdewastować Waszyngtonu”, powiedział King, ale podejmą „dotkliwe działania bez użycia przemocy”, jak to nazwał. Fizyczna walka nic nie da – ani w Memphis, ani w Waszyngtonie, ani w Wietnamie.

– Musimy nauczyć się żyć razem jak bracia albo razem zginiemy jak głupcy.

W sprawie amerykańskiej biedy nic się nie zrobi, „dopóki ludzie dobrej woli nie zmobilizują swoich serc i dusz”.

Po kazaniu King zorganizował krótką konferencję prasową, na której jednoznacznie zadeklarował, że nie poprze kandydatury prezydenta Johnsona na drugą kadencję.

– Alternatywę widzę w senatorze McCarthym i senatorze Kennedym – powiedział, chociaż miał już wyrobioną opinię, że lepszym wyborem byłby ten drugi²⁷⁷.

Podobnie jak w Memphis dziennikarze prosili go o prognozy dotyczące zamieszek w miesiącach letnich.

– Nie lubię przewidywać przemocy – odparł King – ale sędzę, że jeżeli do czerwca nic nie zostanie zrobione, żeby dać mieszkańcom gett nadzieję, to nadchodzące lato będzie jeszcze gorsze od ubiegłorocznego.

Byłoby to straszne nie tylko dla samych gett, lecz także dla stanu amerykańskiej demokracji.

– Dwa kolejne lata takie jak poprzednie nieuchronnie doprowadzą do przejęcia władzy przez prawicę i powstania państwa faszystowskiego.

– Co musiałyby się wydarzyć, żeby odwołał pan Kampanię Biednych Ludzi? – zapytał jeden z dziennikarzy. – Co musiałyby zrobić Kongres albo prezydent?

King odpowiedział, że z radością odwołałby demonstrację, gdyby Kongres przyjął zalecenia wysunięte niedawno przez Komisję Kenera, dwupartyjne ciało, które wnikliwie przeanalizowało zamieszki w Watts, Newark, Detroit i innych miastach. Nie dostrzegał jednak zbyt wielu powodów do optymizmu.

– Chętnie porozmawiam z prezydentem Johnsonem czy kimkolwiek innym – powiedział. – Zawsze jesteśmy gotowi do negocjacji²⁷⁸.

Prezydent Johnson zdecydowanie nie był w tej chwili w nastroju do negocjowania z Martinem Lutherem Kingiem. Przebywał zaledwie kilka kilometrów dalej, w Białym Domu, i planował ważne przemówienie, które miał wygłosić tego wieczoru w telewizji. Zamierzał je poświęcić przede wszystkim wojnie w Wietnamie, ale rozważał pomysł wrzucenia na koniec sensacyjnej wiadomości, że wycofuje się z wyścigu prezydenckiego w 1968 roku.

Już od wielu miesięcy myślał o tym, żeby nie ubiegać się o drugą kadencję. Kryło się za tym wiele powodów, ale przede wszystkim Johnson fatalnie się czuł w Białym Domu. Nawiedzały go koszmary senne związane ze zdrowiem. Poparcie sondażowe spadło do trzydziestu sześciu procent. Miał wrogów we wszystkich środowiskach. Próbując opisać nastroje panujące w Białym Domu, żona prezydenta Lady Bird Johnson sparafrazowała Yeatsa: „Nad wszystkim wiszą miazmaty kłopotów”.

Największe zmartwienie Johnsona stanowiła tak surowo krytykowana przez Kinga wojna w Wietnamie. Południowo-wschodnia Azja, w której ugrzęzły amerykańskie wojska, stała się obsesją prezydenta. Pożerała większość jego czasu i energii i tak bardzo obciążała Skarb Państwa, że Johnson nie mógł już sobie pozwolić na realizację swojego ukochanego programu Wielkie Społeczeństwo. Osaczony przez krytyków wojny popadał w paranoję. Nie ufał starym znajomym i tkwił uwięziony w gabinecie, który kiedyś uwielbiał.

Chciał się z tego wyrwać.

„Miałem poczucie, że ze wszystkich stron gna ku mnie gigantyczny popłoch – powiedział później do historyczki Doris Kearns Goodwin. – Demolujący sklepy czarni, demonstrujący studenci, maszerujące matki na zasiłkach, narzekający profesorowie i historyczni dziennikarze. A potem kropla, która przelała czarę. Ziściło się to, czego się najbardziej bałem od pierwszego dnia prezydentury: Robert Kennedy otwarcie ogłosił zamiar odzyskania tronu na cześć pamięci swojego brata. Skuszony magią tego nazwiska naród amerykański tańczył na ulicach”²⁷⁹.

Oddanie władzy bez walki było całkowicie sprzeczne z naturą Johnsona, ale intuicja podpowiadała mu, że jeżeli teraz zrezygnuje, to odbuduje kapitał polityczny i dokończy kadencję w dobrym stylu, być może poświęcając jej ostatnie miesiące na wyciągnięcie Ameryki z Wietnamu. Byłoby to wycofanie się z honorem, wielkoduszne wyjście. Autorzy jego przemówień przygotowali na ten wieczór dwa zakończenia. Wybór należał do Johnsona.

Prezydent przez całe popołudnie toczył wewnętrzne zmagania. W porze kolacji dalej nie wiedział, które zakończenie powinien wybrać. O dziewiątej pojawił się na ekranach telewizorów w całym kraju. Przez dwadzieścia pięć minut mówił o Wietnamie i swoim pragnieniu pokoju. Powiedział, że wstrzymuje bombardowania na większości terenów północnego Wietnamu, i zaproponował Ho Chi Minhowi poważne rozmowy.

A potem, bez żadnej zapowiedzi, zupełnie zmienił ton.

– Ponieważ każdego dnia ważą się nadzieje świata na pokój, uważam, że nie wolno mi poświęcać nawet minuty na partyjne rozgrywki ani żadne obowiązki inne od ciężących na moim dostojnym urzędzie. W związku z tym nie będę się ubiegał o nominację swojej partii i nie przyjmę nominacji swojej partii na następną kadencję prezydencką²⁸⁰.

Zakończywszy przemówienie, rozanielony Johnson zerwał się z krzesła i wybiegł z Gabinetu Ovalnego, żeby pobyć ze swoją rodziną. „Wyglądał jak wypuszczony na wolność więzień – napisała pierwsza dama. – Wszystkim nam ubyło po dwadzieścia pięć kilo i dużo radośniej patrzyliśmy w przyszłość”²⁸¹.

Sam prezydent następująco opisał swój nastrój: „Żadna inna decyzja w moim życiu nie wydawała mi się tak bardzo słuszna”²⁸².

Strzelanie do tarczy w Shiloh

Po zakupie strzelby i celownika w Birmingham Eric Galt wrócił do kamienicy czynszowej w Atlancie i skrzętnie ukrył swój nabytek przed innymi najemcami i gospodarzem. Dużo czasu poświęcał lekturze gazety „Atlanta Constitution”, która obszernie zrelacjonowała kłopoty Kinga w Memphis, a 1 kwietnia poinformowała o jego zapowiedzi, że za kilka dni znowu przyjedzie, aby stanąć na czele pokojowej demonstracji na Beale Street.

Galt już wiedział, gdzie powinien być. Szalone tempo Kinga w połączeniu z częstymi zaimprovizowanymi zmianami harmonogramu sprawiało, że jego wytropienie było prawie niemożliwe. Od czasu, kiedy Galt zamieszkał w kamienicy czynszowej, wędrowny pastor wpadał do Atlanty jak po ogień. Tym razem jednak gazety precyzyjnie podały miejsce następnego wystąpienia Kinga – na historycznej Beale Street w centrum Memphis – co dało Galtowi kilka dni na zaplanowanie wszystkiego.

„Musisz mieć cel, do którego strzelasz, i prostą drogę do niego – przekonywał doktor Maltz w *Psycho-Cybernetics*. – Zrealizuj to, co sobie wyznaczysz, a pozyskasz moc”²⁸³.

Galt zobaczył przed sobą prostą drogę do celu. W jego schemacie zachowań pojawiła się wyraźna zmiana. Żwawiej się poruszał, poskromił gorączkowo rozbiegane myśli i zaczął prowadzić spójne przygotowania. Zapłacił czynsz za kolejny tydzień. Kupił mapę stanów Georgia i Alabama oraz całych Stanów Zjednoczonych, żeby zaplanować trasę przejazdu do Tennessee. 1 kwietnia około dziesiątej rano zaniósł worek brudnych ubrań do pralni Piedmont u wylotu Peachtree Street i dokładnie poinstruował pracowniczkę, co ma zostać wyprane chemicznie, między innymi marynarka od garnituru w czarną kratę²⁸⁴. Pozostałe rzeczy jak zawsze chciał mieć wyprane bez krochmalu i poskładane. Pracowniczka, panna Annie Estelle Peters, napisała na pokwitowaniu jego imię i nazwisko: „Galt, Eric”.

2 kwietnia Galt zgromadził cały swój skromny dobytek w jednym miejscu i umieścił karabin Gamemaster, nadal przechowywany w pudełku po browningu, w bagażniku samochodu. Potem dorzucił przybory toaletowe w taniej japońskiej kosmetyczce ze skaju, amunicję Remington-Peters i sprzęt fotograficzny, a także radio tranzystorowe Channel Master, żeby móc śledzić ruchy Kinga. Większość pozostałych rzeczy, w tym telewizor Zenith, zostawił w pokoju. Obawiając się włamania, rewolwer .38 z krótką lufą schował w piwnicy czynszówki²⁸⁵.

Było ciepłe wiosenne przedpołudnie i słońce świeciło Galtowi w plecy, kiedy wyjechał swoim mustangiem z Atlanty w kierunku zachodnim, w stronę Memphis. Taśma drogi rozwijała się przed nim pośród lasów sosnowych Georgii, był sam ze swoimi myślami i hipnotycznym warkotem ośmiocylindrowego silnika. Pędził wiejskimi drogami, mijając indiańskie kurhany, zjadane przez termyty stodoły i zryte koleinami polacie gleby w kolorze rdzy. Wiosna na poważnie się zadomowiła. Drzewa liściaste rozkwitły pąkami, jaśmin, wiśnie i forsycje obsypały się kwieciami. O tej porze roku spośród zieleniącej się gęstwiny wypadały świeżo wylęgłe owady

i rozpryskiwały się na przednich szybach samochodów, a niebo kłębiło się od wielkich czarnych chmur szpaków.

Zygzakowatą trasą Galt przemierzał okrytą kobiercem kurzu krainę, po której Nathan Bedford Forrest i jego ludzie grasowali podczas wojny domowej. Trzymając się drogi 72, przemknął koło Huntsville, Madison i Muscle Shoals, koło Tuscumbii, Cherokee i Iuki. Był coraz bliżej granicy stanu Tennessee, przejechał niedaleko miejscowości Pulaski, kolebki Ku Klux Klanu. W pewnym momencie zorientował się, że z jednej z opon uchodzi powietrze, więc zjechał na pobocze, żeby ją wymienić.

Zbliżając się do Memphis, z pewnością pożałował, że nie przetestował nowej broni. Koło starego konfederackiego skrzyżowania kolejowego w Corinth, w prostej linii zaledwie o kilka kilometrów od granicy Tennessee, niedaleko pola bitwy pod Shiloh, zjechał z drogi i znalazł jakieś odosobnione miejsce²⁸⁶.

Rzeź pod Shiloh rozpoczęła się sto sześć lat wcześniej z dokładnością co do tygodnia – w równie pogodny dzień na początku kwietnia. Rezultatem tej zaledwie dwudniowej bitwy były dwadzieścia cztery tysiące poległych i rannych żołnierzy – to więcej niż wszystkie amerykańskie ofiary wojny rewolucyjnej, wojny z 1812 roku i wojny meksykańskiej razem wzięte. Stoczone niedaleko małego wiejskiego kościoła starcie potwierdziło rozpowszechnione zarówno na Północy, jak i na Południu obawy, że szaleństwo będzie kontynuowane, a wojna domowa przerodzi się w długotrwały koszmar z zatrważającymi stratami.

Pisarz Ambrose Bierce, który walczył tutaj jako młody człowiek, opisał lasy wokół Shiloh jako głęboką i ciemną, „dymiącą dżunglę”; stwierdził nawet: „Nie byłbym zaskoczony, gdybym zobaczył gibkie lamparty”²⁸⁷. Teraz, za kurtyną podobnego lasu, kawałek na południe od pola bitwy, Galt zgasił silnik i otworzył bagażnik. W przebijającym się przez listowie świetle słońca dokładnie obejrzał gamemastera, zapoznał się z jego elementami, konturem i wyważeniem kolby z orzechowego drewna, działaniem mechanizmu przeładunkowego. Części ruchome wydawały się działać gładko dzięki opatentowanej przez Remingtona metodzie polerowania nazywanej „szlifowanie wibracyjne”.

Galt nie chciał przyciągać niczyjej uwagi – w zasięgu słuchu mogli się znajdować jakiś farmer, pasjonat wojny domowej, a nawet strażnik stanowy – ale wiedział, że musi sprawdzić celność gamemastera. Potrzebował się upewnić, że celownik jest dobrze ustawiony. Chciał się zaznajomić z potężnym odrzutem strzelby i osobiście sprawdzić, jak bardzo opada pocisk przy strzale z dużej odległości.

Uniósł lufę remingtona i wymierzył w jakiś cel, po czym położył palec na spuście.

Sezon polowań na jelenie skończył się wiele miesięcy wcześniej, więc każdy zorientowany myśliwy, który przejeżdżałby przez ten senny zakątek Stanu Magnolii, zapewne byłby zaskoczony, że w pierwszym tygodniu kwietnia słyszy odgłosy wystrzałów z potężnej broni myśliwskiej.

Ostrzeżenie przed tornadem

W środę 3 kwietnia o siódmej rano Ralph Abernathy podjechał po Kinga na Sunset, żeby zabrać go na lotnisko w Atlancie. Coretta zaproponowała mu śniadanie, ale panowie się bali, że nie zdążą na samolot do Memphis. King wrzucił do walizki parę książek, zapakował kilka garniturów i poszedł do kuchni.

– Zadzwoń do ciebie wieczorem – powiedział i pocałował żonę.

Był trochę przeziębiony, ale poza tym Corettie wszystko wydawało się w porządku. „To było zwykle pożegnanie – wspominała później – jak tysiące wcześniejszych”²⁸⁸.

Wskoczyli do zakupionego w 1955 roku forda Abernathy’ego i pognali na lotnisko – zdążyli w ostatniej chwili. W sali odlotów spotkali kilku innych członków zarządu SCLC – Dorothy Cotton, Bernarda Lee i Andy’ego Younga – i wsiedli na pokład samolotu Eastern Air Lines.

Niepotrzebnie się spieszyli, bo samolot stał koło rękawa przez prawie godzinę. Ludzie zaczęli narzekać i wyciągać szyje, żeby poznać przyczynę opóźnienia. W końcu rozległ się głos pilota z przeprosinami:

– Mamy na pokładzie ważną osobistość i jesteśmy zobowiązani przeszukać wszystkie bagaże, by sprawdzić, czy nie ma w nich środków wybuchowych²⁸⁹.

Eastern Air Lines otrzymały anonimowy telefon z groźbą wysadzenia w powietrze samolotu z Martinem Lutherem Kingiem.

King rzucił Abernathy’emu zmartwione spojrzenie.

– Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby pilot powiedział coś takiego, Ralph.

Odrzutowiec obsługujący lot 381 w końcu ruszył pasem startowym.

– No cóż – dodał ze zjadliwym uśmiechem – wygląda na to, że podczas tego lotu mnie nie zabiją.

– Nikt cię nie zabije, Martin – odparł Abernathy²⁹⁰. Widział, że ten epizod rozstroił przyjaciela.

Kiedy samolot wzbijał się nad Atlantę i skręcił na zachód, zamyślony King wyglądał przez okno.

Dżet wylądował o wpół do jedenastej czasu Memphis i podjechał pod bramkę 17. Po Kinga przysłała niewielka ekipa z pastorem Jimem Lawsonem i szoferem Solomonem Jonesem, kierującym dużym białym cadillakiem oddanym do użytku Kingowi przez dom pogrzebowy R. S. Lewis. King szybkim krokiem maszerował przez szpaler kamer telewizyjnych, policjantów, tajnych agentów i pracowników FBI. Lawson nie ufał gliniarzom, mimo że oficjalnie przysłano ich tutaj do ochrony Kinga. Kiedy jeden z funkcjonariuszy policji w Memphis podszedł do Lawsons i zapytał, dokąd zmierzają, pastor próbował go zbyć:

– Jeszcze nie zdecydowaliśmy²⁹¹.

Wśród oddelegowanych na lotnisko policjantów w cywilu było dwóch czarnych funkcjonariuszy, Edward Redditt z dochodzeniówki i Willie Richmond z prewencji. Mieli za

zadanie podążać za Kingiem podczas jego pobytu w Memphis. Ale niektórzy organizatorzy strajku nie mieli zaufania do Redditta (od wielu tygodni inwigilującego strajkujących) i uznali go za szpiega, jeżeli nie za zdrajcę swojej rasy. Tego przedpołudnia do Redditta podeszła na lotnisku znana działaczka Tarlease Mathews i syknęła:

– Gdybym była mężczyzną, tobym cię zabiła²⁹².

King i jego ludzie wyszli na zewnątrz i zbliżyli się do czekającego na nich konwoju samochodów. Robiło się wietrznie; meteorolodzy prognozowali burze z piorunami i ostrzegali, że na środkowych obszarach Południa może się pojawić tornado. Mając blisko za plecami Redditta i Richmonda, kawalkada ruszyła do centrum, żeby King i Abernathy mogli się zameldować w motelu Lorraine. Nocowali tam prawie wszyscy członkowie sztabu Kinga: James Bevel, James Orange, Jesse Jackson, Hosea Williams, Chauncey Eskridge, Bernard Lee i Dorothy Cotton, a także Young i Abernathy. Zatrzymali się tam również filmowiec z RPA Joseph Louw, który przygotowywał film dokumentalny o Kampanii Biednych Ludzi dla telewizji PBS, oraz czarny dziennikarz „New York Timesa” Earl Caldwell. Kilka pokoiów zarezerwowano dla Invaders, z którymi sztab Kinga prowadził intensywne negocjacje. King spodziewał się też przyjazdu swojego młodszego brata A. D. Kinga, pastora z Louisville w stanie Kentucky. A. D. wybrał się na wycieczkę do Fort Walton Beach na Florydzie ze swoją dziewczyną Lucretią Ward. Podróżowali błękitnym cadillakiem kabrioletem z Georgią Davis, młodą murzyńską senator stanową z Louisville, jedną z kochanek Martina Luthera Kinga. Tego wieczoru mieli dotrzeć do Atlanty.

Kamerzysta Channel 5, filii NBC w Memphis, zrobił zdjęcie ekipy SCLC stojącej na balkonie przed drzwiami pokoju 306 – mosiężne cyfry migotały w słońcu. King nie przebywał wprawdzie w swoim ulubionym mieście, ale umieszczono go w jego ulubionym pokoju w ulubionym hotelu, miał wokół siebie doradców i najbliższych stronników. Niezależnie od tego, co się miało wydarzyć w tym tygodniu w Memphis, jego świat w Lorraine pozostał nietknięty.

Niedługo po obiedzie King i większość jego doradców wyruszyli konwojem do Centenary United Methodist Church pastora Jamesa Lawsons, żeby omówić strategię zbliżającego się marszu. Po przybyciu na miejsce King dowiedział się, że władze Memphis właśnie uzyskały federalne zarządzenie, które w praktyce uniemożliwia mu organizację jakiegokolwiek demonstracji przez następne dziesięć dni. Pośród wielu argumentów podniesionych przez miejskiego prawnika Franka Gianottiego była uzasadniona obawa, że King mógłby się znaleźć w śmiertelnym niebezpieczeństwie, gdyby poprowadził kolejny marsz przez Beale Street. „Obawiamy się – powiedział Gianotti w sądzie okręgowym – że przy panujących obecnie wzburzonych nastrojach ktoś mógłby się porwać na życie Kinga, a pragniemy z całą mocą podkreślić, że bardzo tego nie chcemy”²⁹³.

Mimo że władze miasta wyraziły zatroskanie o jego bezpieczeństwo, King był przygnębiony tą nową przeszkodą. W swojej działalności publicznej złamał wiele lokalnych zakazów, ale nigdy federalnego, więc nie miał pewności, jak powinien się zachować. „Martin znowu zamilkł – wspominał Abernathy. – W tym mieście nic nie szło tak jak trzeba”²⁹⁴.

Do Kinga szybko dotarli reporterzy i poprosili go o komentarz. King powiedział z zuchwałą miną:

– Nie damy się zatrzymać gazowi pieprzowemu ani zakazom. Kierujemy się pierwszą poprawką do konstytucji. Nieraz musieliśmy łamać zakazy, kierując się sumieniem, więc jeżeli

zajdzie taka konieczność, zrobimy to znowu w Memphis. Przekroczymy ten most, kiedy do niego dojdziemy²⁹⁵.

Gdy King wrócił do Lorraine o wpół do trzeciej, już tam na niego czekali funkcjonariusze federalni, którzy oficjalnie wręczyli mu zakaz. Nie awanturował się przy odbieraniu dokumentów – roześmiał się nawet do kamer, jakby chciał zasugerować, że byle kawałek papieru nie jest w stanie zatrzymać jego ruchu.

Tymczasem American Civil Liberties Union znalazła Kingowi dobrego adwokata z Memphis, żeby wywalczył uchylenie zakazu. Godzinę później prawnik pojawił się w Lorraine. Nazywał się Lucius Burch i był mieszkającym w konserwatywnym mieście porywczym białym liberałem, który w kwestiach rasowych zawsze stawał po postępowej stronie²⁹⁶. Mieszkał w podmiejskiej rezydencji sprzed wojny domowej, latał do pracy własnym samolotem i jakimś cudem przeżył kilka katastrof lotniczych. Polował, nurkował, jeździł konno po górach; miał dom w Irlandii, w którym często odpoczywał. Kancelaria Burch, Porter & Johnson uchodziła za najlepszą firmę prawniczą w Memphis, a Burch za błyskotliwego, wygadanego i bezczelnego człowieka, który bezkompromisowy styl perswazji wykorzystuje również poza salą sądową.

Mając ze sobą dwóch asystentów, Burch siedział w pokoju 306 po drugiej stronie łóżka i odpytywał Kinga.

– Doktorze King, przejdę od razu do rzeczy. Muszę wiedzieć, jak ważny jest ten marsz dla pana i pana ruchu. Muszę wiedzieć, jakie ma dla pana znaczenie²⁹⁷.

Nigdy wcześniej nie spotkał Kinga i chciał się upewnić, że pastor i jego grupa „są ludźmi, za których się podają”.

King był zaskoczony bezpośredniością Burcha, ale od razu go polubił.

– To proste – odparł. – Zależy od niego cała moja przyszłość. Na szali leżą zasady biernego oporu.

Do rozmowy włączył się Andrew Young i dodał, że marsz jest manifestacją konstytucyjnego prawa obywateli do zgromadzeń i protestowania przeciwko temu, co uważają za niesprawiedliwość. Strajk trwał już od pięćdziesięciu jeden dni i „Marsz Odkupienia”, jak go nazywano, wydawał się jedyną nadzieją na pokojowe rozstrzygnięcie sporu.

Burch, który zadał Kingowi jeszcze kilka pytań, wspominał później: „Podjąłem decyzję i nie miałem żadnych wątpliwości. Środowiska białych nie zdawały sobie sprawy, że Martin Luther King jest odpowiedzią na koktajle Mołotowa, grabieże i Black Power. Był najlepszym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek mieli”²⁹⁸.

Lucius Burch zamierzał zażarcie walczyć o uchylenie zakazu i apelować o inny marsz: zdyscyplinowany, rygorystycznie kontrolowany przez porządkowych, bez transparentów na kijach, które mogły posłużyć jako broń, i ustawiony w zwarte kolumny po cztery rzędy ludzi w każdej. Pojechał do swojej kancelarii na Court Square, gdzie przez całą noc przygotowywał argumenty do przedstawienia na sali sądowej następnego dnia przed południem.

Zgodnie z wyznaczonym zadaniem funkcjonariusze w cywilu, Edward Redditt i Willie Richmond, śledzili Kinga przez cały dzień, z lotniska do Lorraine, stamtąd do kościoła Lawsona i z powrotem do Lorraine; deptali Kingowi po piętach, rejestrowali wszystkie wchodzące i wychodzące osoby, spisywali numery tablic rejestracyjnych, próbowali zidentyfikować ludzi, którzy mieli z nim kontakt.

Teraz znajdowali się w remizie 2, nowym budynku z cegły i szkła przy Mulberry Street, naprzeciwko Lorraine. Stworzyli tam tymczasową bazę, żeby móc monitorować to, co dzieje się wokół motelu. Wycięli otwory w gazetach, które przykleili do szyby tylnych drzwi szatni, i przez całe popołudnie na zmianę obserwowali motel przez lornetkę²⁹⁹. Widzieli funkcjonariuszy federalnych, widzieli przybycie Luciusa Burcha, widzieli wchodzących i wychodzących Invaders. Widzieli członków sztabu Kinga spacerujących po balkonie, jedzących lody, trzymających w brązowych papierowych torebkach coś, co wyglądało na alkohol.

Na zewnątrz robiło się ciemno, nienaturalnie ciemno jak na szóstą godzinę, przez co Reddittowi i Richmondowi trudno było cokolwiek zobaczyć. Od zachodu nadchodziła prognozowana burza, wiatr świszczął w drutach wysokiego napięcia, a deszcz padał ukośnie. Usłyszeli wycie syren cywilnej obrony przeciwlotniczej. W Arkansas zauważono trąbę powietrzną, a drugą w Tennessee, trzydzieści kilometrów na północ od miasta.

O wpół do siódmej wieczorem do Redditta i Richmonda zadzwoniono z komendy z poleceniem, żeby pojechali do Mason Temple, gdzie King miał przemawiać na wiecu. Chcieli tam przyjechać odpowiednio wcześniej, żeby zająć sobie dobre miejsca.

Kiedy o siódmej dotarli do ogromnej Mason Temple, deszcz dudnił o dach, a wycie wiatru narastało. Paskudna pogoda odbiła się na frekwencji – mniej niż tysiąc osób słuchało Lawsona, wygłaszającego pierwsze z wielu przemówień, którego kulminacją miało być wystąpienie Kinga, zaplanowane mniej więcej na dziewiątą.

Chwilę po przybyciu Redditta i Richmonda podszedł do nich jakiś czarny pastor i szepnął, że będzie lepiej, jeśli sobie pójdą – zostali rozpoznani.

– To nie jest dla was dobre miejsce – powiedział. – Napięcie wśród młodych ludzi już bez tego jest duże³⁰⁰.

Rozeszła się pogłoska, że Redditt szpiegował Kinga z budynku straży pożarnej za Lorraine – najwyraźniej doniósł na nich jakiś czarny strażak. Niektórzy z młodych bojówkarzy byli coraz bardziej niespokojni. „Ludzie zaczęli się na nas gapić – wspominał później Richmond – wiedzieli, że jesteśmy policjantami. Pomyśleliśmy, że najlepiej będzie, jak sobie pójdziemy, żeby uniknąć kłopotów”³⁰¹.

Nie boję się żadnego człowieka

Około 19.15, w ulewnym deszczu i pod groźnymi burzowymi chmurami, Eric Galt zajechał na parking motelu New Rebel przy Lamar Avenue 3466, na wschodnich przedmieściach Memphis³⁰². Lamar, ulica wylotowa na Birmingham, przebiegała przez quasi-wiejską dzielnicę miasta z licznymi warsztatami wulkanizacyjnymi i blacharskimi, barami z muzyką country, lokalami *drive-in* i motelami podobnymi do New Rebel. Ta swoista Via Appia Memphis była długa, pylista, jaskrawo oświetlona i zastawiona ubłoconymi pikapami.

Galt dotarł do Memphis jakiś czas wcześniej. Najprawdopodobniej nigdy przedtem nie był w tym mieście. Nie wszystkie jego ruchy są znane, ale wiadomo, że przez znaczną część dnia krążył po południowych obrzeżach miasta, wzdłuż granicy stanów Missisipi i Tennessee. Obciął sobie włosy³⁰³. W miejscowości Southaven kupił sześciopak piwa Schlitz³⁰⁴. Parę minut przed południem zaopatrzył się w zestaw do golenia Gillette w drogerii Rexall w Whitehaven, niedaleko Gracelandu. (Priscilla była w domu z niedawno urodzoną córeczką, ale Elvis wyjechał na miesiąc do Hollywood).

Na jasnoczerwonym szyldzie New Rebel widniał konfederacki plantator, który w skórzanych butach myśliwskich z wysokimi cholewami, białych rękawiczkach i z przypasaną do boku szabłą wyglądał jak pułkownik Reb, maskotka drużyny futbolowej Ole Miss z imponującymi wąsami. Mimo atmosfery tradycyjnego Południa i nazwy kojarzącej się z programem wyborczym George'a Wallace'a New Rebel nie należał do moteli, które by najbardziej odpowiadały Galtowi. Był czysty, nowoczesny i dobrze zarządzany; jak to później ujął sam Galt, „z dosyć porządną klientelą”³⁰⁵. Mieli tam nowy basen i przyzwoitą restaurację, z której przynoszono jedzenie do pokoju. Wypucowane na wysoki połysk pokoje kosztowały sześć dolarów i dwadzieścia cztery centy za noc – sporo więcej, niż Galt lubił płacić. Poza tym kierownictwo hotelu domagało się od klientów zbyt wielu danych osobowych. Układ budynku sprzyjał wścibstwu recepcjonisty: New Rebel miał zamknięty dziedziniec i zmotoryzowani klienci przejeżdżali przez wąską bramę obserwowani zza dużej szyby.

Galt miał jednak świadomość, że płatanie się po nieznanym mieście podczas burzy w poszukiwaniu innego noclegu nie byłoby zbyt rozsądne. Wiatr dmuchał z taką siłą, że jeden z klientów New Rebel skomentował to później: „Myślałem, że zerwie dach”. Galt zapłacił i wpisał do karty meldunkowej: „Eric S. Galt, Highland Avenue 2608, Birmingham, Alabama”³⁰⁶. Wypełnił standardowy formularz, rzetelnie podając, że jeździ mustangiem o numerze rejestracyjnym 1-38993 z Alabamy.

Recepcjonistka Henrietta Hagermaster umieściła go w pokoju 34. Galt przecisnął się przez wąską bramę i zaparkował samochód przed swoimi drzwiami. Włożył klucz do zamka, przekręcił i wszedł do środka.

W Lorraine King i Abernathy wyglądali przez okno, krzywili się na widok ciężkiego nieba i słuchali upiornego dźwięku syren przeciwlotniczych. Wiedzieli, co wróży taka pogoda: małą, być może anemicznie małą frekwencję na wiecu w Mason Temple. Ile osób zignoruje ostrzeżenia przed trąbą powietrzną i przyjdzie do kościoła? Mieli świadomość, że nie jest dobrze: media odnotują słabą frekwencję i być może wykorzystają to do zasugerowania, że spada poparcie dla Kinga. Poza tym pastor rozpaczliwie potrzebował odpocząć. Przeziębienie się nasiliło, Kinga drapało w gardle i czuł lekką gorączkę. To nie był jego wieczór.

– Ralph, chcę, żebyś ty dziś za mnie przemawiał³⁰⁷.

Abernathy się wzdragał.

– Wyślij Jessego, on uwielbia przemawiać.

King odrzucił ten pomysł.

– Nikt oprócz ciebie nie może za mnie przemawiać.

– Dobrze, dobrze – odparł Abernathy. – Mogę zabrać ze sobą Jessego?

– Tak, ale ty przemawiasz.

O wpół do dziewiątej Abernathy dotarł do Mason Temple. Zaskoczył go widok prawie trzech tysięcy osób, w większości śmieciarzy z rodzinami. Nie miał wątpliwości, że przyszli do kościoła dla Kinga, a nie dla niego. Klaskali i śpiewali w radosnym oczekiwaniu, chociaż wśród dudnienia deszczu i grzmotu piorunów ledwie było ich słychać.

Abernathy znalazł w holu telefon i zadzwonił do Lorraine.

– Martin, przyjeżdżaj natychmiast. Dwa tysiące osób zlekceważyły dla ciebie burzę. To twoja publiczność.

Miało to być zdawkowe, grzecznościowe wystąpienie. King pomyślał, że włoży garnitur, pojedzie do kościoła, przywita się z ludźmi, powie kilka słów i wróci do Lorraine lecząc przeziębienie. Ale kiedy o dziewiątej wieczorem wszedł do Mason Temple, dał się porwać panującej tam atmosferze. Na garnitur włożył długi czarny płaszcz przeciwdeszczowy i kiedy szedł między rzędami ławek, ludzie dotykali jego rękawów, pól i wyłogów.

Abernathy wygłosił dygresyjny wstęp, który trwał prawie pół godziny. Jego słowa odbijały się echem w ogromnej sali, a na zewnątrz wyły syreny ostrzegające przed tornadem. King siedział na podwyższeniu z lekko zażenowanym uśmiechem, zaskoczony wystąpieniem przyjaciela, które brzmiało coraz bardziej jak mowa pochwalna. Od czasu do czasu stuknęły żaluzje pod stropem i King się wzdrygał. Sekwencja była następująca: błyskawica, grzmot pioruna, łomot żaluzji i szarpnięcie ciałem przez Kinga.

Kiedy Abernathy nareszcie skończył, King wstał i podszedł do mównicy bez żadnych notatek. Po zwyczajowych pozdrowieniach przybrał złowroźny ton.

– W Memphis dzieje się coś złego – powiedział. – W naszym kraju dzieje się coś złego. Nasz naród jest chory, na nasz kraj spłynęły kłopoty³⁰⁸.

Stwierdził jednak, że mimo wszystko woli żyć dzisiaj niż w jakiegokolwiek innej epoce historycznej, ponieważ wzbурzenie w Memphis jest elementem większego, ogólnoswiatowego ruchu.

– Masy ludowe powstają. Ich okrzyk jest zawsze ten sam: „Chcemy być wolni!”.

W ławkach siedzieli śmieciarze, lokalni wierni i pełni podziwu pastory; przyszli także przedstawiciele Invaders. King wpadł w swój oratorski rytm, a ludzie od czasu do czasu przerywali mu okrzykami „Amen!” albo „Głoś Dobrą Nowinę!”. Kamery telewizyjne terkotały, żaluzje łomotały, pioruny grzmiały.

King zakomunikował, że jego prawnicy będą następnego dnia rano walczyli o uchylenie zakazu, ale niezależnie od postanowienia sądu marsz się odbędzie.

– Musimy się zdobyć na swoisty niebezpieczny altruizm – powiedział. – Nie pozwolimy, żeby powstrzymał nas jakiś zakaz.

Wyglądał na zmęczonego i strapionego, z nerwami w strzępach, ale powoli się rozkręcał. Sięgnął po metafory z Księgi Wyjścia, które znajdowały odzew u jego religijnych słuchaczy, ponieważ temat niewolnictwa znali oni prawie z autopsji.

– Kiedy faraon chciał przedłużyć okres niewolnictwa w Egipcie, miał ulubioną metodę. Na czym ona polegała? Napuszczał jednych niewolników na drugich. Ale zawsze, gdy niewolnicy się zjednoczą, na dworze faraona coś się dzieje. Gdy niewolnicy się zjednoczą, jest to początek wyjścia z niewolnictwa.

Grzmoty i błyskawice powoli oddalały się na wschód. Żaluzje przestały łomotać i słychać było tylko jednostajny szmer deszczu na dachu z blachy falistej.

King opowiedział o ostrzeżeniu przed bombą, które opóźniło jego wylot z Atlanty.

– Kiedy przyleciałem do Memphis, ludzie zaczęli mówić o różnych zagrożeniach, o tym, co mi zrobią niektórzy z naszych chorych białych braci. – Przeciągnął wzrokiem po publiczności, jakby chciał spytać ewentualnego zamachowca: „Jesteś tu?”.

Przez mniej więcej dziesięć minut omawiał temat śmierci, pod różnymi kątami analizował własną śmiertelność. Przypomniął o wydarzeniu sprzed dziesięciu lat, kiedy obłąkana Murzynka dźgnęła go nożem w tors na wieczorze autorskim w domu handlowym w Harlemie i ostrze o mało nie przecięło mu aorty. Lekarz powiedział, że gdyby kichnął, aorta by pękła i utopiłby się we własnej krwi.

Potem zaczął wspominać wszystkie sukcesy, które przysły po 1958 roku: Birmingham, Selmę, marsz na Waszyngton i inne przełomowe momenty w dziejach ruchu praw obywatelskich – gdyby zamach okazał się skuteczny, nie dożyłby tego wszystkiego.

– I dlatego bardzo się cieszę, że wtedy nie kichnąłem.

Pot łał mu się po twarzy, a kiedy przeszedł do kulminacji swojej przemowy, oczy mu zwilgotniały.

– Czekają nas ciężkie dni, ale dla mnie to nie ma znaczenia. Ponieważ byłem na szczycie góry.

– Głoś Dobrą Nowinę!

– Więc to mi nie przeszkadza. Tak jak wszyscy chciałbym żyć długo. Długowieczność ma swoje zalety.

– Amen!

– Ale teraz to mnie nie interesuje. Chcę po prostu spełniać wolę bożą. Bóg pozwolił mi wejść na górę, rozejrzałem się i zobaczyłem ziemię obiecaną.

– Alleluja! Głoś Dobrą Nowinę!

– Być może nie dotrę tam z wami. Chcę jednak dzisiaj powiedzieć, że jako naród dotrzemy do ziemi obiecaniej. Dziś wieczór jestem więc szczęśliwy. O nic się nie martwię. Nie boję się żadnego człowieka. Moje oczy widziały chwałę przyjścia Pana.

Pośród potężnego aplauzu King się odwrócił i padł w ramiona Abernathy'emu, a miejscowi pastorzy weszli na podwyższenie, porwani patosem słów Kinga. Jeden z nich zauważył, że King ma łzy w oczach: „Wydawało się, jakby mówił: »Do widzenia. Ogromnie mi przykro, że muszę odejść«”³⁰⁹.

Publiczność ogarnął triumfalny nastrój. Ludzie płakali, krzyczeli, skandowali. Jeden ze strajkujących śmieciarzy wspominał: „Wydawało się, że sięgnął do swojego serca i wszystko z niego wyjął”³¹⁰. Inny skomentował: „Byłem pełen radości i determinacji. Chciałem być tam, gdzie King. Chociaż siedziałem daleko, wydawało mi się, że oczy mu świecą”³¹¹.

Galt prawdopodobnie w ogóle nie wychodził ze swojego pokoju w New Rebel. Nie zamówił żadnych rozmów telefonicznych przez motelową centralę i o nic nie poprosił. Był gościem wyjątkowo niekłopotliwym: przeczekał w motelu ostrzeżenia przed tornadem, wypił kilka puszek piwa Schlitz i oglądał telewizję.

W wiadomościach telewizyjnych o dziesiątej wieczór mówiono o zniszczeniach spowodowanych przez trąbę powietrzną, a także o strajku śmieciarzy i staraniach Kinga o uchylenie zakazu marszu przez Beale Street. Reporterzy twierdzili, że King i jego współpracownicy mogą spędzić w mieście całkiem sporo czasu, ponieważ prawnicy roztrząsają niuanse prawne zaplanowanego marszu. W jednym z materiałów pokazano Kinga i jego świtę na balkonie Lorraine – było widać drzwi do pokoju pastora i numer 306.

Nie wiadomo, co poza tym robił Galt tej nocy, ale personel New Rebel zauważył, że w jego pokoju przez wiele godzin paliło się światło. Być może wspomagając się amfetaminą, Galt prawdopodobnie nie spał do rana. Nocny recepcjonista Ivan Webb co godzinę robił obchód i za każdym razem z zaskoczeniem stwierdzał, że w pokoju Galt się świeci³¹².

Po przemówieniu King wyszedł na ulice nocnego Memphis. Burza minęła, już tylko lekko mżyło. King czuł się jak nowo narodzony i był w figlarnym nastroju. Gorączka najwyraźniej ustąpiła. „Znowu zachowywał się jak dziecko – wspominał Billy Kyles. – Swoim kazaniem przegnał strach, zrzucił z siebie to brzemię”³¹³.

King, Abernathy i Bernard Lee poszli na późną kolację do domu znajomego i wrócili do Lorraine dopiero po pierwszej w nocy. Wsiadając z taksówki, King zobaczył na parkingu znajomego niebieskiego cadillaca. Oznaczało to, że jego brat A. D. przyjechał z Florydy ze swoją dziewczyną Lucretią Ward, właścicielką tego pięknego roadstera. Oznaczało to również, że w motelu czeka na niego senator stanowa z Kentucky Georgia Davis.

– Senator! – zawołał na parkingu Lorraine. – Gdzie jest senator?!³¹⁴

Mówił swoim najgłębszym barytonem – aksamitnym, niepowtarzalnym, zniewalającym. Georgia zawsze nazywała go „tym głosem”.

King i Abernathy wraz z kilkoma innymi osobami poszli do pokoju A. D. Georgia uściskała Kinga. Wszyscy obecni wiedzieli o ich związku – nie było czego ukrywać. Jeszcze przez jakiś czas nikt nie kładł się spać, ludzie dowcipkowali i odwiedzali się nawzajem, rozmawiali o przemówieniu Kinga, burzy i jutrzejszym ważnym wydarzeniu w sądzie. Około trzeciej nad ranem Georgia pożegnała się z resztą towarzystwa i poszła do swojego pokoju 201. Kiedy była już blisko drzwi, usłyszała tuż za sobą kroki Kinga. Publicznie nie rozmawiali ze sobą i nie ujawniali tego, że się znają – mógł ich szpiegować ktoś z prasy, policji czy FBI.

Georgia przekręciła klucz w zamku i weszła do swojego pokoju, zostawiając drzwi lekko uchylone. King wsunął się do środka i zamknął drzwi na zasuwę. Patrzyła na niego jak na kochankę, jak na równego sobie; otaczająca go aura sławy nie tłumiała w niej pożądania. „W odróżnieniu od mnóstwa innych ludzi nie traktowałam go jak idola – powiedziała później. – Dla mnie był po prostu mężczyzną”³¹⁵.

King usiadł koło niej na łóżku, rozłożył ramiona i powiedział:
– Pani senator, nasz czas razem jest taki krótki³¹⁶.

Pokój z widokiem

W słoneczny, ciepły poranek 4 kwietnia Eric Galt spał w motelu New Rebel. Mniej więcej o wpół do dziesiątej do drzwi zapukała sprzątaczką, żeby zabrać pościel do prania.

– Tak? – powiedział trochę zaskoczony.

– Och, wróć później³¹⁷.

Galt zjadł śniadanie, najprawdopodobniej w motelowej restauracji, zabrał z łazienki kilka mydełek Cashmere i się wymeldował. Kupił egzemplarz „Memphis Commercial Appeal”. Pośród licznych informacji na temat strajku zamieszczono fotografię na całą stronę, na której King stał przed pokojem 306 w Lorraine.

Około południa Galt spędził trochę czasu na „kręceniu się” po okolicach Memphis, jak to później określił. Poszedł do knajpy – nazwał ją „piwiarnia”³¹⁸ – i z telefonu wrzutowego zadzwonił do brata mieszkającego na przedmieściach Chicago. Jak podaje dziennikarz, który przeprowadził później długi wywiad z jego bratem, Galt powiedział: „Niedługo będzie po wszystkim. Być może przez jakiś czas się nie zobaczymy. Ale nie martw się o mnie. Wszystko będzie dobrze”³¹⁹.

Tego ranka King obudził się dosyć wcześnie, żeby zdążyć na zaplanowane na ósmą spotkanie ze swoim sztabem; chcieli omówić działania w sądzie okręgowym. Mimo że nie spał do późna w nocy, prowadził spotkanie energicznie i sprawnie. Andrew Young miał być pełnomocnikiem Kinga przed sędzią Baileyem Brownem. Z kolei zadanie adwokata Luciusa Burcha polegało na odpowiednim zagospodarowaniu niemałej elokwencji i doświadczenia Younga. Przesłuchując Younga (oraz Lawsona, który miał wystąpić jako rzecznik interesów ludności Memphis), Burch miał wykazać, jak bardzo istotny jest ten marsz, nie tylko dla Kinga, lecz także dla idei pokojowego protestu w Ameryce i na całym świecie. Gdyby zaszła taka potrzeba, rozprawa miała się przerodzić w sympozjum na temat pierwszej poprawki. Na szali leżała głoszona przez Kinga wizja przyszłości.

Jedną przecnicę na zachód od Lorraine, na South Main Street, stała sypiąca się kamienica czynszowa prowadzona przez Bessie Brewer, kobietę w średnim wieku³²⁰. Tablica stojąca przed poczerniałym od sadzy ceglanym budynkiem przy Main 422½ mówiła o „mieszkaniach/pokojach do wynajęcia” i reklamowała napój orzeźwiający Canada Dry’s Wink.

Jeden z mieszkańców czynszówki Bessie Brewer opisał później ten budynek jako położony „w połowie drogi między dachem nad głową a bezdomnością”. Długie korytarze były wąskie i ciemne, z odłazającym tynkiem i popękanym linoleum, które pachniało chlorem. Przybytek pani Brewer dawał schronienie inwalidom, wykojeńcom, tajemniczym migrantom, pracownikom barek rzecznych i drobnym oszustom – rozbitkom życiowym o kaprawych oczach, którzy chodzili w podkoszulkach na ramiączkach i pili bimber. Byli to w większości biali mężczyźni

w średnim wieku ściągający tutaj, popychani rozpaczą, z położonego o kilka przecznic na południe dworca centralnego i pobliskich dworców Trailways i Greyhound.

Pokoje do wynajęcia znajdowały się na pierwszym piętrze, nad ociekającą tłuszczem knajpą Jim's Grill z pasiastą markizą, gdzie sprzedawano budweisera, domowej roboty ciasteczka i smażoną odrywaną wieprzowinę. Gęste wonie z tego lokalu snuły się na górę, okrywając najemców zapachem zwęglonego drewna i starego oleju do smażenia. W małych pokojach, z poobtłukiwanymi meblami zakupionymi od Armii Zbawienia, było potwornie gorąco, mimo że w wielu oknach pracowicie obracały się wentylatory. Ale ponieważ czynsz wynosił osiem dolarów tygodniowo, najemcy byli zadowoleni i rzadko się skarżyli. Wśród stałych lokatorów znajdowali się głuchoniema, gruźlik, schizofrenik i bezrobotny alkoholik ze zdeformowaną dłonią. Ręcznie wykonany napis na ścianie koło biura pani Brewer przestrzegał: „Przeklinanie i wulgarny język zakazane”.

Około trzeciej po południu Eric Galt zobaczył spelunę pani Brewer na South Main i zaparkował mustanga przy krawężniku pod Jim's Grill. Kilka minut później samochód zauważył Loyd Jowers, właściciel restauracji.

Galt krążył po okolicy od pół godziny i również coś zauważył: z niektórych pokoi w tyłach czynszówki było widać motel Lorraine. Zobaczył, że część okien jest zabita deskami, ale w innych są szyby, choć brudne i zapaćkane farbą.

Wysiadł z auta, otworzył drzwi czynszówki i po wąskich schodach dotarł do biura Bessie Brewer. Zapukał do drzwi i pani Brewer, z włosami zakręconymi na papiloty, otworzyła je tak szeroko, jak pozwalała na to łańcuch.

– Ma pani wolne pokoje? – zapytał³²¹.

Pani Brewer, otyła czterdziestoczterolatka, miała na sobie męską koszulę w kratę i niebieskie dżinsy. Jako kierowniczka kamienicy czynszowej pracowała dopiero od miesiąca. Poprzedni pracownik musiał odejść po drastycznym incydencie opisanym w miejscowych gazetach: pokłócił się z żoną i dźgnął ją nożem.

Brewer zlustrowała potencjalnego lokatora wzrokiem. Szczupły, schludny, gładko ogolony, w starannie wyprasowanym ciemnym garniturze i krawacie – słowem, wyglądał jak biznesmen. Zdziwiło ją, dlaczego tak elegancko ubrana osoba przychodzi do jej przybytku i co w ogóle robi w tej zapyziałej dzielnicy.

– Mamy sześć wolnych pokoi – odparła. – Pan na jedną noc?

Galt odpowiedział, że na tydzień.

Pani Brewer zaprowadziła go do mieszczącego się z tyłu budynku pokoju 8, z aneksem kuchennym.

– Najładniejszy, jaki mamy – powiedziała. – Dziesięć i pół dolara tygodniowo. Może pan tutaj gotować.

Galt zerknął na pokój bez wchodzenia do środka i pokręcił głową: odpada. Okno wychodziło na stronę zachodnią, czyli na Main Street i rzekę.

– Nie będę sam gotować – wyjaśnił. – Ma pani mniejszy? Potrzebuję pokoju tylko do spania.

Brewer przyjrzała się Galtowi uważnie. Jego dziwny, głupawy uśmiech ją rozstrajał – nazwała go „kpiącym czy szyderyczym”; poza tym Galt sprawiał takie wrażenie, jakby „próbował się uśmiechać bez powodu”. Przeszła korytarzem do pokoju 5B i nacisnęła zaimprovizowaną klamkę z drutu od wieszaka na ubrania.

– Ten kosztuje osiem i pół dolara tygodniowo – powiedziała, otwierając drzwi na oścież.

Galt wsunął głowę do środka. Pokój nie przedstawiał się zbyt zachęcająco: zapleśniała czerwona sofa, goła żarówka wisząca na drucie, komoda i wspólna łazienka na korytarzu. Niewielki napis nad drzwiami mówił: „Zakaz palenia w łóżku”. Przez sporą dziurę w tynku na suficie wyzierał fragment deskowania. Galt jednak od razu zauważył, że okno nie jest zabite deskami. Jakiś rozchwierutany mebel częściowo zasłaniał widok, ale wystarczyło jedno spojrzenie, aby stwierdzić, że przez brudne szyby można zobaczyć motel Lorraine.

– Ten będzie idealny – stwierdził.

Pani Brewer nie wspomniała, że poprzedni długoterminowy lokator pokoju 5B, funkcjonujący jako „Komandor Stewart”, zmarł kilka tygodni wcześniej i od tego czasu pokój nie był wynajmowany. Ucieszyło ją, że znalazła na niego amatora, ale jako osoba z natury podejrzliwa była trochę zaskoczona, że nowy gość tak szybko się zdecydował.

Kiedy rozmawiali na korytarzu, z pokoju obok wyszedł lokator i przyjrzał się nowemu sąsiadowi. Charlie Stephens, łysiejący były operator ciężkiego sprzętu i niepełnosprawny weteran II wojny światowej, odniósł poważne obrażenia podczas wyzwania Włoch i w jego lewej nodze nadal tkwił odłamek³²². Ten pięćdziesięcioletni schorowany człowiek był teraz bezrobotny. Tego popołudnia próbował naprawić zdezelowane stare radio. Mieszkał u pani Brewer od jakiegoś czasu, dzielił pokój 6B ze swoją konkubiną, zaburzoną umysłowo Grace Walden, która większość dnia spędzała w łóżku³²³.

Charlie Stephens chorował na gruźlicę i był alkoholikiem – już teraz, patrząc na nowego gościa przez okulary w szylkretowych oprawkach, miał za sobą kilka głębszych. Pani Brewer powiedziała Galtowi po cichu, że lokatorzy sąsiednich pokoi są spokojni, ale człowiek mieszkający obok niego, Stephens, trochę za dużo pije.

– Ja też lubię raz na jakiś czas wypić piwo – zakomunikował Galt.

Brewer powiedziała mu, że nie ma nic przeciwko temu, byle robił to w swoim pokoju i nie hałasował. Potem zeszli z powrotem do jej biura, gdzie wręczył jej banknot dwudziestodolarowy, rozciągnąwszy go z trzaskiem. Wydała mu jedenaście i pół dolara reszty. Nie dostał klucza – drzwi do pokoju 5B, z drutem od wieszaka w roli klamki, nie miały zamka.

– Pańska godność? – zapytała pani Brewer, pokazując na swoją poplamioną książkę meldunkową.

– John Willard – odparł.

Nie podał żadnych innych informacji: skąd jest, czym jeździ, co go sprowadza do Memphis. Zapisując nazwisko, zauważyła, że nowy lokator znowu błysnął swoim głupawym uśmiechem.

Mężczyzna w 5B

Po południu King i Abernathy zeszli do restauracji Lorraine na późny obiad i zamówili smażonego suma złowionego w rzece Missisipi³²⁴. Kelnerce trochę się pomieszało – zamiast dwóch talerzy przyniosła jedną gigantyczną tacę z dużą stertą chrupiącej ryby. Kingowi to nie przeszkadzało.

– Podzielimy się – powiedział i dwaj przyjaciele zjedli razem, popijając suma dużymi ilościami przesłodzonej mrożonej herbaty.

Resztę ryby zanieśli na górę do pokoju 306 i pogryzali dalej, a jednocześnie King dzwonił po całym kraju. Przejmował się wydarzeniami w sądzie.

– Gdzie jest Andy? – Martwił się. – Dlaczego nie dzwoni?

Galt przyniósł z mustanga przybory toaletowe w niebieskiej plastikowej kosmetyczce na zamek i rozgościł się w swoim nowym lokum. Pokój niczym się nie różnił od setek innych wynajmowanych przez niego w minionych latach. Były tam niedziałający mały kominek, popękana podłoga zatracająca jakby kwasem moczowym, odłóżka tapeta i niska boazeria z poplamionych białych desek. Galt uznał za normalne, że materac jest gruzłowaty, sprężyny popsute, a narzuta wypłowiała.

Znacznie bardziej interesowało go to, co znajdowało się na zewnątrz. Przeszawił na bok komodę z jasnego drewna, rozsunał zasłony i smakował niczym niezakłócony widok na Lorraine. Postawił przy oknie krzesło, usiadł i zaczął się uważniej przyglądać. Podwórko za czynszówką było pozarastane chaszczami i zaśmiecone butelkami po alkoholu i innymi śmieciami. Na końcu Galt zobaczył górną krawędź dwuipółmetrowego muru, za którym przebiegała Mulberry Street. Po drugiej stronie ulicy cadillac z płetwami połykiwał na parkingu Lorraine koło basenu bez wody, częściowo schowanego za niewysokim murkiem.

Nad tym wszystkim wznosił się dwukondygnacyjny motel ze ścianami z pustaków w kolorze musztardowym, metalowymi framugami okien i turkusowymi drzwiami. Na rogu ulicy stała klasyczna amerykańska neonowa strzałka, o tej porze dnia jeszcze niewłączona. Dominantą głównego skrzydła motelu, utrzymanego w nowoczesnym minimalistycznym stylu, był długi balkon, ten sam, na którym stał King na zdjęciu widzianym przez Galtę w „Commercial Appeal”. Pokój Kinga znajdował się zaledwie sześćdziesiąt metrów dalej – i około trzech i pół metra niżej od stanowiska Galtę w pokoju 5B.

Widok na Lorraine był jeszcze lepszy, niż Galt sądził po wstępnym rozpoznaniu. Dokładniejsza obserwacja ujawniła jednak pewien mały problem: żeby obszar bezpośrednio przed pokojem Kinga znalazł się w zasięgu strzału, Galt musiałby otworzyć okno, wychylić się nad parapetem i wystawić karabin daleko za okno. Naraziłby się w ten sposób na duże ryzyko wykrycia.

Szybko znalazł rozwiązanie: znacznie lepszy kąt mógł uzyskać z zapleśniałej wspólnej łazienki zlokalizowanej w głębi korytarza. Tam wystarczyłoby minimalnie uchylić okno, oprzeć

lufę karabinu o parapet i wycelować. Oznaczałoby to prawie niewidoczny z zewnątrz, ale jednocześnie łatwy strzał – przy siedmiokrotnym powiększeniu mężczyzna stojący na balkonie wydawał się oddalony zaledwie o dziewięć metrów.

Galt nie mógłby sobie wymarzyć lepszego punktu snajperskiego niż czynszówka Bessie Brewer. Z ukrycia w pokoju 5B mógł śledzić wydarzenia w Lorraine, a w oddalonej o zaledwie trzynaście kroków wspólnej łazience unieść karabin bez obawy, że zostanie zauważony, i wymierzyć trochę w dół do swojego celu.

Potem sobie uświadomił, że brakuje mu najważniejszego w punkcie obserwacyjnym narzędzia. Lorraine mimo wszystko był tak daleko, że Galt nie rozpoznawał gołym okiem twarzy ani innych szczegółów. Mógł użyć celownika remingtona, ale na razie nie chciał wyjmować karabinu, bo mógłby zwrócić na siebie uwagę, zwłaszcza w ciągu dnia. Poza tym celownik karabinu nie nadawał się do długotrwałej obserwacji. Kto wie, być może Galt czekał cały tydzień szpiegowania ekipy z SCLC. Trzeba się było doposażyć.

Przez całe popołudnie King dyskutował z różnymi ludźmi o tym, co należy zrobić z Invaders. Dwaj członkowie jego sztabu, Hosea Williams i James Bevel, od wielu dni negocjowali z Invaders, próbując uzyskać od nich obietnicę, że pomogą w organizacji marszu i powstrzymają się od zadym. King chciał, żeby Invaders uczestniczyli w planowaniu marszu, a w jego trakcie pełnili funkcje porządkowych. Jednak Invaders nie mieli zamiaru składać żadnych obietnic, dopóki SCLC nie wypłaci im znacznej sumy pieniędzy – według niektórych źródeł domagali się dziesięciu tysięcy dolarów³²⁵. Hosea Williams odmówił przekazania jakichkolwiek pieniędzy, ale zapewnił Invaders pokój w Lorraine i zaproponował jednemu z ich przywódców, Charlesowi Cabbage'owi, że zatrudni go na ten tydzień w zarządzie SCLC. King się zezłościł, kiedy go o tym poinformowano.

– Hosea – wściekał się – nie będziemy opłacali nikogo, kto akceptuje przemoc jako sposób na zmiany społeczne³²⁶.

Na wieść, że Invaders próbują wymusić na SCLC haracz, stwierdził z jeszcze większą furią:

– Nie negocjuję z braćmi³²⁷.

Cabbage i reszta Invaders usłyszeli, że nie są już mile widziani w Lorraine i że ich pokój obiecany komuś innemu. Późnym popołudniem Cabbage wypadł z Lorraine, trzymając pod pachą mały arsenał owiniętych w koc karabinów i pistoletów³²⁸.

Około czwartej po południu Galt zszedł po wąskich schodach czynszówki pani Brewer i wsiadł do samochodu. Przejechał niewielki kawałek do York Arms Company, sklepu sportowego mieszczącego się kilka przecznic dalej przy Main 162, blisko kina, w którym wyświetlano *Absolwenta*. Sklep, który sprzedawał również karabiny i pistolety, został okradziony podczas ubiegłotygodniowego marszu. Tego popołudnia, kiedy Galt wszedł do środka, ulicą przeszła grupa śmieciarzy, z których wielu niosło transparenty z napisem „JESTEM CZŁOWIEKIEM”.

– Macie lornetki? – zapytał pierwszego spotkanego ekspedienta, Ralpha Carpentera. – Interesuje mnie lornetka na podczerwień, z noktowizorem³²⁹.

Carpenter przyjrzał się nowemu klientowi i później powiedział o nim, że miał „przeciętną twarz, przeciętne dłonie, przeciętną szyję, był schludnym, przeciętnie wyglądającym mężczyzną, który niczym się nie wyróżniał”. Miał na sobie czarny gładki garnitur, białą koszulę z szerokim kołnierzem i trochę krzywo zawiązany krawat.

Carpenter powiedział klientowi, że nie mają lornetek na podczerwień, i pokazał mu kilka zwykłych z wyższej półki cenowej, od stu dolarów w górę. Ceny nie przypadły Galtowi do gustu. Potem Carpenter przypomniał sobie, że kilka tańszych lornetek wystawiono w oknie – Banner 7 × 35 firmy Bushnell, z w pełni powlekaną optyką.

– Te kosztują tylko trzydzieści dziewięć dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów – powiedział wesołym tonem po zdjęciu jednej z wystawy. – Importowane z Japonii.

Ta cena była dla Galta do przyjęcia. Przystawił lornetkę do oczu. Powiedział, że może być.

Carpenter podliczył podatek i oznajmił, że całość wynosi czterdzieści jeden dolarów i pięćdziesiąt pięć centów.

Galt wyjął zwitek banknotów z prawej przedniej kieszeni spodni, wyciągnął dwie dwudziestki i jeden banknot dolarowy, a potem w innej kieszeni znalazł pięćdziesiąt pięć centów. Sprzedawca pokazał mu, jak się reguluje ostrość, i zaczął pakować towar do pudełka, informując klienta, że lornetka jest w zestawie z czarnym skórzanym futerałem i paskami. Włożył pudełko do niebieskiej papierowej torby z napisem „York Arms Company”. Kiedy Galt zmierzał do drzwi, zawołał za nim, żeby wrócił.

Galt coś mu odpowiedział, ale tak niewyraźnie, że Carpenter nie zrozumiał, po czym wyszedł.

W remizie 2, po drugiej stronie Mulberry Street w stosunku do Lorraine, czarni funkcjonariusze policji, Edward Redditt i Willie Richmond, nadal obserwowali, co się dzieje w okolicy motelu³³⁰. Zamknięci w szatni, na zmianę przystawiali lornetkę do otworu wyciętego w gazetach przyklejonych do okna z tyłu. Ze świetlicy dobiegały ich odgłosy z telewizora, a czasem również od stołu pingpongowego.

W remizie był telefon wrzutowy, który tego popołudnia, ku ogólnemu zaskoczeniu, zadzwonił. Jeden ze strażaków podniósł słuchawkę i usłyszał głos kobiety, która się nie przedstawiła.

– Wiemy, że jest tam funkcjonariusz Redditt i szpieguje Kinga. Powiedzcie mu, że robi nam krzywdę. Teraz my zrobimy krzywdę jemu – powiedziała i się rozłączyła.

Zwierzchnicy Edwarda Redditta w komendzie miejskiej zinterpretowali ten telefon jako zagrożenie śmiercią i uznali, że najlepiej będzie zabrać stamtąd policjanta, który nie działał już incognito. Chciał zostać, ale centrala była nieugięta. Szef odsunął go od sprawy, przydzielił mu uzbrojonego policjanta do ochrony i poradził, żeby ukrył się gdzieś z rodziną na kilka dni.

Z kolei Willie Richmond usłyszał, że ma zostać w remizie do końca popołudnia. Kobieta, która dzwoniła, nie wymieniła jego nazwiska, toteż szefostwo Richmonda uważało, że nic mu nie grozi.

Podniósł lornetkę do oczu i wrócił do obserwacji Lorraine.

King wyłonił się z pokoju 306 i przeszedł balkonem w stronę schodów. Po wspólnym późnym obiedzie Abernathy zasnął, a King wykonał kilka telefonów, ale teraz się nudził i szukał towarzystwa. Nie mógł się doczekać wieści od Younga o przebiegu rozprawy. Zszedł do pokoju 201 Georgii Davis, gdzie zastał swojego brata A. D. i Lucretię Ward, a także samą senator Davis. Dowcipkowali, plotkowali, naśladowali różnych kaznodziejów³³¹. King leżał na łóżku z zamkniętymi oczami i jednym uchem przysłuchiwał się rozmowie.

Po jakimś czasie pastor i A. D. postanowili zadzwonić do swojej matki w Atlancie³³². Kiedy Mama King odebrała telefon, zrobili jej małego psikusa i udawali jeden drugiego, co ją solidnie skołowało. King z radością odebrał zachwyt w jej głosie, kiedy się zorientowała, że jej chłopcy

są razem w Memphis. Rozmawiali przez prawie godzinę. Pod koniec rozmowy matka oddała słuchawkę mężowi.

Georgia przez całe popołudnie miała wrażenie, że King jest zaprzątnięty myślami i zmęczony, ale szczęśliwy. Dostrzegła na jego twarzy oznaki rezygnacji i akceptacji losu, zresztą nie po raz pierwszy w tym roku. „Naprawdę czuł, że nie zostało mu już zbyt wiele czasu – powiedziała. – Czuł, że wykonał swoją misję na tym świecie. Wielokrotnie mówił, że nie dożyje sędziwego wieku. Powtarzał, że po świecie kręci się mnóstwo czubków. Czasem miałam nawet wrażenie, że ta perspektywa go cieszy”³³³.

Tego wieczoru King i jego sztab mieli iść na kolację do domu miejscowego pastora Billy’ego Kylesa. Krążyły słuchy, że żona Kylesa Gwen przygotowuje ucztę z *soul food*^[12].

– Lubi pani *soul food*, pani senator? – zapytał King, a kiedy Georgia odparła, że lubi, powiedział, że zaprasza ją na kolację jako swojego gościa³³⁴.

W końcu około piątej do Lorraine przybył prosto z sądu Andy Young razem z prawnikiem SCLC Chaunceyem Eskridge’em. King był w żartobliwym nastroju i powitał Younga udawaną awanturą:

– Gdzie się podziewałeś cały dzień? Czemu nigdy nie dzwonisz? Jak możesz trzymać swojego przywódcę w niepewności?!³³⁵

Odgłosy rozmowy obudziły Abernathy’ego, który do nich dołączył. King miotał żartobliwe przekleństwa, a potem rzucił w Younga poduszką, a ten mu oddał. Po chwili cała czwórka – bracia Kingowie, Abernathy i Young – napażali się na całego, warczeli i zaśmiewali się jak banda dzieciaków³³⁶.

Kiedy się już uspokoili, Young i Eskridge zdali relację z wydarzeń w sądzie okręgowym. Mecenas Lucius Burch spisał się na medal. Po wysłuchaniu prawie ośmiogodzinnych emocjonalnych zeznań obu stron sędzia Bailey Brown zgodził się zmienić federalny zakaz i udzielił pozwolenia na przebiegającą w ściśle określony sposób demonstrację. King i Lawson musieli złożyć tysiąc zapewnień co do trasy, liczebności, organizacji i sił porządkowych, a także na bieżąco współpracować z władzami. Szczegóły miały zostać ustalone następnego dnia, ale ogólny wynik rozprawy przedstawiał się następująco: impreza odbędzie się zgodnie z planem w poniedziałek rano 8 kwietnia.

Wygrali.

Eric Galt wrócił w okolice czynszówki Bessie Brewer o wpół do piątej i stwierdził, że stracił miejsce parkingowe przed Jim’s Grill. Musiał zaparkować jakieś dwadzieścia metrów dalej, kawałek od Canipe’s Amusement Company, obsługującej całe miasto wypożyczalni i serwisu szaf grających i fliperów. Wziął lornetkę i poszedł do swojego pokoju, ale po chwili wrócił, prawdopodobnie z myślą o tym, żeby zabrać z bagażnika remingtona. Uświadomił sobie, że po przestawieniu samochodu będzie musiał znacznie bardziej uważać z noszeniem karabinu, bo na tej ruchliwej ulicy paradowanie z długim, wąskim pudełkiem mogło być ryzykowne. Począł więc w samochodzie co najmniej piętnaście minut, aż na South Main Street zrobi się mniejszy ruch.

Dwie kobiety, które pracowały po drugiej stronie ulicy w sklepie z farbami i tapetami Seabrook, widziały Galtę, jak siedział w swoim mustangu. O wpół do piątej skończyły pracę i teraz stały koło dużej witryny salonu wystawowego i czekały na swoich mężów, którzy mieli po nie przyjechać. Jedna z pracowniczek, Elizabeth Copeland³³⁷, odniosła wrażenie, że

mężczyzna w mustangu „czeka na kogoś albo na coś”. Koleżanka Copeland Peggy Hurley³³⁸ stała koło witryny do 16.45, kiedy przyjechał jej mąż. Podchodząc do samochodu, zauważyła, że człowiek w mustangu nadal cierpliwie siedzi za kierownicą. Był to biały mężczyzna w ciemnym garniturze.

Galt najprawdopodobniej zauważył te kobiety i uznał za rozsądne zaczekać, aż sobie pójdą. W każdym razie między 16.45 a 17.00 otworzył bagażnik i zawinał długie pudełko w przechowywaną w samochodzie starą zieloną narzutę w jodełkę. Z tym tobołkiem pod pachą szybkim krokiem poszedł do kamienicy czynszowej.

Kiedy już znalazł się w pokoju 5B, odłożył gamemastera i wyjął z futerału lornetkę³³⁹. Potem usiadł przy oknie i nastawił ostrość na Lorraine. Nie chciało mu się przypinać pasków, więc po prostu rzucił je na bok.

Nastawił lornetkę na maksymalne, siedmiokrotne powiększenie, takie samo jak w celowniku Redfield. Na dziedzińcu Lorraine ludzie stali koło białego cadillaca. Po wczorajszej burzy zostało tam mnóstwo kałuż. Na pierwszym planie na tylnym podwórzu czynszówki splecione gałęzie kołysały się delikatnie na wietrze. Lornetka zapewne stwarzała dziwne poczucie intymności: w soczewce Galt koledzy Kinga na parkingu wydawali się oddaleni o zaledwie kilka metrów, a przecież żartowali i kręcili się, nie zdając sobie sprawy z jego obecności. Uniósłszy odrobinę lornetkę, Galt mógł bez problemu odczytać numer na drzwiach pokoju Kinga – 306 – ale drzwi były zamknięte, a pomarańczowe zasłony w oknie zaciągnięte. Na ścianie tuż obok wisiała trochę przekrzywiona gaśnica.

King był wtedy w pokoju z Abernathym i przygotowywał się do wyjścia na kolację u pastora Billy’ego Kylesa³⁴⁰. Pokój zaśmiecały gazety, kubki po kawie i inne pozostałości po wydarzeniach tego dnia. Do talerza Kinga przykleiły się ości zjedzonego na obiad suma. Ciężka aktówka pastora z wytłoczonymi na złoto inicjałami „MLK” przycupnęła na stole jak kotwica. Pomarańczowe narzuty leżały skotłowane. Na ekranie telewizora migotał program *The Huntley–Brinkley Report*.

King słuchał jednym uchem, goląc się w łazience – w jego przypadku była to czynność mozolna i mało aromatyczna. Miał twardy zarost i wrażliwą skórę, już przed wielu laty zauważył, że golenie się zwyczajną brzytwą i kremem powoduje u niego paskudną wysypkę. Zaczął więc używać silnego środka depilacyjnego o nazwie Magic Shaving Powder, powszechnie stosowanego przez ortodoksyjnych żydów, których rygorystyczne przepisy religijne zakazują dotykania twarzy brzytwą³⁴¹. W otoczeniu Kinga twierdzono, że rozbudowany rytuał golenia się był jednym z powodów jego częstych spóźnień.

King, który stał przed lustrem w spodniach od garnitur i podkoszulku, mieszał biały proszek w kubku ciepłej wody do postaci gęstej pasty. Preparat ten wydzieliał siarczany zapach zgniłych jaj. King, który uodpornił się już na ten smród, rozsmarował sobie maź na twarzy i pozwolił zmiękczającym zarost chemikaliom (o takich upiornych nazwach jak tioglikolan wapnia, węglan guanidyny i nonoksynol-10) czynić swoje dzieło.

Abernathy, który zawsze uciekał przed tym zapachem, usiadł po drugiej stronie pokoju pod oknem i droczył się z Kingiem na ten temat. Pastor poprosił go z łazienki, żeby zadzwonił do Kylesów i zapytał, co jest w jadłospisie. Misja ta nie przypadła Abernathy’emu do gustu, ale w końcu podniósł słuchawkę i wykręcił numer. Po krótkiej rozmowie z Gwen Kyles zdał Kingowi relację:

– Rostbef, kandyzowane ignamy, golonka, karkówka, flaczki, nać rzepy, placki kukurydziane.

Jednym słowem, tradycyjna domowa kolacja z rodzaju tych, które King najbardziej lubił. Wiadomość ta najwyraźniej wprawiła go w jeszcze lepszy nastrój. Po kilku minutach starannie usunął pastę Magic Shaving Powder szpatułką. Maż spłynęła do kanalizacji, zabierając ze sobą tysiąc małych włosków. Kiedy wycierał twarz ręcznikiem, rozległo się energiczne pukanie do drzwi. Pastor Billy Kyles, wysoki, niezdarny ekstrawertyk w okularach z ciemnymi oprawkami, stał w progu i powiedział, żeby się pospieszyli – robi się późno i Gwen już na wszystkich czeka.

Kyles, pastor Monumental Baptist Church w Memphis, znał Kinga i Abernathy’ego od dziesięciu lat. King i Abernathy zaczęli się z nim przekomarzać.

– Billy – wspominał później Kyles słowa Kinga – nie dostaniemy u ciebie w domu prawdziwego *soul food*. Gwen jest po prostu za ładna, żeby coś takiego ugotować³⁴².

Kyles udał urażonego i niezadowolonego.

– Kto niby nie umie gotować *soul food*?

– Dobra, Billy, jeśli Gwen poda filet mignon czy coś w tym guście, dostaniesz dwóję – dodał Abernathy.

King dalej był w łazience i wklepywał sobie w twarz płyn po goleniu Aramis – maskował ostry zapach siarki delikatnymi nutami drzewa sandałowego, skóry i koniczyny.

– Spóźnimy się, chłopie. Szykuj się, doktorku, zamiast myśleć o tym, co ci dadzą do żarcia – powiedział Kyles.

Skarcony King zaczął się żwawiej ruszać. Włożył koszulę z długim rękawem i próbował zapiąć guzik u kołnierzyka, który był jednak za ciasny – odkąd ostatni raz miał na sobie tę koszulę, albo przybrał na wadze, albo zbiegła się w praniu.

Jedno było pewne, jak powiedział Kyles w ramach riposty, wychodząc na balkon: jedzenia będzie więcej, niż byłoby wskazane z punktu widzenia obwodu brzucha Kinga.

– Tyjesz, doktorku.

– To prawda – zgodził się z nim King i spojrzał na Kylesa, którego uwaga drasnęła jego dumę. Potem zmienił temat. – Sprawdzę, czy nie mam innej koszuli.

Udało mu się znaleźć białą koszulę *non-iron*, którą szybko włożył i stwierdził, że kołnierzyk łatwiej się zapina.

– Gdzie jest krawat? – zapytał, przebiegając wzrokiem po pokoju. – Ktoś go zawieruszył.

Szukał swojego ulubionego krawata, miękkiego, jedwabnego, w kolorze brązowym w złote i niebieskie ukośne paski. Od czasu do czasu lubił udawać roztargnionego profesora – uzależnionego od Abernathy’ego, który musi mu matkować i zarządzać detalami jego życia – i teraz z rozmachem odegrał tę rolę. Było to coś w rodzaju szermierki słownej, którą w ciągu minionej dekady odtwarzali w tysiącu pokojów hotelowych, cały czas mając na uwadze najzupełniej realną możliwość, że podsłuchują ich krety z FBI.

– Hmm – mruknął King – ktoś go ewidentnie zawieruszył.

– A może byś tak popatrzył na to krzesło, Martin? – zbeształ go Abernathy.

Krawat oczywiście leżał tam, gdzie King go zostawił. Mając za sobą lata praktyki, błyskawicznie zawiązał węzeł i podciągnął go pod mięsistą szyję. Potem wbił srebrną szpilkę i obejrzał się w lustrze. Mniej więcej o 17.55 wyszedł w samej koszuli na balkon, żeby sprawdzić, co się dzieje z resztą jego ekipy w Lorraine.

Funkcjonariusz Willie Richmond zobaczył przez lornetkę, że King wychodzi na balkon³⁴³. W remizie panowało wielkie zamieszanie i miał kłopoty ze skupieniem uwagi. Specjalna

jednostka „taktyczna” policji w Memphis TAC Unit 10 zajechała na parking i funkcjonariusze weszli do środka, żeby się czegoś napić. Jednostka składała się z trzech radiowozów, po czterech policjantów w każdym. Dwunastu funkcjonariuszy kręciło się po świetlicy, piło kawę i żartowało między sobą. Dołączyli do nich niektórzy strażacy.

Jeden z nich, trzydziestodwuletni biały porucznik George Loenneke³⁴⁴, przeszedł przez szatnię i zobaczył stojącego tam Richmonda z lornetką.

– Widzę doktora Kinga – powiedział Richmond. – Chyba jedzie na kolację.

Loenneke podszedł do Richmonda.

– Daj popatrzeć – powiedział. – Nie widziałem doktora Kinga od czasu, kiedy przyjechał do Memphis na marsz Mereditha.

Richmond dał mu lornetkę i Loenneke spojrział przez szczelinę między gazetami.

– No, to on. Ani trochę się nie zmienił.

Nie wiadomo dokładnie, co Eric Galt robił w pokoju 5B między piątą a trochę przed szóstą. Być może czytał „Memphis Commercial Appeal” – przyniósł z samochodu pierwszy dział tej gazety. Może słuchał wiadomości na swoim radiu tranzystorowym albo smarował brylantyną świeżo ostrzyżone włosy. Może rozważał oklejenie końców palców plastrami trzymanymi w kieszeniach zapinanej na zamek niebieskiej plastikowej torby; była to stara sztuczka mająca na celu uniknięcie pozostawiania odcisków palców – rutynowo tak się zabezpieczał, kiedy planował popełnienie przestępstwa.

Tym razem nie miał jednak czasu bawić się w owijanie palców. Nagle, mniej więcej o 17.55, w soczewkach lornetki pojawiła się znajoma postać. Ku zaskoczeniu Galtu Martin Luther King wyłonił się ze swojego pokoju i stał na balkonie przed numerem 306, koło metalowego wózka kelnerskiego, w samej koszuli i krawacie. Spojrzął na parking Lorraine. U sufitu nad jego głową wisiała lampa.

Dla Galtu musiało to być spore przeżycie: człowiek, którego tropił od wyjazdu z Los Angeles, nareszcie znalazł się w jego polu widzenia, zawieszony w chwiejnym, rozmytym na brzegach światła powlekaną optyki. Stanowił doskonały cel, w całości widoczny, zupełnie jakby przemawiał z trybuny.

Przy siedmiokrotnym powiększeniu szczegóły musiały być zaskakująco wyraźne. Galt z pewnością widział wszystko: cienki wąsik Kinga, sznurówki czarnych mokasynów, złoty zegarek na lewym nadgarstku, ukośne prążki na jedwabnym krawacie.

Musiał błyskawicznie podjąć decyzję. Taka okazja mogła się więcej nie powtórzyć. Pobiegł do wspólnej łazienki sprawdzić, co widać. Charlie Stephens, pijak z pokoju 6B po drugiej stronie korytarza, usłyszał kroki nowego lokatora truchającego po linoleum³⁴⁵. Ściany kamienicy czynszowej były cienkie jak papier, więc Stephens, którego łóżko stało pod ścianą łazienki, słyszał, jak „Willard” tam urzęduje. Potem usłyszał, jak współlokator wraca do swojego pokoju.

Widok z łazienki musiał przekonać Galtą, że teraz albo nigdy. Po powrocie do 5B gorączkowo zgromadził w jednym miejscu niebieską torbę, lornetkę i owinięte w zieloną narzutę pudełko z karabinem. (W pośpiechu zapomniał o paskach lornetki, które wcześniej rzucił na podłogę). Potem zgarnął to wszystko, jeszcze raz popędził do łazienki i zamknął za sobą drzwi na klucz.

Było około szóstej.

Oto stoję nad rzeką

King spojrzął na basen bez wody i zaczerpnął świeżego powietrza. Tego wieczoru było trochę pochmurno i chłodno – trzynaście stopni – a na niebo wyszedł rogal księżycy. Od rzeki Missisipi, oddalonej tylko o kilka przecznic na zachód, ale częściowo ukrytej za skarpią swojego koryta, ciągnął lekki wiatr. Wokół Lorraine znajdowały się przede wszystkim dawne sortownie bawełny i zaniedbane ceglane magazyny starej dzielnicy przemysłowej w okolicy South Main Street. Na północy wznosiły się wieżowce Memphis: isticie gotycki Sterick Building, zjawiskowo biały Lincoln American Tower, Union Planters Bank z obrotową restauracją na czterdziestym piętrze. W centrum właśnie zaczynały błyskać światła. Na dachu hotelu Peabody zamieszkujące tam na stałe kaczkę schroniły się na noc do swojej rezydencji.

Chłonąc wieczór w Memphis, King przez kilka długich chwil stał oparty o poręcz balkonu. Był zupełnie niechroniony, ale jak prawie zawsze odmówił przyjęcia obstawy policji w Memphis: „Czułbym się jak ptak w klatce”, tłumaczył³⁴⁶. Nie wierzył w ochroniarzy, zwłaszcza uzbrojonych. Nikomu z jego ekipy nie wolno było nosić przy sobie pistoletu, pałki ani żadnej innej broni. Byłoby to sprzeczne z jego podstawowymi wartościami, naruszałoby zasady Gandhiego. Nie pozwalał nawet na to, żeby jego dzieci bawiły się pistolecikami³⁴⁷. Wyznawał niemal mistyczne przekonanie, że nieagresja jest silniejszym narzędziem samoobrony niż jakakolwiek broń. Zdawał sobie sprawę z otaczających go zagrożeń, ale nie chciał niczego zmieniać w swoim trybie życia. Na balkonie nie było zatem nikogo, kto mógłby go zasłonić, przeprowadzić, sprawdzić, czy nie znajduje się na linii strzału, i przewidzieć najgorsze.

Jeśli poprzedniej nocy miał przeczucia co do przedwczesnej śmierci („chorzy biali bracia”), to najwyraźniej wyparowały z jego świadomości. Teraz był w jowialnym nastroju. Ciemności z ubiegłego wieczoru się rozproszyły. Trąby powietrzne wokół Memphis zabiły sześć osób i raniły ponad sto, ale burze przeszły, nie pozostawiając po sobie niczego groźniejszego od kałuż. King cieszył się na nadchodzące wydarzenia, a obecność jego ekipy wyraźnie dodawała mu energii. Właśnie wybierał się ze swoimi towarzyszami na ulubioną kolację, podczas której zamierzali świętować zwycięski dzień w sądzie. Memphis – być może, mimo wszystko, to miasto miało jakieś szanse na zbawienie.

Właściciel Lorraine Walter Bailey zauważył euforyczny nastrój Kinga. „Zachowywał się zupełnie inaczej niż zwykle, był taki radosny – powiedział. – Tak jakby podbili świat”³⁴⁸.

Parę minut przed szóstą lokator kamienicy czynszowej pani Brewer Willie Anschutz³⁴⁹ siedział w swoim pokoju 4B z inną lokatorką, panią Jessie Ledbetter. Anschutz, pięćdziesięciosiedmioletni abstynent, pracował w firmie przeprowadzkowej. Pani Ledbetter, głuchoniema wdowa, która mieszkała w tej czynszówce od siedmiu lat, była niska i krępa i chodziła w jasnej sukience w kwiaty. Ta dwójka starych przyjaciół – Anschutz czule nazywał panią Ledbetter manekinem – razem leniwie spędzała popołudnie: pili colę, jedli ciasteczka

i oglądali film w telewizji. W którymś momencie Anschutz poszedł do wspólnej łazienki na korytarzu z miednicą naczyń, żeby je umyć, ale drzwi były zamknięte. Pięć minut później poszedł jeszcze raz – drzwi nadal były zamknięte. Zapalczywie pokręcił szklaną gałką, by zasygnalizować osobie w środku, że blokuje innym dostęp do toalety. Trochę poirytowany wsunął głowę do pokoju Charliego Stephensa.

– Kto jest w łazience, do cholery? – spytał. – Siedzi tam całe wieki.

Stephens, który dalej majstrował przy zepsutym radiu w aneksie kuchennym, słyszał, jak facet z 5B drałuje do łazienki, i miał świadomość, że nowy lokator przebywa tam „nadmiernie długo”³⁵⁰. Przez cienkie ściany słyszał wszystko, co się dzieje w jego części czynszówki. Wydało mu się dziwne, że facet przez cały ten czas nie odkręcił kranu ani nie spuścił wody.

– To ten nowy z 5B – wyjaśnił.

– Ale ja muszę się tam dostać! – narzekał Anschutz.

– Idziesz, Ralph? – zapytał trochę zniecierpliwiony King. Wrócił do pokoju 306 po marynarkę od garnituru Petrocelli z wysokiej jakości czarnego jedwabiu, zakupioną u Zimmermana w Atlancie.

– Momencik... Pomyślałem, że też użyję trochę tego aramis – odparł Abernathy, grzebiąc w zestawie do golenia należącym do pastora³⁵¹.

– Zaczekam na balkonie – powiedział King, wkładając marynarkę.

W kieszeniach miał srebrne pióro Cross i kawałek papieru z notatkami do przemówienia, które planował wygłosić w Memphis kilka dni później w ramach Kampanii Biednych Ludzi. Było tam między innymi zdanie: „Niczego nie można osiągnąć bez poświęceń”³⁵².

King powrócił na swoje stanowisko – stanął oparty o barierkę balkonu przed drzwiami pokoju. Znowu oglądał grupkę ludzi na dole. Szofer Solomon Jones włączył silnik cadillaca, żeby go rozgrzać.

Jeden z członków ekipy, Jesse Jackson, pozdrowił Kinga.

– Nasz przywódca! – zawołał takim tonem, jakby witał króla.

– Jesse! – odrzyknął mu King. – Chcę, żebyś pojechał dzisiaj ze mną na kolację³⁵³.

Był to drobny gest, ale wszyscy współpracownicy Kinga odczytali jego znaczenie: zapraszając Jacksona na kolację, King postawił pierwszy krok w stronę pojednania się ze swoim upartym uczniem po kłótni w Atlancie. King mu *przebaczył*.

Kyles, który nadal stał na balkonie, wyjaśnił Kingowi:

– Doktorku, Jesse już się o to zatroszczył. Sam się wprosił!

Jackson rzeczywiście wkręcił się na tę imprezę, ale nie wyglądał jak człowiek, który idzie na uroczystą kolację. Miał na sobie oliwkową bluzę z golfem i skórzaną kurtkę, przez co wyraźnie odstawał od członków wewnętrznego kręgu Kinga, którzy występowali pod krawatami. Kiedy na parkingu Lorraine ktoś obrzucił go znaczącym spojrzeniem, Jackson zażartował:

– Na kolacji potrzebny jest tylko apetyt.

King zaśmiewał się z hipsterskich ciuchów Jacksona i sprawności, z jaką ten dopisał swoje nazwisko do listy gości. Tego wieczoru przywódca był pełen miłosierdzia. Energicznie szarpnął za wyłogi marynarki, jak miał w zwyczaju, kiedy czuł się pewny siebie i gotów rzucić światu wyzwanie. Był gładko ogolony, wypachniony i elegancko odziany. Spojrzał na Jacksona z szerokim uśmiechem.

Georgia Davis była w pokoju 201, którego drzwi zostawiła lekko uchylone³⁵⁴. Robiąc sobie w łazience fryzurę, słyszała, jak King rozmawia ze swoim sztabem; docierał do niej rozbrzmiewający na dziedzińcu głos, silny i melodyjny. Poznawała po nim, że King jest w dobrym nastroju. „Niechże on już przestanie paplać”, pomyślała, bo robiła się głodna. Spojrzała na zegarek: szósta. O tej porze wszyscy powinni już być w domu Kylesa. Potem wyjrzała przez okno i zobaczyła Kinga na balkonie. Uśmiechał się, dowcipkował i gadał.

W zatęchłej łazience Galt wyjął gamemastera z pudełka i załadował jeden pocisk Remington-Peters .30-06³⁵⁵. Prawdopodobnie bał się, że nie zdąży, bo inaczej załadowałby więcej. Szarpnął za okno z taką siłą, że zakleszczyło się otwarte na zaledwie dziesięć centymetrów. Przypuszczalnie stuknął kolbą w zardzewiałą moskitierę, która wyskoczyła z zawiasów i spadła na porośnięte chaszczami podwórze.

Łazienka była odrażająco brudna; w muszli klozetowej porobiły się zacieki, a na ścianach nad boazerią odchodziła farba w kolorze jaja rudzika³⁵⁶. Galt wszedł do starej wanny na lwich łapach, zapaskudzonej i odrapanej, z odpływem zapchanym kępą włosów. Na brzegu wisiał koszyczek z resztką mydła. Galt oparł się o ścianę, a lufa karabinu spoczęła na złączonym parapecie.

W celowniku Redfielda znalazł Kinga, nadal opartego o poręcz balkonu Lorraine. Buty Galt zapewne zaskrzypiały, trąc o powierzchnię wanny, na której zostawiły czarne ślady. Gdzieś w głębi korytarza mruczał telewizor, a w którymś oknie warczał wentylator. Zapach przypalonych hamburgerów snuł się do góry z Jim's Grill, gdzie z racji *happy hour* budweiser lał się strumieniami, a goście z zapamiętaniem grali w grę polegającą na rzucaniu krążkami na ponumerowane pola.

Galt zapewne słyszał, jak Willie Anschutz dobija się do łazienki, co musiało stanowić poważną próbę dla jego koncentracji. Trzeba było działać szybko. Wziął na muszkę głowę Kinga. Zaczynało się ściemniać, ale w takich warunkach chemiczna emulsja na soczewce redfielda uwydatniała cel. W oddali za Lorraine wznosił się ogromny szary budynek urzędu pocztowego, niewyraźne monstrum majaczące w półmroku.

King nadal brylował na balkonie, nieświadomy zagrożenia. Jego twarz wypełniała prawie całe pole widzenia w celowniku. Był oddalony o sześćdziesiąt dwa metry, ale przy siedmiokrotnym powiększeniu wyglądało to na zaledwie dziewięć metrów. Był to łatwy strzał, na pewniaka.

Galt mocniej chwycił za karabin i wymierzył. Po chwili położył palec wskazujący na zimnym metalowym cynglu.

Silnik cadillaca nadal pracował na wolnych obrotach, a członkowie ekipy Kinga zaczęli podchodzić do swoich samochodów. Sam King tkwił na swoim posterunku – sprawiał takie wrażenie, jakby wieczór go zahipnotyzował, jakby scena na dziedzińcu go zaczarowała. Andy Young toczył udawaną walkę bokserską z Jamesem Orange'em, nieokrzesanym, niedźwiedziowatym mężczyzną, wielkim jak obrońca w futbolu amerykańskim.

– Uważaj, jak walczysz z dwa razy od siebie mniejszymi pastorami! – zawołał King do Orange'a.

Jackson, który stał obok cadillaca, przedstawił Kinga Benowi Branchowi, saksofoniście i szefowi kapeli, który urodził się w Memphis, a teraz przyjechał z Chicago, żeby zagrać

w ramach poparcia dla strajkujących śmieciarzy; tego wieczoru jego zespół miał dać koncert w Mason Temple, dokąd King i jego świta wybierali się po kolacji u Kylesów.

– A, cześć! – zawołał King. – Swój człowiek! Jak leci, Ben?!

– Cieszę się, że cię widzę, doktorze – odpowiedział mu Branch.

– Chcę, żebyś zaśpiewał dla mnie dzisiaj na spotkaniu, Ben. Piosenkę *Take My Hand, Precious Lord*.

King od wielu lat uwielbiał ten wielki gospelowy standard. Tę przepojoną tragizmem i melancholią pieśń napisał w czasach wielkiego kryzysu czarny kompozytor Thomas Dorsey, kiedy jego żona i dziecko zmarli podczas porodu:

Gdy nadciąga ciemność i zbliża się noc,
A dzień za plecami znika,
Ja schodzę nad rzekę,
A Ty pokieruj mymi stopami, trzymaj mnie za rękę.

– Chcę, żebyś to zaśpiewał jak nigdy wcześniej – powiedział King do Brancha. – Tak *napraaaaawdę* ładnie.

– Jasne, doktorze.

Solomon Jones wyskoczył z cadillaca i zawołał do Kinga:

– Robi się chłodno, lepiej niech pan zabierze płaszcz!

– Dobra, Jonesy – odparł King. – Ty naprawdę się o mnie troszczysz.

Wygrzebał z kieszeni paczkę papierosów mentolowych Salem i wyjął jednego. Wyprostował się i odsunął o krok od poręczy. Właśnie się obracał, być może zamierzał pójść do pokoju po swój wełniany płaszcz, kiedy po poręczach poniosło się echo jakiegoś łoskotu.

Funkcjonariusz Richmond, który obserwował Lorraine z remizy, usłyszał ten hałas³⁵⁷. Nie odebrał go jako odgłosu wystrzału z karabinu, lecz jako głośny huk, może z gaźnika ciężarówki, dochodzący z kierunku północno-zachodniego. Ale strażak George Loenneke wszystko widział. Przez lornetkę Richmonda, przez judasza w wyklejonym gazetami oknie cała scena rozegrała się na jego oczach jak w zwolnionym tempie: King osuwa się do tyłu od poręczy. King upada na posadzkę balkonu. King leży i nie wstaje. Loenneke przekazał lornetkę Richmondowi. Nikt inny w remizie niczego nie usłyszał ani nie miał pojęcia, co się stało.

Richmond odwrócił się i przebiegł przez remizę, krzycząc:

– Postrzelili go! Postrzelili pastora Kinga!³⁵⁸

Charlie Stephens, nadal usiłujący naprawić stare radio w swoim pokoju sąsiadującym z łazienką, usłyszał huk przez cienką ścianę ze sklejkki. Mimo alkoholowego otępienia natychmiast rozpoznał ten dźwięk. Walczył w Europie, więc był za pan brat z odgłosem ognia karabinowego. „Potrafię rozpoznać strzał, kiedy go usłyszę – powiedział później³⁵⁹. – Ten huk brzmiał jak niemiecka osiemdziesiątka ósemka”.

W łazience Eric Galt wciągnął karabin przez uchylone okno do środka. Wiedział, że trafił Kinga w głowę. Musiał widzieć w celowniku rozpyloną mgiełkę krwi. Odrzucony do tyłu King runął na betonową podłogę balkonu i w większości zniknął z pola widzenia.

Galt wyszedł z wanny i rzucił jeszcze ciepłego gamemastera i inne rzeczy na kapę. Zawinął to wszystko, odblokował wejście i ruszył korytarzem w stronę schodów.

Charlie Stephens otworzył drzwi swojego pokoju i zobaczył, że mężczyzna w ciemnym garniturze opuszcza łazienkę z długim pakunkiem pod pachą³⁶⁰. Uznał, że był to nieznajomy z pokoju 5B, ale widział go tylko od tyłu.

Willie Anschutz, który podobnie jak Stephens usłyszał niepokojący hałas dobiegający z łazienki, stał na korytarzu. Lokator pokoju 5B przeszedł obok niego z tobołkiem pod pachą. „Niósł coś długiego mniej więcej na metr – wspominał Anschutz – zawiniętego w coś, co przypominało stary koc”. Mężczyzna szedł pospiesznym krokiem biznesmena, ale nie biegł. Na twarzy miał szyderczy uśmiezek.

– Ej, to brzmiało jak *strzał!* – powiedział Anschutz do tego człowieka³⁶¹.

Zasłoniwszy twarz wolną ręką, lokator, który przedstawiał się jako John Willard, odparł spokojnym tonem:

– Bo to był strzał.

Jak u człowieka na krzyżu

Kula uderzyła Kinga w prawą stronę twarzy z prędkością ośmiuset czternastu metrów na sekundę. Lecący pod niewielkim kątem w dół pocisk z miękkim czubkiem strzaskał żuchwę, wyszedł na zewnątrz u dołu szczęki i wbił się w tkankę karku. Przy okazji przedziurawił kołnierzyk i wyłóg marynarki i równiutko uciął brązowy krawat tuż nad węzłem.

Pocisk dokonał dzieła zniszczenia zgodnie ze swoim przeznaczeniem: amunicja z zaokrąglonymi czubkami, zakazana przez konwencję genewską, po uderzeniu w cel rozszerza się na boki. Idea jest taka, żeby trafione taką kulą zwierzę się nie męczyło – pociski mają za zadanie rozrywać tkanki i siać maksymalne spustoszenie, żeby ofiara miała niewielkie szanse na przeżycie nawet w sytuacji, kiedy nie zostanie trafiony żaden ważny organ ani arteria. Impet kuli odrzucił Kinga do tyłu. Podłoga balkonu i sufit zostały spryskane wachlarzem krwi. Odłamki żuchwy rozsypały się po betonie. King instynktownie chwycił się prawą dłonią za gardło, a lewą poszukiwał poręczy. Po sekundzie leżał na plecach z nogami wykrzywionymi pod dziwnymi kątami, ponieważ mokasyny utkwiły pod poprzeczkami balustrady. Prawa nogawka spodni podjechała do połowy łydki, odsłaniając prążkowane czarne skarpety. Oczy poszły do góry. Głowa poruszała się nieznacznie z boku na bok.

Rana tryskała krwią w rytmie pulsu, wokół głowy i ramion tworzyła się coraz większa kałuża. W jednej z dłoni tkwił rozgnieciony papieros mentolowy Salem. Ramiona rozpostarły się szeroko na zimnym betonie; King znieruchomiał w pozie, którą ktoś z gości Lorraine porównał później do ukrzyżowania: „Jego ramiona poszły na boki jak u człowieka na krzyżu”³⁶².

Abernathy, który w pokoju 306 wklepywał w twarz płyn po goleniu Aramis, usłyszał dźwięk kojarzący mu się ze sztucznymi ogniami albo wystrzałem z gaźnika samochodowego. W pierwszej chwili to zlekceważył, ale potem zadał sobie pytanie, skąd się tutaj wzięły sztuczne ognie. Wyjrzał na zewnątrz przez lekko uchylone drzwi i zobaczył zakleszczone pod balustradą mokasyny Kinga. Jego pierwsza myśl, pełna niepokoju, ale optymistyczna, była taka, że King próbował się schować w reakcji na ten huk. Kiedy Abernathy dotarł do drzwi, zobaczył krew i już wiedział, co się stało.

– Boże, postrzelili Martina! – krzyknął³⁶³.

Chciał wyjść na balkon, ale miał obawy, że snajper nadal jest na swoim stanowisku. Spojrzał na dziedziniec Lorraine i zobaczył, że ludzie chowają się za samochodami, przyciskają do opon, szukają jakiejś osłony. Słyszał z dołu wrzaski i krzyki: „Boże, Boże, Boże!”, „Chować się!”, „Padnij!”, „Na ziemię!”... „Nie wstawać – on dalej tam jest!”.

Upłynęło kilka sekund, zanim wyszedł na balkon i kucnął. King leżał ukośnie na lewo od drzwi. Abernathy ostrożnie przestąpił nad nim i zobaczył, że jego przyjaciel ma strach na twarzy. Próbował go pocieszyć, pogłaskał go w lewy policzek. Rana po prawej stronie twarzy była gorsza, niż Abernathy się obawiał – poszarpana, wielkości pięści. Widać było kawałek kości.

Krew „połyskiwała”, jak powiedział później Abernathy, gromadziła się powoli wokół głowy Kinga, nasączając koszulę i marynarkę.

King oddychał chrapliwie i z trudnością. Drżące usta prawdopodobnie układały się w słowo „och”, ale nie wychodził z nich żaden dźwięk. Pastor chyba próbował coś powiedzieć. Oczy mu skakały, a potem znieruchomiały i jego spojrzenie padło na przyjaciela. Abernathy uznał, że King próbuje mu coś przekazać oczami.

– Martin – powiedział cicho. – Wszystko będzie dobrze. Nie martw się. To ja, Ralph³⁶⁴.

W ciągu czterdziestu pięciu sekund od oddania strzału Eric Galt zbiegł po schodach czynszówki – w sumie dwudziestu pięciu stopniach – i otworzył drzwi na ulicę. Była 18.02, kiedy wyszedł na pogrążoną w półmroku South Main Street. Wieczór był zimny i wilgotny, a ulica dziwnie opustoszała. Większość sklepów już pozamykano, ceglano-szklane fasady pływały w rzadkiej neonowej zupie. Z gamemasterem pod pachą Galt skręcił w lewo i pognął w kierunku południowym. Mokasyny ze sztucznej skóry aligatora kłapały o beton, kiedy zmierzał do zaparkowanego dwadzieścia metrów dalej mustanga.

Wszystko poszło za łatwo. Na South Main Street panowała upiorna cisza i nic nie wskazywało na to, że zaledwie przecnicę dalej doszło do rzezi. Nikt go nie zauważył, a tym bardziej nie próbował zatrzymać. Ale kiedy Galt dochodził do mustanga, zobaczył zaparkowane trochę dalej trzy radiowozy policyjne jednostki TAC 10. Stały pod remizą przy Butler Avenue skierowane w stronę Lorraine. Tuż za rogiem spostrzegł kilku uzbrojonych policjantów.

Gdyby szedł dalej, któryś z funkcjonariuszy zobaczyłby podejrzany pakunek pod jego pachą. Szanse na to, że dotrze do mustanga niepostrzeżenie, były niewielkie. Podjął impulsywną decyzję, której miał później pożałować: postanowił wyrzucić broń.

Właśnie mijał Canipe’s Amusement Company, zagracony sklep przy South Main Street 424, który wypożyczał i serwisował szafy grające i flipery. Drzwi wejściowe znajdowały się we wnętrzu w kształcie trapezu, toteż były niewidoczne dla policjantów. Dzięki temu przypadkowo odkrytemu schronieniu mógł zyskać trochę czasu. Nie ma pewności, czy Galt to zauważył, ale właściciel sklepu Guy Canipe siedział za biurkiem, a dwóch czarnych klientów przeszukiwało zbiory winylowych longplayów, które Canipe sprzedawał po dwadzieścia pięć centów. Z jakiejś niewidocznej szafy grającej wylewała się muzyka.

Kierując się instynktem, Galt porzucił narzędzie zbrodni w wejściu do sklepu. Zawinięte w zawilgłą narzutę pudełko z karabinem solidnie łupnęło na ziemię³⁶⁵.

– Słyszysz mnie, Martin? – zapytał Abernathy. – Boli cię?

Życie wyciekało z twarzy Kinga. Po chwili jego skóra zrobiła się popielata. Organizm był w szoku. Ciśnienie gwałtownie spadało, usta siniały, skóra stawała się lepka i zimna. Sprawiał wrażenie zapatrzonego w dal, z rozszerzonymi źrenicami. „Świadomość pierzchała z jego oczu”, powiedział Abernathy³⁶⁶.

Aureola ciepłej krwi rozpościerała się po betonie. Earl Caldwell, dziennikarz „New York Timesa”, który zatrzymał się w Lorraine, pomyślał, że krew jest dziwnie gęsta i lepka – że zamiast płynąć, tworzy kolejne warstwy jak „karmazynowa melasa”³⁶⁷. Marrel McCullough, policjant w cywilu, który inwigilował Invaders, podłożył Kingowi pod głowę biały motelowy ręcznik i przytknął jeden jego koniec do ran, żeby zatamować krwawienie. Oczy Kinga były otwarte, ale poruszały się niezależnie od siebie.

Teraz otaczali go ludzie – byli tam Andy Young, Jesse Jackson i McCullough. Young

ukłęknał koło Kinga i chwycił go za prawy nadgarstek, żeby sprawdzić puls. Wydawało mu się, że wyczuwa nikłe, nieregularne tętno. Zajrzał Kingowi w oczy i zastanawiał się, czy pastor ma świadomość tego, co się stało, czy słyszał wystrzał, czy cokolwiek czuł.

– To już koniec, Ralph – powiedział.

– Nie mów tak – zaprotestował Abernathy z grymasem na twarzy. – Nie mów tak.

W pokoju 306 Billy Kyles stał oparty o ścianę, wrzeszczał i płakał. W jednej ręce trzymał słuchawkę telefonu, a drugą walił w ścianę. Chciał wezwać pogotowie, ale nie mógł się dodzwonić. Bez końca tłukł w ścianę i krzyczał:

– Odbieraj! Odbieraj! Odbieraj!

Jednak telefonistka z Lorraine, która wybiegła na zewnątrz, żeby sprawdzić, co się dzieje, nie podnosiła słuchawki.

– Nie traćmy głowy – powiedział Abernathy do Kylesa i dodał, że ktoś na pewno zdążył już zadzwonić po pogotowie.

Kyles wziął się w garść i wyszedł na balkon z narzutą i poduszką, którą podłożył Kingowi pod głowę. Kiedy ukłęknał, żeby przykryć Kinga pomarańczową narzutą, zauważył rozgniewiony papieros w jego dłoni. Pomyślał, że King nie chciałby, aby ludzie zobaczyli u niego papierosy, i dyskretnie wyjął mu go z ręki³⁶⁸.

Kilka drzwi dalej, w pokoju 309, Joseph Louw dygotał z maniackalnej wściekłości³⁶⁹. Chciał chwycić za pistolet i zabić pierwszą białą osobę, którą zobaczy, ale jedyną „bronią”, jaką dysponował, był schowany w komodzie aparat fotograficzny. Szarpnął za szufladę i wyjął aparat, a potem wyszedł na balkon i zaczął na ślepo pstrykać we wszystkich kierunkach, jego palec wskazujący odruchowo naciskał migawkę.

W obiektywie znalazł się pogrążony w zamęcie dziedzinec Lorraine. Strażacy i policjanci wysypywali się z remizy jak chmary rozdrażnionych szerszeni. Większość z nich przeskoczyła przez murek i biegła w stronę motelu. Na parkingu nikt nie wiedział, co robić, dokąd pójść, jak pomóc. Stali bezradnie, jęczeli, płakali, modlili się, przeklinali. Niektórzy pozostali przycupnięci, podejrzewając, że może to być próba masowego zamachu. Inni nabrali przekonania, że wybuchła bomba i Kinga zabił odłamek.

Solomon Jones, szofer Kinga, z piskiem opon woził się bez celu po parkingu. W pewnym momencie jego spojrzenie przypadkowo padło na drugą stronę Mulberry Street, gdzie zobaczył mężczyznę „w czymś białym na głowie”, stojącego w zaroślach koło ceglanej kamienicy czynszowej.

W biurze motelu współwłaścicielka Lorraine Loree Bailey zaczęła „trząść się jak osika”, jak to powiedział jej mąż³⁷⁰. Chodziła po pokoju i jęczała:

– Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Po paru minutach pękło jej jakieś naczynie krwionośne w mózgu, wywołało potężny wylew krwi. Przewróciła się na podłogę, zapadła w śpiączkę i kilka dni później zmarła w szpitalu.

Parking wypełniły wrzaski, krzyki, jęki, błagania, oskarżenia: „Skurwysyny”... „Wezwać pogotowie!”... „O Jezu, o Jezu”... „Policja go zastrzeliła”... „Nie ruszajcie go. Nie ruszajcie jego głowy!”... „Te skurwysyny w końcu go dopadły”... Na dziedziniec Lorraine wtargnęli policjanci w kaskach i z bronią w ręku.

Wielu kolegów Kinga w pierwszej chwili pomyślało, że policja atakuje *ich* – że motel Lorraine jest obłączony. Policjanci zaczęli krzyczeć:

– Skąd padł strzał? Skąd padł strzał?

Young, Abernathy i inni wstali znad Kinga i pokazali trochę na prawo, na częściowo zasłoniętą przez zarośla ceglana kamienicę czynszową. Louw zrobił w tej chwili czarno-białe zdjęcie, które obiegiło później gazety na całym świecie – fotografię, z której przebijała gorączkowość i zanikająca nadzieja.

Nie ma jasności, jakim sposobem Abernathy i inni tak precyzyjnie wyczuli lokalizację snajpera – żaden z nich niczego nie widział, nie zauważył smugi dymu, mignięcia lufy, błysku światła w oknie. Wystrzał odbił się od tak wielu ceglanych fasad i betonowych powierzchni, że wskazanie jego źródła wydawało się niemożliwe. Jediną poszlakę stanowiło ułożenie Kinga. A przecież kiedy policjanci zadali z dołu to pytanie, nastąpił jakiś instynktowny, zbiorowy proces dedukcji. Bez chwili wahania, a tym bardziej dyskusji, ramiona poszły do góry. Aparat Louwa zwięźle to uchwycił: linia palców wskazujących skierowanych w tę samą stronę, złożonych w jeden oskarżycielski gest.

Któryś z funkcjonariuszy przekazał tę wiadomość przez radio do komendy:

– Mamy informację, że strzał padł z ceglaneanego budynku dokładnie na wschód. Wróć: dokładnie na zachód od Lorraine³⁷¹.

Na dziedzińcu wlewali się kolejni policjanci i tylu funkcjonariuszy zaczęło naraz mówić przez radio, że dyspozytor słyszał teraz tylko ostre buczenie.

– Niech część wyłączy radia, bo mamy sprzężenie! – polecił.

Zastępca szeryfa William DuFour, energiczny człowiek po trzydziestce, wbiegł na balkon Lorraine i próbował zapanować nad sytuacją.

– Gdzie go trafili? – zapytał³⁷².

Ludzie na balkonie nie wiedzieli, jak potraktować DuFoura – zwłaszcza w tym momencie byli bardzo podejrzliwi wobec każdego białego w policyjnym mundurze. Może w reakcji na głos DuFoura mięśnie twarzy Kinga ściągnęły się nieznacznie, tak jakby próbował przezwyciężyć szok i odpowiedzieć na pytanie zastępcy szeryfa.

– Niech się pan nie rusza, doktorze King! – krzyknął DuFour, nie chcąc, żeby King pogłębił swoje obrażenia.

Kiedy próbował ustalić, jak poważne są rany, James Bevel łąził po dziedzińcu Lorraine i wygłaszał bezładny monolog, który oscylował między bredzeniem a mądrością:

– Morderstwo! Morderstwo! Doktor powiedział, że nie tędy droga. Ale wiedzieliśmy, że nie dożyje starości. Nie można było wyobrazić go sobie jako starca. Skończyło się tak, jak musiało się skończyć. Tak mu było pisane³⁷³.

Tej broni nie wolno dotykać

Guy Canipe, właściciel Canipe's Amusement Company, siedział za biurkiem w swoim sklepie z witrynami wychodzącymi na południe i słuchał trzeszczących starych longplayów, które puścił na jednej z szaf grających dla dwóch czarnych klientów³⁷⁴. Ten czujny mężczyzna pod sześćdziesiątkę, który chodził we flanelowej koszuli w kratkę i zaciągał po teksasku, lubił każdą muzykę, „byle na niej zarabiał”, jak mówili jego znajomi.

Otoczony grupami zepsutych szaf grających i fliperów, żuł tytoń i przeglądał dokumenty, kiedy od wejścia do sklepu dobiegł do niego jakiś głuchy odgłos. Normalnie by tego nie zarejestrował, ponieważ w tej dzielnicy menele ciągle wyrzucali śmieci gdzie popadnie i w bramach lądowały przeróżne rzeczy; rok wcześniej ktoś zostawił na jego wycieracze całkiem sprawny telewizor. Tym razem jednak coś wyczuł. Wstał, podszedł do drzwi i zobaczył jakiś podłużny przedmiot zawinięty w materiał, który wyglądał mu na zasłonę.

Canipe podniósł wzrok i zobaczył mężczyznę idącego South Main Street na południe. Nieznajomy poruszał się szybko, ale nie biegiem. Canipe widział tylko jego plecy, ale potrafił ocenić, że jest to biały mężczyzna średniego wzrostu, schludny, z gołą głową, mniej więcej trzydziestoletni, w ciemnym garniturze. „Nie należał do ludzi, których się tutaj widuje”, stwierdził później. Dwaj czarni klienci, Julius Graham i Bernell Finley, zdążyli w tym czasie podejść do drzwi i zobaczyli tajemniczego mężczyznę.

Nieznajomy usiadł za kierownicą białego mustanga nowego modelu, który stał o cztery albo pięć miejsc parkingowych na południe od sklepu, koło dużego billboardu reklamującego „VERY OLD BARTON”, popularny gatunek burbona. Mężczyzna włączył silnik i ruszył w kierunku północnym, przejeżdżając koło sklepu. Jak relacjonował później Finley, mustang odjechał z piskiem opon, „jak do pożaru – zostawiając ślady gumy na asfalcie”. Canipe, Graham i Finley nie zauważyli w samochodzie nikogo oprócz kierowcy, a mustang jechał za szybko, żeby którykolwiek z nich zdążył zapisać numer rejestracyjny.

Canipe obejrzał leżący przed drzwiami pakunek. Spod płótna wystawał koniec czarnego tekturowego pudełka. Canipe, zapalony myśliwy, zobaczył słowo „Browning” i w pierwszej chwili pomyślał, że ktoś dał mu w prezencie wielką strzelbę myśliwską. W pudełku połyskiwała stalowa lufa, wycelowana prosto w niego.

Zaciekawieni Finley i Graham ruszyli w stronę drzwi, ale Canipe zagroził im drogę. Zobaczył biegnącego South Main Street policjanta z wyciągniętą bronią.

– Wracajcie do środka – powiedział Canipe do klientów. – Coś się stało. Nie chcę się w to mieszać.

Funkcjonariusz, porucznik Judson Ghormley z Biura Szeryfa Hrabstwa Shelby, pojawił się nie więcej niż minutę po odjeździe Galta. Ten czterdziestolatek, który miał na sobie koszulę khaki i zielone mundurowe spodnie, sądził, że sklep jest już zamknięty – sprawiał wrażenie zaskoczonego, kiedy Canipe uchylił drzwi i wystawił głowę.

– Widział pan, kto to tutaj położył? – zapytał Ghormley.

Właściciel sklepu powiedział Ghormleyowi, że rozminął się z tym człowiekiem o kilkadziesiąt sekund, a potem przedstawił rysopis; Finley i Graham przyłączyli się do niego. Finley potrafił powiedzieć tylko tyle, że był to człowiek „przeciętnego wzrostu, przeciętnej wagi, z przeciętną karnacją” i miał na sobie „ciemny garnitur – nie umiałem powiedzieć, jakiego koloru”. Graham był pewien jednej rzeczy: mężczyzna odjechał białym mustangiem nowego modelu.

Ghormley wyjął krótkofalówkę i przekazał tę informację na komendę.

– Mam użytą w zamachu broń przed South Main 424. Podejrzany uciekł z South Main na północ! – skrzeczał podniecony.

Dyspozytor zareplikował pośród trzasków:

– Tej broni nie wolno dotykać! Powtarzam: tej broni nie wolno dotykać! Całkowicie odgrodzić teren. Jakiś rysopis podejrzanego?³⁷⁵

– Wiemy tylko tyle, że jest młodym białym mężczyzną, dobrze ubranym, w ciemnym garniturze – odpowiedział Ghormley przez krótkofalówkę.

Po chwili dyspozytor ogłosił pierwszy opis snajpera i samochodu, którym ten człowiek prawdopodobnie uciekł:

– Podejrzany opisany jako młody biały mężczyzna, dobrze ubrany, przypuszczalnie w białym mustangu nowego modelu, pojechał South Main Street na północ z miejsca, z którego strzelano³⁷⁶.

Była 18.10.

W kamienicy czynszowej Charlie Stephens wrócił do swojego pokoju i wyjrzał przez okno³⁷⁷. Na dziedzińcu motelu Lorraine, po drugiej stronie ulicy, panował całkowity chaos. Na Mulberry Street policjanci ganiali na wszystkie strony, a do czynszówki podeszła tyraliera funkcjonariuszy i utworzyli kordon.

Z porośniętego chaszczami podwórza policjant w kasku nagle krzyknął do Stephensa:

– Ej, odsuń się od okna!

Stephens słyszał odgłos wystrzału w łazience, ale nie miał pojęcia, co się stało – nie wiedział nawet, że Martin Luther King nocował w Lorraine.

Policjant przyglądał mu się podejrzliwie.

– Zostać w pokoju! – rozkazał. – Nikomu nie wolno opuszczać budynku!

– Ale o co chodzi?! – odkrzyknął Stephens. – Co się stało?!

Skołowana mina na czerwonej od alkoholu twarzy Stephensa zapewne przekonała gliniarza, że tego człowieka nie można uznać za poważnego kandydata na podejrzanego.

– Martin Luther King został postrzelony – wyjaśnił.

W tym momencie noc rozdarł dźwięk zbliżających się syren. Karetka straży pożarnej 401 – zmodyfikowany czerwony cadillac z długimi płetwami, który przypominał karawan – wypadła zza rogu i wjechała na dziedziniec Lorraine. Z kabiny wyskoczyli sanitariusze i wyjęli z tyłu nosze. Zanieśli je na balkon i z pomocą Abernathy’ego i innych delikatnie przesunęli Kinga na miękkie białe posłanie. Zapięli pasy i założyli Kingowi maskę tlenową. Potem w sześć osób, z udziałem Andy’ego Younga i zastępcy szeryfa Williama DuFoura, zeszli z noszami na dół, z trudem pokonując ciasny zakręt schodów.

Young był przekonany, że dla Kinga nie ma już nadziei, że te gorączkowe działania ratunkowe to tylko niepotrzebna formalność. Sądził, że King już nie żyje, a przynajmniej nieuchronnie zmierza w tym kierunku.

Zgromadzeni na parkingu ludzie rozstąpili się, żeby zrobić przejście. Georgia Davis przebiegała się przez ten niewielki tłumek z oczami pełnymi łez. Stała jak wryta, kiedy sanitariusze otworzyli podwójne drzwi i wsunęli Kinga do karetki. Abernathy wsiadł do tyłu i kucnął koło Kinga. Davis, która chciała być przy kochanku, odruchowo ruszyła za Abernathym i zaczęła wsiadać, ale Andy Young dotknął jej ramienia i powiedział miękko:

– To chyba nie jest dobry pomysł, Georgio³⁷⁸.

Na jej twarzy, po której co chwila przesuwało się błyskające czerwone światło, pojawił się wyraz zaskoczenia, ale szybko sobie uświadomiła, że Young ma rację: to nie było jej miejsce. W każdym momencie mógł ją sfotografować jakiś fotoreporter i niewygodna prawda o kochance Kinga na zawsze stałaby się częścią historii. Georgia odeszła od karetki i rozplynęła się w tłumie.

Sanitariusze zamknęli tylne drzwi karetki, która o 18.09 z rykiem silnika pognęła do najbliższego szpitala Saint Joseph's. Kierowca J. W. Walton krzyknął przez radio do dyspozytora:

– Zrób mi zieloną falę!³⁷⁹

W centrali straży pożarnej w Memphis miejski dyspozytor sygnalizacji świetlnej nacisnął guzik, który ustawił zielone światła na wszystkich ulicach północ-południe i czerwone na wszystkich poprzecznych. Walton mógł teraz popędzić do szpitala bez zwalniania nawet na najbardziej ruchliwych skrzyżowaniach.

Eskortowana przez kilku policjantów na motocyklach karetka gnała przez centrum Memphis. Jeden z sanitariuszy pochylił się nad Kingiem, żeby zmierzyć mu tętno i ciśnienie. King nadal oddychał przez maskę, a teraz dodatkowo podłączono go do respiratora. Abernathy zadał sobie pytanie, czy jego przyjaciel słyszy wycie syren i czy się boi.

– Żyje? – zapytał³⁸⁰.

– Ledwo, ledwo – odparł sanitariusz ze zdawkowym skinieniem głowy.

Po czterech minutach pędzenia na złamanie karku karetka stanęła przy wejściu na oddział ratunkowy szpitala Saint Joseph's, ten sam, w którym dwa lata wcześniej leczono Jamesa Meredith, postrzelonego podczas nieszczęsnego marszu z Memphis. Prowadzony przez Kościół katolicki szpital Saint Joseph's był jedną z największych i najbardziej renomowanych placówek szpitalnych w mieście, ale wybrano go z innego, prozaicznego powodu: znajdował się najbliżej Lorraine.

O 18.15 Martin Luther King, nieprzytomny, ale z bijącym sercem, został zawieszony na oddział intensywnej terapii. Abernathy szybkim krokiem maszerował długim korytarzem u jego boku.

Przed Canipe's Amusement Company na South Main Street porucznik Judson Ghormley pełnił straż przy tajemniczym tobołku porzuconym przez nieznanego mężczyznę. Stosując się do rozkazu dyspozytora, nawet go nie tknął, tylko stanął w wejściu z wyciągniętym pistoletem i czekał na polecenia z góry.

Pod sklep Canipe'a przyjechał kapitan Jewell Ray z policyjnego wydziału wywiadowczego³⁸¹. Ten urodzony w Memphis trzydziestosześcioletek, który mówił

z kowbojskim akcentem i miał kanciastą twarz, występował w cywilnym ubraniu – sportowej marynarce i krawacie.

– Ten facet to porzucił, panie kapitanie – powiedział Ghormley do Raya.

Kapitan Ray przyklęknął na jedno kolano i obejrzał pakunek. Zawilgła zielona narzuta była luźno owinięta wokół czarnego tekturowego pudełka. Ray zobaczył również niebieską torbę na zamek. Aby nie zostawić odcisków palców na materiale dowodowym, z kieszeni na piersi wyjął ołówek i otworzył nim pudełko z napisem „Browning”. Obok karabinu zobaczył amunicję.

Odkrycie to zaskoczyło kapitana Raya i zrobiło na nim spore wrażenie. Rozkazał dwóm innym policjantom uzbrojonym w karabiny, żeby pełnili straż przy pakunku do czasu przybycia śledczych z wydziału zabójstw. Kiedy zjawiono się więcej funkcjonariuszy, kazał im zablokować wejścia do sklepu i wszystkich pobliskich zakładów przy South Main Street, łącznie z Jim’s Grill.

– Nikomu nie wolno opuścić tego terenu! – warknął. – Cały kwartał ma zostać zabezpieczony do czasu przybycia wydziału zabójstw!

Po tych słowach w towarzystwie porucznika Jima Papii wszedł po wąskich schodach na pierwsze piętro czynszówki Bessie Brewer. Zastali tam lokatorów, którzy na pograżonych w półmroku korytarzach rozgorączkowani rozmawiali o tym, co się wydarzyło. Jako pierwszego policjanci spotkali mężczyznę w średnim wieku, który nazywał się Harold Carter, miał mętne spojrzenie i powiedział, że usłyszał coś, „co brzmiało zupełnie jak strzał”.

– Ale ja jestem wariat – dodał – więc nie zwracajcie uwagi na to, co mówię.

Następnie kapitan Ray podszedł do głuchoniemej pani Ledbetter, która wydobywała z siebie jakieś bulgoczące dźwięki, ale pokazała w głąb korytarza. Do rozmowy włączył się Willie Anschutz, który powiedział kapitanowi Rayowi, że strzał padł z łazienki i że siedział tam facet, który nie chciał wyjść.

– Wtedy usłyszałem stamtąd coś, co zabrzmiało jak strzał. Wyszedł na korytarz, niosąc coś w rękach. Powiedziałem do niego: „To brzmiało jak strzał”, a on mi odpowiedział: „Bo to był strzał”.

Następnie kapitan Ray porozmawiał z Charliem Stephensem, który sprawiał wrażenie pijanego i poruszonego całym tym zamieszaniem.

– No, z łazienki strzelał – potwierdził. – Ten nowy lokator, facet z 5B. Po południu, jak się wprowadził, słyszałem u niego jakieś hałasy, to brzmiało jak przestawianie mebli.

Ray i Papia podeszli do drzwi pokoju 5B i nacisnęli „klamkę” z wieszaka. Otworzyły się ze skrzypieniem i oczom policjantów ukazał się smętny pokój bez żadnych osobistych rzeczy i bagażu. Funkcjonariuszy ogarnęło przygnębiające poczucie, że spóźnili się o kilka minut. Łóżko było starannie posłane, ale po jednej stronie zobaczyli wgniecenie w materacu, tak jakby ktoś dopiero co tam siedział. Okno wychodzące na Lorraine było otwarte, a przesunięte na bok zasłony lekko falowały na wietrze. Pod oknem stało krzesło, a na podłodze widać było ślady po przesuwaniu dużej rozchwierutanej komody – mężczyzna ewidentnie chciał zrobić miejsce na krzesło.

Ray i Papia podeszli do okna, żeby ocenić, jak przedstawia się widok na motel.

– Wygląda na to, że stąd obserwował – powiedział porucznik Papia. – Ale to nie jest dobry kąt do strzelania.

Kapitan Ray spróbował sobie wyobrazić stojącego w tym miejscu snajpera i zgodził się z kolegą. Doszedł do wniosku, że Stephens prawdopodobnie miał rację – strzał zapewne padł z łazienki.

Kiedy odwrócili się do wyjścia, Papia coś zauważył: na podłodze leżały dwa krótkie, czarne, skórzane paski. Papia uznał, że są to paski od aparatu fotograficznego.

Kapitan Ray i porucznik Papia przeszli po linoleum do łazienki, otworzyli drzwi i zbliżyli się do okna, uchylonego na kilkanaście centymetrów. Ray próbował je bardziej otworzyć, ale było zakleszczone. Zlustrował wzrokiem zaśmiecone podwórze i na dole zauważył moskitierę – sprawca prawdopodobnie wyszarpnął ją z zawiasów.

W zmerzchu na zewnątrz Ray i Papia dokładnie na wprost widzieli Lorraine, w odległości około sześćdziesięciu metrów. Na motelowym parkingu migotały policyjne koguty i gadały radia. Inaczej niż z pokoju 5B, linia łącząca okno łazienki z drzwiami pokoju Kinga przebiegała prawie pod kątem prostym.

– Stąd miał dobry cel – powiedział Papia.

Kapitan Ray odkrył na drewnianym parapecie jakiś dziwny ślad, wgniecenie w kształcie półksiężyca, które sprawiało wrażenie świeżego. Zanotował w pamięci, że przyczyną wgniecenia mogło być odbicie lufy karabinu po wystrale; trochę później pracownicy wydziału zabójstw zdemontowali parapet i zabrali go do zbadania. Wyglądało na to, że snajper musiał oddać strzał z wanny. Rzeczywiście na wannie widać było świeże zadrapania, a na ścianie tuż nad nią duży odcisk dłoni. Kapitan uznał, że przy wchodzeniu do wanny snajper przytrzymał się ściany.

Ray postawił jednego policjanta na straży w łazience, a drugiego w pokoju 5B i kazał zabezpieczyć miejsce zbrodni do czasu przybycia śledczych i agentów FBI.

– Gdzie jest właściciel? – zapytał.

Pani Ledbetter w końcu go zrozumiała, pociągnęła za rękaw i zaprowadziła do pokoju i biura Bessie Brewer w sąsiednim skrzydle czynszówki. Głuchoniema wdowa pokazała na drzwi pokoju 2 i stęknęła.

– Otwierać! – rozkazał Ray, łomocząc do drzwi. – Policja!

Usłyszeli dźwięk przesuwanej zasuwę i po chwili zobaczyli w drzwiach panią Brewer, która wyglądała na zdenerwowaną. W pokoju stał telewizor, na którym leciał kolejny odcinek serialu *Rawhide*.

– Kto wynajmował pokój 5B? – spytał kapitan Ray.

Pani Brewer nie mogła sobie przypomnieć nazwiska. Z niepokojem zaczęła szukać na biurku książki meldunkowej. Z własnej inicjatywy powiedziała, że usłyszała strzał, a przynajmniej coś, co zabrzmiało jak strzał. Wyszła na korytarz i wpadła na Williego Anschutza, który powiedział: „Nowy lokator właśnie zbiegł po schodach z karabinem!”. Popędziła do pokoju 5B, ale tak samo jak pięć minut wcześniej kapitan Ray i porucznik Papia, stwierdziła, że jest pusty. Potem, bojąc się o własne bezpieczeństwo, czym prędzej wróciła do swojego biura i zamknęła drzwi na zasuwę.

Oznajmiła, że mężczyzna z pokoju 5B zameldował się około trzeciej po południu i zapłacił tygodniowy czynsz. Miał na sobie elegancki ciemny garnitur, taki jaki noszą biznesmeni. Najpierw pokazała mu ładniejszy pokój od frontu, ale mu się nie spodobał.

– O, jest – powiedziała, biorąc do ręki książkę meldunkową.

Otworzyła ją i znalazła wystawiony kilka godzin wcześniej paragon na osiem i pół dolara.

Lokator – powiedziała do kapitana Raya – nazywał się John Willard.

Przerwa, która miała się nigdy nie skończyć

W motelu Lorraine Jesse Jackson wisiał na telefonie i gorączkowo próbował się dodzwonić do Coretty. Siedział na skraju łóżka i raz po raz wykręcał numer na czarnym aparacie z obrotową tarczą. Nie chciał, żeby tragiczna wiadomość dotarła do niej z eteru, za pośrednictwem bezdusznego głosu prezentera. Kiedy nareszcie się dodzwonił około 18.20, właśnie wróciła do domu przy Sunset 234. Przez większość popołudnia robiła w centrum Atlanty zakupy ze swoją dwunastoletnią córką Yolandą, dla której chciała wybrać nową sukienkę na Niedzielę Wielkanocną. Coretta leżała ze skrzyżowanymi w kostkach nogami w swojej sypialni, żeby dać odpocząć stopom, i w takiej pozycji podniosła beżową słuchawkę stojącego przy łóżku telefonu.

– Halo?

– Coretto, właśnie postrzelili doktora – powiedział Jackson, mało delikatnie przekazując złą nowinę³⁸². W jego relacji znalazło się poczekające kłamstwo: Martin został trafiony w ramię.

– Rozumiem... – powiedziała po długiej przerwie.

Zabrzmiało to jakoś tak oficjalnie. Jackson odniósł wrażenie, że Coretta przyjęła tę wiadomość ze stoicką powściągliwością, prawie jakby się jej spodziewała. Jak później powiedziała, przez niemal cały okres małżeństwa „podświadomie czekała” na ten telefon.

Kiedy rozmawiała z Jacksonem, do pokoju weszli jej synowie Dexter i Marty. Oglądali w innym pokoju telewizję, siedząc na podłodze, i nagle na ekranie pojawił się pasek z informacją, że ich tatę postrzelono w Memphis.

– Mamo? – przerwał jej przejęty Dexter. – Słyszałaś? Co oni mają na myśli?³⁸³

Coretta przyłożyła palec do ust, więc chłopcy cierpliwie czekali w nogach łóżka, aż ich matka do końca wysłucha tego, co miał jej do powiedzenia Jackson.

– Zawieźli go do szpitala Saint Joseph’s.

– Rozumiem – powtórzyła. – *Rozumiem...*³⁸⁴

Jak napisał po latach w swoich wspomnieniach, Dexter nie wiedział, dlaczego jego matka powtarza to słowo, ale ton głosu potwornie go wystraszył.

– Nie wiem, jak bardzo jest źle – powiedział Jackson – ale powinnaś natychmiast przylecieć.

– Sprawdzę, kiedy jest najbliższy lot – odparła i spokojnie się rozłączyła.

W szpitalu Saint Joseph’s zespół pielęgniarek i sanitariuszy wwiózł Kinga do małej, jaskrawo oświetlonej sali z jasnozielonymi ścianami³⁸⁵. Przenieśli Kinga na stół operacyjny i zdjęli z niego zeszywniałe od krwi ubranie: marynarkę, koszulę, podkoszulek i krawat – odzież tę przekazano obecnym na miejscu funkcjonariuszom policji jako potencjalny materiał dowodowy. King leżał z głową nieznacznie przekreconą w lewo, ziejąca rana u podstawy szyi już nie krwawiła. Twarz nadal miał częściowo osłoniętą rękawiczką. Na ścianie wisiał krzyż, oblicze konającego Chrystusa królowało nad aparaturą i instrumentami medycznymi.

Jednym z pierwszych lekarzy, którzy przybyli do sali operacyjnej, był doktor Ted Galyon. Użył stetoskopu i wyczuł wyraźne bicie serca i tętno obwodowe. W lewe przedramię Kinga wkłuto jeden wenflon, żeby podać mu niezbędne do życia sole mineralne, a w kostkę drugi, żeby uzupełnić krew.

O 18.20 do sali wszedł doktor Rufus Brown, młody chirurg z Missisipi, który był jeszcze rezydentem. Doktor Brown od razu zobaczył, że King ma kłopoty z oddychaniem – pocisk uszkodził tchawicę i płuca dostawały za mało powietrza. Bez chwili wahania wziął do ręki skalpel.

– Tracheotomia – powiedział do wiszącego nad stołem personelu i rozciął Kingowi skórę u dołu gardła.

Kilka minut później do wyciętego przez chirurga otworu wprowadzono rurkę do intubacji dotchawiczej i podłączono Kinga do respiratora.

Operacji przyglądał się Ralph Abernathy. Stał oparty o ścianę obok pastora Bernarda Lee. Doktor Brown zerknął na nich z niezadowoloną miną – obecność bliskich na sali operacyjnej była sprzeczna z polityką szpitala. Do Abernathy’ego podeszła pielęgniarka i powiedziała:

– Naprawdę musi pan wyjść.

Abernathy był nieugięty.

– Zostaję – odparł nieznośnym sprzeciwu tonem, co zakończyło sprawę³⁸⁶.

Wraz z Lee stał pod ścianą i oglądał gorączkowe działania zespołu operacyjnego. Był zdumiony rozmiarami rany, która ciągnęła się od szczęki prawie po obojczyk.

Po paru minutach na sali było chyba z dziesięciu lekarzy: torakochirurg, kardiochirurg, neurochirurg, pulmonolog i kilku chirurgów ogólnych. Zajrzeli do rany i stwierdzili, że doszło do pęknięcia wielu naczyń krwionośnych w klatce piersiowej, a z rany wystaje wierzchołek prawego płuca Kinga. Na pęknięte naczynia założyli zaciski i wprowadzili do klatki piersiowej sączek, który szybko usunął prawie tysiąc centymetrów sześciennych krwi.

Około 18.30 do zespołu dołączył neurochirurg doktor Frederick Gioia³⁸⁷. Ten Amerykanin pochodzenia sycylijskiego, który wychowywał się na północy stanu Nowy Jork, a medycynę studiował w Genewie, był sympatycznym, ale trochę burkliwym człowiekiem z delikatnymi dłońmi chirurga. W swojej karierze zajmował się niezliczonymi przypadkami postrzeleń. Szybko potwierdził, że pocisk uszkodził żyłę szyjną i tchawicę Kinga, a następnie przeszedł przez rdzeń kręgowy – strzaskał kilka kręgów i przeciął tętnicę podobojczykową. „Uszkodzenia trzonów kręgów od C7 do T2 doprowadziły do całkowitej utraty substancji rdzenia kręgowego”, napisał później. Wędrujący przez ciało Kinga odkształcający się pocisk oderwał wiele małych fragmentów kości, które stały się kolejnymi mikroskopijnymi pociskami, siejącymi dalsze wewnętrzne spustoszenie. Korpus naboju utkwiał w lewej łopatce; doktor Gioia czuł przez skórę twardy metal.

Po dokonaniu tych ustaleń odłożył swoje instrumenty i pokręcił głową. Podeszedł do Abernathy’ego i Lee, żeby z nimi porozmawiać.

– Byłoby dla niego lepiej, gdyby nie przeżył – powiedział z przenikliwym spojrzeniem niebieskich oczu nad maską chirurgiczną. – Rdzeń kręgowy jest przerwany i doszło do potwornych uszkodzeń mózgu³⁸⁸.

Odłamki pocisku przecięły wiele ważnych nerwów blisko podstawy czaszki.

Gdyby King przeżył, byłby sparaliżowany od szyi w dół i prawdopodobnie pozostałby w stanie wegetatywnym. W tej sytuacji doktor Gioia – czy ktokolwiek inny – nie mógł już wiele

zrobić. Według większości definicji medycznych u Kinga nastąpiła już śmierć mózgową. Narządy wewnętrzne funkcjonowały, a płuca pracowały dzięki respiratorowi, ale organizm nie działał już jako organiczna całość.

Serce biło jednak dalej.

Około 18.10, kiedy dyspozytor ogłosił informację o podejrzanym, policja z Memphis szukała nowego modelu mustanga kierowanego przez elegancko ubranego białego mężczyznę, który przedstawiał się jako John Willard. Na prawie wszystkich ważniejszych drogach wylotowych z miasta postawiono radiowozy, a w całym Memphis policjanci zatrzymywali każdego mustanga. Mieli mnóstwo roboty, w tamtych czasach był to bowiem niezwykle popularny samochód. Po skontaktowaniu się z miejscowymi dealerami Forda ustalono, że w ciągu ostatnich trzech lat w Memphis i hrabstwie Shelby sprzedano około czterystu mustangów w jasnych kolorach.

Szybko pojawiło się jednak kilka obiecujących tropów. O 18.26 dyżurny z biura szeryfa podał przez radio informację – nie wiemy, z jakiego źródła – że mustang napastnika zmierza w stronę granicy miasta w kierunku północno-wschodnim:

– Poszukiwany prawdopodobnie znajduje się teraz na Thomas koło Parkway; ciemne włosy, ciemny garnitur.

Dziesięć minut później porucznik policji Rufus Bradshaw, poruszający się radiowozem 160, został zatrzymany na rogu Jackson i Hollywood w północnym Memphis przez przejętego młodego człowieka, który nazywał się Bill Austein³⁸⁹. Ten dwudziestodwulatek, który jeździł biało-czerwonym chevroletem chevelle i pracował dla firmy produkującej urządzenia grzewcze i klimatyzatory, był zapalonym użytkownikiem CB-radio (licencja Federalnej Komisji Transportu KOM-8637). Według porucznika Bradshawa „wyglądał jak kościelny diakon”. Austein powiedział, że na kanale 17 – jednej z mniej używanych częstotliwości – odbiera - niezwykle komunikaty dotyczące zamachu na Martina Luthera Kinga.

Zaciekawiony Bradshaw zaparkował radiowóz koło auta Austeina na parkingu pralni Loeb's i zafascynowany przez dwanaście minut słuchał przez CB-radio transmisji na żywo z rzekomego pościgu niebieskiego pontiaca za szybko uciekającym białym mustangiem w południowo-wschodnich dzielnicach miasta. Kierowca pontiaca twierdził, że jedzie za „człowiekiem, który zastrzelił Kinga”.

Bradshaw na bieżąco relacjonował głównemu dyspozytorowi policyjnemu to, co słyszał. Dyspozytor, który nie miał dostępu do CB-radio, puszczał w eter często zniekształcone fragmenty tej opowieści.

– Białą mężczyzna na Summer Avenue koło Highland, w białym mustangu, sprawca zamachu – zaczął.

Minuty mijały i prędkość pościgu wzrastała do stu dwudziestu, stu trzydziestu, stu czterdziestu, stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, kiedy mustang i ścigający go pontiac pędziły na wschód w godzinach szczytu, lekceważąc dziesiątki czerwonych świateł. Operator CB-radio w pontiacu trochę oficjalnym głosem nastolatka powiedział, że w jego samochodzie są jeszcze dwie osoby.

Z powodu złych warunków atmosferycznych sygnał momentami zanikał, ale po chwili głos znowu stawał się zrozumiały. Pościg przeniósł się na wschodnie obrzeża Memphis, potem na przedmieścia Raleigh, a następnie zmierzał w stronę lotniska marynarki wojennej w Millington.

Kiedy nad Memphis zapadała noc, domniemany sprawca zamachu na Martina Luthera Kinga zmierzał ku porośniętej wiciokrzewem pagórkowatej krainie wiejskiego Tennessee.

Austein co jakiś czas prosił o podanie nazwiska albo numeru operatora CB-radio w pontiacu, ale kierowca odmawiał odpowiedzi. Gotów był podać tylko markę i rocznik (1966) swojego samochodu. Relacja wydała się policyjnym dyspozytorom wystarczająco wiarygodna, żeby skierować większość radiowozów do północnego i północno-wschodniego Memphis w nadziei na zatrzymanie pędzących pojazdów. Postawiono blokady i poinformowano o wszystkim drogówkę. Kiedy dyrektor straży pożarnej i policji Frank Holloman słuchał tej trzymającej w napięciu relacji, całą komendę ogarnęło podniecenie: być może byli bliscy przyskrzynienia tajemniczego Johna Willarda. Inni ludzie, którzy mieli w swoich samochodach CB-radio, zostali wciągnięci w tę historię. Jeden z nich, najwyraźniej niebędący miłośnikiem ruchu praw obywatelskich, włączył się do rozmowy i powiedział:

– Opuść mu, bo to może być poszukiwany, który zastrzelił Martina Luthera Kinga.

O 18.47, kiedy oba samochody wyjechały na Austin Peay Highway, pościg przerodził się z niebezpiecznego w potencjalnie tragiczny: kierowca niebieskiego pontiaca nagle krzyknął przez CB-radio:

– Strzela do mnie! Trafił mnie w przednią szybę!

– Biały mustang strzela do niebieskiego pontiaca! – zaskrzeczał Bradshaw. – Biały mustang strzela do niebieskiego pontiaca!

Austein zapytał operatora CB-radio, czy potrafi odczytać numer rejestracyjny mustanga, ale kierowca pontiaca odpowiedział, że boi się podjechać tak blisko, bo mógłby znowu zostać ostrzelany.

O 18.48 odbiornik CB-radio Austeina zamilkł; trzeszcząca relacja nagle się urwała razem z najlepszym tropem Hollomana.

Przed szpitalem Saint Joseph's panował coraz większy chaos i zamęt. Ludzie krzyczeli i przeklinali, płakali i modlili się, inni urządzili czuwanie przy świecach na skraju parkingu. Uzbrojeni w karabiny policjanci w kaskach stali na baczność. Pojawiły się dziwne plotki, powielane i podkręcane przez skłębiony tłum. Zamachowca schwytano i zabito na moście przez rzekę Missisipi. Prezydent Johnson leci do Memphis swoim samolotem Air Force One. Alpha-Abernathy'ego postrzelono i umiera obok Kinga. Była też bardziej optymistyczna pogłoska: King wszedł na oddział ratunkowy o własnych siłach z przyłożonym do twarzy ręcznikiem, kula tylko drasnęła go w szczękę; za chwilę spotka się z prasą, aby zapewnić świat, że jest bezpieczny.

O wpół do siódmej nastroje były tak burzliwe, że władze szpitala z obawy przed zamieszkami poprosiły policję o postawienie barykad. Na teren placówki mogli wejść tylko najbliżsi współpracownicy Kinga: Young, Bevel, Chauncey Eskridge. Zaradny dziennikarz „Commercial Appeal”, który uświadomił sobie, że zajmuje się jedną z najważniejszych spraw w całej swojej karierze, nagle zaczął się skarżyć na bóle w klatce piersiowej.

– Chyba mam zawał! – wyjęczał i w ten sposób uzyskał wstęp na oddział ratunkowy.

W poczekalni siedział Young z twarzą ukrytą w dłoniach, a po korytarzach przechadzał się agent FBI³⁹⁰. Eskridge, który stał oparty o ścianę w poczekalni, powiedział:

– Dlaczego... dlaczego ktoś chciałby to zrobić? Po prostu tego nie rozumiem.

Young znalazł w głębi korytarza telefon wrzutowy i zadzwonił do Coretty, nie wiedząc, że Jackson już się z nią skontaktował z Lorraine. Coretta pospiesznie się pakowała, chcąc wsiąść

do następnego samolotu do Memphis. W tle słychać było wiadomości telewizyjne.

Young wyprowadził ją z błędnego przekonania, że King został trafiony w ramię.

– W szyję – skorygował Young. – Rana jest bardzo poważna. Ale on nie umarł, Coretto. On nie umarł³⁹¹.

– Rozumiem – powiedziała po raz kolejny Coretta.

Według Younga brzmiała „prawie spokojnie”. Powiedziała, że chce wylecieć z Atlanty o 20.25.

– Dobrze – odparł Young. – Ale weź kogoś ze sobą, Coretto.

Odparła, że taki ma zamiar – burmistrz Atlanty Ivan Allen zaproponował, że zawiezie ją na lotnisko, a Dora McDonald, osobista sekretarka Kinga, była gotowa polecieć z nią do Memphis. Odłożywszy beżową słuchawkę, Coretta odwróciła się do Yolandy, Dextera i Marty’ego, którzy próbowali śledzić jej rozmowę³⁹². Otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale Yoki, jak nazywali Yolandę, zasłoniła sobie uszy dłońmi i wybiegła z pokoju, wrzeszcząc:

– Nie mów mi! Nie mów mi!

Coretta przygarnęła do siebie obu chłopców i głęboko zaczerpnęła tchu.

– Wasz ojciec... Był wypadek³⁹³.

Jesse Jackson wyszedł ze swojego pokoju w Lorraine rozmemłany i z bardzo przygnębioną miną; rozejrzał się po dziedzińcu, na którym migotały światła radiowozów.

– Muszę zobaczyć doktora Kinga! – wrzasnął niecierpliwie do kogoś w oddali. – Czy ktoś może mnie zawieźć do szpitala, żebym zobaczył doktora Kinga?³⁹⁴

Spostrzegł chmurę reporterów, którzy otoczyli muzyka Bena Brancha.

– Nie rozmawiaj z nimi! – krzyknął.

Branch go posłuchał, sądząc, że według Jacksona powinni poczekać z udzielaniem wywiadów do powrotu Abernathy’ego i Younga ze szpitala. W końcu to oni byli najbliższymi współpracownikami Kinga i najczęściej widzieli.

– Żadnych komentarzy – powiedział Branch do reporterów i się oddalił.

Parę chwil później Jacksona zauważyła jedna z ekip telewizyjnych.

– Jesse! Pastorze! – zwrócił się do niego jeden z dziennikarzy. – Mógłby nam pan powiedzieć, co się stało?

Jackson w pierwszej chwili grał na zwłokę.

– Czy nie można z tym chwilę poczekać, Jack?

Ale reporter nalegał:

– Czy mógłby nam pan powiedzieć, co się stało, żebyśmy mogli wysłać ten materiał? Bardzo pana proszę.

Jackson w końcu ustąpił. Nie licząc samego Kinga, z całego SCLC dwudziestosześcioletni Jackson czuł się najbardziej naturalnie w świetle fleszy, więc kiedy kamery zaczęły terkotać, trochę wyjaśniał.

– Przywódca czarnych ludzi – zaczął – nasz Mojżesz, przywódca, jaki trafia się raz na pięćset lat, został nam zabrany. Kiedy stoję tutaj przed wami w tej godzinie, nie mogę dopuścić do serca nienawiści, ponieważ zabiła go choroba, a nie podłość. Za spust pociągnęła patologia i neuroza Memphis oraz rasistowskiego społeczeństwa, w którym żyjemy. Przez ostatnie kilka lat doktor King w jakimś stopniu stanowił bufor między czarną a białą społecznością. Biali ludzie tego nie wiedzą, ale ich najlepszy przyjaciel nie żyje.

Reporter domagał się szczegółów wydarzeń rozgrywających się w Lorraine zaraz po strzale.

– Ludzie byli, hy, niektórzy byli w hysterii, niektórzy w szoku, niektórzy wrzeszczeli: „O Boże”. I hy...

Odwrócił wzrok od kamery i się zawahał. Może zadziałał stres, a może Jackson wyczuł swoją szansę, w każdym razie zaczął snuć pewną małą konfabulację, która w kolejnych dniach rozrosła się do okazałych rozmiarów: w tej wersji Jackson odegrał na balkonie rolę, która w rzeczywistości należała do Abernathy’ego.

– Natychmiast wybiegłem do niego na górę – powiedział. – Chwyciłem go pod głowę. Próbowałem zbadać jego głowę. Zapytałem go: „Doktorze King, słyszy mnie pan? Doktorze King, słyszy mnie pan?”, ale on nic nie powiedział. I próbowałem... próbowałem *przytrzymać jego głowę*. Ale wtedy już...³⁹⁵

Członek zarządu SCLC Hosea Williams wyjrzał przez okno swojego pokoju i zobaczył Jacksona rozmawiającego z prasą. Zaciekawiony zszedł na dziedziniec i zaczął się przysłuchiwać. Relacja Jacksona zaskoczyła go, ponieważ nie przypominał sobie, żeby Jackson przebywał choćby w pobliżu leżącego na podłodze balkonu Kinga, a tym bardziej trzymał jego głowę. Niektórzy goście motelowi w ogóle nie widzieli Jacksona po wystrzale, inni twierdzili, że chował się za murkiem okalającym basen do momentu przyjazdu karetki.

Williams był więc już mocno podejrzliwy, kiedy usłyszał – a przynajmniej tak mu się wydawało – jak Jackson mówi do dziennikarza telewizyjnego: „Tak, byłem ostatnim człowiekiem na świecie, z którym King rozmawiał”.

Niewykluczone, że starszy i bardziej doświadczony Williams poczuł ukłucie zazdrości na widok tego, jak młody Jackson bezczelnie pcha się w światła jupiterów. W każdym razie te ewidentnie kłamliwe słowa tak go rozjuszyły, że przeskoczył przez jakąś barierkę i zaczął biec w stronę Jacksona, krzycząc:

– Ty podły, śmierdzący, fałszywy...!

Ludzie zgromadzeni na dziedzińcu Lorraine musieli go pochwycić, żeby nie rzucił się na Jacksona. „Chciałem go wdeptać w ziemię!”, wspominał później³⁹⁶.

King walczył jeszcze o życie w szpitalu, kiedy w szeregach ruchu rozpętały się bratobójcze wojny; młode wilki zaczęły sobie przypisywać główny udział w tym dramacie. „Na takim czymś można zbić niezły kapitał, zwłaszcza gdy wyznasz, że kochałeś swojego przywódcę – powiedział później Williams dziennikarzowi. – Jedyńą osobą, która trzymała w ramionach głowę doktora Kinga, był Abernathy. Nie wadzi mi, że Jackson rozmawiał z prasą. Ale *po co kłamał?*”³⁹⁷.

Konflikt z Williamsem najwyraźniej rozstroił Jacksona, który powiedział do innego członka personelu SCLC, że jest chory i że postanowił wrócić wieczorem do Chicago.

– Nerwy mam w strzępach od tego wszystkiego. – Dodał, że po powrocie do domu zamierza zgłosić się do szpitala³⁹⁸.

Jego relacja krążyła już jednak po mediach i zaczął wyrastać na następcę Kinga. Zaledwie parę minut później korespondent NBC David Burrington donosił z Lorraine:

– Pastor Jesse Jackson z Chicago to jeden z najbliższych doradców Kinga. Był obok niego, kiedy go postrzelono, stojącego na werandzie przed swoim pokojem motelowym³⁹⁹.

Lekarze na sali operacyjnej widzieli, że serce Kinga radzi sobie coraz gorzej. O 18.45 doktor Ted Galyon polecił sanitariuszowi podłączyć Kinga do EKG. Bicie serca było rozpaczliwie słabe – elektryczna igła wyskrobywała leniwe zygzyki na przewijającym się powoli papierze. Doktor

Galyon zarządził wstrzyknięcie adrenaliny prosto do mięśnia sercowego, a inny lekarz przystąpił do masażu serca, rytmicznie uciskając mostek nasadami dłoni. Tuż koło mostka doktorzy mogli zobaczyć imponującą starą bliznę – ranę w kształcie krzyża, powstałą w 1958 roku w wyniku operacji usunięcia noża do papieru, który obłąkana Murzynka wbiła w klatkę piersiową Kinga na wieczorze autorskim w Harlemie.

King nie reagował na te działania, a kiedy jeden z lekarzy zaświecił mu w oczy latarką, potężnie rozszerzone źrenice ani drgnęły. Jeden z chirurgów pokręcił głową, odwrócił się w stronę Ralpa Abernathy'ego i Bernarda Lee i powiedział półgłosem:

– Nie przeżyje⁴⁰⁰.

Abernathy sprawiał wrażenie oszołomionego i zdumionego.

– W takim razie dlaczego oni wszyscy dalej tutaj są? – odparł, zerkając w stronę zapracowanego zespołu lekarzy, pielęgniarek i sanitariuszy.

– Z kimś tak znanym i ważnym jak doktor King próbuje się wszystkiego – odparł lekarz łagodnym tonem. – Ale teraz już nic nie zadziała.

Lekarze kontynuowali masaż serca przez ponad piętnaście minut, ale igła EKG przestała się ruszać. Wysuwająca się z aparatu taśma papieru nie pokazywała żadnej akcji serca. Ten sam lekarz ponownie podszedł do Abernathy'ego i Lee i powiedział:

– On umiera. Jeżeli chcecie spędzić z nim ostatnie chwile, to możecie teraz podejść.

Abernathy wziął Kinga w ramiona. Oddech pastora był „tylko wydłużonym dygotem – stwierdził później. – Kolejne oddechy były coraz bardziej oddalone od siebie. A potem przyszła przerwa, która się wydłużała, i wiedziałem, że nigdy się nie skończy”⁴⁰¹.

Do sali operacyjnej wszedł doktor Jerome Barrasso i o 19.05 uznał Martina Luthera Kinga za zmarłego.

Abernathy dołączył do szpitalnych urzędników, którzy przed budynkiem podali Memphis i całemu światu krótką informację. W tym samym czasie do sali operacyjnej wezwano kapelana szpitala Saint Joseph's ojca Colmana Borgarda. Zgodnie ze szpitalnym protokołem duchowny pochylił się nad zwłokami, udzielił warunkowego rozgrzeszenia i pomodlił się za duszę Martina Luthera Kinga.

Potem delikatnie zamknął jego oczy⁴⁰².

W Atlancie rodzice Kinga słuchali radia w Ebenezer Baptist Church⁴⁰³. Wiedzieli, że ich syna postrzelono i jest poważnie ranny, ale nie tracili nadziei. Martin Luther King senior miał radyjko koło biurka w swoim gabinecie na górze. Kiedy on modlił się na głos, Alberta King bezgłośnie płakała. Wychowywała się w Ebenezer Baptist Church i od 1932 roku była kościelną organistką; ten kościół był jej domem i schronieniem, najlepszym miejscem podczas takiego kryzysu.

– Panie, pozwól mu żyć, pozwól mu żyć! – jęczał King senior, kiedy uciekały kolejne minuty.

Potem fale radiowe przyniosły tragiczną wiadomość. King odwrócił się do żony, ale żadne z nich się nie odezwało. Od lat żyli w strachu przed taką nowiną – możliwość ta czała się za każdym nocnym telefonem, za każdym niespodziewanym hałasem. Daddy King zdawał sobie sprawę, że jego syn nie ma się gdzie ukryć przed zorganizowanym złem. „Żadna ochrona nie wystarczy, jeżeli czymś wrogiem jest nienawiść – napisał później. Uświadomił sobie, że los jego syna został przypieczętowany już przed laty. – Uniknięcie tego było niemożliwe tak samo jak uniknięcie zapadnięcia ciemności wieczorem”⁴⁰⁴.

Kingowie obejmowali się w gabinecie, mierząc się z ciosem, który na nich spadł. Pani King przypomniała sobie odbytą tego samego dnia rozmowę z oboma synami – droczyli się z nią, udając jeden drugiego. Świadomość, że są razem, że są bezpieczni, bardzo wiele dla niej znaczyła.

Daddy King zdjął okulary, łzy płynęły mu po policzkach w stronę przyprószonych siwizną wąsów.

– Zawsze miałem przecucie, że to ja odejdę pierwszy – powtarzał w kółko.

Potrafił myśleć o swoim synu tylko jako o dziecku, które tak jak jego matka wychowywało się w tym kościele, jego młode życie kręciło się wokół Ebenezer Baptist Church. „Mój pierwszy syn; jego narodziny przyniosły mi tak wielką radość, że podskakiwałem na korytarzu koło pokoju, w którym przyszedł na świat, i dotknąłem sufitu; dziecko, uczony, śpiewający i uśmiechający się chłopiec – wszystko to zniknęło. W Ebenezer Baptist Church było tak cicho; w całym kościele płynęły łzy, ale w prawie zupełnej ciszy”⁴⁰⁵.

Kilka kilometrów dalej, w siedzibie FBI w Atlancie, przyszła przez radio wiadomość o śmierci Kinga. Różnie na nią zareagowano. W ciągu minionej dekady agenci z biura terenowego w Atlancie prawdopodobnie poświęcili Kingowi więcej roboczogodzin – na śledzenie, zakładanie podsłuchów i próby skompromitowania pastora – niż jakimkolwiek innemu figurantowi. King – nadano mu kryptonim „Zorro” – był dla pracowników tego biura czarnym ludem, człowiekiem z najobszerniejszą teczką osobową, do którego prowadziło tysiąc tropów śledczych.

Dwaj agenci, którzy przypadkiem stali obok siebie, kiedy nadeszła wiadomość o śmierci pastora, zwięźle ujęli panujące w biurze różnice zdań na temat Kinga⁴⁰⁶. Pierwszy z nich, Arthur Murtagh, przyznał, że jego zdaniem śmierć Kinga jest tragedią.

– Był wiarygodnym człowiekiem – powiedział. – Robił, co mógł, żeby pomóc swoim ludziom.

Stojący obok Murtagha agent James Rose skarcił go za naiwność i wdali się w zajadły spór. Rose powiedział, że King był komuchem, szarlatanem i zagrożeniem dla bezpieczeństwa państwa; chciał przejąć władzę nad krajem i oddać ją Rosjanom.

Według Murtagha Rose krzyknął: „Dorwali Zorro! – I prawie podskakiwał z radości. – Dzięki Bogu, nareszcie dorwali sukinsyna!”.

Kilka minut i kilka kilometrów

W komendzie policji dyrektor Frank Holloman otrzymał wiadomość o śmierci Kinga po paru sekundach i polecił swoim bezpośrednim podwładnym, żeby przygotowali wszystkich policjantów na burzę, która według jego przewidywań miała się szybko rozszaleć na ulicach – grabieże, podpalenia, być może zamieszki na tle rasowym. Na razie jednak skupił uwagę na niesamowitym pościgu, który właśnie odbył się na Summer Avenue.

Holloman oddelegował kilku swoich najlepszych ludzi do analizy nagrania. Natychmiast wyłapali wiele niespójności. Ani jeden przechodzień czy kierowca nie zgłosił pościgu ani strzelaniny na Summer Avenue. A przecież to jedna z najruchliwszych ulic w Memphis, rzekomy pościg odbył się zaś w godzinach szczytu, tuż po pierwszych informacjach o postrzeleniu Kinga – całe miasto było zaalarmowane i czujne.

Kiedy funkcjonariusze przeanalizowali taśmę i nanieśli na mapę czas i lokalizację, zdali sobie sprawę, że *średnia* prędkość pościgu musiałaby wynosić sto trzydzieści kilometrów na godzinę, co na zatłoczonej arterii komunikacyjnej wydawało się niemożliwe. Przy takiej prędkości musiałoby dojść do wypadku, a przynajmniej bardzo niebezpiecznej sytuacji, którą każdy kierowca jadący Summer Avenue by zapamiętał.

Poza tym funkcjonariusze z biura szeryfa w radiowozach zaparkowanych na kilku dużych skrzyżowaniach przy Summer Avenue twierdzili, że nie widzieli ani nie słyszeli niczego nietypowego, żadnego niebieskiego pontiaca, żadnego białego mustanga, żadnego pisku opon ani wycia silników, żadnych przestrzelonych przednich szyb. Jeżeli ktoś się ścigał, musiały to być duchy.

Bill Austein, entuzjasta CB-radio, który zatrzymał funkcjonariusza Rufusa Bradshawa, też miał sporo wątpliwości. Kiedy transmisja się urwała, Austein i Bradshaw siedzieli na parkingu pralni Loeb's i próbowali przetrwać niezwykłą opowieść, której właśnie wysłuchali. Austein uświadomił sobie, że głos brzmiał dziwnie spokojnie i jednostajnie jak na młodego człowieka, który rzekomo jedzie sto trzydzieści kilometrów na godzinę i gwałtownie zmienia pasy, a na jego przednią szybę pada grad kul.

Zaskakiwało również, że kierowca się nie przedstawił, chociaż był do tego wielokrotnie nakłaniany przez Austeina i innych użytkowników CB-radio z Memphis. Skoro facet był gotów narażać życie, żeby dogonić pędzący samochód, to dlaczego nie chciał powiedzieć, kim jest?

Austeinowi nasunęły się także pytania co do samego sygnału. Nieustannie sprawdzał małą wskazówkę w swoim radiu, tak zwany s-meter, i zauważył, że siła sygnału była cały czas taka sama, mimo że podczas pościgu pontiac rzekomo przejechał wiele kilometrów na północny wschód, daleko poza granice miasta, gdzie sygnał zupełnie by zanikł.

Oznaczało to, że przez większą część transmisji lub całą transmisję użytkownik w ogóle się nie przemieszczał – nadawał z zaparkowanego samochodu albo z domu. Im dłużej Austein się nad tym zastanawiał, tym bardziej dochodził do wniosku, że ktoś, prawdopodobnie nastoletni

miłośnik CB-radio, „zrobił to dla kawału”⁴⁰⁷. Żartowniś z pewnością słuchał policyjnego radia, uzyskał informację, że zamachowiec ucieka w białym mustangu, i puścił wodze fantazji.

Do mniej więcej tego samego wniosku szybko doszli ludzie Hollomana. Oczywiście istniała możliwość, że entuzjasta CB-radio był nie przypadkowym kawalarzem, tylko współnikiem zamachowca, który chciał skierować policję z Memphis na fałszywy trop. Holloman przez chwilę rozważał tę hipotezę – w środowisku organów ścigania wszyscy wiedzieli, że wielu członków United Klans of America komunikuje się przez CB-radio – ale nie miał teraz czasu na takie spekulacje. Na wszelki wypadek kazał później sprawdzić wszystkie warsztaty blacharskie i wymieniające szyby, żeby ustalić, czy zgłosił się jakiś właściciel pontiaca z rozbitą przednią szybą. Na razie jednak Holloman mógł z całą pewnością powiedzieć tylko tyle, że na kilka ważnych minut policja została wyprowadzona w pole.

Niezależnie od intencji kawalarza na jego akcji skorzystała tylko jedna osoba, a mianowicie Eric S. Galt. Spektakularna historia o pościgu samochodowym skierowała uwagę policji na niewłaściwe rejony miasta i najprawdopodobniej pozwoliła Galtowi zyskać piętnaście cennych minut.

Kiedy porzucił swój tobołek i odjechał mustangiem – nie więcej niż trzydzieści sekund przed przybyciem pierwszej fali funkcjonariuszy – zaczął pędzić Main Street koło Huling Avenue. To właśnie wtedy rozpoczęła się jedna z najodleglejszych i najbardziej pokrętnych ucieczek w historii Ameryki.

Pierwszym celem Galt'a było jak najszybsze opuszczenie stanu, od którego granicy z centrum Memphis – miasta położonego nad rzeką u aluwialnego zbiegu Arkansas, Missisipi i Tennessee – dzieliła go niewielka odległość. Mógł wybrać kierunek zachodni i przekroczyć rzekę ogromnym podwieszanym mostem, aby po trzech–czterech minutach znaleźć się w Arkansas. Ruszył jednak na południowy wschód w stronę Missisipi drogą 78, tą samą, którą tego dnia przybył z motelu New Rebel⁴⁰⁸.

O 18.10, kiedy w eterze pojawiły się pierwsze informacje o modelu jego samochodu, Galt wydostawał się z miasta. Na pełne napięcia dziesięć minut utknął w kilkumetrowym korku spowodowanym przez roboty drogowe. Jak napisał w swoich wspomnieniach, włączył radio samochodowe i zaczął szukać komunikatów.

Okolo wpół do siódmej korek się rozładował i Galt minął motel New Rebel – migoczący neon z konfederackim pułkownikiem oświetlał okrywającą się zmierzchem szosę. Kilka minut później wyjechał na wiejskie tereny Missisipi, zmierzając w stronę Birmingham i Atlanty. Mustang sunął między rdzawymi wzgórzami pod całunem ciemności. Nie licząc Summer Avenue, policja z Memphis nie postawiła blokad na głównych drogach wylotowych z miasta. Galt wyprzedzał zarzuconą na niego coraz większą sieć o kilka minut i kilka kilometrów.

Kiedy przecinał Stan Magnolii, z pewnością ciążyła mu myśl o porzuconym tobołku, dręcząca świadomość, że na miejscu zbrodni zostawił rzeczy, które mogą doprowadzić do niego policję. Coraz bardziej spanikowany, próbował sobie przypomnieć, co jeszcze oprócz broni było w tym nieforemnym zawiniątku.

Na razie jednak Galt mógł smakować swój triumf. Dzięki niezwykłemu zbiegowi okoliczności, głupiemu szczęściu i przychylności geografii bezpiecznie wysliznął się z metropolitarnego Memphis i bezkarnie zagłębiał w pagórkowate tereny Missisipi.

Doszło do tego coś jeszcze. Prezenterzy informacji przerywali kolegom audycje, żeby ogłosić zdumiewającą wiadomość: Martin Luther King junior nie żyje⁴⁰⁹.

Na lotnisku w Atlancie Coretta King pospiesznie maszerowała długim korytarzem z burmistrzem Ivanem Allenem i Dorą McDonald u boku⁴¹⁰. Kiedy zbliżali się do bramki samolotu do Memphis, przez lotniskowe megafony wywołano jej nazwisko.

W pierwszej chwili odebrała to optymistycznie.

– Ktoś ma dla mnie wiadomość – powiedziała rażnym tonem.

Potem jednak ogarnęło ją „dziwne, lodowate uczucie”, jak później napisała: „bo wiedziałam, że jest to wiadomość z Memphis i że jest to zła wiadomość”.

Kiedy burmistrz Allen poszedł odebrać wiadomość, Dora poleciła:

– Chodź, musimy znaleźć miejsce, w którym będziemy mogli usiąść.

Zaprowadziła Corettę pod drzwi damskiej toalety, gdzie przez kilka strasznych minut czekały, trzymając się za ręce. Allen wrócił ze zdruzgotaną miną. Przybrawszy dziwnie oficjalną pozę, podszedł do Coretty, spojrzął jej w oczy i oznajmił:

– Pani King, poproszono mnie o przekazanie pani, że doktor King nie żyje.

Słowa te zawisły w powietrzu, kiedy pasażerowie pchali się do swoich bramek. Dora i burmistrz próbowali pocieszyć Corettę. Przez jakiś czas stali we trójkę blisko siebie i płakali. Zbliżała się jednak pora odlotu.

– Co pani chce zrobić, pani King? – zapytał burmistrz, biorąc ją za rękę. – Chce pani polecieć do Memphis?

Pokręciła przecząco głową.

– Muszę wrócić do domu i zająć się dziećmi.

W sali konferencyjnej na piątym piętrze budynku Departamentu Sprawiedliwości w Waszyngtonie prokurator generalny Ramsey Clark otrzymał informację o śmierci Kinga kilka chwil po jej ogłoszeniu w Memphis. Clark miał obawy, że wydarzenie to doprowadzi do rozpadu narodu, i postrzegał je jako „wielki dramat dla społeczeństwa i osobisty cios” dla siebie samego⁴¹¹.

Nie miał najmniejszych wątpliwości, że sprawę będzie musiało przejąć FBI, mimo że morderstwo, nawet tak ważnej osobistości, nie było przestępstwem federalnym. Tak drastycznego wydarzenia jak zamach na Martina Luthera Kinga nie można było jednak zostawić policji z Memphis. Zdał sobie również sprawę, że zabójca najprawdopodobniej zdążył przekroczyć granicę stanu, co oznaczało, że sprawa nie podlegała już wyłącznie tamtejszym organom ścigania.

Clark polecił całemu tabunowi prawników z Departamentu Sprawiedliwości, by znaleźli podstawy prawne do tego, żeby FBI bezzwłocznie przejęło sprawę. Prawnicy szybko skierowali uwagę na dział 18, część 241 *Kodeksu karnego*, zakazującą „działań mających na celu zranienie, prześladowanie, grożenie lub zastraszanie obywateli w swobodnym egzekwowaniu przez nich jakichkolwiek praw lub przywilejów zagwarantowanych im przez konstytucję i ustawy”.

Następnie prokurator generalny Clark zadzwonił do Carthy DeLoacha, zastępcy dyrektora FBI, który właśnie przyjechał do domu.

– Uważam, że śledztwo powinno prowadzić biuro – powiedział DeLoachowi i w skrócie przedstawił mu paragrafy *Kodeksu karnego*, na które planował się powołać Departament

Sprawiedliwości. Domagał się wykorzystania wszelkich dostępnych środków. – Ustal możliwie jak najwięcej faktów. Ja zadzwonię do Białego Domu⁴¹².

W słowach Clarka zawierała się niewypowiedziana sugestia, że DeLoach powinien zadzwonić do Hoovera, ponieważ stosunki Clarka z dyrektorem FBI były tak fatalne, że właściwie ze sobą nie rozmawiali. DeLoach zrozumiał aluzję i zadzwonił do Hoovera pod jego prywatny numer. Po latach opisał tę rozmowę w swoich wspomnieniach.

– Jakiś idiota zastrzelił Martina Luthera Kinga – powiedział.

Dyrektor miał już oczywiście wszystkie dostępne informacje na temat zamachu i po tym westępie nie dopuszczał DeLoacha do głosu.

– To sprawa lokalna. Zaproponuj Memphis wszelką pomoc, jakiej będą potrzebowali: balistyka, daktyloskopia, kartoteki. Ale ta sprawa podlega jurysdykcji policji miejskiej i stanowej.

DeLoach w końcu zdołał przerwać tyradę Hoovera na tyle skutecznie, że przekazał mu to, co zdążył usłyszeć od prokuratora generalnego.

– Clark chce, żebyśmy przejęli tę sprawę.

Po długiej chwili milczenia Hoover wydał z siebie ciężkie westchnienie.

– To do niego podobne – skwitował zdenerwowany.

Z pewnością zadrżał na myśl, że na jego urządzie spoczywa odpowiedzialność za rozwiązanie sprawy morderstwa człowieka, którego nie znosił, człowieka, którego on i jego tajni agenci z taką determinacją oczerniali, sabotowali i próbowali „zneutralizować”.

DeLoach wyjaśnił, że Departament Sprawiedliwości zdążył już wyszperać jakieś podstawy prawne. Dodał, że jego zdaniem decyzja Clarka jest rozsądna. Chociaż King jest osobą prywatną, tłumaczył, społeczeństwo i cały świat uznałyby za bardzo dziwne, gdyby FBI nie zajęło się najgłośniejszym morderstwem w kraju od czasu zamachu na JFK. Podkreślił, że „jest to zbrodnia o ogromnym znaczeniu dla narodu” i związana z wielkimi „naciskami zewnętrznymi”⁴¹³.

– Dobra, w takim razie działaj – podsumował krótko Hoover, uświadomiwszy sobie, że żadne polemiki nie odniosą skutku. – Ale chcę, żebyś ty kierował śledztwem. Nie pozwolę Clarkowi zrobić z tego politycznego cyrku. Masz jasno dać do zrozumienia, że to jest śledztwo FBI.

Rozłączył się bez słowa pożegnania.

Po tym niezręcznym i chaotycznym początku FBI przystąpiło do poszukiwań zabójcy Martina Luthera Kinga, największego pościgu w historii Ameryki, w którym wzięło udział ponad trzy i pół tysiąca agentów FBI i który kosztował prawie dwa miliony dolarów. Dochodzenie w sprawie zamachu na Kinga od początku cechował pewien dysonans poznawczy na samym szczycie: staroświecki dyrektor FBI, obarczony zadaniem znalezienia zabójcy człowieka, którego nie cierpiał, odpowiadał przed młodym, liberalnym prokuratorem generalnym, z którym właściwie nie rozmawiał i który darzył ofiarę ogromnym szacunkiem. Cartha DeLoach jak zwykle znalazł się między młotem a kowadłem. „Hoover był w stanie wojny z Clarkiem – napisał później – i ja znalazłem się na linii ognia”. W takiej sytuacji „wskazówka mojego ciśnieniomierza często wchodziła w czerwone rewiry”, stwierdził⁴¹⁴.

DeLoach był przekonany, że mimo swojej nienawiści do Kinga Hoover uruchomi wszystkie zasoby biura w celu wytropienia zamachowca. Napisał: „Hooverowi nie mniej od innych zależało na znalezieniu zabójcy Kinga, chociaż negatywnie oceniał tego człowieka. Mieliśmy

zadanie do wykonania i byliśmy na nie gotowi. Sprawę prowadzono z wielkim zaangażowaniem i zaapelowano o pomoc do wszystkich pracowników FBI”⁴¹⁵.

Potwierdził to Ramsey Clark: „W grę wchodziła reputacja FBI, a dla Hoovera nie było niczego ważniejszego od reputacji biura. Hoover się bał, że winą za zamach ludzie obarczą *jego*, toteż ze wszystkich sił starał się znaleźć zabójcę. Od początku dało się to poznać po tempie pracy i zaangażowaniu ludzi z biura”⁴¹⁶.

DeLoach zadzwonił do Roberta Jensena, agenta specjalnego kierującego biurem terenowym FBI w Memphis. Jensen zrobił już wizję lokalną miejsca zbrodni i ściśle współpracował z funkcjonariuszami policyjnego wydziału zabójstw od pierwszych chwil po pojawieniu się informacji o postrzeleniu Kinga.

– Prokurator generalny chce, żebyśmy przejęli sprawę – zakomunikował DeLoach.

Jensen od razu zrozumiał, co to oznacza: ponieważ zabójstwa dokonano w Memphis, jego biuro terenowe będzie drugim obok Waszyngtonu centrum dowodzenia ogólnokrajowym śledztwem. Aż do zakończenia sprawy Jensena czekała niezwykle trudna i niewdzięczna rola potencjalnego kozła ofiarnego – „człowieka z tysiącem możliwości spieprzenia czegoś”, jak to ujął DeLoach⁴¹⁷.

DeLoach wierzył jednak w Jensena, którego uważał za „bardzo doświadczonego i rzetelnego”. Urodzony w Danii i wychowany w Detroit Robert G. Jensen podczas II wojny światowej służył jako nawigator, odbył dwadzieścia pięć misji nad Europą⁴¹⁸. Po ukończeniu studiów na Uniwersytecie Michigan przez dwadzieścia jeden lat pracował w FBI, służył w Filadelfii, Miami, Birmingham i Waszyngtonie. Ten zagorzały miłośnik golfa był małomównym, opanowanym człowiekiem o nieco ironicznym sposobie bycia, dodatkowo uwydatnianym przez trochę krzywe przednie zęby. Przede wszystkim był spokojny, co miało mu bardzo pomóc w nadchodzącym okresie ogólnonarodowej hysterii.

DeLoach polecił Jensenowi zebranie informacji z miejsca zbrodni i wysyłanie materiału dowodowego samolotem, żeby kryminalodzy z laboratorium FBI mogli natychmiast przystąpić do jego analizy.

– Jak doskonale wiesz – powiedział DeLoach do Jensena – tę sprawę trzeba rozwiązać jak najszybciej. Musimy zmobilizować wszystkie siły; wszyscy twoi ludzie mają pracować do upadłego⁴¹⁹.

Kiedy inspektor Nevelyn Zachary z Wydziału Zabójstw w Memphis przyjechał na South Main Street 424, zawiniątko nadal znajdowało się w wejściu do Canipe’s Amusement Company, pilnowane przez policjanta z karabinem. Zachary kazał sfotografować pakunek tak, jak został znaleziony. Potem włożył rękawiczki i przejął materiał dowodowy. Ta skarbnica bezcennej wiedzy znajdowała się w jego rękach tylko parę godzin, dopóki Clark, DeLoach i Hoover nie ustalili, że śledztwem kieruje FBI. Kilka minut po ósmej wieczór pakunek zawieszono do biura terenowego FBI w centrum i przekazano agentowi specjalnemu Jensenowi.

Jensen rozwinął zielony materiał w jodełkę⁴²⁰. Oceniał, że tego typu stara narzuta mogła pochodzić z dowolnego taniego motelu. Rozłożył ją na dobrze oświetlonym stole i naciągnął na dłonie lateksowe rękawiczki. Czując, że w tych rzeczach może się kryć rozwiązanie sprawy, przystąpił do starannej inwentaryzacji.

Jego uwagę przyciągnęło przede wszystkim czarne tekturowe pudełko z karabinem. Oryginalnie przeznaczone na browninga, teraz zawierało remingtona gamemastera .30-06.

Jensen szybko ustalił, że był to model 760, numer seryjny 461476, i doszedł do wniosku, że broń dopiero co kupiono, ponieważ nie ma na niej żadnej rysy. Była wyposażona w teleskopowy celownik Redfielda. Magazynek był pusty, ale w komorze Jensen znalazł zużytą łuskę, którą ostrożnie wyjął.

W zawiniątku znajdowało się również pudełko na dwadzieścia sztuk amunicji, w którym zostało dziewięć pocisków pełnopłaszczowych Remington-Peters .30-06 z miękkim czubkiem. Obok pudełka z amunicją leżała niebieska plastikowa torba na zamek o rozmiarach mniej więcej pięćdziesiąt na siedemdziesiąt pięć centymetrów, wypełniona różnościami. Jensen wyjął z niej między innymi magnetyczny młotek tapicerski, obciążki z napisem „Rompage Hardware” i dwie mapy drogowe: „Stany Zjednoczone” i „Georgia–Alabama”. Znalazł również pierwszy dział „Memphis Commercial Appeal” z tego dnia. Na pierwszej stronie wydrukowano szczegółowe relacje z działań doktora Kinga w Memphis, zawierające wzmiankę, że King i jego współpracownicy nocują w motelu Lorraine.

Następnie Jensen wyjął z torby lornetkę, która wyglądała na nową, co potwierdzały znajdujące się w torbie instrukcja, szmatka do czyszczenia soczewki, pudełko i futerał z czarnej skóry. Wyprodukowana przez firmę Bushnell lornetka miała numer seryjny DQ 408664. Jensen ustalił, że dwa cienkie skórzane paski znalezione przez policjantów w pokoju Johna Willarda doskonale pasują do tej lornetki, co dowodziło, że człowiek, który porzucił pakunek, prawie na pewno przebywał w pokoju 5B.

Kwestia daty zakupu lornetki szybko się wyjaśniła – Jensen znalazł papierową torebkę z napisem „York Arms Company” z datowanym na ten dzień rachunkiem na czterdzieści jeden dolarów i pięćdziesiąt pięć centów w środku. Wiedział, że sklep ten mieści się niedaleko kamienicy czynszowej przy tej samej ulicy, na tym odcinku South Main Street, na którym strajkujący śmieciarze codziennie pikietowali z transparentami „JESTEM CZŁOWIEKIEM”.

W torbie było też trochę odzieży: para długich czarnych skarpet, szary płócienny pasek, białoszare szorty dosyć nieporadnie zacerowane brązową nitką, biała chusteczka i podkoszulek Jockey Power-Knit. Z czeluści torby Jensen wydobył również brązową torebkę z dwiema aluminiowymi puszkami schlitza: „Piwa, któremu Milwaukee zawdzięcza swoją sławę”, jak można było przeczytać na etykietkach. Przyklejone do denek metki wskazywały, że sześciopak został obłożony akcyzą i zakupiony w stanie Missisipi.

Większość pozostałych rzeczy z torby stanowiły kosmetyki: tubka pasty Colgate, szczoteczka marki Pepsodent, puszka kremu do golenia Gillette, dezodorant Right Guard, maszynki do golenia, tabletki Bufferin, mydło Dial, brązowa pasta do butów Kiwi. Jensen znalazł również dwa mydełka hotelowe – Cashmere i Palmolive – które zamachowiec prawdopodobnie zabrał z motelowej łazienki podczas swoich podróży. Facet z pewnością jest oszczędny, pomyślał Jensen, a poza tym bardzo dba o higienę osobistą i o swoje ubrania. Trudno to było jednak pogodzić z tym, że wybrał zapyziałą czynszówkę pani Brewer jako lokum. Jensen uświadomił sobie, że część tych kosmetyków zakupiono w regionie Memphis: na samoprzylepnych metkach widniał napis „Oliver Rexall, Whitehaven”.

W torbie znajdował się jeszcze jeden przedmiot, który zastanowił Jensena: kieszonkowe radio tranzystorowe Channel Master. Wyglądało na to, że radyjka używano od dość dawna: bordowa plastikowa obudowa miała na sobie liczne smugi i zadrapania, a srebrna siateczka głośnika była podziurawiona i powgniatana.

Z boku widniał jakiś numer identyfikacyjny, którego z pewnością nie zrobiono w fabryce. Agent Jensen nie był jednak w stanie odczytać niewielkich cyferek; odniósł wrażenie, że numer

celowo zatarto.

Wszystko zniszczyli

Prezydent Johnson siedział za swoim mahoniowym biurkiem w Gabinetcie Owalnym i z niedowierzaniem patrzył na sporządzoną na maszynie jednostronicową notatkę, którą przed chwilą wręczył mu jeden z doradców⁴²¹. „Panie prezydencie – napisano w niej zwięźle – Departament Sprawiedliwości właśnie poinformował, że doktor King nie żyje”. Była 20.20 czasu wschodniego⁴²².

Przez następne kilka minut Johnson patrzył w stronę trzech wbudowanych w ścianę ekranów telewizyjnych i przeskakiwał wzrokiem między NBC, ABC a CBS. Telefaksy w kącie gabinetu bez przerwy pracowały. Pijąc napój limonkowo-grejpfrutowy Fresca, chodził po zielonym dywanie i przetrawiał doniesienia, które jednostajnie napływały do Gabinetu Owalnego. Przeprowadził krótkie rozmowy telefoniczne: z Clarkiem, a następnie z DeLoachem. Ogarnęło go znajome uczucie grozy: trafił do tego gabinetu dzięki zamachowi, a teraz stanął przed obliczem kolejnego potężnego rozdarcia tkanki społecznej. „Niespokojne myśli kłębiły mi się w głowie – wspominał później. – Co to oznacza? To było dzieło jednego człowieka czy jakiejś grupy? Zamachowiec był czarny czy biały? Czy morderstwo to spowoduje katastrofalny wzrost przemocy i ekstremizmu?”⁴²³

Johnson od razu wiedział, że jego ambitne plany na ten wieczór, na ten tydzień, być może na ten miesiąc, legły w gruzach. O ósmej miał wziąć udział w bankiecie w Hiltonie przy Connecticut Avenue, którego uczestnicy płacili po dwieście pięćdziesiąt dolarów na konto Partii Demokratycznej. Potem miał przez całą noc lecieć do Honolulu na pokładzie Air Force One, żeby porozmawiać z generałem Westmorelandem o ewentualnych negocjacjach pokojowych z Wietnamem. Od momentu wycofania się cztery dni wcześniej z wyścigu prezydenckiego Johnson był w euforii, pławił się w pochwałach za tę godną męża stanu decyzję, tryskał optymizmem w kwestii zakończenia wojny i z rozmachem powrócił do swojego ukochanego programu Wielkie Społeczeństwo, który zamierzał zrealizować w ostatnich miesiącach urzędowania. Zgodnie z jego oczekiwaniami abdykacja wyraźnie zmniejszyła wszystkie problemy. Podwładni zauważyli, że prezydent porusza się sprężystym krokiem i odzyskuje inicjatywę, tak jakby odbudował swój kapitał polityczny.

Teraz jednak, po zamachu na Kinga, LBJ zrozumiał, że krótki okres wytchnienia dobiegł końca. „Tego wieczoru straciliśmy wszystko, co zyskaliśmy przez ostatnie kilka dni”, stwierdził ponuro⁴²⁴.

Prezydent spotkał się ze swoim sztabem i zaczął gorączkowo planować dalsze działania. Postanowił odłożyć na później, a może nawet odwołać, podróż na Hawaje. Następnego dnia rano, w piątek, wysłał prokuratora generalnego Clarka do Memphis, żeby wdrożył śledztwo FBI. Później spotkał się w Białym Domu z najważniejszymi przedstawicielami społeczności murzyńskiej, aby omówić kwestię przyszłości praw obywatelskich. Potem weźmie udział w nabożeństwie żałobnym na cześć Kinga zaplanowanym w Katedrze Narodowej, w której King

wyłosił w niedzielę kazanie. Z Białego Domu wyjdzie telegram z kondolencjami do Martina Luthera Kinga seniora i jego żony. Najbliższą niedzielę – Niedzielę Palmową – ogłosi dniem żałoby narodowej. Wszystkie flagi federalne w kraju zostaną opuszczone do połowy masztu – po raz pierwszy w historii Ameryki zostanie w ten sposób pośmiertnie uhonorowana osoba prywatna.

Johnson miał jednak świadomość, że teraz musi wystąpić w telewizji i zwrócić się do narodu. Kiedy autorzy przemówień pracowali nad jego orędziem, wyskoczył do fryzjera Białego Domu na szybkie strzyżenie, a potem zrobiono mu makijaż. Zadzwoił stamtąd do Coretty King – która właśnie wróciła z lotniska w Atlancie do domu – z kondolencjami. Tuż przed dziewiątą wieczór czasu wschodniego wmaszerował do West Lobby i stanął za mównicą przed lasem mikrofonów. Tego wieczoru powietrze było ciężkie od wilgoci – zapowiadano burzę. Prezydent stanął na tle dwuskrzydłowych drzwi, w ciemnym garniturze, z którego kieszeni na piersi wystawała starannie złożona chusteczka.

– Ameryka jest wstrząśnięta i zasmucona brutalnym zabójstwem doktora Martina Luthera Kinga – powiedział do kamer. – Apeluję do wszystkich obywateli, aby odrzucili ślepią przemoc, która ugodziła doktora Kinga. Modłę się o to, żeby jego rodzina znalazła otuchę we wspomnieniach o wszystkim, co zrobił dla swojej ukochanej ojczyzny. Właśnie przekazałem wdowie, pani King, wyrazy współczucia w imieniu pani Johnson i swoim własnym⁴²⁵.

Johnson urwał na chwilę, żeby zebrać siły przed ogólniejszym przesłaniem, które chciał zakomunikować społeczeństwu.

– Wiem, że wszyscy Amerykanie dobrej woli przyłączą się do mnie w żałobie po tym wybitnym przywódcy i w modlitwie o pokój w naszej ojczyźnie. Bezprawiem niczego nie osiągniemy. Tylko dzięki wspólnym działaniom możemy nadal kroczyć ku równości i spełnieniu marzeń wszystkich obywateli.

Prezydent wrócił do Gabinetu Owального i zaczął dzwonić do gubernatorów i burmistrzów największych miast. Chciał im uzmysłowić ogromną wagę powściągliwości policji, obawiał się bowiem, że nadmierny pokaz siły na ulicach miast doprowadzi do eskalacji przemocy.

– *Nie jesteście w stanie wojny z własnym narodem* – powtarzał. – Nie wysyłajcie waszych młodych nowicjuszy z wielkimi karabinami bez bardziej doświadczonych ludzi; jeżeli zacznie się strzelanie, może się nigdy nie skończyć⁴²⁶.

Johnson odnosił jednak wrażenie, że do włodarzy stanów i miast to nie dociera.

– Nie potrafię ich przekonać – powiedział jednemu ze swoich doradców. – Okopali się jak generałowie na froncie szykujący się do obserwowania wojny⁴²⁷.

Już kiedy mówił te słowa, w odległości kilku kilometrów od Białego Domu zaczynały wybuchać pożary. Do tej pory panowało powszechne przekonanie, że Waszyngtonowi raczej nie grożą zamieszki, że wybuch nastąpi najpierw w największych miastach na północy, takich jak Chicago, Cleveland i Boston. Tymczasem nad stolicą unosił się dym i do Gabinetu Owального napływały niepokojące meldunki: „Waszyngtońska obrona cywilna mówi, że na Szesnastej Ulicy i Newton Street NW oraz na Czternastej Ulicy i T Street NW zbierają się tłumy... Jakiś snajper zajął pozycję na dachu baru Hawk and Dove...”⁴²⁸.

Czarni bojówkarze w całym mieście dawali sygnał do boju.

– King był ostatnim księciem nieagresji i nieagresja jest teraz martwą filozofią – powiedział Floyd McKissick z Kongresu Równości Rasowej do dziennikarzy obserwujących niepokoje na

U Street⁴²⁹. – Następnego Murzyna, który będzie głosił nieagresję, czarny naród powinien rozerwać na strzępy!⁴³⁰

W dzielnicy Columbia Heights młodzież rozbijała witryny sklepowe i według doniesień przechodniów krzyczała: „Zabić białasów! Spalić to miasto!”.

Największą uwagę prasy przykuwał jednak złotousty Stokely Carmichael, mieszkający w Waszyngtonie absolwent Uniwersytetu Howarda.

– Kiedy biała Ameryka zabiła doktora Kinga – powiedział dziennikarzowi – wypowiedziała nam wojnę. Bunt, które do tej pory zdarzały się w tym kraju, to bułka z masłem w porównaniu z tym, co się zaraz będzie działo⁴³¹.

Burze może trochę przygasiły zapał waszyngtońskich zadymiarzy, ale przez następne kilka godzin dokonano osiemnastu podpaleń i zdemolowano albo okradziono około dwustu sklepów, a policja aresztowała ponad dwieście osób. Jak zawsze w takich przypadkach nie obyło się bez ofiary śmiertelnej: pechowiec George Fletcher, biały mężczyzna, który się zgubił, jadąc przez Waszyngton, został napadnięty przez gang zadymiarzy, otrzymał kilka ciosów nożem w głowę i zmarł po kilku godzinach.

W innych miastach – Chicago, Baltimore, New Jersey – sytuacja wyglądała podobnie. Przemoc zdominowała wiadomości telewizyjne. Można było odnieść wrażenie, że cały naród znajduje się na skraju załamania nerwowego. Słowa Johnsona do społeczeństwa najwyraźniej nie odniosły zbyt wielkiego skutku. Prezydent przerzucał wzrok między trzema ekranami telewizyjnymi, po czym ukrył twarz w dłoniach.

Uroczysty bankiet w Hiltonie, jak dowiedział się Johnson, został szybko przerwany – prawie trzy tysiące kolacji po dwieście pięćdziesiąt dolarów sztuka wystygło, ponieważ wiceprezydent Hubert Humphrey ze spopielałą twarzą powiedział do sponsorów Partii Demokratycznej, żeby rozeszli się do domów. Przed wyjściem z Hiltona senator Frank Church powiedział:

– Nasz naród jest zanurzony w przemocy; to przekleństwo tego kraju⁴³².

Jednym z miast, w których nie wybuchła tej nocy przemoc, było Indianapolis. Robert Kennedy, który przemawiał na wiecu do publiczności złożonej głównie z Murzynów, przekazał osłupiałym słuchaczom tragiczną wiadomość i wygłosił zaimprovizowane przemówienie, w którym przywołał pamięć o swoim zastrzelonym w zamachu bracie, a następnie zacytował Ajschylosa: „Zeus to bowiem człeka wwiódł na rozumu drogę: »Cierp i cierpieniem ucz się« – rzekł. Milczy noc – nie śpisz: czuwa pamięć win, kropłą drąży serca rdzeń”^[13].

Prezydent Johnson dalej czytał i oglądał druzgocące doniesienia z całego kraju, aż w końcu Lady Bird zawołała go na późną kolację. Do stołu zasiadło z nimi kilku najbliższych doradców, między innymi sekretarz obrony Clark Clifford. Psy Johnsonów, rasy beagle, wchodziły do pokoju i z niego wychodziły. Wnuczka Johnsona Lyn wierciła się na kolanach prezydenta, ale jej rozbrykanie nie poprawiało obecnym nastroju.

„Była to jedna z tych zastygłych chwil, jakby spadła na nas bomba – wspominała później pani Johnson. – Kolacja była dziwnym, cichym posiłkiem. Staliśmy nad krawędzią kolejnej przepaści, której dna nie było widać”⁴³³.

*

Kiedy rozeszła się wiadomość o zamachu na Kinga, Memphis zaczęło się przygotowywać na rasową apokalipsę. Dyrektor straży pożarnej i policji Frank Holloman zmobilizował swoje oddziały antyterrorystyczne i wysłał na niebo helikoptery, żeby szukały zabójcy, ale także

monitorowały ulice pod kątem pierwszych oznak niepokojów społecznych. Holloman poinformowano, że śledztwo przejmie FBI, lecz na razie prowadzili je jego ludzie i nie szczędzili starań. Policyjni śledczy rozeszli się po mieście, żeby przesłuchać właścicieli wszystkich jasnych mustangów i wytropić wszystkich mieszkańców, którzy pechowo dla siebie nosili nazwisko „Willard”. W pokoju 5B kamienicy czynszowej Bessie Brewer oraz w łazience, z której najprawdopodobniej padł strzał, pobrano odciski palców, włosy i włókna.

Miejsce zbrodni obmierzono, obfotografowano i zbadano. W pobliżu motelu Lorraine policja na krótko zatrzymała kilku potencjalnych podejrzanych, a inni funkcjonariusze przeczesała zarosnięte podwórze czynszówki w poszukiwaniu odcisków palców, łusek naboju i innych poszlak; później miano wezwać ekipę, która wycięła chaszczę i patykowate drzewa. Kryminalni obdzwaniali wszystkie hotele w mieście, żeby sprawdzić, czy w ciągu ostatnich kilku dni wynajęła tam pokój osoba o nazwisku „Willard” albo inny człowiek poruszający się białym mustangiem.

Holloman ogłosił w lokalnej telewizji, że wprowadza godzinę policyjną od dziewiętnastej do piątej oraz nakazuje zamknięcie wszystkich stacji benzynowych i sklepów z alkoholem. Będą blokady dróg, prewencyjne rewizje i aresztowania, a policjanci otrzymają zezwolenie na to, żeby do osób okradających sklepy strzelać z intencją zabicia. Zapowiedział odwołanie wszystkich większych wydarzeń sportowych i kulturalnych, łącznie z planowaną na najbliższą sobotę koronacją króla i królowej bawełny, jedną z najważniejszych imprez w kalendarzu miasta. Do biura karnawału zaczęły napływać pierwsze pogroźki, które miano przesyłać jeszcze przez wiele tygodni. „Zabiliście naszego Kinga [ang. króla] – napisano w jednej z nich. – Teraz my zabijemy waszą królową”. Organizatorzy karnawału przygotowywali się już do rzeczy niewyobrażalnej: rozważali odwołanie całej imprezy, co nie zdarzyło się od II wojny światowej.

Można bez większej przesady powiedzieć, że Memphis szykowało się na wojnę. Holloman zakomunikował, że do Memphis wezwano Gwardię Narodową.

– Ja i wszyscy inni mieszkańcy Memphis wyrażamy głębokie ubolewanie z powodu dzisiejszego zamachu na doktora Kinga – oznajmił. – Policja w Memphis, Biuro Szeryfa Hrabstwa Shelby i patrol Tennessee Highway wykorzystają wszystkie zasoby w celu zidentyfikowania i pojmania sprawcy lub sprawców⁴³⁴.

Powiedział wprawdzie „lub sprawców”, ale wyjaśnił, że „uzyskane dotychczas dowody wskazują, że w zamachu uczestniczył tylko jeden człowiek”. Dodał, że prawdopodobnym zamachowcem jest biały mężczyzna, zadbany, dobrze ubrany, około metra osiemdziesięciu wzrostu, siedemdziesięciu pięciu kilogramów wagi, w wieku od dwudziestu sześciu do trzydziestu dwóch lat. Ten mało konkretny rysopis był składanką informacji podanych przez mieszkańców kamienicy czynszowej i osoby, które widziały podejrzanego w Canipe’s Amusement Company. Holloman uznał, że jest jeszcze za wcześnie, aby podać opinii publicznej nazwisko „John Willard” – na razie funkcjonariusze nazywali prawdopodobnego zamachowca „człowiekiem z 5B”.

– Sądzimy, że część znalezionych dotychczas dowodów okaże się pomocna – dodał Holloman.

Oprócz karabinu Remington .30-06 podejrzany zostawił torbę z wieloma rzeczami osobistymi, między innymi lornetką, którą mężczyzna z 5B najprawdopodobniej kupił tego dnia w Memphis.

William Morris, szeryf hrabstwa Shelby, ujawnił trochę więcej informacji o miejscu pobytu snajpera w momencie oddania strzału.

– Uważamy – powiedział dziennikarzom – że zamachowiec stanął w oknie na pierwszym piętrze, wycelował między drzewami i oddał strzał, który zabił doktora Kinga. Z takiej odległości miał łatwy cel⁴³⁵.

Burmistrz Henry Loeb zmierzał do Oxfordu w stanie Missisipi, żeby wygłosić odczyt w Ole Miss Law School, kiedy przez przenośny telefon poinformowano go o postrzeleniu Kinga. Natychmiast odwołał swoje wystąpienie i kazał kierowcy zawracać i pędzić do Memphis. Po dwudziestu minutach zjawił się w ratuszu, oddalonym o przecznicę od rzeki błyszczącym nowym gmachem z białego marmuru otoczonym gazonami pochyłonych tulipanów. Po przybyciu do swojego gabinetu połączył się z policją i uzyskał informację, że King nie żyje.

Postanowił wygłosić w telewizji komunikat i po paru minutach w jego biurze stały kamery; na ścianie wisiał oficjalny herb miasta, z włochatym kwiecikiem bawełnowcem i parostatkiem.

– My, mieszkańcy Memphis, jesteśmy bardzo zasmuceni tym tragicznym wydarzeniem, do którego właśnie doszło w naszym mieście – zaczął. – Składamy wyrazy najgłębszego współczucia rodzinie doktora Kinga.

W ostrym świetle fleszy wyglądał na wstrząśniętego i bladego, ale próbował roztaczać wokół siebie aurę stoickiego spokoju. Miał na sobie białą koszulę z tkaniny oksfordzkiej, która niemal trzeszczała od krochmalu – bez wątpienia wyprasowała ją wprawna dłoń Murzynki zatrudnionej w jednej z wielu należących do jego rodziny pralni. Na ścianie za jego plecami widzowie mogli zobaczyć oprawione w ramki zdjęcie kutra torpedowego, na którym służył podczas II wojny światowej.

– Czynione są wszelkie możliwe starania, by ująć zamachowca – ciągnął. – Wzywamy wszystkich mieszkańców naszego miasta, żeby zachowywali się spokojnie i z godnością, tak jak życzyłyby sobie tego doktor King.

Loeb zaapelował o trzy dni żałoby i nakazał spuszczenie flagi do połowy masztu na wszystkich municypalnych budynkach. Następnego dnia wszystkie szkoły w Memphis miały być nieczynne. Nakłaniając mieszkańców do powstrzymania się od przemocy, nie wspominał, że na dywanie koło jego butów, ukryty w nodze biurka, leżał naładowany pistolet.

Niedługo po wystąpieniu Loeb siedział w gabinecie z kilkoma białymi i czarnymi przywódcami społeczności, prawie pogrążony w stuporze. Radny miejski Jerred Blanchard, pyszałkowaty republikański adwokat, który grał w Yale w futbol amerykański, uznał, że Memphis jest teraz „miastem przeklętym przez cały świat”.

– Człowiek powszechnie uważany za murzyńskiego przywódcę nad przywódcami został zamordowany, zgładzony. To jest współczesna forma linczu⁴³⁶.

Loeb wezwał kapelana, żeby pomodlił się za Memphis, za kraj i za duszę Martina Luthera Kinga. Potem zrobił coś, co nigdy wcześniej mu się publicznie nie zdarzyło, coś, co wydawało się zasadniczo sprzeczne z jego niedźwiedzim sposobem bycia: załamał się i rozpłakał.

– Tak mi przykro, że musiało do tego dojść – powiedział do czarnego radnego miejskiego Freda Davisa⁴³⁷. Po policzkach popłynęły mu łzy.

„Próbowaliśmy go pocieszyć – wspominał potem Davis. – Dużo mówił o Bogu. Był zdruzgotany”.

Trochę później Loeb otrząsnął się z rozpacz, włożył do kieszeni rewolwer kalibru .38 z perłową kolbą i w konwoju nieoznakowanych wozów policyjnych wyruszył na objazd po mieście, którym wstrząsnęła tragedia. W białych dzielnicach panowała upiorna cisza. Większość rodzin pozamykała się w domach, wiele ze świeżo zakupionymi pistoletami i strzelbami w gotowości – w ciągu ostatnich tygodni sklepy z bronią w Memphis przeżyły istne oblężenie, zwłaszcza dzięki białym klientom. „Nasza dzielnica była jak grobowiec – wspominał później pewien biały radny miejski. – Byliśmy uzbrojeni, gotowi na wszystko. Nie mam pewności, czy gdyby jakiś Murzyn zatrzymał się, żeby zmienić oponę, uszedłby z życiem”⁴³⁸.

Większość białych mieszkańców Memphis sprawiała wrażenie autentycznie wstrząśniętych morderstwem – a przynajmniej tym, że do zamachu doszło w ich mieście. („To najmroczniejszy dzień w moim życiu – powiedział przewodniczący rady miejskiej Downing Pryor. – Jest mi smutno, smutno, smutno”)⁴³⁹. Wśród białych pojawiały się również pierwsze oznaki radości. Przez cały wieczór rasistowscy żartownisie dzwonili do popularnej białej stacji radiowej z prośbą o puszczenie *Bye Bye Blackbird*. Lucius Burch, adwokat z Memphis, który tego dnia skutecznie bronił w sądzie stanowiska SCLC, odebrał wiele telefonów od trochę obłąkanej białej kobiety, która z lubością karciała go za reprezentowanie „tego czarnucha Kinga”⁴⁴⁰.

Kiedy policyjny konwój Loeba przejeżdżał przez Orange Mound i inne murzyńskie dzielnice Memphis, burmistrz i funkcjonariusze widzieli na ulicach setki, a potem tysiące ludzi. Większość z nich chciała się po prostu oswoić z tragiczną wiadomością w towarzystwie innych, lecz byli też tacy, którzy ewidentnie szukali zwady. W całym mieście zaczęły wybuchać pożary, między innymi w dużym tartaku. Nocne powietrze przeszywało wycie syren i alarmów antywłamaniowych. Przez policyjne radio do Loeba docierały meldunki o postrzeleniach snajperskich, rozbitych witrynach sklepowych, bójkach na kamienie. Podobno strzelano do radiowozów, a nawet policyjnych helikopterów, i obrzucono kamieniami kilka miejskich autobusów.

Znaczna część tej wściekłości była wymierzona w samego burmistrza: koło jednej z pralni chemicznych Loeba wybuchł koktajl Mołotowa, a w ratuszu odebrano wiele telefonów z pogrózkami. Mnóstwo ludzi mówiło bez ogródek, że Loeb ponosi winę za śmierć Kinga: gdyby nie był tak nieprzejednany co do swoich obyczajów rodem ze Starego Południa, gdyby nie był taki głuchy na wołanie historii i gdyby nieugięcie bronił godności występujących pod hasłem „JESTEM CZŁOWIEKIEM” śmieciarzy, King w ogóle nie musiałby tutaj przyjeżdżać, nie musiałby zostać męczennikiem w murach Memphis.

Loeb potraktował pogróżki poważnie i zorganizował przeniesienie swojej rodziny z rezydencji burmistrza w nieznane miejsce.

W Mason Temple, gdzie King miał się pojawić po kolacji na kolejnym wiecu strajkujących śmieciarzy, zebrały się setki zrozpaczonych ludzi. Przyszło trochę czarnych bojówkarzy i nastroje były coraz gorętsze, zwłaszcza kiedy zaczęły krążyć plotki, że zamach na Kinga zorganizowała miejscowa policja. Pewna cierpiąca na artretyzm starsza pani zadeklarowała, że jest gotowa wyjść na ulicę i walczyć.

– Pan Bóg nas opuścił – zawyrokowała⁴⁴¹.

Jakiś niezidentyfikowany członek Invaders próbował tonować nastroje, apelował o spokój – przynajmniej do czasu, aż doktor King zostanie pochowany.

– Okażcie mu choć tyle szacunku, żeby nie wychodzić na ulicę i nie robić tego dzisiaj – powiedział do coraz liczniejszego tłumu. – Zaczekajcie do pogrzebu. Białasy właśnie tego od nas

oczekują. Wyjdźcie na ulice jak banda dzikich Indian, a oni nas wystrzelają, tak jak zrobili to z Indianami⁴⁴².

W komendzie policji dyrektor Holloman, który uważnie śledził meldunki o różnych incydentach na terenie całego miasta, był bliski paniki.

– Rozszalały się zamieszki i grabieże... Mamy bardzo krytyczną sytuację kryzysową; miasto zostało zaatakowane⁴⁴³.

Panikę dyrektora pogłębiało to, że sieć telekomunikacyjna była przeciążona. Dzwoniło tylu ludzi naraz, że wiele osób po podniesieniu słuchawki nie miało sygnału. Przez pierwszych kilka godzin po zamachu z Memphis wyszło ponad trzydzieści tysięcy rozmów zamiejskowych. Kiedy do miasta dotarły pierwsze oddziały Gwardii Narodowej – w sumie miało być cztery tysiące żołnierzy – sytuacja wydawała się wymykać spod kontroli.

Policja dziewięć razy strzeliła do dwudziestosześcioletniego Murzyna Ellisa Tate'a i śmiertelnie go zraniła – funkcjonariusze twierdzili, że strzelał do nich z karabinu z ciemnego wnętrza sklepu monopolowego. Z obawy przed totalną wojną rasową T. O. Jones, przywódca strajku śmieciarzy, zabarykadował się w pokoju hotelu Peabody. Pewien pracownik fabryki Firestone w Memphis wziął karabin, poszedł na cmentarz koło swojego domu i jak komandos pilnował pobliskiego wzgórza. „Myślałem, że wszyscy tak zrobią – powiedział później. – Spodziewałem się wojny”⁴⁴⁴.

Pastor James Lawson, który od momentu, kiedy dotarła do niego wiadomość o postrzeleniu Kinga, oczekiwał najgorszego, poszedł prosto do WDIA, najpopularniejszej murzyńskiej stacji radiowej w Memphis, i przez cały wieczór przekonywał słuchaczy, żeby zachowali spokój.

– To by tylko pogłębiło tę tragedię, gdyby ludzie w naszym kraju uznali, że przyszła pora urządzić orgię przemocy – tłumaczył. – Byłoby to zaprzeczenie życia i dzieła doktora Kinga. Zachowajcie spokój. *Zachowajcie spokój*⁴⁴⁵.

W domu Billy'ego i Gwen Kylesów *soul food* dalej gotowało się na kuchence. Elegancko ubrani goście siedzieli w milczeniu w pokojach ciężkich od smakowitych zapachów. Nikt nie miał apetytu. „Cała zdrętwiałam – powiedziała Gwen. – Czułam się tak, jakby ktoś mnie uderzył i kompletnie otumanił”. Chodziła po jadalni, mijała długi rząd pustych krzesel i szlochała.

– Wszystko zniszczyli. Wszystko⁴⁴⁶.

Eric Galt dalej jechał nocą przez Missisipi, w miarę możliwości bocznymi drogami, zwiększając dystans między sobą a zawieruchą w Memphis. Podawane przez radio wiadomości zaskoczyły go – donoszono o zamieszkach i grabieżach, nie tylko w Memphis, ale i w innych miastach na terenie całego kraju. Do największych miast maszerowali żołnierze armii federalnej i Gwardii Narodowej, prezydent wystąpił w telewizji z orędziem, stolica kraju płonęła. Galtowi z pewnością zaczęło świtać, jak ogromne będą konsekwencje tego, co zrobił. Wiedział, że ziemia pali mu się pod stopami: zdał sobie sprawę, że jest najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Ameryce.

Sen z pewnością nie wchodził teraz w rachubę – Galt miał świadomość, że musi jechać przez całą noc i bez postojów dotrzeć do Atlanty, gdzie zamierzał zabrać rzeczy pozostawione w czynszówce Garnera. Nie ma pewności, co zamierzał zrobić potem, ale biorąc pod uwagę jego meksykańskie doświadczenia, można podejrzewać, że myślał o jeździe na południe, może do Puerto Vallarta. Nakreślony sukcesem swojego przedsięwzięcia i adrenaliną wyzwoloną przez ucieczkę, nie potrzebował amfetaminy, żeby móc funkcjonować bez snu przez całą dobę.

Na razie kierował się w stronę Georgii i być może Meksyku, ale ostatecznie planował dotarcie do południowej Afryki. „Rodezja” – słowo to wisiało przed nim jak transparent. Wiedział, że potępiany przez świat rząd Iana Smitha nie przestrzega traktatów ekstradycyjnych ze Stanami Zjednoczonymi. Myślał o emigracji już od czasu, kiedy kilka miesięcy wcześniej przeprowadził się z Puerto Vallarta do Los Angeles. Podobało mu się to, co Smith robił w Rodezji, i wyobrażał sobie, że jeżeli uda mu się dotrzeć do Salisbury, mieszkańcy powitają go jak bohatera, w trybie ekspresowym przyznają mu obywatelstwo i ochronią przed próbami ścigania ze strony władz amerykańskich. „Myślałem, że uda mi się uciec – powiedział później. – Myślałem, że uda mi się dotrzeć do Afryki i ludzie stamtąd nie odeślą mnie z powrotem”⁴⁴⁷. Ponieważ Rodezja była krajem anglojęzycznym, Galt sądził, że „wtopi się w tamtejsze społeczeństwo”. Nie miał pewności, co chciałby robić po przyjeździe na miejsce. Może zostać barmanem? Ślusarzem? Najemnikiem? W każdym razie pomysł z Rodezją rozpałał jego wyobraźnię. Myślał o tym kraju jako bezpiecznym azylu zamieszkanym przez społeczeństwo, które podziela jego przekonania.

Na razie jednak postanowił zahaczyć o Atlantę. Mogło się wydawać, że przyjazd do rodzinnego miasta człowieka, którego właśnie zabił, jest ryzykanctwem, ale Galt zapewne liczył na to, że nikt go nie posądzi o taką brawurę. Najważniejsze było dla niego to, że w kamienicy czynszowej zostawił parę potrzebnych rzeczy: rewolwer .38, trochę poradników i prawdopodobnie jakieś pieniądze, a także ubrania oddane do pralni przy Peachtree Street.

Przejeżdżając przez Holly Springs, New Albany i Tupelo, cały czas szukał w eterze wiadomości. W którymś momencie nadano komunikat, że policja poszukuje białego mustanga kierowanego przez „dobrze ubranego białego mężczyznę”. Musiał to być dla niego szok, ponieważ do tej pory tkwił w przekonaniu, że uciekł, nie zostawiwszy po sobie żadnych śladów, że nikt nie zauważył ani jego samego, ani samochodu. Wiadomość ta wszystko zmieniła: wiedział, że musi się pozbyć mustanga, i uznał, że bez samochodu nie ma sensu porywać się na podróż do Meksyku. Postanowił wyjechać do Kanady i stamtąd spróbować się przedostać do Rodezji.

Zrobiło się dużo bardziej nerwowo, ale Galt nie mógł nic na to poradzić. Jedyne, co mógł zrobić, to zachować spokój. „Musiałem jechać powoli – napisał później – i uważać, żeby nie przyciągać uwagi i by nie zatrzymano mnie za przekroczenie prędkości”⁴⁴⁸.

Około dziewiątej wjechał do Alabamy – „serca Dixie” – co poprawiało jego sytuację, bo tutaj jego numer rejestracyjny nie rzucał się w oczy. Galt żywił płonną nadzieję, że Alabama George’a Wallace’a, tak samo jak rządzona przez Iana Smitha Rodezja, zapewni mu ochronę i że większość obywateli pochwali go za jego czyn i osłoni przed ścigającymi. Był to jeden z głównych powodów, dla których przed wycieczką do Puerto Vallarta postanowił na jakiś czas zamieszkać w Birmingham – żeby załatwić sobie tablice rejestracyjne z Alabamy. Z tego samego powodu kupił w tym mieście karabin i celownik. Było to żenująco naiwne rozumowanie, ale Galt wierzył, że Wallace przyjmie wiadomość o jego zbrodni z uśmiechem i uzna go za anglosaskiego patriotę z najwspanialszego stanu Południa. Galt wierzył, że gdyby go złapano i skazano, gubernator Wallace, a może nawet *prezydent* Wallace, szybko by go ułaskawił.

Kiedy przejeżdżał przez Florence, rozważał porzucenie samochodu i odbycie reszty podróży do Atlanty autobusem, ale potem się rozmyślił. Przez całą noc zatrzymał się tylko dwa razy. Podczas pierwszego postoju próbował w świetle księżyca zetrzeć z mustanga odciski palców. „Wiedziałem, że przez jakiś czas samochód będzie trefny – napisał później – więc nie chciałem

zostawiać w nim ani na nim żadnych wizytówek, zanim go porzucę po przyjeździe do Atlanty”⁴⁴⁹. Za drugim razem zaparkował w jakimś odludnym miejscu, otworzył bagażnik i wyrzucił do rowu cały kosztowny sprzęt filmowy, który zakupił z myślą o zostaniu reżyserem filmów pornograficznych: projektor, sklejarkę, kamerę, wszystko poza polaroidem, ponieważ był lekki i zajmował mało miejsca. Marzenie o karierze w biznesie pornograficznym trzeba było odłożyć na inne czasy. „Chciałem się pozbyć wszystkiego, co łączyłoby mnie z mustangiem. I wszystkiego, co pozostawiłoby jakiegokolwiek tropy, które mogłyby doprowadzić do mnie policję”, wyjaśnił później⁴⁵⁰.

Wiedział, że natychmiast po przyjeździe do Atlanty będzie musiał zostawić samochód, a bez niego noszenie przy sobie sprzętu filmowego byłoby nadmiernym obciążeniem.

Krew ma w sobie moc

W motelu Lorraine zebrała się większość najbliższych współpracowników Kinga, wewnętrzny krąg osierocony przez przywódcę. Przygnębieni i wykończeni, siedzieli razem w pokoju 306; walizka i rzeczy osobiste Kinga wciąż były porzucane po pokoju. Byli tam: Andy Young, James Bevel, Bernard Lee, Hosea Williams, James Orange i Chauncey Eskridge. Przy dźwięku syren za oknami ludzie zbrali się wokół nowego przewodniczącego organizacji Ralpa Abernathy'ego, którego wybór zgodnie ze statutom SCLC nastąpił automatycznie. Abernathy nie miał charyzmy ani zmysłu organizacyjnego Kinga, ale nikt nie kwestionował objęcia przez niego tej funkcji. „King nie podjąłby bez niego żadnej decyzji – powiedział Williams. – Ufał Ralphowi jak Jezusowi”⁴⁵¹.

Miasto Memphis wokół nich wrzało. Na niebie warczały helikoptery, a pojazdy półgąsienicowe Gwardii Narodowej dudniły po asfalcie, zostawiając na jezdni ślady przypominające zamek błyskawiczny. Na dole grupa młodych murzyńskich osiłków zepchnęła dwóch białych dziennikarzy do narożnika, okładała pięściami i krzyczała:

– Wy będziecie następni, i to już niedługo!

Jeden z dziennikarzy odnotował, że na balkonie Lorraine „żarówki nadal regularnie mrugały jak letnie błyskawice, oświetlając numer pokoju Kinga”⁴⁵².

W tych strasznych godzinach bezpośrednio po morderstwie najbliższe otoczenie Kinga nie do końca wiedziało, co robić i jak się zachowywać. Dzwonili do znajomych z ruchu i rozmawiali z nimi o przyszłości. Próbowali złapać w telewizji jakieś wiadomości, ale większość stacji już zakończyła nadawanie. Tak naprawdę mogli tylko „przejść przez całą noc jak lunatycy”, jak to ujął Andy Young, próbować przetrwać przeżyłą tragedię⁴⁵³. Organizacje rzadko doznają tego rodzaju potężnych i surrealistycznych wstrząsów: zebrać się w jednym miejscu razem z przywódcą i patrzeć, jak ktoś zabija go od góry, jakby to był rytuał rozgrywający się na publicznej scenie.

Po głowach chodziły im fragmenty wczorajszego przemówienia. „Długowieczność ma swoje zalety. Być może nie dotrę tam z wami [...]. Nie boję się żadnego człowieka”. Przez ostatni rok King często przywoływał podobne wątki w swoich wystąpieniach i kazaniach, ale nigdy z taką mocą, z takim patosem w głosie. Czy przewidział własną śmierć? Czy wyczuł obecność snajpera, stojąc na balkonie Lorraine przez tak wiele niebezpiecznych minut? Abernathy był przekonany, że jego przyjaciel nie tylko miał jakieś przecucie, lecz także otrzymał konkretną informację o zbliżającej się śmierci. Później zeznał przed Kongresem, że jego zdaniem King „uzyskał, listownie lub telefonicznie, jakąś wiedzę o tym, co się wydarzy [...] informację z jakiegoś źródła, że padnie ofiarą zamachu”⁴⁵⁴.

Andy Young uważał, że King nie był jedyną ofiarą, że zagrożeni byli również inni członkowie grupy – w sensie metaforycznym zamachowiec wziął na muszkę cały ruch praw obywatelskich. King często powtarzał, że po każdym wydarzeniu oddalającym ich od

osiągnięcia celu – takim jak śmierć Medgara Eversa albo zastrzelenie Jamesa Meredith – muszą natychmiast podnieść sztandar z ziemi, bo inaczej wróg nabierze przekonania, że zabijając przywódców, może zabić cały ruch. Zebrani tej nocy w Lorraine uznali zatem, że trzeba kontynuować rozpoczęte dzieło: marsz przez Beale Street, strajk śmieciarzy, Kampanię Biednych Ludzi w Waszyngtonie i tak dalej.

– Nie możemy zawieść Martina, zostając razem z nim na cmentarzu – powiedział kolegom James Bevel. – On by tego nie chciał. Wszystko, co zaplanował, musi być zrobione. Naszym przywódcą jest teraz Ralph Abernathy i musimy pracować pod jego przewodnictwem⁴⁵⁵.

Każdy ze współpracowników Kinga opłakiwał go na swój sposób. „Niektórzy wariowali i robili dziwne rzeczy, które odzwierciedlały ich lęki”, wspominał Young. A. D. King strasznie się upił, chodził po całym motelu, wrzeszczał i przeklinał.

– Dorwali go! Te skurwysyny w końcu dorwały mojego brata! – krzyczał⁴⁵⁶. Poprzysiągł, że weźmie pistolet. – Zabiję wszystkich skurwysynów, którzy zabili mojego brata.

Zdarzały mu się jednak przebłęski świadomości.

– Mój Boże, co ja gadam? Musimy się powstrzymać od przemocy. Tego chciałby Martin.

A. D. był tak rozchwiany, że jego koledzy na przemian pilnowali, by trzymał się z dala od dziennikarzy, bo inaczej by się skompromitował.

Georgia Davis wróciła do swojego pokoju 201 na parterze, w którym spędziła z Kingiem poprzednią noc. W uszach dzwoniły jej wyszeptane przez Kinga słowa: „Nasz czas razem jest taki krótki”. „Dotknęłam poduszki, szukając jakiegoś kontaktu z nim, jakiejś łączności. Poczułam jednak tylko zimną czystą pościel”⁴⁵⁷. Nagle ogarnęła ją zgroza. „W głowie migotał mi obraz jego ciała – napisała później. – Przypomniałam sobie wszystkie wysłuchane w życiu kazania o ognjach piekielnych”. Pomyślała: „Spadam do piekła”.

W pewnym momencie z pokoju 306 wyszedł Abernathy z tekturową podkładką pod koszulę z pralni i zaczął zdrapywać zakrzepłą krew Kinga do słoiczka. Robiąc to, płakał i mówił do zgromadzonych na balkonie kolegów:

– To bezcenna krew Martina. Ta krew została przelana dla nas⁴⁵⁸.

Fotograf z Memphis Ernest Withers zrobił kilka zdjęć krwi; twierdził, że kształt kałuży dziwnie przypominał sylwetkę Kinga⁴⁵⁹. Withers nabrał trochę krwi dla siebie do małej fiolki i przez wiele lat przechowywał ją w lodówce.

Jesse Jackson poszedł o krok dalej. Young wspominał, że widział, jak Jackson przycisnął obie dłonie do kałuży wysychającej krwi, a potem wstał, uniósł karmazynowe ręce ku niebu i wytarł je w bluzę⁴⁶⁰. Kilka minut później, w tej samej bluzie, pojechał na lotnisko, aby wsiąść do ostatniego samolotu do Chicago. „Nie ma w tym niczego niezwykłego – powiedział później. – My, baptyści, wierzymy, że krew ma w sobie moc; moc, która może się przenieść na inną osobę⁴⁶¹.

Gdy Coretta King wróciła z lotniska w Atlancie do domu, musiała stawić czoło lawinie telefonów i telegramów, a jednocześnie witać strumień dobrze jej życzących ludzi, którzy ją odwiedzali. Po paru godzinach miała w domu całą szklarnię kwiatów, a pracownicy firmy telekomunikacyjnej przyszli zainstalować dodatkowe trzy telefony.

Pewien dziennikarz prasowy określił owdowiałą panią King jako „opanowaną, ale oszołomioną”⁴⁶², kiedy chodziła po pokojach przy Sunset Boulevard 234, mijając portret Mahatmy Gandhiego na ścianie i otrzymany niedawno od Kinga bukiet sztucznych goździków.

Miała poważne obawy, jak poradzi sobie finansowo – King nie spisał testamentu⁴⁶³, jego polisa na życie opiewała na minimalną sumę i nie zostawił jej prawie żadnych oszczędności; miała tylko ten niewielki dom z cegły w południowo-zachodniej części Atlanty, niedaleko slumsów. Na szczęście łączna wartość domu i środków zgromadzonych na dwóch wspólnych rachunkach bankowych była na tyle niewielka, że podpadała pod uproszczone postępowanie spadkowe.

Coretta sprawiała jednak wrażenie pogodzonej ze śmiercią męża. „Naprawdę uważam, że taka była wola boża – powiedziała. – Zawsze wiedzieliśmy, że to się może zdarzyć”. Od lat się do tego przygotowywała, a nawet mówiła o tym publicznie. Trzy lata wcześniej powiedziała do zgromadzonych w Seattle ludzi: „Jeśli mojemu mężowi coś się stanie, walka będzie kontynuowana. Mogłoby to nawet jej dopomóc”⁴⁶⁴.

Wszystkie jego kampanie były niebezpieczne, powiedziała, „ale ta historia w Memphis miała w sobie coś nietypowego. Martin nie powiedział mi wprost, że to się stanie w Memphis, ale moim zdaniem czuł, że jego czas się kończy”⁴⁶⁵. Według Coretty jej mąż od dawna odczuwał „mistyczne utożsamienie z sensem męki Chrystusowej”, toteż wydawało się właściwe, że jego śmierć nastąpiła w okresie wielkanocnym.

Po telefonie prezydenta Johnsona nowo zainstalowane aparaty dzwoniły bez przerwy. Gubernator Nowego Jorku Nelson Rockefeller zaproponował, że odda Corettie do użytku samolot czarterowy. Komik Bill Cosby powiedział, że może przyjechać zabawić jej dzieci. Senator Robert Kennedy zaproponował drugi samolot. Prokurator generalny Clark zadzwonił z kondolencjami i zapewnił Corettę, że sprawą zajmuje się FBI. Piosenkarz calypso Harry Belafonte zapowiedział, że przyjedzie następnego dnia.

– Pomogę ci we wszystkim; chcę ci ulżyć w twoim smutku⁴⁶⁶.

W wielkiej stercie telegramów była wiadomość od cesarza Etiopii Hajle Sellasjego: „Z głębokim smutkiem przyjęliśmy wstrząsającą wiadomość o śmierci doktora Martina Luthera Kinga, którego mężna walka za sprawę ludzkiej godności będzie pamiętana przez wszystkie miłujące pokój narody”.

Coretta wymknęła się na chwilę z całego tego zgiełku i poszła do pokoju dzieci, żeby położyć je spać. Jak później napisała w swoich wspomnieniach, Dexter najwyraźniej nie do końca zrozumiał, co się stało.

– Mamusiu, kiedy tatuś wróci do domu?⁴⁶⁷

Potem porozmawiała z Yolandą, swoim najstarszym dzieckiem, z którą przez całe popołudnie szukała po sklepach sukienki na Wielkanoc.

– Mamusiu, nie będę płakała – powiedziała rezerwownie Yoki. – Zobaczę go znowu w niebie.

Coś ją jednak dręczyło, coś najwyraźniej ciążyło jej młodemu sumieniu.

– Czy powinnam nienawidzić człowieka, który zabił mojego ojca? – zapytała.

Coretta potrząsnęła przecząco głową.

– Nie, kochanie, twój tatuś by sobie tego nie życzył⁴⁶⁸.

W ciągu kilku godzin od śmierci Kinga władze przetransportowały jego ciało na drugą stronę miasta do biura naczelnego lekarza medycyny sądowej w szpitalu John Gaston przy Madison Avenue, gdzie natychmiast zabrano je do laboratorium w podziemiu. Zwłoki umieszczono na stole ze stali nierdzewnej w pomieszczeniu z wyłożoną kafelkami pochyłą podłogą i kratką odpływową. Pod jasnymi lampami leżał zestaw błyszczących instrumentów: długi, pił

elektrycznych, skalpeli i kleszczy. Ciało przykryto płachtą grubego, szeleszczącego podkładu medycznego. Do dużego palca u nogi ofiary przywiązano karteczkę z napisem „A-68-252”.

Lekarz sądowy hrabstwa Shelby patolog doktor Jerry Francisco⁴⁶⁹ wszedł do pokoju w białym fartuchu laboratoryjnym. Był wysokim, sumiennym mężczyzną, w którego łagodnym głosie pobrzmiwał akcent z górzystych terenów zachodniego Tennessee. Miał dopiero trzydzieści kilka lat, ale przeprowadził już setki sekcji zwłok; w dalszych latach swojej kariery miał badać śmierć wielu celebrytów z Memphis i okolic, między innymi Shawn Michelle, piątej żony Jerry’ego Lee Lewisa, a przede wszystkim Elvisa Presleya.

Doktor Francisco był człowiekiem pedantycznym i uwielbiał opowiadać o tajnikach swojego fachu od czasów jego powstania w normańskiej średniowiecznej Anglii. Z upodobaniem podkreślał, że oprócz krajania trupów ważnych ludzi, którzy zmarli w tajemniczych okolicznościach, lekarze sądowi z dawnego Londynu mieli również obowiązek służyć jako „strażnicy królewskiego akwarium”.

Około godziny dwudziestej pierwszej wezwano z Lorraine Abernathy’ego i zaprowadzono do laboratorium, żeby dokonał identyfikacji zwłok, jak to przewidywało prawo. Pracownik laboratorium zdjął z ciała płachtę podkładu medycznego, który nieprzyjemnie trząskał. Patrząc na zwłoki, które leżały na sterylnym metalowym stole, Abernathy pomyślał, że jego przyjaciel „wygląda na bardziej martwego”, niż mu się wydawał, kiedy dwie godziny wcześniej nowy przewodniczący SCLC zostawił go w szpitalu⁴⁷⁰. „Wpatrywałem się przez chwilę – napisał w swoich wspomnieniach – byłem milczącym świadkiem ostatecznej dehumanizacji Martina Luthera Kinga juniora, jego przeistoczenia się z osoby w rzecz. W tym momencie wiedziałem, że mogę zostawić to ciało, zostawić je na zawsze”.

Abernathy skinął głową i zwięźle powiedział to, co doktor Francisco potrzebował usłyszeć:

– To jest ciało Martina Luthera Kinga juniora. – Następnie podpisał podsunięty mu formularz⁴⁷¹.

Potem Francisco poprosił Abernathy’ego o skontaktowanie się przez telefon z Corettą King i uzyskanie jej zgody na przeprowadzenie sekcji. Abernathy się zawahał. Nie rozumiał, dlaczego sekcja zwłok jest niezbędna; nikt nie miał najmniejszych wątpliwości, co zabiło jego przyjaciela. „Wydawało mi się niewiarygodne – napisał później – że taka procedura może mieć jakiegokolwiek znaczenie”. Nie miał najmniejszej ochoty nękać Coretty taką makabryczną prośbą i chciał jej oszczędzić kolejnego szoku.

– Na ile to jest ważne? – zapytał.

– Bardzo ważne – zapewnił go Francisco i dodał, że prawo tego wymaga.

Wyjaśnił, że na potrzeby śledztwa musi jak najdokładniej ustalić kąt wlotu pocisku. Gdyby doszło do procesu zamachowca, sąd musiałby dysponować niepodważalnym dowodem na to, że bezpośrednią przyczyną śmierci Kinga była rana postrzałowa. Sekcja zwłok mogła również pomóc w udzieleniu odpowiedzi na wiele drugorzędnych pytań: Czy był drugi pocisk? Czy ranę mógł spowodować oddany z niewielkiej odległości strzał z pistoletu? Czy lekarze ze szpitala Saint Joseph’s mogli coś zrobić, żeby uratować Kingowi życie? Zgodnie z relacją Abernathy’ego doktor Francisco dodał:

– Może nam to powiedzieć coś, czego wcześniej nie wiedzieliśmy, a co uratuje życie innej osobie⁴⁷².

Abernathy niechętnie zadzwonił do pani King i przekazał słuchawkę doktorowi. Bez wahania wyraziła zgodę; jej głos wydał mu się zaskakująco spokojny i opanowany.

Po wyjściu Abernathy'ego z laboratorium pierwszym zadaniem doktora Francisca było usunięcie pocisku z ciała Kinga. Około 21.30, w towarzystwie trzech funkcjonariuszy policji z Memphis jako oficjalnych świadków, wyłuskał największy fragment kuli z obszaru tuż pod skórą koło lewej łopatki Kinga. Do bryłki metalu przykleił karteczkę z numerem 252. Policijni świadkowie ocenili, że ciężko pokieraszowany pocisk „wyglądał na 30-06”⁴⁷³, ale odkształcił się prawie nie do rozpoznania. Stwierdzili, że miał miedzianą łuskę i czubek z miękkiego ołowiu, „ponieważ był bardzo spłaszczony”.

Doktor Francisco zawiązał zdeformowaną kulę w watę i oddał ją policjantom, którzy opisali dowód i włożyli do brązowej koperty. Trzej funkcjonariusze wyszli z sali, żeby dostarczyć kopertę inspektorowi Zachary'emu z wydziału zabójstw, który z kolei miał ją później przekazać agentowi specjalnemu Jensenowi z FBI.

Doktor Francisco przystąpił do swojej makabrycznej pracy, czując na barkach ciężar historii. Pamiętał, że po zamachu na prezydenta Kennedy'ego rzekome nieprawidłowości związane z sekcją zwłok stały się przedmiotem licznych spekulacji i ostatecznie zrodziły wiele teorii spiskowych. „Bardziej niż w jakiegokolwiek innej ze spraw, do których mnie wyznaczono, wiedziałem, że nie mogę sobie pozwolić na żadne niedociągnięcia – wspominał później. – »Ani jednego błędu, Francisco«, powiedziałem do siebie”⁴⁷⁴. Historia patrzyła na niego w sensie dosłownym: fotoreporterzy, niektórzy z kolorowymi, niektórzy z czarno-białymi kliszami, sumiennie dokumentowali każde stadium procedury.

Sekcja zwłok była nietypowa jeszcze pod innym względem – wykonywano ją w warunkach podwyższonej ochrony. Władze Memphis obawiały się, że uczestnicy spisku albo wrogowie tłum mogą próbować sabotować pracę doktora Francisca, a nawet wykraść ciało Kinga. Po obu stronach drzwi pomieszczenia, w którym pracował doktor, pełnili wartę policjanci z karabinami. „Czułem się bardzo bezpiecznie”, opisał to później sardonicznie sam Francisco⁴⁷⁵.

Lekarz zauważył na ciele Kinga liczne blizny i zasinienia, plamy krwi, ślady po igle z oddziału ratunkowego. „Jest to dobrze zbudowany, dobrze odżywiony mężczyzna rasy czarnej – napisał później. – Ciało mierzy sto siedemdziesiąt siedem centymetrów długości. Włosy czarne, oczy brązowe, cienki wąsik”⁴⁷⁶.

Zgodnie z obowiązującą procedurą doktor Francisco systematycznie usuwał, badał i ważył różne narządy – między innymi śledzionę, trzustkę, wątrobę, woreczek żółciowy i mózg – które uznał za zdrowe i prawidłowe. Potem dokładnie zbadał ranę, korzystając ze zdjęć rentgenowskich wykonanych w Saint Joseph's. Wokół wylotu rany znalazł i nagarnął na przezroczą śladową ilość czarnej substancji – jak później ustalono pod mikroskopem, był to ołów pozostawiony przez miękki czubek naboju. Doktor Francisco stwierdził, że tor pocisku przebiegał „od przodu do tyłu, od góry do dołu i od prawej do lewej” – było to ważne ustalenie, ponieważ pozwalało ze znaczną dokładnością określić położenie broni, z której oddano strzał.

Doktor Francisco ocenił, że przy takich obrażeniach doktor King nie miał szans na przeżycie niezależnie od podjętych działań medycznych. „Zgon był wynikiem rany postrzałowej w podbródek i szyję z całkowitym złamaniem piersiowego i szyjnego odcinka kręgosłupa oraz innych struktur – podsumował w swoim raporcie. – Przerwanie rdzenia kręgowego na tej wysokości i w takim zakresie musiało doprowadzić do rychłej śmierci”.

„Z taką raną postrzałową nie można przeżyć”, zakończył dobitnie.

Ciało Kinga wywieziono z laboratorium i przekazano domowi pogrzebowemu R. S. Lewis, temu samemu murzyńskiemu przedsiębiorstwu, które dostarczyło Kingowi cadillaca z szoferem

podczas jego pobytu w Lorraine.

Około jedenastej wieczór, kiedy policjanci z karabinami stali przy drzwiach Instytutu Patologii w Tennessee, ciało Kinga włożono do karawanu, który jechał przez miasto całkowicie opustoszałymi (jeżeli nie liczyć pojedynczych czołgów) z powodu godziny policyjnej ulicami Memphis. W centrum było upiornie cicho, lecz oślepiająco jasno. „W każdym sklepie paliły się wszystkie światła (żeby lepiej było widać ewentualnych złodziei) – zaobserwował Garry Wills, który właśnie przybył do Memphis na zlecenie czasopisma „Esquire”. – Drgające neonowe strzałki, które w założeniu miały zapraszać ludzi do środka, teraz próbowały ich odstraszyć. Na ulicach nie było żywego ducha. Nawet sklepowa muzyczka puszczana na pełny regulator w pasażu między sklepami nie znajdowała słuchaczy”⁴⁷⁷.

O 23.15 ciało Kinga przybyło do R. S. Lewis i pracownicy domu pogrzebowego przystąpili do pracy.

Prezydent Johnson, który miał kłopoty ze snem nawet w te dni, kiedy nie działo się nic stresującego, nad ranem poczłapał w szlafroku do Gabinetu Owalnego. Przez całą noc Biały Dom zalewały informacje z mediów i telegramy. Poruszony świat natychmiast zareagował na śmierć Kinga. W tym globalnym ośrodku nerwowym notatki ze sztabu kryzysowego i faksy z Departamentu Stanu tworzyły coraz wyższą stertę, a dalekopisy jednostajnie terkotały.

W jednym z komunikatów zacytowano pastora Billy’ego Grahama, który podróżował wtedy po Australii: „[...] dziesiątki tysięcy Amerykanów są zaburzone psychicznie. [Zabójstwo Kinga] świadczy o chorobie społeczeństwa amerykańskiego i jeszcze bardziej podsyci emocje i nienawiść”⁴⁷⁸. Premier Indii Indira Gandhi powiedziała, że zamach na Martina Luthera Kinga „cofa ludzkość w poszukiwaniach oświecenia. Przemoc zabrała światu jednego z najwybitniejszych ludzi”.

Gubernator Kalifornii Ronald Reagan powiedział, że za sprawą zabójstwa Kinga cały naród „trochę umarł”. Legendarnemu dawnemu bejsboliście Jackiemu Robinsonowi, do którego dziennikarze dotarli w Nowym Jorku, prawie odebrało mowę.

– Jestem wstrząśnięty. Boże, bardzo się boję, jestem głęboko poruszony. Modlę się do Boga, żeby to się nie skończyło na ulicach.

Telegram od analityka w Ambasadzie Amerykańskiej w Paryżu podsumował reakcje Francuzów na zamach: „Prasa i radio, które w ostatnich miesiącach prawie straciły Kinga z oczu na rzecz bardziej przebojowego [Stokely’ego] Carmichaela, teraz ogłaszają Kinga jedynym prawdziwym przywódcą amerykańskich Murzynów i zgodnie stwierdzają, że nie da się go nikim zastąpić”.

Londyńskie gazety cytowały brytyjskiego filozofa i pacyfistę Bertranda Russella; powiedział, że zamordowanie doktora Kinga to dopiero „przedsmak przemocy, która wybuchnie w Ameryce, ponieważ rząd Stanów Zjednoczonych nie jest w stanie jednocześnie finansować wojny wietnamskiej i ulżyć w niedoli swoim najbardziej ciemiężonym obywatelom”.

W porannej gazecie w Nairobi napisano, że śmierć Kinga „[...] ponownie przypomina światu, jak bardzo chorym społeczeństwem jest Ameryka [...]. Niewykłuczone, że wraz z tym prorokiem umarła epoka pokojowego protestu”.

Nie we wszystkich nadchodzących komentarzach chwalono zamordowanego Kinga i jego metody. Senator z Karoliny Południowej Strom Thurmond powiedział dziennikarzowi agencji prasowej:

– Nie chciałbym się wyrażać źle o zmarłym, ale nie podzielam powszechnej dobrej opinii

o doktorze Kingu. On tylko *udawał*, że nie popiera przemocy.

W podobnym tonie wypowiedział się gubernator Teksasu John Connally. Przyznał, że King „nie zasłużył na swój los”, ale stwierdził też, że przywódca ruchu praw obywatelskich „w znacznym stopniu przyczynił się do panującego w kraju chaosu i wrzenia”.

Od kandydata na prezydenta George’a Wallace’a nie udało się uzyskać komentarza, ale Bob Walters, kalifornijski szef jego kampanii wyborczej, miał do powiedzenia o zmarłym następujące słowa:

– Chociaż twierdził, że jest przeciwnikiem przemocy, rozsiewał ziarna przemocy, którą obserwujemy teraz w kraju. Kto wiatr sieje, burzę zbiera.

W jednej z depeesz informowano, że rasista J. B. Stoner z Narodowej Partii Praw Stanów wygłaszał przemówienie w Meridian w stanie Missisipi, kiedy dotarła do niego wiadomość o śmierci Kinga. Ten pyszałkowaty demagog w muszce powiedział do tłumu dzielących jego poglądy segregacjonistów:

– Martin Lucyfer Asphalt jest teraz dobrym czarnuchem.

Po północy czasu Memphis agent specjalny Jensen zakończył oglądanie i opisywanie wszystkich fizycznych dowodów znajdujących się teraz w posiadaniu FBI: pocisku usuniętego z ciała Kinga, karabinu, celownika i amunicji, lornetki, radia tranzystorowego, plastikowej torby z różnorodną zawartością, uciętego krawata i zakrwawionej koszuli Kinga, fotografii z sekcji zwłok i starego parapetu z małym wgnieceniem w kształcie półksiężyca, który funkcjonariusze wydziału zabójstw zdemontowali we wspólnej łazience kamienicy czynszowej. Dysponował również trzema banknotami dwudziestodolarowymi, które agenci FBI uzyskali od Bessie Brewer – kierowniczką czynszówki była przekonana, że jeden z nich dał jej lokator pokoju 5B.

Jensen zapieczętował dowody w przezroczystych torebkach foliowych i włożył do pudła, na którym napisał: „Laboratorium Kryminalistyczne FBI, Waszyngton”. Dał je agentowi specjalnemu Robertowi Fitzpatrickowi, który miał osobiście doręczyć tę ważną przesyłkę. Fitzpatrick pojechał na lotnisko, gdzie czekał na niego wycarterowany odrzutowiec. Parę minut przed pierwszą w nocy wsiadł do samolotu i poleciał do stolicy, cały czas mając paczkę obok siebie. Na Lotnisku Narodowym w Waszyngtonie odrzutowiec wylądował tuż przed świtem. Uzbrojona eskorta odebrała Fitzpatricka z terminalu i zawiozła do miasta.

O godzinie 5.10 czasu wschodniego w piątek 5 kwietnia Fitzpatrick osobiście przekazał materiał dowodowy agentowi specjalnemu Robertowi A. Frazierowi z Laboratorium Kryminalistycznego FBI przy Pennsylvania Avenue. Eksperci od balistyki, analizy włókien i daktyloskopii czekali w gotowości.

KSIĘGA DRUGA

Kim jest Eric Galt?



Mord może nie mieć języka, lecz nieraz
Odezwie się nadprzyrodzonym głosem.

Hamlet^[14]

Wezwanie do Memphis

W piątek 5 kwietnia tuż po świcie lockheed jetstar kołował z ogromnego hangaru, w którym garażowano prezydenckie samoloty, a potem śmignął po pasie startowym Andrews Air Force Base w Marylandzie⁴⁷⁹. Na pokładzie tego odrzutowca dla VIP-ów z dwunastoma miejscami znajdowali się Ramsey Clark, Cartha DeLoach i kilku innych urzędników państwowych, między innymi młody, utalentowany czarnoskóry prawnik z Departamentu Sprawiedliwości Roger Wilkins. Lecieli do Memphis z bardzo ważną misją: mieli oficjalnie zainicjować federalne dochodzenie w sprawie zamachu na Martina Luthera Kinga, a przy okazji zapewnić miasto i całe społeczeństwo, że Departament Sprawiedliwości nie będzie szczędził środków w celu znalezienia i pociągnięcia do odpowiedzialności zabójcy Kinga.

Clark miał na sobie świeżo wyprasowany czarny garnitur i krawat w ukośne niebieskie i białe prążki. Już czuł się wyczerpany, a przecież dzień dopiero się zaczynał i zapowiadał się jako jeden z najbardziej stresujących w całej karierze prokuratora generalnego. W nocy Clark prawie w ogóle nie spał, podobnie jak inni pracownicy Departamentu Sprawiedliwości.

Odrzutowiec skręcił nad hrabstwem Prince Georges na zachód i leciał nad Waszyngtonem, gdzie wciąż dogorywały pożary z ubiegłej nocy. Z okna samolotu Clark patrzył na miasto, w którym spędził większość swoich dziecięcych i szkolnych lat.

DeLoach próbował poprawić wszystkim nastrój. Był przekonany, że znalezienie zabójcy – albo zabójców – to kwestia godzin. Podczas lotu był w stałym kontakcie z FBI i od czasu do czasu przekazywał Clarkowi najświeższe informacje. Prawdopodobnie narzędzie zbrodni dotarło już do laboratorium kryminalistycznego (dwa piętra nad gabinetem Clarka w budynku Departamentu Sprawiedliwości) i jest teraz badane. Po odczytaniu numeru seryjnego karabinu – 461476 – pracownicy FBI zadzwonili do siedziby firmy Remington w Bridgeport w stanie Connecticut i ustalili, że broń trafiła do hurtowni w Alabamie, a następnie do sklepu z bronią Aeromarine Supply Company w Birmingham; tamtejsi agenci FBI mieli się zaraz udać do tego sklepu.

Potem pojawił się ekscytujący nowy trop: w 1958 roku policja z Memphis aresztowała białego zbiega, który nazywał się John Willard, miał na swoim koncie podpalenie i według najnowszych informacji, jakie na jego temat zebrano, przebywał na terenie stanu Missisipi⁴⁸⁰. Funkcjonariusze policji i agenci FBI z Memphis i Jackson przeczesywali obszar w poszukiwaniu tego człowieka.

DeLoach tak bardzo się spieszył przed wylotem, że nie zdążył nic zjeść. Teraz otworzył swoją aktówkę i wyjął kanapkę, która leżała obok dużego rewolweru⁴⁸¹. Zajadając śniadanie, patrzył przez okno na dolinę Shenandoah, która okrywała się soczystą wiosenną zielenią. Odrzutowiec przeleciał nad górami Wirginii z prędkością sześciuset pięćdziesięciu kilometrów na godzinę i właśnie miał pod sobą Tennessee.

Dwie godziny później, o 7.20 czasu środkowoamerykańskiego, jetstar wylądował w Memphis. Po zejściu z pokładu Clark i DeLoach zobaczyli, że wszystko wygląda jak na wojnie. Pas startowy otaczały Gwardia Narodowa i oddziały antyterrorystyczne policji, a wzdłuż pasa stały wojskowe samoloty. Flaga była opuszczona do połowy masztu.

Agent specjalny Robert Jensen spotkał się z Clarkiem i DeLoachem na płycie lotniska i zawiózł ich do ogarniętego wrzeniem miasta, w którym niedawno zakończyła się godzina policyjna.

W tym samym momencie Eric Galt wjechał swoim mustangiem na parking zaniedbanego osiedla mieszkaniowego Capitol Homes w Atlancie. Było około 8.20 czasu wschodniego. W ten dżdżysty piątkowy poranek mieszkańców obudziły wielkie nagłówki w „Constitution” oznajmiające, że najbardziej znany obywatel Atlanty został zamordowany. Galt jechał przez całą noc, bez przerwy się stresując, że jakiś żołnierz gwardii stanowej może zauważyć markę i kolor samochodu i zakończyć jego ucieczkę jeszcze przed wydostaniem się z Południa. Od Birmingham do Atlanty unikał głównych dróg. „O świcie zatankowałem benzynę na przedmieściach Atlanty”⁴⁸², powiedział później. Potem pojechał na osiedle domów Capitol Homes – tę lokalizację wyszukał dwa tygodnie wcześniej⁴⁸³.

Galt nie miał ochoty rozstawać się ze swoim wiernym mustangiem; przez ostatnich siedem miesięcy przejechał nim ponad trzydzieści tysięcy kilometrów. Porzucenie samochodu zadawało gwałt jego oszczędnej naturze. „Serce mi się krajało na myśl, że nie mam czasu go sprzedać choćby za tysiąc dolarów”, napisał. Wiedział jednak, że nie może sobie pozwolić na umieszczenie ogłoszenia w gazecie, negocjacje z klientami i załatwianie innych spraw; wydawało się bowiem, że cały świat poszukuje jego samochodu.

Capitol Homes był kompleksem starych budynków z czerwonej cegły, zamieszkanym prawie wyłącznie przez białych. Na rogu parkingu piętrzyła się sterta śmieci i leżała przewrócona na bok zjeżdżalnia. Ogólną szarość tego osiedla na osiemset domów przełamывał tylko ogródek kwiatowy blisko wjazdu od ulicy Memorial Drive. Nad całą dzielnicą królował, jakby szydząc sobie z jej niechlujności, elegancki neoklasycyzy budynek władz stanu Georgia; jego potężna kopuła ze złotymi żebrami połyskiwała pośród kurtyn deszczu.

Tego dnia rano niejaka Mary Bridges, która mieszkała na osiedlu Capitol Homes w lokalu 550, spieszyła się, żeby zawieźć swoją dwunastoletnią córkę Wandę do szkoły⁴⁸⁴. Przez okno swojego domu zauważyła wjeżdżającego na parking białego dwudrzwiowego mustanga ze składanym dachem i czarno-białymi oponami. Samochód nagle się zatrzymał, a potem z piskiem opon wycofał na wolne miejsce kilka metrów od jej drzwi. Mustang miał tablice rejestracyjne z Alabamy i przyklejone do szyb meksykańskie nalepki „*Turista*”.

Pani Bridges otworzyła drzwi i stojąc z Wandą na progu, patrzyła, jak mężczyzna wysiada z mustanga, zamyka drzwi i pospiesznie się oddala. Sprawiał wrażenie podenerwowanego, czujnego. Nigdy wcześniej go nie widziała, podobnie jak samochodu. Jego włosy były „czarne niczym sadza”, miał na sobie ciemny garnitur – marynarka powiewała na porannym wietrze. Bez płaszcza, parasola i bagażu szybkim krokiem szedł po mokrym chodniku, za ogródkiem kwiatowym skręcił w lewo i zniknął na Memorial Drive.

Pani Bridges pomyślała, że może to akwizytor polis ubezpieczeniowych, ale jego zachowanie wzbudziło w niej niepokój. Odwróciła się do Wandy i powiedziała pół żartem, pół serio:

– On może mieć przy sobie broń.

Galt poczuł ulgę, że pozbył się samochodu, odciął od najbardziej rzucającego się w oczy dowodu, który łączył go z Memphis. Jego następny krok nie jest znany, ale najprawdopodobniej zatrzymał taksówkę. Gdy o 8.41 Chuck Stephens, kierowca United Cab Company, jechał Memorial Drive w kierunku zachodnim, machnął na niego biały klient opisany później przez taksówkarza jako trzydziestoletni mężczyzna, który miał metr osiemdziesiąt wzrostu, był szczupły i zadbany⁴⁸⁵. W ulewnym deszczu stał na Memorial Drive blisko Fraser Street, kilka przecznic od Capitol Homes. Kiedy Stephens się zatrzymał, mężczyzna wsiadł i poprosił, żeby go zawieźć na dworzec autobusowy. Taksówkarz skinął głową i pojechał do centrum; zdziwiło go, że pasażer jedzie na dworzec autobusowy bez bagażu. Podczas krótkiego przejazdu mężczyzna nie odezwał się ani słowem. Po przybyciu na miejsce zapłacił dziewięćdziesiąt trzy centy i wysiadł.

Galt planował wsiąść do pierwszego autobusu do Detroit, ale kiedy wszedł do budynku dworca, w okienku informacji dowiedział się, że następny autobus do tego miasta odjeżdża o jedenastej, a tego dnia będzie opóźniony. Postanowił wykorzystać ten czas na odebranie swoich rzeczy z pralni i z kamienicy czynszowej.

W motelu Lorraine zdruzgotany i niewyspany Ralph Abernathy zaczął dzień od krótkiej konferencji prasowej na parkingu motelu, pod znanym już całemu światu balkonem, z którego zmywano teraz ostatnie ślady krwi Kinga, żeby zrobić miejsce na ogromne wieńce.

– To jeden z najmroczniejszych dni w historii tego kraju i z pewnością w życiu mojego narodu – powiedział Abernathy, ale pod koniec swojego wystąpienia zaznaczył, że jego zdaniem „nieagresja zwycięży”. Oznajmił, że nigdy nie pragnął stać na czele ruchu. – Żaden z żyjących nie może go zastąpić. Zawsze chciałem stać razem z nim, ale nie przed nim⁴⁸⁶.

Jako nowy przewodniczący SCLC zapewnił jednak świat, że walka będzie kontynuowana – począwszy od marszu przez Beale Street zaplanowanego przez Kinga w celu poparcia strajkujących śmieciarzy. Ogłosił, że w poniedziałek wróci do Memphis, aby poprowadzić marsz. Zapowiedział, że demonstracja nie tylko będzie pokojowa, lecz także w hołdzie dla Kinga przebiegnie w całkowitym milczeniu. Marsz pamięci poprowadzi Bayard Rustin, zaprawiony w bojach fachowiec, chodzący w okularach impresario ruchu praw obywatelskich, organizator między innymi marszu na Waszyngton w 1963 roku, podczas którego King wygłosił przemówienie „Miałem sen”.

Kiedy dziennikarz zapytał Abernathy’ego, czy nie obawia się, że powrót do Memphis może sprowokować kolejną próbę zamachu – może na *jego* życie – nowy przewodniczący SCLC odparł:

– Jesteśmy gotowi umrzeć za to, w co wierzymy.

Wokół Abernathy’ego zgromadzili się wszyscy członkowie wewnętrznego kręgu – poza Jessem Jacksonem, który wyjechał do Chicago, wynajął tam menedżera od spraw wizerunku i teraz występował na żywo w programie *Today*⁴⁸⁷. Powtórzył swoją apokryficzną wersję z poprzedniego wieczoru, a mianowicie poinformował telewidzów, że był ostatnią osobą, która rozmawiała z Kingiem, i podtrzymywał jego krwawiącą głowę w ostatnich chwilach jego życia.

– Umarł w moich ramionach – powiedział. Żeby uwiarygodnić swoje słowa, przyszedł do studia w zakrwawionej bluzie z golfem. Nie wspomniał o tym, w jaki sposób krew znalazła się na ubraniu.

Potem dalej realizował wypełniony po brzegi grafik wywiadów i wystąpień publicznych, przez cały dzień mając na sobie zakrwawioną bluzę. Kreując się na człowieka, który trzymał w ramionach konającego Kinga, Jackson chciał pokazać, że to on, a nie Abernathy, jest prawowitym następcą pastora.

Program *Today* oglądano w wielu pokojach Lorraine. Osoby z otoczenia Kinga, które obejrzały wywiad z Jacksonem, były oburzone.

– Takie prostytuowanie się i łganie – powiedział James Bevel – na temat ukrzyżowania proroka naszej rasy, aby nobilitować samego siebie, to najbardziej obrzydliwa zbrodnia, jaką człowiek może popełnić⁴⁸⁸.

Abernathy podszedł do sprawy znacznie miłosierniej, mimo że miał największe powody do gniewu. Jedyne możliwe wyjaśnienie, powiedział, jest takie, że Jackson „był w szoku, ponownie przeżywał wszystko w głowie i odgrywał to, co *chciałby*, żeby się stało podczas tych ostatnich chwil”⁴⁸⁹.

Niedługo po zakończeniu programu *Today* agent specjalny FBI Neil Shanahan wszedł do sklepu Aeromarine Supply Company przy Airport Highway 5701 w Birmingham⁴⁹⁰. Porozmawiał tam z Donaldem Woodem, synem właściciela i doświadczonym sprzedawcą broni. Zaczął wypytywać Wooda o karabin Remington .30-06, który poprzedniego wieczoru znalazł się w rękach FBI w związku z zamachem na Martina Luthera Kinga.

– Mniej więcej tydzień temu sprzedałem jednemu człowiekowi gamemastera – przypomniał sobie Wood, jak napisał Shanahan w swoim raporcie. Dobrze zapamiętał owego klienta. Kiedy tego dnia rano przeczytał w gazecie, że na miejscu zbrodni pozostawiono remingtona o tym kalibrze, natychmiast skojarzyło mu się to z tą transakcją.

– Ma pan może fakturę? – zapytał Shanahan.

Wood odparł, że tak, i po chwili przyniósł z biura fakturę datowaną na sobotę 30 marca. Shanahana przeszły ciarki, kiedy zobaczył wypisane wyraźnym, czytelnym pismem słowa: „Remington model 760 Gamemaster .30-06, numer seryjny 461476, z regulowanym celownikiem Redfielda” – dokładnie ten sam karabin, który poprzedniego wieczoru znaleziono w drzwiach Canipe’s Amusement Company.

Nabywca karabinu podał się za zamieszkałego na South Eleventh Street 1907 w Birmingham Harveya Lowmeyera. U dołu faktury widniał jego nabazgrany podpis – Shanahan nie potrafił stwierdzić, czy jest tam napisane „Lowmeyer”, czy „Lowmyer”.

Telefonicznie przekazał tę informację swoim zwierzchnikom. Pod adres przy South Eleventh Street natychmiast wysłano agentów, ale szybko się okazało, że nigdy nie mieszkał tam nikt o nazwisku „Harvey Lowmeyer”. Shanahan zapytał Wooda, czy złożąby oficjalne zeznania. Wood od razu się zgodził, więc Shanahan zabrał go do biura terenowego FBI, gdzie odbyło się wielogodzinne przesłuchanie.

Wood powiedział, że Harvey Lowmeyer po raz pierwszy przyszedł do Aeromarine dzień przed datą podaną na fakturze, czyli w piątek 29 marca. Kupił wtedy remingtona model 700 .243, ale później go zwrócił, bo chciał go wymienić na mocniejszą broń. „Mój brat mówi, że kupiłem nie taki [karabin] jak trzeba”, powiedział Lowmeyer. Wood kazał mu przyjść następnego dnia.

Zgodnie z tymi ustaleniami w sobotę rano Lowmeyer wszedł do Aeromarine. Wood powiedział mu, że zamontowanie celownika z .243 w .30-06 potrwa dłuższą chwilę. Lowmeyer

przyszedł ponownie około trzeciej po południu. Wood włożył gamemastera do starego pudełka po browningu. Lowmeyer kupił trochę amunicji Remington-Peters i zapłacił za wszystko gotówką.

Agent Shanahan zapytał, jak wyglądał Lowmeyer.

Klient zrobił na Woodzie wrażenie człowieka „płochliwego”, nerwowego; mówił cicho i niewyraźnie. Syn właściciela sklepu zapamiętał, że Lowmeyer miał na sobie trochę pomięty brązowy garnitur, białą koszulę i krawat. Ocenił go na sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu, siedemdziesiąt kilogramów wagi i trzydzieści kilka lat. Lowmeyer miał przeciętną karnację, a ciemnobrązowe włosy zaczesał do tyłu.

Dzięki Woodowi Shanahan zlokalizował stałego klienta Aeromarine Johna DeShazo, który rozmawiał z Harveyem Lowmeyerem w sklepie tego dnia, kiedy kupił pierwszą broń, karabin kalibru .243. DeShazo, członek NRA, który spędzał w Aeromarine nawet kilka godzin dziennie, potwierdził podaną przez Wooda wersję wydarzeń, a także rysopis Lowmeyera, nie dodał jednak zbyt wielu szczegółów. W oddechu Lowmeyera wyczuł alkohol.

– Nie był pijany, nie miał mętnych oczu ani nie bełkotał – doprecyzował DeShazo – ale na pewno pił wcześniej alkohol⁴⁹¹. Nie wyglądał na człowieka z Alabamy, nie wyglądał na myśliwego ani miłośnika natury. Nie pasował do tego sklepu, nie znał się na broni i na moje oko nie miał powodu, żeby ją kupować. Pomyślałem wtedy, że to typ faceta, który kupuje karabin, by zastrzelić swoją żonę, czyli typ faceta, przez którego broń palna ma złą reputację.

Pętlice i wiry, pola i bruzdy

W Laboratorium Kryminalistycznym FBI w Waszyngtonie ekspert od odcisków palców George Bonebrake 5 kwietnia we wczesnych godzinach rannych oglądał zawartość paczki przysłanej kurierem z Memphis⁴⁹². Ten niewysoki, pedantyczny człowiek należał do najwybitniejszych na świecie autorytetów w dziedzinie daktyloskopii, badania i klasyfikacji odcisków palców i dłoni. Dla FBI pracował od 1941 roku. Daktyloskopia to ezoteryczny fach w świecie kryminalistyki – bardziej sztuka niż nauka, absolutnie niesamowita analiza kryminalistyczna, której tajemniczości nie rozwiewa tysiąc kiepskich seriali kryminalnych: układ rowków na palcach i dłoniach człowieka, unikatowy dla każdej osoby, ze śladowymi ilościami wydzielanej przez pory skórne oleistej substancji, która przykleja się do pewnych rodzajów powierzchni i którą można „zdjąć” za pomocą specjalnych proszków albo związków chemicznych, a następnie sfotografować i oglądać na kartkach⁴⁹³.

Chociaż większości laików wiarygodność tej metody wydawała się naciągana, w 1968 roku analiza odcisków palców od ponad połowy stulecia należała do standardowych technik identyfikacji przestępców. Zastąpiła dziwną i niezbyt miarodajną francuską metodę nazywaną systemem Bertillona, która polegała na dokładnym mierzeniu małżowin usznych i innych elementów anatomii przestępcy. Daktyloskopia nie była niezawodna, ale w tamtych czasach stanowiła najlepszą metodę zawężania grupy potencjalnych sprawców. W wielu przypadkach była darem nieba, pozwalającym rozwiązać zagadkę danego przestępstwa.

W 1968 roku FBI klasyfikowało odciski palców zgodnie z systemem Henry’ego opracowanym pod koniec XIX wieku w Wielkiej Brytanii. System ten definiował trzy podstawowe wzory papilarne: łuki, pętlice i wiry. Łukom, które stanowią najczęstszy wzór, przypisuje się wartość liczbową zależną od liczby listewek w każdym wzorze. Pętlice można dodatkowo podzielić na promieniowe i łokciowe w zależności od kierunku wskazywanego przez jeden z ich końców.

Bonebrake przystąpił do pracy krótko po świecie. Większość znalezionych przez niego odcisków była fragmentaryczna albo rozmazana i nie zawierała prawie żadnych lub żadnych wartościowych informacji. Tak było na przykład z otrzymanymi od pani Bessie Brewer banknotami dwudziestodolarowymi. Ostatecznie jednak Bonebrake’owi udało się pobrać sześć wyraźnych odcisków z karabinu Remington, celownika Redfield, lornetki Bushnell, egzemplarza gazety „Commercial Appeal”, butelki płynu po goleniu Mennen Afta i jednej z puszek piwa Schlitz.

Większość odcisków najwyraźniej pochodziła z różnych palców, ale Bonebrake uznał, że dwa odciski, z karabinu i lornetki, pozostawił ten sam palec, a konkretnie lewy kciuk, tego samego człowieka. Udało mu się znaleźć wzór, który ponad wszelką wątpliwość potwierdzał identyczność tych dwóch odcisków: pętlicę łokciową z dwunastoma listewkami.

Było to ważne odkrycie. FBI miało w swoich zasobach odciski palców ponad osiemdziesięciu dwóch milionów osób – oczywiście o wiele za dużo, żeby sprawdzić wszystkie po kolei, ponieważ w tamtych czasach porównywanie odcisków odbywało się staroświecką metodą, za pomocą oka i szkła powiększającego. Pętlica łokciowa z dwunastoma listewkami na lewym kciuku zasadniczo zawężyła jednak pole poszukiwań. Zadanie Bonebrake'a nadal było niezwykle trudne, ale przynajmniej miał jakiś określony punkt odniesienia. Wykonał duże czarno-białe powiększenia wszystkich sześciu wyraźnych odcisków, a następnie cały jego zespół przystąpił do pracy.

Na innym piętrze Laboratorium Kryminalistycznego FBI Robert A. Frazier przez całe przedpołudnie badał i przestrzeliwał remingtona gamemastera, z którego wcześniej zdjęto odciski palców⁴⁹⁴. Ten zaciekle metodyczny człowiek z prawie trzema dekadami doświadczenia był szefem Działu Identyfikacji Broni Palnej FBI. Tamtejszy zespół ekspertów od balistyki pracował przez całą dobę i powszechnie uchodził za najlepszą tego typu ekipę na świecie. Technicy wystrzelili pociski do zbiorników z wodą, badali fragmenty kul i części broni pod silnym mikroskopem i przeprowadzali różne skomplikowane analizy pozwalające stwierdzić takie rzeczy, jak obecność prochu strzelniczego i ołowiu.

W ciągu kilku godzin Frazier i jego zespół stworzyli długą listę ważnych wstępnych ustaleń.

Po pierwsze pocisk, który doktor Francisco wyjął kilka godzin wcześniej z ciała Martina Luthera Kinga, kalibru .30 z metalową łuską i miękkim czubkiem, wyprodukowany przez firmę Remington-Peters, był identyczny z niewykorzystaną amunicją znalezioną w wejściu do sklepu Canipe's Amusement Company.

Po drugie Frazier ustalił typ lufy, z której wystrzelono pocisk. Lufy karabinów są gwintowane, aby wprawić kulę w szybki ruch obrotowy, który stabilizuje lot. „Wały” między bruzdami fachowo nazywają się „pola”. Liczba, szerokość oraz lewo- lub prawoskrętność pól i bruzd składają się na charakterystykę przewodu lufy wspólną dla danego modelu. Frazier ustalił, że pocisk, który zabił Kinga, został wystrzelony z lufy „gwintowanej prawoskrętnie z sześcioma polami i bruzdami” oraz że taki sam układ pól i bruzd stwierdzono w gamemasterze przebadanym pod mikroskopem w jego laboratorium.

Po trzecie zużyta łuska wyjęta przez agenta specjalnego Jensena z komory została wystrzelona z tego samego karabinu Gamemaster, czego dowodziły mikroskopijne „ślady wyrzutowe” odcisnięte na metalowym płaszczu. U podstawy zużytej łuski Frazier zauważył numer znamionowy „R-P .30-06 SPRG”, co wskazywało, że był to nabój Remington-Peters tego samego kalibru co amunicja znaleziona w pudełku.

W podsumowaniu Frazier napisał, że na podstawie „charakterystyki fizycznej odcisków gwintowania”, jak również innych czynników można stwierdzić, że pocisk usunięty z ciała - Kinga *mógł* zostać wystrzelony z remingtona gamemastera, ale nie można tego ustalić ponad wszelką wątpliwość, ponieważ pocisk „został silnie odkształcony” na skutek zderzenia z kośćmi w ciele Kinga.

Frazier wiedział, że mechaniczne części poszczególnych egzemplarzy broni palnej (takich jak iglica i zamek) mają specyficzne cechy mikroskopowe, które pozostawiają na pociskach umożliwiające identyfikację ślady. Małe prążki często znajdowane na wystrzelonych pociskach stanowią balistyczny ekwiwalent odcisku palca. Przystępując do analizy, Frazier liczył na to, że na naboju, który zabił Kinga, znajdzie unikatowe ślady, ale się rozczarował: na

odłupanym, powgniatanym, odkształconym i rozpadniętym na wiele części pocisku brakowało ważnych informacji.

Takie przykre odkrycia nie należą do rzadkości; naboje często docierały do laboratorium Fraziera w godnym pożałowania stanie. Przemoc broni palnej odciska się przemocą ze strony trafionego celu: dokonując zniszczeń, pociski same ulegają zniszczeniu.

Frazier zbadał również parapet zdemontowany ze wspólnej łazienki w kamienicy czynszowej Bessie Brewer. Porównując pod mikroskopem wgniecenie w kształcie półksiężyca na parapecie z różnymi śladami na lufie karabinu, z zadowoleniem stwierdził, że wgniecenie mogło pochodzić od odrzutu gamemastera – było „zgodne” z kształtem lufy i wyglądało na świeże, ale tutaj pracownik FBI również powstrzymał się od jednoznacznej oceny.

Na koniec sprawdził zakrwawione ubrania Kinga, poddając je analizie chemicznej. Nie znalazł „nadpalonego lub niespalonego prochu strzelniczego” na koszuli, marynarce ani krawacie Kinga, więc oficjalnie potwierdził to, co wszyscy goście motelu Lorraine od początku wiedzieli – że do Kinga nie strzelano z bliska. Ale kiedy Frazier zbadał ubranie za pomocą rodizonianu sodu, na prawym wyłogu marynarki, z prawej strony kołnierzyka koszuli i na przeciętym krawacie Kinga znalazł cząstki ołowiu. Pod względem chemicznym osad ten był zgodny z ołowiem z pocisku wyjętego z ciała Kinga, a jego ilość odpowiadała temu, co Frazier spodziewałby się zastać wokół rany spowodowanej przez nabój kalibru .30-06.

Kiedy FBI drobiazgowo badało poszarpane ubranie Kinga, Galt był w Atlancie, zaledwie kilka kilometrów od kościoła i miejsca urodzenia pastora; jego również zaprzętała kwestia ubrań. Koło 9.30 czasu wschodniego zaszedł do pralni Piedmont przy Peachtree Street po rzeczy, które zostawił tam przed wyjazdem do Memphis. Pracownica pralni panna Annie Estelle Peters obsługiwała Galtę, kiedy przyszedł z ubraniami 1 kwietnia, i natychmiast rozpoznała powracającego klienta, gdy wszedł do środka⁴⁹⁵. Tak jak poprzednim razem był schludnie ubrany i gładko ogolony, ale teraz wyraźnie się spieszył. Mówił szybko i niecierpliwie się, kiedy poszła po jego odzież.

Przyniosła trzy rzeczy wyprane chemicznie i zwykłe pranie, Galt zapłacił za wszystko dwa dolary i siedemdziesiąt jeden centów gotówką. Były tam czarny płaszcz w kratę, szare spodnie, brązowy krawat w prążki, cztery podkoszulki, trzy pary majtek, para skarpetek i ścierka kuchenna. Do każdej sztuki przyczepiono metki identyfikacyjne z napisem „EGC-83” – był to stały „identyfikator pralniczy” Galtę we wszelkich jego kontaktach z Piedmont. Galt pospiesznie zabrał owinięte w papier poskładane ubrania, a wyprane chemicznie rzeczy na wieszakach przerzucił sobie przez ramię. Wyszedł na ulicę i ruszył w stronę kamienicy czynszowej przy Czternastej Ulicy.

Nie wszedł od razu do budynku – zaczekał i patrzył z daleka, dopóki nie doszedł do wniosku, że „nie dzieje się tam nic nietypowego”⁴⁹⁶. Potem zaczął działać szybko. Ani lokatorzy, ani właściciel Jimmie Garner go nie zauważyli. Trochę posprzątał swój pokój, pozbiierał jakieś śmieci do plastikowej torby i wyrzucił ją do kubła za budynkiem. Pozbył się również maszyny do pisania, którą miał od wyjazdu do Puerto Vallarta – zdał sobie sprawę, że z tym niezbyt poręcznym przedmiotem ciężko by się uciekało do Kanady. Zapakował do walizki wyprane rzeczy, poradniki i polaroid. Zszedł do piwnicy po schowany tam rewolwer .38 Liberty Chief i wsunął go za pasek. Zabrał też zwitek banknotów na sumę, jak później oszacował, trochę ponad tysiąc dolarów – pieniądze te zostały mu z różnych przedsięwzięć przemytniczych i paserskich

z ostatniego roku⁴⁹⁷. Przykleił znaczek i napisał adres na kopercie, którą miał później wysłać do Locksmithing Institute w Little Falls – była to ostatnia lekcja jego korespondencyjnego kursu ślusarskiego. Potem na kawałku kartonu napisał krótką wiadomość dla pana Garnera, by skierować władze na fałszywy trop⁴⁹⁸. Poinformował właściciela czynszówki, że musi pojechać do Birmingham, ale za kilka dni wróci po resztę rzeczy – konkretnie wymienił przenośny telewizor Zenith. Położył karton na łóżku i zostawił klucz w zamku. Chwycił za walizkę i już nigdy nie wrócił na Czternastą Ulicę 113.

Prawdopodobnie zatrzymał kolejną taksówkę i pojechał na dworzec autobusowy.

W domu pogrzebowym R. S. Lewis, kilka przecznic od Beale Street, ciało Martina Luthera Kinga leżało w tymczasowej trumnie z brązu wystawionej na widok publiczny w kiczowato urządzonej sali z fioletowymi zasłonami i witrażami. Pastor był ubrany w nowy ciemny garnitur.

Nie ogłoszono tego w mediach, ale pod domem pogrzebowym od rana i tak ustawiały się w kolejce setki ludzi. Słuchając trzaskających nagrań z przemówieniami Kinga, specjaliści od Lewisa pracowali przez całą noc – balsamowali, pielęgowali, ubierali i upiększali ciało. „Było tak wiele do zrobienia – powiedział dziennikarzowi współwłaściciel domu pogrzebowego Clarence Lewis. – Żuchwa luźno wisiała. Trzeba było ją nastawić i uzupełnić wszystkie ubytki gipsem”⁴⁹⁹. Tak bardzo się spieszyli, że Ralph Abernathy, który wieczorem poprzedniego dnia był w laboratorium lekarza medycyny sądowej doktora Francisca, miał obawy, że jego przyjaciel nie będzie się dobrze prezentował. „Nie wiedziałem, że dom pogrzebowy spróbuje naprawić spustoszenia dokonane podczas sekcji zwłok”, powiedział. Ale kiedy przyjechał z Lorraine, był zachwycony tym, co kosmetologom Lewisa udało się osiągnąć za pomocą pudrów i wosków. „Sprawił wrażenie nienaruszonego – powiedział. – Ludzie z zakładu pogrzebowego spisali się na medal”⁵⁰⁰.

Zanim wpuszczono tłumy, Abernathy i inni członkowie wewnętrznego kręgu SCLC pozostali przez kilka minut przy swoim przywódcy. „Wszyscy chcieliśmy tam być – napisał Andrew - Young. – Wszyscy wiedzieliśmy, że ludzie muszą iść dalej ze swoim życiem, z naszym ruchem, ale chcieliśmy jak najdłużej być przy Martinie”⁵⁰¹.

Potem otworzono drzwi i przez salę przeszła długa, uroczysta kolejka odwiedzających. Jej skład był dosyć eklektyczny – „od prezesów firm po parobków”, jak napisał pewien dziennikarz. Fotoreporterzy z całego świata robili zdjęcia. Kiedy jakaś kobieta pocałowała Kinga w prawy policzek, Clarence Lewis zmartwił się, że „to popsuje makijaż”⁵⁰². Wśród żałobników było wielu śmieciarzy z rodzinami. Kiedy patrzyli na nieruchomą twarz męczennika, dręczyły ich smutek i wyrzuty sumienia, mieli bowiem poczucie, że umarł za nich. Pochylali się, mówili do Kinga, dotykali jego twarzy i płakali.

– Żałuję, że to nie Henry Loeb tutaj leży – powiedziała jakaś kobieta⁵⁰³.

– Dlaczego to się przytrafiło panu, doktorze King? – powiedziała inna, pochylając się nad trumną. – Co my teraz zrobimy?⁵⁰⁴

Oglądanie zwłok trwało kilka godzin. Ludzie jęczeli, zawodzili, modlili się i śpiewali. Abernathy powiedział:

– Pan jest moją światłością i zbawieniem.

Billy Kyles powiedział:

– Ja jestem zmartwychwstaniem i życiem.

Flesze bez przerwy błyskały.

W końcu opuszczono wieko i włożono trumnę do długiej limuzyny. Kiedy Abernathy zamknął drzwi karawanu, położył dłoń na szybie i powiedział:

– Niech żyje King!

Trzykilometrowy kondukt samochodów jechał za karawanem, który powoli sunął ulicami, a następnie przedostał się na lotnisko w Memphis pod eskortą Gwardii Narodowej i policji. Konwój skręcił w stronę pasa startowego, na którym właśnie wylądował czterosilnikowy odrzutowiec Electra, udostępniony rodzinie Kinga przez senatora Roberta Kennedy’ego. Luk bagażowy samolotu był otwarty. Na krawędzi wjazdu, w czarnej sukni, czarnych rękawiczkach i z wyniosłą miną monarchini, stała Coretta Scott King.

Uciekinier

Ramsey Clark i Cartha DeLoach spędzili większość przedpołudnia na załatwianiu różnych spraw w Memphis. Zajrzeli do miejscowego biura FBI, żeby podnieść na duchu zestresowanych agentów terenowych Jensena. Złożyli wizytę w prokuraturze, aby zapewnić jej pracowników, że FBI będzie ściśle z nimi współpracowało w ściganiu, a następnie oskarżaniu zabójcy Kinga. Spotkali się z wysokimi oficerami Gwardii Narodowej. Clark powiedział dowódcom, że doskonale im idzie, ale nakłaniał ich, żeby powstrzymali się od używania nadmiernej siły. Szczególnie martwiło go wykorzystanie czołgów. „Uznałem to za prowokację – powiedział Clark – a także przykry symbol tego, jakim jesteśmy krajem. Co jest tutaj takiego, żeby trzeba było użyć czołgów?”⁵⁰⁵.

Clark udał się do ratusza na spotkanie z burmistrzem Henrym Loebem. Przed budynkiem grupa strajkujących śmieciarzy maszerowała z transparentami „JESTEM CZŁOWIEKIEM”. Zwiążłość i dobitność tego hasła wyraźnie poruszyły Clarka. „Cóż to było za przesłanie! – powiedział później. – Był to jeden z najbardziej pomysłowych przejawów i najbardziej przejmujących symboli zrodzonych przez ruch praw obywatelskich”⁵⁰⁶. Urzędnik Departamentu Sprawiedliwości Roger Wilkins był nie mniej poruszony widokiem śmieciarzy, którzy z poważnymi minami maszerowali przed ratuszem dzień po zamachu na Kinga: „Widok tych ludzi, którzy protestowali w sposób bardzo zdyscyplinowany i domagali się po prostu, żeby ich traktować jak ludzi – to nie mogło nie wzruszyć. Łzy popłynęły mi po policzkach”⁵⁰⁷.

Clark i Wilkins przeszli przez biały marmurowy hol na spotkanie z burmistrzem Loebem, które nie przyniosło żadnego rezultatu. Wilkins określił Loeba jako „pełnego wdzięku w południowym stylu, ale niewzruszonego jak mur z cegły”⁵⁰⁸. Clark próbował przekonać Loeba, żeby doprowadził do zakończenia strajku, ponieważ byłoby to w najlepszym interesie nie tylko miasta, lecz także całego kraju. Loeb przyjął przybyszów z Waszyngtonu bardzo gościnnie, ale uparcie trwał przy swoim stanowisku. „Nie cofnął się ani o centymetr – wspominał Wilkins – i nie miał ani grama współczucia dla ludzi, którzy krążyli wokół budynku”.

Na koniec Clark i DeLoach spotkali się z dyrektorem straży pożarnej i policji Frankiem Hollomanem w jego zadymionym biurze. Holloman miał dla nich złą wiadomość: obiecujący trop pod tytułem „John Willard”, którym jego podwładni od rana podążali, zdążył się już ulotnić. Jak się okazało, ten konkretny John Willard miał niezbite alibi: dalej siedział w więzieniu.

Clark i DeLoach próbowali poprawić rozmówcy nastrój, dzieląc się z nim pomyslnymi informacjami uzyskanymi tego dnia rano w kwaterze głównej FBI: ustalono, że narzędzie zbrodni zostało zakupione w Birmingham i agenci pozyskali dosyć dokładny opis nabywcy; analiza daktyloskopijna zaowocowała kilkoma wyraźnymi odciskami palców, które teraz porównywano z odciskami znanych zbiegów; tu, na miejscu, w Memphis, ludzie Jensena przesłuchiwali ekspedienta York Arms, który sprzedał lornetkę mężczyźnie z pokoju 5B; Jensen zatrudnił artystę, żeby we współpracy ze świadkami z kamienicy czynszowej i sklepu Canipe's

Amusement Company przygotować wstępny szkic „Johna Willarda”. Ogólnie rzecz biorąc, robią szybkie postępy, uznał DeLoach. To tylko kwestia czasu, zanim ujmą zabójcę.

Holloman nadal zachowywał się jednak dosyć opryskliwie. Dla jego już wcześniej przeciążonej instytucji zamach na Kinga oznaczał dodatkową presję, która uwidaczniała się na bladej i pobrużdżonej twarzy dyrektora. Nie spał przez całą noc i był tak bardzo nakręcony nikotyną i kawą, że miał kłopoty z dokończeniem myśli. Bez przerwy przeczesywał palcami rzadkie siwe włosy. „Ledwie trzymał się na nogach – powiedział jeden z jego współpracowników. – Był wykończony i odrętwiały”⁵⁰⁹.

Hollomana głęboko uraziły krążące po mieście i kraju plotki, że jego wydział w jakiś sposób uczestniczył w zamordowaniu Kinga – plotki, którym dodawało wiarygodności to, że Holloman był kiedyś bezpośrednim podwładnym Hoovera w waszyngtońskiej siedzibie FBI. Clark i DeLoach zapewnili go, że rząd federalny nie żywi takich podejrzeń, ale oskarżenie to wyraźnie go zabolowało – i miało go przesładować do końca życia. „W najmniejszym stopniu nie życzyłem sobie, żeby doktorowi Kingowi stała się jakaś krzywda – zeznał wiele lat później w Waszyngtonie. – Do największych rozczarowań mojego życia należał fakt, że doktora Kinga zamordowano i że zrobiono to w Memphis”⁵¹⁰.

Holloman poinformował Clarka i DeLoacha o sytuacji w mieście – o wprowadzeniu godziny policyjnej, o przygotowaniach Abernathy’ego do „milczącego marszu” przez Beale Street, a także o różnych tropach, którymi podążał jego wydział. Dyrektor wspomniał, że wydawane przez fundację Scripps Howard dwa lokalne dzienniki ogłosiły nagrodę w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów za informacje, które doprowadzą do aresztowania zabójcy, a rada miejska Memphis zareagowała na to wyznaczeniem nagrody identycznej wysokości. Holloman był przekonany, że zaowocuje to mnogością nowych tropów, ale wiedział z doświadczenia, że tego rodzaju nagrody wyciągają z nory różnych wariatów i pomyleńców.

Clark zakończył spotkanie z Hollomanem i zwołał konferencję prasową. Ponad stu dziennikarzy prasowych i telewizyjnych z całego świata – między innymi ze Szwecji, z Australii, Jugosławii i Japonii – zgromadziło się w bezpłatnym biurze federalnym w centrum miasta, aby wysłuchać ostrożnie formułowanych wypowiedzi prokuratora generalnego.

– Wszystkie uzyskane przez nas dotychczas dowody – powiedział Clark – wskazują na to, że tego czynu przestępczego dopuściła się jedna osoba⁵¹¹.

Wygłosił standardową formułę, że dla dobra śledztwa nie może ujawnić żadnych szczegółów. Zapewnił jednak naród, że funkcjonariusze zgromadzili już znaczną ilość poszlak oraz że podejmowane są wszelkie możliwe działania w celu złapania zabójcy. Stwierdził, że sieć rozciąga się daleko poza Memphis.

– Sięga już kilkuset kilometrów poza granice Tennessee.

Śledczy pracują nad mnóstwem nazwisk, z których część może być fałszywa, i polują na białego mustanga.

– Mamy nazwisko, nad którym pracujemy. Musimy sprawdzić, czy jest właściwe. Jesteśmy dobrej myśli. Znaleźliśmy sporo obiecujących tropów. – Clark wyraził przekonanie, że śledztwo zostanie szybko zakończone i doprowadzi do postawienia sprawcy w stan oskarżenia, a następnie do jego skazania. – Jesteśmy bardzo blisko. Mamy jednego uciekiniera – oznajmił z przekonaniem.

Szef amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości dodał jednak, że martwi go wybuchająca w całym kraju przemoc. Poprosił burmistrzów, gubernatorów i komendantów policji, aby wzięli pod uwagę, że „do zamieszek może doprowadzić nie tylko niedostateczna, lecz także nadmierna reakcja”.

– Musicie to bardzo starannie wyważyć.

Wypowiedź Clarka cały czas przerywali bojówkarze z Invaders i innych organizacji. W niektórych z nich wzbudziło podejrzliwość to, że Clark tak szybko wykluczył możliwość spisku. Jak to możliwe, że on już to wie? Krytyka natychmiast przerodziła się w krzyki i podżegające do przemocy wypowiedzi do kamer. Kiedy Clark wyszedł z pomieszczenia, był siny z wściekłości.

– Banda obłudników – wyżalił się do DeLoacha. – Tylko pogorszą sprawę.

Gdy tylko do Clarka dotarła wiadomość, że wylądował samolot z Corettą King na pokładzie, razem z DeLoachem udał się na lotnisko. Kiedy przybyli na miejsce, trumnę z brązu wkładano do samolotu Electra za pomocą taśmociągu hydraulicznego. Clark i Wilkins weszli na pokład, żeby przywitać się z panią King, A. D. Kingiem, Abernathym i innymi osobami z kręgu pastora. DeLoach pozostał na pasie startowym. „W świetle długotrwałego konfliktu pana Hoovera z jej mężem – stwierdził później – uznałem, że mój widok by jej nie ucieszył”⁵¹². Prawdopodobnie była to trafna ocena sytuacji.

Clark przekazał wdowie wyrazy najgłębszego współczucia w imieniu własnym i całego rządu. W ocenie Wilkinsa Coretta przyjęła te słowa „z odwagą, ze spokojem i z wdziękiem”⁵¹³. „Ludzie płakali – to wszystko było bardzo trudne – ale Coretta zachowywała się iście po królewsku”. Gorzej było z A. D. Kingiem – według Wilkinsa wyglądał jak „opuchnięta i sfatygowana wersja Martina; mówiło się, że A. D. za dużo pije”⁵¹⁴.

Na rozgrzonym pasie startowym DeLoach, czując się dosyć niezręcznie, podszedł do Andy’ego Younga. Przekrzykując wycie silników odrzutowca, próbował mu przekazać swoje kondolencje.

– Zrobimy wszystko, co w naszej mocy – powiedział. – Jestem pewien, że go dopadniemy⁵¹⁵.

Young skinął głową z otępiłą miną. Był wykończony i zdruzgotany, w najmniejszym stopniu niezainteresowany wymianą uprzejmości z jakimkolwiek pracownikiem FBI, zwłaszcza z DeLoachem, o którym wiedział, że od lat uczestniczył w wymierzonych w Kinga działaniach biura. DeLoach trafnie ocenił, że Young „przebywał myślami gdzie indziej”. Znalezienie i ukaranie zamachowca lokowało się zaskakująco nisko na liście priorytetów SCLC. Young uważał, że kontynuacja dzieła Kinga jest znacznie ważniejszym zadaniem niż skupienie się na samej zbrodni czy na prawnym odwecie. Od początku istnienia ruchu King rzadko piętnował konkretnych ludzi, nawet takich jak Bull Connor czy George Wallace, wolał bowiem skoncentrować się na ogólniejszych siłach społecznych, które wywołały dany problem. Tą samą filozofią spod znaku „kochaj bliźniego swego” kierowali się Young, Abernathy i inni, rozmyślając o śmierci swojego przywódcy. Jak to ujął Young: „Ważniejsze jest dla nas, co zabiło Martina, niż kto go zabił”⁵¹⁶.

Tego rodzaju myślenie nie mieściło się w kategoriach zwierzęcia politycznego, jakim był DeLoach. Po kilku minutach Ramsey Clark wysiadł z samolotu i dołączył do DeLoacha na płycie lotniska. Coretta pozostała na pokładzie; nie miała ochoty stawiać stopy na ziemi Memphis. Trudno w to uwierzyć, ale żaden miejski urzędnik – ani burmistrz Loeb, ani dyrektor Holloman, ani żaden z radnych miejskich, czarny czy biały – nie przyjechał na lotnisko, żeby ją

powitać. Przyleciała tutaj tylko po to, by załatwić jedną sprawę: odebrać ciało męża i wrócić do domu.

Włazy się zamknęły, samolot ruszył, poderwał się do góry i wykręcił na południowy wschód w stronę Atlanty. Wzdłuż pasa startowego stało kilkuset żałobników (część z uniesionymi do góry pięściami), którzy pożegnali Martina Luthera Kinga. Niektórzy zaintonowali *We Shall Overcome*, ale nie było odpowiedniego nastroju, więc szybko urwali.

Na osiedlu Capitol Homes w Atlancie biały mustang stał zaparkowany przez cały dzień, z kroplami deszczu na przedniej szybie. Zawierał twarde poszlaki i ukryte wskazówki, które mogły dopomóc w ustaleniu tożsamości, a może nawet miejsca pobytu zabójcy Martina Luthera Kinga. Nie tylko Mary Bridges i jej córka Wanda widziały tajemniczy samochód wjeżdżający tego ranka na parking. Kilka domów dalej pani Lucy Cayton stała przed swoimi drzwiami frontowymi z miotłą w rękach i zobaczyła wysiadającego z mustanga kierowcę. „Był ładnie ubrany, dlatego stałam z miotłą i patrzyłam”, wspominała później.

Mężczyznę, który zaparkował mustanga, widziała również żona Ernesta Payne’a. Obserwowała, jak „majstruje przy drzwiach samochodu”, a potem zmierza w stronę Memorial Drive. Miał na sobie ciemny garnitur, a pod pachą niósł coś, co wyglądało na „małą czarną książkę”.

Pani Riley mieszkała po drugiej stronie parkingu w stosunku do mustanga. Ona również zauważyła ten samochód, ale nie zwróciła na niego większej uwagi. Jednak jej trzynastoletni syn Johnny, zapalony miłośnik motoryzacji, pożerał go oczami od powrotu ze szkoły. Zauważył tablice rejestracyjne z Alabamy, rdzawoczerwone błoto w środku i dwie nalepki z napisem „*Turista*” na szybie. Zwrócił uwagę, że w odróżnieniu od wszystkich innych samochodów na parkingu Capitol Homes mustang był zaparkowany tyłem; chłopiec wywnioskował, że facet, który go zostawił, nie chciał, żeby jakiś przypadkowy przechodzień mógł łatwo zauważyć znaczek innego stanu na tablicy rejestracyjnej.

Pani Riley siedziała w kuchni i piła kawę z kilkoma sąsiadkami, które ją odwiedziły. Zaczęły rozmawiać o zamachu i zamieszkach. Jedna z sąsiadek słyszała, że władze szukają białego mustanga.

Gospodyni zachichotała i pokazała za okno.

– Przecież stoi tuż pod naszym nosem!⁵¹⁷

Wszystkie zaśmiały się nerwowo – „To dopiero by było”, mówił ten śmiech – po czym podjęły przerwana rozmowę.

Rok 1812 *Redivivus*

Tego samego dnia w Waszyngtonie prezydent Johnson jadł późny obiad w Białym Domu z sędzią Sądu Najwyższego Abe Fortasem i kilkoma doradcami. Zamach na Kinga odbił się na wszystkich, prezydent wyglądał na wymizerowanego. Już teraz miał za sobą długi i wyczerpujący piątek. Po nabożeństwie żałobnym w Katedrze Narodowej większość dnia spędził w Sali Gabinetowej na spotkaniu z najwybitniejszymi przywódcami społeczności murzyńskiej w kraju, takimi jak sędzia Sądu Najwyższego Thurgood Marshall, weteran walki o prawa człowieka Bayard Rustin, pastor z Waszyngtonu Walter Fauntroy i szefowie największych organizacji obrony praw człowieka. Johnson zaprosił na spotkanie również Martina Luthera Kinga seniora, ale pastor był zbyt przygnębiony i zdruzgotany, żeby wybrać się w tak daleką podróż. Wysłał telegram, który Johnson odczytał na głos zgromadzonym. „Pragnę was zawiadomić – napisał King – że przyłączam się do waszego apelu do obywateli amerykańskich o powstrzymanie się od przemocy, aby śmierć mojego syna nie poszła na marne”⁵¹⁸.

Poruszony niemal do łez Johnson podniósł wzrok znad telegramu i powiedział coś, co na gorąco przyszło mu do głowy:

– Wiem, co bym teraz myślał, gdybym był chłopakiem z Harlemu. Myślałbym, że biali ogłosili sezon polowań na moich ludzi, że wystrzelają nas jednego po drugim, chyba że załatwię sobie pistolet i pierwszy ich powystrzelam⁵¹⁹.

Po kilku godzinach przebiegające w uroczystej i trochę niezręcznej atmosferze spotkanie zakończyło się deklaracjami dobrej woli, ale bez żadnych konkretnych postanowień. Otoczony częścią czarnych przywódców Johnson miał krótkie wystąpienie w telewizji ogólnokrajowej.

– Przemoc nie może zwyciężyć – powiedział.

Głodny jak wilk, wygospodarował kilka minut, żeby coś przekąsić. Wraz ze wszystkimi innymi stołownikami pochylił głowę i zmówił płynącą z głębi serca modlitwę: „Doradź nam, Panie, co mamy robić”⁵²⁰.

Sędzia Sądu Najwyższego Abe Fortas – tak się dziwnie złożyło, że urodzony i wychowany w Memphis – przez chwilę rozmawiał z prezydentem o poszukiwaniach zabójcy Kinga, ale głównym tematem dyskusji był kruchy stan bezpieczeństwa w stolicy kraju. Przez większość dnia w centrum komunikacyjnym Białego Domu gromadziły się sterty niepokojących raportów, pogłoski, że planowane są wielkie zamieszki w centrum Waszyngtonu. Do Białego Domu dotarła informacja, że niepokoje z poprzedniej nocy były tylko przygrywką, a teraz miasto wybuchnie.

Poranek zaczął się względnie spokojnie, ale koło południa atmosfera na ulicach zaczęła się zmieniać. Strach, a potem histeria szerzyły się jak wirus. Retoryka była coraz bardziej agresywna. Stokely Carmichael przechodził samego siebie, karmiąc prasę skandalicznymi apelami o przemoc – w pewnym momencie zachęcał waszyngtońskich Murzynów, żeby „zabrali

ze sobą na drugą stronę jak najwięcej białych”⁵²¹. Przekonywał, że wszyscy biali są współnikami zabójcy Kinga:

– Białas, od białasa Lyndona Johnsona po białasa Bobby’ego Kennedy’ego, nie zaakceptuje Kinga. Bobby Kennedy pociągnął za spust tak samo jak wszyscy inni.

We wczesnych godzinach popołudniowych gorączkowe pogłoski zaczęły narastać. Murzyńscy właściciele sklepów zaczęli zabijać witryny sklejką i wypisywali na drzwiach słowa: „SOUL BROTHER”, żeby zadymiarze nie pomylili ich sklepów z należącymi do białych – kupiecki odpowiednik smarowania framug drzwi krwią jagnięcia przez Izraelitów.

W końcu, jakby z opóźnieniem odczytując drogę przemieszczania się burzy z piorunami, ludzie wpadli w panikę. Zaczęto dyskretnie zamykać duże domy handlowe w centrum i zdejmować towary z witryn. Potem tysiące ludzi po prostu wstały i wyszły z pracy, odebrały dzieci ze szkoły i szły, a potem biegły na przystanki autobusowe, dworce kolejowe i w stronę mostów na rzece Potomac. Utknąwszy w korkach, przerażeni kierowcy zostawiali samochody na ulicach i wracali do domów na piechotę. Wyglądało to jak w hollywoodzkim filmie katastroficznym – mieszkańcy Waszyngtonu, czarni i biali, masowo ewakuowali się z miasta.

Kiedy Johnson próbował zjeść obiad, jeden z jego doradców, który patrzył przez okno w stronę Pennsylvania Avenue, przerwał prezydentowi i jego gościom.

– Panowie, chyba powinniście to zobaczyć – powiedział⁵²².

Johnson wstał i trwożnie podszedł do okna. Nie odezwał się ani słowem, tylko pokazał w kierunku wschodnim na potężny słup ognia, który unosił się ku niebu nad centrum Waszyngtonu. Po chwili zapach dymu wypełnił korytarze Białego Domu.

Prezydent podszedł do tego dosyć filozoficznie.

– Czego się spodziewałeś? – powiedział później jednemu z doradców. – Nie wiem, dlaczego jesteśmy tacy zaskoczeni. Kiedy postawisz człowiekowi nogę na karku i trzymasz go w tej pozycji przez trzysta lat, a potem pozwolisz mu wstać, to co on zrobi? Wysadzi w powietrze twój kwartał.

Kilkaset metrów dalej, w siedzibie FBI w budynku Departamentu Sprawiedliwości, technicy z laboratorium kryminalistycznego siedzieli pogrążeni w pracy. Specjaliści od daktyloskopii przeszukiwali setki tysięcy kart z odciskami palców, a inni analitycy szperali w dowodach przywiezionych samolotem z Memphis. Te kilkadziesiąt przedmiotów składało się na jedną wielką zagadkę. Ważne i przypadkowe, potencjalnie kluczowe i prawdopodobnie bez znaczenia, wszystkie tworzyły kryminalistyczny rebus rozłożony na dobrze oświetlonym stole w laboratorium. Poszukiwania człowieka z pokoju 5B nie tylko rozprzestrzeniały się na zewnątrz, lecz także zawężyły do małych okruchów wydobytych z materiału dowodowego i przybliżyły do obrazów mikroskopowych. Nie licząc odcisków palców, zamachowiec pozostawił nieznaczące tropy, z których nie zdawał sobie sprawy: ślady swojej fizjologii, wskazówki dotyczące swoich ruchów, okienka w swoich nawykach.

Tego popołudnia specjalista od włókien Morris S. Clark zaczął badać pod mikroskopem zieloną narzutę w jodełkę, w którą zawinięty był karabin porzucony w wejściu do sklepu Canipe’s⁵²³. Clark znalazł ludzkie włosy – ciemnobrązowe człowieka rasy białej – wplecione w wytarty i wypłowiały materiał, a także w szczoteczkę do zębów „Willarda”, ubrania i niektóre inne rzeczy z zawiniątka. Wyglądało na to, że cienkie, tłuste włosy pochodzą od tego samego człowieka.

Tymczasem w głębi korytarza toczyły się inne poszukiwania. Na uchwycie obciążników znalezionych w niebieskiej torbie na zamek pracownicy FBI zauważyli metkę z ceną, na której widniało słowo „Rompage”. Szybki telefon do Krajowego Stowarzyszenia Handlu Przemysłowego w Indianapolis pozwolił ustalić, że Rompage to duży sklep przemysłowy w Los Angeles przy Hollywood Boulevard 5542. Śledczych zbiło to trochę z tropu: na skutek jednego telefonu obszar poszukiwań powiększył się o trzy tysiące kilometrów na zachód.

Agentów z biura terenowego w Los Angeles natychmiast wysłano do Rompage, uzbrojonych w szkic „Johna Willarda” wykonany przez artystę z Memphis, którego zatrudnił Jensen⁵²⁴. Kierownik Rompage Tom Ware nie rozpoznał niepozornego mężczyzny ze szkicu, co raczej nie dziwiło, ale dobrze znał pokazane mu obciążniki. W październiku 1966 roku, jak wynikało z jego ksiąg rachunkowych, zakupił dużą partię takich obciążników po wyprzedażowej cenie, nalepił na nie metki „Rompage” i wystawił w dużej beczce z przecenionymi artykułami koło wejścia. Schodziły jak świeże bułeczki.

Nasuwało się zatem z pozoru zbyt drobiazgowo, ale być może istotne pytanie: czy zabójca Martina Luthera Kinga w ciągu minionych siedemnastu miesięcy kupił w Los Angeles obciążniki? Czy mieszkał kiedyś w Los Angeles, być może w pobliżu sklepu? Agenci FBI zaczęli odpytywać wszystkich regularnych klientów Rompage: budowlanców, hydraulików, stolarzy, elektryków. Było to jednak szukanie wiatru w polu.

W siedzibie FBI toczyły się też inne poszukiwania, które w odróżnieniu od tamtych dokądś prowadziły. Znaleziono mianowicie metki z pralni przyklepione do podkoszulka i bokserok pozostawionych w torbie Willarda. Na metkach z białej taśmy klejącej widniał numer 02B-6⁵²⁵. Śledczy skontaktowali się z przedstawicielami branży pralniczej i w końcu dotarli do Marking Machine Company w Syracuse w stanie Nowy Jork, która potwierdziła, że metka pochodzi z produkowanej przez nich metkownicy. Stosowany w tych urządzeniach materiał został niedawno opatentowany pod nazwą Thermo-Seal Tape, a spółka z Syracuse prowadziła rejestr wszystkich pralni w kraju, które zakupiły tę metkownicę. Okazało się jednak, że takiej maszyny nie kupiła żadna pralnia w Memphis ani Birmingham, czyli w dwóch miastach, na których przede wszystkim skupiało uwagę FBI. Większość urządzeń Thermo-Seal Tape używano na Zachodnim Wybrzeżu.

Ale gdzie konkretnie, dopytywał agent badający ten trop.

Księgowi ponownie zajrzeli do rejestru i odpowiedzieli: „W Kalifornii. Przede wszystkim w Los Angeles”. Jak się okazało, na system Thermo-Seal Tape przeszło prawie sto pralni w Mieście Aniołów. Na żądanie FBI firma szybko przygotowała pełną listę.

Odrzutowiec Electra leciał do Atlanty, zawożąc Martina Luthera Kinga do miasta jego urodzenia, miasta jego uczelni, kościoła i rodziny. Na pokładzie samolotu siedziało około trzydziestu pięciu osób, a trumna była umieszczona z tyłu, gdzie zdemontowano kilka foteli. Podróż na odległość sześciuset czterdziestu kilometrów wydawała się długa i nużąca, większość ludzi po prostu patrzyła tępym wzrokiem przez okno do wtóru buczenia silników. Po godzinie samolot zaczął schodzić do lądowania nad tym samym wiejskim krajobrazem, przez który Eric Galt przeprawiał się ubiegłej nocy dwanaście godzin krętymi bocznymi drogami.

Ralph Abernathy siedział w milczeniu, myśląc o dziwnych i strasznych zrzędzeniach losu z ostatnich trzech dni. Przypomniawszy sobie, jak King zareagował na informację o bombie w samolocie z Atlanty do Memphis w środę rano. „Pomyślałem o kruchym uśmiechu na jego twarzy, kiedy kapitan poinformował o zagrożeniu i zapewnił nas, że jesteśmy bezpieczni –

napisał Abernathy w swoich wspomnieniach. – Za tym uśmiechem krył się zwyczajny, bardzo ludzki strach⁵²⁶. Teraz, trzy dni później, King leżał w trumnie z tyłu samolotu zmierzającego w przeciwnym kierunku. Abernathy spojrział przez okno na południową krainę kipiącą wiosną. „Martin o nic się nie martwił, był spokojny – napisał. – Przez moment, kiedy patrzyłem na zieleniejące się lasy w dole i myślałem o tym, co będzie, prawie mu zazdrościłem⁵²⁷. Abernathy zamierzał wrócić za trzy dni do Memphis i poprowadzić marsz pamięci przez Beale Street – przyszło mu do głowy, że może również polecą do swojego rodzinnego miasta w trumnie z brązu.

Samolot wylądował w Atlancie, gdzie deszcz przerodził się wcześniej w delikatną mżawkę. Czworo elegancko ubranych dzieci Coretty przywieziono na lotnisko i teraz weszły po przenośnych schodach na pokład samolotu. Bernice, która miała pięć lat, podskakiwała między rzędami foteli, sprawiając wrażenie całkowicie beztroskiej. Andy Young wziął ją w ramiona. Bunny – jak wszyscy ją nazywali – rozejrzała się po kabinie, a potem zrobiła zaskoczoną minę.

– Gdzie jest tatuś? – zapytała. – Mamusiu, gdzie jest tatuś?

Coretce pękało serce.

– Bunny – powiedziała, biorąc córkę w ramiona – tatuś leży z tyłu samolotu. Kiedy go zobaczysz, nie odezwie się do ciebie. Tatuś poszedł zamieszkać u Boga i już nie wróci⁵²⁸.

Mały Dexter, który miał siedem lat, rozumiał znaczenie wielkiego pudła z tyłu samolotu, ale bał się spojrzeć prawdzie w oczy. „Rozglądałem się po wnętrzu samolotu, patrzyłem wszędzie, byle nie na trumnę – napisał później. – Nie chciałem myśleć o swoim ojcu, który tam leżał i nie mógł się wydostać⁵²⁹. Dexter zasypywał Corettę pytaniami: „Co to jest?“, „A to?“, pokazując na różne elementy samolotu. „Mama wiedziała, że unikam tematu zwłok ojca. Ciekawiło mnie, że leży w trumnie, ale bałem się z tym zmierzyć⁵³⁰.

Trumnę przeniesiono z samolotu do karawanu. Wszyscy wysiedli i utworzył się konwój, który w ślad za rodziną Kinga pojechał do domu pogrzebowego Hanley Bell Street, gdzie gromadziły się już tłumy.

Coretta poprosiła pracownika domu pogrzebowego o otwarcie trumny, bo bała się, że fachowcy z Memphis spartaczyli robotę, że „nie naprawili mu twarzy”, jak to ujęła. Ucieszyła się jednak na widok tego, co zobaczyła po podniesieniu wieka. Oblicze Kinga „wyglądało tak młodo, gładko i beztrosko na tle wyściółki z białej satyny – napisała. – Prawie nie było widać żadnych uszkodzeń⁵³¹.

Przyprowadzono dzieci, żeby zobaczyły ojca. Patrzyły i patrzyły, z niedowierzaniem, z ciekawością, z przerażeniem. Dexter zwrócił się do Younga, który stał w pobliżu:

– Wujku Andy, ten człowiek nie znał naszego tatusia, prawda? – Miał na myśli zabójcę Kinga⁵³².

– Dlaczego tak myślisz?

– Bo gdyby go znał, toby go nie zastrzelił. Był po prostu ignorantem, który nic nie rozumiał.

Kiedy dom pogrzebowy Hanley Bell Street odbierał w Atlancie ciało Kinga, Galt był zaledwie kilka kilometrów dalej, na dworcu autobusowym Greyhounda, gdzie kupował bilet w jedną stronę na północ⁵³³. Poczekałnię wypełniała typowa przepocona ciżba: żołnierze na przepustce, pracownicy dorywcy, matki pocieszające rozkaszlane dzieci. Ludzie siedzieli na zniszczonych plastikowych ławkach i palili papierosy, jednym uchem słuchając zgrzytliwych komunikatów

o opóźnionych i odwołanych kursach, odjazdach autobusów do Charlestonu, Nowego Orleanu czy Tallahassee.

Galt miał wszystkie swoje rzeczy w jednej walizce: trochę ubrań, te kosmetyki, których nie wyrzucił w Memphis, książkę o autohipnozie i zaczytany egzemplarz *Psycho-Cybernetics* doktora Maxwella Maltza. Prawdopodobnie kupił „Atlanta Constitution” i ukrywając się za szeroką płachtą gazety, czytał o spustoszeniach, jakie poczynił od wybrzeża do wybrzeża. Przez pierwszą stronę przebiegał ogromny nagłówek: „DOKTOR KING ZASTRZELONY, UMIERA W MEMPHIS; ZNALEZIONO BRONŃ, POLOWANIE NA ZABÓJCĘ NABIERA TEMPA”⁵³⁴.

W dzienniku podano wiele szczegółów na temat człowieka podejrzewanego o zabójstwo Kinga – prawdopodobnie było ich więcej, niż życzyłby sobie Galt, ale nie zamieszczono niczego, co by nań bezpośrednio wskazywało. Rysopis był ogólnikowy, a niektóre elementy błędne. Jak napisano w „Constitution”, podejrzany to „młody, ciemnowłosy, biały mężczyzna, który wybiegł z kamienicy czynszowej naprzeciwko hotelu Kinga, rzucił karabin Browning na chodnik i uciekł samochodem”. Dziennikarze donosili również, jakby w ramach makabrycznego kontrpunktu, że grupie „twardogłowych segregacjonistów z Georgii” udało się zgromadzić znaczne fundusze na kampanię prezydencką George’a Wallace’a: „w Białym Domu zamieszka zatem człowiek, który rozumie punkt widzenia białych ludzi z Południa”.

Postępowy redaktor naczelny i wydawca „Constitution”, legendarny Ralph McGill, opublikował na pierwszej stronie wstępniak. Galt prawdopodobnie go nie przeczytał, ale artykuł był wymierzony prosto w niego: „Z chwilą, kiedy snajper pociągnął za spust, Martin Luther King był wolnym człowiekiem. Zabójca stał się niewolnikiem – niewolnikiem strachu, niewolnikiem własnego poczucia niższości, niewolnikiem nienawiści, niewolnikiem wszystkich krwawych instynktów, które wzbierają w mózgu, kiedy człowiek postanawia zostać zwierzęciem”.

Okolo pierwszej po południu Galt wszedł do autobusu do Cincinnati, ze znajomym smukłym chartem skaczącym nad bagażnikami. Galt przecisnął się przez wąskie przejście między fotelami i zajął miejsce. Jak w większości autobusów długodystansowych Greyhounda z tyłu znajdowała się mała ubikacja, bez wątpienia gęsta od zapachu chemikaliów toczących z góry przegranał walkę z cydrowym moczem.

Tego popołudnia autobus wyjechał z Georgii na północ w chmurach spalin diesla, wspinając się mozolnie między prążkowane wapienne wzgórza na granicy Tennessee. Autobus zatrzymał się w Chattanooga i Knoxville, a potem ruszył dalej w stronę Kentucky. Z każdym kolejnym kilometrem Galt musiał czuć coraz większą ulgę. Wydostał się z głębokiego Południa i zagłębiał w rejony kraju, które nie niosły żadnych skojarzeń z nim samym ani jego zbrodnią. Prawdopodobnie zaczął lżej oddychać, wiedząc, że trop prowadzący z Memphis przez Birmingham do Atlanty prawie wystygł.

Okazało się jednak, że nawet daleko na północy nie ma ani jednego miejsca, którego nie dotknęłaby śmierć Kinga, każdy z monotonnego łańcucha przystanków oznaczał niepewność, gniew i strach. Galt mógł uciec od swojego przestępstwa, ale nie od jego potężnego odrzutu.

O zmroku znajdował się pośród wzgórz Kentucky, przez krainę wiechliny i burbona sunął w stronę Lexington, a potem przez błotniste Ohio dojechał do Cincinnati, gdzie wysiadł na dworcu Greyhounda.

W swoich wspomnieniach napisał, że miał dwie godziny przerwy w podróży, więc zostawił walizkę w schowku i poszedł do pobliskiej knajpy, żeby się czegoś napić na uspokojenie

nerwów, ale również żeby uzyskać jakieś informacje⁵³⁵. Siedząc w autobusie bez swojego radia tranzystorowego, nie mógł się dowiedzieć, jak postępują poszukiwania. Z pewnością poczuł ulgę, kiedy przeczytał w wieczornych gazetach, że nie doszło do żadnego istotnego przełomu w śledztwie. Mustanga nie znaleziono i nie było wzmianki o kamienicy czynszowej w Atlancie. Po paru godzinach wsiadł do drugiego autobusu, tym razem jadącego do Detroit⁵³⁶.

Kiedy autobus Galta zmierzał na północ, prokurator generalny Ramsey Clark i jego niewielka ekipa wsiadli na pokład jetstara i odlecieli do Waszyngtonu. Clark przez cały dzień odbierał niepokojące raporty o szykujących się w stolicy zamieszkach, co skłoniło go do skrócenia pobytu w Memphis. Około piątej odrzutowiec wzniósł się nad miastem i obrał kurs na Waszyngton.

Jeden z pasażerów, Cartha DeLoach, nadal tryskał optymizmem. W jego ocenie poszukiwania mężczyzny z pokoju 5B postępowały szybko. Wydawało się, że jak na razie operacja przebiega niemal podręcznikowo. DeLoach był w stałym kontakcie z siedzibą FBI i miał informacje o wszystkich ustaleniach – metkach z pralni, balistyce, włóknach, włosach, odciskach palców, fakturze za karabin, rysopisach – sugerujących, że śledztwo toczy się niezwykle sprawnie. Musiał przyznać, że wątek Los Angeles komplikuje sprawę, ale poza tym wszystkie dowody zdawały się wskazywać na jednego podejrzanego, najwyżej dwóch, który mieszkał na Południu i tam zaplanował zamach. DeLoach nie miał oczywiście wątpliwości, że zarówno „Lowmeyer”, jak i „Willard” to fałszywe nazwiska, ale agenci FBI sprawdzali wszystkie ich permutacje na Południu.

DeLoach był tak pewny sukcesu, że zaproponował prokuratorowi generalnemu zakład: jeżeli biuro nie złapie zabójcy Kinga w ciągu doby, czyli do piątej po południu w sobotę – da Clarkowi najlepszą sherry, jaką znajdzie⁵³⁷. Clark przyjął zakład, chociaż dałby wszystko, żeby go przegrać.

Mimo to bardziej sceptyczny Clark również przyznawał, że śledztwo idzie całkiem nieźle. „Mieliśmy znacznie więcej dowodów i uzyskaliśmy je znacznie szybciej, niż oczekiwaliśmy – wspominał. – Nie zdawaliśmy sobie jednak sprawy, że podejrzany należy do tych nietypowych ludzi, którzy postępują dokładnie *odwrotnie* do tego, czego się po nich spodziewamy. Myślisz, że pójdzie w prawo, a on idzie w lewo. Umyślił sobie, że będzie nas wodził za nos, delikatnie mówiąc”⁵³⁸.

Lecąc do Waszyngtonu, Clark myślał o historycznej skłonności Ameryki do przemocy z użyciem broni palnej. Podobnie jak wielu innych liberałów w całym kraju miał nadzieję, że zamach na Kinga przyspieszy kongresową debatę o ograniczeniu dostępu do broni, i poprzysiągł sobie, że będzie forsował ustawę wymagającą uzyskania pozwolenia na broń, zwłaszcza dużego kalibru, taką jak .30-06. „Należymy do bardzo nielicznych krajów świata, które nie kontrolują dostępu do broni – napisał później. – Niszczyciele życia, sprawcy przestępstw, pistolety i karabiny ponownie naznaczyły nasz charakter narodowy, przyczyniając się do kolejnej strasznej chwili w naszej historii”⁵³⁹.

DeLoach większą część lotu do Waszyngtonu spędził w milczeniu, zaprzątnięty zupełnie innymi myślami. Dzień w Memphis był długi i stresujący, toteż pulsowało mu w głowie od braku snu i presji związanej ze śledztwem. Długotrwała „waśń” J. Edgara Hoovera z Kingiem, jak to nazywał, musiała pogłębić wątpliwości już wcześniej podejrzliwych odłamów społeczeństwa amerykańskiego, które zadawały sobie pytanie, czy FBI nie było zamieszane

w zamach – albo czy nie zlecił go Hoover. DeLoach uświadomił sobie, że nawet jeżeli wygra zakład i FBI złapie zabójcę Kinga do następnego dnia, nie wystarczy to, by „zatrzymać falę krytyki i złorzeczeń, które są kierowane w naszą stronę”⁵⁴⁰.

Minęła dziesiąta wieczór, kiedy jetstar zaczął podchodzić do lądowania w Waszyngtonie. Samolot znajdował się dwadzieścia kilometrów od stolicy, nad końską krainą Wirginii, kiedy Clark i DeLoach zauważyli dym, długi, groźny palec ciągnący się od samego centrum. Ponieważ Lotnisko Narodowe zamknięto dla komercyjnych lotów, Clark poprosił pilota, żeby zszedł na małą wysokość i leciał wzdłuż Potomacu. To, co zobaczyli, wprawiło ich w osłupienie.

„Patrzyłem w dół na miasto w płomieniach”, wspominał Clark. Dym spowijał całe centrum i Mall. Skłębiony całun przebijały tylko wielka oświetlona kopuła Kapitolu i ostry biały obelisk pomnika Waszyngtona. Clark widział pożary wokół U Street i Czternastej Ulicy, a także kilka przecznic od budynku Departamentu Sprawiedliwości, tego samego, w którym kryminolodzy z FBI pracowali do późna w nocy, analizując materiał dowodowy.

Na tle rozprzestrzeniającej się pożogi zamieszki z ubiegłej nocy sprawiały wrażenie niewinnej igraszki – pilotowi jetstara widok ten skojarzył się z Dreznem. W całym mieście wybuchło ponad pięćset pożarów. Na rozkaz prezydenta Johnsona znaczną część Waszyngtonu okupowały teraz wojska federalne, przede wszystkim 3. Pułk Piechoty, tak zwana Stara Gwardia – elitarny korpus z Fort Myer, niczym rzymscy pretorianie wyszkolony do obrony siedziby rządu w sytuacjach kryzysowych takich jak inwazja rosyjska czy lądowanie Marsjan⁵⁴¹.

Biały Dom wzmocniono workami z piaskiem i otoczono wojskiem, oślepiające światło reflektorów zalewało wielkie trawniki. Wokół Mall i budynku Kapitolu porozstawiano stanowiska karabinów maszynowych – żołnierze, niektórzy świeżo po powrocie z Wietnamu, nerwowo pełnili straż z bagnetami na broni. Pewien dziennikarz uznał, że Kapitol „przypominał parlament jakiejś nowej republiki afrykańskiej”⁵⁴².

Jetstar kilka razy przeleciał nisko nad Waszyngtonem. Clark, patrząc z góry na miasto, w którym się wychował i które kochał, przypomniał sobie relacje historyków ze splądrowania i podpalenia Waszyngtonu przez wojska brytyjskie podczas wojny w 1812 roku. „Nigdy w życiu nie sądziłem, że zobaczymy, jak Waszyngton *płonie*”⁵⁴³.

Home Sweet Home w Toronto

Wczesnie rano 6 kwietnia autobus Erica Galt'a dalej przebiegał na północ przez płaskie rolnicze tereny Ohio, przybliżając się do Detroit. Jak można przeczytać w jego wspomnieniach, dotarł do stolicy amerykańskiej motoryzacji o 8.00 rano w słoneczną i ciepłą sobotę⁵⁴⁴. Galt kupił gazetę „Detroit News”, w której królowały materiały o zamachu i wywołanych przez niego zamieszkach. Samo Detroit szczególnie ucierpiało: chociaż nie można tego porównywać z zamieszkami w Waszyngtonie ani potężnymi niepokojami w Detroit latem 1967 roku, od piątku bez przerwy odnotowywano grabieże i podpalenia. Poprzedniej nocy policja otworzyła ogień do wielu grup zadymiarzy, zabiła jednego mężczyznę. Obecnie ulice patrolowały trzy tysiące żołnierzy Gwardii Narodowej, a burmistrz Detroit Jerome Cavanaugh powtórzył dla mediów słowa, które stały się rodzajem ogólnonarodowej mantry: „Lepiej zareagować nadmiernie niż niedostatecznie”⁵⁴⁵.

Przeglądając gazetę, Galt na pewno się ucieszył, że doniesienia o poszukiwaniach zbiega są tak ogólnikowe. Wyglądało na to, że nie znaleziono nowych tropów. W artykułach nie wspomniano o Ericu Galtie ani Harveyu Lowmeyerze, a tym bardziej o znalezieniu w Atlancie mustanga. Wyglądało na to, że władze skupiły uwagę na nieistniejącym Johnie Willardzie. Znajdując się tak blisko Kanady, Galt mógł zacząć trochę lżej oddychać.

Wiedział, że przekroczenie granicy kanadyjskiej nie wymaga posiadania wizy oraz że podróżni rzadko są zatrzymywani i odpytywani. Martwił się jednak, że po zamachu na Kinga straż graniczna mogła zaostrzyć kontrole. Galt obejrzał się w łazienkowym lustrze i uznał, że wygląda za bardzo jak zbieg, żeby przejechać przez granicę do Windsoru. Przez te dwa dni urosła mu spora ciemna broda i miał obawy, że jeżeli nie doprowadzi się do porządku, może wzbudzić podejrzenia celnika. Niestety wszystkie przybory do golenia zostawił w pakunku porzuconym w Memphis.

Galt twierdził później, że włożył walizkę do schowka na dworcu autobusowym, przeszedł przez pobliski park i znalazł staroświecki zakład fryzjerski, w którym poprosił, żeby go ogolić⁵⁴⁶. Fryzjer był niezbyt chętny, ponieważ od wielu lat nie golił klientów, ale Galt zdołał go przekonać i usiadł w fotelu. Fryzjer naostrzył brzytwę na pasku i pędzlem nałożył Galtowi krem na twarz. Jeżeli pojawił się temat zamachu na Martina Luthera Kinga, to nie wiadomo, co mężczyźni o tym mówili. Przez następne kilkanaście minut, nie znając tożsamości klienta, fryzjer sprawnie przeciągał brzytwą po twarzy i szyi zabójcy Martina Luthera Kinga.

Gładko ogolony Galt wrócił na dworzec po walizkę i wziął taksówkę. Jego zmartwienia o kontrole graniczne okazały się nieuzasadnione – taksówka przejechała pod rzeką Detroit pełnym spalin tunelem Windsor, nie wzbudzając niczyjego zainteresowania. (Lokalna ciekawostka: punkt przekroczenia granicy między Detroit i Windsorem to jedyne większe przejście graniczne, na którym trzeba pojechać na południe, żeby przedostać się ze Stanów Zjednoczonych do Kanady). Taksówkarz zajeżdżał pod dworzec kolejowy w Windsorze. Za

osiem dolarów i dwadzieścia centów Galt kupił bilet w jedną stronę i wsiadł do nocnego pociągu Kanadyjskich Kolei Państwowych. Czterogodzinna podróż przebiegała przez rolnicze tereny Ontario, mniej więcej równoległe do jeziora Erie, i przez miasto London. O 4.00 pociąg dotarł do celu, czyli największego kanadyjskiego miasta – Toronto.

Galt zostawił walizkę w schowku i udał się na poszukiwanie taniego noclegu. Jego czuły radar ponownie zdał egzamin – jak napisał w swoich wspomnieniach, udał się do kamienicy czynszowej przy Ossington Avenue 102, w wielojęzycznej dzielnicy czasami nazywanej Małymi Włochami, po zachodniej stronie od centrum Toronto. Ceglany budynek bez windy, własność polskiego małżeństwa w średnim wieku, znajdował się niedaleko parku Bellwoods, kilka przecznic od szpitala psychiatrycznego. Po drugiej stronie ulicy mieściła się sala gimnastyczna, na której dwa lata wcześniej Muhammad Ali trenował przed zwycięską walką z George'em Chuvalo, legendą boksu z Toronto.

Pani Feliksa Szpakowski, piersiasta kobieta z szeroką twarzą, w okularach w rogowej oprawie i z siwymi włosami spiętymi w kok, otworzyła aluminiowe drzwi burzowe i przywitała Galtę w wejściu do budynku. Łamaną angielszczyzną powiedziała, że może mu wynająć pokój na pierwszym piętrze za osiem dolarów kanadyjskich na tydzień.

Gospodyni zaprowadziła go do pokoju, który jak na standardy Galtę był czysty i dobrze wyposażony, z nowym linoleum na podłodze, ścianami pomalowanymi na pogodny kanarkowy kolor oraz dopasowanymi do siebie kolorystycznie zasłonami i narzutą w czerwone kwiaty⁵⁴⁷. Na ścianie wisiał obrazek z Jezusem i oprawiony w ramki haft z napisem „*Home Sweet Home*”. W wykuszu stał duży telewizor z płaskim ekranem, antena pokojowa w kształcie litery V absorbowała wiadomości ze świata.

Galt, któremu pokój się spodobał, zapłacił pani Szpakowski czynsz za tydzień z góry. Gospodyni mówiąca z ciężkim słowiańskim akcentem nie spytała go o nazwisko, a on sam się nie przedstawił. Chciała jednak wiedzieć, czym się zajmuje.

– Nieruchomościami – odpowiedział jej Galt.

Podał się za pracownika miejscowej agencji Mann and Martel. Odpowiedź ta zadowoliła panią Szpakowski, jednak trochę ją zaskoczyło, że elegancko ubrany pośrednik – Galt jak zwykle miał na sobie garnitur – chce wynająć pokój w zamieszkaną przez mniejszości etniczne robotniczej dzielnicy.

Tego samego dnia w domu Kinga w Atlancie odbywało się gorączkowe planowanie. Kwestia, jak oddać hołd zamordowanemu monarsze czarnej Ameryki, budziła gorące spory. Każdy z licznych doradców Coretty chciał przeforsować swoją wizję, nabożeństwo musiało być starannie wyreżyserowane do ostatniego szczegółu. Niektórzy ze znajomych Kinga chcieli, żeby na największym stadionie futbolowym w Atlancie odbył się potężny wiec; inni woleli skromną uroczystość dla wybranych; jeszcze inni snuli wizję *ruchomego* pogrzebu – marszu na cześć człowieka, który osiągnął tak wiele, nieustrudzenie wędrując po kraju. Emocje sięgały zenitu. Podczas jednej z dyskusji Sidney Poitier i Harry Belafonte tak się pokłócili, że na kilka lat zerwali ze sobą stosunki⁵⁴⁸.

Obmyślanie strategii pogrzebowej odbywało się w domu tłoczonym od żałobników i pocieszycieli. Wśród osób, które odwiedziły tego popołudnia dom przy Sunset Boulevard 234, była senator Georgia Davis, która przyjechała do Atlanty z kochanką A. D. Kinga Lucretią Ward wspomnianym już błękitnym cadillakiem kabrioletem tej ostatniej.

„Nie chciałam stawać twarzą w twarz z Corettą”, powiedziała Davis, ale A. D. zdołał ją

przekonać, że niezbędny jest rytuał pojednania⁵⁴⁹. Ze smutnymi minami przebijali się przez tłum, aż w końcu dotarli do Coretty. Davis wzięła ją za rękę i powiedziała po prostu:

– Tak mi przykro.

Coretta bez słowa pokiwała głową z anielskim spojrzeniem, którego Davis nie umiała odczytać. Georgia wiedziała, że nie powinna się tam pojawiać – była to dla niej potwornie niezręczna sytuacja. „Za co było mi przykro? – napisała później, analizując swoje słowa. – Było mi przykro, że straciła męża; było mi przykro, że świat stracił zbawiciela; ale chyba również przeprosiłam za swój związek z jej mężem”⁵⁵⁰. Było jej przykro, że skrzywdziła Corettę, ale stwierdziła: „Nigdy nie żałowałam, że z nim byłam. Zawsze do niego jechałam, kiedy mnie wezwał”.

Galt poszedł na dworzec po walizkę. Kiedy godzinę później wrócił do swojego pokoju, włączył duży telewizor i przez resztę weekendu wychodził z kamienicy tylko po gazety i pieczywo⁵⁵¹. Zamykał za sobą drzwi i siedział w pokoju dniami i nocami. Telewizor był zawsze włączony.

Od momentu, kiedy Galt wyjechał przed południem tego dnia z Detroit, sytuacja niewiele się zmieniła. Chociaż w wielu amerykańskich miastach wciąż dogorywały pożary, najgorsze zamieszki dobiegły już końca. Galt z ulgą skonstatował, że nie pojawiły się żadne informacje na temat postępów poszukiwań. Ramsey Clark wystąpił w niedzielę rano w programie *Meet the Press* i powiedział, że zabójca z całą pewnością zostanie schwytany, ale nie podał żadnych szczegółów, które by wskazywały, że FBI wytypowało jakiegoś podejrzanego. Clark wprowadzić tego nie powiedział, ale śledztwo zaczęło tracić impet z pierwszych kilku godzin.

Na razie Galt był bezpieczny. Tego dnia, w Niedzielę Palmową, w Stanach Zjednoczonych panował spokój, po trzech dniach konwulsji przyszedł czas na żałobę i refleksję. Ameryka, którą Galt zostawił za sobą, najwyraźniej szykowała się na długi okres żałoby narodowej. Prasa napisała, że zaplanowana na ten wieczór ceremonia rozdania Oscarów odbędzie się dopiero po pogrzebie Kinga – podobnie jak półfinał ligi hokejowej w Saint Louis oraz co najmniej siedem inauguracyjnych meczów ligi koszykarskiej, od Cincinnati po Los Angeles. Jediną osobą, która najwyraźniej postanowiła nic nie zmieniać w swoim trybie życia, był człowiek nadzorujący śledztwo – J. Edgar Hoover. Z doniesień wynikało, że dyrektor FBI spędza weekend na jednej ze swoich ulubionych rozrywek, czyli ogląda wyścigi konne w Baltimore⁵⁵².

Tej niedzieli przychodziło wiele wiadomości z Memphis, gdzie na stadionie Crump mniej lub bardziej spontanicznie około dziesięciu tysięcy przedstawicieli obu ras zebrało się na czymś w rodzaju zgromadzenia miejskiego. To „pokutne” wydarzenie, nazwane „Memphis nie jest obojętne”, zorganizował znany miejscowy przedsiębiorca John T. Fisher. Uroczystość ciągnęła się przez wiele godzin, była przejmująca i oczyszczająca. Pastor Jim Lawson, człowiek, który zaprosił Kinga do Memphis, wszedł na scenę i przemówił gniewnym tonem biblijnego proroka:

– Ten człowiek, który był w kwiecie wieku, nie żyje, został zastrzelony, zamordowany z zimną krwią. W mieście Memphis byliśmy świadkami ukrzyżowania. Czy to znak od Boga? Jeżeli tak, jest to znak potężny, który mówi, że naszą ziemię dotknął sąd boży. Że przyszedł na nas czas, kiedy nie zostanie kamień na kamieniu, że to miasto i ten kraj, który tak bardzo kochamy, staną się żerowiskiem dla sępów i stertą zgliszczy”⁵⁵³.

W pokoju Galta cały czas głośno chodził telewizor; panią Szpakowski zaskoczyło, że lokator spędza tyle czasu w swoim pokoju, oglądając telewizję i czytając prasę. Przez cały weekend rozmawiała z nim tylko raz, kiedy wrócił z gazetami pod pachą. „Zauważyłam, że ma

zmartwioną minę – wspominała. – Pomyślałam, że może martwi się o swoją rodzinę. Podejrzywałam nawet, że wyszedł na przepustkę ze szpitala psychiatrycznego”⁵⁵⁴.

A potem przychodzi Wielkanoc

Maszerując główną ulicą centrum Memphis, Coretta Scott King miała na ukrytej za wdowim welonem twarzy gorzko-słodki uśmiech⁵⁵⁵. Był szary, ponury poniedziałek po Niedzieli Palmowej i na mniej więcej dwadzieścia tysięcy osób maszerujących za plecami Coretty padał deszcz. Ubrana w czarną żałobną suknię, trzymała za ręce swoje pozbawione ojca dzieci i z uniesionym wysoko czołem szła uroczystym, jednostajnym krokiem. Patrzyła prosto przed siebie, z jej przepełnionych smutkiem oczu nie płynęły łzy. Tuż przed rodziną Kingów szedł dyrektor Holloman, który niespokojnie rozglądał się za snajperami w oknach i przecznicach.

Córka Coretty Yolanda maszerowała w różowej sukience, a dwaj chłopcy, Martin III i Dexter, mieli na sobie schludne sportowe marynarki i krawaty (najmłodsza Bernice została w Atlancie). Dzieci rozglądały się dookoła oszołomione i dezorientowane, patrzyły na płaczących ludzi, żołnierzy, latające po niebie helikoptery i transparenty z napisami: „NA CZEŚĆ KINGA SKOŃCZCIE Z RASIZMEM”, „DOKTORZE KING, NIE UMARŁEŚ NA MARNE” czy „JESTEM CZŁOWIEKIEM”. Było to dla nich przedziwne doświadczenie, taka piękna, a jednocześnie ponura parada – nie do końca kondukt pogrzebowy, ale też nie ekstatyczna procesja w stylu nowoorleańskim, lecz swego rodzaju polityczny teatr. „Ludzie byli życzliwi – napisał po latach Dexter King – ale Memphis wydawało się odstrasające, niczym królestwo zła, w którym zabito mojego ojca”⁵⁵⁶.

Coretta King nie planowała przyjazdu do Memphis i udziału w zorganizowanym przez Abernathy’ego wielkim milczącym marszu. Musiała się zająć przygotowaniem do pogrzebu w Atlancie, zaopiekować rodziną, miała też własny świat żałoby. Rozumiała jednak, że Memphis jej potrzebuje, że ruch praw obywatelskich jej potrzebuje, że śmieciarze jej potrzebują. Harry Belafonte załatwił jej więc samolot, żeby mogła polecieć do miasta, w którym zamordowano jej męża. Zabrała ze sobą troje dzieci i z lotniska w Memphis pojechała konwojem eskortowanym przez policjantów na harleyach-davidsonach. Po raz pierwszy zobaczyła świat cieni, którym stało się Memphis. Przyłączyła się do marszu u zbiegu Main i Beale Street – na dosłownym i przenośnym skrzyżowaniu białego i czarnego Memphis. Dokładnie w tym samym miejscu znajdował się King, kiedy podczas demonstracji 28 marca wybuchły zamieszki – przemoc, która w końcu porwała go do grobu.

Tym razem nie było ani śladu przemocy. Marsz przebiegał w milczeniu, tak jak zapowiadał Abernathy; słychać było tylko szuranie zelówek o asfalt. Bayard Rustin zaaranżował każdą sekundę pochodu, jak zwykle z troską o względy estetyczne i o każdy najdrobniejszy szczegół. Rezultat bardzo go ucieszył i sprawił mu ulgę. „Daliśmy doktorowi Kingowi to, po co tutaj przyjechał – powiedział. – Spełniliśmy jego ostatnie życzenie: daliśmy mu marsz zupełnie wolny od przemocy”⁵⁵⁷.

Było to możliwe dzięki perfekcyjnemu planowaniu. Pastor James Lawson osobiście szkolił setki porządkowych, w tym wielu członków Invaders, którzy jeszcze parę dni wcześniej

nawoływali do spalenia miasta. Wydrukował też ulotki, które rozdawano maszerującym; chciał, żeby wydarzenie miało charakter uroczystego requiem. Żadnego rozmawiania, żadnego skandowania, żadnego śpiewania, nie wolno palić ani żuć gumy.

– Wszyscy zdajecie dzisiaj egzamin – powiedział. – Ludzie z całego świata będą na was patrzyli. Zachowujcie się z godnością⁵⁵⁸.

Wzdłuż trasy marszu nie było widać prawie żadnych umundurowanych policjantów. Holloman, który słusznie uznał, że jego podwładni nie są już mile widziani przez społeczność czarnych, nie chciał ryzykować sprowokowania kolejnej konfrontacji. Marsz osłaniało kilka tysięcy żołnierzy Gwardii Narodowej, przedstawiciele władzy federalnej, którzy tym samym byli zapewne postrzegani jako bardziej neutralni. Na karabiny M16 założyli bagnety, ale nie załadowali amunicji (choć maszerujący o tym nie wiedzieli).

Potencjalnych źródeł przemocy Holloman upatrywał raczej nie w maszerujących, lecz w ludziach z zewnątrz, którzy mogliby zechcieć „siać niezgodę”, jak to ujął. Autentycznie się obawiał, że zabójca Kinga nadal przebywa w Memphis i może spróbować bisu, tym razem biorąc na muszkę Abernathy’ego, panią King albo którąś z wielu innych znanych osób uczestniczących w procesji. Jego obawy były mocno ugruntowane. Na przykład Jimowi Lawsonowi poprzedniego wieczoru grożono śmiercią – ktoś do niego zadzwonił i zapowiedział: „Kiedy dojdiesz do Main Street, będzie po tobie”⁵⁵⁹. Z kolei Abernathy bał się, że w mieście są ludzie, u których „przelew krwi jednego człowieka rozbudził apetyt na więcej”⁵⁶⁰.

Przed rozpoczęciem marszu ludzie Hollomana dokładnie sprawdzili całą trasę. Wszystkie okna biurowców miały pozostać zamknięte, nikomu nie wolno było obserwować marszu z dachu ani balkonu. Wyszukano i zabezpieczono wszystkie potencjalne punkty snajperskie. Wśród maszerujących umieszczono setki policjantów i agentów FBI w cywilu, którzy mieli się rozglądać za podejrzanymi ruchami.

Wszystkie te środki ostrożności okazały się zbędne. Marsz przebiegał w uroczystej atmosferze i bez żadnych zakłóceń, powoli płynąca rzeka ludzi rozciągała się na kilkanaście przecznic. W rzędach po osiem osób żałobnicy w milczeniu mijali witryny domów handlowych, z których przezornie usunięto wartościowe towary i zastąpiono je dyskretnymi kapliczkami ku czci Kinga. Coretta szła na czele obok Abernathy’ego, Younga, Jacksona i Belafontego. Za nimi maszerowali duchowni, czarni i biali, a potem przywódcy związkowi i śmieciarze. Trochę dalej można było znaleźć takich celebrytów jak Sammy Davis junior, Bill Cosby, Ossie Davis, doktor Benjamin Spock, Isaac Hayes i Sidney Poitier (którego film *W upalną noc*, poświęcony kwestiom rasowym, otrzymał nominację do Oscara za najlepszy film i czekał na werdykt, odłożony do czasu po pogrzebie Kinga).

Maszerowali przede wszystkim czarni, ale pojawiło się zaskakująco wielu znanych białych mieszkańców Memphis, w tym także konserwatystów. Wśród nich wyróżniał się Jerred Blanchard, prawnik i republikański radny miejski, który poprzedniego wieczoru upił się whisky i po przebudzeniu przeżył coś w rodzaju objawienia. „Chyba mówiła do mnie moja matka albo żona – powiedział. – Jestem prawicowym republikaninem. Walczyłem w kilku wojnach... Nigdy nie lubiłem związków zawodowych. Ale przyzwoitość powiedziała mi: »Stare Południe kończy się razem z tym marszem. Do diabła z klubami plantatorów!«”⁵⁶¹.

Długa kolumna żałobników sunęła Main Street w stronę ratusza, z panią King na czele.

– To ona! To ona! – mówili do siebie po cichu gapie.

Pani King minęła między innymi sklep York Arms Company, który Eric Galt odwiedził cztery dni wcześniej. Właściciele usunęli z witryn wszystkie strzelby myśliwskie i przed marszem zamknęli sklep na cztery spusty. Na wystawie została jednak lornetka Bushnell Banner, 7 × 35, z powlekaną optyką.

Tego samego dnia, kiedy pani King i legion maszerujących powoli zbliżali się do ratusza, dwaj podwładni Roberta Jensena, agenci John Bauer i Stephen Darlington, jechali Lamar Avenue w Memphis, blisko granicy stanu Missisipi. Bauer i Darlington, dwa żółtodzioby z Pensylwanii, przeszukiwali motele w całym Memphis i pytali o modele, marki i kolory samochodów, którymi poruszali się goście motelowi z ostatniego tygodnia. Była to żmudna praca, która na razie nie przyniosła żadnych obiecujących rezultatów. Teraz służbowy sedan agentów wjechał na pokryty kałużami parking motelu New Rebel⁵⁶². Wycieraczki odgarniały krople niezbyt intensywnego deszczu. Z neonu spoglądał konfederacki pułkownik.

Bauer i Darlington weszli do recepcji i zaczęli rozmawiać z Anną Kelley, właścicielką New Rebel.

– Jesteśmy z FBI – powiedział Darlington. – Możemy pani zadać kilka pytań?

Pani Kelley skinęła głową.

Darlington i Bauer poprosili ją, żeby skupiła się na wieczorze 3 kwietnia, w przeddzień zabójstwa Martina Luthera Kinga. Czy w New Rebel zameldował się wtedy ktoś, kto jeździł białym sportowym fordem?

Kelley zajrzała do swoich papierów i po chwili znalazła takiego człowieka. Nazywał się Jerry Goalsby, mieszkał w Ripley, zameldował się wieczorem 3 kwietnia i następnego dnia rano wyjechał. Z karty meldunkowej wynikało, że kierował samochodem marki Ford.

Agent Darlington zaczął ją dociskać: Jaki kolor? Jaki model?

Pani Kelley zmarszczyła brwi. Na karcie meldunkowej nie było takich szczegółów.

– Ktoś jeszcze przyjechał tego wieczoru fordem? – zapytał Darlington.

Kelley przejrzała inne karty meldunkowe z 3 kwietnia.

– Tak, tutaj mam jeszcze jednego.

O 19.15 tego wieczoru zameldował się jakiś mężczyzna z Alabamy. Kelley pamiętała, że wieczór był deszczowy, a w prognozach pogody ostrzegali przed tornadem. Osobiście nie widziała tego mężczyzny, toteż nie mogła podać jego rysopisu, ale z karty meldunkowej wynikało, że kierował mustangiem z rejestracją z Alabamy, numer 1-38993. Kolor nie był podany.

– Jak się nazywał ten człowiek? – zapytał agent Bauer.

Kelley pokazała mu kartę meldunkową: „Eric S. Galt, Highland Avenue 2608, Birmingham, Alabama”.

Po całym weekendzie spędzonym u pani Szpakowski w Toronto Galt w poniedziałek rano opuścił swoją norę i – jak można przeczytać w jego wspomnieniach i innych źródłach – udał się do redakcji „Evening Telegram”⁵⁶³. W recepcji powiedział, że chciałby przejrzeć stare wydania gazety.

Zaprowadzono go do czytelnicy. Bibliotekarka zapytała, jaki okres go interesuje.

– Lata trzydzieste.

– To będzie na mikrofilmie – stwierdziła.

Kazała mu usiąść koło przeglądarki mikrofilmów i po chwili przybyło pudełko z rolkami z początku lat trzydziestych. Bibliotekarka poinstruowała Galt, jak się obsługuje przeglądarkę. Założył rolkę i zahaczył końcówkę filmu o zębatkę. Potem włączył lampę i ustawił ostrość za pomocą pokręta.

Przez następne kilka godzin przeglądał artykuły z początku lat trzydziestych, pierwszych lat wielkiego kryzysu. Pomiął teksty o Rooseveltcie, uprowadzeniu dziecka Lindberghów, aresztowaniu Ala Capone, przelocie nad Atlantykiem przez Amelię Earhart. Nie interesowały go wiadomości ani sport, nie interesowały go żadne wydarzenia historyczne. W każdym kolejnym wydaniu gazety szukał tej samej sekcji: narodziny i nekrologi.

Szperał za nazwiskami, konkretnie nazwiskami chłopców urodzonych w Toronto na początku lat trzydziestych. Kiedy przewijał 1932 rok, wpadło mu w oko kilkanaście ogłoszeń i zanotował dane. Jeden z urodzonych wtedy chłopców nazywał się Ramon George Sneyd. „Na oddziale porodowym w sobotę 8 października panu George’owi Sneydowi i pani Gladys Mae Sneyd (z domu Kilner) urodził się syn Ramon George”. W jakim celu Eric Galt nadweręzał sobie wzrok? Chciał przestać być Erikiem Galtem: gorączkowo poszukiwał nowej tożsamości.

Niewykluczone, że uzyskał od kogoś cenne wskazówki na temat zmiany tożsamości, ale jeśli tak, to nigdy nie ujawnił, kim była ta osoba. W każdym razie posłużył się bardzo prostymi metodami. „Przeczytałem gdzieś – powiedział później – że sowieccy szpiedzy w Kanadzie często przyjmowali nazwiska rzeczywiście istniejących Kanadyjczyków, które brali z napisów na nagrobkach albo informacji o narodzinach ze starych gazet. Od lat próbowałem się wydostać ze Stanów Zjednoczonych dzięki takiemu systemowi”⁵⁶⁴. Metoda sprytna, choć niezbyt skomplikowana. W raporcie Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej z tych dni można przeczytać: „Nastolatki stosują taką praktykę w celu uzyskania świadectwa urodzin osób powyżej dwudziestego pierwszego roku życia, aby mogli uczęszczać do lokali z wyszynkiem”⁵⁶⁵.

Zadowolony ze swojego urobku Galt około południa wyszedł z czytelnicy z uzyskaną listą nazwisk i wrócił do kamienicy czynszowej państwa Szpakowskich. Ale po drodze zahaczył o jeden z cmentarzy w Toronto⁵⁶⁶.

Wielki milczący marsz w Memphis zatrzymał się na wyłożonym marmurem placu przed ratuszem. Pod oficjalnymi insygniami miasta (kwieciakiem bawełnowcem i parostatkiem) zbudowano scenę z nagłośnieniem. Rosa Parks, nestorka ruchu praw obywatelskich, siedziała na podwyższeniu obok pani King, Teddy’ego Kennedy’ego i innych dygnitarzy, kiedy plac wypełniał się ostatnimi maszerującymi. Dalej padało, ale przez ciężkie chmury od czasu do czasu przebijało się słońce; jak mawiają Południowcy, diabeł bił swoją żonę.

Zacząła się wielogodzinna seria przemówień wygłaszanych przez związkowców i polityków, z których część mówiła stonowanym, a część płomiennym językiem, ale wszyscy nawoływali do zawarcia porozumienia między władzami miasta a strajkującymi, żeby śmierć Kinga nie poszła całkiem na marne, żeby zmęczony naród mógł wrócić do swoich spraw. Całym programem tak naprawdę kierował burmistrz Henry Loeb, który nie pokazał jednak swojej twarzy wrogo nastawionemu tłumowi. Prawdopodobnie w ogóle nie było go w ratuszu. Nie spał przez całą noc, negocjował z przedstawicielami strajkujących pod naciskiem podsekretarza stanu do spraw pracy Jamesa Reynoldsa, którego prezydent Johnson wysłał z Waszyngtonu jako swojego emisariusza.

Rozmowy przeciągnęły się do 6.00, ale nie przyniosły rozstrzygnięcia. Gnijące śmieci nadal miały się piętrzyć na chodnikach, napełniając ulice smrodem i spasionymi szczurami.

Śmierć Kinga w obronie śmieciarzy miała pewną metaforyczną wymowę, zwłaszcza dla zgromadzonych wśród słuchaczy duchownych, z których część zwróciła uwagę na pewną biblijną analogię: Jezus został ukrzyżowany między dwoma złodziejami *na kopcu śmieci*.

Na scenę po kolei wchodzili przywódcy związkowi i wygłaszali gniewne tyrady. Strajk w Memphis skupiał uwagę nie tylko pracowników komunalnych, lecz także organizacji związkowych z całego kraju: AFL-CIO, UAW, UFWA, USWA, IUE – każda z nich miała na scenie swoich przedstawicieli. Największy koszmar białego przedsiębiorcy z Południa: czerwoni koczują pod ratuszem!

Jerry Wurf z Amerykańskiej Federacji Pracowników Stanowych, Okręgowych i Miejskich, który przez całą noc brał udział w negocjacjach z Loebem, zapowiedział:

– Nie wrócimy do pracy, dopóki nie zostaną przywrócone zasady sprawiedliwości, przyzwoitości i moralności⁵⁶⁷.

Najbardziej dramatycznie przemówił jednak legendarny Walter Reuther ze związków zawodowych przemysłu samochodowego:

– Burmistrz Loeb musi nareszcie zrozumieć, że żyjemy w XX wieku!⁵⁶⁸

Buńczuczne tyrady związkowców znajdowały oddźwięk wśród wielu członków publiczności, ale Memphis nie było miastem robotniczym – ani w sensie tradycji, ani w sensie atmosfery – toteż wiele osób zaczęło to nużyć. Poza tym ludzie przyszli tutaj przede wszystkim ze względu na Corettę Scott King. W końcu się doczekali. Po kilku godzinach Belafonte przedstawił Corettę, która wstała i zwróciła się do ludzi spokojnym, jednostajnym głosem. Ograniczyła wypowiedź do sfery osobistej. Mówiła o swojej miłości do męża i dzieci. Mówiła o tym, że życie jest krótkie.

– Ważna jest nie ilość czasu, ale jego jakość⁵⁶⁹.

Tylko raz uderzyła w gorzką nutę.

– Ilu ludzi musi umrzeć, zanim będziemy mieli wolne, sprawiedliwe i pokojowe społeczeństwo? Ile to potrwa?

Coretta była wręcz nieziemsko opanowana. Ludzie nie mogli się powstrzymać i głośno płakali, ale jej głos ani razu się nie załamał. „Gdyby pani King uroniła choć jedną łzę – powiedziała jakaś kobieta – całe miasto by się rozkleiło”⁵⁷⁰.

Coretta King oświadczyła, że pobyt w Memphis ją zainspirował. Ruch będzie działał dalej; ona nie straciła wiary.

– W takie dni jak Wielki Piątek czasami przychodzi refleksja, że nie ma nadziei⁵⁷¹. – Spojrzała na swoje dzieci i dodała z nieznacznym uśmiechem: – Ale potem przychodzi Wielkanoc.

Tego wieczoru, kiedy Coretta King wracała do Atlanty, agenci FBI Neil Shanahan i William Saucier zajechali pod budynek przy Highland Avenue 2608 w Birmingham⁵⁷². „Economy Rooms”, informował szyld. Zapukali do drzwi dużej jednopiętrowej kamienicy czynszowej u stóp wzgórz Birmingham, niedaleko słynnego kolosa Wulkanu, którego zdeformowane oblicze królowało nad największym ośrodkiem stalowym Południa. Drzwi otworzył Peter Cherpes, Amerykanin greckiego pochodzenia, który prowadził Economy Rooms. Shanahan i Saucier wyjaśnili, że są z FBI i szukają niejakiego Erica Galta, który podobno tutaj mieszka. Biuro

terenowe FBI w Birmingham uzyskało te dane, zarówno nazwisko, jak i adres przy Highland Avenue, z pilnego meldunku złożonego parę godzin wcześniej przez agentów z Memphis, Darlingtona i Bauera.

– Eric Galt – powtórzył Cherpes.

Pogrzebał w pamięci i po chwili sobie przypomniał: Tak, Eric Galt mieszkał w Economy Rooms w ubiegłym roku przez jakieś sześć tygodni. Siedemdziesięciodwuletni Cherpes poszedł po swoje karty meldunkowe o wymiarach osiem na trzynaście centymetrów, ale miał w nich taki bałagan, że nie potrafił zlokalizować informacji o Galcie.

Przekazał jednak agentom wszystko, co sobie przypominał. Galt mieszkał w pokoju 14. Przyjechał w lecie ubiegłego roku. Był spokojny i schludnie ubrany, na ogół chodził w garniturze i krawacie. Powiedział, że „zrobił sobie wakacje” między jedną a drugą pracą. Do tej pory pracował w Pascagouli u producenta dużych jachtów.

– Bardzo kulturalny człowiek – powiedział Cherpes. – Czynsz płacił na czas. Z reguły wcześniej wracał do pokoju, rzadko wychodził wieczorami. Nikt do niego nie dzwonił ani go nie odwiedzał.

Nie przypominał sobie, żeby Galt zaprzyjaźnił się z którymś z pozostałych lokatorów. Zawsze trzymał się z boku. Inny lokator czynszówki Cherpesa, dwudziestosześcioletni Charles Jack Davis, miał do powiedzenia o Galcie tylko tyle:

– Chyba nie ma czegoś takiego jak „przeciętna osoba”, ale prawie nic nie pamiętam na jego temat.

Cherpes powiedział, że Galt schodził na śniadanie pod sam koniec jego wydawania, kiedy wszyscy inni goście już zjedli. Wieczorami spędzał dużo czasu w świetlicy i oglądał telewizję.

– Miał samochód? – zapytał agent Saucier.

Cherpes po chwili namysłu przypomniał sobie, że owszem, Galt jeździł samochodem. Nie pamiętał marki, ale dałby sobie głowę uciąć, że auto było białe. Galt wypowiedział najem w listopadzie i już nigdy nie wrócił.

– Przyszło do niego później kilka listów, które zwróciłem listonoszowi.

Czy Galt poinformował, dokąd jedzie?

– Do Mobile albo jakoś tak. Powiedział, że dostał pracę na jachcie.

Niziny społeczne

Na odcinku sześciu kilometrów żałobnicy powoli przesuwali się rozjaśnionymi przez azalie ulicami Atlanty⁵⁷³. Pod bezchmurnym niebem ponad sto pięćdziesiąt tysięcy osób maszerowało z Ebenezer Baptist Church w stronę Morehouse College, mijając Auburn Avenue, centrum i Kapitol ze złotą kopułą, w którym gubernator Lester Maddox, zagorzały segregacjonista, siedział zabarykadowany i chroniony przez falangi gwardii stanowej. Gubernator, który kilka dni wcześniej zasugerował, że King sam zaaranżował zamach na siebie, co jakiś czas nieznacznie rozsuwał zasłony i z obrzydzeniem patrzył na przesuwający się koło jego biura kondukt⁵⁷⁴.

Na czele procesji niesiono krzyż z białych chryzantem, a muły z farmy w Georgii ciągnęły stary drewniany wóz, na którym leżała trumna z politurowanego afrykańskiego mahoni. Koło woźniców kroczyli najbliżsi współpracownicy Kinga – Abernathy i Lee, Bevel i Orange, Williams i Young – ubrani w niebieskie drelichy symbolizujące zahartowanych przez życie mieszkańców wsi, na których koncentrowała się nadchodząca Kampania Biednych Ludzi. Był 9 kwietnia 1968 roku, wtorkowy poranek nazajutrz po milczącym marszu w Memphis i pięć dni po zamachu.

Ludzie przyglądali się z chodników, dachów domów, ganków, okien małych zakładów wzdłuż trasy. Jednak najlepszy widok prawdopodobnie miały miliony zgromadzone przed telewizorami. Wszystkie trzy stacje ogólnokrajowe transmitowały pogrzeb, według doniesień mediów oglądany przez ponad sto dwadzieścia milionów osób na całym świecie. Połowa Ameryki zwolniła się z pracy; dzień wolny mieli pracownicy nie tylko urzędów państwowych, szkół i banków, lecz także nowojorskiej giełdy – Wall Street po raz pierwszy w dziejach uhonorowała w ten sposób prywatnego obywatela. Ruletki w Las Vegas na dwie godziny przestały się kręcić.

„Czarny wtorek”, tak ludzie w całym kraju nazywali dzień opłakiwania Kinga. 9 kwietnia już dawno wpisał się w świadomość narodową w kontekście rasowym, była to bowiem rocznica bitwy pod Appomattox, ostatniego starcia wojny secesyjnej. Zaczął się już tworzyć ruch na rzecz ustanowienia tego dnia świętem na cześć Kinga, proponowano również, żeby imieniem zamordowanego przywódcy nazwać parki, budynki rządowe, autostrady i całe dzielnice miast. (Na przykład politycy kalifornijscy chcieli przechrzcić pokancerowaną zamieszkami dzielnicę Watts w Los Angeles na „Kingtown”).

Ceremonia w Atlancie pod wieloma względami przypominała pogrzeb głowy państwa. Do Georgii przybyły dziesiątki wycarterowanych samolotów i setki wynajętych autokarów, przywożąc zarówno plebejuszy, jak i członków rodzin królewskich. Zjawiono się kilkuset śmieciarzy z Memphis, ale również Rockefellerowie i przedstawiciele rodu Kennedych. Wśród odprowadzających Kinga na cmentarz dygnitarzy znalazło się sześciu kandydatów na prezydenta, czterdziestu siedmiu kongresmenów, dwudziestu trzech senatorów, sędziego Sądu Najwyższego i oficjalne delegacje z kilkudziesięciu krajów. Silną reprezentację wystawiło

również Hollywood; byli tam Marlon Brando, Paul Newman i Charlton Heston, a także cała plejada reżyserów i producentów. Przybyli znani murzyńscy sportowcy i gwiazdy rozrywki: Aretha Franklin, Jackie Robinson, Mahalia Jackson, Sammy Davis junior, Jim Brown, Stevie Wonder, Floyd Patterson, Dizzy Gillespie, Diana Ross, Ray Charles, Belafonte, Poitier. Kilkadziesiąt centymetrów ponad innych wyrastał Wilt „The Stilt” Chamberlain, łatwo rozpoznawalny mimo swoich wielkich okularów przeciwsłonecznych.

Niewątpliwie był to dzień dziwnych zestawień – podobno widziano, jak Richard Nixon rozmawiał z aktorką Earthą Kitt, która grała wtedy rolę Kobiety-Kota w popularnym serialu telewizyjnym o Batmanie. Swoją drogą każdy, kto miał jakiegokolwiek związki z czarną Ameryką albo chciał, żeby czarna Ameryka na niego zagłosowała, nie mógł opuścić pogrzebu Martina Luthera Kinga. Stokely Carmichael, który od dawna krytykował pastora, ściągał na siebie nieprzychylnie spojrzenia konserwatywnych wiernych, kiedy wchodził do kościoła w czarnej kurtce nehru.

Chyba najbardziej sensacyjnym gościem była Jackie Kennedy, która przed pogrzebem przyjechała do domu Kinga, żeby osobiście złożyć Coretce kondolencje. Dwie pierwsze wdowy udały się z zatłoczonej kuchni do sypialni, aby móc przez kilka minut porozmawiać w możliwie intymnych warunkach: „Pochylały się ku sobie – napisał dziennikarz »Newsweeka« – jak nawiasy ujmujące tragiczną połowę dekady”⁵⁷⁵. Historia nie zanotowała, co do siebie powiedziały, ale przechodząca korytarzem osoba eufemistycznie podsumowała to w ten sposób: „W tym pokoju był niesamowity nastrój”⁵⁷⁶.

Z kolei ważną osobą publiczną, której nieobecność rzucała się w oczy, był Lyndon Johnson. Przez ostatnie kilka dni prezydent przeżywał rozterki, wysyłał sprzeczne sygnały, słuchał swoich agentów ochrony, którzy mówili mu o wiszących w powietrzu zagrożeniach i błagali go, aby wziął pod uwagę, że naród nie wytrzyma kolejnego zamachu. Jednak prawda jest taka, że Johnson nie chciał jechać na pogrzeb Martina Luthera Kinga. Chociaż wspólnie zmienili historię, prezydent nie umiał się zdobyć na oddanie hołdu człowiekowi, który tak ostro go krytykował w kontekście Wietnamu. Johnson wysłał do Atlanty wiceprezydenta Huberta Humphreya, a sam został w Waszyngtonie.

Tego dnia rano rodzina zorganizowała „małe” nabożeństwo w Ebenezer dla tysiąca osób (tylko tyle mogło się tam pomieścić, ale na zewnątrz zebrały się dziesiątki tysięcy ludzi, którzy słuchali przez głośniki). Mowa pogrzebowa była piękna i dosyć dziwna, nie pod względem treści, ale osoby mówcy, wygłosił ją bowiem sam Martin Luther King junior. Rodzina puściła nagranie jednego z ostatnich kazań Kinga w Ebenezer, w którym przejmująco mówił o własnej śmierci i o tym, jak chce zostać zapamiętany. „Jeśli ktoś z was będzie obecny, kiedy przyjdzie mój czas, nie chcę długiego pogrzebu”, powiedział w pewnym momencie King i publiczność zaśmiała się z cicha – jeżeli rzeczywiście tak brzmiało jego życzenie, to z całą pewnością nie zostało spełnione. Samo nabożeństwo trwało bardzo długo, a przecież była to tylko pierwsza część całonocnego programu. Znudzona i niespokojna Bernice przez większość czasu siedziała zwinięta na kolanach Coretty, ale kiedy usłyszała głos swojego ojca, ożywiła się. Zdezorientowana spojrzała na otwartą trumnę, żeby się upewnić, czy tata dalej leży tam nieruchomy, a potem znowu umościła się w ramionach matki.

Bernice i pozostałe dzieci Kinga: Martin III, Dexter i Yolanda od kilku dni były pocieszane i rozpieszczane przez cały świat. Bill Cosby dotrzymał słowa: przyleciał do Atlanty i zapewniał dzieciom rozrywkę w ich domu. Potomstwo Kinga dostało niezliczone tysiące listów

i telegramów z całego świata. „Droga Yolando – napisała pewna dwunastoletnia dziewczynka – wierzyłam w twojego ojca z całego serca”⁵⁷⁷. Z kolei Robert Barocas z Great Neck w stanie Nowy Jork, uczeń szkoły podstawowej, pisał: „Drogi Dexterze, kiedy złapią tego gościa, który zastrzelił twojego ojca, daj mu ode mnie po pysku”⁵⁷⁸.

Pod sam koniec nabożeństwa czworo dzieci Kinga wymknęło się razem z matką z Ebenezer Church tuż przed innymi wiernymi. Na Auburn Avenue większość flag była opuszczona do połowy masztu, ale niektóre powieszono do góry nogami, co miało symbolizować nie żalobę, lecz niezadowolenie i bunt. Wzdłuż trasy konduktu pogrzebowego dało się słyszeć gniewne pomruki: Johnson to zrobił. Hoover to zrobił. Wallace to zrobił. Ku Klux Klan, Rada Białych Obywateli, policja z Memphis. Mafia, CIA, Narodowa Agencja Bezpieczeństwa, potępieni przez Kinga generałowie armii walczącej w Wietnamie. Przywiązane do teorii spiskowych społeczeństwo wymyślało przeróżne tropy. Z każdym krokiem, który przybliżał kondukt żałobny do Morehouse, śmierć Kinga obrastała w kolejne warstwy tajemnicy.

Jako działacz ruchu praw obywatelskich King wykorzystywał pewną analogię starotestamentową, a mianowicie podawał się za murzyńskiego Mojżesza, który wyprowadza swój lud z niewoli egipskiej i rozstępują się przed nim wody morskie. Obrazem tym posługiwał się często i świadomie, nawet w swoim ostatnim przemówieniu w Memphis: „Być może nie dotrę tam z wami. Chcę jednak dzisiaj powiedzieć, że jako naród dotrzemy do ziemi obiecanej”. Tymczasem po zamachu nagle pojawiła się analogia nowotestamentowa: King stał się murzyńskim Jezusem, ukrzyżowanym (i to w okresie wielkanocnym) za głoszenie radykalnych prawd. Z kontekstu tej nowej analogii wynikało, że współodpowiedzialność za śmierć mesjasza ponoszą cały aparat państwowy i cała amerykańska kultura: król Herod, Poncjusz Piłat, lewici i faryzeusze, długie ramię Cesarstwa Rzymskiego.

Kiedy dwa muły mozolnie stukwały po bruku Atlanty, w szeregach maszerujących mnożyły się pytania. Wydawało się, że udział w tej zbrodni miała cała struktura władzy, cały duch czasów. Jak to ujęła sama Coretta: „Na karabinie było wiele palców”⁵⁷⁹.

Nawet najbardziej wyczulony na teorie spiskowe obserwator nie mógł się domyślić, że los zakpił sobie z uczestników konduktu pogrzebowego: kiedy zbliżało się południe, kondukt przeszedł kilka przecznic od osiedla Capitol Homes, na którego parkingu biały mustang z tablicami rejestracyjnymi z Alabamy nadal migotał w dwudziestostopniowym upale.

Ponad tysiąc pięćset kilometrów na północ Galt siedział w swoim pokoju przy Ossington Avenue z coraz większą kolekcją gazet z Toronto⁵⁸⁰. Jednym okiem oglądał transmisję z pogrzebu Kinga, jednocześnie pracując nad listem do urzędu stanu cywilnego – listem, który miał wysłać tego popołudnia. Transmisję od czasu do czasu przerywano komunikatami z najświeższymi wiadomościami o poszukiwaniach zabójcy, a także o zamieszkach, które w większości miast Ameryki dobiegły końca. Bilans wyłaniający się spośród zgłiszcz był porażający: w prawie stu pięćdziesięciu miastach wybuchły pożary, czterdzieści osób poniosło śmierć, tysiące odniosły obrażenia, około dwudziestu jeden tysięcy aresztowano. Szkody materialne w samym Waszyngtonie oszacowano na ponad pięćdziesiąt milionów dolarów. W całym kraju blisko pięć tysięcy ludzi stało się „uchodźcami przed zamieszkami”.

Nieodpowiedzialny sprawca tego chaosu siedział sobie spokojnie w Toronto i pisał list. Nowy lokator, który w końcu przedstawił się jako Paul Bridgman, zaintrygował panią Szpakowski. Sprawiał wrażenie smutnego, samotnego człowieka. Pewnego dnia pod jego nieobecność poszła

posprzątać pokój. Wszędzie leżały pozgniatane w kulkę wycinki z gazet. Lokator najwyraźniej odżywiał się gotowymi potrawami z supermarketu, bo po pokoju walały się styropianowe i plastikowe opakowania. Bridgman nigdy nie zapraszał żadnych gości. Pani Szpakowski ani razu nie słyszała stamtąd śmiechu – tylko niewyraźne dźwięki telewizora.

Galt zaczął częściej wychodzić wieczorami, wracał do dawnych zwyczajów. Odwiedził dom publiczny przy Condor Avenue i kilka razy pojawił się w nocnym klubie Silver Dollar, gdzie oglądał tancerki go-go i wypił molson canadian⁵⁸¹.

Pani Szpakowski uznała, że jej gość przygotowuje się do jakiegoś dużego projektu. Sprawiał wrażenie poważnego, zagonionego człowieka, który jest tak skupiony na swojej pracy, że irytuje się, kiedy mu ktoś przeszkodzi. Czasem wychodził skorzystać z budki telefonicznej, zawsze poruszając się żwawym, prężnym krokiem biznesmena. Innymi razy szedł za róg na Dundas Street i wskakiwał do tramwaju.

Nowy lokator pani Szpakowski rzeczywiście pracował nad pewnym projektem, który był dosyć skomplikowany i miał zająć kilka tygodni. Galt rozpracowywał kilkanaście nazwisk zanotowanych dzień wcześniej w czytelni „Telegram”. Sprawdził je w książce telefonicznej i stwierdził, że dwie z tych osób, Paul Bridgman i Ramon Sneyd, nadal mieszkają w Toronto, a dokładnie na położonym niedaleko od czynszówki wschodnim przedmieściu Scarborough.

Przed przejściem do następnego etapu musiał sprawdzić, czy ci niczego niepodejrzewający kandydaci na jego sobowtórów chociaż odrobinę przypominają go z wyglądu. Przyszła pora na „zabawienie się w detektywa”, jak to później ujął sam Galt⁵⁸². Pojechał do Scarborough i kręcił się koło domów tych dwóch mężczyzn, aż w końcu udało mu się ich zobaczyć. Chociaż ani Bridgman (nauczyciel), ani Sneyd (policjant) szczególnie go nie przypominali, Galt z zadowoleniem stwierdził, że odpowiadają jego ogólnemu rysopisowi: ciemne włosy, jasna cera, łysiejące czoło, budowa między szczupłą a przeciętną, no i oczywiście rasa biała. To go satysfakcjonowało: gdyby któryś z nich był otyły albo łysy, miał rzucającą się w oczy bliznę albo należał do innej grupy etnicznej, Galt musiałby zacząć poszukiwania od nowa. Bridgman i Sneyd nie byli idealni, ale pasowali.

Potem Galt zrobił coś naprawdę zuchwałego, ilustrującego poziom jego desperacji: zadzwonił do Bridgmana i Sneyda, prawdopodobnie z tej samej budki telefonicznej, w której pani Szpakowski widziała go, jak rozmawia. Pewnego wieczoru Paul Bridgman, który pracował jako dyrektor Ośrodka Studiów Językowych przy kuratorium w Toronto, niedługo po zjedzeniu kolacji odebrał w swoim domu telefon. Później relacjonował słowa dzwoniącego:

– Dobry wieczór. Dzwonię z Urzędu Paszportowego w Ottawie. W naszej dokumentacji pojawiły się pewne nieprawidłowości i chcieliśmy sprawdzić, czy ubiegał się pan ostatnio o paszport⁵⁸³.

Bridgman był oczywiście trochę podejrzliwy. Nie rozumiał, dlaczego jakiś urzędnik z Ottawy miałby dzwonić do niego w sprawie służbowej wieczorem.

– Na pewno nie pomylił pan numeru?

– Bridgman. – Galt przeliterował jego nazwisko. – Paul Edward Bridgman. Urodzony 10 listopada 1932 roku. Syn Evelyn, z domu Godden.

– Tak, zgadza się – odparł Bridgman, uznawszy, że dzwoniący rzeczywiście jest tym, za kogo się podaje. Przekazał Galtowi wszystkie informacje, których ten potrzebował: wyrobił sobie paszport około dziesięciu lat temu, ale termin ważności minął, a on nie miał potrzeby go przedłużyć.

– Bardzo panu dziękuję – powiedział Galt i się rozłączył.

Galt miał jednak pewne obawy co do Bridgmana – informacje o jego starym paszporcie mogły nadal być przechowywane w Ottawie i gdyby Galt wystąpił o nowy, mógłby uruchomić dzwonek alarmowy. Wykreślił więc numer Ramona Sneyda. Tą samą metodą udało mu się uzyskać informację, że jego rozmówca nigdy w życiu nie składał wniosku o paszport.

To przesądziło sprawę: tożsamością Bridgmana zamierzał się posługiwać do ubocznych celów, natomiast zasadniczo miał występować przed światem jako Ramon George Sneyd.

Przed południem w dzień pogrzebu Kinga agenci FBI Neil Shanahan i Robert Barrett znajdowali się ponad dwieście kilometrów dalej, w Birmingham, gdzie próbowali uzyskać wszelkie możliwe dane na temat niejakiego Erica S. Galta.

Galt w żadnym wypadku nie był jeszcze podejrzanym – jego jedyna zbrodnia polegała na tym, że zameldował się w motelu New Rebel w Memphis wieczorem w przeddzień zamachu na Kinga i jeździł samochodem podobnym do tego, którego użyto do ucieczki z miejsca zdarzenia (niestety należącym do jednego z najbardziej popularnych modeli na amerykańskich drogach). Adres podany przez niego na karcie meldunkowej w New Rebel był poprawny (choć nieaktualny), a rozmowa agentów Sauciera i Shanahana z właścicielem kamienicy czynszowej, w której kiedyś mieszkał Galt, nie przyniosła żadnych rewelacji. Człowiek ten często zmieniał miejsce zamieszkania i pracę – zatrudniał się jako marynarz i pracownik stoczniowy nad Zatoką Meksykańską – ale to również nie było przestępstwem. Jego nazwisko nie pojawiała się w kartotekach policji z Alabamy.

FBI było jednak zobowiązane sprawdzić każdy trop – i Galt należał do niezliczonych tropów wymagających weryfikacji. Telefony do Mobile i Zatoki Meksykańskiej, a także marynarskich związków zawodowych nie przyniosły rezultatu. Wydział Motoryzacji w Montgomery potwierdził, że Eric S. Galt we wrześniu 1967 roku złożył wniosek o prawo jazdy, w rubryce „Zawód” podając „marynarz, bezrobotny”. W toku dalszego śledztwa ustalono, że Eric Galt jest obecnie właścicielem białego dwudrzwiowego mustanga z 1966 roku o numerze rejestracyjnym, który podał na karcie meldunkowej w New Rebel: 1-38993.

FBI szybko sprawdziło w systemie VIN, że poprzednim właścicielem pojazdu był niejaki William D. Paisley z Birmingham, sprzedawca w firmie handlującej drewnem.

Shanahan i Barrett zgłosili się do Paisleya w jego miejscu pracy i zadali mu kilka pytań – nie wspominając, że prowadzą śledztwo w sprawie zamachu na Martina Luthera Kinga⁵⁸⁴. Paisley tylko bardzo ogólnie przypominał sobie tego człowieka, ale potwierdził, że około ośmiu miesięcy wcześniej, w sierpniu 1967 roku, sprzedał jasnożółtego mustanga z 1966 roku człowiekowi, który nazywał się Eric Galt. Paisley dał ogłoszenie do „Birmingham News”, że sprzeda ten samochód za tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć dolarów. Galt zadzwonił do niego do domu, umówił się i przyjechał taksówką 28 sierpnia pod wieczór. Dokładnie obejrzał mustanga, który wyraźnie mu się spodobał. Miał opony z białymi bokami, radio na przyciski i sterowane ze środka lustro. Opony były trochę zużyte – w niektórych miejscach wręcz łysy – ale karoseria w prawie idealnym stanie.

– Lakier wygląda jak nowy – zachwycił się Galt.

– Chce pan nim trochę pojeździć? – zapytał Paisley.

Galt powiedział, że nie, bo ma nieaktualne prawo jazdy i nie chce ryzykować, że zostanie zatrzymany przez policję. Miejsce kierowcy zajął więc Paisley, który włączył ośmiocylindrowy

silnik, a Galt wskoczył na siedzenie pasażera. Przez piętnaście minut wozili się po okolicy, Galt bawił się różnymi pokrętłami i przyciskami.

Powiedział Paisleyowi, że podoba mu się wnętrze i tapicerka z czerwonej skóry, ale nie jest przekonany do jasnożółtego koloru, który z większej odległości wydawał się biały. (Nie podał prawdziwej przyczyny swojej niechęci, ale wyjaśnił ją później: „Skoro zamierzasz zrobić coś nielegalnego, to raczej nie w białym samochodzie”⁵⁸⁵). Kiedy wrócili pod dom, zastanawiał się jeszcze przez kilka minut, a potem, bez zagładania pod maskę ani próby zbicia ceny, powiedział do Paisleya:

– Uwolnię pana od niego.

Uściskali sobie ręce i uzgodnili, że dokończą transakcję następnego dnia rano. Potem przez chwilę stali pod domem Paisleya i rozmawiali. Galt powiedział, że pracuje na barce pływającej po Missisipi i udało mu się odłożyć sporo pieniędzy. Właśnie zakończył bardzo nieprzyjemny rozwód – jego była żona pochodzi z Alabamy, z górskiego regionu wokół Homewood.

Paisley złożył mu wyrazy współczucia, a Galt odpowiedział:

– Takie jest życie.

Spotkali się następnego dnia rano pod Birmingham Trust National Bank.

– Tutaj trzymam pieniądze – powiedział Galt do Paisleya.

Miał na sobie sportową kurtkę i rozpiętą pod szyją koszulę. Poinformował Paisleya, że właśnie wybrał z banku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąt pięć dolarów w gotówce. Z kieszeni koszuli wyjął gruby zwitek banknotów – kilka setek, reszta w dwudziestkach – i zaczął odliczać pieniądze na chodniku.

– Rany, z takimi pieniędzmi trzeba uważać – powiedział Paisley i weszli do banku, żeby dokończyć transakcję.

Paisley dał Galtowi kartę pojazdu i fakturę, a potem wyjął z kieszeni kluczyki. Ucisnęli sobie ręce i już nigdy więcej się nie widzieli.

Ciągnięty przez muły wóz powoli zmierzał przez zabytkowy kampus Morehouse College w stronę Harkness Hall. Rozpoczęły się uroczystości pogrzebowe. Około stu pięćdziesięciu tysięcy osób ścisnęło się na kampusowych błoniach i przez wiele godzin stało w potwornym upale pod chaotycznym baldachimem z parasoli. Mahalia Jackson zaśpiewała *Take My Hand, Precious Lord*, pieśń gospel, o której „naprawdę ładne” zagranie King poprosił Bena Brancha kilka chwil przed tym, jak został zastrzelony na balkonie motelu Lorraine. Tak wiele starszych pań zemdląło, że rozbudowany program mów pogrzebowych trzeba było radykalnie skrócić. Jako ostatni głos zabrał doktor Benjamin Elijah Mays, emerytowany rektor uczelni, wytrawny orator i ukochany mentor Kinga. Ten posiwiasty teolog, którego rodzice w młodości byli niewolnikami, przemawiał prostym językiem i ze spokojnym oburzeniem w głosie.

– Ośmielę się stwierdzić – powiedział – że walka bez użycia przemocy wymagała od Kinga większej odwagi niż oddanie strzału przez zamachowca. Zamachowiec jest tchórzem; dokonał swojej nikczemnej zbrodni i uciekł. Nie zapominajmy jednak, że współodpowiedzialność ponosi cały naród amerykański. Zamachowiec słyszał tyle słów potępienia w stosunku do Kinga i Murzynów, że czuł po swojej stronie poparcie społeczne. Wiedział, że miliony nienawidzą Kinga⁵⁸⁶.

Mays wygłosił podniosłą mowę pogrzebową w stylu czarnych baptystów: pełną gorczy i zmierzającą w stronę triumfalnej kulminacji.

– King wierzył, że został wysłany do obrony człowieka z nizin społecznych. Powiedziałyby

zapewne, że skoro musiała go zabrać śmierć, nie było lepszej sprawy, za którą chciałby umrzeć, niż walka o godziwą zapłatę dla śmieciarzy. Był ponad podziałami rasowymi, narodowymi, klasowymi i kulturowymi. Należał do świata i do ludzkości. Teraz należy do potomności.

Ogromny tłum rozszedł się do domów, a mniejszy kondukt, złożony z członków rodziny i przyjaciół Kinga, powoli zmierzał kawalkadą samochodów na piękny stary cmentarz South View, założony w latach sześćdziesiątych XIX wieku, kiedy Murzyni z Atlanty uznali, że mają dosyć grzebania swoich zmarłych koło tylnego wejścia na miejski cmentarz. South View nie miał być ostatecznym miejscem spoczynku Kinga – planowano, by leżał tutaj obok dziadków ze strony matki do czasu budowy grobowca koło Ebenezer Church. Pod kwitnącymi dereniami Ralph Abernathy przemówił do przeredzzonego tłumu. Był wychudzony i osłabiony, bo od zamachu nic nie jadł. Tak jak w dawnych czasach, kiedy razem z Kingiem siedzieli w więzieniu, pościł, żeby oczyścić się przed czekającymi go wyzwaniem.

– Grób jest za wąski na jego duszę – powiedział Abernathy z twarzą zalaną łzami. – Ale składamy jego ciało do ziemi. Dziękujemy Bogu, że dał nam przywódcę, który był gotów umrzeć, ale nie był gotów zabijać.

Następnie grupa grabarzy wtoczyła mahoniową trumnę do grobowca z białego marmuru z Georgii, opatrzonego następującą inskrypcją:

MARTIN LUTHER KING JR.
15 STYCZNIA 1929–4 KWIETNIA 1968
„NARESZNIE WOLNY, NARESZNIE WOLNY, DZIĘKI BOGU WSZECHMOGĄCEMU NARESZNIE
JESTEM WOLNY”

Kiedy większość ludzi się rozeszła, Martin Luther King senior położył głowę na chłodnym kamieniu grobowca swego syna i głośno zapłakał.

MURKIN Files

Zanim nadszedł 10 kwietnia, dzień po pogrzebie Kinga, polowanie na człowieka z pokoju 5B zaczęło nabierać impetu. Ramsey Clark, który pracował na okrągło, stworzył centrum operacyjne na czwartym piętrze budynku Departamentu Sprawiedliwości. Wstawiono tam łóżka polowe i przynoszono jedzenie, żeby zespół urzędników, którzy pracowali nad prawnymi aspektami sprawy, nie umarł z głodu. „To była ogromna operacja – wspominał Clark. – Nie wracałem na noc do domu, tymczasowo zamieszkałem w Departamencie, spałem w swoim gabinecie. Było to największe śledztwo w sprawie pojedynczego przestępstwa w całej historii USA”⁵⁸⁷.

Clark kilka razy dziennie spotykał się z DeLoachem w centrum dowodzenia FBI i prosił o najnowsze informacje. DeLoach oczywiście nie znosił tych briefingów, ale wiedział, że nie ma innego wyboru, jak tylko współpracować z prokuratorem generalnym – a jednocześnie starać się trzymać zarówno Clarka, jak i Hoovera jak najdalej od śledztwa. Niestety 10 kwietnia za bardzo nie było się czym pochwalić. Po gorączkowych działaniach na początku poszukiwania najwyraźniej ugrzęzły. Badano całą masę wątplych tropów. Do biur terenowych FBI zgłaszano się z różnymi szalonymi poszlakami, sensacyjnymi plotkami i z pozoru obiecującymi tropami, które agenci rzetelnie sprawdzali, ale nic z tego nie wynikało.

Jednak dochodzenie przynajmniej miało teraz oficjalną nazwę. We wszystkich notatkach i zaszyfrowanych dalekopisach, w każdej korespondencji FBI i Departamentu Sprawiedliwości śledztwo miało się nazywać MURKIN – skrót od „Murder, King”. W operacji tej, należącej do kategorii „specjalnych dochodzeń”, brało teraz udział około trzech tysięcy agentów. Najwięcej działało się w biurze Roberta Jensa w Memphis i w Birmingham, ale śledztwo rozprzestrzeniło się na wszystkie biura terenowe w kraju. Śledczy FBI, licząc na to, że dogrzebią się do jakichś szczegółów biograficznych na temat Erica Galta, Harveya Lowmeyera czy Johna Willarda, przeczesywali wszelkie dostępne bazy z nazwiskami: listy wyborcze, rejestry sądów penitencjarnych, książki telefoniczne, dokumentację spółek komunalnych i firm dostarczających media. Sprawdzano wypożyczalnie samochodów, linie lotnicze, firmy obsługujące karty kredytowe, wydziały motoryzacji, urzędy skarbowe i wojskowe komendy uzupełnień. Do tej pory nie udało się znaleźć niczego obiecującego.

Tymczasem J. Edgar Hoover gorączkowo wysyłał dalekopisy na wszystkie „terytoria” FBI i podkreślał ogromną wagę tego dochodzenia. „Działamy jak najsumiennie i jak najszybciej – napisał 9 kwietnia do wszystkich agentów specjalnych biorących udział w tej operacji. – Dochodzenie ma zasięg ogólnokrajowy, sprawdzani są niezliczeni podejrzani i badane są fizyczne dowody. Możecie mieć całkowitą pewność, że śledztwo będzie prowadzone w trybie pilnym aż do ostatecznego rozstrzygnięcia sprawy. Wszelkie tropy mają być natychmiast, gruntownie i twórczo zweryfikowane. Musicie wykorzystać możliwości stwarzane przez wszystkie tropy, ponieważ każdy z nich może doprowadzić do rozwiązania tej niezwykle ważnej

sprawy. Agenci zostaną osobiście pociągnięci do odpowiedzialności za wszelkie uchybienia przy prowadzeniu tego śledztwa”⁵⁸⁸.

Prokurator generalny Clark z zadowoleniem stwierdził, że FBI, chociaż wcześniej knuło przeciwko Kingowi i jego organizacji, rzetelnie i w szybkim tempie prowadzi poszukiwania zamachowca. Miał jednak mnóstwo pytań do DeLoacha. Poprosił go między innymi, żeby wyraził swój pogląd na temat zabójcy.

– Rasista – odparł DeLoach. – Może członek rasistowskiej bojówki. Ubiera się elegancko, ale najlepiej czuje się w czynszówce. Mało rozgarnięty. Nie zaplanował tego przestępstwa zbyt dobrze⁵⁸⁹.

– Czy jest możliwe, że miał współników? – spytał Clark.

– Na razie nie mamy żadnych dowodów na to, że ktoś mu pomagał w zaplanowaniu albo przeprowadzeniu zamachu. W przeciwnym razie ucieczka przebiegałaby sprawniej i zostawiłby mniej świadków.

DeLoach poinformował Clarka, że FBI poświęca nieprawdopodobnie dużo czasu i energii na badanie różnych zwariowanych tropów. Ogłoszenie nagrody za znalezienie zabójcy oraz publikacja w mediach stworzonego przez artystę rysopisu sprawcy znacznie przyspieszyły napływ tego rodzaju informacji. Opublikowany przez gazety i czasopisma od wybrzeża do wybrzeża wizerunek dobrze oddawał kształt orlego nosa Galta, ale poza tym był tak bezpłciowy i ogólny, że mógł przedstawiać każdego. A jednak ludzie przysięgali, że widzieli zamachowca w Rock Hill w Karolinie Południowej, w kalifornijskim Mountain View, w Joplin w stanie Missouri czy na lotnisku LaGuardia.

„Doniesienia” napływały ze wszystkich stron świata⁵⁹⁰. Do Denver dotarła pogłoska, że zabójca jest Amerykaninem włoskiego pochodzenia związanym z rasistowską organizacją Minutemen. Z Karoliny Północnej przyszła informacja, że za zamachem kryje się Bobby Ray Graves z Exalted Cyclops, szef lokalnego oddziału Ku Klux Klanu z Boiling Springs. Z kolei właściciel tawerny z Baltimore zawiadomił policję o podsłuchanym przez siebie „Kubańczyku”, który powiedział, że był niedawno w Memphis i już pięć dni przed zamachem wiedział, że King zostanie zamordowany. Szanowany murzyński sklepikarz i członek ruchu praw obywatelskich z zachodniego Tennessee zgłosił się z mrozącą krew w żyłach historią, że zaledwie kilka godzin przed zamachem usłyszał, jak pewien właściciel targu mięsnego w Memphis, prawdopodobnie powiązany z mafią nowoorleańską, krzyczy do telefonu: „Najpierw zastrzel sukinsyna na balkonie, to ci zapłacę!”⁵⁹¹.

Większość informatorów zdawała się mieć dobre intencje, ale inni prawdopodobnie chcieli zrobić śledczym na złość. Biuro terenowe w Miami otrzymało anonimową notatkę na skrawku papieru: „Jedźcie do La-Grange w Georgii, a będziecie mieli zabójcę Kinga”. Autor twierdził, że zamachowca, którego opisał jako „śmiesznie mówiącego dziwaka”, spotkał na wystawie broni palnej w Memphis i widział, jak ten człowiek kupuje .30-06 „bardzo podobny do karabinu, z którego zabito Kinga”.

Przez jakiś czas można było odnieść wrażenie, że zatrzymywani i przesłuchiwanymi są wszyscy uliczni psychotycy, bełkoczący do siebie menele i barwni włóczędzy. Zaskakująco duża liczba doniesień pochodziła od ludzi, którzy chcieli zrobić członków własnej rodziny. Pewna mieszkanka Luizjany zadzwoniła z informacją, że jej syn nicpoń jeździ białym mustangiem

z 1967 roku i od dnia zamachu nie miała z nim kontaktu. Z kolei pewna kobieta z Chicago powiedziała o zabójcy:

– Bardzo przypomina mojego byłego męża.

Szczególnie ciężki los przypadł w udziale wszystkim, którzy mieli na nazwisko Galt, Willard czy Lowmeyer – w różnych wariantach pisowni. Johnów Willardów znaleziono w Los Angeles, Des Moines i Spokane. Innego Johna Willarda, zlokalizowanego w miejscowości Oxford w stanie Missisipi, przesłuchiowano dotąd, aż udało się z całą pewnością ustalić, że w chwili zamachu kosił trawnik przy swoim domu. Wielokrotnie przesłuchiowano pastora Ralpa Galt z Birmingham.

– Nic nie wiemy o tej osobie – powiedziała prasie jego żona. – Sprawdziliśmy wszystkich krewnych, którzy przychodzą nam do głowy, i zastanawiamy się, czy nazwisko nie zostało zmyślane.

Przez chwilę FBI rozważało możliwość, że zabójcą był zazdrosny mąż jednej z kochanek Kinga; a raczej że zazdrosny mąż jednej z kochanek Kinga wynajął płatnego zabójcę. W Los Angeles agenci przesłuchali znanego murzyńskiego dentystę, męża wieloletniej kochanki Kinga, ale bez żadnych rezultatów. Z kolei agenci Jensena w Memphis sprawdzili hipotezę, że za zamachem na Kinga stoją Invaders, którzy w dniu jego śmierci ostro posprzecjali się ze sztabem Kinga; ale ten trop również prowadził na manowce.

Potem pewna mieszkanka Memphis zadzwoniła do biura Hollomana i zwróciła uwagę śledczych na dziwną okoliczność⁵⁹². Wieczorem po zamachu oglądała w lokalnej telewizji specjalny program o doktorze Kingu, w którym po raz pierwszy ukazał się obszerny fragment ostatniego przemówienia pastora „Na szczycie góry”. Kiedy kamera przesuwiała się po zgromadzonych w Mason Temple słuchaczach, kobieta zauważyła tajemniczego białego mężczyznę, który był całkiem podobny do osoby z rysopisu. Odniosła wrażenie, że ów człowiek, który przez moment mignął na ekranie, czuł się nieswojo i nie na miejscu. Policyjni śledczy poszli do lokalnego oddziału telewizji NBC i przejrzeni ten materiał. Szybko udało im się znaleźć wspomniany fragment z niespokojnym białym mężczyzną, „którego zachowanie nie pasowało do zachowania obecnych na tym spotkaniu kolorowych mężczyzn i kobiet”. Obraz był ziarnisty, a fragment bardzo krótki, należało jednak postawić sobie pytanie, czy zabójca Kinga słuchał jego ostatniego przemówienia. Czy zamachowiec widział, jak King spogląda na publiczność i mówi o zagrożeniach ze strony „niektórych naszych chorych białych braci”?

Był też telefon z Konsulatu Meksykańskiego w Memphis⁵⁹³. Pełniący obowiązki konsula Rolando Veloz powiedział policji, że 3 kwietnia wydał wizę turystyczną podejrzanemu wyglądającemu młodemu człowiekowi „zaskakująco podobnemu” do opublikowanego przez media rysopisu zabójcy Kinga. Mężczyzna przedstawił się jako John Scott Candrian, a podane przez niego adres i numer telefonu w Chicago okazały się fałszywe.

– Zgłosił się do nas dzień przed zabójstwem – powiedział Veloz. – Spytałem go o cel podróży. Po chwili wahania odpowiedział: „Po prostu jadę do Meksyku”.

Mężczyzna napisał we wniosku, że zamierza przekroczyć granicę Meksyku 13 kwietnia i chce odwiedzić miejscowość Mazatlán nad Pacyfikiem.

Trop uznano za dostatecznie mocny, aby FBI rozszerzyło śledztwo MURKIN na Meksyk i poprosiło o pomoc *federales*, a jednocześnie zaostrzyło kontrole na wszystkich przejściach granicznych. Władze meksykańskie szybko dokonały potencjalnie zaskakującego odkrycia: na plaży w Puerto Vallarta znaleziono podziurawione kulami ciało białego mężczyzny, którym

mógł być amerykański turysta⁵⁹⁴. Denat przypominał z twarzy człowieka z pokoju 5B, ale jego dłonie znajdowały się już w tak zaawansowanym stadium rozkładu, że nie udało się zdjąć odcisków palców, nawet po wstrzyknięciu do nich specjalnego płynu. Ta ślepa uliczka wzmacniała hipotezę, którą z coraz większą zgrozą podnoszono w szeregach FBI: że poszukiwany już nie żyje, zamachowiec sam padł ofiarą zamachu, zabity przez spiskowców, którzy go zatrudnili.

Pani Riley codziennie myślała o mustangu zaparkowanym pod swoim oknem na osiedlu mieszkaniowym Capitol Homes w Atlancie⁵⁹⁵. Czemu on tam stoi od pięciu dni? Dlaczego nikt po niego nie przyjechał? Riley martwiła się i przeżywała rozterki. Rozmawiała o tym z sąsiadami. Zasięgnęła nawet rady swojego pastora. W końcu jednak do chwycenia za słuchawkę namówił ją trzynastoletni syn Johnny.

10 kwietnia po południu, po pogrzebie Kinga, Johnny usłyszał w telewizji, że władze kontrolują granicę z Meksykiem, szukają mężczyzny, który dzień przed zamachem wystąpił w Memphis o wizę turystyczną. Trop ten kilka dni później okazał się fałszywy, ale materiał pobudził wyobraźnię nastolatka.

– Mamo – powiedział Johnny – to auto ma na oknie nalepkę z napisem „*Turista*”. Ten, kto nim jeździł, był w Meksyku.

To przekonało panią Riley do znalezienia w książce telefonicznej numeru lokalnego biura FBI. Słowa tej skromnej gospodyni domowej nie zrobiły na jej rozmówcy zbyt wielkiego wrażenia. Przez ostatnie pięć dni przepracowani i niedospani agenci z biura terenowego w Atlancie badali nawet najgłupsze tropy i sądzili, że ten również zalicza się do tej kategorii.

– Proponuję, żeby zadzwoniła pani na policję – powiedział ten mężczyzna, którego tożsamości nie znamy, i podał jej numer wydziału zajmującego się kradzieżami samochodów.

Pani Riley wykręciła podany jej numer i znowu spotkała się z mało entuzjastyczną reakcją. Roy Lee Davis zanotował dane mustanga i zakończył rozmowę. W rejestrze skradzionych samochodów nie znalazł zgłoszenia dotyczącego białego mustanga z 1966 roku z rejestracjami z Alabamy i niewiele brakowało, aby odłożył tę informację *ad acta*. Coś jednak kazało mu podzielić się nią z pracownikami dochodzeniówki, którzy uczestniczyli w śledztwie w sprawie zamachu na Kinga – i wzbudził ich ciekawość.

Tego samego wieczoru policyjny radiowóz wjechał na parking osiedla Capitol Homes i zatrzymał się koło mustanga. W wielu oknach migotała niebieska poświata – mieszkańcy oglądali w telewizji przełożoną uroczystość rozdania Oscarów. (*W upalną noc* wyprzedziło *Bonnie i Clyde* i *Absolwenta* w konkurencji na najlepszy film, a Katharine Hepburn po raz drugi dostała Oscara za najlepszą rolę kobiecą, tym razem za występ w *Zgadnij, kto przyjdzie na obiad*, kontrowersyjnym filmie o małżeństwie międzyrasowym z udziałem Poitiera).

Pani Riley wyjrzała przez okno i zobaczyła radiowóz. Uznała oczywiście, że policja przyjechała w reakcji na jej telefon, ale z zaskoczeniem i lekkim zniechęceniem stwierdziła, że po pobieżnych oględzinach mustanga funkcjonariusze odjechali, jakby samochód nie wzbudził ich zainteresowania. Doszła do wniosku, że z tym autem mimo wszystko nie wiąże się nic podejrzanego, i wróciła do oglądania gali oscarowej – a całą sprawę wymazała z pamięci.

Następnego dnia rano, kiedy niektóre rejony Waszyngtonu wygrzebywały się z ruin, Lyndon Johnson przewodniczył pewnej ceremonii w Gabinetce Wschodnim Białego Domu. Tego dnia, w czwartek 11 kwietnia, prezydent podpisywał ustawę o prawach obywatelskich, ostatni wielki

sukces ruchu Kinga⁵⁹⁶. Jej uchwalenie przyspieszono w związku z zamachem na pastora; ustalała między innymi, że dyskryminacja przy sprzedaży, wynajmie i finansowaniu około osiemdziesięciu procent nieruchomości w kraju będzie przestępstwem federalnym, a ponadto zwiększała kompetencje prokuratorów federalnych w ściganiu morderców przedstawicieli ruchu praw obywatelskich.

W obecności białych i czarnych przywódców prezydent usiadł za biurkiem i wziął do ręki wieczne pióro. Nazwał uchwalenie ustawy „zwycięstwem wszystkich Amerykanów” i oświadczył:

– Dzięki tej ustawie znowu przemawia głos sprawiedliwości.

Jak stwierdzili niektórzy komentatorzy, było to ostatnie tchnienie epoki praw obywatelskich.

Tego samego ranka w Toronto Galt szedł Yonge Street, planując podjęcie pewnych działań kamuflażowych. Poszedł do sklepu z zaopatrzeniem dla teatrów i kupił zestaw do makijażu⁵⁹⁷. Po powrocie do swojego pokoju nałożył sobie na twarz trochę podkładu, pudru i tuszu do rzęs. Inaczej zaczesał włosy i nieco oszczędniej użył brylantyny. Potem ubrał się w ciemny garnitur, wąski krawat z gofrowanej tkaniny i swoją najlepszą białą koszulę. Całość uzupełnił niedawno zakupionymi ciemnymi okularami w rogowej oprawie, które dodawały mu powagi na jego zaostrzonym przez chirurga plastycznego nosie.

Galt obejrzał się w lustrze. Był zadowolony ze swojego przeobrażenia: Ramona Sneyda można było teraz pokazać ludziom z bliska.

Po południu 11 kwietnia wszedł do studia fotograficznego Arcade, również przy Yonge Street, i powiedział do kierowniczkii, pani Mabel Agnew, że potrzebuje zrobić sobie zdjęcia paszportowe⁵⁹⁸.

Pani Agnew zaprowadziła go na tył studia, gdzie znajdowały się lustro umożliwiająca ostatnie poprawki wyglądu i plakat na ścianie przedstawiający krajobraz holenderski, po czym posadziła go na obrotowym stołku przed szarobiałym ekranem. Galt nie znosił takich rytuałów, ale tym razem patrzył prosto w obiektyw i miał oczy szeroko otwarte, zmobilizował wszystkie swoje umiejętności aktorskie, żeby dobrze wypaść w nowej roli. Pani Agnew nie zdołała go namówić do uśmiechu, ale w końcu udało jej się złapać przyzwoite ujęcie. Galt wrócił po kilku godzinach, kiedy fotografie były już wywołane, i za dwa dolary otrzymał trzy odbitki formatu paszportowego.

Wyszło całkiem niezłe. Człowiek na zdjęciu wyglądał na światowca, kosmopolitę. Mógł uchodzić za prawnika, inżyniera czy podróżującego po świecie biznesmena. Prawie zasługiwał na miano przystojnego.

Kiedy zdjęcia paszportowe Galta moczyły się w odczynnikach, agentów w Atlancie za chwilę czekał największy w tym tygodniu przełom. O 16.04 konwój limuzyn FBI zajechał na osiedle mieszkaniowe Capitol Homes⁵⁹⁹. Pośród stukania drzwi i jazgotu radiotelefonów kilkunastu agentów wysiadło z samochodów i otoczyło porzucony pojazd.

Nie było mowy o pomyłce – nie ulegało wątpliwości, że mają przed sobą samochód Erica S. Galta: białego, dwudrzwiowego, ośmiocyndrowego mustanga z 1966 roku z dwubarwnymi oponami i czerwoną tapicerką, VIN 6TO7C190647, numer rejestracyjny z Alabamy 1-38993.

Kiedy część agentów sprawdzała pojazd, mierzyła go i fotografowała, inni zaczęli przesłuchiwać mieszkańców Capitol Homes. „Widziała pani osobę, która zaparkowała ten samochód?” „Może pani podać jej rysopis?” „Widział pan już kiedyś tego mężczyznę?”

Przyciągnięte całym tym zamieszaniem dzieci podjechały na rowerach, ale dorośli byli mniej zachwyceni. „Było ich chyba z miliard”, powiedziała pewna pani⁶⁰⁰. Inna się poskarżyła: „Musiałam się położyć do łóżka. Niedobrze mi się zrobiło, kiedy kolejni policjanci zadawali mi wciąż te same pytania”.

Potem na parking przyjechała laweta i pod eskortą policyjną zawiozła mustanga do garażu w budynku federalnym na rogu ulic Peachtree i Baker. Grupa agentów w lateksowych rękawiczkach przeprowadziła oględziny pojazdu, konsekwentnie opróżniła go z całej zawartości i zdjęła odciski palców.

Sprawdzono każdy cal zarekwirowanego samochodu⁶⁰¹. Agenci pobrali próbki ziemi z bieżników opon, próbki płynów silnikowych, materiał osadzony na wykładzinach, siedzeniach i w bagażniku. Z zakamarków i powierzchni mustanga udało się pozyskać włókna, włosy i kilka doskonale zachowanych odcisków palców i dłoni. W schowku inspektorzy znaleźli okulary przeciwsłoneczne i futerał, a w bagażniku między innymi męskie szorty, poduszkę, poszewkę, rozmaite narzędzia, futerał na polaroid i coś, co wyglądało na samowyzwalacz. Duża naklejka na prawej przedniej szybie głosiła: „*Dirección General de Registro Federal de Automóviles, 1967 Octubre Turista, Aduana de Nuevo Laredo, Tam*”.

Wszystkie pobrane materiały i znalezione przedmioty włożono do worków foliowych i zapakowano do pudła, które kurier miał osobiście zawieźć samolotem do laboratorium kryminalistycznego w Waszyngtonie. Ale jeden obiekt znaleziony w mustangu mówił sam za siebie i nie wymagał analizy laboratoryjnej. Z małej nalepki na lewych drzwiach wynikało, że Eric Galt wymienił w samochodzie olej przy przebiegu pięćdziesięciu pięciu tysięcy stu osiemdziesięciu trzech kilometrów. Podany był adres warsztatu: „Cort Fox Ford, Hollywood Boulevard 4531”.

Po godzinie od znalezienia mustanga w Atlancie agent specjalny Theodore A'Hearn przyjechał do dealera Cort Fox Ford w Hollywood i w biurze serwisu zastał mechanika Budda Cooka juniora⁶⁰². Cook zajrzał do papierów i znalazł zlecenie wymiany oleju, które osobiście przyjął półtora miesiąca wcześniej. Było wystawione 22 lutego 1968 roku na Erica S. Galta.

Cook powiedział, że Galt przywiózł samochód o 8.00 rano. Był to mustang z 1966 roku.

– Pamięta pan, jak wyglądał? – zapytał A'Hearn.

Cook pogrzebał w pamięci, ale nic tam nie znalazł. Od tego czasu przez warsztat przewinęły się setki, a może nawet tysiące klientów. Niestety nie potrafił przedstawić żadnego rysopisu.

– Ale na zleceniu jest adres Galta – powiedział.

Następnego dnia rano, 12 kwietnia, agent Thomas Mansfield udał się do dużego i trochę zaniedbanego hotelu Saint Francis przy Hollywood Boulevard 5533⁶⁰³. Powiedział, że chciałby porozmawiać z właścicielem, i w recepcji po chwili pojawił się niejaki Allan Thompson. Od dwóch lat mieszkał w Saint Francis i miał styczność z gośćmi hotelowymi na co dzień.

Tak, powiedział Thompson, przypomina sobie Erica Galta. Znalazł kartę meldunkową, z której wynikało, że Galt mieszkał w Saint Francis przez jakieś dwa miesiące, do 17 marca. Dostał pokój 403, za który płacił osiemdziesiąt pięć dolarów miesięcznie.

– Miał ciemne włosy zaczesane do tyłu – przypomniał sobie Thompson. – Budowa szczupła do przeciętnej. Spokojny, chodził w konserwatywnych biznesowych garniturach. Prowadził nieregularny tryb życia. O ile mi wiadomo, nie był nigdzie zatrudniony.

Thompson dodał, że w pokoju 403 mieszka teraz ktoś inny, Galt nie zostawił tam żadnych

rzeczy.

– Powiedział, dokąd się wybiera? – zapytał agent Mansfield.

– W pewnym sensie – odparł Thompson i wyjął formularz zlecenia przekierowania poczty: „Poste restante, poczta główna, Atlanta, Georgia”. Formularz był datowany na 17 marca 1968 roku i podpisany „Eric S. Galt”.

Tego samego dnia, 12 kwietnia, dwaj inni agenci FBI, Lloyd Johnson i Francis Kahl, kilka przecznic dalej rozmawiali z panią Lucy Pinelą, kierowniczką pralni Home Service⁶⁰⁴. Przez miniony tydzień FBI sprawdzało w całym kraju pralnie używające maszyny metkującej Thermo-Seal, pochodziła z niej bowiem maleńka metka na majtkach pozostawionych w tobołku, który obecnie znajdował się w waszyngtońskiej siedzibie FBI. Poszukiwania te zaprowadziły agencję do południowej Kalifornii, gdzie z systemu Thermo-Seal korzystało wiele pralni, a jedną z nich była Home Service.

Tak, powiedziała agentom pani Pinela, od jakiegoś czasu używają maszyny Thermo-Seal. Na prośbę agentów pokazała to urządzenie, a nawet nakleiła metki na kilka sztuk odzieży, żeby im pokazać, jak działa maszyna i jak wyglądają metki.

Agenci Johnson i Kahl pokazali jej fotografię majtek znalezionych w Memphis, z wyraźnie widoczną metką: 02B-6. Pani Pinela natychmiast rozpoznała ten kod. Inna pracownica, która regularnie obsługiwała to urządzenie, powiedziała, że metka z całą pewnością pochodzi z Home Service, ponieważ zero jest częściowo ucięte – specyficzny defekt ich maszyny Thermo-Seal.

Właściciel Home Service Louis Puterman przeszukał w swoim biurze dokumentację i znalazł kwit z numerem 3065, na którym widniał numer Thermo-Seal 02B-6. Kwit był wystawiony na „E. Galt”.

Kiedy Lucy Pinela zobaczyła to nazwisko, natychmiast przypomniała sobie klienta. Galt nie zostawił adresu ani numeru telefonu, ale przez wiele miesięcy przynosił brudne ubrania do Home Service. Wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat, miał brązowe włosy i wąski nos.

– Z reguły przynosił rozpinane koszule – powiedziała. – Żadnej odzieży roboczej.

Miał swoje przyzwyczajenia: przychodził z praniem po południu w każdą sobotę i przy okazji odbierał rzeczy zostawione tydzień wcześniej. Przestał się pojawiać mniej więcej miesiąc temu.

Równolegle inni agenci FBI w Los Angeles dowiedzieli się, że Galt przez jakiś czas miał w swoim pokoju hotelowym telefon. Pod koniec stycznia linia została odłączona, ale firma telekomunikacyjna Pacific wydała agencji billingi dotyczące tego numeru: 469-8096. Analiza połączeń zaowocowała wieloma interesującymi tropami.

Jeden z numerów należał do kobiety, która sprzedała Galtowi telewizor Montgomery Ward z ogłoszenia w gazecie. Właścicielką innego numeru była Elizabeth Pitt, która zamieściła ogłoszenie w biuletynie jednego z biur matrymonialnych: „Wysoka, szczupła rozwódka z kasztanowymi włosami, czterdzieści jeden lat, szuka cierpliwego kandydata na męża”. Galt zadzwonił do niej z propozycją, żeby wystąpiła w filmie pornograficznym, czym nie była zainteresowana, więc nie umówili się na spotkanie. W billingu pojawiał się też numer siedziby sztabu wyborczego Wallace’a w Century City – w tej fazie śledztwa agentom nic to jeszcze nie mówiło. Prawdopodobnie najbardziej obiecującym znaleziskiem był numer National Dance Studio w Long Beach.

Do tej szkoły tańca natychmiast wybrał się agent George Aiken. Mieściła się przy Pacific Avenue 2026 w niskim budynku przesłoniętym drzewami palmowymi⁶⁰⁵. Aiken spotkał się tam

z panem Rodneyem Arvidsonem, który doskonale pamiętał swojego dawnego ucznia. W dużej sali z magnetofonem i przyklejoną do parkietu taśmą oznaczającą kroki Galt przez kilka miesięcy uczył się tańczyć cza-czę, fokstrota i swinga.

– Powiedział mi, że w 1967 roku był w Meksyku i miał tam restaurację – poinformował Arvidson. – Twierdził, że płynnie mówi po hiszpańsku, ale kiedy odzywałem się do niego w tym języku, nie odpowiadał, więc doszedłem do wniosku, że tylko się przechwala.

– Jak Galt się ubierał? – zapytał agent Aiken.

– Zawsze był w koszuli i krawacie, i czarnych mokasynach z błyszczącej skóry aligatora.

Arvidson pomyślał sobie kiedyś, że wygląd Galta klóci się z jego osobowością – że ubiera się jak biznesmen, ale mówi i zachowuje się jak niewykształcony i nieobyty towarzyszko człowiek z prowincjonalnej rodziny robotniczej.

– Zawsze wydawał się spięty – ciągnął. – Rzadko się uśmiechał. Był w miarę kulturalny, ale zamknięty w sobie; nigdy nie mówił o sobie i nie patrzył ludziom w oczy. Miał krzywy uśmiech. Twierdził, że jest marynarzem i chce wrócić na morze.

Wyglądało na to, że nigdzie nie pracuje, ale miał mnóstwo pieniędzy. Kiedy Arvidson przypominał mu, że minął termin płatności, Galt sięgał do kieszeni i ochoczo płacił dwudziestkami z dużego zwitka banknotów. Za lekcje tańca w sumie zapłacił ponad czterysta dolarów i nie sprawiał wrażenia, że rozstawanie się z tymi pieniędzmi jest dla niego szczególnie bolesne.

Arvidson znalazł w dokumentacji formularz, z którego wynikało, że Galt uczył się tańczyć fokstrota i cza-czę, kiedy mieszkał w Alabamie. „Za parę miesięcy planuje wyjechać, żeby pracować na statku – wpisano do formularza. – Chce podróżować”. W rubryce „Stan cywilny” wpisano „kawaler”.

Instruktorka tańca Cathryn Norton powiedziała agentowi Aikenowi, że często uczyła Galta.

– Nieźle tańczył, ale z nikim się nie zaprzyjaźnił. Zawsze chodził w garniturze, a paznokcie miał czyste i równo obcięte.

Norton przypomniała sobie, że czasem palił papierosy z filtrem i miał „nerwowy zwyczaj pociągania się za koniuszki uszu”.

Pewnego wieczoru ktoś związany ze szkołą tańca organizował przyjęcie w swoim domu i zjawilo się tam około dwudziestu osób.

– Galt przyszedł i wyszedł sam – wspominała Norton. – Wypił trochę ponczu, trzymał się z daleka od reszty towarzystwa. Był jak ślimak w skorupie.

Ostatnia lekcja Galta odbyła się 12 lutego.

– Kiedy się z nami żegnał – przypomniał sobie Arvidson – powiedział tylko tyle, że ma zamiar otworzyć własny bar i restaurację, ale najpierw chce się zapisać na kurs dla barmanów.

– Tak – powiedział Tomas Lau – Eric Galt był tutaj kursantem⁶⁰⁶.

Lau, uprzejmy mężczyzna z równo przyciętym wąsem, był dyrektorem Międzynarodowej Szkoły Barmanów przy Sunset Boulevard 2125 w Los Angeles. Agenci FBI Theodore A'Hearn i Richard Raysa sprawdzili wszystkie szkoły dla barmanów w południowej Kalifornii i szybko zlokalizowali szkołę Tomasa Lau.

Lau uważał Galta za „sumiennego i dobrze zorganizowanego” człowieka z zadatkami na dobrego barmana. Miał o nim tak dobre zdanie, że z własnej inicjatywy znalazł mu pracę.

– On jednak odmówił – wspominał. – Oznajmił, że zamierza odwiedzić brata, który nie mieszka w Los Angeles, i na razie nie szuka zajęcia. Powiedział, że do mnie zadzwoni, jeśli po

powrocie będzie potrzebował pracy.

Inny kursant, Donald Jacobs, przypominał sobie słowa Galta, że pracował jako kucharz na statkach i barkach pływających po Missisipi⁶⁰⁷. Jacobs nie bardzo w to wierzył, bo zauważył, że Galt „nie ma zrogowaciałych czy spracowanych dłoni”.

Lau słabo sobie przypominał, jak wyglądał jego były uczeń, poza tym, że „miał cienkie usta”. Pamiętał również, że Galt mówił z lekkim południowym akcentem. Potem przypomniał sobie dzień zakończenia kursu.

– Mam gdzieś jego zdjęcie – stwierdził.

– Jakim cudem? – zapytał z niedowierzaniem agent A’Hearn.

– Robię sobie zdjęcia ze wszystkimi naszymi absolwentami trzymającymi dyplom w ręce – wyjaśnił Lau. – Od początku mamy taki zwyczaj.

Lau przejrzał albumy i szybko znalazł fotografię zrobioną 2 marca. Po raz pierwszy któryś z agentów FBI patrzył na wizerunek człowieka poszukiwanego na terenie całego kraju przez trzy tysiące jego kolegów.

Lau dumnie pozował ze swoim uczniem, szczupłym mężczyzną z wąskim nosem, ciemnymi włosami i jasną cerą, we fraku i muszce. Portret nie różnił się wiele od innych zdjęć absolwentów w albumie poza jednym szczegółem, który zwrócił uwagę agenta A’Hearna: Galt miał zamknięte oczy.

Kanada ci wierzy

Nareszcie dysponując fotografią głównego podejrzanego, FBI zaczęło w pełni wykorzystywać swoje instytucjonalne kompetencje i rozcapierzyło macki poszukiwań na cały kraj. W Los Angeles agenci sprawdzili banki w pobliżu Saint Francis, licząc na to, że Eric Galt pozostawił po sobie jakieś finansowe ślady. Trop ten okazał się niezwykle owocny: chociaż Galt nie miał rachunku oszczędnościowego ani bieżącego, ani w ogóle żadnej historii kredytowej, w oddziale Bank of America w Hollywood agenci ustalili, że Galt na przełomie 1967 i 1968 roku zlecił kilka przekazów pieniężnych na niewielkie sumy. Jeden z nich wysłał Locksmithing Institute w Little Falls w New Jersey.

W ciągu godziny agenci z New Jersey odwiedzili „instytut” i ustalili, że placówka ta oferuje korespondencyjne kursy dorabiania kluczy, awaryjnego otwierania zamków i sejfów, podłączania alarmów i innych ślusarskich umiejętności, przeznaczone dla osób z całego świata. Galt musiał podpisać oświadczenie, że nigdy nie był skazany za włamanie, oraz deklarację, że „nigdy nie wykorzysta nabytej wiedzy do popełnienia przestępstwa lub współudziału w przestępstwie”. Z dokumentacji Locksmithing Institute wynikało, że ostatnią lekcję wysłano Galtowi zaledwie tydzień wcześniej na adres Czternasta Ulica 113 w Atlancie.

Trop ten natychmiast przekazano do biura terenowego w Atlancie i po paru minutach zespół poruszających się nieoznakowanym samochodem agentów zajechał pod kamienicę czynszową Jimmiego Garnera przy Czternastej Ulicy. Biorąc pod uwagę możliwość, że Galt nadal tam przebywa, agenci prowadzili obserwację budynku i w pierwszym dniu nikogo nie przesłuchali, żeby się nie zdemaskować ani nie zaalarmować przedwcześnie mediów.

Dwaj inni agenci, przebrani za hipisów – dzwony, koraliki, cały rynsztunek – wynajęli pokój obok pokoju Galta⁶⁰⁸. Okazało się, że między tymi dwoma pokojami są drzwi. Przyciskając uszy do deski, ustalili, że w pokoju Galta nikogo nie ma. Próbowali otworzyć drzwi, ale były zamknięte. Zadzwoniono do DeLoacha w Waszyngtonie, który powiedział:

– Dostańcie się tam, nawet gdybyście musieli zdjąć drzwi z zawiasów!⁶⁰⁹

Agenci tak właśnie zrobili i znaleźli się w pokoju podejrzanego. Ciemne i skąpo urządzone pomieszczenie wydawało się niezamieszkane, ale kiedy pogrzebali w szufladach i pod stołami, natrafili na kilka interesujących rzeczy, takich jak broszura zatytułowana „Twoje szanse ślusarskie” i przenośny telewizor Zenith⁶¹⁰. Były też broszura „Co to jest Stowarzyszenie Johna Bircha?” i niewielkie zapasy żywności, pozostałość po oszczędnościowych posiłkach człowieka, który najwyraźniej był pustelnikiem i chomikiem: paluszki Nabisco, dressing Kraft Catalina, mleko w proszku Carnation, kawa rozpuszczalna Maxwell House, francuska musztarda, puszka fasoli.

Poza tym w różnych miejscach leżało kilka map samochodowych – takich do wzięcia za darmo na stacjach benzynowych – które łącznie zdawały się wytyczać trasę podróży Galta. Były

tam mapy Los Angeles, Meksyku, Kalifornii, Arizony, Teksasu i Oklahomy, Luizjany, Birmingham i południowo-wschodnich stanów.

Agentom udało się też znaleźć plan Atlanty z różnymi miejscami zaznaczonymi ołówkiem. Nie pozostawiało to żadnych wątpliwości, że FBI jest na właściwym tropie: jedno kółko naniesiono blisko domu Martina Luthera Kinga, jedno przy Ebenezer Baptist Church, jedno w lokalizacji kamienicy czynszowej Garnera i jedno na osiedlu mieszkaniowym Capitol Homes, gdzie zostawiono mustanga. Dosyć jednoznacznie wskazywało to, że Galt śledził Kinga, a także z wyprzedzeniem znalazł nierzucające się w oczy miejsce na zostawienie samochodu.

Niczego nie ruszając, agenci wrócili do „swojego” pokoju i z powrotem powiesili drzwi na zawiasach. Ich wątpliwa z prawnego punktu widzenia wizja lokalna pozwoliła im ustalić fakty potrzebne DeLoachowi. Galt tam nie mieszkał – w pokoju nie było ubrań, walizek ani innych śladów bytności lokatora poza nieświeżą żywnością. Przyszedł czas, by wyjść z ukrycia – przesłuchać Garnera, wydać nakaz rewizji i skonfiskować wszystkie przedmioty z pokoju Galta.

Przez ostatnie kilka dni agenci FBI w Los Angeles weryfikowali serię intrygujących tropów. Podczas kolejnego przesłuchania w szkole dla barmanów Tomas Lau znalazł „referencje” Galta, które zawierały nazwiska trzech osób – Charlie Stein, Rita Stein i Marie Tomaso – wraz z adresami w Los Angeles.

Agenci specjalni William John Slicks i Richard Ross znaleźli Charlesa Steina w jego mieszkaniu przy Franklin Avenue 5666, tuż za rogiem Saint Francis⁶¹¹. Od razu było widać, że Stein to człowiek przebiegły, gaduła i megaloman, ale nie uchylał się od współpracy. Opowiedział agentom, w jaki sposób poznał Galta: jego siostra Rita chciała, żeby ktoś przewiózł jej dwie zestresowane córki bliźniaczki z Luizjany, i przekonała Steina, by w okresie świątecznym pojechał z Galtem jego mustangiem do Nowego Orleanu. Poinformował również agentów, że Galt postawił dosyć dziwny warunek: Stein, Rita i ich kuzynka Marie Tomaso musieli najpierw złożyć podpisy pod kandydaturą George’a Wallace’a w prawyborach prezydenckich.

– Powiedział, że służył w wojsku – wspominał Stein. – Powiedział, że jest z Alabamy i kiedyś zamierza tam wrócić. Powiedział, że jeśli Murzyn chce być wolny, to powinien się wyprowadzić na północ albo na zachód, a jeśli chce być niewolnikiem, to powinien zostać na południu.

Wspomnienia Steina z wyprawy do Nowego Orleanu początkowo były dosyć ogólnikowe, ale kiedy następnego dnia przesłuchano go ponownie, odświeżył sobie pamięć.

Galt miał dużo pieniędzy; powiedział, że był współwłaścicielem baru w Meksyku i sprzedał swoje udziały. Zatrzymał się kilka razy, żeby zadzwonić do kogoś z budki telefonicznej. Lubił hamburgery ze wszystkimi dodatkami i miał zwyczaj pić piwo podczas jazdy. Ciągle puszczał w radiu samochodowym muzykę country.

– Jak wyglądał? – zapytali go agenci. – Jak się ubierał?

– Miał brązowy garnitur i nosił zegarek. Powiem wam, że ten facet używał za dużo brylantyny.

Agenci Ross i Slicks stwierdzili, że kuzynka Steina Marie Tomaso całkiem sporo pamięta na temat Galta⁶¹². Jako kelnerka topless w Sultan Room i jego współlokatorka w Saint Francis widziała Galta prawdopodobnie ponad trzydzieści razy.

– Na ogół pił wódkę albo piwo – przypominała sobie. – Lubił mielonkę. Miał gładkie dłonie. Zawsze miał poważną minę. Był strasznie błądy, jakby większość czasu spędzał pod dachem.

Tomaso i Galt grali kiedyś w bilard.

– Nie grał jakoś genialnie, ale było widać, że nie jest nowicjuszem.

Był dosyć spokojny i nieśmiały, ale też nerwowy. Tomaso pamiętała, jak się zezłościł na nią i Ritę, kiedy zaproponowały, żeby to Charlie, a nie Rita, pojechał z nim do Nowego Orleanu. „Mam broń – powiedział. – Jeśli mnie w coś wrabiacie, to go zastrzelę”.

Pod koniec lutego Tomaso i Galt uzgodnili, że wymienią się telewizorami. Galt chciał zamienić swój nieporęczny odbiornik Montgomery Ward, kupiony kilka miesięcy wcześniej z ogłoszenia w gazecie, na jej małego zenitha. Tomaso nie rozumiała, dlaczego chce wymienić porządny telewizor na taki szmelc, ale wyjaśnił jej, że w następnych miesiącach zamierza trochę podróżować, więc potrzebuje telewizora przenośnego.

Uznała tę transakcję za bardzo korzystną i poszła z Galtem na górę do jego pokoju, żeby mu pomóc znieść jego duży telewizor, który miał z tyłu odręczny napis: „MARTIN LUTHER COON”⁶¹³.

Kiedy agenci specjalni John Ogden i Roger Kaas w Niedzielę Wielkanocną 14 kwietnia zapukali do drzwi Jimmiego Garnera, właściciel kamienicy czynszowej z Atlanty był kompletnie zdezorientowany – i najprawdopodobniej trochę pijany⁶¹⁴. Miał straszny bałagan w papierach i w pierwszej chwili pomylił Galtę z innym lokatorem, robotnikiem z Karoliny Północnej, który zameldował się kilka dni wcześniej. Jednak agenci konsekwentnie pomagali mu odświeżyć pamięć i do jego zamglonego umysłu powoli wróciły wspomnienia o Ericu Galtie.

Galt wprowadził się 24 marca.

– Miał na sobie garnitur i wyglądał zupełnie jak pastor – powiedział Garner.

Płacił dziesięć dolarów tygodniowo i mieszkał w pokoju 2. Po tym, jak 31 marca zapłacił czynsz za drugi tydzień, Garner już nigdy go nie zobaczył. Po południu 5 kwietnia wszedł do pokoju Galtę, żeby zmienić pościel, i znalazł na łóżku kawałek tektury, na którym Galt napisał długopisem: „Musiałem wyjechać do Birmingham. Zostawiam telewizor. Niedługo po niego przyjadę”. Lokator jednak nie wrócił i Garner postawił na nim krzyżyk; zaczął się nawet zastanawiać, czy nie wziąć sobie porzuconego zenitha.

Tego wieczoru agenci FBI pilnowali czynszówki, na wypadek gdyby Galt próbował zabrać swoje rzeczy. Następnego dnia rano, w poniedziałek 15 kwietnia, agenci Kaas i Ogden po raz drugi odwiedzili Garnera. Zapytali, czy mogliby zobaczyć pokój Galtę.

– Jasne – powiedział Garner.

Zabrał z biura wielki pęk kluczy i otworzył agentom pokój 2. Najwyraźniej nie wiedział, że agenci FBI już się tam wstępnie rozglądali, ale zaczynał się domyślać, czego dotyczy dochodzenie.

– Jak wam idzie śledztwo w sprawie Kinga? – zapytał w pewnym momencie.

Na oczach Garnera agenci włożyli rękawiczki i skonfiskowali wszystkie rzeczy Galtę (ku rozpaczy właściciela czynszówki zabrali również telewizor). Materiał dowodowy natychmiast przewieziono do biura terenowego FBI, zapakowano i powierzono agentowi Johnowi Sullivanowi, który pojechał na lotnisko w Atlancie, wsiadł do samolotu linii Delta do Waszyngtonu i osobiście przekazał najnowsze znalezisko Laboratorium Kryminalistycznemu FBI.

Tymczasem Jimmiego Garnera zawieziono do biura FBI w Atlancie na kolejne przesłuchanie. Jeden z agentów położył przed nim sześć fotografii różnych białych mężczyzn i zapytał:

– Czy widzi pan tutaj któregoś ze swoich lokatorów?

Garner bez wahania wskazał na fotografię Erica Galtę, zdjęcie portretowe wykonane w szkole

dla barmanów.

– Jeśli to nie on, to na pewno jego bliźniak – zapewnił.

Następnego dnia rano w Memphis strajk śmieciarzy, który zwabił Kinga na miejsce swojej śmierci, nareszcie zbliżał się do końca. Prawie każdego dnia od zamachu, kiedy na ulicach dalej gromadziły się śmieci, a mieszkańcy zaczęli podejrzewać, że zabójca Kinga nigdy nie zostanie znaleziony, negocjatorzy spędzali długie godziny w hotelu Claridge w centrum i rozpaczliwie usiłowali wypracować jakieś porozumienie. Dyskusje wielokrotnie zamieniały się w przekrzykiwania, grożenie sobie palcami i wymachiwanie pięściami – „byliśmy odrętwiali, emocjonalnie wypaleni”⁶¹⁵, stwierdził jeden z mediatorów – i niewiele brakowało, a negocjacje zostałyby zerwane.

Nie doszło do tego przede wszystkim dzięki osobistemu emisariuszowi prezydenta Johnsona, wiceministrowi pracy Jamesowi Reynoldsowi.

– Może nie zdajecie sobie z tego sprawy – powiedział do negocjatorów – ale na tym stole skupione są oczy całego świata.

Reynolds był także osobą, która wymyśliła sprytnie wyjście z tego pata: uprzejmie zignorować burmistrza Henry’ego Loeba i negocjować bezpośrednio z radą miasta. Pozwoliło to burmistrzowi uratować twarz; mógł nadal trwać na swoim nieprzejednanym stanowisku – „związek jest nielegalny i nie można z nim negocjować!” – a winą za ewentualne ustępstwa obarczyć radę.

Reynolds pomógł również rozstrzygnąć inną poważną kwestię sporną, a mianowicie sposób opłacania składek związkowych przez śmieciarzy: zaproponował, aby automatycznie potrącała je z wypłat niezależna, zarządzana przez pracowników federalna kasa kredytowa. Ostatnią przeszkodą do pokonania była niewielka podwyżka płacy – trudny problem, ponieważ okazało się, że miasto nie dysponuje w obecnym budżecie żadnymi zapasowymi środkami. Wydawało się, że nie ma wyjścia z tej sytuacji, ale przemysłowiec z Memphis Abe Plough, założyciel wielkiego koncernu farmaceutycznego produkującego balsam przeciwsłoneczny Coppertone, kosmetyki Maybelline i aspirynę St. Joseph, przelał na rachunek miasta sześćdziesiąt tysięcy dolarów (zastrzegając sobie anonimowość), co wystarczyło na pokrycie dodatkowych wydatków do czasu nowelizacji budżetu⁶¹⁶.

Ostatecznie miasto spełniło z grubsza wszystkie żądania, o które strajkujący walczyli przez minione sześćdziesiąt pięć dni: uznano związek za legalny, rozstrzygnięto kwestię odprowadzania składek związkowych, uproszczono procedury wszczynania sporu zbiorowego i podwyższono płace. Gdyby kwestie symboliczne dało się przełożyć na finansowe, to odszkodowanie za śmierć Kinga, a także dwóch pracowników, których tragedia zapoczątkowała strajk, okazałoby się nader mizerne: śmieciarze, reprezentowani przez lokalny oddział AFL-CIO, otrzymali podwyżkę w wysokości dokładnie dziesięciu centów za godzinę.

Negocjatorzy w końcu uścisnęli sobie ręce i rada miejska zatwierdziła protokół ustaleń (nikt nie miał odwagi nazwać tego umową). Nawet burmistrz Loeb przyznał, że jest to dobre dla miasta. „Po zamachu na doktora Kinga – powiedział później – po prostu musieliśmy załatwić tę sprawę”⁶¹⁷. Po zabójstwie Memphis było wzburzone do głębi, kwestionowało swoją tożsamość i próbowało zbudować ją na nowo. Karnawał Bawełny w całości odwołano – a później już nigdy nie wyglądał tak samo. *Hambone’s Meditations*, komiks regularnie ukazujący się na łamach

„Commercial Appeal”, dogorywał. Jeszcze w tym samym miesiącu redakcja zdecydowała, że tak lubiany przez czytelników Murzyn o umysłowości Forresta Gumpa już się przeżył.

Wiceminister pracy Reynolds był zachwycony i czym prędzej przekazał dobrą wiadomość prezydentowi Johnsonowi.

– „Jestem człowiekiem”; oni to traktują bardzo poważnie – powiedział. – Zabierają odpadki i ładują do śmieciarek, ale chcą, żeby ktoś powiedział do nich: „Jesteś człowiekiem!”. To nie są dla nich puste słowa⁶¹⁸.

Tego wieczoru, 16 kwietnia, śmieciarze zebrali się w Clayborn Temple, kościele, na którego ścianach nadal było widać ślady po gazie łzawiącym użytym w czasie oblężenia 28 marca, i jednogłośnie zatwierdzili porozumienie. Ludzie tańczyli między ławkami, płakali i pokazywali palcami znak zwycięstwa. Miejscowy przywódca związkowy T. O. Jones miał twarz zalaną łzami, kiedy wchodził na mównicę.

– Wiele razy nas skrzywdzono – krzyknął – ale zwyciężyliśmy!⁶¹⁹

Panujący w kościele entuzjazm był podszyty bolesną świadomością ceny, którą przyszło zapłacić za to zwycięstwo. Jeden ze śmieciarzy, który wyraźnie cieszył się z tego, że następnego dnia rano będzie mógł wrócić do pracy, ujął to następująco:

– Wygraliśmy, ale przy okazji straciliśmy dobrego człowieka⁶²⁰.

Parę godzin wcześniej w Toronto Galt przechodził metamorfozę. Powoli wykluwał się z poczwarnej tożsamości i wchodził w buty Ramona George’a Sneyda. Rano znalazł dla „Sneyda” nowe mieszkanie, kilka przecznic od kamienicy czynszowej Szpakowskich w Ossington, przy Dundas Street West 962. Czynnówkę prowadziła Chinka Sun Fung Loo⁶²¹. Potem napisał do Urzędu Stanu Cywilnego w Ottawie wniosek o wysłanie świadectwa urodzenia Ramona Sneyda na adres przy Dundas⁶²².

Kilka godzin później Sneyd poszedł do renomowanego biura podróży Kennedy, aby rozpytać się o bilety lotnicze. Po raz pierwszy przedstawił się publicznie jako Sneyd; miał na nosie profesorskie okulary w szylkretowej oprawie, te same co na fotografii, którą planował dołączyć do wniosku o paszport. Kierowniczka biura podróży Lillian Spencer chętnie pomogła Sneydowi w zaaranżowaniu podróżniczych planów⁶²³. „Przyszedł jakby znikąd – wspominała. – Nie należał do ludzi, których się zauważa, zapamiętuje, zlewał się z tłem”.

Jedyną rzeczą, która zapadła pani Spencer w pamięć, było nietypowe zestawienie imion: „Wydało mi się to dziwne, bo »Ramon« to hiszpańskie imię i rzadko chodzi w parze z »George«”⁶²⁴.

Sneyd najpierw zapytał o bilety do Johannesburga, ale cena go przeraziła – osiemset dwadzieścia dolarów kanadyjskich za przelot w obie strony. Poprosił więc Spencer, żeby sprawdziła najtańsze połączenia do Londynu. Szybko znalazła samolot linii British Overseas, który odlatywał 6 maja z Toronto. Była to dwudziestojednodniowa wycieczka za trzysta czterdzieści pięć dolarów kanadyjskich. Sneyd poprosił, żeby zrobiła mu rezerwację.

– Ma pan przy sobie paszport? – zapytała.

Sneyd odpowiedział, że jeszcze nie, ale niedługo sobie wyrobi. Wyczuła u niego jakąś niepewność, która później się wyjaśniła: Sneyd tkwił w błędnym przekonaniu, że do wyrobienia paszportu potrzebuje „żyranta”, szanowanego obywatela kanadyjskiego, który zaświadczy, że zna wnioskodawcę od co najmniej dwóch lat. Właśnie z tego powodu stworzył dwie tożsamości

i zagwarantował sobie dwa adresy – w jego pokretnym i ryzykownym planie okularnik Sneyd miał być podróżnym, a Bridgman (zupełnie inaczej ubrany, może w peruce) poręczycielem.

Oczywiście Sneyd nie zamierzał jej tego wszystkiego wyjaśniać, ale Spencer oszczędziła mu zakłopotania.

– Ja mogę panu wyrobić paszport – powiedziała. – Ma pan świadectwo urodzenia?

– Szczerze mówiąc, nie mam – odparł.

– Nie szkodzi, poradzę sobie bez niego.

– A co z poręczycielem? – zapytał. – Nie znam nikogo, kto mógłby za mnie poświadczyć.

– To również nie jest konieczne – stwierdziła Spencer.

Wyjaśniła, że przepisy paszportowe dopuszczają inne rozwiązanie. Wyjęła urzędowy formularz zatytułowany „Oświadczenie zastępujące poręczyciela”. Wystarczyło, żeby Sneyd podpisał ten formularz w obecności notariusza.

– Tak się składa – oznajmiła radosnym tonem – że mamy notariusza w naszym biurze.

Sneyd nie mógł uwierzyć w swoje szczęście. Nie miał pojęcia, że w optymistycznej, ufnej Kanadzie tak łatwo uzyskać dokumenty podróżne i zawłaszczyć czyjąś tożsamość: nie trzeba świadectwa urodzenia, zaświadczenia o zameldowaniu ani poręczycieli. Zmarnował tyle czasu na fabrykowanie fałszywych danych, fałszywych adresów i przebrań, a wystarczyło przysiąc w obecności notariusza, że jest osobą, za którą się podaje. „Witamy w Kanadzie, wierzymy ci”, jak mówi znane powiedzenie.

Sneyd szybko wypełnił wszystkie niezbędne formularze. W rubryce „Zawód” wpisał „dealer samochodowy”, podał prawdziwą datę urodzenia Ramona Sneyda i adres przy Dundas Street West u pani Loo. W rubryce: „Kogo zawiadomić w razie wypadku” wpisał oczywiście swojego sobowtóra: „Paul Bridgman, Ossington Avenue 102, Toronto”. Kaszka z mlekiem, ale w pośpiechu popełnił jeden poważny błąd – nazwisko „Sneyd” wpisał prawie nieczytelnie.

Z kieszeni marynarki wyjął kopertę ze zdjęciami paszportowymi, do których pozował kilka dni wcześniej w studiu fotograficznym Arcade. Zapłacił Lillian Spencer pięć dolarów za wniosek i trzy dolary opłaty manipulacyjnej. Spencer powiedziała, że paszport będzie gotowy za dwa tygodnie i powinien przyjść do jej biura mniej więcej w tym samym czasie co bilet linii lotniczych British Overseas. Po jego wyjściu dołączyła do wniosku notatkę, której desperackiej prawdziwości nawet się nie domyślała: „Proszę o szybkie rozpatrzenie sprawy, ponieważ nasz klient chce jak najszybciej opuścić kraj”.

Niebezpieczny i uzbrojony

W waszyngtońskiej siedzibie FBI śledztwo MURKIN przez cały tydzień powoli zmierzało ku dowodowej kulminacji. Tysiące zgromadzonych do tej pory elementów układanki osobno niewiele znaczyły i niczego nie dowodziły, ale wzięte razem zaczęły tworzyć jeden portret i wskazywać na jednego człowieka. Ciągłe pojawiały się nowe materiały na jego temat – ta sama rozmazana postać, nerwowy mężczyzna w garniturze, wynajmujący tanie kwatery i jeżdżący białym mustangiem.

Elementy układanki całkiem dosłownie zaczęły tworzyć całość: były teraz rozłożone na jednym stole w ostro oświetlonej sali przesłuchań FBI. Od 4 kwietnia FBI nazbierało oszałamiającą ilość materiału dowodowego – setki najrozmaitszych przedmiotów, które sprawiały wrażenie niepowiązanych ze sobą jak szczątki rozbitego samolotu. Puszka piwa Schlitz. Opakowanie fasoli. Łuska pocisku. Kosmyk włosów. Skrawek papieru. Radio kieszonkowe. Pokwitowanie z odręcznym pismem. Kabel samowyzwalacza. Podgrzewacz do kawy. Plan miasta z zaznaczonymi miejscami. Bokserki. Banknot dwudziestodolarowy. Przenośny telewizor. Lornetka. Butelka francuskiego dressingu do sałatek. Szczoteczka do zębów. Karabin.

Cartha DeLoach zlecił analizę tych materiałów dowodowych swoim najlepszym ludziom, nie tylko od odcisków palców, lecz także od charakteru pisma, analizy włókien, fotografii, promieni ultrafioletowych czy balistyki. Fachowcy błyskawicznie znaleźli całe mnóstwo powiązań, a przypadków zgodności mikroskopowej było zbyt wiele, żeby je liczyć. Zobaczyli tysiąc małych strzałek, z których każda najwyraźniej wskazywała na jakąś inną strzałkę.

Włókna znalezione w bagażniku zarekwirowanego mustanga były zgodne z włóknami pobranymi z narzuty w jodełkę. Podpis Erica Galta na karcie meldunkowej w motelu New Rebel w Memphis był zgodny z próbkami pisma uzyskanymi na całym szlaku dochodzeniowym. Włosy na grzebieniu Galta odpowiadały włosom znalezionym w mustangu. Dowody fizyczne nierozzerwalnie spletały się z zeznaniami świadków: nalepki z napisem „*Turista*” potwierdzały słowa Steina, któremu Galt powiedział, że miał kiedyś bar w Meksyku. Kupując w Birmingham karabin, Lowmeyer wspomniał, że wybiera się na polowanie „z bratem”, a koledzy ze szkoły dla barmanów i z kursów tanecznych przypominali sobie, że Galt mówił o planowanych odwiedzinach u brata. Historia o tym, jak Galt naciskał na Charliego i Ritę Stein oraz ich kuzynkę Marie Tomaso, żeby podpisali się pod kandydaturą George’a Wallace’a na prezydenta, współgrała z tablicami rejestracyjnymi z Alabamy, stwierdzeniami Galta, że kiedyś tam mieszkał, i innymi poszlakami łączącymi go z rodzimym stanem Wallace’a.

Najróżniejsze szczegóły – metki Thermo-Seal z pralni, nalepka warsztatu samochodowego, formularz przekierowania poczty, mapy, oblepiony odciskami palców balsam po goleniu Afta, przekazy pieniężne, telewizor Zenith Marie Tomaso znaleziony ponad trzy tysiące kilometrów dalej, w Atlancie – zdawały się łączyć ze sobą poszczególne ruchy Galta. Samochód był powiązany z tobołkiem, który był powiązany z karabinem, a ten był powiązany z lornetką.

Atlanta była powiązana z Memphis, które było powiązane z Meksykiem, a ten był powiązany z Los Angeles, a ono było powiązane z Birmingham, a to było powiązane z Atlantą. Wszystko tworzyło jedną sieć.

Ostatnio pojawiły się poszlaki, które utwierdziły FBI w przekonaniu, że jest na tropie właściwego człowieka. 16 kwietnia agenci w Atlancie dotarli do pralni przy Peachtree Street, z której korzystał Eric Galt⁶²⁵. Annie Estelle Peters, pracownica pralni Piedmont, sprawdziła papiery i stwierdziła, że Galt odebrał swoje ubrania rano 5 kwietnia, nazajutrz po zamachu – w ten sam dzień, w którym zaparkował mustanga na osiedlu Capitol Homes i wyprowadził się z kamienicy czynszowej, zostawiwszy notatkę na łóżku. Nie było już większych wątpliwości, jak przebiegały wydarzenia: wieczorem 3 kwietnia Galt zameldował się w motelu New Rebel w Memphis, a po zamachu pojechał do Atlanty, porzucił tam samochód, odebrał pranie, opróżnił pokój – i prawdopodobnie na dobre wyjechał z miasta.

Dzięki George'owi Bonebrake'owi i jego kolegom specjalistom od daktyloskopii rozwiły się ostatnie wątpliwości: odcisk palca zdjęty z mapy Meksyku znalezionej w pokoju Galta w Atlancie był zgodny z odciskiem znalezionym na karabinie Gamemaster .30-06⁶²⁶.

„Nasza sieć zaczynała się zacieśniać – powiedział DeLoach. – Wszystko stawało się oczywiste: Galt, Lowmeyer i Willard to jeden i ten sam człowiek”⁶²⁷. Cały czas jednak zastanawiano się, jaki to *typ* człowieka. DeLoach podsumował go następująco: „Kiepsko wykształcony, pozbawiony skrupułów, z odrobiną zwierzęcego sprytu. Ale wiedzieliśmy, że ma jedną słabość: lubił tańczyć”.

Do tego momentu FBI pracowało w niemal całkowitej tajemnicy. Hoover i DeLoach bez przerwy przypominali wszystkim agentom we wszystkich biurach terenowych w całym kraju, że mają trzymać język za zębami – oprócz sporządzonego przez artystę rysopisu zabójcy nic nie mogło się przedostać do mediów ani innych organów ścigania. Niemal całkowitej blokadzie informacji przyświecał oczywiście strategiczny cel, żeby zamachowiec i jego ewentualni współnicy musieli zgadywać, na jakim etapie znajduje się śledztwo. Stworzyło to jednak podatny grunt dla teorii spiskowych.

Im dłużej trwało śledztwo, z pozoru nieprzynoszące żadnych rozstrzygnięć, tym społeczeństwo nabierało większego przekonania, że kierowana przez Hoovera instytucja, o której powszechnie wiedziano, że nienawidziła Kinga, albo nieszczególnie stara się znaleźć winnego, albo sama maczała palce w zamachu. DeLoach uważał, że rozbudzenie w społeczeństwie podejrzeń to ryzyko, które biuro po prostu musi ponieść. Taką sprawę można było rozwiązać tylko zakulisowo – dzięki metodycznej pracy dochodzeniowej, starannym analizom laboratoryjnym i wytrwałemu sprawdzaniu wszelkich możliwych tropów.

Media bezkompromisowo odcięto od informacji. Przez prawie dwa tygodnie nawet dziennikarze z najlepszymi doświadczeniami do FBI natrafiali na mur milczenia. Szef biura terenowego w Atlancie powiedział jednemu z nich:

– Wszystko, co dla ciebie mam, to: „Bez komentarza”. Choćbyś mnie ciągnął za język przez cały wieczór, usłyszysz ode mnie tylko: „Bez komentarza”⁶²⁸.

Środa 17 kwietnia wyglądała pod tym względem zupełnie inaczej: FBI nareszcie, chociaż na krótko, otworzyło się przed opinią publiczną.

Tego dnia rano FBI oświadczyło w Departamencie Sprawiedliwości, że wystawia list gończy za trzydziestosześcioletnim zbiegiem, który nazywa się Eric Starvo Galt⁶²⁹. W liście gończym

stwierdzono, że Galt – przedstawiający się również jako „Harvey Lowmeyer” i „John Willard” – razem z osobą „według niego samego będącą jego bratem” podjął działania w kierunku „spowodowania obrażeń, nękania, grożenia lub zastraszenia Martina Luthera Kinga juniora”. Departament Sprawiedliwości musiał wybrać ten dosyć zaskakujący w tym kontekście zarzut, ponieważ morderstwo nie jest przestępstwem federalnym, toteż FBI miało prawo aresztować Galtę za próbę naruszenia praw obywatelskich Kinga, ale nie za jego zamordowanie.

Dalej list gończy dosyć szczegółowo opisywał cechy charakterystyczne Galtę: „Prawdopodobnie nie jest człowiekiem zbyt wykształconym [...]. Według świadków spożywa napoje alkoholowe, preferuje wódkę i piwo [...]. Ma zwyczaj pociągać za małżowinę uszną [...]. Zapalony tancerz [...]. Lewe ucho bardziej odstaje od głowy niż prawe”. Stwierdzono również, że Galt elegancko się ubiera i lubi muzykę country, a na końcu padało następujące ostrzeżenie: „Prawdopodobnie jest uzbrojony i niebezpieczny”.

FBI udostępniło mediom również dwie fotografie: zdjęcie ze szkoły dla barmanów z Galtę w muszce, z zamkniętymi oczami, oraz to samo zdjęcie, lecz z otwartymi oczami dorysowanymi przez pracownika biura. Być może to prawda, że najbardziej charakterystyczną cechą wyglądu człowieka są jego oczy, ale oba te wizerunki niezbyt przypominały prawdziwego zbiegę, zwłaszcza ten uzupełniony przez artystę. Galt wyglądał na nim jak postać z wosku, manekin, pokraczna karykatura. Trudno było wskazać, co jest nie w porządku z jego dorysowanymi oczami, ale jeżeli zabieg ten miał pomóc ludziom w zidentyfikowaniu zabójcy, to skutek był odwrotny do zamierzonego. Zamykając oczy przed obiektywem, Galt najwyraźniej osiągnął swój cel.

List gończy za Erikiem Galtę, razem z fotografiami, wyczerpywał ofertę informacyjną FBI na ten dzień. Pracownicy Departamentu Sprawiedliwości oznajmili, że nie będą odpowiadali na pytania, a kiedy jeden z dziennikarzy mimo to rzucił pytanie, skąd wzięły się zdjęcia, usłyszał opryskliwe: „Bez komentarza”.

Kiedy waszyngtońscy dziennikarze pobiegli do telefonów, poszukiwany szedł jedną z ulic Toronto niedaleko swojej kwatery i niewiele brakowało, a spotkałaby go katastrofa. Ramon Sneyd był tego dnia nie w sosie, cały czas zamartwiał się złożonym dzień wcześniej w biurze Kennedy wnioskiem paszportowym. Zdał sobie sprawę, że przez dwa tygodnie nie będzie miał nic do roboty, a jednocześnie przez tak długi czas może mu się przytrafić jakaś wpadka. Co, jeśli papiery nie zostaną przyjęte? Co, jeśli fotografia uruchomi dzwonki alarmowe? Co, jeśli urzędnicy skontaktują się z prawdziwym Ramonem Sneydem?

Może właśnie te zmartwienia spowodowały, że był tego popołudnia niezbyt uważny i popełnił głupi błąd: przeszedł na dziko przez ruchliwą ulicę⁶³⁰.

Natychmiast zbliżył się do niego policjant.

– Przepraszam pana, ale czy zdaje sobie pan sprawę, że złamał pan prawo?

Sneyd zmartwiał. Zdażył sobie pomyśleć, że to już koniec.

– Trzeba przechodzić na skrzyżowaniu – pouczył go policjant. – Niestety muszę panu wypisać mandat. Wyniesie trzy dolary.

Sneyd był zaskoczony i ubawiony, poczuł ulgę i uniesienie – wszystko naraz.

Ale kiedy policjant powiedział: „Poproszę pana nazwisko i adres”, zdał sobie sprawę, że ma problem. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Pamiętał, że Ramon Sneyd jest policjantem, może znajomym gliniarza, który go zatrzymał, więc posłużenie się tym nazwiskiem byłoby zbyt ryzykowne. W portfelu jak idiota dalej nosił prawo jazdy wystawione na nazwisko „Eric Galt” –

który, o czym Sneyd jeszcze nie wiedział, był najbardziej poszukiwanym człowiekiem w Ameryce Północnej.

Musiał od ręki coś wymyślić. Podał pierwsze nazwisko, które przyszło mu do głowy, a potem adres: Condor Avenue 6 – prawdziwy adres burdelu w Toronto, w którym złożył wizytę.

Obawiał się, że policjant wyczuje coś podejrzanego i poprosi o jakiś dokument tożsamości, ale znajdowali się w optymistycznej, ufnej Kanadzie i funkcjonariusz mu uwierzył. Wypisał mandat, wziął od Sneyda trzy dolary i poszedł swoją drogą.

Sneyd był wściekły na siebie nie tylko o to, że nieprzepisowo przeszedł przez ulicę, lecz także o to, że nosi przy sobie dokument tożsamości Galta. Przy pierwszej okazji podał prawo jazdy i wyrzucił do śmieci⁶³¹. Przez jakiś czas, w oczekiwaniu na przybycie świadectwa urodzenia i paszportu, nie miał tożsamości, przebywał w biurowym czyścisku, człowiek bez nazwiska.

Nieuchwytny zbieg

Następnego dnia rano w gazetach Ameryki Północnej i całego świata ukazały się całostronicowe zdjęcia Erica Starva Galta. Był na ustach całego kraju, rozmawiano o nim we wszystkich domach, jego nazwisko nie schodziło z ust prezenterów radiowych. Jednak nienaturalne fotografie w połączeniu z dziwnym ciągiem zgromadzonych przez FBI faktów zdawały się rodzić więcej pytań niż odpowiedzi. Cóż to za imię i nazwisko „Eric Starvo Galt”? To ma być zamachowiec – zapalony tancerz, który słucha wieśniackiej muzyki? Jaka historia kryje się za tymi oczami?

Gazety w całym kraju zaroily się od gorączkowych spekulacji. Dziennikarze zajmujący się przestępczością na wyścigi wymyślali przydomki dla poszukiwanego mężczyzny. „Człowiek bez przeszłości”. „Człowiek, którego nie było”. „Obcy z orlim nosem”, „błędny ogień”, „człowiek zagadka”, „nieuchwytny zbieg”⁶³².

Nienaturalne oczy na fotografiach wzbudziły wątpliwości w całym kraju. Jimmie Garner i sprzedawca broni z Aeromarine twierdzili, że rozpoznają mężczyznę ze zdjęcia, ale inni kluczowi świadkowie wyrażali wątpliwości, czy FBI wytypowało właściwego człowieka. Peter Cherpes, Amerykanin greckiego pochodzenia, w którego kamienicy czynszowej Galt mieszkał w Birmingham, powiedział:

– To nie on. Nie wydaje mi się, żeby to był on.

Charlie Stephens, chory na gruźlicę alkoholik z Memphis, który widział Johna Willarda na korytarzu kamienicy czynszowej, powiedział, że portret FBI „nie zgadza się” z tym, co zapamiętał⁶³³. Odczucia te podzielała Bessie Brewer.

– Po prostu nie wiem – powiedziała dziennikarzom. – Po prostu nie wiem, czy to on⁶³⁴.

Niektórzy dziennikarze wypowiadali się bardzo sceptycznie. Kilka dni później napisano na łamach „Newsweeka”, że Galt „to dwuwymiarowa postać z nazwiskiem, które wygląda na zaczerpnięte z taniej powieści”⁶³⁵. „Galt”, podobnie jak „Willard” i „Lowmeyer”, to nazwisko z pewnością zmyślane, ponieważ „najgłębsze katakumby tego biurokratyzowanego społeczeństwa – od urzędów skarbowych po wojskowe komendy uzupełnień – nie zawierają pod tym nazwiskiem niczego interesującego”. Dziennikarz „Commercial Appeal” z Memphis uznał, że postać przedstawiona światu przez FBI ma wszelkie cechy głównego bohatera kiepskiego kryminału. „Autorzy kryminałów wstydziłiby się czegoś takiego – napisał dziennikarz. – Nawet najgorsi z nich wiedzą, jak daleko mogą się posunąć, zanim czytelnik rzuci czasopismo w kąt i powie: »Nie bądźmy śmieszni«”⁶³⁶.

Wątpliwości budziło już samo dziwne zestawienie „Eric Starvo Galt”. Dziennikarze i publicyści zaczęli grzebać w magazynach ówczesnej kultury masowej, licząc na to, że znajdą tam jakieś wskazówki.

Wiele osób zwróciło uwagę, że nieuchwytny główny bohater kontrowersyjnej powieści Ayn Rand z 1957 roku, zatytułowanej *Atlas zbuntowany*, nazywa się John Galt. Pierwsze zdanie tej

opasłej książki brzmi: „Kim jest John Galt?”. Wraz z rozwojem fabuły tej libertariańskiej sagi Galt zaczyna się jawić jako swoisty zbawiciel; obnaża bolączki państwa opiekuńczego, a następnie rzuca cywilizację amerykańską na kolana za pomocą odgórnego strajku najwybitniejszych wynalazców, przedsiębiorców, naukowców i przemysłowców, którzy chronią się w tajnym mieście pośród wierzchołków Gór Skalistych. W powieści tej Ayn Rand wyłożyła swoją filozofię obiektywizmu mówiąc, że altruizm wobec tych, którym się w życiu nie powiodło, jest nie tylko błędny i nieefektywny gospodarczo, lecz także niemoralny, że jedyną zasadą moralną mogącą przynieść człowiekowi szczęście jest racjonalne dążenie do korzyści własnej, a państwo powinno się jak najmniej mieszać do życia obywateli. W powieści Galt deklaruje: „Przysięgam na swoje życie i swoją miłość do niego, że nigdy nie będę żył dla innego człowieka ani prosił go, by żył dla mnie”^[15].

Czy istnieje tutaj jakiś związek? Czy Eric Galt to aluzja literacka, podrzucona poszlaka odwołująca się do bezwzględnej doktryny zawartej w *Atlasie zbuntowanym*? Czy zabójca jest radykalnym zwolennikiem filozofii Ayn Rand? A może płatnym zabójcą wynajętym przez jakiegoś pomyłonego libertariańskiego przemysłowca? Dziennikarz „Atlanta Constitution” zwrócił uwagę, że bohater powieści Rand „zniszczył zakłady produkcyjne cywilizacji, ponieważ nienawidził »państwa opiekuńczego«, które zabierało producentom, żeby dać słabym”, a następnie uznał, że Martin Luther King, z jego hasłami redystrybucji majątku, na których opierała się jego nadchodząca Kampania Biednych Ludzi, „był chyba najbardziej na świecie stanowczym zwolennikiem wszystkiego tego, czego nienawidził powieściowy John Galt”⁶³⁷.

Inni prasowi tropiciele śladów poszli w odwrotnym kierunku. A może Eric Starvo Galt jest odniesieniem do najbardziej znanego superzłoczyńcy z ówczesnej literatury szpiegowskiej? W kilku powieściach Iana Fleminga, między innymi *W tajnej służbie Jej Królewskiej Mości*, największym wrogiem Jamesa Bonda jest Ernst Stavro Blofeld, geniusz zła kierujący organizacją przestępczą SPECTRE, która planuje „diabelski spisek przewidujący morderstwa na masową skalę”. W filmach z 007 Ernst Stavro Blofeld – znany również jako Numer 1 – był łysym mężczyzną noszącym się jak Nehru, miał odrażającą bliznę na twarzy i często głąaskał białego perskiego kota.

Prawdziwe przestępstwo zrodzone z kart literatury? Nie miało to większego sensu, ale ludzie nie umieli się oprzeć tej atrakcyjnej hipotezie. Zaczęli przeczesywać powieści o Bondzie i książki Ayn Rand, podkreślali ważne zdania, szukali tajemnych wskazówek. W kwerendę tę włączyło się nawet FBI. Hipoteza literacka umocniła w ludziach przekonanie, że zabójca należy do jakiegoś zakulisowego międzynarodowego spisku – syndykatu zbrodni typu SPECTRE – przez co wydawał się jeszcze bardziej egzotyczny i tajemniczy.

18 kwietnia w Toronto fotografia Erica Galta zajmowała większą część pierwszej strony porannego wydania „Star”. Wielki nagłówek brzmiał: „FBI MÓWI, ŻE BYŁ SPISEK. TAJEMNICZY MARYNARZ POSZUKIWANY W ZWIĄZKU ZE ŚMIERCIA KINGA”. Kiedy zdjęcie to zobaczyła pani Szpakowski, natychmiast pomyślała o swoim lokatorze. Zbulwersowana oglądała fotografię ze wszystkich stron. Przypomniała sobie, że człowiek, który przedstawił się jako Paul Bridgman, miał dosyć dziwne obyczaje, sprawiał wrażenie nerwowego i nieustannie czytał gazety. Przez całe przedpołudnie zastanawiała się, co powinna zrobić. Podsunęła gazetę swojemu mężowi Adamowi. Pokazując na sufit, powiedziała:

– Ten człowiek zabił Martina Luthera Kinga⁶³⁸.

- Jaki człowiek? O czym ty mówisz?
- Paul Bridgman. Lokator z góry. Jest zabójcą, którego szukają.
- Zwariowałaś – powiedział Adam do swojej żony.
- Przecież on wygląda zupełnie jak na tym zdjęciu. Powinniśmy zadzwonić na policję.
- Zwariowałaś, kobieto. Zrobisz z siebie durnia.

Pani Szpakowski ustąpiła. Nie zadzwoniła na policję. Próbując nie myśleć o swoich podejrzeniach, zabrała się do pracy. Kiedy następnego dnia rano robiła obchód, stwierdziła, że Paul Bridgman opuścił swój pokój, nie powiadomiwszy o tym właścicieli. Klucz zostawił na stole w recepcji. Gdy sprzątała jego pokój, znalazła na łóżku egzemplarz „Star” ze zdjęciem człowieka oskarżonego o zamordowanie Kinga. Na ten widok przeszły ją ciarki.

FBI nie miało wątpliwości, że wydany list gończy dotyczy sprawcy zamachu, ale nie było pewne, czy Eric Galt rzeczywiście nazywa się „Eric Galt”. Podejrzany lubił zmieniać tożsamość, więc trudno było nie zakładać, że „Galt” to również pseudonim. Jak doskonale zdawał sobie sprawę Cartha DeLoach, wytypowanie podejrzanego to zupełnie inna sprawa niż jego zidentyfikowanie.

Żeby to osiągnąć, ekspert od daktyloskopii George Bonebrake i jego ludzie z laboratorium kryminalistycznego metodycznie sprawdzali odciski palców znalezione na różnych przedmiotach w zawiniątku, mustangu oraz wynajętym pokoju w Atlancie i porównywali je z odbitkami znajdującymi się w zasobach FBI. Bonebrake znacznie zmniejszył pole poszukiwań, skupiając się na grupie wiekowej od dwudziestu jeden do pięćdziesięciu lat, co pozostawiało jednak około trzech milionów zestawów odcisków palców do zbadania – tytaniczne zadanie, które mogło zająć wiele miesięcy i nie przynieść żadnego rezultatu.

Hoover i DeLoach zdali sobie sprawę, że muszą wymyślić jakieś dodatkowe kryterium zawężające. DeLoach i inni wysocy funkcjonariusze pochyłili się nad zebranymi do tej pory dowodami. Szybko zaczął się z tego wyłaniać pewien wyraźny schemat: już przed zamachem Galt zachowywał się jak człowiek, który ucieka przed wymiarem sprawiedliwości. „Wszystko na to wskazywało: fałszywe nazwiska, ciągłe przenoszenie się z miejsca na miejsce, niechęć do zawierania znajomości, ostrożność, powściągliwość – powiedział DeLoach. – Galt zachowywał się jak skazaniec, który nie chce zostać rozpoznany”⁶³⁹.

Zrodził się pewien pomysł. DeLoach chwycił za słuchawkę i zadzwonił do Lesa Trottera, dyrektora Działu Odcisków Palców, czyli szefa Bonebrake’a. DeLoach odtworzył tę rozmowę w swoich wspomnieniach.

– Les, znaleźliśmy dosyć mocne dowody na to, że Galt uciekł z więzienia – powiedział. – Ile mamy w tym momencie wystawionych listów gończych?⁶⁴⁰

– Pięćdziesiąt trzy tysiące – odparł Trotter.

DeLoach się skrzywił.

– To i tak lepiej niż trzy miliony.

Sprawa była jasna: DeLoach zlecił Bonebrake’owi porównanie odcisków palców „Galta” z pobranymi od pięćdziesięciu trzech tysięcy poszukiwanych zbiegów.

– Masz do tego zaprząć wszystkich swoich ludzi – powiedział.

– Kiedy mamy zacząć? – zapytał Trotter.

– Co powiesz na „natychmiast”?

Ludzie Trottera przystąpili do pracy późnym popołudniem 18 kwietnia, dokładnie dwa tygodnie po zamachu. Do Waszyngtonu ściągnięto techników z Filadelfii, Baltimore, Nowego Jorku i Richmond, dzięki czemu analizy można było prowadzić przez całą dobę.

– Nie muszę wam przypominać – powiedział DeLoach – że jesteśmy pod ogromną presją i że nasze miasta to beczki prochu⁶⁴¹.

Bonebrake skupił uwagę na odciskach lewego kciuka Galta znalezionych na karabinie i lornetce. Były najwyraźniejsze, widniała na nich czytelna pętlica z dwunastoma listewkami. Ku swojemu zaskoczeniu Bonebrake ustalił, że w kartotekach FBI jest tylko tysiąc dziewięćset odcisków kciuka zbiegłych więźniów z pętlicami, które mają od dziesięciu do czternastu listewek. Zespół ekspertów usiadł wokół stołu, na którym leżała powiększona odbitka odcisku kciuka Galta. Wyjęli szkła powiększające i przystąpili do pracy.

Następnego dnia, 19 kwietnia, o 9.15 Les Trotter zadzwonił do DeLoacha.

– Jesteśmy już blisko – powiedział i dodał, że Bonebrake i jego zespół nie zmrużyli oka, dzięki czemu zbadano ponad pięćset zestawów kart. – Daj nam jeszcze trochę czasu⁶⁴².

– Okej – odparł DeLoach, a potem poszedł na cotygodniowe zebranie wierzchołki FBI, któremu przewodniczył Clyde Tolson, prawa ręka Hoovera.

DeLoach nie miał ochoty mówić Tolsonowi prawdy – że chociaż niezliczeni specjaliści ciężko pracują i robią postępy, nadal nie doszło do przełomu w śledztwie.

Kilka godzin później, kiedy zebranie dobiegło końca i DeLoach zbierał już swoje papiery, zadzwonił telefon. Usłyszał w słuchawce głos Lesa Trottera.

– Deke – powiedział Trotter i już w tym jednym słowie DeLoach dosłuchał się „triumfalnego tonu”. Trotter teatralnie zawiesił głos, po czym powiedział chępliwie: – Powiedz dyrektorowi, że go mamy!

– Jesteś pewien?

– Na sto procent. Eksperci Bonebrake’a parę minut temu znaleźli pasujące odciski na karcie 702.

– Zakładam, że facet nie nazywa się „Eric Galt”. Ani „Lowmeyer”. Ani „Willard”.

– Zgadza się – powiedział Trotter. – Jego numer karty to 405,942G. Ten człowiek to recydywista, który w zeszłym roku uciekł z więzienia stanowego Jeff City w Missouri. Nazywa się James Earl Ray.

KSIĘGA TRZECIA

Najmodniejszy człowiek w kraju



Roman Ernest Dwyer

Twój pościg miał na oku zwierzę,
Twoje wojny nic nie dały,
Wszyscy twoi kochankowie byli niewierni.
Dobrze, że stara epoka się kończy,
Czas rozpocząć nową

John Dryden, *The Secular Masque*^[16]

Pierwsza dziesiątka

Kiedy FBI przygotowywało się do ogłoszenia światu najświeższych wiadomości, Ramon George Sneyd schował się w swoim pokoju przy Dundas Street West w Toronto i przez prawie tydzień nie wychylił stamtąd nosa. Pani Loo, wyrozumiała właścicielka, która z szerokim uśmiechem zarządzała czynszówką – i na ogół nosiła na plecach małe dziecko – prawie nie widywała swojego lokatora. „Przyszedł w garniturze z gazetą w ręku – powiedziała. – Z nikim nie rozmawiał”⁶⁴³.

Na szczęście dla Sneyda pani Loo nie mówiła po angielsku i w odróżnieniu od pani Szpakowski nie okazywała zainteresowania życiem zawodowym ani prywatnym swoich lokatorów. Wzięła od niego czynsz i zostawiła go w spokoju.

Spanikowany, wyczerpany ze zmartwienia, już prawie bez pieniędzy, Sneyd wiedział, że musi pozostać w ukryciu przez prawie dwa tygodnie, oczekując na nadejście paszportu, świadectwa urodzenia i biletu lotniczego. Któregoś dnia kupił nowe tanie radio tranzystorowe, zastępując nim swój wysłużony channel master, i szukał w eterze wiadomości o pogoni za zbiegiem.

W niedzielę 21 kwietnia wieczorem nareszcie wynurzył się ze swojego pokoju. W kamienicy czynszowej pani Loo nie było telewizji, a Sneyd koniecznie chciał obejrzeć najnowszy odcinek niezwykle popularnego cyklu telewizji ABC zatytułowanego *The FBI*, przedstawiającego fabularyzowane reportaże filmowe oparte na rzeczywistych sprawach prowadzonych przez FBI. Sneyd zaglądnął do kilku barów w okolicy i z konsternacją stwierdził, że wszyscy oglądają *The Ed Sullivan Show*, ale w końcu znalazł knajpę, w której barman był gotów przełączyć telewizor na ABC, z sygnałem transmitowanym z wieży znajdującej się po drugiej stronie jeziora Ontario, w Buffalo w stanie Nowy Jork. W swoich rogowych okularach usiadł w zatłoczonym barze, zamówił drinka i starał się trzymać na uboczu⁶⁴⁴. Obejrzał godzinny program, w którym Efrem Zimbalist junior wcielał się w inspektora Lewisa Erskine’a. Sneydowi tak naprawdę zależało jednak na słynnej pozycji kończącej program, czyli liście dziesięciu najbardziej poszukiwanych wrogów publicznych Ameryki.

No i się doczekał:

– Poszukiwany w związku z zastrzeleniem doktora Martina Luthera Kinga juniora – powiedział Zimbalist, a na ekranie ukazało się zdjęcie Sneyda.

Oczywiście Zimbalist nie powiedział, że uciekinier nazywa się „Sneyd”. Nie wymienił również nazwisk „Galt”, „Lowmeyer” ani „Willard”. Swoim drętym, pretensjonalnym barytonem ogłosił światu, że złoczyńca nazywa się „James Earl Ray”.

Sneyd z pewnością przeżył chwilę grozy, a jednocześnie nie mógł niczego po sobie pokazać, żeby nie ściągnąć na siebie uwagi klientów pełnego wrzawy baru.

– Uciekinier z więzienia stanowego w Missouri, czterdzieści lat, sto siedemdziesiąt siedem centymetrów wzrostu, siedemdziesiąt dziewięć kilogramów wagi. FBI prowadzi poszukiwania

w całym kraju, ale Ray mógł uciec do Meksyku albo Kanady.

Sneyd słuchał tego druzgoczącego komunikatu, nerwowo przebijając palcami po szklance z wódką i sokiem pomarańczowym.

– Memphis wyznaczyło nagrodę w wysokości stu tysięcy dolarów za informację, która doprowadzi do ujęcia Raya.

Jak stwierdził później Sneyd, był zdumiony, że to południowe miasto, któremu King przysporzył tylu kłopotów, wyłożyło tak wielkie pieniądze. Na ekranie pojawiły się kolejne zdjęcia, dokumentujące kryminalną przeszłość, która była Sneydowi aż za dobrze znana.

– Prawdopodobnie jest uzbrojony i bardzo niebezpieczny. Jeśli widzieliście Raya, natychmiast poinformujcie o tym FBI.

Ten fragment komunikatu „Najbardziej poszukiwani ludzie w Ameryce” znalazł się w programie dzięki trzem dniom gorączkowej aktywności w biurach FBI na terenie całych Stanów Zjednoczonych. Agenci błyskawicznie dokopali się do informacji o życiu Jamesa Earla Raya. Sprawdzali każdy trop, analizowali nawet najdrobniejszą poszlakę, łączyli ze sobą luźne fakty. Hoover, DeLoach i Clark nie mieli najmniejszych wątpliwości – zidentyfikowali sprawcę.

Zdawali sobie jednak sprawę, że muszą poprosić społeczeństwo o pomoc w poszukiwaniach. FBI przygotowało zatem serię komunikatów radiowych, które emitowano od wybrzeża do wybrzeża. Biuro wydrukowało również ponad dwieście tysięcy listów gończych po angielsku i dodatkowe trzydzieści tysięcy po hiszpańsku, do rozklejenia w Meksyku. Poszukiwania wchodziły w swoją najbardziej bezwzględna fazę.

Jeżeli istnieje coś takiego jak „typowy” zamachowiec, czterdziestoletni James Earl Ray nie pasował do tego schematu – przynajmniej na pierwszy rzut oka. Nie był młodym mężczyzną motywowanym fanatyzmem religijnym, a chociaż bez wątpienia zasługiwał na miano rasisty, nie wstąpił do Ku Klux Klanu ani żadnej innej organizacji używającej przemocy. Lista popełnionych przez niego przestępstw była długa, ale nigdy nie skazano go za zabójstwo ani postrzelenie kogokolwiek. Służąc w armii w niemieckim Bremerhaven tuż po II wojnie światowej, nauczył się strzelać z M1 – na tyle dobrze, że zdobył najniższe odznaczenie jako snajper – ale z pewnością nie był zawodowym płatnym zabójcą.

Przed wszystkim jednak Ray sprawiał wrażenie człowieka, który lubi być ścigany i prawdopodobnie podświadomie *chce* być złapany, żeby móc znowu uciec i uruchomić kolejną pogoń. Wiele jego eskapad miało w sobie coś z powieści łotrzykowskiej. Podczas jednej z ucieczek wypadł na zakręcie z samochodu, bo zapomniał zamknąć drzwi. Ray nie skończył szkoły średniej, a z armii wydalono go za „nieudolność i nieumiejętność przystosowania się do wymogów służby wojskowej”. Większość jego przestępstw – włamanie, fałszerstwo, napaść z bronią w ręku – mieściła się w przedziale od drobnych do żałosnych. W jego przestępczej karierze zdarzały się chwile lekkomyślnej głupoty, ale Ray nie był głupi, w więzieniu uchodził za zagorzałego czytelnika i cierpliwego spiskowca obdarzonego przewrotnie twórczą inteligencją, zwłaszcza jeżeli chodziło o wyprowadzenie w pole wszelkiego rodzaju władzy. Jeżeli ktoś potrafił uciec z więzienia o zaostrowym rygorze i przez ponad rok pozostawać na wolności, to z pewnością należał do ludzi niezwykle przebiegłych i nie wolno go było lekceważyć.

Na różnych etapach swojego życia Ray próbował zejść ze złej drogi. Pracował między innymi jako weryfikator kolorów w firmie obuwniczej, garbarz, robotnik w fabryce kompresorów i na zmywaku w barze szybkiej obsługi. Coraz głębiej zsuwał się jednak w świat recydywy – było to

jedyne życie, jakie znał. „Obrzydliwa szumowina – wspominał William Peterson, szef policji w robotniczym mieście Alton w Illinois, gdzie Ray urodził się w 1928 roku, a później odsiadywał kolejne wyroki więzienia. – Był złodziejem, który przez cały dzień spał, a przez całą noc kradł”⁶⁴⁵.

Agenci FBI przyjechali do Jefferson City w stanie Missouri i zaczęli składać do kupy historię pobytu Jamesa Earla Raya w tamtejszym więzieniu oraz jego ucieczki z piekarni rok wcześniej⁶⁴⁶. Jak ustalili śledczy, Ray zażywał i sprzedawał w Jeff City amfetaminę – handel narkotykami prawdopodobnie był źródłem funduszy, które pozwoliły mu przeżyć rok po ucieczce. (Wiele lat później obliczono, że mógł wysłać z więzienia – najprawdopodobniej członkom rodziny – aż siedem tysięcy dolarów zarobionych na sprzedaży narkotyków). Przede wszystkim jednak współwięźniowie znali Raya jako człowieka opętanego myślą o ucieczce. Ray, który miał ksywę Kret, wcześniej już kilka razy próbował się wyrwać z Jeff City i w ramach kary odsiedział wiele miesięcy w izolatce. Próby te powinny wzmocnić czujność strażników, ale jego nierzucający się w oczy styl bycia sprawił, że go zlekceważono. Większość strażników nazywała Raya jego więziennym numerem: 416-J.

Agenci FBI zrozumieli, skąd się wzięły zatarte cyfry na radioodbiorniku Channel Master. Pracownikom laboratorium kryminalistycznego udało się je odczytać za pomocą promieni ultrafioletowych: 00416⁶⁴⁷. Z rejestrów Jeff City wynikało, że James Earl Ray kupił to radio w więziennej stołówce dwa dni przed ucieczką i zgodnie z więziennym regulaminem na obudowie wydrapano jego numer.

Agenci FBI zarzucili sieci w stanach Illinois i Missouri, żeby znaleźć członków rodziny Raya. Okazało się, że jego rodzice nie żyją, ale agentom szybko udało się znaleźć jego brata Johna Raya, który prowadził bar przy Arsenal Street, w niezbyt bezpiecznej dzielnicy południowego Saint Louis⁶⁴⁸. Lokal o nazwie Grapevine Tavern był oddalony zaledwie o przecznicę od siedziby sztabu wyborczego George’a Wallace’a i sztabowcy dosyć często tam przychodzili. Jak się okazało, John Ray sam był zagorzałym zwolennikiem Wallace’a i rozprowadzał w swoim barze materiały wyborcze Amerykańskiej Partii Niezależnej. Niewielka odległość od sztabu wyborczego Wallace’a sprawiła, że do Grapevine przychodzili się napić członkowie Stowarzyszenia Johna Bircha, Rady Białych Obywateli i innych radykalnych organizacji segregacjonistycznych. Tak samo jak jego brat James Earl w Los Angeles, John Ray osobiście zaprowadzał ludzi do sztabu wyborczego Wallace’a, żeby się podpisali pod jego kandydaturą prezydencką.

John Ray sprawiał wrażenie bardziej zażywej wersji zbiega, z szybko cofającymi się włosami, które odsłaniały jego kościste czoło. Tak samo jak jego brat, John Ray był notowany, odsiedział siedem lat za włamanie. Nazwa jego baru była zresztą aluzją do więziennej „grypsery”, świata intryg i plotek, który urozmaica dni za kratkami. Co ciekawe, Johnowi Rayowi odebrano prawa wyborcze, toteż nie mógł głosować nie tylko na Wallace’a, lecz w ogóle na nikogo.

Podczas pierwszego spotkania z agentami Ray sprawiał wrażenie pijanego i nie był zbyt chętny do współpracy, zwłaszcza kiedy agenci przypomnieli mu, że odwiedził swojego brata Jimmy’ego w więzieniu Jeff City dzień przed jego ucieczką w skrzyni z chlebem. John twierdził, że od tego czasu nie miał kontaktu z bratem i nie wie, gdzie on jest.

Sceptyczni agenci FBI zapytali Johna, dlaczego się uśmiecha, udzielając odpowiedzi – na jego twarzy co chwila pojawiał się krzywy uśmieszek, jaki świadkowie zauważyli również u jego brata. John powiedział, że to tylko „nerwowa reakcja”, która nic nie znaczy, ale przyznał, że ten niefortunny tik czasami ściąga na niego kłopoty w kontaktach z organami ścigania.

– Po pobycie w wojsku Jimmy już nigdy nie był taki jak wcześniej – powiedział John. – Zaczął wariować i wszedł w narkotyki.

Jeśli zabił Martina Luthera Kinga, to prawdopodobnie już nie żyje – jego zleceniodawcy na pewno zadbali o to, żeby „na zawsze go uciszyć”⁶⁴⁹. A jeśli żyje, to z pewnością wyjechał już za granicę.

– Do jakiego kraju by uciekł? – dopytywali agenci.

John nie chciał spekulować na ten temat, ale przypomniał sobie, że kiedyś podczas odwiedzin w więzieniu Jimmy wspominał o Ianie Smisie, który jego zdaniem robił dobrą robotę w Rodezji. John Ray określił się jako „umiarkowany segregacjonista” i zwierzył się agentom FBI ze swoich frustracji.

– O co to całe zamieszanie? – zastanawiał się na głos. – Że zabił czarnucha? Gdyby zabił białego, toby was tu nie było⁶⁵⁰.

Również dziennikarze, którzy znaleźli drogę do baru Johna Raya, stwierdzili, że brat zamachowca nie ukrywa się ze swoimi poglądami na temat Kinga. „Nie był taki święty, jak próbują go przedstawiać – stwierdził później John w liście do pisarza George’a McMillana. – King nie tylko był szczurem, ale i ze swoimi małymi oczkami i spiczastymi uszami wyglądał jak szczur”.

Agenci FBI początkowo traktowali Johna Raya jako potencjalnego współsprawcę zamachu i zapytali go, gdzie był 4 kwietnia, lecz ani podczas pierwszego przesłuchania, ani później nie udało im się nic na niego znaleźć (jednak wiele lat później John Ray chwalił się w książce, której był współautorem, że w dniu zamachu przyjechał z Saint Louis i odwiedził swojego brata Jimmy’ego w knajpie w zachodnim Memphis⁶⁵¹).

Tymczasem druga ekipa agentów szybko zlokalizowała młodszego brata Raya Jerry’ego, w klubie golfowym na przedmieściach Chicago, gdzie zajmował się pielęgnacją greenów. Ten błaznowaty człowiek zdawał się traktować prowadzone przez FBI poszukiwania jako ekscytującą grę i najwyraźniej postanowił ujawnić agentom tylko tyle, żeby się od niego odczepili. Jego brat Jimmy jest teraz „najmodniejszym człowiekiem w kraju – ocenił Jerry – najbardziej poszukiwanym człowiekiem w historii świata”⁶⁵².

Jerry, który również był notowanym przestępcą, powiedział, że nie ma pojęcia, gdzie jest teraz Jimmy, ani nawet czy wciąż żyje. Wyraził jednak wątpliwość, czy jego brat zdobyłby się na zabicie człowieka. Jeżeli Jimmy zamordował Kinga, to z pewnością dla pieniędzy.

– Na pewno nie kochał kolorowych – przyznał Jerry – ale w życiu by się tak nie narażał, gdyby czegoś z tego nie miał⁶⁵³.

Zresztą cokolwiek Jimmy Ray zrobił albo czegokolwiek nie zrobił, powiedział Jerry, nigdy nikomu o tym nie powie.

– Jimmy nigdy na nikogo nie doniósł, wiem to na sto procent. Zabierze swoje tajemnice do grobu.

Czując na plecach natarczywe spojrzenia świata, wieczorem po emisji programu *The FBI* Ramon Sneyd przemykał ciemnymi ulicami Toronto i niepostrzeżenie wszedł do kamienicy czynszowej

pani Loo. Zamknął się w swoim pokoju i rozmyślał, co dalej robić.

Przed południem następnego dnia, 23 kwietnia, poszedł do pobliskiego sklepu spożywczego Loblaws. Prawdopodobnie mając ze sobą swój rewolwer .38 Liberty Chief, Sneyd poważnie rozważał obrabowanie tego sklepu. „Tak naprawdę supermarkety to są pieniądze jakiejś korporacji zarobione na czyjejś krwawicy – racjonalizował później. – Lepiej okraść korporację niż pojedynczego człowieka”⁶⁵⁴.

Samuel Marshall, zastępca kierownika, znalazł go na zapleczu kręcącego się koło sejfu. Ostrym tonem zapytał Sneyda, co tam robi⁶⁵⁵.

– Ja... no... szukam pracy – wyjąkał intruz, a potem się pochwalił, że pracował już kiedyś w sklepie spożywczym, kiedy był w Meksyku.

Kiedy podszedł do nich kierownik supermarketu Emerson Bennis, Sneyd dał nogę, wybiegł na ulicę i wskoczył do tramwaju. Następnego dnia Marshall zobaczył w „Newsweeku” zdjęcie Jamesa Earla Raya i natychmiast zadzwonił na policję.

Sneyd, który rozsądnie uznał, że przez jakiś czas musi się trzymać z daleka od dzielnicy Dundas, kilka godzin po scysji w supermarkecie wsiadł do autobusu do Montrealu. Miał obawy, że wniosek paszportowy nie przejdzie albo jeszcze gorzej – uruchomi międzynarodowe dzwonki alarmowe w Ottawie. Zasadniczo stwierdził, że pozostawanie w Toronto do czasu nadejścia biletu lotniczego i paszportu byłoby zdecydowanie za bardzo ryzykowne.

W Montrealu zatrzymał się w kamienicy czynszowej pod nazwiskiem „Walters” i przez kilka dni bez powodzenia kręcił się po stocznicach, szukając kontenerowca, którym mógłby popłynąć do południowej Afryki. Udało mu się znaleźć skandynawski statek, którym za sześćset dolarów mógł popłynąć do Mozambiku, ale rozczarowała go informacja, że zgodnie z przepisami tej linii wszyscy pasażerowie muszą mieć ważne paszporty.

Zdesperowany Sneyd wrócił do Toronto i przez tydzień nie wychodził z kamienicy pani Loo. Świadectwo urodzenia przyszło w wyznaczonym terminie, ale rozdygotany Sneyd popełnił kolejny potencjalnie fatalny błąd: z roztargnienia zostawił kopertę ze świadectwem urodzenia na małej półeczce koło aparatu telefonicznego w pobliskiej budce. Jakiś czas później pani Loo otworzyła drzwi kamienicy i zobaczyła za nimi okrągłego mężczyznę, który trzymał w ręku kopertę⁶⁵⁶. Zawołała do Sneyda, że ma gościa, ale płochliwy lokator nie wystawił nosa z pokoju. Poszła na górę i w końcu udało jej się wywabić go z nory. Był „blady jak płótno” i wyglądał na zdenerwowanego. Sneyd obawiał się najgorszego: na dole czeka funkcjonariusz, policjant w cywilu, człowiek z dochodzeniówki. Kiedy zszedł na dół, okazało się jednak, że jest to Robert McNaulton, handlowiec z firmy sprzedającej farby, który zauważył w budce telefonicznej kopertę z urzędowym nadrukiem i jak przystało na porządnego obywatela, dostarczył ją na adres z koperty.

2 maja Sneyd zadzwonił do biura podróży Kennedy i odetchnął z ulgą, gdy usłyszał od Lillian Spencer, że jego bilet lotniczy i paszport nareszcie dotarły. Jednak kiedy przyszedł do biura odebrać dokumenty, ogarnęła go łagodna panika: w paszporcie błędnie wpisano nazwisko – „Sneya” zamiast „Sneyd”. Z pewnością wynikało to z faktu, że wypełniał formularz w pośpiechu i wpisał nazwisko niewyraźnie. Na poprawienie tego błędu było już za późno, bo samolot odlatywał za kilka dni. Sneyd zapłacił za bilet trzysta czterdzieści pięć dolarów kanadyjskich gotówką.

6 maja Sneyd wypowiedział pani Loo pokój, tłumacząc, że dzieci, które ciągle bawią się pod jego oknami, są zbyt głośne. Nie podał swojego następnego adresu. Podczas sprzątanego jego

pokoju pani Loo znalazła małą walizkę, w której było trochę plastrów, dwa czasopisma erotyczne, plany Toronto i Montrealu oraz sześć zapieczętowanych rolek taśmy filmowej Super 8. Pani Loo włożyła walizkę do schowka, sądząc, że pan Sneyd po nią wróci.

Odprowadziwszy się tego południa na lotnisku międzynarodowym w Toronto jako Ramon George Sneya, najbardziej poszukiwany zbieg na świecie wsiadł do samolotu linii British Overseas lot 600. Gdy o 18.00 odrzutowiec planowo wystartował, Sneyd odetchnął z ulgą. Ale kiedy maszyna sunęła nad północnym Atlantykiem, w jego głowie kłębiło się od zmartwień, związanych przede wszystkim z coraz uboższym zapasem gotówki. „Trzeba było zrobić w Kanadzie napad – stwierdził później z żalem. – To tutaj popełniłem błąd. Wsiadłem do tego samolotu do Londynu, mając za mało pieniędzy, żeby dostać się tam, gdzie chciałem”⁶⁵⁷.

O 6.40 rano następnego dnia, 7 maja, samolot Sneyda wylądował na lotnisku Heathrow w Londynie, kolejnym przystanku w jego długiej, dziwnej podróży w stronę Rodezji.

Miasto Zmartwychwstania

W pierwszym tygodniu maja J. Edgara Hoovera i Carthę DeLoacha zaprzętała również inna kwestia, odrębna, ale pośrednio związana z poszukiwaniami Jamesa Earla Raya. Kiedy King przyjechał do Memphis, traktował strajk śmieciarzy jako miniaturową wersję większej walki, którą planował poprowadzić w Waszyngtonie – Kampanii Biednych Ludzi.

POCAM, jak nazywało tę akcję FBI, od dawna spędzała Hooverowi sen z powiek, a waszyngtońskie zamieszki po zamachu zdawały się potwierdzać jego ostrzeżenia, że masowy napływ ubogich obywateli do stolicy kraju to gotowy scenariusz wybuchu przemocy.

Śmierć Kinga na moment odebrała impet planom SCLC. Wydawało się, że bez charyzmatycznego oratorstwa i roztropnego przywództwa pastora tak ambitne przedsięwzięcie jak Kampania Biednych Ludzi jest skazane na niepowodzenie. Tymczasem pod koniec kwietnia Ralph Abernathy oświadczył, że jego organizacja jednak przeprowadzi wymyśloną przez Kinga wielką akcję protestacyjną. Udało mu się wynegocjować z National Park Service miesięczne pozwolenie na budowę prowizorycznego miasteczka namiotowego na sześciu hektarach. Dziesiątki, a może setki tysięcy ubogich ludzi planowały przybycie do Waszyngtonu w ramach – jak to ujął Andy Young – „największej pokojowej demonstracji od czasu zorganizowanego przez Gandhiego marszu solnego”⁶⁵⁸. Na cześć Kinga obóz miał się nazywać „Miasto Zmartwychwstania” – nazwa symbolizowała „ideę odrodzenia z otchłani rozpacz”, jak powiedział Young⁶⁵⁹.

Wszystko wskazywało na to, że koszmar Hoovera się ziścił.

W całym kraju wielkie grupy ubogich – armia biednych ludzi – formowały karawany i zmierzały w stronę Waszyngtonu. Zgodnie z pierwotną wizją Kinga nie byli to wyłącznie Afroamerykanie. Przybyli także ubodzy biali z Appalachów, Latynosi z Los Angeles, Portorykańczycy z Nowego Jorku i Indianie z całego kraju: Senekowie, Hopi, Saliszowie, Jakimowie, Siuksowie.

2 maja osiem wielkich karawan symbolicznie wystartowało z Memphis. Coretta King wróciła na miejsce śmierci swojego męża i stanęła na zewnątrz pokoju 306 w motelu Lorraine, teraz przeszklonego i ozdobionego wieńcami. W posadzkę balkonu wmurowano złoty krzyż, a na ścianie wisiała tabliczka z fragmentem Księgi Rodzaju: „Oto nadchodzi ten, który miewa sny! Teraz zabijmy go i wrzucmy do którejkolwiek studni, a potem powiemy: Dziki zwierz go pożarł. Zobaczymy, co będzie z jego snów!”. Tego samego dnia w Mason Temple Coretta i Ralph Abernathy pobłogosławili maszerujących, którzy ruszyli w stronę Marks, maleńkiego miasta w delcie Missisipi, gdzie King widział tyle rozpacz na twarzach robotników rolnych.

W Marks pielgrzymka przerodziła się w karawanę mułów. Zaprzęgi tych zwierząt ciągnęły drewniane wozy w rodzaju tych, jakich jeszcze do niedawna używali robotnicy rolni na Południu. Ralph Abernathy żartobliwie nadał mułom takie imiona jak „Eastland” czy „Stennis” – na cześć najbardziej rasistowskich senatorów i kongresmenów w Waszyngtonie. Coraz więcej

ludzi uzupełniało szeregi maszerujących, którzy posuwali się bocznymi drogami na wschód, w stronę Alabamy. Tamtejsza gwardia stanowa zapowiedziała, że aresztuje karawanę za stwarzanie zagrożenia dla porządku publicznego.

Znaczna część Alabamy – a w każdym razie *białej* Alabamy – była w żałobie: 7 maja gubernator Lurleen Wallace przegrała walkę z rakiem jelita grubego i zmarła w wieku czterdziestu jeden lat. George Wallace, który w całym kraju zyskiwał coraz większe poparcie, pogrążył się w takiej rozpacz, że powszechnie przewidywano jego wycofanie się z wyścigu prezydenckiego. Ciało Lurleen Wallace leżało w rotundzie w stolicy stanowej Montgomery – w tym samym miejscu, w którym na widok publiczny wystawiono niegdyś zwłoki Jeffersona Davisa, prezydenta Konfederacji⁶⁶⁰. Armia biednych ludzi przetoczyła się koło tego surrealistycznego obrazka: flagi Konfederacji spuszczone do połowy masztu, umięśnieni policjanci drogówki lejący łzy nad zmarłą panią gubernator. W Birmingham zaprzęgi mułów miały być wstawione na przyczepy i przewiezione w ten sposób aż do samego Waszyngtonu.

Kiedy karawany zbliżały się do stolicy kraju, organizatorzy w Waszyngtonie zaczęli budować wielkie miasteczko namiotowe. W pobliżu Reflecting Pool stały setki brezentowych namiotów z drewnianym szkieletem w kształcie litery A. Doprowadzono prąd, wodę, kanalizację i linie telefoniczne, miał również powstać „ratusz” dla „burmistrza” Ralpha Abernathy’ego. Miasto Zmartwychwstania miało nawet otrzymać swój kod pocztowy⁶⁶¹.

Tymczasem Hoover szykował FBI na zbliżającą się wielkimi krokami „napaść na Waszyngton”, jak to nazywał. W każdej karawanie umieścił swoich informatorów, a jego agenci inwigilowali wszystkie radykalne grupy. Biurom terenowym na terenie całego kraju polecił potraktować projekt POCAM „jako jedno z najważniejszych zadań, przed którymi obecnie stoi FBI”⁶⁶².

Generałowie Pentagonu byli gotowi wysłać dwadzieścia tysięcy żołnierzy do stłumienia ewentualnego powstania. Prezydent Johnson traktował Kampanię Biednych Ludzi jako osobistą obrazę, policzek wymierzony w tak przez niego hołubiony program Wielkie Społeczeństwo, który załamał się wraz z eskalacją wojny w Wietnamie. Ramsey Clark powiedział, że koncepcja budowy miasteczka namiotowego koło Białego Domu „zraniła prezydenta – głęboko zraniła”⁶⁶³.

Wielu senatorów na Kapitolu dostawało apopleksji na myśl o inwazji „klaczy zarodowych na zasiłku”, jak niektórzy konserwatyści nazywali armię biednych ludzi. Szarżę poprowadził senator John McClellan z Arkansas, który powiedział, że Waszyngton niedługo zamieni się w „mekkę dla migrantów”⁶⁶⁴. Twierdził, że z wiarygodnych źródeł wie o „tajnym planie” czarnych bojówkarzy, którzy zamierzają obalić siłą rząd.

Kiedy obdarta armia pielgrzymów i mułów zbliżała się do stolicy, Waszyngton, jak napisał Clark, „[...] ogarnęła istna paranoja. Prorokowano zagładę, na Kapitolu wygłaszano różne brednie na temat tajnych spotkań i planowanej przemocy, wmawiano narodowi, że czekają go straszliwe zbrodnie”⁶⁶⁵.

Na początku maja w siedzibie FBI można było odnieść wrażenie, że poszukiwania Jamesa Earla Raya nie posuwają się do przodu, a nawet się cofają – do zakamarków biografii, do opowieści o rozmaitych czynnikach środowiskowych, które zrobiły z tego człowieka przestępcę. FBI wielokrotnie przesłuchiwało rodzinę i znajomych Raya, mając nadzieję, że pojawi się jakaś zabłąkana informacja, jakiś przypadkowy fakt, który doprowadzi agentów do kryjówki Raya. Strategia ta jednak nie zdała egzaminu. Pracownicy FBI, których dziennikarze nie odstępowali

ani na krok, zaczęli budować coś zupełnie innego: wyjątkowo dziwny i smutny portret człowieka, który dorastał w pogrążonych w nędzy miasteczkach nad rzeką Missisipi w krainie Marka Twaina. Była to historia brutalna i rozdzierająca, ale z gruntu amerykańska.

Ród Rayów miał za sobą stuletnią historię przestępczości, nędzy i pecha⁶⁶⁶. Prapradziadek Raya był prawdziwym zbirzem, który sprzedawał Indianom alkohol z wozu i został powieszony za zastrzelenie sześciu ludzi. Ukochany wuj Raya Earl był wędrownym jarmarcznym bokserem i gwałcicielem, który odsiedział sześć lat w więzieniu za chluśnięcie żonie w twarz fenolem.

Całe życie Jamesa Earla Raya tworzyło jedną wielką panoramę rozpacz. Jego rodzina od pokoleń żyła w organicznym ubóstwie, któremu miała zaradzić Kampania Biednych Ludzi Kinga. Z pokolenia na pokolenie przekazywano sobie historię, jak to Rayowie, którzy mieszkali wtedy na farmie koło małej wsi Ewing, pewnej zimy byli zmuszeni użyć własny dom na opał – rozbierali go kawałek po kawałku, aż w końcu chałupa się zawaliła, co zmusiło ich do podjęcia wędrówki wzdłuż Missisipi⁶⁶⁷.

Jak można było przewidzieć, bracia Ray, John, Jimmy i Jerry, wyrosli na przestępców, ale to był dopiero początek rodzinnych tragedii. Wiosną 1937 roku sześciolatnia siostra Raya Marjorie podpałała się podczas zabawy zapałkami i zmarła. Młodszego brata Maxa (niedorozwiniętego umysłowo) i młodszą siostrę Susie oddano do adopcji, kiedy w 1951 roku ojciec Raya porzucił rodzinę. Dziesięć lat później pocziwa, ale nieradząca sobie z tym wszystkim matka Raya Lucille, która miała wtedy pięćdziesiąt jeden lat, zmarła w Saint Louis na marskość wątroby. Dwa lata później osiemnastoletni brat Raya Buzzy, jadąc samochodem w miejscowości Quincy w stanie Illinois, nie trafił w most, wpadł do rzeki i utopił się razem ze swoją dziewczyną.

Chyba najsmutniejszy był przypadek Melby, emocjonalnie zaburzonej kobiety, która obrzucała obcych ludzi wyzwiskami i spędziła wiele lat w szpitalach psychiatrycznych. Rok wcześniej, w 1967 roku, trafiła do lokalnych gazet, ponieważ ciągnęła za sobą pomalowany dwumetrowy krzyż po jednej z głównych ulic Quincy. „Zrobiłam go, żeby nie stracić rozumu – wyjaśniła. – Po tym, co się stało z prezydentem Johnsonem, wojną i tak dalej, musiałam powierzyć swój los Jezusowi”⁶⁶⁸.

Podczas przesłuchania powiedziała, że prawie nie zna swojego starszego brata Jamesa Earla. „Lubił być czysty – przypominała sobie mgliście. – Zawsze miał uczesane włosy”⁶⁶⁹.

Kiedy agenci FBI rekonstruowali tę tragiczną historię rodzinną, pojawił się wielki znak zapytania: kim był ojciec Raya, nestor przeklętego rodu? Co się z nim stało? W formularzach więziennych w Leavenworth i Jeff City James Earl Ray konsekwentnie wpisywał, że jego ojciec nie żyje, że w 1947 roku zmarł na zawał serca. FBI szybko się jednak dowiedziało, że sześćdziesięciodziewięcioletni ojciec Raya ma się dobrze i mieszka sam na małej farmie w Center w stanie Missouri, niedaleko Hannibal, miejscowości, do której przeprowadziła się rodzina Marka Twaina, kiedy przyszedł pisarz miał pięć lat.

Agenci specjalni William Duncan i James Duffey zjawili się w maleńkim domku starego Raya, stojącym na łące za wysypiskiem śmieci, i przeprowadzili serię bardzo nietypowych przesłuchań⁶⁷⁰. Ray był hardym i czujnym zawadiaką, który nie omieszkał poinformować agentów, że po domu wala się sporo broni palnej. Mimo podeszłego wieku był dumny ze swojej muskulatury, którą pielęgnował, podnosząc ciężary i ćwicząc kalistenikę. Powiedział, że nie nazywa się „Ray” – przedstawił się jako „Jerry Raynes”. Zaprzeczył również, jakoby zbieg był jego synem.

– To mój pasierb – stwierdził. – Poza tym nie widziałem Jimmy’ego od siedemnastu lat.

Jednak po jakimś czasie, szczególnie kiedy agent Duffey przypomniał mu, co grozi za „ukrywanie przestępcy”, starszy pan trochę się otworzył. Kiedy w następnych tygodniach i miesiącach do jego drzwi pukali kolejni dziennikarze, otworzył się jeszcze bardziej. Okazało się, że Raynes należy do ludzi, którzy gdy już zaczną mówić, nie potrafią przestać. Wysławiał się tak powoli, że podejrzewano go o zaburzenia mowy. W dzieciństwie tym niespiesznym sposobem wypowiadania się zarobił sobie na ironiczny przydomek Speedy.

Tak, to prawda, przyznał Speedy: w 1899 roku urodził się jako George „Jerry” Ray, ale później zmieniał pisownię nazwiska na „Ryan”, „Raines”, „Raynes”, „Rayns” i parę innych. Ponieważ parął się drobną przestępczością (włamaniami, fałszowaniem pieniędzy, bimbrownictwem), a jednocześnie podejmował różne prace (jako hamulcowy, rolnik, handlarz złodem), celowo rozmywał swoją tożsamość, żeby utrudnić zadanie poborcom podatkowym, wierzycielom, właścicielom mieszkań na wynajem i organom ścigania. Ta polityka egzystencjalnej niejednoznaczności dezorientowała również jego dzieci – do tego stopnia, że niektóre z nich poznały swoje prawdziwe nazwisko dopiero w wieku dorosłym.

Stary Ray przyznał również, że James Earl Ray jest jego synem. Sprawiał wrażenie, że jest z niego dumny. Powiedział, że Jimmy był najbystrzejszy i najbardziej ambitny ze wszystkich jego dzieci, przeznaczony do wielkich rzeczy. „Cały czas główkował – oznajmił jednemu z dziennikarzy. – Chciał być policjantem śledczym. Zapamiętywał wszystko, co przeczytał. I miał niesamowity napęd. Mówił, że zajdzie na sam szczyt”. Speedy przyznał jednak, że chłopiec miał w sobie coś osobliwego: „Jimmy miał różne dziwactwa, na przykład chodził na rękach. Kurczę, potrafił nawet biegać na rękach”⁶⁷¹.

Raynes był zlepkim zabobonów i uprzedzeń, szowinistycznych poglądów, których kurczowo się trzymał i które wbijał do nastoletniej głowy Jimmy’ego, kiedy jeździli razem po Ewing, grali w knajpach w bilard czy wozili złom doliną rzeki Fabius. Nie jadał chińszczyzny: „ci ludzie cię otrują”, mówił⁶⁷². Uważał, że wszystkie mecze bejsbolowe są ustawione, że lekarze myślą tylko o tym, aby zabić pacjentów, i zasadniczo że życie to jeden wielki przekręt. „Wszyscy politycy to złodzieje i gangsterzy. Może z wyjątkiem Wallace’a. Ale kiedy rząd się na kogoś zawezmie, to już po nim”⁶⁷³.

Stanowczo podkreślał, że nie jest rasistą i nie wychowywał dzieci na rasistów. „Nie nienawidzę Murzynów”, powiedział, zwracając uwagę, że w Ewing nie było żadnych czarnych. Dodał jednak: „Oni są inni od nas. Całymi dniami tylko leniuchują i się pieprzą”⁶⁷⁴.

W kontekście obecnych kłopotów syna wyraził przekonanie, że Jimmy pobłądził, bo nie wziął sobie do serca lekcji, którą przez całe dzieciństwo wbijał mu do głowy – że mały człowiek nie ma szans, że gra jest ustawiona przeciwko niemu, toteż najlepiej nie rzucać się w oczy i nie mierzyć zbyt wysoko. „Ludzie oczekują od życia zbyt wiele – powiedział dziennikarzowi George’owi McMillanowi. – Czasem sobie myślę, że Jimmy przechytrył sam siebie. Nie mam pojęcia, po kiego licha próbował rywalizować z tymi wszystkimi wielkimi szychami. Przecież życie i tak jest gównem. Jimmy był za bardzo ambitny i to go zgubiło. Próbował zajść za daleko i za szybko”⁶⁷⁵.

Kiedy FBI coraz bardziej zagłębiało się w zmałowane bagno przeszłości Jamesa Earla Raya, Ramon Sneyd ukrywał się osiem tysięcy kilometrów dalej, w Portugalii. Balsamiczna Lizbona, to nadmorskie miasto mauretańskich pałaców i romańskich zamków przycupniętych na zachodnim krańcu Europy, stanowiła dla Sneyda przyjemną odmianę po szarym Toronto. Jego

hotel znajdował się niedaleko nabrzeża i ruchliwego placu Rossio, na którego wielkiej marmurowej płycie rozbrzmiewały odbicia piłek i tęskna muzyka fado. W mieście roiło się od marynarzy i rybaków; wielkie frachtowce zawijały do jednego z największych portów świata, położonego w delcie Tagu.

Właśnie ten port przyciągnął Ramona Sneyda do Lizbony. Wiedząc, że stolica Portugalii jest międzynarodowym ośrodkiem rekrutacyjnym dla najemników, przyleciał tutaj prosto z Londynu, licząc na to, że uda mu się popłynąć do Afryki. Biuro podróży zgodziło się wymienić pozostałą część wycieczki na przelot do Lizbony i Sneyd wsiadł do samolotu jeszcze tego samego dnia, 7 maja. Potem przez tydzień włóczył się po nabrzeżach, tak jak kilka tygodni wcześniej w Montrealu. W końcu znalazł obiecujący statek do Angoli, pogrążonej w wojnie kolonii portugalskiej⁶⁷⁶. Podróż miała kosztować zaledwie trzy tysiące siedemset siedemdziesiąt siedem escudo, czyli około stu trzydziestu dolarów. Sneyd jednak znowu ugrzązł w biurokracji. Jak się okazało, wjazd do Angoli wymagał wizy, której uzyskanie zajęłoby tydzień, a statek odpływał za trzy dni.

Sneyd uznał, że Lizbona będzie bezpiecznym miejscem, by się ukryć i ochłonąć – potem znajdzie transport do Afryki albo wymyśli coś innego. Wiedział, że w Portugalii obowiązują rygorystyczne przepisy ekstradycyjne – zawsze na korzyść zbiega – i że władze tego kraju, w którym już w 1867 roku zniesiono karę śmierci, nie wydadzą go Stanom Zjednoczonym, gdyby prokuratorzy postawili mu zarzuty zagrożone tą karą.

Sneyd mieszkał na pierwszym piętrze hotelu Portugal, dosyć ascetycznie urządzonego przybytku w ruchliwej dzielnicy, w której pachniało wędzonymi rybami i kurczakami z rożna⁶⁷⁷. Kosztowało go to pięćdziesiąt escudo – około dolara i osiemdziesięciu centów za noc. Recepcjonista Gentil Soares uważał Sneyda za „nieprzyjaznego turystę”⁶⁷⁸. Jego zmiennik João opisał Sneyda jako „nieśmiałego człowieka, który zawsze chodził ze spuszczoną głową”. Nie dawał napiwków, nie wzywał służby hotelowej, z nikim nie rozmawiał. Soares zwrócił uwagę, że na zdjęciu z kanadyjskiego paszportu Sneyd miał okulary i przyszedł w nich pierwszy raz do hotelu, ale potem już nigdy ich nie nosił. Raz próbował sprowadzić do swojego pokoju prostytutkę, ale kierownictwo hotelu nie wyraziło na to zgody; wyszli i zapewne spędzili noc gdzie indziej, ponieważ Sneyd pojawił się w hotelu dopiero następnego dnia po południu.

Sneyd spędzał dni w porcie albo w urzędach typu ambasada RPA, gdzie dopytywał o przepisy imigracyjne. Jednemu z pracowników ambasady powiedział, że chce pojechać do południowej Afryki, żeby spróbować znaleźć swojego dawno zaginionego brata, ma bowiem powody sądzić, że jego brat, po raz ostatni widziany w Kongu Belgijskim, walczy teraz jako najemnik w Angoli. Zapytał pracownika ambasady, czy wie, w jaki sposób on sam mógłby zostać najemnikiem. (Oczywiście wzbudziło to podejrzliwość i żadnych informacji mu nie udzielono, ale Sneyd dowiedział się później o kilku grupach najemników działających w Angoli – dane kontaktowe zapisał na kawałku papieru, który potem złożył i wsunął do pojemnika z bateriami w swoim radiu tranzystorowym, bo słabo stykały). Sneyd odwiedził misję angolską i nieoficjalną delegaturę Biafry, ale niczego tam nie osiągnął. Następnie zaszedł do biura linii lotniczych South African i uzyskał tam informacje na temat lotów do Salisbury i Johannesburga.

Wieczorami odwiedzał bary dla marynarzy: Bolero, Galo, Bohemia, Fontoria, klub nocny Maxine. Na ogół siedział sam i pił piwo, ale w niektóre wieczory próbował zagajać do kobiet. Pewnego wieczoru w barze Texas poznał prostytutkę Marię Irene Dos Santos i zdołał wynegocjować zniżkową cenę trzystu escudo – około jedenastu dolarów – za jej usługi.

W Maxine szczególnie zaprzyjaźnił się z prostytutką Glorią Sausá Ribeiro i spędził z nią kilka nocy⁶⁷⁹. Ta wysoka, wiotka kobieta czesała swoje blond włosy w modną fryzurę na pudła. Zauważyła, że Sneyd obsesyjnie śledzi wiadomości i kupuje każdą amerykańską i brytyjską gazetę, która wpadnie mu w ręce. Przekonał ją, żeby pozwoliła mu płacić nie gotówką, lecz prezentami – dał jej sukienkę i parę pończoch. „Nie znał portugalskiego – powiedziała później Gloria przesłuchującym ją portugalskim policjantom – a ja nie mówię po angielsku, więc porozumiewaliśmy się tylko międzynarodowym językiem miłości”⁶⁸⁰.

Sneyd garściami czerpał z iberyjskiego życia nocnego, ponieważ wiedział, że jego pobyt w Lizbonie nie potrwa długo. Stan jego finansów był rozpaczliwy – przez osiem dni jego zasoby skurczyły się do około pięciuset dolarów. Nie poszczęściło mu się ze znalezieniem statku i miał obawy, że z powodu nieznamomości języka portugalskiego i uwarunkowań walutowych obrabowanie banku albo sklepu nie byłoby najlepszym pomysłem. Lizbona była miastem za bardzo dziwnym i egzotycznym. Raczej nie miał tam szans na to, żeby swoim zwyczajem wtopić się w tłum.

Uznał, że musi przemyśleć opcje w mieście anglojęzycznym. Poszedł do konsulatu kanadyjskiego i poprosił o wymianę paszportu z powodu niepoprawnie wpisanego nazwiska. W piątek 17 maja pojechał taksówką na lotnisko Portela i wsiadł do samolotu linii lotniczych Transportes Aéreos do Londynu.

Plan emerytalny

W Waszyngtonie ludzie DeLoacha powoli sklejali w całość meldunki, które sugerowały odpowiedź na chyba najistotniejsze pytanie dotyczące Jamesa Earla Raya: pytanie o motyw jego czynu.

Zarówno dla FBI, jak i dla dziennikarzy śledczych zajmujących się tą sprawą stawało się coraz bardziej oczywiste, że chociaż Ray nie był aktywnym działaczem rasistowskim, od dawna wyznawał radykalne rasistowskie poglądy. W wieku szesnastu lat nosił w portfelu zdjęcie Hitlera, a jego nastoletnia fascynacja nazistami umocniła się podczas służby wojskowej w Niemczech tuż po II wojnie światowej. „Jimmy’emu podobało się u Hitlera – powiedział jego brat Jerry Ray dziennikarzowi George’owi McMillanowi – że gdyby to on rządził Stanami, mieszkaliby tutaj tylko biali, żadnych Żydów czy Murzynów. Byłby silnym przywódcą, który zrobiłby to, co należy, zamiast próbować dogodzić wszystkim jak Roosevelt. Jimmy myślał, że Hitler wygra, i do dziś uważa, że Hitler by wygrał, gdyby Japończycy nie zaatakowali Pearl Harbor”⁶⁸¹.

Kilku znajomych Raya powiedziało agentom FBI, że Ray nie znosił czarnych. Walter Rife, stary kumpel od kieliszka, który w latach pięćdziesiątych napadł razem z Rayem na listonosza i zabrał mu pieniądze, powiedział: „[...] przesadzał ze swoją nienawiścią do czarnuchów. Nienawidził tego, że w ogóle chodzą po świecie. Kiedy go o to pytałem, robił się agresywny. Nienawidził ich! Nigdy nie mogłem zrozumieć, skąd się to bierze”⁶⁸². Kiedy Ray siedział w więzieniu Leavenworth w związku z napadem na listonosza, odrzucił pożądaną przez wszystkich osadzonych propozycję pracy w przywięziennym gospodarstwie, ponieważ w tamtejszych salach sypialnych nie było segregacji rasowej.

Odsiadując w Jefferson City wyrok za napad z bronią w rękę, Ray rzekomo powiedział kilku współwięźniom, że ma w planach zabicie Kinga. Śledczy oczywiście podchodzili do takich wynurzeń z ostrożnością – więźniowie są znani z tego, że lubią konfabulować – ale ponieważ motyw ten przewijał się w wielu zeznaniach, trudno go było zlekceważyć. Na przykład Raymond Curtis twierdził, że Ray wpadał we wściekłość za każdym razem, kiedy na ekranie telewizora pojawiał się King. „Ktoś go musi dorwać”, mówił Ray. Curtis zrelacjonował również słowa osadzonego z Arkansas, który twierdził, że zna „grupę biznesmenów z Missisipi” gotowych zapłacić sto tysięcy dolarów za zabicie Kinga. Ray się tego uchwycił. Według Curtisa lubił analizować błędy popełnione przez Oswalda podczas zamachu na Kennedy’ego i mówił, jak on by to zrobił na jego miejscu. Ray powiedział pewnego razu, że „Martin Luther Coon” to jego „plan emerytalny – jeśli wyjdę na wolność, to go zabiję”⁶⁸³.

FBI zaczęło poszukiwać dróg, którymi Ray mógł dostać pieniądze za zabicie Kinga – a przynajmniej mógł liczyć na to, że je dostanie. Biuro doskonale wiedziało, że wiele osób i organizacji wyznaczyło nagrodę za głowę Kinga. Ciągłe pojawiały się nowe doniesienia na ten

temat. W 1967 roku i na początku 1968 informatorzy FBI z różnych części kraju prawie co tydzień zawiadamiali o nowych pogroźkach. Z reguły było to puste gadanie, przechwałki różnych gorących głów w barach i salach bilardowych. FBI wiedziało, że wypowiedane na głos pogrozki są dobrym barometrem nastrojów społecznych, ale raczej nie dają powodu do zmartwień. Ktoś, kto ma poważne zamiary w takich sprawach, raczej się z nimi nie obnosi.

Ale niektóre pogłoski o wyznaczonej za głowę Kinga nagrodzie wydawały się solidnie ugruntowane. Mówiono, że White Knights z Ku Klux Klanu oferują sto tysięcy dolarów człowiekowi, który zabije laureata Pokojowej Nagrody Nobla. Niemalymi pieniędzmi kusily również inne organizacje, takie jak Minutemen i różne grupy neonazistowskie.

Ofertę, którą FBI po latach miało uznać za najpoważniejszą, złożono w Saint Louis, rodzinnym mieście Raya: John Sutherland, bogaty adwokat zajmujący się sprawami patentowymi, był gotów zapłacić potencjalnemu zabójcy pięćdziesiąt tysięcy dolarów⁶⁸⁴. W jego portfelu akcji i innych instrumentów finansowych, wartym prawie pół miliona dolarów, były między innymi niemałe inwestycje w Rodezji. Sutherland, jeden z najbardziej zagorzałych segregacjonistów w Saint Louis, był założycielem Rady Białych Obywateli w tym mieście i aktywnym członkiem Stowarzyszenia Johna Bircha (a także osobistym znajomym założyciela tej organizacji Roberta Welcha). W okresie przed zamachem zaangażował się w działania prawniczej organizacji biznesowej Southern States Industrial Council.

Sutherland od lat wygłaszał agresywne rasistowskie tyrady. „Jak Chruszczow, kolektywiści nie zadowolą się niczym oprócz pełnej integracji każdej dzielnicy mieszkaniowej, każdej organizacji społecznej i każdego prywatnego przedsiębiorstwa”, napisał kiedyś na papeterii ozdobionej złączonymi flagami konfederacką i amerykańską oraz mottem: „PRAWA STANÓW – INTEGRALNOŚĆ RASOWA”. „Biała większość musi działać, zanim państwowy przymus jej to uniemożliwi!” Sutherland narzekał, że „spętały nas rządy mniejszości”, i wyraził ubolewanie: „My, ludzie zapomniani, znaleźliśmy się w tym położeniu, ponieważ nie posłuchaliśmy przestrogi ze wspianego herbu Missouri: »Zjednoczeni przetrwamy, podzieleni upadniemy«”.

W 1968 roku Sutherland mocno zaangażował się w kampanię wyborczą George’a Wallace’a. Można go było czasem spotkać w sztabie wyborczym kandydata w południowym Saint Louis, którego członkowie często bywali w Grapevine, knajpie Johna Raya.

Jakiś czas wcześniej próbował namówić co najmniej jednego człowieka – Russella Byersa, czterdziestosześcioletniego handlarza częściami samochodowymi, a dawniej złodzieja samochodów – żeby zamordował Kinga w zamian za nagrodę. Byers twierdził, że spotkał się z Sutherlandem w jego domu, w którym roiło się od atrybutów Konfederacji: szabel, sygnałówek, flag. Gospodarz miał na głowie czapkę konfederackiego pułkownika kawalerii, ze skrzyżowanymi szablami z przodu.

Jak zeznał przesłuchiwany przez FBI Byers, Sutherland powiedział, że zapłaci pięćdziesiąt kawałków za zabicie pewnego znanego człowieka.

– Któż to taki? – zapytał Byers.

– King – odparł Sutherland. – Zabij Martina Luthera Kinga albo załatw kogoś innego do tej roboty.

Byers od dawna obracał się w kryminalnym półświatku i był przyzwyczajony do różnych nietypowych przedsięwzięć biznesowych, ale to zlecenie mimo wszystko wydało mu się dziwne.

– Skąd są pieniądze? – zapytał.

Sutherland odpowiedział, że należy do „tajnej organizacji z Południa”, która bez problemu zgromadzi potrzebne środki.

Byers odrzucił propozycję. Był drobnym oszustem, złodziejem i naciągaczem, ale nie mordercą. Oceniał, że ten szemranymacher, niedoszły pułkownik w konfederackiej czapce, traktuje swoją ofertę poważnie, a jeśli jest oszołomem, to z koneksjami, człowiekiem, który potrafi załatwić różne sprawy w przestępczym świecie Saint Louis.

FBI nigdy nie znalazło niezbitego dowodu, że Ray dostał od Sutherlanda choćby centa, czy nawet że wiedział o nagrodzie. Jednak związki Sutherlanda z kampanią Wallace’a i z knajpą Grapevine Johna Raya przez wiele lat intrygowały śledczych. Russell Byers nie od razu zgłosił się do FBI i dopiero w 1977 roku agentom udało się zrekonstruować tę historię. Członkowie kongresowej komisji specjalnej uznali zeznania Byersa za „wiarygodne” i wskazali na nagrodę od Sutherlanda jako najbardziej prawdopodobny motyw Jamesa Earla Raya. Na tym etapie śledztwa John Sutherland był już poza zasięgiem wymiaru sprawiedliwości: zmarł w 1970 roku.

Plagi egipskie

Przez National Mall przejechały karawany armii biednych ludzi i 13 maja dokonano oficjalnego otwarcia Miasta Zmartwychwstania⁶⁸⁵. Tak jak na to liczył Martin Luther King, ponad dwa tysiące osób o różnym kolorze skóry i pochodzeniu społecznym obozowało w przywodzącym na myśl koczownicze czasy rozległym miasteczku pośród czereśni w West Potomac Park. Abernathy był „burmistrzem”, a Jessego Jacksona, który załagodził konflikt z następcą Kinga, mianowano „zarządcą” miasteczka namiotowego.

SCLC rozpoczęła tę historyczną demonstrację z wielką energią, żarliwą nadzieją, a nawet z humorem. Abernathy wyobraził sobie „Miasto na Wzgórzu”, wielki eksperyment z polityki protestacyjnej, który miał potrwać co najmniej miesiąc. Miało to być swoiste amerykańskie Soweto za tylnymi drzwiami Kapitolu, szrama na krajobrazie zmuszająca rząd do zwrócenia uwagi na problem systemowej biedy. Protestujący zapowiedzieli, że sparaliżują, a przynajmniej zakłócą funkcjonowanie władzy, i byli przygotowani na to, że wszyscy pójdą do więzienia. Abernathy zagroził:

– Na kongresowych faraonów będą spadały kolejne plagi, dopóki nasze żądania nie zostaną spełnione⁶⁸⁶.

Żądania te obejmowały gospodarczą kartę praw gwarantującą minimalny dochód, kampanię na rzecz skończenia z głodem w Ameryce oraz kompleksowy plan odbudowy najgorszych wielkomiejskich gett. Koszty proponowanych przez Abernathy’ego rozwiązań oszacowano na prawie trzydzieści miliardów dolarów.

W pierwszym tygodniu Miasto Zmartwychwstania trafiło na czołówki gazet, a media przyznały mu coś w rodzaju miesiąca miodowego. Dziennikarze cieszyli oczy widokiem współczesnej wersji Hooverville^[17] wzniesionej w cieniu zimnych marmurowych zabytków Mall. Po miasteczku chodziły delegacje kongresowe – wśród gości był reprezentujący Teksas późniejszy prezydent George Herbert Walker Bush. Odbywały się marsze, parady, konferencje prasowe; była muzyka na żywo, tańce, a nawet indiańska narada plemienna. Przyjechali zespół Peter, Paul, and Mary, a także Pete Seeger i cała plejada murzyńskich przedstawicieli świata rozrywki. Abernathy z dumą ochrzcił pierwsze urodzone w obozie dziecko. W Mieście Zmartwychwstania panowała żywołowa atmosfera kontrkulturowego festiwalu, na rok przed Woodstockiem.

Ale w drugim tygodniu wszystko zaczęło się sypać. Trudno było się oprzeć wrażeniu, że Kampanii Biednych Ludzi brakuje pomysłów, a tym bardziej strategii organizacyjnej. SCLC potrafiła poprowadzić marsz, ale nie miała doświadczenia w zarządzaniu miastem. Ralph Abernathy nie był Martinem Lutherem Kingiem – brakowało mu zmysłu organizacyjnego, charyzmy i dyscypliny retorycznej, niezbędnej do przeprowadzenia tak ambitnej kampanii. Sam „burmistrz” zdawał sobie z tego sprawę. „Miasto Zmartwychwstania od początku było źle

pomyślane – przyznał później. – Z każdym dniem coraz bardziej sobie uświadamiałem, jak wiele straciłem i jak ogromny ciężar odziedziczyłem”⁶⁸⁷.

Weterani i przyjaciele ruchu zaczęli krytykować przywództwo Abernathy’ego. Stanley Levison, wieloletni zausznik Kinga, dostrzegł oznaki megalomanii: „Abernathy lubił się wszędzie pokazywać i ściągać na siebie uwagę”⁶⁸⁸. Oceniał, że kampania niedługo zakończy się „fiaskiem”. O zdolnościach organizacyjnych Abernathy’ego w podobnym duchu wypowiedział się Bayard Rustin. Rzucił do dziennikarzy, że Miasto Zmartwychwstania to „jeszcze jeden piknik”⁶⁸⁹. Przekonywał, że zamiast wciągać do dyskusji polityków i pozyskiwać sojuszników, przywódca SCLC zraża do siebie prawie wszystkich, którzy mogliby wesprzeć sprawę, skutkiem czego Kongres czuje się „przygnieciony wysuwanymi przez Abernathy’ego ogólnikowymi żądaniem natychmiastowego raję”.

Według Andy’ego Younga Abernathy’emu po prostu brakowało cech niezbędnych do scalenia rozpadającego się ruchu i nie potrafił okiełznać swoich ambitnych młodych współpracowników. Sprzeczki między Jamesem Bevelem, Hoseą Williamsem i Jessem Jacksonem ocierały się o rękoczyny. „Ralphę frustrowało, że nie potrafi być Martinem Lutherem Kingiem – napisał później Young. – Zaprząg dzikich koni przestał go słuchać”⁶⁹⁰.

Większość wierchuszki SCLC nie mieszkała w Mieście Zmartwychwstania – nocowała w hotelu Howard Johnson po drugiej stronie Watergate. A ponieważ władze były słabe i przez znaczną część doby nieobecne, wszystko zaczęło się rozłazić. Gangi nastolatków pełniących funkcję „porządkowych” nękały, a nawet biły dziennikarzy. Chodziły od namiotu do namiotu i wymuszały pieniądze za „ochronę”. Zaczęły krążyć dziwne i niepokojące opowieści: jakiś grubas latał z siekierą po obozie i porąbał kilka szkieletów namiotów. Dwóch pacjentów psychiatrycznych, którzy niedawno zostali zwolnieni ze szpitala, podpaliło budkę telefoniczną. Banda zadymiarzy rzucała butelkami w samochody na Independence Avenue i na wschodnim końcu Reflecting Pool wdała się w długą potyczkę z policją, która użyła gazu łzawiącego. Abernathy’emu zaczęto grozić śmiercią. Potem pojawiła się plotka, że wandy z Chicago planują wejść na pomnik Lincolna i pomalować go na czarno.

Kiedy wydawało się, że gorzej być nie może, 23 maja zaczęła się ulewa, która trwała przez dwa tygodnie. Jak to ujął Abernathy, „niebo chlustało wodą, wielkie potoki sunęły przez Mall jak monsuny w Indiach, a ludzie brodzili po kostki w zimnym brązowym błocie”⁶⁹¹. Deszczu napadało tak dużo, że ludzie podejrzewali władze o jego sprowadzenie. Miasto Zmartwychwstania dosłownie zamieniło się w bagno. Hosea Williams, który zastąpił Jessego Jacksona na stanowisku „zarządcy miasta”, kiedy bratobójcze walki stały się nie do zniesienia, nazwał obóz ściekiem. Na drózkach trzeba było położyć chodniki ze sklejki. Namioty się waliły. Warunki sanitarne były tragiczne. Zaniepokojeni urzędnicy sanepidu ostrzegali, że niedługo wybuchną epidemie dyzenterii i tyfusu. National Park Service miało niedługo wystawić SCLC rachunek w wysokości siedemdziesięciu dwóch tysięcy dolarów za zniszczenia na Mall. Tymczasem dwadzieścia dwa wycieńczone muły, które porzucono po długiej podróży do Waszyngtonu, oddano pod opiekę Towarzystwa Zapobiegania Okrucieństwu wobec Zwierząt albo przekazano gospodarstwu rolnemu w Wirginii.

Wszystkie te złe wiadomości najbardziej ucieszyły J. Edgara Hoovera. Odkąd do Waszyngtonu kilka tygodni wcześniej przyjechały pierwsze karawany, dyrektor FBI uważnie monitorował projekt POCAM. Po obozie kręciły się dziesiątki agentów, płatnych informatorów i szpiegów. Jednym z wielu źródeł informacji wywiadowczych był Pentagon, który wyznaczył

oddział łącznościowców do ciągłej obserwacji i fotografowania obozu ze szczytu pomnika Washingtona. Kiedy Hoover zdał sobie sprawę, że z powodu wewnętrznych problemów SCLC nie stanie się wywrotową siłą, która budziła w nim tak wielkie obawy, narzucił swoim agentom i informatorom trochę inną strategię, a mianowicie kazał im „dokumentować takie sprawy jak: niemoralność, nieobyczajność, nieuczciwość i hipokryzja” wśród przywództwa kampanii⁶⁹².

Jednak w tej fazie armii biednych ludzi kończyły się już para, pomysły i pieniądze. Zaczęto ją nazywać bitwą nad Little Bighorn^[18] ruchu praw obywatelskich. Abernathy chciał już tylko wycofać się z Waszyngtonu z twarzą.

W którymś momencie tego długiego, deszczowego, burzliwego miesiąca dobiegła kresu pewna era. Zmęczony naród miał już dosyć polityki protestu, marszów i zamieszek, nieustannych narzekania i roszczeń. Jak to ujął Gerald McKnight w swoim klasycznym studium *The Last Crusade* [Ostatnia krucjata], większość mieszkańców Waszyngtonu zaczęła traktować Miasto Zmartwychwstania jak „jakąś groteskową operę mydlaną, która powinna jak najszybciej zejść z ekranów”⁶⁹³.

Ruch praw obywatelskich dogłębnie odczuł skutki utraty Kinga. Urzeczywistniając w Waszyngtonie pragnienia swojego zamordowanego przywódcy, kierownictwo SCLC pokazało światu, jak bardzo był niezastąpiony. Chociaż kampania miała potrwać jeszcze kilka tygodni, Miasto Zmartwychwstania już wtedy poniosło „niemal całkowitą klęskę”, jak napisał McKnight⁶⁹⁴.

Jednak to, że Miasto Zmartwychwstania nie zdołało poruszyć narodu, wyrażało coś bardzo istotnego. Ramsey Clark chyba jako jedyny spośród wysokich urzędników administracji Johnsona zareagował na patos wpisany w ostatni eksperyment Kinga na Mall. „Lincoln uśmiechał się życzliwie, ale naród amerykański zobaczył za dużo prawdy – napisał kilka lat później Clark. – Bieda jest bowiem nieprzyjemna, brzydka, bałaganiarska, zadymiarska, chora, niewykształcona, agresywna, skłonna do przestępczości. Bieda degraduje człowieka. Roszczeniowy ton, nieartykułowany język żądań i podskórna przemoc głęboko nas raziły. Nie chcieliśmy tego widzieć na naszych świętych, zabytkowych gruntach. Chcieliśmy, żeby nam to zniknęło z oczu, żebyśmy nie musieli o tym pamiętać”⁶⁹⁵.

Wypłata z konta

W połowie maja główny punkt ciężkości poszukiwań Jamesa Earla Raya przeniósł się na północ, do Kanady. FBI uzyskało informację, że Ray przebywał w Toronto i Montrealu niedługo po ucieczce z zakładu karnego w Missouri i że właśnie tam zaczął się podawać za Erica Galta, kradnąc tożsamość rzeczywistemu Ericowi S. Galtowi, który mieszkał na przedmieściu Toronto. Zakładając, że mógł wrócić do Kanady po zamachu, FBI poprosiło Kanadyjską Królewską Policję Konną o sprawdzenie kilku tropów, między innymi przeszukanie wszystkich wniosków paszportowych złożonych od kwietnia 1967 roku, kiedy Ray uciekł z więzienia w Jefferson City, i zidentyfikowanie wszystkich osób podobnych do Raya.

Było to ogromne zadanie, bo w tym okresie Kanada wydała około dwustu osiemnastu tysięcy paszportów i odnowiła kolejnych czterdzieści sześć tysięcy. Przejrzenie tych dokumentów wymagało gigantycznej liczby roboczogodzin – zdjęcia trzeba było porównywać ręcznie, a raczej ocznie. Kanadyjska policja zabrała się jednak do tego z wielką energią i wielkim zapalem.

Komisarz Charles J. Sweeney, szef Wydziału Śledczego Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej we wschodnim Ontario, objął kierownictwo zespołu wykonującego to zadanie w Ottawie. Wybrał dwunastu policjantów, którym nie powiedział, kim jest mężczyzna do zidentyfikowania, i wyposażył ich w szkła powiększające⁶⁹⁶. Na górnym piętrze jednego z budynków administracji niedaleko parlamentu policjanci przez całą dobę uważnie przeglądali wszystkie wnioski paszportowe.

W tym samym tygodniu Ramon Sneyd nocował w tanim hotelu Heathfield House przy Cromwell Road, arterii przecinającej zachodni Londyn. Znajdował się w Earls Court, dzielnicy nazywanej wtedy Doliną Kangurów, ponieważ szczególnie upodobali ją sobie pracownicy z Australii. Sneyd przebywał tam od dziesięciu dni, zamknięty w swoim pokoju, czytał gazety i czasopisma i rozpaczliwie próbował wymyślić jakiś nowy plan. Kiedy skończyły mu się gazety, mógł sobie poczytać *Psycho-Cybernetics* i inne poradniki, a także książkę o Rodezji i kryminał zatytułowany *The Ninth Directive* [Dziewiąta dyrektywa]. Od rana do późna w nocy nie wystawiał nosa z małego pokoju. Często słyszał nad głową ryk jumbo jetów, które startowały z Heathrow albo podchodziły do lądowania, kusząc obietnicą wolności w jednym z odległych zakątków zwiędłego imperium.

Doris Catherine Westwood, właścicielka Heathfield House, prawie nigdy nie widywała swojego lokatora; nie była nawet pewna, jak się nazywa⁶⁹⁷. „Miał takie niewyraźne pismo – powiedziała później Scotland Yardowi – że myślałam, że nazywa się »Snezel«”.

Maj 1968 roku był w Londynie okresem hipisowskiego festiwalu. Na deskach teatru Shaftesbury niedługo miała się odbyć premiera musicalu *Hair*, choć cenzorzy zapowiedzieli, że zabronią pokazywania na scenie gołych kobiecych piersi. Był to również miesiąc fermentu w historii gigantów rock and rolla. W tym samym tygodniu, kiedy Sneyd przyjechał do

Londynu, Beatlesi, którzy właśnie wrócili z sesji medytacji transcendentalnej w indyjskim Riśikeśu, zamknęli się w studiach przy Abbey Road, żeby zacząć nagrywać *Biały album*. Z kolei Rolling Stonesi właśnie skończyli nagrywanie jednej ze swoich najlepszych płyt, *Beggars Banquet*, a Pete Townshend skomponował pierwsze takty opery rockowej o głuchoniemym i niewidomym chłopaku, który miał na imię Tommy.

Sneyd, dobrowolny więzień swojego pokoju, nękany bólami żołądka i głowy, nie miał czasu ani ochoty na te wszystkie rozrywki i kontrkulturowa londyńska fiesta w większości go ominęła. Od przyjazdu do brytyjskiej stolicy zachowywał się jak jaszczurka ukrywająca się w szparach i cieniach. Bał się pokazywać ludziom swoją twarz w świetle dziennym. W amerykańskich gazetach i czasopismach, które wystawiali londyńscy kioskarze, często ukazywało się jego zdjęcie. Czasopismo „Life” opublikowało długi okładkowy artykuł o dzieciństwie i przestępczej karierze Raya. Sneyd postanowił kupić egzemplarz tego periodyku – „Oskarżony zabójca. Ray alias Galt: pouczająca historia niedobrego dziecka”, napisali na okładce – i kiedy czytał artykuł o sobie, narastał w nim strach, że ludzie Hoovera niedługo ruszą jego śladem za Atlantyk.

Na szczęście dla Sneyda Wielka Brytania niedawno znowelizowała kodeks postępowania karnego i w świetle nowych przepisów do rozpoczęcia procesu brytyjskiej prasie wolno było podawać tylko najważniejsze fakty o podejrzanym. W rezultacie londyńskie gazety jeszcze nie opublikowały żadnych zdjęć Raya i oprócz paru funkcjonariuszy Scotland Yardu prawie żaden londyńczyk nie wiedział o wystawionym przez FBI nakazie aresztowania zbiega. Zresztą chociaż zamachowi na Kinga poświęcono w Wielkiej Brytanii sporo miejsca, część obywateli nazywała zamordowanego przywódcę ruchu praw obywatelskich „Lutherem Kingiem” i nie wiedziała o nim prawie nic poza tym, że dostał Pokojową Nagrodę Nobla za swoją walkę o prawa człowieka dla czarnych. Inaczej niż w Stanach Zjednoczonych, w Wielkiej Brytanii prawie nie mówiło się o poszukiwaniach zabójcy Kinga.

Ze wszystkich tych powodów Sneyd pozostawał poza zasięgiem radaru, dobrze ukryty w londyńskich labiryntach, w których było ponad pięć tysięcy pensjonatów.

Ale jego kłopoty się pogłębiały. Nie znalazł taniego transportu do Afryki. Odkąd przyjechał tam 17 maja, jego sytuacja finansowa stała się naprawdę rozpaczliwa. Zostało mu już tylko niecałe pięćdziesiąt funtów. 27 maja, kiedy pani Westwood przypomniała mu, że niedługo trzeba będzie zapłacić czynsz, Sneyd uświadomił sobie, że musi podjąć jakieś nadzwyczajne działania.

– Pójdę do banku i wypłacę pieniądze – obiecał jej.

Kilka godzin później sześćdziesięciodwuletni Maurice Isaacs i jego żona Billie szykowali się do zamknięcia swojego małego sklepu jubilerskiego w Paddington⁶⁹⁸. Zakład ten, działający od końca II wojny światowej, mieścił się przy Praed Street 131, kilka przecznic od dworca kolejowego Paddington, a zatem w okolicy rojnej od ludzi dojeżdżających z przedmieść do pracy, podróżnych i turystów.

Siwowłosa para pokazywała klientowi pierścionki z brylantem, kiedy do środka wszedł Ramon Sneyd. W kieszeni miał rewolwer Liberty Chief .38 z krótką lufą. Pokręcił się przy witrynie z przodu, udając, że chce coś kupić. Po wyjściu klienta przystąpił do działania. Lewą ręką chwycił Maurice’a Isaacsza za ramię, a prawą przystawił mu rewolwer do szyi.

– To jest napad! – powiedział Sneyd. – Na zaplecze! – rozkazał, pokazując na pogrążone w ciemnościach biuro.

Isacsom zdarzyły się już włamania, ale nigdy wcześniej nie grożono im pistoletem. Nie trzymali w sklepie broni i nie mieli opracowanego planu na takie sytuacje. Żadne z nich się nie

ruszyło, kiedy Sneyd kazał im pójść na zaplecze – postanowili zaryzykować, licząc na to, że któryś z licznych przechodniów zobaczy przez szybę, co się dzieje. W pobliżu znajdował się zatłoczony o tej porze pub Fountains Abbey, a poza tym mnóstwo ludzi szło po pracy na dworzec.

Zagrały instynkty: Billie Isaacs, urocza, stateczna kobieta pod sześćdziesiątkę, wskoczyła Sneydowi na plecy, co umożliwiło jej mężowi wyrwanie się z uścisku. Kilka razy uderzył napastnika, a potem włączył alarm.

Sneyd, zdawszy sobie sprawę, że nie docenił odwagi jubilerów, odwrócił się i wybiegł ze sklepu. W zapadającym zmierzchu pędził ruchliwą Praed Street, mijając szpital Saint Mary's, sfrustrowany, że spartolił sprawę.

W Ottawie po tygodniu wykańczającej pracy zespół dwunastu policjantów miał przejrzanych ponad sto tysięcy wniosków paszportowych, z których jedenaście uznał za „obietujące”. W każdym z tych przypadków okazało się jednak, że właściciel paszportu jest praworządnym obywatelem Kanady. Tak jak się wszyscy obawiali, wyglądało na to, że w tym morzu ryb nie uda się złowić tej jednej właściwej.

Jednak 1 czerwca dwudziestojednoletni policjant Robert Wood zatrzymał się dłużej nad jedną z fotografii⁶⁹⁹. Przez szkło powiększające zobaczył dołek w brodzie, pasemka siwizny na skroniach, lekko odstające lewe ucho. Starannie porównał zdjęcie z licznymi fotografiami Raya, które mu udostępniono.

– To mógłby być on – powiedział na głos – gdyby miał okulary.

W formularzu paszportowym widniało nazwisko „Ramon George Sneya”.

Koledzy funkcjonariusza Wooda odłożyli to, czym się w tym momencie zajmowali, i podeszli do niego. Niektórzy dostrzegali podobieństwo, inni mieli wątpliwości. Nie podobały im się nie tylko rogowe okulary, ale także nos, ostrzej zakończony niż na starych fotografiach Raya. W sportowej marynarce i krawacie ten człowiek wyglądał znacznie bardziej dystyngowanie, prawie jak wykładowca akademicki.

Wood przez chwilę potrzymał wniosek w dłoni, a potem odłożył go na kupkę z „obietującymi” i wrócił do swojej monotonnej pracy.

Po południu 4 czerwca Ian Colvin, dziennikarz działu zagranicznego i publicysta londyńskiego „Daily Telegraph”, siedział w swoim pokoju, kiedy zadzwonił telefon.

– Dzień dobry, tu Ramon Sneyd – przedstawił się nerwowym tonem dzwoniący, którego nieczytelnego amerykańskiego akcentu Colvin nie potrafił do końca umiejscowić⁷⁰⁰. – Mam brata, który zaginął w Angoli, a słyszałem, że pisał pan o sytuacji najemników w tym kraju.

– Zgadza się.

– Myślę, że mój brat został najemnikiem. Czy mógłby mnie pan skontaktować z kimś, kto byłby w stanie mi pomóc w jego odnalezieniu?

Colvin nie był szczególnie zaskoczony tym telefonem. Rzeczywiście napisał książkę o wojnach kolonialnych i armiach najemników w Afryce, a przy okazji zbudował rozległą siatkę kontaktów w tym środowisku. Trzeba przyznać, że najwyraźniej Sneyd odrobił zadanie domowe.

– Ma pan numer telefonu majora Alastaira Wicksa? – zapytał Colvina.

Ten urodzony w Wielkiej Brytanii rodezyjski najemnik miał opinię awanturnika, brał udział w konfliktach zbrojnych w Biafrze i był wysokim oficerem armii o nazwie Five Commando Unit w Kongu Belgijskim. Colvin dobrze znał Wicksa, ale nie chciał dawać rozmówcy jego numeru.

– Jeśli poda mi pan swoje dane, przekażę je majorowi Wicksowi – zaproponował.

W tym momencie Colvin usłyszał elektroniczne buczenie – najwyraźniej Sneyd dzwonił z telefonu wrzutowego i sygnał ten informował, że trzeba wsunąć do otworu kolejne sześć pensów.

– Chwileczkę, muszę wrzucić pieniądze – powiedział Sneyd.

Chyba jednak nie zdążył dokopać się do monet, bo połączenie zostało przerwane.

Kilka minut później w pokoju Colvina znów rozległ się dźwięk telefonu.

– Tutaj Sneyd, przed chwilą do pana dzwoniłem – powiedział trochę zakłopotanym tonem.

Powtórzył swoją bajeczkę o dawno zaginionym bracie i Colvin zaczął sobie myśleć, że ten człowiek jest „dziwny, jakby niezrównoważony”. Sneyd z jakiegoś powodu uznał, że musi koniecznie sam pojechać do Afryki, i zdawał się sądzić, że jeżeli tylko uda mu się skontaktować z odpowiednią osobą, to organizacja werbująca najemników opłaci mu przelot do Afryki.

– Jak już mówiłem, z przyjemnością przekażę pana dane kontaktowe majorowi Wicksowi – zapewnił go Colvin.

– Dobrze. Nazywam się Ramon Sneyd i mieszkam w hotelu New Earls Court.

Colvin powiedział, że zapisał to sobie, i Sneyd się rozłączył.

Do New Earls Court Sneyd przeprowadził się kilka dni wcześniej. Ten mały hotel znajdował się przy Penywern Road, bardzo niedaleko Heathfield House, ale był tańszy i trochę przyjemniejszy. Poza tym Sneyd pilnował się, żeby nie mieszkać długo w jednym miejscu, zwłaszcza po nieudanym napadzie na jubilera w Paddington.

Czterokondygnacyjny budynek bez windy miał doryckie kolumny i niebieską markizę nad wejściem do ciasnej recepcji. Było stamtąd bardzo blisko do stacji metra i stadionu Earls Court, na którym Billy Graham^[19] przeprowadził niedawno serię niezwykle skutecznych akcji rekrutacyjnych. Przez kolejny tydzień Sneyd wiernie trzymał się swojego nocnego harmonogramu; w ciągu dnia siedział w swoim pokoju z brązowymi tapetami, nikt do niego nie dzwonił ani nikt go nie odwiedzał. „Był nerwowy, nieśmiały i niepewny siebie”, powiedziała później młoda recepcjonistka Janet Nassau. Wzbudził w niej współczucie, więc nawiązała z nim rozmowę, by doradzić mu w paru kwestiach związanych z brytyjskim systemem walutowym. „Mówił jednak tak niespójnie, że ciężko mu było pomóc. Wydawał mi się trochę tępy. Próbowałam z nim rozmawiać, ale potem zrezygnowałam, żeby sobie nie pomyślał, że go podrywam”⁷⁰¹.

Niemniej zawilóści brytyjskiego systemu walutowego były dla Sneyda znacznie mniejszym zmartwieniem niż to, że w kieszeni zostało mu około dziesięciu funtów. 4 czerwca, w tym samym dniu, w którym zadzwonił do dziennikarza „Daily Telegraph” Iana Colvina, Sneyd zebrał się na odwagę i postanowił nareszcie wydobyć się z problemów finansowych.

Po południu włożył niebieski garnitur i okulary przeciwsłoneczne. O 14.13 wszedł do oddziału Trustee Savings Bank w Fulham i stanął w kolejce. Po kilku minutach dotarł do stanowiska kasjera Edwarda Vineya⁷⁰². Sneyd wsunął do okienka pomiętą różową torbę. Viney z początku nie wiedział, o co chodzi, ale potem zobaczył, że na torbie jest coś napisane.

„Włóż do torby wszystkie banknoty pięćofuntowe”, przeczytał Viney. Przez ciemne okulary Sneyda kasjer zdołał zobaczyć jego oczy i uznał, że to nie są żarty. Kiedy spuścił wzrok, zauważył połyskującą lufę rewolweru.

Szybko opróżnił kasę ze wszystkich banknotów o niskich nominałach – w sumie wyszło tego zaledwie dziewięćdziesiąt pięć funtów. Sneyd był niezadowolony z takiego mizernego urobku i wyciągnął szyję, żeby zobaczyć, ile jest pieniędzy w sąsiedniej kasie.

– Dawaj wszystkie małe banknoty! – krzyknął, wymachując pistoletem w stronę kasjerki Llewellyn Heath.

Spanikowana Heath szarpnęła się do tyłu i niechcący kopnęła dużą blaszaną skrzynkę, wytwarzając perkusyjny dźwięk podobny do odgłosu wystrzału. Hałas ten poderwał wszystkich, łącznie ze Sneydem, który odskoczył od okienka i wybiegł na ulicę. Dwójka kasjerów ruszyła za nim w pościg, ale udało mu się zgubić trop – wszedł do małego sklepu z odzieżą, w którym przez pięć minut udawał zainteresowanego zakupem pary spodni.

W Trustee Savings Bank Edward Viney rozejrzał się po sali i zobaczył, że rabuś zostawił różową torbę z poleceniem wypłaty pieniędzy. Po przybyciu policjantów Viney wręczył im torbę – Laboratorium Kryminalistyczne Scotland Yardu szybko ustaliło, że złodziej zostawił na niej wyraźny odcisk kciuka.

Sierżant R. Marsh z kanadyjskiej policji otrzymał najnowszy wniosek paszportowy, który funkcjonariusz Wood umieścił na kupce „obiecujące”. Marsh przejrzał wniosek i szybko wydedukował, że „Sneya” to literówka, a następnie wytropił prawdziwego Ramona George’a Sneyda.

Mimo że Sneyd był policjantem z Toronto, Marsh musiał go na tym etapie potraktować jako potencjalnego sprawcę – a przynajmniej współnika – zamachu na Kinga i zaczął przesłuchiwanie dosyć konfrontacyjnym tonem.

– Panie Sneyd – powiedział – 4 kwietnia w Memphis doszło do zabójstwa. Władze amerykańskie poszukują podejrzanego. Podejrzany zamieszkał później tutaj, w Toronto, pod nazwiskiem „Ramon George Sneyd”. Czy ma pan nam coś do powiedzenia na ten temat?⁷⁰³

Funkcjonariusz Sneyd był, eufemistycznie mówiąc, skołowany. Zaczął grzebać w pamięci za jakimś przypadkowym spotkaniem z kimś, kto mógł ukraść mu tożsamość. I przypomniał sobie.

– Jakiś miesiąc temu – odparł – miałem telefon od obcego człowieka, który zapytał: „Czy rozmawiam z panem Sneydem?”. Chciał wiedzieć, czy nie zgubiłem paszportu. Powiedział, że pracuje w urzędzie paszportowym i robi rutynowy remanent. Stwierdziłem, że to pomyłka, ale on znowu mnie zapytał, czy jestem Ramon George Sneyd, urodzony 8 października 1932 roku w Toronto. Powiedziałem: „Tak, ale musiała zająć jakaś pomyłka. Nigdy nie miałem paszportu. Nigdy w życiu nie wnioskowałem o paszport”. Przeprósł za swój błąd i się rozłączył.

Historia Sneyda była dostatecznie przekonująca, aby Marsh puścił tego strasznie zdezorientowanego policjanta wolno. Nie ulegało wątpliwości, że człowiek, który wyrobił sobie paszport na nazwisko „Sneya”, podał się za inną osobę.

Funkcjonariusze kanadyjskiej policji zaczęli sprawdzać różne wpisane do wniosku paszportowego adresy. Odwiedzili panią Loo na Dundas Street, panią Szpakowski na Ossington Avenue i studio fotograficzne Arcade, gdzie skonfiskowali negatyw zdjęcia paszportowego. Odkryli, że „Sneyd” posłużył się również pseudonimem „Paul Bridgman” oraz że prawdziwy Bridgman, podobnie jak prawdziwy Sneyd, odebrał niedawno telefon od obcego człowieka, który twierdził, że pracuje w Urzędzie Paszportowym w Ottawie. Podnieceni funkcjonariusze odwiedzili następnie biuro podróży Kennedy, w którym wypełniono poświadczony notarialnie wniosek paszportowy. Przesłuchali Lillian Spencer, pracownicę, która obsługiwała Sneyda.

Spencer zajrzała do dokumentów i powiedziała policjantom, że Sneyd prawdopodobnie poleciał 6 maja do Londynu samolotem linii British Overseas. Od tej pory nie miała z nim kontaktu.

Pracownicy lotniska międzynarodowego w Toronto potwierdzili, że „Sneya” trzymał się zaplanowanej marszruty – na liście pasażerów wymienionego przez Spencer lotu widniało nazwisko, którego szukali policjanci: Ramon G. Sneyd.

Kopię wniosku paszportowego wysłano kurierem do Laboratorium Kryminalistycznego FBI, gdzie grafolodzy szybko ustalili, że charakter pisma Sneyda jest zgodny z charakterem pisma Erica S. Galta i Jamesa Earla Raya. Materiał dowodowy nie pozostawiał wątpliwości: uciekinier wyrobił sobie w Kanadzie nową tożsamość i uciekł do Anglii. Przyszła pora zawiadomić Scotland Yard.

Dzień po napadzie na bank w Fulham Ramon Sneyd postanowił wyprowadzić się z hotelu New Earls Court. Mokrymi od deszczu ulicami Pimlico dotarł do YMCA. Nie mieli tam wolnych miejsc, ale recepcjonistka odesłała go do małego pensjonatu Pax kilka drzwi dalej, gdzie spośród mgły wyzierał napis „WOLNE POKOJE”. W beżowym płaszczu przeciwdeszczowym i z plikiem papierów pod pachą Sneyd poprosił urodzoną w Szwecji właścicielkę Annę Thomas o aspirynę na ból głowy, a potem poszedł do swojego pokoju, który był mały, ale czysty, z wesołą tapetą w niebieskie pawie. „Sprawiał wrażenie chorego i bardzo, bardzo zdenerwowanego – powiedziała. – Cały dzień przeleżał w łóżku. Kilka razy prosiłam go o wypełnienie karty meldunkowej, ale odmówił”⁷⁰⁴.

Tak naprawdę Sneyd był ciężko spanikowany. Kończyły mu się pomysły. Ani Colvin, ani major Alastair Wicks się z nim nie skontaktowali i dalej nie miał pojęcia, jak przedostać się do południowej Afryki. Napad zaowocował mizerną równowartością dwustu czterdziestu dolarów – za mało na bilet lotniczy do Salisbury.

Część zrabowanych pieniędzy zdążył już wydać na zakup strzykawki i narkotyków, prawdopodobnie kupił speed albo heroinę. Pani Thomas szybko się zorientowała, że jej lokator bierze prochy. „Nigdy nie było czuć od niego alkoholu – powiedziała – ale zachowywał się tak, jakby był trochę śnięty”.

Sneyda dręczyło coś jeszcze: 5 czerwca w prasie ukazała się sensacyjna wiadomość, że senator Robert Kennedy został postrzelony w głowę w hotelu Ambassador w Los Angeles, niedaleko miejsca, w którym Sneyd jako Eric Galt mieszkał kilka miesięcy wcześniej. Senator nadal walczył o życie w szpitalu, ale rokowania były bardzo niepomyślne. Sneyd nie należał do miłośników Kennedy’ego, obawiał się jednak, że oburzenie z powodu kolejnego zamachu na bardzo znaną postać publiczną skłoni FBI do zdwojenia wysiłków na rzecz znalezienia mordercy Kinga. Nie wiedział, na czym by to miało polegać, ale był przekonany, że skutki postrzelenia Kennedy’ego będą go ścigały za ocean.

Jeden z członków personelu hotelowego powiedział do Sneyda o senatorze:

– To straszna wiadomość.

Sneyd odpowiedział tonem, który pracownik odebrał jako sarkastyczny:

– Rzeczywiście straszna.

Tego samego dnia Andrew Young i Coretta Scott King, wraz z kilkoma innymi członkami kierownictwa SCLC, zdruzgotani oglądali wiadomości telewizyjne w apartamencie waszyngtońskiego hotelu Willard. Uciekli od hałasu, błota i zamętu oddalonego o kilka przecznic Miasta Zmartwychwstania, aby wraz z całym narodem trzymać kciuki za Roberta

Kennedy'ego. Young i Coretta mieli makabryczne poczucie *déjà vu*. „Byłem oszołomiony, funkcjonowałem na autopilocie – powiedział Young. – Nigdy wcześniej nie czułem się taki przygnębiony”⁷⁰⁵.

Coretta miała świeżo w pamięci życzliwość senatora Kennedy'ego wobec niej po śmierci Kinga – udostępnił jej samolot, żeby mogła polecieć do Memphis, wygłosił zaimprovizowaną, uspokajającą nastroje przemowę w Indianapolis, jeździł po ogarniętych zamieszkami miastach i przedstawiał swoją wizję odbudowy najuboższych dzielnic wielkich miast Ameryki. Kennedy był jedynym kandydatem na prezydenta, który jawnie popierał Kampanię Biednych Ludzi.

Z każdą chwilą stawało się coraz bardziej oczywiste, że Kennedy nie przeżyje. Dla Miasta Zmartwychwstania, tego nękanego przez żywioły i rozpaczliwie zdezorganizowanego przedsięwzięcia, które nie przynosiło chluby ruchowi praw obywatelskich, był to miazdzący cios. „Nadal próbowaliśmy udawać, że śmierć Martina nas nie zdruzgotała – napisał Young. – Ale po zamachu na Kennedy'ego nie mogliśmy już dłużej udawać. Wpadłem w głębokie przygnębienie i nie miałem siły dalej walczyć”⁷⁰⁶.

Następnego dnia w Londynie Anna Thomas, właścicielka hotelu Pax, poszła posprzątać pokój Sneyda i zobaczyła na łóżku gazetę otwartą na informacji o zamachu na Roberta Kennedy'ego. Senator zmarł ubiegłej nocy, zarzuty postawiono młodemu palestyńskiemu zadymiarzowi Sirhanowi Sirhanowi i ogłupiały naród przygotowywał się do żałoby po kolejnym Kennedym. Ciało senatora miano przewieźć samolotem do Nowego Jorku na mszę żałobną w katedrze Świętego Patryka, a następnie pociągiem do Waszyngtonu, żeby Robert Kennedy mógł spocząć na Arlingtonskim Cmentarzu Narodowym obok swojego brata.

Pani Thomas spostrzegła, że Sneyd posprzątał pokój, pościelił łóżko, starannie naciągnął niebieską narzutę i wyprał koszule, które suszyły się teraz nad niewielką umywalką koło okna.

Jak się okazało, Sneyd poszedł do budki telefonicznej za rogiem, żeby zadzwonić do Iana Colvina z „Daily Telegraph”.

– Nie miałem żadnej wiadomości od majora Wicksa, a przenieśliem się do innego hotelu. Dzwonił pan do niego? – zapytał Sneyd.

Według Colvina Sneyd „sprawiał wrażenie napiętego i mówił trochę niespójnie”⁷⁰⁷.

Colvin powiedział Sneydowi, że dzwonił do majora Wicksa (i rzeczywiście to zrobił), ale major powiedział, że nazwisko „Sneyd” nic mu nie mówi. Wicks rozpytał się wokół siebie i nie znalazł nikogo, kto znałby brata Sneyda.

– Kiedy pana brat zginął? – zapytał Colvin.

– Prawdę mówiąc, on nie zginął – przyznał Sneyd – tylko od kilku miesięcy nie mieliśmy od niego żadnych wiadomości.

– I martwi się pan o jego bezpieczeństwo? – zapytał Colvin.

– Nawet nie o to chodzi – odparł Sneyd i dodał po chwili wahania: – Widzi pan, sam chciałbym zostać najemnikiem.

Colvin zaczynał tracić cierpliwość do tego lawiranta. Powiedział Sneydowi, że to nie jest odpowiedni moment, by próbować się zaciągnąć do armii najemników. W większości krajów Afryki walki wygasają, ruch się wykrusza, żołnierze fortuny powoli wracają do domu.

– A poza tym – dodał, chcąc pozbyć się natręta – Londyn nie jest najlepszym miejscem, by uzyskać informacje o najemnikach.

– W takim razie dokąd, pana zdaniem, powinienem pojechać? – zapytał Sneyd z wyraźnym zainteresowaniem.

– Na pana miejscu dostałbym się do Brukseli – odparł Colvin i wyjaśnił, że istnieje tam coś w rodzaju ośrodka informacyjnego, w którym śledzą losy wszystkich najemników.

– Mógłby pan powtórzyć nazwę?

– Bruksela, stolica Belgii – powiedział Colvin.

Jakieś półtora kilometra dalej, w Scotland Yardzie, kierowanie sprawą zbiega Raya-Galta-Sneyda przejął jeden z najwybitniejszych brytyjskich oficerów śledczych, nadinspektor Thomas Butler, szef słynnego Flying Squad, który niedawno rozwiązał zagadkę jednego z najbardziej znanych rabunków w historii Anglii, tak zwanego wielkiego napadu na pociąg z 1963 roku. Bezceremonialny, flegmatyczny Butler, łysiejący pięćdziesięcioletni, był starym kawalerem, który mieszkał ze swoją matką w Barnes niedaleko Tamizy. Nie palił, rzadko pił alkohol i miał słabość do blezerów w pepitkę. Nadinspektor Butler uchodził za człowieka niezwykle metodycznego i drobiazgowego. Jak napisał o nim pewien dziennikarz londyńskiego „Timesa”, „wielu przestępców szukających schronienia za granicą przyznało później, że nawet na drugim końcu świata nie zaznali spokoju, kiedy się dowiedzieli, że w ich ściganiu bierze udział pan Butler”⁷⁰⁸.

Ludzie Butlera szybko dowiedzieli się, że Ramon „Sneya” przebywał na lotnisku Heathrow tylko przez kilka godzin, po czym odleciał do Lizbony. Policja portugalska, we współpracy z FBI i Interpolem, prześledziła ruchy Sneyda w stolicy Portugalii. Odnaleźli jego hotel, bary, w których pił, i prostytutki, z którymi sypiał. Ustalili, że Ambasada Kanadyjska w Lizbonie wydała mu skorygowany paszport. Stwierdzili, że 17 maja wrócił do Londynu.

Po tym krótkim wypadzie do Portugalii śledztwo wróciło więc na podwórko Butlera. Nadinspektor nie marnował czasu. Policjanci ruszyli przesłuchiwać kierowników wszystkich tanich hoteli i pensjonatów w Londynie. Sprawdzono wszystkie linie lotnicze, kolejowe i autobusowe, wszystkie wypożyczalnie samochodów, przechowalnie bagażu, sejfy depozytowe i nocne kluby. Fotografie i rysopis Sneyda zamieszczono w „Police Gazette”, biuletynie rozsyłanym do wszystkich funkcjonariuszy policyjnych i urzędników imigracyjnych na Wyspach Brytyjskich. „Poszukiwany w związku z poważnym naruszeniem przepisów imigracyjnych – brzmiał podpis pod fotografią Sneyda. – Nie przesłuchiwać, lecz zatrzymać do dalszych czynności”.

6 czerwca nazwisko „Ramon George Sneyd” znalazło się w „Ostrzeżeniu dla wszystkich portów”, co oznaczało, że urzędnicy imigracyjni w każdym terminalu morskim i lotniczym mieli obowiązek zatrzymać osobę podróżującą pod tym nazwiskiem.

Butler poinformował FBI w Waszyngtonie, że jego ludzie działają i śledztwo rozwija się obiecująco. Cartha DeLoach był ostrożny z optymizmem: „Wiedzieliśmy, że zbieg ukrywa się gdzieś w Anglii, Szkocji lub Walii, na obszarze mniejszym niż Stany Zjednoczone, ale nawet w tym stogu siana igła mogła zniknąć na wiele tygodni, miesięcy albo lat”⁷⁰⁹.

Nie potrafię normalnie myśleć

8 czerwca rano Anna Thomas zapukała do drzwi pokoju Ramona Sneyda i stwierdziła, że jej lokator spakował się i dał nogę. Pokój był posprzątany, nie licząc porozkładanych wszędzie gazet. Sneyd zostawił zimnowojenny thriller szpiegowski *Tangier Assignment* [Zlecenie w Tangerze], którego żółta okładka obiecywała „wciągającą międzynarodową intrygę, szachrajstwa mafii i przemyt na wielką skalę”. W odpływie umywalki znalazła plastikową strzykawkę.

Zniknięcie lokatora ją ucieszyło. „To był taki neurotyk, taki dziwny człowiek – wspominała. – Współczułam mu, ale był tak wyraźnie zaburzony, że przechodziły mnie ciarki”⁷¹⁰.

Kiedy Thomas sprzątała pokój, Sneyd jechał taksówką na lotnisko Heathrow, gdzie zamierzał wsiąść do samolotu linii British European do Brukseli, który odlatywał o 11.50.

Idąc za sugestią Iana Colvina, dzień wcześniej kupił bilet w jedną stronę w klasie ekonomicznej. Teraz na terminalu 2 lotniska Heathrow pokazał bilet pracownikowi w hali odlotów i odprawił walizkę. Potem ruszył w stronę stanowiska odprawy paszportowej. Miał na sobie sportową marynarkę, szare spodnie i długi beżowy płaszcz przeciwdeszczowy. W prawej kieszeni spodni czuł zimny metal naładowanego pistoletu.

– Paszport proszę – powiedział młody urzędnik imigracyjny Kenneth Human, kiedy Sneyd podszedł do okienka⁷¹¹.

Sneyd wyjął z kieszeni płaszcza portfel, wyciągnął z niego granatowy kanadyjski paszport i podał urzędnikowi. Human porównał zdjęcie paszportowe z żywym człowiekiem i nic nie wzbudziło jego wątpliwości: ten sam człowiek, te same okulary, wszystko się zgadzało.

Potem zobaczył w portfelu Sneyda inny paszport.

– Mogę zobaczyć ten drugi? – poprosił.

Sneyd podał urzędnikowi drugi paszport, na którym widniała pieczętka „anulowano”.

– Dlaczego nazwiska się różnią? – zapytał Human, który zauważył, że w jednym dokumencie widnieje nazwisko „Sneyd”, a w drugim „Sneya”.

Sneyd wyjaśnił, że w paszporcie wydanym w Ottawie pojawiła się literówka – wynik prostego błędu urzędnika – o której skorygowanie poprosił podczas pobytu w Portugalii.

Human uznał to wyjaśnienie za satysfakcjonujące, ale w tym momencie pojawił się funkcjonariusz Scotland Yardu, szczupły, niebieskooki mężczyzna ze starannie przystrzyżonym wąsem, który nazywał się Philip Birch⁷¹². Kiedy Sneyd i Human rozmawiali o paszporcie, Birch obserwował twarz i ruchy Kanadyjczyka. Doszedł do wniosku, że pasażer wygląda na „roztargnionego specjalistę”, ale potem z kimś mu się skojarzył. Przypominał sobie mgliście, że widział fotografię tego człowieka w „Police Gazette”.

Birch przesunął palcem po liście nazwisk wydrukowanej w oficjalnym dokumencie Scotland Yardu, opatrzonej nagłówkiem: „Zlokalizować i zatrzymać”. W rubryce: „Ostrzeżenie do wszystkich portów” jak byk stało nazwisko Kanadyjczyka: „Ramon George Sneyd”.

Funkcjonariusz Birch poklepał Sneyda po ramieniu.

– Przepraszam pana, pan pozwoli na stronę – powiedział do niego, jak później wspominał. – Chciałbym zamienić z panem słowo.

Sneyd, który sprawiał wrażenie raczej zirytowanego niż zaniepokojonego, spojrzał na zegarek.

– Ale mój samolot zaraz odlatuje.

– To potrwa tylko chwilę – zapewnił go Birch jowialnym tonem. – Czy mógłbym zobaczyć te paszporty?

Do Bircha dołączyło dwóch innych policjantów i we trójkę odprowadzili Sneyda na lotniskowy posterunek. Sneyd sądził, że chodzi tylko o rutynowe wyjaśnienie kwestii dwóch paszportów, więc nie protestował, chociaż nie był zachwycony sytuacją. Gdyby coś poszło nie tak, miał przecież w kieszeni naładowany rewolwer. Wszystko wskazywało na to, że przyjazna trójka funkcjonariuszy nie jest uzbrojona.

Po przybyciu na posterunek Birch powiedział do Sneyda:

– Pozwoli pan, że pana przeszukam?

Sneyd posłusznie unióśł ręce nad głowę.

Birch starannie go oklepał i szybko znalazł rewolwer: .38 Liberty Chief produkcji japońskiej, z orzechową kolbą owiniętą czarną taśmą izolacyjną. Birch obrócił bębenek i zobaczył pięć pocisków.

– Dlaczego nosi pan przy sobie broń? – zapytał spokojnym tonem.

– Jadę do Afryki – wyjaśnił Sneyd. – Pomyślałem, że może mi się przydać. Wie pan, jaka tam jest sytuacja. – W jego głosie po raz pierwszy pojawiła się nutka zaniepokojenia.

Birch podał rewolwer innemu policjantowi i kontynuował rewizję. W kieszeni Sneyda znalazł broszurę o tłumikach do pistoletów i klucz pasówkę, jakiego używają ślusarze. Sneyd miał przy sobie niecałe sześćdziesiąt funtów.

– Mam informacje, że popełnił pan przestępstwo, w związku z czym jest pan zatrzymany – powiedział Birch.

Sneyd, który teraz na pewno nie zdążyłby już na samolot, opadł bezwładnie na krzesło.

Funkcjonariusz chwycił za słuchawkę i poprosił o wyjęcie z luku bagażowego walizki Sneyda, ale było już za późno, ponieważ odrzutowiec kołował w stronę pasa startowego. Potem Birch zadzwonił do Komendy Głównej Scotland Yardu i poinformował swoich zwierzchników, że zaledwie dwa dni od pojawienia się „Ostrzeżenia do wszystkich portów” Ramon George Sneyd znajduje się w rękach policji.

Godzinę później na lotnisko Heathrow przyjechał nadinspektor Thomas Butler w towarzystwie komisarza Kennetha Thompsona z Interpolu⁷¹³. Po krótkiej rozmowie z Philipem Birchem na zapleczu Butler wszedł do pomieszczenia, w którym znajdował się podejrzany, i przejął przesłuchanie. Uchodził za mistrza przesłuchań: miał twarz pokerzysty i tak umiejętnie modulował głos, że podejrzany nigdy nie wiedział, co policjant myśli. W czynnościach uczestniczył też komisarz Thompson, ale tylko Butler zadawał pytania.

– Jesteśmy funkcjonariuszami policji – zaczął oficjalnym, uprzejmym tonem. – Jak rozumiem, miał pan przy sobie dwa paszporty.

Sneyd sprawiał wrażenie ucieszonego, że widzi nową osobę, z którą może się podzielić swoim oburzeniem.

– Nie rozumiem, dlaczego tutaj jestem – powiedział.

Butler nie zamierzał się jednak z tego tłumaczyć.

– Jak się pan nazywa?

– Sneyd. Nazywam się *Sneyd*!

Butler wyjął z kieszeni dwa paszporty i potasował je jak talię kart. Postukał w nie, otworzył i znowu potasował. Na jego twarzy pojawił się zboląły grymas.

– Z obu tych paszportów wynika, że jest pan obywatelem kanadyjskim urodzonym 8 października 1932 roku w Toronto. Czy te dane się zgadzają?

– Oczywiście, że się zgadzają – odparł wyraźnie sfrustrowany Sneyd.

Butler wyjął liberty chiefa i przytrzymał na otwartej dłoni. Zbolała mina wróciła.

– Ten rewolwer kalibru .38 z pięcioma pociskami w komorach znaleziono w kieszeni pana spodni podczas wstępnego przesłuchania. Czy to pana broń?

– Tak.

– Czy zechciałby nam pan powiedzieć, panie Sneyd, dlaczego nosi pan przy sobie broń?

– Leciałem do Brukseli.

– A do czego byłaby panu potrzebna broń w Brukseli?

– No... tego... – wyjąkał Sneyd. – Wybieram się do Rodezji, a nie jest tam w tej chwili zbyt bezpiecznie.

Butler wymienił spojrzenia z komisarzem Thompsonem, a potem jeszcze trochę oglądał rewolwer, teatralnie marszcząc brwi. Specjalnie przeciągał sprawę, żeby podejrzany zdążył się spocić.

– W tym kraju trzeba mieć pozwolenie na posiadanie broni, a nawet amunicji. Czy ma pan pozwolenie na posiadanie broni wydane przez uprawniony organ?

Sneyd pokręcił przecząco głową.

– Nie, nie mam pozwolenia.

Kolejne zawieszenie głosu, kolejne grymasy i marszczenie brwi.

– W takim razie muszę pana poinformować, panie Sneyd, że jest pan aresztowany za posiadanie broni bez pozwolenia. Pouczam pana również, że wszystko, co pan od tej pory powie, może być wykorzystane przeciwko panu w sądzie.

Sneyda przewieziono do aresztu przy Cannon Row, budynku z czerwonej cegły i granitu na terenie Scotland Yardu, niecałe sto metrów od parlamentu. Umieszczono go w dużej pustej celi, w której miał przebywać do czasu, aż Butler i jego ludzie zgromadzą więcej informacji. Przy żeliwnej bramie aresztu pełniło wartę dwóch wysokich londyńskich *bobbies*. Uwięziony w szarym lochu Sneyd co kwadrans słyszał, a nawet czuł w kościach donośne dzwonięcie Big Bena, które przypominało mu, że nie dotarł do najdalszych zakamarków imperium – zamiast tego trafił na jego główną komendę policji. Pilnował go uzbrojony strażnik.

Funkcjonariuszom Scotland Yardu z lotniska Heathrow udało się odzyskać walizkę Sneyda, która przyleciała kursem powrotnym z Brukseli, i około 15.00 komisarz Kenneth Thompson przyniósł ją do celi Sneyda.

– Czy to pański bagaż? – zapytał.

Sneyd potwierdził.

Przeprowadzono szybką inwentaryzację zawartości walizki, która „okazała się nader pouczająca”, by zacytować jednego z funkcjonariuszy Scotland Yardu. Śledczy znaleźli między innymi mapę Portugalii, przewodnik po Rodezji, książki o hipnozie i egzemplarz *Psycho-Cybernetics* z licznymi uwagami na marginesie. Była również marynarka z metką opatrzoną imieniem i nazwiskiem „Eric Galt”. W pojemniku na baterie radia tranzystorowego znaleziono skrawek papieru z nazwami kilku organizacji najemników w Angoli.

Przyszedł policjant, który kazał Sneydowi zdjąć ubranie i włożyć na siebie więzienny pasiak, żeby jego odzież można było przekazać do analizy. Upokorzenie to oburzyło Sneyda.

– Nie wiem, po co to robicie. Chłopcom z laboratorium do niczego się to nie przyda.

Ale wykonał polecenie. Jego ubrania umieszczono w celofanowej torbie i zarejestrowano jako materiał dowodowy.

Kilka minut później do celi wszedł nadinspektor Thomas Butler i usiadł naprzeciwko aresztanta odzianego w więzienny uniform. Bez żadnych wstępów podjął wątek przerwany na lotnisku Heathrow.

– Z informacji uzyskanych przez nas już po pana zatrzymaniu wynika, że nie jest pan obywatelem kanadyjskim, lecz Amerykaninem⁷¹⁴.

Sneyd odwrócił głowę; najwyraźniej zmagał się z implikacjami tego, co właśnie usłyszał. Potem skinął i wydusił:

– Tak, jestem Amerykaninem.

Butler chwycił byka za rogi.

– Sądzę, że nie nazywa się pan „Sneyd”, lecz „James Earl Ray”. Posługuje się pan również nazwiskami „Eric Starvo Galt” i innymi. – Pozwolił wybrzmieć tym słowom, a potem kontynuował: – Oraz że jest pan obecnie poszukiwany w Stanach Zjednoczonych za poważne przestępstwa, między innymi za morderstwo z użyciem broni palnej.

Sneyd był zdruzgotany. Bezwładnie opadł na ławkę i schował twarz w dłoniach.

– O Boże – powiedział – czuję się osaczony.

Na razie jednak Scotland Yard postawił Sneydowi alias Galtowi alias Rayowi dwa stosunkowo błahе zarzuty: posługiwanie się podrobionym paszportem i noszenie przy sobie broni bez pozwolenia. Wystarczyło to jednak do zatrzymania najbardziej poszukiwanego człowieka na świecie i zakończenia jego sześćdziesięciopięciodniowej ucieczki z Memphis. Niedługo miał zostać przewieziony do osławionego więzienia w Brixton i czekać tam na postępowanie ekstradycyjne.

– Ponownie pana pouczam, że wszystko, co pan od tej pory powie, może być użyte przeciwko panu w sądzie.

Sneyd wbił wzrok w podłogę, na jego twarzy malowała się rozpacz.

– Tak, nie powinienem już nic więcej mówić. Nie potrafię normalnie myśleć⁷¹⁵.

Trzy wdowy

W sobotę rano na przedmieściach Waszyngtonu Cartha DeLoach smażył dzieciom racuchy, kiedy zadzwonił telefon⁷¹⁶. Pracownik centrali telefonicznej FBI połączył go z Londynem.

– Deke, mają waszego człowieka.

Głos dochodzący z opóźnieniem zza oceanu był trochę zniekształcony. Należał do Johna Minnicha, agenta FBI, który pracował jako attaché prawny w Ambasadzie Amerykańskiej w Londynie.

– Co takiego?

– Scotland Yard ma Sneyda – wyjaśnił Minnich. – Złapali go kilka godzin temu na Heathrow.

DeLoach nie posiadał się z radości.

– Naprawdę? Dokąd leciał?

– Zdaje się, że do Brukseli – odparł Minnich. – Powiedział im, że stamtąd zamierzał się dostać do Rodezji.

DeLoach odetchnął z ulgą, którą dało się słyszeć po drugiej stronie oceanu. „Wszystkie mięśnie w moim ciele się rozluźniły – napisał w swoich wspomnieniach. – Nawet nie zdawałem sobie sprawy, jaki byłem spięty przez minione dwa miesiące. Każdy kąt pokoju wypełnił się światłem”⁷¹⁷.

– Ale jest jeden problem, Deke – powiedział Minnich, wrywając DeLoacha z rozmarzenia. – Nie udało nam się go na sto procent zidentyfikować.

– Nie rozumiem.

– Nie mamy absolutnej pewności, że to Ray.

– To proste: zdejmijcie mu odciski palców – powiedział DeLoach.

– Nie możemy – odparł Minnich. – Zgodnie z brytyjskimi przepisami wymaga to dobrowolnej zgody zatrzymanego.

Zdegustowany DeLoach o mało nie rzucił słuchawką o ścianę – nie miał cierpliwości do Brytoli z ich bezsensownym certoleniem się. Od szybkiego rozstrzygnięcia tej sprawy zależał prestiż FBI, które zaangażowało w nią tylu agentów i zbadało tyle kosztownych tropów. DeLoach po prostu nie mógł czekać na identyfikację zatrzymanego.

– Do jasnej cholery, człowieku. Daj temu całemu Sneydowi szklankę wody, a potem zdejmij ze szklanki odciski⁷¹⁸.

– Ale...

– Masz to zrobić! – zażądał DeLoach i się rozłączył.

Był za bardzo zdenerwowany, żeby smażyć racuchy, potrafił tylko chodzić tam i z powrotem.

Godzinę później Minnich znowu zadzwonił i zaczął od jednego słowa:

– Potwierdzone!

Podstęp najwyraźniej przyniósł rezultaty. Sneyd chwycił szklankę w dłoń i wypił wodę. Śledczy przekazali szklankę do Laboratorium Kryminalistycznego Scotland Yardu. Wśród

pobranym z niej odcisków palców znalazła się dobrze znana FBI odbliska lewego kciuka, na której można było zobaczyć pętlicę łokciową z dwunastoma listewkami – linie papilarne Raya. Odciski były również zgodne ze znalezionymi przez ekspertów Scotland Yardu na papierowej torbie zostawionej przez człowieka, który obrabował Trustee Savings Bank w Fulham.

– Dobra robota! – powiedział DeLoach do Minnicha. Rozłączył się, a potem próbował dotrzeć do Hoovera.

Dyrektora FBI zastał tam, gdzie z reguły przebywał on w weekendy, czyli w nowojorskim hotelu Waldorf Astoria. Hoover nie był zbyt rozmowny i sprawiał wrażenie prawie obrażonego, że niepokoi się go w dzień wolny od pracy. Kiedy DeLoach przekazał mu wspaniałą wiadomość, że największy pościg w dziejach FBI dobiegł końca, dyrektor ograniczył się do zdawkowego:

– Świetnie. Przygotuj komunikat dla prasy⁷¹⁹.

W katedrze Świętego Patryka na Manhattanie skończyła się msza żałobna i ciało Roberta Kennedy’ego przywieziono na Penn Station, żeby uroczystie przewieźć je pociągiem do Waszyngtonu⁷²⁰. Uczestnicy nabożeństwa przenieśli się z półmroku gotyckiego wnętrza na rozświetloną w czerwcowy dzień ulicę. Prezydent Johnson i Lady Bird wsiedli do limuzyny i pojechali do Central Parku, gdzie czekał prezydencki helikopter. Na Piątej Alei było zbyt wielu dygnitarzy, żeby ich policzyć, ale energia tłumu skoncentrowała się na trójce kobiet, na trzech narodowych wdowach, Jackie, Coretce i Ethel.

Do wychodzącego z katedry Ramsey’a Clarka podszedł agent FBI, który czekał na niego na schodach. Szepnął coś Clarkowi do ucha i prokurator generalny skinął głową na znak, że zrozumiał. Długa pogoń dobiegła końca. Wydano już komunikat prasowy dla mediów.

Zwierzchnik amerykańskiego wymiaru sprawiedliwości przez moment rozkoszował się tą wiadomością. Z przenośnego telefonu zadzwonił do DeLoacha, a następnie do zastępcy prokuratora generalnego generała Freda Vinsona i kazał mu polecieć do Londynu, żeby nadzorował procedurę ekstradycyjną.

Potem jednak Clarkowi przyszło do głowy, że Hoover specjalnie przekazał mu wiadomość akurat w tym momencie: chce odsunąć pogrzeb senatora na dalszy plan. Jeżeli istniał człowiek, którego dyrektor FBI nie cierpiał nie mniej niż Kinga, to człowiekiem tym był Bobby Kennedy. Jaką on musi mieć satysfakcję, pomyślał Clark, że może ogłosić triumf biura akurat teraz, kiedy otworzyły się wielkie katedralne drzwi z brązu, a organista nadepnął na pedały. Taktowniej byłoby zaczekać – choćby parę godzin – ale Hoover nie umiał się powstrzymać⁷²¹.

W ciągu kilku minut nowina rozeszła się wśród ludzi stłoczonych pod gigantyczną katedralną rozetą. Do Coretty Scott King podeszło stado dziennikarzy.

– W Londynie złapali zabójcę pani męża. Jak to pani skomentuje? – zapytał namolnie jeden z nich.

Coretta jeszcze o tym nie wiedziała. Bez słowa odwróciła się w stronę dziennikarza, przywołała na usta ten smutny, mądry uśmiech, który opanowała do perfekcji przez dwa miesiące wdowieństwa, i ledwie dostrzegalnie skłoniła głowę. Potem dołączyła do tłumu, który maszerował Piątą Aleją.

Tego samego dnia, kiedy pociąg z ciałem Kennedy’ego powoli jechał wzdłuż Wschodniego Wybrzeża, mijając zgromadzone przy torach załzawione tłumy – i zabijając kilka osób – wiadomość o schwytaniu Raya dotarła do Miasta Zmartwychwstania. Przekazano ją przez megafony i w miasteczku namiotowym wybuchły spontaniczne wiwaty, ale szybko pojawiły się

również głosy sceptycyzmu. Czy Ray na pewno jest sprawcą? Czy tylko on brał udział w zamachu? Czy to możliwe, żeby dotarł do Londynu bez niczyjej pomocy?

Ponieważ Abernathy był w Nowym Jorku w związku z pogrzebem, rzecznikiem obozu został Hosea Williams, „zarządca”.

– Bardzo się cieszymy, że go złapano; jeśli to rzeczywiście jest sprawca – powiedział Williams do dziennikarzy. – Ten człowiek martwi mnie jednak dużo mniej niż system, który go stworzył; system, który zabił prezydenta Kennedy’ego, Malcolma X, Martina Luthera Kinga i Roberta Kennedy’ego. Martwi nas chore społeczeństwo, w którym jest tyle zła⁷²².

Kilka godzin później, o zmierzchu, pociąg z ciałem Kennedy’ego przyjechał na Union Station w Waszyngtonie i pogrzebowa kawalkada ruszyła przez miasto w stronę Arlingtonskiego Cmentarza Narodowego. Kondukt minął budynek Departamentu Sprawiedliwości przy Constitution Avenue, gdzie Kennedy pracował jako prokurator generalny i gdzie FBI mierzyło się teraz z reakcjami świata na wiadomość o schwytaniu Raya, a prokuratorzy przygotowywali się do postępowania ekstradycyjnego. Kiedy kawalkada przejeżdżała koło pomnika Lincolna, chór zaśpiewał *Hymn bojowy Republiki*^[20]. Wzdłuż Constitution Avenue stały tysiące członków armii biednych ludzi i z rozpaczą pożegnały senatora, kiedy karawan wjechał na Memorial Bridge nad granatowym nurtem Potomacu i podążył w stronę cmentarza.

Następnego dnia w Waszyngtonie agenci FBI rozkoszowali się swoim triumfem na korytarzach biura. Chociaż niektórzy komentatorzy zgłaszali różne wątpliwości – „Czy był spisek?”, „Czy Ray jest kozłem ofiarnym?” – w większości artykułów prasowych i komunikatów roiło się od pochwał, których nie szczędzili Hooverowi i jego ludziom również politycy z Kapitolu.

Chyba najgłośniej robił to senator Robert Byrd z Wirginii Zachodniej, od wielu lat zagorzały zwolennik Hoovera. „Niedźwiedź uważali, że tej sprawy nie da się rozwiązać – powiedział. – Inni wyrażali przekonanie, że Ray nigdy nie zostanie złapany, ponieważ FBI tak naprawdę *nie chce* go złapać. A przecież Ray prędzej czy później musiał wpaść w ręce trzech najlepszych organów śledczych na świecie, ponieważ do jego schwytania doprowadziła współpraca FBI, Kanadyjskiej Królewskiej Policji Konnej i Scotland Yardu”⁷²³.

Krytycy Hoovera zobaczyli biuro w nowym świetle. Ucieszyło ich, że FBI nie inwigiluje obywateli, nie oczernia ich i nie urządza przeciwko nim prowokacji, tylko sumiennie wykonuje ciężką pracę, do której jest powołane – tropi sprawców poważnych przestępstw. Dziewięćtygodniowe śledztwo było odważne, konsekwentne, metodyczne, twórcze, wielowymiarowe. Kosztowało prawie dwa miliony dolarów i objęło prawie połowę z sześciu tysięcy agentów Hoovera na terenie całego kraju. FBI przeżywało swoje najlepsze chwile. Wszystkie nowoczesne rozwiązania przeforsowane przez Hoovera w pierwszym okresie istnienia biura – scentralizowana analiza odcisków palców, doskonale wyposażone laboratorium kryminalistyczne, wydział balistyki, sieć ściśle ze sobą współpracujących agentów – zostały z pożytkiem wykorzystane przy poszukiwaniach Raya. Ze wszystkich dochodzeń prowadzonych w sprawie jednej osoby oskarżonej o jedno przestępstwo to było zdecydowanie najrozleglejsze. Pościg za Rayem zmusił funkcjonariuszy do pokonania ponad czterdziestu tysięcy kilometrów.

Prawdę mówiąc, FBI znacznie lepiej wywiązało się z zadania znalezienia Raya niż ustalenia, dlaczego i w jaki sposób dokonał zamachu. Wiele pytań pozostało bez odpowiedzi, zwłaszcza te związane z motywem Raya, jego źródłami finansowania i możliwymi związkami z oferującym nagrodę Sutherlandem lub innymi podmiotami proponującymi pieniądze za zabicie Kinga.

W historii długiej ucieczki Raya roilo się od tajemniczych luk i sprzeczności, zabłąkanych faktów, które trudno było ze sobą pogodzić. Jakże na przykład były jego związki z Nowym Orleanem? Co właściwie tam robił i z kim się spotkał po wysadzeniu Charliego Steina z samochodu? Jaka rolę odegrali bracia Raya, czy pomagali mu w przygotowaniu zamachu i w późniejszej ucieczce? Czy uzyskał jakąś pomoc, kiedy przywłaszczył sobie w Toronto tożsamość dwóch innych osób? Trop, który pozostawił po sobie Ray, był długi, kręty i w wielu miejscach zatarty.

Chyba największą zagadką było źródło pieniędzy Raya. FBI nie udało się wszystkiego ustalić, ale nie ulegało wątpliwości, że w czasie ucieczki Ray musiał dokonać kilku napadów rabunkowych. Biuro uzyskało intrygującą informację, że 13 lipca 1967 roku w Alton, rodzinnej miejscowości Raya w stanie Illinois, dwaj mężczyźni obrabowali bank⁷²⁴. Napad, którego dokonano nieco ponad dwa miesiące po ucieczce Raya z Jeff City, przyniósł dwadzieścia siedem tysięcy dwieście trzydzieści cztery dolary w gotówce. Sprawy tej nigdy nie udało się rozwiązać, ale FBI miało podejrzenia, że napadu dokonali bracia Rayowie.

Hoover intuicyjnie wyczuwał, że Ray jest nietypowym przestępcą, zagadkowym, trudnym do zaszukania, niepasującym do profilu zamachowca. „Mamy do czynienia z człowiekiem, który nie jest zwykłym przestępcą, lecz mężczyzną zdolnym do wszelkiego rodzaju nielegalnych działań – powiedział do Ramseya Clarka na zebraniu 20 czerwca. – Ray nie jest fanatykiem takim jak Sirhan Sirhan. Jest jednak rasistą, nienawidzi Murzynów i Martina Luthera Kinga. Uzyskał informację o tym, że King przemawia w innych miastach, a potem wybrał Memphis. Myślę, że działał zupełnie sam, ale nie wykluczam możliwości, że miał współników. Musimy zbadać każdy trop”⁷²⁵.

Clark nie miał wątpliwości, że Ray zabił Kinga i że jeżeli kryje się za tym jakiś większy spisek, to jest źle zorganizowany i kiepsko finansowany. Dowody przeciwko Rayowi należały do „najmocniejszych z możliwych”, powiedział Clark po latach. „Materiał dowodowy był gigantyczny. Można zobaczyć, że środowisko tego człowieka, historia jego nieszczęśliwego, tragicznego i smutnego życia, zbudowało postać, która dokonała tej zbrodni”⁷²⁶. Clark przewidywał, że mimo niezbitych dowodów przeciwko Rayowi będą się mnożyły teorie spiskowe. „Niektórzy Amerykanie – powiedział – nie chcą uwierzyć, że jedna nieszczęśliwa osoba może ściągnąć na nasz kraj taką tragedię i wyrzucić tak potężny wpływ na los nas wszystkich”⁷²⁷.

W żadnej z gazet nie wspomniano, jak niewiele brakowało, żeby Ray nie poniósł konsekwencji swojego czynu. Nie napisano również, że gdyby dotarł do Rodezji, jego ekstradycja byłaby prawie niemożliwa. W kilku artykułach oddano zasługę władzom kanadyjskim, meksykańskim, portugalskim i brytyjskim. Poszukiwania Raya były przedsięwzięciem międzynarodowym w każdym sensie tego słowa. Hoover czuł się nawet trochę zawstydzony, że to Scotland Yard, a nie FBI, ostatecznie złapał uciekiniera.

Dla Carthy DeLoacha pościg za Jamesem Earlem Rayem był najbardziej satysfakcjonującą sprawą, w jakiej kiedykolwiek brał udział. Był też niezmiernie dumny ze swoich agentów terenowych, którzy wykonywali anonimową pracę na terenie całego kraju: w Memphis, Atlancie, Birmingham, Saint Louis, Los Angeles i wielu innych miastach. „Ray nie był w stanie zmylić tropów – przechwalał się. – Od momentu, kiedy znaleźliśmy tę fotografię w szkole dla barmanów, jego los był przypieczętowany”⁷²⁸.

Podobnie jak Clark, DeLoach nie miał wątpliwości, że FBI ma właściwego człowieka. Oceniał, że Ray „to samotnik, egotyk, szowinista, człowiek, który w więzieniu powiedział, że zabije doktora Kinga, człowiek, który chciał być sławny, człowiek, który tropił doktora Kinga; dowody były przytłaczające”⁷²⁹. Ale musiał się przez wiele lat zmagać ze zrozumiałym podejrzeniem opinii publicznej, że zażarta nienawiść Hoovera do Kinga w istotnym stopniu wpłynęła na przebieg śledztwa.

DeLoach uważał jednak, że pogarda Hoovera dla Kinga paradoksalnie tylko wzmocniła jego determinację, żeby złapać sprawcę. „Prawdę mówiąc – napisał później – zadawniony konflikt rzeczywiście miał wpływ na śledztwo, bo mobilizował nas do nieustannego udowadniania, że robimy wszystko, co w ludzkiej mocy, aby złapać zabójcę Kinga. Być może utrudniło nam to pracę, a przynajmniej zwiększyło presję, niemniej kiedy patrzę dzisiaj na tę sprawę, wciąż mam poczucie satysfakcji. FBI nigdy nie ścigało zbiega z większą cierpliwością i wyobraźnią”⁷³⁰.

Stalowy pierścień

10 czerwca, dwa dni po aresztowaniu, w celi więzienia w londyńskiej dzielnicy Brixton, Ramon Sneyd po raz pierwszy spotkał się ze swoim brytyjskim obrońcą, sumiennym młodym człowiekiem Michaeliem Eugene'em. Sneyd początkowo był spokojny i uprzejmy, ale potem się rozgorączkował.

– Niech pan posłucha: pomylili mnie z jakimś facetem, który nazywa się James Earl Ray. Ja się nazywam Sneyd, Ramon George Sneyd. Nigdy w życiu nie spotkałem tego całego Raya. Nic nie wiem o tej sprawie. Próbują mnie zrobić w coś, z czym nie miałem nic wspólnego⁷³¹.

Eugene usiłował uspokoić klienta i wyjaśnić mu, że reprezentuje go nie w związku z przestępstwami, o które oskarżono go w Stanach Zjednoczonych, ale wyłącznie w postępowaniu ekstradycyjnym. Zapytał Sneyda, czy ma jakieś życzenia. Później zrelacjonował tę rozmowę.

– Tak – odparł Sneyd. – Chciałbym, żeby zadzwonił pan do mojego brata⁷³².

– Oczywiście – zgodził się Eugene. – Jak można do niego dotrzeć? Jak się nazywa?

– Mieszka w Chicago i nazywa się Jerry Ray.

Eugene nie wierzył własnym uszom. Czy ten człowiek naprawdę jest takim idiotą? Czy zdaje sobie sprawę, co właśnie powiedział? Eugene nie skomentował tego jednak, tylko zapisał dane kontaktowe Jerry'ego Raya. Przez kolejne tygodnie aresztant udawał, że nazywa się „Sneyd”, a Eugene z nim nie polemizował.

– I jeszcze jedno – powiedział Sneyd. – Jeśli przegramy proces o ekstradycję, będę musiał wynająć prawnika w Stanach. Czy mógłby pan się skontaktować w moim imieniu z kilkoma prawnikami?

Eugene znowu bez wahania się zgodził.

– Jakież konkretne nazwiska?

Sneyd mierzył wysoko. W pierwszej kolejności chciał F. Lee Baileya, słynnego adwokata z Bostonu, a gdyby on się nie zgodził, to Melvina Bellego z San Francisco.

Eugene coś niecoś słyszał o amerykańskich stawkach i powiedział Sneydowi, że wynajęcie którejś z tych adwokackich gwiazd kosztowałoby krocie.

– Wysokość honorarium nie ma znaczenia – odparł Sneyd lekceważącym tonem. – Zdobędę pieniądze, nawet gdyby miało to kosztować sto tysięcy dolarów.

Eugene odniósł się do tych słów sceptycznie, ale Sneyd nie minął się z prawdą. United Klans of America zbierały już dziesiątki tysięcy dolarów na obronę Sneyda. Inna organizacja, Patriotic Legal Fund z Savannah w stanie Georgia, zobowiązała się pokryć wszystkie koszty prawne Sneyda we wszystkich możliwych instancjach, a także zapłacić za niego kaucję⁷³³. Patriotic Legal Fund był powiązany z Narodową Partią Praw Stanów, której przewodniczący i doradca prawny, chodzący w muszce J. B. Stoner, napisał już list z propozycją, że będzie bronił

oskarżonego za darmo. Mediom powiedział, że Sneyd to „bohater narodowy”, który wyświadczył Ameryce przysługę i „powinien otrzymać od Kongresu Medal Honoru”.

Sneyd czytał o tym prawniku w neonazistowskim piśmie „Thunderbolt”. Propozycja Stonera zaintrygowała go i pochlebila mu, aresztant i rasistowski adwokat zaczęli ze sobą korespondować. Na razie jednak Sneyd uważał, że powinien sięgnąć po najbardziej znane nazwiska.

Do rozprawy ekstradycyjnej pozostało wiele tygodni, które Sneyd spędził w Brixton, a następnie w innej londyńskiej dzielnicy, Wandsworth, gdzie go później przeniesiono. Nikt go nie znał, był całkowicie odizolowany od reszty osadzonych, mieszkał w „celi skazańców”, jak to nazywały władze więzienia. Należał do „więźniów kategorii A”, których obejmowały najostrożniejsze procedury bezpieczeństwa. Z obawy, że sławny osadzony może próbować popełnić samobójstwo, strażnicy nie pozwalali Sneydowi jeść sztucznymi. Pewnego dnia rano, kiedy podano mu na śniadanie oślizłe jajka i tłustą kiełbasę, urządził awanturę. Ma jeść tę paskudną breję rękami?

Przypisany wyłącznie do niego strażnik, sierżant Alexander Eist ze Scotland Yardu, zlitował się nad nim i załatwił mu łyżkę i widelec⁷³⁴. Sneyd był mu niezmiernie wdzięczny za tę drobną przysługę i zaprzyjaźnili się ze sobą, jeśli można to tak określić. Eist nie tylko pilnował Sneyda w więzieniu, lecz także eskortował go do sądu; podczas tych wypraw cały czas byli skuci ze sobą kajdankami. Eist robił też dla Sneyda inne rzeczy – przynosił mu do celi amerykańskie czasopisma i gazety, a nawet czekoladę, wbrew regulaminowi. „Zaczął mnie traktować jak swojego jedynego przyjaciela w tym kraju – powiedział później Eist agentom FBI. – Ponieważ cały czas byłem przy nim, zaczął na mnie patrzeć jak na człowieka, któremu może się zwierzyć”.

Sneyd uważnie czytał gazety, które Eist codziennie mu przynosił. Z pewnością zauważył doniesienia o tym, że George Wallace, który po śmierci swojej żony praktycznie wycofał się z wyścigu prezydenckiego, teraz powrócił do niego z wielką pompą. 11 czerwca, po miesiącu żałoby, wdowiec miał swoje pierwsze wystąpienie publiczne i zebrał ponad sto tysięcy dolarów podczas wiecu, na który przyszło trzynaście tysięcy jego zagorzałych zwolenników. Wallace zorganizował ten wiec w... Memphis.

Sneyd był jednak zainteresowany przede wszystkim tym, jak media opisują jego sprawę. „Miał obsesję na punkcie rozgłosu – wspominał Eist. – Ciągłe mnie pytał, czy piszą o nim na pierwszych stronach, i czekał na kolejne wiadomości o sobie”⁷³⁵.

– Czy dzisiaj rano coś jeszcze ukazało się w gazetach? – zapytał Sneyd Eista któregoś dnia.

– Nie, to już wszystko – odparł Eist.

– No to zaczekamy – powiedział Sneyd pewnym siebie tonem. – Na pewno coś będzie.

Kiedy Eist lepiej poznał więźnia, zaczął się martwić o jego stan psychiczny. „Doszedłem do przekonania, że ten człowiek prawdopodobnie jest zaburzony – stwierdził. – Czasem zamykał się w swojej skorupie i tylko na mnie patrzył. Zaczął się z tego wyłaniać wyraźnie patologiczny obraz. Wyglądało to dosyć groźnie. Kiedy wpadał w te swoje nastroje, miałem wrażenie, że w każdej chwili może eksplodować”.

Eist z czasem zyskał sobie zaufanie więźnia. Zaczęli rozmawiać o przeszłości Sneyda i zamachu na Kinga. Sneyd odgrywał te wydarzenia w swojej głowie, próbując znaleźć błędy, które popełnił.

– Kiedy stamtąd wyszedłem, zobaczyłem radiowóz – powiedział któregoś dnia Eistowi. – I tutaj popełniłem błąd. Spanikowałem i wyrzuciłem karabin. Na pewno zdjęli z niego moje

odciski palców.

Sneyd nadal nie pogodził się z tym, że zatrzymano go na Heathrow. Przeżywał to w wyobraźni. Gdyby tylko wszedł do samolotu do Brukseli, z pewnością znalazłby sposób na przedostanie się do Rodezji albo Angoli. Tak niewiele zabrakło, żeby udało mu się uciec.

Po dotarciu na afrykańskie pustkowia chciał zostać najemnikiem. „Po prostu nienawidził czarnych – wspominał Eist. – Mówił to wiele razy. Nazywał ich czarnuchami. Powiedział nawet, że w Afryce zamierza zastrzelić kolejnych. Wspominał o Legii Cudzoziemskiej. Wymyślił sobie, że zaciągnie się do jakiejś armii i będzie zabijał czarnych”.

Mimo że Sneyd siedział w więzieniu, nie sprawiał wrażenia zmartwionego o swoją przyszłość. Był zuchwały, mówił, że w najgorszym razie zostanie oskarżony o współudział i skazany najwyżej na kilkanaście lat więzienia. F. Lee Bailey i Melvin Belli nie zgodzili się go reprezentować, więc wynajął Arthura Hanesa, byłego burmistrza Birmingham w Alabamie, który skutecznie bronił członków Ku Klux Klanu w głośnych sprawach o zabójstwo.

– Nie ma szans, żeby przypisali mi morderstwo – powiedział Sneyd Eistowi – bo nie potrafią udowodnić, że to ja strzelałem.

Był przekonany, że otaczający sprawę rozgłos oznacza dla niego wielkie profity finansowe.

– Mogę zarobić pół miliona dolarów, pisać książki, występować w telewizji – pochwalił się Eistowi. – W niektórych regionach Ameryki jestem bohaterem narodowym⁷³⁶.

Odrzutowe silniki wielkiego C-135 pracowały na wolnych obrotach, kiedy w ciemnościach nocy do samolotu podjechał konwój pojazdów Scotland Yardu. Z jednego z policyjnych aut wysiedli nadinspektor Tommy Butler i Ramon Sneyd z rękami skutymi kajdankami. Butler i grupa innych funkcjonariuszy Scotland Yardu wsiadła do samolotu razem z aresztantem.

Do amerykańskiej bazy lotniczej w Lakenheath w hrabstwie Suffolk konwój dotarł 18 lipca tuż przed północą. Podczas jazdy z Londynu, która trwała godzinę, Butler siedział obok Sneyda i próbował nawiązać z nim rozmowę. Nie miałyby to większego znaczenia w sądzie, ale liczył na to, że Sneyd przyzna się do winy, tak jak to zrobił w rozmowach ze swoim więziennym strażnikiem Alexandrem Eistem. Sneyd nie dał się jednak naciągnąć na wynurzenia, odpowiadał pomrukami i monosylabami, cały czas patrząc przez okno.

Na pokładzie dużego, prawie pustego samolotu Sneyda powitało czterech agentów FBI i lekarz amerykańskiego lotnictwa⁷³⁷. W przejściu między fotelami Tommy Butler oficjalnie przekazał aresztanta władzom Stanów Zjednoczonych. Butler i inni funkcjonariusze Scotland Yardu wysiedli z samolotu, a lekarz szybko zbadał więźnia, aby się upewnić, że nie ma poważnych zagrożeń dla zdrowia i życia. C-135 był przeznaczony dla około stu dwudziestu pięciu pasażerów, ale tym razem miał przewozić zaledwie sześciu i niewielką załogę. Po niecałej godzinie odrzutowiec ruszył po pasie startowym, wzbił się w niebo i skręcił na zachód, w stronę Ameryki Północnej. Rozpoczął się tajny transfer najbardziej poszukiwanego więźnia Ameryki, o kryptonimie operacja Lądowanie.

Sneyd siedział z zapiętymi pasami i nic nie mówił, nie chciał nic jeść ani pić. Tydzień wcześniej zapadła decyzja o jego ekstradycji. W słynnym sądzie grodzkim przy Bow Street w Londynie przysłany przez Ramseya Clarka zespół prokuratorów przedstawił władzom brytyjskim bardzo przekonujące dowody i Sneyd nawet nie próbował się odwoływać. W liście do swojego brata Jerry'ego Raya napisał, że rezygnuje z apelacji, ponieważ „ma już dosyć słuchania tych kłamców”. Nadal konsekwentnie utrzymywał, że nazywa się Ramon Sneyd.

Pozwalał sobie nawet na zabawy z tą postacią, na przykład mówił ludziom żartobliwie, że jest *lordem* R. G. Sneydem i nigdy nie słyszał o osobniku, który nazywa się James Earl Ray.

Podczas długiego lotu Sneyd wstał tylko raz, żeby skorzystać z toalety. Towarzyszyli mu dwaj agenci FBI, którzy obserwowali przez otwarte drzwi, jak się załatwia. Po powrocie na swoje miejsce już się z niego nie ruszał. W pewnym momencie poskarżył się na ból głowy i dostał aspirynę. Jak zauważyli pilnujący go agenci, czasem udawał, że zasnął, ale otwierał jedno oko i długo im się przyglądał, zanim je zamknął. Ta zabawa w „a kuku” trwała przez całą noc, kiedy samolot kreślił łuk nad Atlantykiem.

Kilka godzin przed świtem, w bazie lotniczej marynarki wojennej w Millington, dwadzieścia osiem kilometrów na północ od Memphis, szeryf hrabstwa Shelby William Morris, dyrektor straży pożarnej i policji Frank Holloman oraz agent specjalny FBI Robert Jensen niecierpliwie czekali na przybycie więźnia. Na końcu pasa startowego stał transporter opancerzony w otoczeniu konwoju pojazdów policyjnych, urzędników federalnych, agentów FBI i strażników z karabinami półautomatycznymi. Księżyc nie świecił, a na pasie startowym stały kałuże wody po burzach, które właśnie przeszły nad zachodnim Tennessee.

O 3.48 ciemności rozdarł odgłos samolotu i C-135 wylądował⁷³⁸. Szeryf Morris wyszedł po trapie na górę, gdzie powitał agentów FBI, i udał się w stronę więźnia. Jego zastępca nagrywał to wszystko kamerą. Morris spojrzał Rayowi w twarz i powiedział głębokim barytonem:

– James Earl Ray alias Harvey Lowmeyer alias John Willard alias Eric Starvo Galt alias Paul Bridgman alias Ramon George Sneyd. Czy mógłby pan podejść trzy kroki do przodu?

Ray podszedł.

Doktor McCarthy DeMere, lekarz z Memphis, zbliżył się do Raya i poprosił go o zdjęcie ubrania. Ray stał goły i dygoczący w przejściu między fotelami, jego podobna do rybiej łuski skóra jasno świeciła w świetle lampy kamery. Doktor DeMere zmierzył Rayowi ciśnienie i puls, a potem skinął do Morrisa.

– Jest twój.

Jeden z agentów FBI podsunął szeryfowi Morrisowi pokwitowanie odbioru więźnia i powiedział:

– Niniejszym przekazuję osobę i mienie Jamesa Earla Raya władzom hrabstwa Shelby w stanie Tennessee.

Kiedy szeryf odczytywał więźniowi pouczenie na temat przysługujących mu praw, jego zastępca otworzył walizkę i wyjął z niej flanelową koszulę w kratkę, ciemnozielone spodnie, sandały, kamizelkę kuloodporną i skórzaną uprzęż. Pomógł Rayowi włożyć to wszystko na siebie, a następnie dłonie Raya przypięto kajdankami do uprzęży.

Morris i jego zastępca niemalże unieśli więźnia nad ziemię i wyprowadzili po trapie na zewnątrz. Po raz pierwszy od 4 kwietnia stopy aresztanta dotknęły ziemi Tennessee. Robert Jensen i jego agenci stali beczynnymi z tyłu i patrzyli. Jeden z ludzi Jensena przez przenośny telefon relacjonował przebieg wydarzeń przebywającemu w Waszyngtonie DeLoachowi:

– Wsiadają z samolotu... Teraz zabierają więźnia⁷³⁹.

DeLoach chciał słyszeć, jak przebiegają czynności krok po kroku, żeby znać dokładny moment, kiedy James Earl Ray przestanie być *jego* problemem.

Zadbał o to, żeby zabezpieczenie terenu wokół samolotu przez federalnych było jak „stalowy pierścień”⁷⁴⁰. Szpaler uzbrojonych strażników ciągnął się od samolotu do oczekującego

transportera opancerzonego. Ray pokonywał tę swoistą ścieżkę zdrowia ze spuszczoną głową, z oczami utkwionymi w sandały.

Szeryf Morris posadził więźnia z tyłu transportera, którego pancerne płyty podobno były w stanie przetrzymać atak rakietowy, a przednią szybę wykonano z kuloodpornego szkła o grubości dwóch i pół centymetra. Po chwili kawalkada ruszyła. Transporter opancerzony z obrotowym kogutem na dachu z głuchym warkotem toczył się po płycie lotniska. Wyjechał na główną drogę i zmierzał do centrum Memphis, którego światła majaczyły przez mgłę na południu.

Morris starannie wyreżyserował wszystkie szczegóły tego spektaklu we współpracy z FBI. Przekazanie Jamesa Earla Raya miało zostać przeprowadzone w warunkach całkowitej tajności, pod osłoną nocy. Morris podrzucił mediom fałszywy trop w postaci „konwoju na wabia”, który w tym samym czasie wyruszył na lotnisko w Memphis – większość dziennikarzy spodziewała się, że samolot z Rayem na pokładzie wylądjuje właśnie tam⁷⁴¹. Szeryf Morris, który odpowiadał za bezpieczeństwo Raya, obawiał się powtórki z Dallas; społeczeństwo miało świeżo w pamięci zamordowanie Lee Harveya Oswalda przez Jacka Ruby’ego. Do więźnia Morrisa nikt nie mógł zostać dopuszczony choćby na sekundę, nikt nie mógł się do niego nawet zbliżyć.

Przekonanie Morrisa, że wiele osób miałooby ochotę zakłócić procedurę przekazania więźnia, bynajmniej nie świadczyło o paranoi. Żywił najzupełniej uzasadnione obawy, że czarni bojówkarze mogliby próbować zabić Raya, a członkowie Ku Klux Klanu zorganizować próbę jego odbicia. Jeżeli za zamachem krył się spisek, to wspólnicy Raya mieli wszelkie powody, by dążyć do jego zlikwidowania albo porwania, zanim zaczną sypać.

Okolo 4.30 konwój podjechał pod budynek sądów karnych w centrum Memphis. Na dachach stacjonowali uzbrojeni strażnicy, a policjanci z prewencji tworzyli szpaler na ulicy. Naprzeciwko wejścia postawiono miejski autobus, żeby osłaniał więźnia przed ewentualnymi snajperami. Tylne drzwi transportera opancerzonego otworzyły się i Ray wysiadł. Morris błyskawicznie przeprowadził go do budynku, a następnie wywiózł windą na drugie piętro. Kiedy więzień z niej wysiadł, fotograf z biura szeryfa pstryknął mu kilka zdjęć. Ray odwrócił wzrok i próbował kopnąć go w głowę, krzycząc:

– Ty sukinsynu!

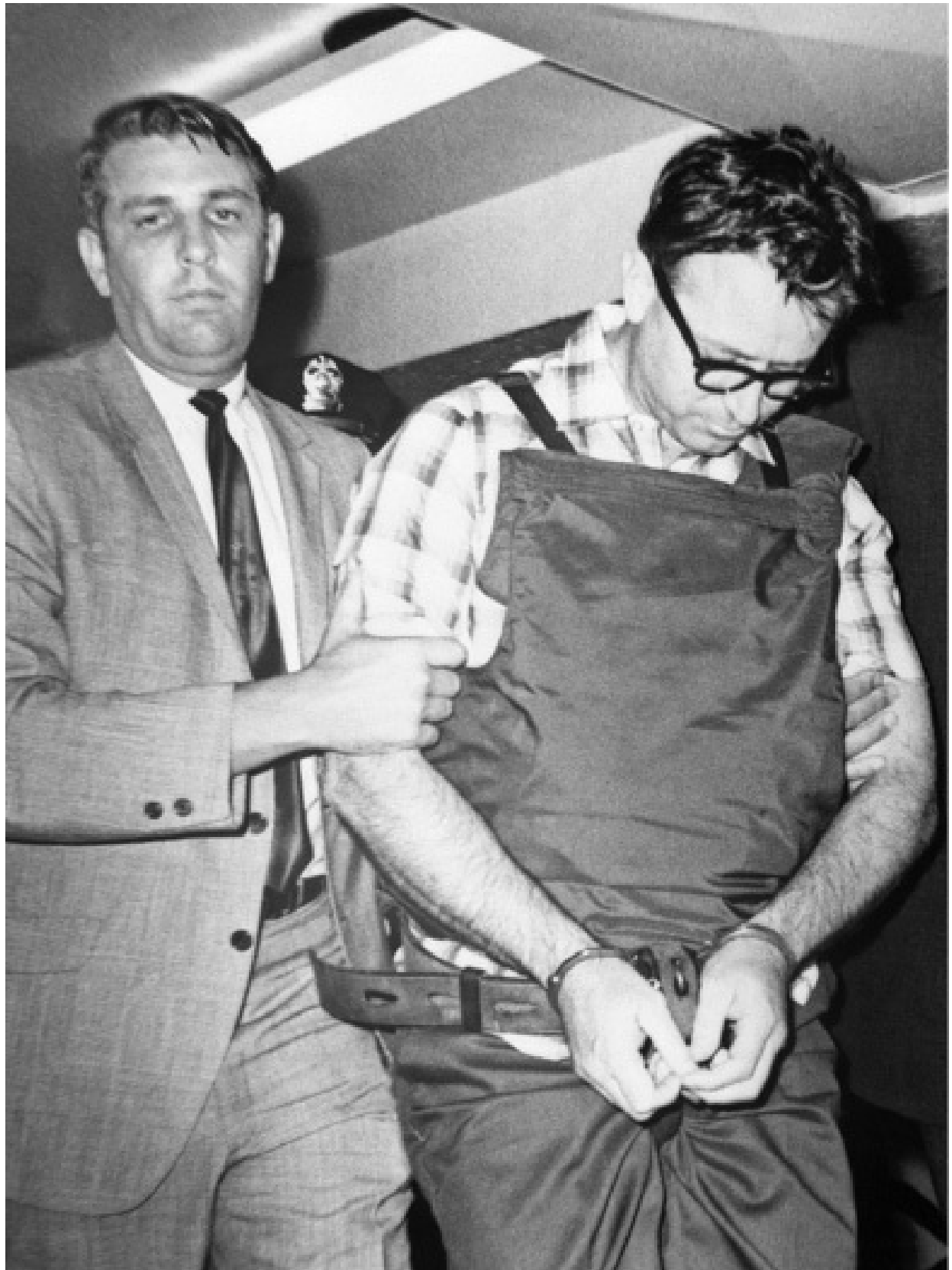
Morris poprowadził Raya korytarzem w stronę jego celi, a dokładniej – wzmocnionej celi wewnątrz celi, przygotowanej specjalnie dla niego za ponad sto tysięcy dolarów. Wszystkie okna zakryto arkuszami stali o grubości ponad sześciu milimetrów, podobno odpornej na ostrzał z małokalibrowej broni artyleryjskiej. Jasne lampy fluorescencyjne miały się palić przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Pod sufitem wisiały mikrofony wielokierunkowe, więźnia zewsząd szpiegowały kamery. Aż do dnia procesu cały czas miały go obserwować dwie pary oczu.

Całe drugie piętro kompleksu sądowego przygotowano pod kątem przetrzymywania tam Raya, najpilniej strzeżonego i najczujniej obserwowanego człowieka w Stanach Zjednoczonych.

Morris przekazał więźnia strażnikom, którzy zaprowadzili go do celi, gdzie zdjęli mu kamizelkę kuloodporną, kajdanki i skórzaną uprząż. Następnie otrzymał więzienny strój. Przez blachy na oknach nie było tego widać, ale nad Memphis zaczynało wschodzić słońce, kiedy drzwi do celi Jamesa Earla Raya zamknęły się z metalicznym odgłosem.

EPILOG

#65477



10 czerwca 1977, Petros, Tennessee

Godzinę przed zmierzchem, kiedy z więziennych głośników leciało *Stand By Your Man* Tammy Wynette, dwustu osadzonych wysypało się na wybieg⁷⁴². Przez chwilę wdychali górskie powietrze, a potem oddali się swoim ulubionym rozrywkom: rzucali podkową, grali w koszykówkę i w piłkę ręczną. Wysoki na cztery metry mur był zwieńczony zwiniętym w spiralę drutem kolczastym, przez który płynął prąd o napięciu dwóch tysięcy trzystu woltów. Uzbrojeni strażnicy obserwowali osadzonych z siedmiu rozstawionych w regularnych odstępach wież. Ósma wieża, blisko północno-wschodniego rogu wybiegu, była nieobsadzona.

W chłodną piątkową noc w Stanowym Zakładzie Karnym Brushy Mountain zaczynał się kolejny weekend. Brushy, jak osadzeni nazywali swój dom, należało do najlepiej strzeżonych więzień o zastrzonym rygorze w Tennessee. Ta wkopana w zbocze wzgórza twierdza znajdowała się w górniczym regionie Cumberland, w pagórkowatej wschodniej części stanu. W tym niewielkim więzieniu odsiadywali wyroki zbrodniarze srodzy jak okoliczny teren: mordercy, gwałciciele, sprawcy napadów z bronią w ręku i innych przestępstw z użyciem przemocy. Liczne zabezpieczenia w połączeniu z tym, że po okolicznym pustkowiu grasowały grzechotniki, już dawno skłoniły ekspertów do konstatacji, że z Brushy Mountain nie da się uciec.

W niedalekiej gęstwinie dębów i orzeszników zapadały ciemności, a na wybiegu o powierzchni prawie czterech hektarów więźniowie nadal grali. Okrzyki i odgłosy uderzeń piłki o asfalt, słupek bramki, tablicę czy obręcz odbijały się echem o zbocza wzgórz. Wieczór przebiegał w leniwej, może nawet trochę niezdyscyplinowanej atmosferze, ponieważ wszyscy wiedzieli, że surowy naczelnik Stonney Lane po raz pierwszy od pięciu lat wyjechał na urlop, do Teksasu. Można było odnieść wrażenie, że wszyscy są na wakacjach.

A potem na boisku do koszykówki wybuchła sprzeczka. Dwóch więźniów zaczęło się bić, później dołączyli kolejni. Jeden z osadzonych chwycił się za kostkę i wrzasnął, że jest złamana. Na wybieg wtargnęli strażnicy i próbowali rozdzielić zwaśnione strony.

Prawie na pewno była to nie prawdziwa bójka, tylko starannie zaplanowany fortel, ponieważ dokładnie w tym momencie blisko północno-wschodniego rogu wybiegu, w cieniu nieobsadzonej wieży, mniejsza grupa wykorzystała ten chaos. Siedmiu osadzonych pochyliło się nad półcalowymi rurami, które wynieśli na wybieg pod ubraniem. Skręcili je kluczami, które również udało im się przesznuć. W kilka minut skonstruowali mniej więcej trzymetrową drabinę zakończoną z jednej strony czymś w rodzaju haka.

Potem najzwyczajniej w świecie zahaczyli drabinę o kamienny mur i zaczęli na nią wchodzić. Po kilku sekundach pierwszy osadzony dotarł na górę. Był to czterdziestodwuletniak z niewielkim brzuszkiem, w granatowej bluzie, ogrodniczkach i czarnych sportowych butach. Przeczłapał się pod drutem pod napięciem i zeskoczył do wąwozu. W jego ślady poszedł kolejny osadzony, a potem następny.

Po drugiej stronie znalazło się sześciu ludzi, zanim strażnik na jednej z wież w końcu odwrócił wzrok od sfingowanej bójki i zauważył drabinę. Uruchomił alarm, którego przenikliwe buczenie dotarło przez wawóz aż do miasta Petros. Szybko się jednak okazało, że z nieznanych przyczyn w znacznej części więzienia nie ma prądu i telefony nie działają.

Snajperzy zaczęli strzelać, otworzono również ogień z karabinów maszynowych. Osadzeni odskoczyli od drabiny, a ostatni członek pierwotnej grupy, który dopiero na nią wchodził, sprawca napadu na bank Jerry Ward, został trafiony śrutem w ramię i twarz. Zeskoczył na drugą stronę obolały i zakrwawiony, ale nie doznał poważniejszych obrażeń.

Strażnicy z Brushy Mountain nie mieli pojęcia, ilu więźniów zniknęło za murem ani kto to był. W ciągu kilku minut bez problemu udało im się złapać Warda, w zaroślach niedaleko więzienia. Kiedy prowadzili go do przychodni, żeby opatrzyć mu rany, jego zachowanie było dziwnie niespójne z tym, że w jego przypadku ucieczka się nie powiodła: sprawiał wrażenie niezmiernie uradowanego.

– Ray uciekł! – zawołał z zachwytem i niedowierzaniem. – Jimmy Ray uciekł!

Jego słowa potwierdziły się podczas apelu: najślynniejszy więzień Brushy Mountain rzeczywiście należał do siedmioosobowej grupy, która przeskoczyła przez mur. Jak się później okazało, to on wszystko wymyślił. James Earl Ray, #65477, od wielu miesięcy planował ucieczkę. Gromadził kawałki rur, sprawdzał, jakie jest pole widzenia strażników, mierzył odległości, cierpliwie przeczekał większość wiosny, żeby zazieleniony las zapewniał lepszy kamuflaż. Dbał również o kondycję i muskulaturę, grając w piłkę ręczną i podnosząc ciężary. Prawdopodobnie to on zaprojektował dziwną drabinę z rur i jako pierwszy przeszedł na drugą stronę. W rozmowach z prasą czynił nawet aluzje, że szykuje się do ucieczki. Zaledwie dwa tygodnie wcześniej powiedział na przykład dziennikarzowi z Nashville: „Nie trzymaliby mnie w więzieniu o zaostrowym rygorze, gdybym nie był zainteresowany ucieczką”.

Strażnicy z Brushy Mountain niczego jednak nie dostrzegli, chociaż wszyscy wiedzieli, że Ray lubi znikać z więzień. Zastępca naczelnika Herman Davis powiedział: „Była to najzuchwalsza ucieczka, o jakiej słyszałem”. Czołganie się pod drutem, przez który płynął prąd, graniczyło z samobójstwem. „Wystarczy dotknąć, żeby został z ciebie popiół”. Davis zastanawiał się również, jak to możliwe, że w części więzienia nie było prądu i nie działały telefony – czyżby niektórzy strażnicy współpracowali z Rayem? „Daje to do myślenia, prawda?”

Davis nie miał pewności, czy w spisku brali udział wszyscy uciekinierzy. Część z nich mogła się przyłączyć do tego przedsięwzięcia dopiero po zobaczeniu drabiny. W sześciuosobowej grupie oprócz Raya znaleźli się wyłącznie sprawcy ciężkich przestępstw: dwaj mordercy, gwałciciel i dwaj brutalni rabusie. C. Murray Henderson, szef więziennictwa w Tennessee, podejrzewał, że na pewnym etapie inni uciekinierzy odłączyli się od Raya, ponieważ, jak to ujął, „Ray jest trefny, władzom dużo bardziej zależy na złapaniu jego niż pozostałych”⁷⁴³.

Po kilku minutach od ucieczki uruchomiono największe poszukiwania zbiegów w całej historii Tennessee. Ponad stu pięćdziesięcioosobowa grupa pościgowa z bronią i czołówkami ruszyła szeroką tyralierą w góry. Policyjne psy służbowe czekały w mrocznym lesie, a drogówka ustawiła blokady w promieniu trzydziestu kilometrów. Rodziny strażników, którzy mieszkali w pobliżu, spakowały się i wyjechały.

Kiedy zaczęły działać telefony, przekazano informacje do Nashville, a potem do Waszyngtonu. Na prośbę prezydenta Jimmy’ego Cartera prokurator generalny Griffin Bell, który podobno był „prerażony”, wysłał do Tennessee zespół agentów FBI. Dyrektor FBI Clarence M.

Kelley (Hoover zmarł w 1972 roku, do końca życia sprawował urząd) natychmiast nadał sprawie najwyższy priorytet. Po raz drugi w życiu Ray trafił na listę „Dziesięciu najbardziej poszukiwanych”. Wydrukowano czterdzieści tysięcy ulotek, które miały zostać rozprowadzone w całym kraju.

Prawie dekadę od momentu, kiedy trafił do więzienia, James Earl Ray znowu oddawał się swojemu ulubionemu zajęciu – uciekał przed organami ścigania.

Droga prawna, którą przebył z celi w Memphis do tego dramatycznego wieczoru w górach wschodniego Tennessee, była długa i kręta. W czerwcu 1969 roku Ray, który zatrudnił wcześniej cały sztab adwokatów, na sali sądowej w Memphis przyznał się do zamordowania Martina Luthera Kinga juniora i został skazany na dziewięćdziesiąt dziewięć lat więzienia. Trzy dni później wycofał się jednak z części swoich wyjaśnień i zaczął twierdzić, że chociaż rzeczywiście kupił karabin, z którego zabito Kinga, i na kilka godzin przed zamachem zameldował się w kamienicy czynszowej, skąd padł strzał, za spust pociągnął kto inny, a mianowicie jego wspólnik Raoul. Frustrująco zawikłane opowieści Raya o „Raoulu” zapoczątkowały lawinę teorii spiskowych i zaintrygowały wielu znajomych i krewnych Kinga. Ray nie potrafił jednak podać spójnego rysopisu, życiorysu ani danych kontaktowych swojego tajemniczego wspólnika. Nie wymienił ani jednego świadka, który znałby „Raoula” i chociaż raz widział go z Rayem.

Niektóre osoby blisko związane ze śledztwem podejrzewały, że „Raoul” może być przykrywką dla brata Raya Jerry’ego, którego FBI nadal podejrzewało o współudział w zamachu. Większość ludzi wyczuwała jednak na kilometr, że „Raoul” to wytwór wyobraźni Raya – kolejny pseudonim wymyślony przez człowieka, który przez całe życie kręcił, lawirował i konfabulował.

James Earl Ray okazał się człowiekiem znacznie bardziej enigmatycznym i nieprzeniknionym, niż ktokolwiek sądził. Adwokaci, prokuratorzy, naczelnicy, strażnicy, więzienni psychiatrzy, dziennikarze – nikt nie potrafił go rozgryźć. Ciągłe wysyłał różne sprzeczne sygnały i podrzucał fałszywe tropy, najwyraźniej czerpiąc z tego patologiczną przyjemność. Uwielbiał wyprowadzać w pole nawet ludzi, którzy próbowali mu pomóc. Wysyłał swoich adwokatów w różne zakamarki, których przeszukanie mogło potrwać wiele miesięcy czy nawet lat, chociaż doskonale wiedział, że niczego tam nie znajdą. Konsternacja innych osób sprawiała mu przyjemność. Rozpylał wokół siebie sztuczną mgłę domysłów, zza której zdawał się przezierać jego szeroki uśmiech. Jak to ujął jeden z jego licznych adwokatów, istniała nieomylna oznaka tego, że Ray kłamie: kiedy jego usta się poruszały.

Czemu to wszystko miało służyć? Może chciał być sławny, a może chodziło mu o coś zupełnie innego. Niektórzy sądzili, że za jego kłamstwami kryje się jakiś schemat, jakaś rozgrywka, której reguły zna tylko on sam. Percy Foreman, znany prawnik z Houston, który reprezentował go podczas ugody z prokuraturą w Memphis, wyraził to następująco: „Ray jest cwany jak szczur. Kieruje nim silny, organiczny instynkt, żeby być kimś. Wolałby być nazwiskiem niż liczbą”⁷⁴⁴.

Po tym, jak James Earl Ray został skazany w Memphis, pierwsze kilka lat wyroku odsiedział w Nashville, przy czym większość tego czasu spędził w izolatce – według niego ta udręka spowodowała, że zrobiło mu się „coś dziwnego z głową”⁷⁴⁵. Jako swojego obrońcę zatrudnił neonazistowskiego fanatyka J. B. Stonera. Jerry Ray rzucił pracę w klubie golfowym w Chicago i przeniósł się na południe, żeby zostać ochroniarzem i kierowcą Stonera.

Ray wyszedł z izolowanej celi na początku 1971 roku, a jakiś czas później przeniesiono go do Brushy Mountain, skąd prawie od razu podjął próbę ucieczki. Pewnej nocy w maju 1971 roku zostawił na swojej pryczy manekina z poduszek, przecisnął się przez przewód wentylacji i otworzył wąż do przewodu odprowadzającego parę. Może wydostałby się na wolność, ale odstraszyły go dwustustopniowe temperatury w głębi tunelu.

Rok później, w maju 1972 roku, ukochany polityk Raya George Wallace, który ponownie startował na prezydenta, ale zrezygnował z rasistowskich haseł, został trafiony kulą zamachowca i sparaliżowany od pasa w dół.

Przez jakiś czas, w połowie lat siedemdziesiątych, Ray sądził, że lepszym rozwiązaniem od próby ucieczki będzie wznowienie procesu. Bez przerwy czytał książki prawnicze, znowu wynajmował kolejnych adwokatów, ale wysiłki te nie przyniosły rezultatu. W grudniu 1976 roku jego wniosek, w którym odwoływał swoje przyznanie się do winy, został odrzucony przez sąd apelacyjny, a także przez Sąd Najwyższy. Dwa miesiące później, w lutym 1977 roku, spadł na niego kolejny cios prawny. Departament Sprawiedliwości, który prowadził śledztwo w sprawie zamachu na Kinga, stwierdził w swoim raporcie końcowym, że dochodzenie FBI zostało przeprowadzone „[...] rzetelnie, uczciwie i skutecznie. Wszystkie dowody wskazują na Raya jako jedynego sprawcę”.

W przeddzień ucieczki jedyną nadzieją Raya była Kongresowa Komisja Specjalna do spraw Zamachów powołana niedawno przez Izbę Reprezentantów do zbadania zamachów na JFK i MLK. Pod koniec zimy główny doradca prawny Izby Reprezentantów Richard Sprague przyjechał do Brushy Mountain i przeprowadził wiele rozmów z Rayem w jego celi. Z początku rozmowa się nie kleiła, ale w ostatnich tygodniach więzień jakby zaczął się otwierać. Chociaż nie powiedział tego wprost, zasugerował, że jego rzekomy wspólnik Raoul to postać zmyślona. Po ostatniej rozmowie z Rayem Sprague zakomunikował z pełnym przekonaniem: „Raoul nie istnieje i nigdy nie istniał”⁷⁴⁶.

W okresie, w którym odbywały się te przesłuchania, tuż za murami Brushy Mountain doszło do pewnych dziwnych zdarzeń. W okolicy miasta Petros na kilka miesięcy zamieszkał Jerry Ray. Widziano go, jak lustruje lesisty teren koło więzienia. Przed ucieczką odwiedził Jimmy’ego – tak jak drugi brat John odwiedził go tuż przed ucieczką z więzienia Jeff City w Missouri dziesięć lat wcześniej. (Tym razem John nie mógł pomóc bratu, ponieważ odsiadywał osiemnastoletni wyrok więzienia za obrabowanie banku).

Nietrudno zrozumieć, dlaczego Ray wybrał akurat ten moment na ucieczkę: wszelkie perspektywy prawne bezpowrotnie zniknęły (zresztą zapewne miał już dosyć tego lawirowania) i doszedł do wniosku, że nie ma nic do stracenia. Jego brat przeprowadził rekonesans okolic więzienia i prawdopodobnie zdał mu szczegółową relację. Ray ponownie skoncentrował się na ucieczce.

„Zawsze masz to gdzieś z tyłu głowy – powiedział dziennikarzowi »Playboya« kilka dni przed wejściem na drabinę z rur. – Kiedy przychodzisz do zakładu karnego, sprawdzasz różne drogi ucieczki. Notujesz je w pamięci i jeśli nadarzy się okazja, to z niej korzystasz. Podejrzewam, że każdy, kto tutaj siedzi, ma to z tyłu głowy, tylko nie wszystkim starcza odwagi, żeby zacząć działać”⁷⁴⁷.

W sobotę po południu władze więzienia miały już dwóch zbiegów, ale nie było w tej parze Jamesa Earla Raya. Zintensyfikowano poszukiwania. Gubernator Ray Blanton wezwał Gwardię Narodową i niebo zadygotało od helikopterów wyposażonych w kamery termowizyjne – tak jak

śmigłowce amerykańskie używane do tropienia Wietkongu w dżunglach południowo-wschodniej Azji.

Jak można było przewidzieć, media podniosły larum. Dziennikarze pisali o „ucieczce stulecia”. Łatwość, z jaką Ray wydostał się z pilnie strzeżonego więzienia, mówili niektórzy, dodatkowo potwierdza, że za zamachem na Martina Luthera Kinga stał potężny spisek. Ludzie, którzy zabili Kinga, chcieli, żeby Ray zniknął (albo umarł), zanim zdąży złożyć zeznania przed Kongresową Komisją Specjalną do spraw Zamachów. Ucieczka Raya tak naprawdę była nie ucieczką, tylko porwaniem.

Ralph Abernathy, który niedawno zrezygnował z funkcji przewodniczącego SCLC, powiedział:

– Jestem całkowicie przekonany, że ucieczkę zaplanowały władze bardzo wysokiego szczebla. Przewiduję, że Ray zostanie unicestwiony⁷⁴⁸.

W podobnym duchu wypowiedział się członek Izby Reprezentantów Louis Stokes, demokrat z Ohio, który przewodniczył komisji. Stokes spekulował, że ucieczkę „zaaranżowano po to, aby Ray na zawsze zniknął i już nikt nigdy o nim nie usłyszał. Są na świecie ludzie, którzy nie chcą, żeby zaczął mówić”⁷⁴⁹.

Jeszcze bardziej przerażająca teoria spiskowa pojawiła się w prasie. Tak się złożyło, że ojciec Martina Luthera Kinga w ten konkretny weekend znajdował się zaledwie kilkadziesiąt kilometrów od Brushy Mountain. Tej niedzieli miał wygłosić kazanie w kościele baptystycznym w Knoxville i ludzie zaczęli spekulować, że moment ucieczki był powiązany z przybyciem Kinga do tego miasta: wyrażano obawy, że życie pastora jest zagrożone.

Teoria ta nie była aż tak bardzo obłąkana, jak mogłoby się wydawać, jeśli wziąć pod uwagę tragedie, jakie spadły na Kinga seniora po zamachu na jego syna. W 1969 roku jego drugiego syna A. D. Kinga, który miał wtedy trzydzieści osiem lat, znaleziono martwego w jego basenie w Atlancie. Pięć lat później Alberta, ukochana żona Daddy Kinga, została zastrzelona przez obłąkanego Murzyna, kiedy grała na organach podczas nabożeństwa w Ebenezer Baptist Church.

Jak wiele bólu może znieść jeden człowiek? Jak wiele nieszczęścia może spaść na jedną rodzinę? W sobotę do przebywającego w Knoxville Kinga seniora dotarli dziennikarze i poprosili o wypowiedź w sprawie obławy na zabójcę jego syna, która toczyła się w położonych o kilkadziesiąt kilometrów na zachód górach.

– Mam nadzieję, że go nie zabiją – powiedział King. – Miejmy nadzieję, że nie zostanie zabity. Patrzycie na czarnego człowieka, który do nikogo nie czuje nienawiści⁷⁵⁰.

King nie zamierzał jednak ryzykować, zwłaszcza w sytuacji, kiedy po okolicy grasowała grupa groźnych morderców. Powiedział, że zawsze ma przy sobie ochroniarza, i dodał:

– Już dawno przestałem się meldować w hotelach pod własnym nazwiskiem. Nigdy nie podróżuję sam, zawsze mam przy sobie jakąś ochronę. Przywykłem do tego.

Histeria, która wybuchła po ucieczce Raya, była zrozumiała, podobnie jak rozpowszechnione podejrzenia, że kryje się za tym znacznie grubsza sprawa. Władze więzienia przekonywały jednak, iż do tej pory nie znalazły absolutnie żadnych dowodów na to, że zbiegowi ktokolwiek pomagał czy że wewnątrz więzienia lub poza jego murami istniał jakiś spisek. Naczelnik Stonney Lane, niezbyt zadowolony z tego, że musiał przerwać urlop, obiecał przeprowadzenie gruntownego śledztwa. Na razie przekazał informację, że znaleziono przyczynę awarii telefonów: kiedy uruchomił się alarm, mieszkańcy Petros zaczęli dzwonić, aby się dowiedzieć,

co się stało, i przeciążona linia telefoniczna nie wytrzymała. Podobną przyczynę miała rzekomo awaria prądu: „Wszyscy naraz nacisnęli guzik alarmowy”.

Przede wszystkim jednak Lane powiedział, że działania są skoncentrowane na znalezieniu Raya i innych uciekinierów. Obiecał, że jego ludzie spenetrują „każdą dziurę, w której mógłby się ukryć człowiek”.

Tymczasem gubernator Ray Blanton próbował zapewnić społeczeństwo, że Gwardia Narodowa i funkcjonariusze służby więziennej nie zastrzelą Jamesa Earla Raya.

– Otrzymali rozkaz, żeby postępować z jak największym umiarem – zapewnił.

Przyznał, że ucieczki można było uniknąć, że strażnicy z Brushy Mountain zawiedli i nie dopełnili swoich obowiązków, ale James Earl Ray to postać z innej bajki, ryba tak oślizła, że przecisnę się przez każdą sieć.

– To nie jest kwestia tego, że nie potrafimy sobie dać z nim rady – przekonywał gubernator. – Chodzi o to, że nie potrafimy go *powstrzymać*. Ucieczka została tak precyzyjnie wymyślona i zaplanowana, że w tej chwili Ray może już być w Gwatemali.

W niedzielę rano funkcjonariusze byli już mocno sfrustrowani. Trzech więźniów udało się złapać, ale Ray nadal pozostawał na wolności. Na nic się zdało uruchomienie zasobów stanowych i federalnych – nie pomogły samoloty i helikoptery z kamerami termowizyjnymi, nie pomogli gwardziści z noktowizorami, nie pomogło FBI z mapami topograficznymi i wszechobecnymi kamerami monitoringu. Przyszedł czas, aby skorzystać z najstarszej, a jednocześnie najpewniejszej technologii pościgowej, czyli psów gończych.

Grupą psów gończych, które przysłano do Brushy Mountain, opiekował się Sammy Joe Chapman⁷⁵¹. Ten wysoki mężczyzna z lampą czołową na głowie nosił okazałe wąsy, które przywodziły na myśl czasy wojny secesyjnej. W okolicy nazywano go wężycielem albo psiarzem. Przez całe życie tropił szopy pracze i szukał korzeni żeń-szenia w lasach Cumberland, ucząc się „sztuki przetrwania w górach”, jak to nazywał. Znał wszystkie charakterystyczne punkty wokół doliny New River, lokalizację spalonych szafasów, porzuconych szybów górniczych i kopalnianych odkrywek.

Chapman miał już dosyć federalnych z całym ich oprzyrządowaniem i ze wszystkimi ich zmartwieniami. Wiedział, że jego psy gończe prędzej czy później znajdą Raya. Wszystko, czego było trzeba, to porządna ulewa. Psy gończe mają tę dziwną cechę, że ich niesamowity zmysł powonienia nie działa przy suchej pogodzie. Kiedy las wyschnie, wszystkie wonie natury zlewają się w jeden koktajl zapachowy, w którym trudno wyodrębnić ślad węchowy człowieka.

W niedzielę po południu przyszła zmiana pogody. Padający przez wiele godzin deszcz przepłukał las, a przede wszystkim zrzucił na ziemię wszystkie zapachy, które wcześniej wisiały w powietrzu. Chapman z uśmiechem patrzył na szare niebo.

Zapadał już zmierzch, kiedy założył uprząż swoim dwóm najlepszym psom, czternastomiesięcznym sukom Sandy i Little Red. Osobiście je wytresował, nauczył je tropić całkowicie bezgłośnie, bez poszczekiwania, które na ogół kojarzymy z psami gończymi. Po paru godzinach, nad New River, około trzynastu kilometrów na północ od więzienia, psy wyczuły coś dziwnego. Zgodnie z oczekiwaniami Chapmana przy wilgotnym gruncie ich zmysł powonienia funkcjonował znacznie sprawniej. Ciągnięty przez Sandy i Little Red, szedł wzdłuż rzeki w stronę kopalni odkrywkowej Cumberland. Po kilku kilometrach przeszli na drugi brzeg i ruszyli po stromym zboczu Usher Top Mountain. Po godzinie tropienia psy nadal były czujne.

Chapman przekazał władzom więzienia:

– Mamy gorący trop!

Przeciął tory kolejowe, drogę do zwózki drewna i polanę z hałdami węgla. W świetle czołówki zobaczył zardzewiałą taśmę transportową i inne maszyny West Coal Company. Była już prawie północ, ale psy nadal ciągnęły go do góry, w stronę Usher Top. Przez dwie godziny mozolnie się wspinał, trzymając w ręce dwie nieustannie naprężone smycze. W pewnym momencie kazał psom stanąć, bo w oddalonych o jakieś pięćdziesiąt metrów ostrężynach usłyszał szelest.

Po kolejnych dziesięciu minutach już prawie dotarł na wierzchołek góry. Znowu zatrzymał psy, ale tym razem nie usłyszał nic oprócz cykania świerszczy, szmeru wiatru w koronach dębów i szumu rzeki w oświetlonej księżycem dolinie setki metrów poniżej. Była 2.10 w nocy z niedzieli na poniedziałek. Sandy i Little Red pociągnęły Chapmana kilka kroków dalej. Zaczęły intensywnie węszyć pośród mokrych liści. Zesztywniały, ale nie zaszczekały ani nie wydały z siebie żadnego innego odgłosu – machały tylko ogonami.

Światło czołówki Chapmana padło na jakieś wyrzuczenie gruntu. Z kabury pod pachą wyszarpnął rewolwer Smith & Wesson .38 Chiefs Special.

– Nie ruszać się, bo strzelam!

Spośród liści wygrzebał się blady biały mężczyzna, który wyglądał jak upiór. Był mokry, wymizerowany i ubłocony. Jego podrapane ramiona oblepiał trujący bluszcz. Miał na sobie granatową bluzę i ogrodniczki, a na nogach czarne buty do biegania. Dla Jamesa Earla Raya pięćdziesiąt cztery godziny wolności dobiegły końca.

Chapman zacisnął kajdanki na przegubach uciekiniera i przeszukał go. Ray miał przy sobie mapę wschodniego Tennessee i dwieście dziewięćdziesiąt dolarów – najprawdopodobniej zaoszczędzone z pieniędzy, które dostawał za pracę w więziennej pralni (trzydzieści pięć dolarów miesięcznie). Oprócz mapy nie miał niczego, co mogłoby pochodzić spoza murów więzienia, a tym samym wskazywałoby, że uzyskał jakąś pomoc z zewnątrz.

– Jak się pan czuje, Ray?

– Dobrze – wymamrotał, odwracając wzrok od blasku czołówki.

– Jadł pan coś?

– Nie, tylko trochę kiełków pszenicy.

Chapman zakomunikował przez radio dobrą wiadomość; przy okazji dowiedział się, że kilka godzin wcześniej inne psy gończe znalazły nad New River kolejnego zbiega (ostatniego, szóstego uciekiniera złapano dopiero we wtorek). Chapman pogratulował Sandy i Little Red, szarpiąc je za obślinione podgardla, ale musiał także oddać zasługę Rayowi. „Jak na czterdziestodwuletniego faceta, który nie znał gór – powiedział później – Ray całkiem nieźle sobie radził”⁷⁵².

Osadzony #65477 wrócił na dół odsiadywać wyrok, który miał trwać nieprzerwanie, bez żadnych ucieczek, aż do jego śmierci. W 1998 roku zmarł na zapalenie wątroby typu C (tą chorobą zaraził się albo na skutek używania zakażonych igieł, albo na skutek transfuzji krwi, którą zaordynowano mu po tym, jak grupa czarnych więźniów wielokrotnie ugodziła go nożem). Teraz, człapiąc w kajdankach przez nasiąkniętą wodą las Cumberland, nie odzywał się ani słowem. Zastanawiał się nad tym, jakich błędów powinien unikać następnym razem, jeżeli nadarzy się okazja.

– To rozczarowujące zostać złapanym – powiedział dziennikarzowi po powrocie do więzienia. – Nie byłem szczęśliwy, że mnie wytropili. Wolałbym być... tam, a nie tutaj. Ale to

nie koniec świata. Jutro też jest dzień⁷⁵³.

POSŁOWIE

Chorzy biali bracia

Od wiosny 2010 roku, kiedy ukazał się *Ogar piekielny na jego tropie*, miałem okazję na nowo przemyśleć liczne teorie spiskowe, w które obrośla historia o zamachu na Kinga. Podróżując po kraju, spotkałem całe rzesze miłośników tych teorii i starłem się z kilkoma ostrymi paranoikami, którzy nie mieli najmniejszych wątpliwości, że jestem agentem albo piarowcem FBI. Po którymś wieczorze autorskim chodził za mną tajemniczy mężczyzna w peruczce, który – jak się później dowiedziałem – pracował dla adwokata lansującego jedną z teorii spiskowych. W Filadelfii pewien silnie pobudzony osobnik zakomunikował z poważną miną, że „Hampton Sides to bez wątpienia kryptonim nadany przez CIA”.

Swoją drogą mnóstwo najzupełniej zdrowych na umyśle ludzi uważa, że Martin Luther King został zamordowany przez jakiś rozległy, choć bliżej nieokreślony, układ. Takie przekonanie wyraża wielu bliskich znajomych i członków rodziny Kinga. Dexter King, młodszy syn MLK, spotkał się z Jamesem Earlem Rayem w więzieniu na krótko przed jego śmiercią, o czym rozpisywała się prasa. King wziął schorowanego więźnia za rękę i powiedział, że wierzy w jego niewinność. Z sondażu przeprowadzonego w 2008 roku na zlecenie CNN wynika, że osiemdziesiąt osiem procent czarnych i pięćdziesiąt procent białych Amerykanów wierzy w spisek. Zresztą mnóstwo ludzi na całym świecie uważa, że James Earl Ray nie miał nic wspólnego z zamachem.

Z czego to wynika? Podatność na teorie spiskowe tkwi w ludzkiej naturze. Kiedy stanie się coś strasznego, wrodzone struktury mózgowie każą nam szukać ukrytych wyjaśnień. Wielu z nas znajduje pociechę w przekonaniu, że tragedie mają jakiś głębszy sens, a nie są tylko wynikami zbiegu przypadkowych czynników. Niektórzy nie chcą dopuścić do siebie możliwości, że jakiś przypadkowy człowiek może chodzić po świecie i z niewyjaśnionych przyczyn dopuścić się strasznej zbrodni.

Wersja „oficjalna”, historia o samotnym snajperze, który skutecznie wytropił Martina Luthera Kinga, narusza nasze poczucie miary. Jak to możliwe, żeby taki niepozorny człowiek w pojedynkę zgładził tej rangi postać historyczną? Czy bez pomocy wysoko postawionych ludzi Ray mógłby przez rok jeździć po kraju, zdobywać coraz to nową tożsamość, kupić samochód, skończyć kurs dla barmanów i zrobić sobie operację plastyczną nosa? Jak to możliwe, że FBI o niczym nie wiedziało, skoro J. Edgar Hoover od lat nienawidził Kinga i jego ruchu, w związku z czym nieustannie go inwigilował?

Według wielu osób wszystko to wskazywało, że Ray był kozłem ofiarnym, a przynajmniej miał znacznie potężniejszych od siebie mocodawców.

Jednak mnóstwo racjonalnych, przenikliwych ludzi, którzy zagłębili się w historię Jamesa Earla Raya, nieodmiennie dochodziło do przeciwstawnego wniosku: zamachu dokonał Ray i zrobił to sam. Prawnicy, dziennikarze śledczy, psychologowie, pisarze, pracownicy Departamentu Sprawiedliwości i członkowie Kongresowej Komisji Specjalnej do spraw Zamachów uznali dowody wskazujące na Raya jako sprawcę za niepodważalne. O winie Raya są przekonani

autorzy dwóch nagradzanych biografii Kinga Taylor Branch i David Garrow, a także kierujący obławą na zamachowca Ramsey Clark. Żadnych wątpliwości nie miał wybitny dziennikarz „New York Timesa” Anthony Lewis, który relacjonował sprawę pod koniec lat sześćdziesiątych. Adwokat Raya Percy Foreman, w tamtych czasach jeden z najskuteczniejszych obrońców na świecie, był tak bardzo przekonany o winie swojego klienta, że doradził mu pójście na układ z prokuraturą, bo jego zdaniem gdyby doszło do procesu, ława przysięgłych posłałaby go prosto na krzesło elektryczne.

Żona Raya Anna Sandhu Ray, która poślubiła słynnego osadzonego, kiedy odsiadywał dożywotni wyrok w Tennessee, wystąpiła o rozwód, kiedy doszła do przekonania, że jej mąż rzeczywiście zamordował Kinga. Jak powiedziała, Ray sam się przyznał w rozmowie z nią: „Tak, zabiłem go. I co z tego?”.

Kiedy zaczynałem robić badania do tej książki, bardzo poważnie podchodziłem do hipotezy, że za zamachem mógł się kryć spisek. Przeczytałem wszystkie książki z takimi koncepcjami i przyglądałem się im pod każdym możliwym kątem. Sporządziłem listę pytań bez odpowiedzi, pozornych sprzeczności, dziwnych zakrętów fabuły i niespójności w materiale dowodowym. Kto pomógł Rayowi w ucieczce z Jeff City? Co Ray robił w Nowym Orleanie? Kto stał za nadawaną przez CB-radio relacją z rzekomego pościgu samochodowego? Dlaczego Ray pojechał do Lizbony? Oczywiście nierozwiązane zagadki pojawiają się w historiach prawie wszystkich wielkich zbrodni. Dla niektórych pozostają one po prostu pytaniami bez odpowiedzi, a według innych jednoznacznie dowodzą, że za wszystkim stały jakieś diabelskie siły.

Najdokładniej przeanalizowałem teorię najbardziej wpływowego i wytrwałego zwolennika teorii spiskowych, londyńskiego prawnika Williama F. Peppera, autora takich książek jak *Orders to Kill* [Rozkaz: zabij] i *An Act of State* [Czynność urzędowa]. Doktor Pepper, jak sam siebie tytułuje, przez ponad dwadzieścia lat utkał całe mnóstwo sensacyjnych teorii spiskowych, które zafascynowały rodzinę Kinga. Jako adwokat Jamesa Earla Raya w 1994 roku triumfalnie ogłosił, że udało mu się znaleźć nieuchwytnego do tej pory „Raoula” (gdzieś na terenie stanu Nowy Jork), i zagroził, że złoży na niego doniesienie jako sprawcę zamachu na Kinga. „Raoul” okazał się portugalskim imigrantem i szanowanym w swojej miejscowości oddanym ojcem rodziny. Z dokumentacji fabryki General Motors w Nowym Jorku wynika, że 4 kwietnia 1968 roku „Raoul” był w pracy. Pojawiły się głosy, że Pepper znalazł jego nazwisko w książce telefonicznej.

Niezrażony Pepper sformułował bulwersujący zarzut, że w kwietniu 1968 roku do Memphis przyjechał snajper z elitarniej jednostki specjalnej z rozkazem zabicia Kinga. Podał nawet nazwisko bezpośredniego zwierzchnika tego snajpera, kapitana Billy’ego Eidsona, sądząc, że ten wojskowy nie żyje. Twierdził, że oficer został stracony, aby operację zamachu na Kinga można było utrzymać w tajemnicy. Okazało się jednak, że Eidson żyje i ma się dobrze, przeszedł w stan spoczynku i zamieszkał w Kostaryce. Ten wielokrotnie odznaczony żołnierz, który nigdy w życiu nie był w Memphis, wystąpił w telewizji i oskarżył Peppera o kłamstwo. Według doniesień prasowych w 1998 roku Eidson wygrał proces przeciwko Pepperowi i dostał jedenaście milionów dolarów odszkodowania za zniesławienie.

Pepper szukał dalej i znalazł w Memphis człowieka, który twierdził, że mafia zapłaciła mu sto tysięcy dolarów za wynajęcie zamachowca – i że nie był to James Earl Ray. Ten samozwańczy spiskowiec nazywał się Loyd Jowers i był schorowanym starszym panem o niezwykle barwnej przeszłości. W 1968 roku prowadził lokal Jim’s Grill na parterze kamienicy czynszowej Bessie

Brewer. Jowers notorycznie płatał się w zeznaniach, a jego najnowsza wersja brzmiała, że do zastrzelenia Kinga zatrudnił policjanta z Memphis (tak się szczęśliwie złożyło, że rzekomy zamachowiec już nie żył, toteż nie mógł się bronić). Znajomi Jowersa powiedzieli dziennikarzom, że starszy pan wymyślił tę historię w nadziei na to, że ktoś napisze o nim książkę, która sprzedawałaby się tym lepiej, że reżyser Oliver Stone planował nakręcenie filmu o zamachu na Kinga.

Pepper był zafascynowany Loydem Jowersem. Podczas procesu cywilnego w 1999 roku udało mu się przekonać ławę przysięgłych, że Jowers brał udział w spisku złożonym z nieokreślonych osób prywatnych oraz instytucji rządowych współpracujących z mafią. Jowers nie składał zeznań i bronił się tak apatycznie, że wielu dziennikarzy relacjonujących proces odniosło wrażenie, iż jego adwokaci uzgodnili wcześniej werdykt z Pepperem. Jowers miał zapłacić rodzinie Kinga sto dolarów odszkodowania za „spowodowanie śmierci”. Obóz miłośników teorii spiskowych uznał to za historyczny przełom – niektórzy mówili nawet o „procesie stulecia”. Inni na kilometr wyczuwali zaaranżowany spektakl. Jowersowi nigdy nie postawiono zarzutów kryminalnych, a dzisiaj już nie żyje.

Wszystkie te dziwne hipotezy i wydarzenia nie układały mi się w spójną całość. Teorie spiskowe, zwłaszcza te lansowane przez Peppera, były tak kosmicznie zagmatwane, że waliły się pod własnym ciężarem. CIA, FBI, mafia, zielone berety, prezydent Johnson, policja w Memphis, straż pożarna w Memphis, urząd burmistrza Memphis, Raoul, właściciel knajpki niedaleko motelu Lorraine – można było odnieść wrażenie, że w zamachu na Martina Luthera Kinga uczestniczył cały kraj. Teorie Peppera wymagają od nas, abyśmy uwierzyli, że wiosną 1968 roku niezliczone instytucje państwowe ściśle współpracowały z całą rzeszą prywatnych obywateli, tkając wielowarstwowy spisek, który obejmował kilkanaście szczebli administracyjnych, dziesiątki lokalizacji, setki ludzi i tysiące ruchomych części, które precyzyjnie się ze sobą zązębiały. Chociaż uważam się za patriotę, nie mogłem uwierzyć, że nasze władze potrafiłyby zaplanować i skutecznie przeprowadzić taką gigantyczną i błyskotliwą operację, a potem przez ponad czterdzieści lat utrzymywać ją w tajemnicy. A jeśli potrafiły, to dlaczego od razu nie pozbyły się Raya?

Rozbudowane konstrukcje Peppera zdawały się naruszać zasadę brzytwy Ockhama: najprostsze wyjaśnienie z reguły jest prawdziwe.

Dla mnie zatem wszystkie drogi prowadziły do Jamesa Earla Raya i gigantycznego materiału dowodowego, który go obciążał. Im dłużej przeglądałem ogromne akta zgromadzone w Vince Hughes Collection w Memphis – dzisiaj jest to największe na świecie cyfrowe archiwum poświęcone zamachowi na Kinga – tym silniejszego nabierałem przekonania o winie Raya. Kupił karabin, celownik, amunicję i lornetkę. Zameldował się w kamienicy czynszowej trzy godziny przed morderstwem. Wyszedł z budynku minutę po zamachu i odjechał samochodem opisanym przez naocznych świadków. Przyznał się do tego wszystkiego, a na wielu przedmiotach, które porzucił na chodniku przy South Main Street, znaleziono jego odciski palców. Jego jedyną próbą obrony było zrzucenie winy na wymagowanego znajomego Raoula – osobę, na której istnienie nie ma śladu dowodu.

Jednak duch Raoula nie chce odejść, co pokazuje, jak bardzo nasze społeczeństwo jest złańnione teorii spiskowych. Muszę powiedzieć, że to mnie najbardziej zaskakuje. Każe nam się wierzyć, że Ray był taki głupi i łatwowierny, iż przez prawie rok wykonywał polecenia osoby, której prawie nie znał – jechał tam, gdzie Raoul kazał mu pojechać, robił to, co Raoul kazał mu

zrobić. Ray jawi się tutaj jako ktoś na kształt Allenowskiego Zeliga, plastyczna glina w diabelskich rękach Raoula. Kłóci się to ze wszystkim, co o nim wiemy. Był cwany, cynicznym oszustem, który nikomu nie ufał. Przez całe życie kontestował wszelkie hierarchie i konwenanse: nikt nie mógł nakłonić Jimmy'ego Raya do zrobienia czegoś, czego on sam nie chciałby zrobić.

Chociaż nie miałem już najmniejszych wątpliwości co do winy Raya, uznałem, że w swojej książce muszę zostawić kilka uchylonych drzwi. Jak dużo pomocy otrzymał Ray? Czy zabił w nadziei na nagrodę? Czy jakaś do tej pory nieznaną nam osobą współfinansowała jego wyjazdy? Miałem wrażenie, że istnieje całkiem sporo dowodów na współpracę Raya z elementami kryminalnego półświatka. Podczas swoich wędrówek uciekiniera Ray spotykał się z nieznanymi nam ludźmi, dzwonił w różne dziwne miejsca, w nieznanym nam celu nakładał drogi. Dla mnie jego ruchy cechowała rozpaczliwa przypadkowość, która wydawała mi się arcyłudzka. Był cwany, wystraszonego człowiekiem, który wprawdzie podróżował sam, ale po drodze z pewnością ktoś mu pomagał.

Spisek? Z całą pewnością, ale na małą skalę i prymitywny. Trzeba przyznać, że prawie się udało: gdyby Ray wsiadł wtedy w Londynie do samolotu, prawdopodobnie nie poniósłby żadnych konsekwencji swojej zbrodni.

Próbując zrozumieć, dlaczego zabił Kinga, zacząłem się uważnie przyglądać jemu samemu – jego nawykom, lekturom, poglądom politycznym, wpływom, którym ulegał. Stwierdziłem, że był to człowiek głęboko zaburzony, ale w takim kierunku, który wiele mówi o społeczeństwie amerykańskim z końca lat sześćdziesiątych. Ray tęsknił w życiu za jakimś sensem i za celem. Można go opisać jako puste naczynie, do którego wlewała się otaczająca go kultura pod postacią lektur, społecznych mód i nieustannego zgiełku wiadomości. Wszystkie te splątane bodźce wpadały do garnka nieokreślonej tożsamości: Jimmy Ray w głębi duszy nie wiedział, kim jest.

Zafrapowały mnie sprzeczności jego charakteru. Uchodził za głupiego, ale zdołał uciec z pilnie strzeżonych więzień. Niektórzy twierdzili, że nie był rasistą, a przecież nazywał Kinga „Martin Lucyfer Coon”, próbował wyjechać do Rodezji, żeby zostać najemnikiem, i wynajął neonazistowskiego prawnika skazanego za zamach bombowy w murzyńskim kościele. Żył w brudzie i bałaganie, ale często oddawał rzeczy do prania. Zresztą właśnie to go zgubiło: niewielka metka z pralni przyklejona do majtek.

Swój udział w zbrodni Raya z pewnością miała kultura nienawiści, w 1968 roku równie intensywna, jak dzisiaj. Nie wiadomo, czy w 1968 roku George Wallace zdawał sobie sprawę z potencjalnych konsekwencji swoich wypowiedzi. Nie powiedział dosłownie „zabijcie Kinga”. Jednak on i inni segregacjoniści współtworzyli wybuchową atmosferę, w której zagubiony, a jednocześnie ambitny człowiek taki jak Ray mógł sobie pomyśleć, że zamordowanie Kinga jest dopuszczalne, a może nawet szlachetne. Odbierane przez Raya sygnały pozwoliły mu uwierzyć, że społeczeństwo ucieszy się z jego czynu. Mamy w naszym kraju paskudną tradycję przemocy oraz niepokojącą historię udanych i nieudanych zamachów. Może jest to odwrotna strona medalu naszych wyjątkowych swobód. Łatwość, z jaką można się poruszać po tym ogromnym kraju, złać z otoczeniem, zbudować nową tożsamość – a także w gruncie rzeczy anonimowo kupić broń dużego kalibru – okazała się źródłem licznych tragedii. Ray należy do dużego grona Amerykanów, którzy niczego w życiu nie osiągnęli, ale zostawili trwałą plamę na naszej historii.

Dlaczego to zrobił? Pytanie to do tej pory pozostaje dla mnie najtrudniejsze. Niełatwo znaleźć racjonalne wyjaśnienie obłąkanego aktu przemocy, bo tak należy to traktować. Ponieważ Ray kłamał aż po grób, być może nigdy nie poznamy odpowiedzi. Doszedłem do przekonania, że

kierował nim nie jeden motyw, lecz kilka pomniejszych pobudek, które ucierały się w mikserze jego zaburzonego umysłu. Tak, był rasistą. Tak, potrzebował pieniędzy. Tak, był psychicznie chory – wieloletnie zażywanie amfetaminy dodatkowo nasilało pokrętność jego procesów myślowych. Tak, lubił być ścigany – kiedy uciekał przed władzą, najmocniej czuł, że żyje. Jestem jednak przekonany, że najsilniej motywowało go pragnienie rozgłosu i uznania. Kryje się tutaj pewien paradoks: jako przestępca Ray starał się zachować anonimowość, a jednocześnie rozpaczliwie chciał, żeby świat wiedział o jego istnieniu. Chciał zrobić coś ważnego, dużego i trwałego. Niestety, tak jak wiele osób przed nim, uświadomił sobie, że najlepszym sposobem na to, aby zapisać się na kartach historii, będzie zastrzelenie znanego na całym świecie młodego, elokwentnego, charyzmatycznego człowieka.

Wielu czytelników *Ogara* nazwało tę książkę thrillerem. Było to zamierzone jako komplement, ale nie potrafię się z niego cieszyć, ponieważ sugeruje, że z tragedii narodowej zrobiłem coś rozrywkowego, nawet jeżeli thriller to również requiem, opowieść o ostatnich dniach życia wielkiej postaci oraz o końcu kierowanego przez nią ruchu. Zamiast zakładać Kingowi aureolę świętego, chciałem go pokazać jako człowieka z krwi i kości, czyli niepozbowionego wad i słabości, niepewnego przyszłości i dźwigającego wielkie brzemię odpowiedzialności. Jednak ten człowiek, z jego porywającą retoryką i nadludzką odwagą, nadal budzi we mnie najwyższy podziw. Wstydzę się, że zabito go w moim rodzinnym mieście. Nie należę do tych, którzy uważają, że dzięki męczeńskiej śmierci osiągnął więcej, niż gdyby żył dalej: wyobraźmy sobie, jaki mógł mieć wpływ na dzisiejszy świat, gdyby wciąż był wśród nas. W całej naszej historii King był człowiekiem najbardziej zbliżonym do proroka, zesłanym przez niebiosy promotorem zmian społecznych. Ludzie tego formatu zdarzają się nie częściej niż raz na kilka stuleci.

Wierzę, że King przewidział nadejście Jamesa Earla Raya. Wieczorem w przeddzień śmierci mówił o zagrożeniach ze strony „niektórych z naszych chorych białych braci”. Tak jak Robert Johnson, który czekał na przyście ogara piekielnego, King przez wiele lat oglądał się za siebie, wypatrując jakiegoś obłąkanego zbirą, który postanowi go zabić. Jeżeli ktokolwiek zasługuje na miano „chorego białego brata”, to Ray z pewnością jest takim człowiekiem.

Dostrzegłem przewrotny i fascynujący paradoks w tym, że FBI Hoovera, instytucja, która robiła wszystko, co w jej mocy, żeby zniszczyć Kinga, otrzymała zadanie znalezienia jego zabójcy. Agenci terenowi wywiązali się z niego znakomicie. Wertując tysiące stron notatek i raportów, co rusz byłem pełen podziwu dla pomysłowości, rzetelności i elastyczności umysłów agentów, już nie mówiąc o tym, ile zelówek zdarli. Ich poszukiwania zeszły na przyziemny i wymagający dobrego wzroku poziom włókien, odcisków palców, wypełnionych niewyraźnym pismem kwitów, poznaczanych map, błędów we wnioskach paszportowych, smug tuszu na motelowych kartach meldunkowych i prawie mikroskopijnych cyfr na obudowie radia tranzystorowego. Pracując na okrągło, podczas gdy Ameryka płonęła, FBI wykonywało pracę, do której zostało powołane – cierpliwie, konsekwentnie ściagało najbardziej poszukiwanego zbiega w kraju. Zasługi agentów terenowych nie trafiły na karty książek historycznych, a przecież ich działania po zamachu należały do najchwalebniejszych chwil w dziejach FBI.

styczeń 2011 roku

PODZIĘKOWANIA

Aby prześledzić ostatnie dni Martina Luthera Kinga i pójść tropem uciekiniera Jamesa Earla Raya, musiałem wyruszyć w odyseję po całym świecie. Przez wiele lat dużo podróżowałem samochodem i samolotem. Teraz muszę mocno wyteżyc pamięć, aby przypomnieć sobie wszystkich życzliwych ludzi, którym jestem winien podziękowania.

Spróbuję. W Puerto Vallarta Lori Delgado poświęcił mi swój czas i oprowadził mnie po wszystkich miejscach, w których był Ray. Kiedy na wczesnym etapie pisania książki pojechałem na uniwersytet w Cambridge, bardzo mi pomógł autor nagradzanych książek o Kingu, David Garrow. Pedro i Isabel Brancowie zechcieli pokazać mi Lizbonę i wprowadzić mnie w melancholijno-radosny świat fado, portugalskiej odpowiedzi na bluesa z delty Missisipi. Doug i Anne Brinkleyowie pielęgnowali mnie w Austin, kiedy po kilku wizytach w czytelni Biblioteki Prezydenckiej Johnsona zachorowałem na gripę. Moje badania w Londynie zakończyły się sukcesem w niemałym stopniu dzięki pomocy takich osób jak Ben i Sarah Fortnowie, Robert McCrum i Sarah Lyall z „New York Timesa”. W Toronto pragnę podziękować Mike’owi Fuhrowi i Johnowi Nicolowi z CBC za ich pomoc. W Karolinie Północnej wielkie dzięki dla Newtona Stevensa za jego gościnność podczas mojej kwerendy na tamtejszym uniwersytecie. Arthur Hanes junior z Birmingham, jeden z pierwszych prawników Raya, podzielił się ze mną swoimi poglądami na tę historię przy obfitej kolacji w Jim ’n Nick’s BBQ. Jonowi Haberowi i Carolyn Goldstein z Bostonu dziękuję za gościnność, podobnie jak Tony’emu Decaneasowi z tamtejszej Panopticon Gallery i archiwście Alexowi Rankinowi z Gotlieb Center przy uniwersytecie w Bostonie.

Jestem niezmiernie wdzięczny władzom Uniwersytetu Stanforda za umożliwienie mi pobytu w ramach stypendium Hoover Institution’s Edwards Media Fellows Program. Serdecznie dziękuję pracownikom Stanforda Clayborne’owi Carsonowi i Clarence’owi Jonesowi z King Papers Project. Pragnę również wyrazić wdzięczność dla stowarzyszenia MacDowell Colony za umożliwienie mi naładowania baterii w górach New Hampshire i dla rodziny Bunburys w Irlandii.

Bez pomocy kilku naukowców z pewnością nie udałooby mi się odszukać pewnych istotnych źródeł i dotrzeć do starych relacji z gazet i czasopism. Szczególne podziękowania należą się Scottowi Reidowi z Atlanty, Jean Hannah Edelstein z Londynu, Ciarze Neill z Memphis i Shayowi Brownowi z Santa Fe.

Podczas pracy nad tą książką sporo czasu spędziłem w swoim rodzinnym Memphis, toteż lista mieszkańców tego miasta, którym pragnę podziękować, jest długa i różnorodna. Beverly Robertson i personel National Civil Rights Museum w kwietniu 2008 roku zorganizowali fascynujące sympozjum z okazji czterdziestej rocznicy zamachu na Martina Luthera Kinga. Dziękuję także Johnowi Campbellowi z Prokuratury Okręgowej Hrabstwa Shelby, emerytowanemu lekarzowi sądowemu Jerry’emu Franciscowi oraz adwokatowi Mike’owi Cody’emu i Charliemu Newmanowi z kancelarii Burch, Porter & Johnson.

Inne osoby z Memphis, które wielkodusznie poświęciły mi swój czas, to Martha Huie, Louis Donelson, Charles Crump, John T. Fisher i Marc Perrusquia. Szczególne podziękowania dla całej redakcji czasopisma „Memphis”, zwłaszcza dla Kena Neilla, Mary Helen Randall i Michaela Fingera. Hope Brooks z Cargill Cotton pomogła mi zrozumieć świat „białego złota”, podobnie jak wspaniali ludzie z Muzeum Bawełny w centrum.

Chylę kapelusza przed Edwinem Frankiem, kuratorem niesamowitej Mississippi Valley Collection na Uniwersytecie w Memphis, a także przed Wayne’em Dowdym z archiwum Memphis Room. Bardzo doceniam cierpliwość personelu Quetzal przy Union Street, mojego obficie zaopatrzonego w kofeinę bunkra badawczego podczas wszystkich pobytów w Memphis. Dziękuję również Robinowi i Ann Smithwickom, Billy’emu Withersowi, Johnowi Harrisowi, Jimowi McCarterowi i całej ekipie programu *Drake and Zeke*. Wielkie dzięki dla Johna Ruskeya, zwanego również River Jesus, za pokazanie mi prawdziwej Missisipi podczas cudownego wiosennego spływu kajakowego oraz dla Mary Turner z agencji turystycznej Outside, która umożliwiła mi przeżycie tej przygody.

Serdeczne dzięki dla mojej rodziny w Memphis za ich miłość i wsparcie: Dot i Walker Wilkersonowie, Link Sides, Mona Smith oraz Lynn i Jack Gaydenowie, dziękuję Wam! Dziękuję również Mike’owi Deaderickowi, mojemu nauczycielowi historii ze szkoły średniej: nawet sobie nie wyobrażasz, jak bardzo mnie zainspirował.

Wczesne wersje tekstu wciskałem różnym swoim znajomym, których spostrzegawczość i mądrość pozwoliły mi ustrzec się wielu błędów. Szczególne podziękowania należą się takim osobom jak Kevin Fedarko, Laura Hohnhold, Tom Carroll, Ken Neill, James Conaway i Ken DeCell. Dziękuję także Markowi Bowdenowi, który zachęcał mnie do napisania tej książki, Ronowi Bernsteinowi z agencji literackiej ICM w Los Angeles oraz Jayowi Stowe i Halowi Espenowi za ich celne uwagi. ReBecca i reszta ekipy z kawiarni Tart’s Treats, która służyła mi za drugi dom: uratowaliście mi życie.

Bardzo przyjemnie wspominam owocną współpracę z ekipą filmową nowojorskiego studia Insignia Films podczas kręcenia prowokacyjnego dokumentu *Roads to Memphis* [Drogi do Memphis] dla cyklu PBS zatytułowanego *American Experience* [Doświadczenie amerykańskie]. Szczególne słowa podziękowania kieruję do takich osób jak: Steve Ives, Amanda Pollak, Lindsey Megrue i Dan Amigone. Cudownie współpracowało mi się również z Susan Bellows i Markiem Samelsem z rozgłośni radiowej WGBH w Bostonie.

Klasą samą dla siebie jest nieoceniony Vince Hughes, którego znakomite archiwum cyfrowe poświęcone zamachowi na Kinga to prawdopodobnie największy na naszej planecie zbiór materiałów na ten temat. Vince, mój przyjaciel, a jednocześnie były funkcjonariusz policji, który pełnił służbę tego feralnego kwietniowego wieczoru, cały czas był moim asem w rękawie i nigdy nie zdołam mu się odwdziaczyć. Prawdopodobnie nie poradziłbym sobie także bez mojego przyjaciela Pallasza Pidgeona, który tak jak ja usiłuje zgłębić tajemnice Memphis.

Uważam się za wielkiego szczęściarza, ponieważ mam zaszczyt współpracować z Billem Thomasem, najlepszym redaktorem, i Sloanem Harrisem, najlepszym agentem w całej branży. Nie będę się silił na wyszukane podziękowania: jesteście po prostu najlepsi. W wydawnictwie Doubleday dziękuję Melissie Ann Danaczko, która wytrwale popychała ten projekt, a także czarodziejowi Toddowi Doughty’emu. Dziękuję także Kristyn Keene z ICM, która zawsze umiała mnie rozweselić.

Na koniec chcę obcałować Anne i chłopców, którzy raz po raz wyciągali mnie z mrocznych cieni tej książki: Kocham Was całym sercem i całą duszą.

NOTA O ŹRÓDŁACH

Literatura poświęcona śmierci Kinga, podobnie jak bibliografia dotycząca zamachów na braci Kennedych, jest bardzo rozległa i roi się w niej od tendencyjnych prac pełnych kuriozalnych stwierdzeń, anonimowych źródeł czy ziarnistych fotografii, które rzekomo dowodzą, że w zamachu na Kinga brały udział wszystkie instytucje i organizacje amerykańskie oprócz skautów. Jednak nie brakuje również znakomitych opracowań. Trzy z nich były dla mnie niezwykle pomocne podczas pracy nad tą książką. Nieżyjący już William Bradford Huie, pierwszy dziennikarz, który weryfikował tezy Raya, wykonał ogrom pracy reporterskiej i detektywistycznej. Korzystałem nie tylko z jego książki *He Slew the Dreamer* (1970), lecz także z jego osobistych dokumentów przechowywanych obecnie w archiwum stanowym Ohio, jak również notatek udostępnionych przez wdowę po nim Marthę Huie. Nieżyjący już George McMillan, autor *The Making of an Assassin* (1976), jako jedyny dziennikarz poświęcił wiele czasu na zbadanie młodości, historii rodzinnej i charakterystyki psychologicznej Raya. Zgromadzona przez McMillana ogromna dokumentacja na temat Raya, obecnie przechowywana na Uniwersytecie Karoliny Północnej, była dla mnie niezwykle pomocna. I wreszcie w kwestii przedstawienia licznych teorii spiskowych, w które obrosła ta sprawa, i rozprawienia się z nimi nikt nie może się równać z bezlitosnym Geraldem Posnerem, autorem pierwszorzędnej książki *Killing the Dream* (1998).

Pisząc o wpływowej, a zarazem osobiwej postaci J. Edgara Hoovera, wiele skorzystałem szczególnie na lekturze trzech znakomitych biografii: Curta Gentry'ego *J. Edgar Hoover: The Man and the Secrets*, Richarda Gida Powersa *Secrecy and Power: The Life of J. Edgar Hoover* oraz prowokacyjnej podwójnej biografii Burtona Hersha *Bobby and J. Edgar: The Historic Face-Off Between the Kennedys and J. Edgar Hoover That Transformed America*. W zrozumieniu głębokiej antypatii Hoovera do Kinga bardzo pomogli mi prokurator generalny w ekipie prezydenta Johnsona Ramsey Clark, z którym przeprowadziłem rozmowę, oraz David Garrow, autor przełomowej pracy *The FBI and Martin Luther King Jr.: From "Solo" to Memphis*. Bezcennym źródłem informacji było dla mnie również kompendium *Martin Luther King Jr.: The FBI File*, starannie opracowane przez Michaela Friedly'ego i Davida Gallena.

Relację z międzynarodowej obławy na Jamesa Earla Raya oparłem na wielu źródłach, w tym rozmowach, wspomnieniach i oficjalnych dokumentach. Wśród tych ostatnich wyróżniają się akta FBI MURKIN, zawierające dziesiątki w większości nieopublikowanych protokołów i raportów sporządzonych przez agentów terenowych FBI z całego kraju. Niezwykle pomocne były dla mnie również trzynastotomowe „Appendix Reports”, sprawozdania Kongresowej Komisji Specjalnej do spraw Zamachów. Z pozycji książkowych pragnę wymienić trzy prace: Carthy DeLoacha *Hoover's FBI*, autobiografię pracownika Departamentu Sprawiedliwości Rogera Wilkinsa *A Man's Life* oraz *Crime in America* Ramsey Clarka.

Czytelnicy zainteresowani informacjami o ruchu George'a Wallace'a mają do wyboru trzy znakomite biografie, z których korzystałem przy pisaniu fragmentów dotyczących kampanii

prezydenckiej Wallace'a w 1968 roku: Dana Cartera *The Politics of Rage*, Stephana Leshera *George Wallace: American Populist* i Marshalla Frady'ego *Wallace: The Classic Portrait of Alabama Governor George Wallace*.

Opisując tragiczne wydarzenia w Memphis, które doprowadziły do zamachu na Kinga, w największej mierze opierałem się na dwóch książkach. Wciągająca i potoczysta *At the River I Stand* Joan Turner Beifuss to pierwsza praca wykorzystująca skarbnicę relacji ustnych zebranych przez Memphis Search for Meaning Committee. *Going Down Jericho Road* Michaela Honeya szczegółowo przedstawia strajk śmieciarzy i pokazuje, w jaki sposób wydarzenia w Memphis wpisują się w dzieje amerykańskiego ruchu robotniczego. Najlepszą pracą na temat zamieszek, które ogarnęły kraj po zamachu na Kinga, jest bez wątpienia *A Nation on Fire* Claya Risena.

Obficie czerpałem ze wspomnień napisanych przez członków rodziny Kinga i władze SCLC. Najbardziej pomocne były wspomnienia wdowy po Kingu (Coretta Scott King, *My Life with Martin Luther King Jr.*), jego ojca (Martin Luther King Sr., *Daddy King*), jego syna (Dexter Scott King, *Growing Up King*), jego zastępcy (Ralph Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*), jego doradcy prawnego (Clarence Jones, *What Would Martin Say?*) i jego najwierniejszego przybocznego (Andrew Young, *An Easy Burden*). Na najwyższe uznanie zasługują również dwa znakomite, panoramiczne dzieła o Kingu i jego ruchu: nagrodzone Pulitzerem *Bearing the Cross* Davida Garrowa i trzytomowe *America in the King Years* Taylora Brancha.

Pisząc o podróżach Jamesa Earla Raya, opierałem się przede wszystkim na jego własnych słowach z niezwykle licznych źródeł, w których czasem można się pogubić. Najważniejsze z nich to „20,000 Words” Raya (napisana odręcznie relacja z wydarzeń po ucieczce z więzienia), zeznania Raya przed Kongresową Komisją Specjalną do spraw Zamachów, protokoły z oficjalnych przesłuchań przeprowadzonych w Stanowym Zakładzie Karnym Brushy Mountain, długie wywiady udzielone między innymi „Playboyowi”, CBS News czy dziennikowi z Nashville „Tennessean”, wysyłane z Brushy Mountain listy do jego braci oraz dwie książki Raya, *Tennessee Waltz* i *Who Killed Martin Luther King?*. Ray zmieniał zeznania co najmniej równie często, jak tożsamość, toteż jego relacje czasem są denerwujące, a czasem zagadkowe, ale bywają także całkiem pouczające. Jak powiadają, zepsuty zegarek dwa razy dziennie pokazuje prawdziwą godzinę.

BIBLIOGRAFIA

Dokumenty oficjalne

- City of Memphis v. Martin Luther King Jr. et al.*, 3 kwietnia 1968, protokół rozprawy
Federal Bureau of Investigation, MURKIN Files, King Assassination Documents, F B I Central
Headquarters, oglądane na mikrofilmie w Stanford University's Cecil H. Green Library
House Select Committee on Assassinations (HSCA), *Investigation of the Assassination of Martin Luther
King Jr. Appendix Reports*, t. 1–13, Washington, D.C.: U. S. Government Printing Office, 1979
HSCA, *Investigation of the Assassination of Martin Luther King Jr. The Final Assassinations Report*, New
York: Bantam, 1979
State of Tennessee v. James Earl Ray, Shelby County Criminal Court, Wydział III, Tennessee, 1969,
protokół
United States of America v. James Earl Ray, protokoły z postępowania ekstradycyjnego
U. S. Justice Department, „Report of the Department of Justice Task Force to Review the FBI Martin
Luther King Jr. Security and Assassination Investigations”, 11 stycznia 1977

Archiwa, biblioteki i muzea

- Birmingham Civil Rights Institute, Birmingham, Alabama
British Library Newspaper Archives, Colindale, U.K
Howard Gotlieb Archival Research Center, Boston University – przejrzane zbiory obejmują archiwum
Geralda Posnera, listy Jamesa Earla Raya i zbiór Martina Luthera Kinga
Hughes B. Venson Collection on the Assassination of Martin Luther King, Germantown, Tennessee –
zbiory obejmują niepublikowane fotografie z miejsca zdarzenia i zdjęcia materiału dowodowego, akta
policji w Memphis, nagrania rozmów policyjnego dyspozytora, niepublikowane sprawozdania
i protokoły FBI oraz inne dokumenty śledcze
Huie William Bradford, archiwum, Rare Books and Manuscripts Library, Ohio State University, Columbus
King Center Library and Archives, and the Martin Luther King Jr. National Historic Site, Atlanta
Lyndon Baines Johnson Presidential Library and Museum, University of Texas, Austin
Martin Luther King Papers Project, Stanford University
Mary Ferrell Foundation Digital Archive (www.maryferrell.org), Ipswich, Massachusetts – przejrzane
zbiory obejmują akta FBI MURKIN, protokoły posiedzeń organizacyjnych HSCA i przesłuchań przed
komisją Churcha
McMillan George, archiwum, Southern Historical Collection, Wilson Library, University of North
Carolina, Chapel Hill
Memphis and Shelby County Room, Benjamin L. Hooks Central Library, Memphis – przejrzane zbiory
obejmują archiwum Henry'ego Loeba, archiwum Franka Hollomana oraz wycinki z „Memphis
Commercial Appeal” i „Memphis Press-Scimitar”
„Memphis Magazine”, archiwum, Contemporary Media, Inc., Memphis
Mississippi Valley Collection, Ned R. McWherter Library, University of Memphis
National Civil Rights Museum, Lorraine Motel, Memphis
Withers Ernest C., zbiór fotografii, Panopticon Gallery of Photography, Boston – galeria przechowuje
dorobek Ernesta Withersa, legendarnego fotografa ruchu praw obywatelskich z Memphis

Dzienniki

„Atlanta Constitution”
 „London Daily Mirror”
 „London Daily Telegraph”
 „London Evening Standard”
 „London Observer”
 „Los Angeles Times”
 „Manchester Guardian”
 „Memphis Commercial Appeal”
 „Memphis Press-Scimitar”
 „New York Times”
 „St. Louis Post-Dispatch”
 „Times”
 „Toronto Telegram”
 „Washington Post”

Książki

Abernathy Ralph David, *And the Walls Came Tumbling Down*, New York: Harper & Row, 1989
 Ayton Mel, *A Racial Crime. James Earl Ray and the Murder of Dr. Martin Luther King Jr.*, Las Vegas: ArcheBooks, 2005
 Barry John M., *Rising Tide. The Great Mississippi Flood of 1927 and How It Changed America*, New York: Simon & Schuster, 1997
 Bearden William, *Cotton. From Southern Fields to the Memphis Market*, Charleston, S.C.: Arcadia, 2005
 —, *Memphis Blues. Birthplace of a Music Tradition*, Charleston, S.C.: Arcadia, 2006
 Beifuss Joan Turner, *At the River I Stand. Memphis, the 1968 Strike, and Martin Luther King*, Memphis: B & W Books, 1985
 Biles Roger, *Memphis in the Great Depression*, Knoxville: University of Tennessee Press, 1986
 Bishop Jim, *The Days of Martin Luther King Jr.*, New York: G. P. Putnam's Sons, 1971
 Blair Clay Jr., *The Strange Case of James Earl Ray. The Man Who Murdered Martin Luther King*, New York: Bantam Books, 1969
 Bond Beverly G., Sherman Janann, *Beale Street*, Charleston, S.C.: Arcadia, 2006
 —, *Memphis in Black and White*, Charleston, S.C.: Arcadia, 2003
 Bowman Rob, *Soulsville U.S.A. The Story of Stax Records*, New York: Schirmer Trade Books, 1997
 Branch Taylor, *At Canaan's Edge. America in the King Years, 1965–68*, New York: Simon & Schuster, 2006
 —, *Parting the Waters. America in the King Years, 1954–63*, New York: Touchstone, 1989
 —, *Pillar of Fire. America in the King Years, 1963–65*, New York: Simon & Schuster, 1998
 Branston John, *Rowdy Memphis. The South Unscripted*, Nashville: Cold Tree Press, 2004
 Brinkley Douglas, *Rosa Parks*, New York: Viking, 2000
 Burch Lucius, *Lucius. Writings of Lucius Burch*, Nashville: Cold Tree Press, 2003
 Burrough Bryan, *Public Enemies. America's Greatest Crime Wave and the Birth of the FBI, 1933–34*, New York: Penguin, 2004
 Busby Horace, *The Thirty-first of March. An Intimate Portrait of Lyndon Johnson's Final Days in Office*, New York: Farrar, Straus and Giroux, 2005
 Califano Joseph A., *The Triumph and Tragedy of Lyndon Johnson*, New York: Simon & Schuster, 1991
 Capers Gerald M., *The Biography of a River Town. Memphis, Its Heroic Age*, New Orleans: Tulane University Press, 1966
 Carson Clayborne (ed.), *The Autobiography of Martin Luther King Jr.*, New York: Time Warner Books, 1998
 Carson Clayborne i in., *The Papers of Martin Luther King Jr.*, vol. 1–6, Berkeley: University of California Press, 1992–2009
 Carson Clayborne, Holloran Peter (ed.), *A Knock at Midnight. Inspiration from the Great Sermons of*

- Martin Luther King Jr.*, New York: Warner Books, 1998
- Carter Dan T., *The Politics of Rage. George Wallace, the Origins of the New Conservatism, and the Transformation of American Politics*, Baton Rouge: Louisiana State University Press, 1995
- Carter Hodding, *Lower Mississippi*, New York: Farrar & Rinehart, 1942
- Cash Johnny, Carr Patrick, *Cash. The Autobiography*, San Francisco: HarperCollins, 1997
- Chapman C. Stuart, *Shelby Foote. A Writer's Life*, Jackson: University of Mississippi Press, 2003
- Christopher Warren, *Chances of a Lifetime. A Memoir*, New York: Scribner, 2001
- Church Annette E., Church Roberta, *The Robert A. Churches of Memphis*, Ann Arbor, Mich.: Edwards Brothers, 1974
- Clark Ramsey, *Crime in America. Observations on Its Nature, Causes, Prevention, and Control*, New York: Simon & Schuster, 1970
- Cobb James C., *The Most Southern Place on Earth. The Mississippi Delta and the Roots of Regional Identity*, New York: Oxford University Press, 1992
- Conaway James, *Memphis Afternoons. A Memoir*, Boston: Houghton Mifflin, 1993
- Cooper William J., *Jefferson Davis, American*, New York: Vintage Civil War Library, 2001
- Coppock Paul R., *Paul Coppock's Mid-South*, vol. 1–4, ed. Helen M. Coppock, Charles W. Crawford, Nashville: Williams Printing Company, 1993
- Crosby Caldwell Molly, *The American Plague. The Untold Story of Yellow Fever, the Epidemic That Shaped Our History*, New York: Berkley Books, 2006
- Cunningham O. Edward, *Shiloh and the Western Campaign of 1862*, New York: Savas Beatie, 2007
- Dallek Robert, *Flawed Giant. Lyndon Johnson and His Times, 1961–1973*, New York: Oxford University Press, 1998
- DeLoach Cartha D., *Hoover's FBI. The Inside Story by Hoover's Trusted Lieutenant*, Washington, D.C.: Regnery, 1997
- Dowdy G. Wayne, *Mayor Crump Don't Like It. Machine Politics in Memphis*, Jackson: University of Mississippi Press, 2006
- Doyle William, *An American Insurrection. James Meredith and the Battle of Oxford, Mississippi, 1962*, New York: Anchor Books, 2001
- Dyson Michael Eric, *April 4, 1968. Martin Luther King Jr.'s Death and How It Changed America*, New York: Basic Civitas Books, 2008
- , *I May Not Get There with You. The True Martin Luther King Jr.*, New York: Free Press, 2000
- Estes Steve, „I Am a Man!“. *Race, Manhood, and the Struggle for Civil Rights*, Chapel Hill: University of North Carolina Press, 2005
- Fager Charles, *Uncertain Resurrection. The Poor People's Washington Campaign*, Grand Rapids, Mich.: Eerdmans, 1969
- Fairclough Adam, *Martin Luther King Jr.*, Athens: University of Georgia Press, 1995
- Faulkner William, *Azyl*, przeł. Zofia Kierszys, Warszawa: Most, 1992
- Fisher David, *Hard Evidence. How Detectives Inside the FBI's Sci-Crime Lab Have Helped Solve America's Toughest Cases*, New York: Simon & Schuster, 1995
- Fleming Ian, *W tajnej służbie Jej Królewskiej Mości*, przeł. Robert Stiller, Warszawa: Alma-Press, 1994
- Foote Shelby, *September, September*, New York: Random House, 1978
- Fraday Marshall, *Jesse. The Life and Pilgrimage of Jesse Jackson*, New York: Simon & Schuster, 1996
- , *Martin Luther King Jr. A Life*, New York: Viking Penguin, 2002
- , *Wallace. The Classic Portrait of Alabama Governor George Wallace*, New York: New American Library, 1968
- Frank Gerold, *An American Death. The True Story of the Assassination of Dr. Martin Luther King Jr.*, Garden City, N.Y.: Doubleday, 1972
- Friedly Michael, Gallen David, *Martin Luther King Jr. The FBI File*, New York: Carroll & Graf, 1993
- Gabriel Michael, *James Earl Ray. The Last Days of Inmate #65477*, Los Angeles: CatYoga, 2004
- Garrow David J., *Bearing the Cross. Martin Luther King Jr. and the Southern Christian Leadership Conference*, New York: William Morrow, 1986

- , *The FBI and Martin Luther King Jr. From „Solo” to Memphis*, New York: W. W. Norton, 1981
- Gentry Curt, *J. Edgar Hoover. The Man and the Secrets*, New York: W. W. Norton, 1991
- Gilbert Ben W. i in., *Ten Blocks from the White House. Anatomy of the Washington Riots of 1968*, New York: Frederick A. Praeger, 1968
- Goldman Albert, *Elvis*, New York: McGraw-Hill, 1981
- Goodwin Doris Kearns, *Lyndon Johnson and the American Dream*, New York: St. Martin's Press, 1976
- Gordon Robert, *Can't Be Satisfied. The Life and Times of Muddy Waters*, Boston: Little, Brown, 2002
- , *It Came from Memphis*, New York: Pocket Books, 1995
- Green Laurie B., *Battling the Plantation Mentality. Memphis and the Black Freedom Struggle*, Chapel Hill: University of North Carolina Press, 2007
- Guralnick Peter, *Careless Love. The Unmaking of Elvis Presley*, Boston: Back Bay Books, 1999
- , *Last Train to Memphis. The Rise of Elvis Presley*, Boston: Little, Brown, 1994
- , *Searching for Robert Johnson. The Life and Legend of the „King of the Delta Blues Singers”*, New York: Plume, 1998
- , *Sweet Soul Music. Rhythm and Blues and the Southern Dream of Freedom*, New York: HarperCollins, 1986
- Halberstam David, *The Children*, New York: Random House, 1998
- Handy W.C., *Father of the Blues. An Autobiography*, New York: Da Capo, 1969
- Harkins John, *Historic Shelby County. An Illustrated History*, Memphis: West Tennessee Historical Society, 2008
- , *Metropolis of the American Nile. Memphis and Shelby County*, Memphis: West Tennessee Historical Society, 1982
- Hendrickson Paul, *Sons of Mississippi*, New York: Alfred A. Knopf, 2003
- Hersh Burton, *Bobby and J. Edgar. The Historic Face-Off Between the Kennedys and J. Edgar Hoover That Transformed America*, New York: Carroll & Graf, 2007
- Honey Michael K., *Going Down Jericho Road. The Memphis Strike, Martin Luther King's Last Campaign*, New York: W. W. Norton, 2007
- Horwitz Tony, *Confederates in the Attic. Dispatches from the Unfinished Civil War*, New York: Vintage Books, 1998
- Huie William Bradford, *He Slew the Dreamer. My Search, with James Earl Ray, for the Truth About the Murder of Martin Luther King*, New York: Delacorte Press, 1970
- Hurst Jack, *Nathan Bedford Forrest. A Biography*, New York: Vintage Books, 1994
- Jones Clarence, Engel Joel, *What Would Martin Say?*, New York: Harper, 2008
- Joyce Peter, *Anatomy of a Rebel. Smith of Rhodesia, a Biography*, Salisbury, Rhodesia: Graham, 1974
- Kaiser Charles, *1968 in America. Music, Politics, Chaos, Counterculture, and the Shaping of a Generation*, New York: Weidenfeld & Nicolson, 1988
- Kaiser Robert Blair, „R.F. K. Must Die!”. *Chasing the Mystery of the Robert Kennedy Assassination*, New York: Overlook Press, 2008
- Kelly John F., Wearne Phillip K., *Tainting Evidence. Inside the Scandals of the FBI Crime Lab*, New York: Free Press, 1998
- King B.B., Ritz David, *Blues All Around Me. The Autobiography of B. B. King*, New York: Avon Books, 1997
- King Coretta Scott, *My Life with Martin Luther King Jr.*, New York: Holt, Rinehart, and Winston, 1969
- King Dexter Scott, *Growing Up King. An Intimate Memoir*, New York: Warner Books, 2003
- King Martin Luther Jr., *Stride Toward Freedom*, New York: Harper & Row, 1958
- , *Where Do We Go from Here? Chaos or Community?*, New York: Harper & Row, 1967
- King Martin Luther Sr., *Daddy King. An Autobiography*, New York: William Morrow, 1980
- Kirwan Albert D., *Revolt of the Rednecks. Mississippi Politics, 1876–1925*, New York: Harper & Row, 1965
- Kotz Nick, *Judgment Days. Lyndon Baines Johnson, Martin Luther King Jr., and the Laws That Changed America*, Boston: Houghton Mifflin, 2005

- Lane Mark, Gregory Dick, *Code Name „Zorro”. The Murder of Martin Luther King Jr.*, Englewood Cliffs, N.J.: Prentice-Hall, 1977
- , *Murder in Memphis. The FBI and the Assassination of Martin Luther King*, New York: Thunder’s Mouth Press, 1993
- Lane Stonney Ray, *Building Time at Brushy*, Bloomington, Ind.: First Books, 2003
- Lemann Nicholas, *The Promised Land. The Great Black Migration and How It Changed America*, New York: Alfred A. Knopf, 1991
- Leshner Stephan, *George Wallace. American Populist*, Cambridge, Mass.: Perseus, 1994
- Levine David, *Bayard Rustin and the Civil Rights Movement*, New Brunswick, N.J.: Rutgers University Press, 2000
- Lewis David, *King. A Biography*, Champaign: University of Illinois Press, 1978
- Lewis John, D’Orso Michael, *Walking with the Wind. A Memoir of the Movement*, New York: Harcourt Brace & Company, 1998
- Lischer Richard, *The Preacher King. Martin Luther King Jr. and the Word That Moved America*, New York: Oxford University Press, 1995
- Lomax Louis E., *To Kill a Black Man*, Los Angeles: Holloway House, 1968
- Magness Perre, *Past Times. Stories of Early Memphis*, Memphis: Parkway Press, 1994
- , *The Party with a Purpose. 75 Years of Carnival in Memphis*, Jonesboro, Ark.: Pinpoint Printing, 2006
- Maltz Michael, *Psycho-Cybernetics. A New Technique for Using Your Subconscious Power*, Englewood Cliffs, N.J.: Prentice-Hall, 1960
- McAdory Jeff, *I Am a Man. Photographs of the 1968 Memphis Sanitation Strike and Dr. Martin Luther King Jr.*, Memphis: Memphis Publishing Co., 1993
- McKnight Gerald D., *The Last Crusade. Martin Luther King Jr., the FBI, and the Poor People’s Campaign*, Boulder, Colo.: Westview Press, 1998
- McMillan George, *The Making of an Assassin. The Life of James Earl Ray*, Boston: Little, Brown, 1976
- McWhorter Diane, *Carry Me Home. Birmingham, Alabama, the Climactic Battle of the Civil Rights Revolution*, New York: Simon & Schuster, 2001
- Melanson Philip H., *The Murkin Conspiracy. An Investigation into the Assassination of Dr. Martin Luther King Jr.*, New York: Praeger, 1989
- Miller William D., *Mr. Crump of Memphis*, Memphis: Memphis State University Press, 1957
- Nager Larry, *Memphis Beat. The Lives and Times of America’s Musical Crossroads*, New York: St. Martin’s Press, 1998
- O’Reilly Kenneth, „Racial Matters”. *The FBI’s Secret File on Black America, 1960–1972*, New York: Free Press, 1989
- Palmer Robert, *Deep Blues. A Musical and Cultural History*, New York: Viking Penguin, 1981
- Panabaker James, *Two Gates to the City. Shelby Foote and the Art of History*, Knoxville: University of Tennessee Press, 2004
- Pearson Hugh, *When Harlem Nearly Killed King. The 1958 Stabbing of Dr. Martin Luther King Jr.*, New York: Seven Stories Press, 2002
- Percy William Alexander, *Lanterns on the Levee. Recollections of a Planter’s Son*, New York: Alfred A. Knopf, 1941
- Phillips Robert L., *Shelby Foote. Novelist and Historian*, Jackson: University of Mississippi Press, 1992
- Poitier Sidney, *This Life*, New York: Ballantine Books, 1981
- Posner Gerald, *Killing the Dream. James Earl Ray and the Assassination of Martin Luther King Jr.*, New York: Random House, 1998
- Powers Georgia Davis, *I Shared the Dream. The Pride, Passion, and Politics of the First Black Woman Senator from Kentucky*, Far Hills, N.J.: New Horizon Press, 1995
- Powers Richard Gid, *Secrecy and Power. The Life of J. Edgar Hoover*, New York: Free Press, 1987
- Raban Jonathan, *Old Glory. A Voyage Down the Mississippi*, New York: Vintage Books, 1981
- Raichelson Richard M., *Beale Street Talks. A Walking Tour Down the Home of the Blues*, Memphis: Arcadia Records, 1999

- Raines Howell, *My Soul Is Rested. Movement Days in the Deep South Remembered*, New York: G. P. Putnam's Sons, 1977
- Rasmussen Nicolas, *On Speed. The Many Lives of Amphetamine*, New York: New York University Press, 2008
- Ray James Earl, *Tennessee Waltz. The Making of a Political Prisoner*, St. Andrews, Tennessee: Saint Andrew's Press, 1987
- , *Who Killed Martin Luther King? The True Story by the Alleged Assassin*, New York: Marlowe, 1992
- Ray John Larry, Barsten Lyndon, *Truth at Last. The Untold Story Behind James Earl Ray and the Assassination of Martin Luther King Jr.*, Guilford, Conn.: Lyons Press, 2008
- Risen Clay, *A Nation on Fire. America in the Wake of the King Assassination*, Hoboken, N.J.: John Wiley & Sons, 2009
- Roberts Gene, Klibanoff Hank, *The Race Beat. The Press, the Civil Rights Struggle, and the Awakening of a Nation*, New York: Alfred A. Knopf, 2006
- Robertson David, W. C. Handy. *The Life and Times of the Man Who Made the Blues*, New York: Alfred A. Knopf, 2009
- Roper James, *The Founding of Memphis, 1818–1820*, Memphis: West Tennessee Historical Society, 1970
- Rowan Carl T., *Breaking the Barriers. A Memoir*, Boston: Little, Brown, 1991
- Rustin Bayard, *Down the Line. The Collected Writings of Bayard Rustin*, Chicago: Quadrangle Books, 1971
- Sigafoos Robert A., *Cotton Row to Beale Street. A Business History of Memphis*, Memphis: Memphis State University Press, 1979
- Sullivan William C., Brown Bill, *The Bureau. My Thirty Years in Hoover's FBI*, New York: W. W. Norton, 1979
- Taylor Peter, *A Summons to Memphis*, New York: Alfred A. Knopf, 1986
- , *The Old Forest and Other Stories*, New York: Ballantine Books, 1986
- Timmerman Kenneth R., *Shakedown. Exposing the Real Jesse Jackson*, Washington, D.C.: Regnery Publishing, 2002
- Tolson Jay (ed.), *The Correspondence of Shelby Foote and Walker Percy*, New York: W. W. Norton, 1997
- Tucker David M., *Memphis Since Crump. Bossism, Blacks, and Civil Reformers, 1948–1968*, Knoxville: University of Tennessee Press, 1980
- Twain Mark, *Życie na Missisipi*, przeł. Zofia Siwicka, Warszawa: Czytelnik, 1984
- Vivian Octavia, *Coretta. The Story of Coretta Scott King*, Minneapolis: Fortress Press, 2006
- Waldron Lamar, Hartmann Thom, *Legacy of Secrecy. Robert Kennedy, National Security, the Mafia, and the Assassination of Martin Luther King*, Berkeley, Cal.: Counterpoint, 2008
- Washington James M. (ed.), *A Testament of Hope. The Essential Writings of Martin Luther King Jr.*, New York: Harper & Row, 1986
- Weeks Linton, *Memphis. A Folk History*, Little Rock, Arkansas: Parkhurst, 1982
- Weisberg Harold, *Martin Luther King. The Assassination*, New York: Carroll & Graf, 1993
- Wells Ida B., *Crusade for Justice. The Autobiography of Ida B. Wells*, ed. Alfreda M. Duster, Chicago: University of Chicago Press, 1970
- Werner Craig, *A Change Is Gonna Come. Music, Race, and the Soul of America*, Ann Arbor: University of Michigan Press, 2006
- Wilkins Roger, *A Man's Life. An Autobiography*, Woodbridge, Conn.: Ox Bow Press, 1982
- Williams Juan, *Eyes on the Prize. America's Civil Rights Years, 1954–1965*, New York: Viking, 1987
- Wills Garry, *The Second Civil War. Arming for Armageddon*, New York: New American Library, 1968
- Withers Ernest C. i in., *Pictures Tell the Story. Ernest C. Withers, Reflections in History*, Norfolk, Va.: Chrysler Museum of Art, 2000
- Wofford Harris, *Of Kennedys and Kings. Making Sense of the Sixties*, New York: Farrar, Straus and Giroux, 1980
- Woodruff Nan, *American Congo. The American Freedom Struggle in the Delta*, Cambridge, Mass.: Harvard University Press, 2003
- Woodward C. Vann, *The Burden of Southern History*, New York: New American Library, 1969

- , *The Strange Career of Jim Crow*, New York: Oxford University Press, 1974
- Yafa Stephen, *Big Cotton. How a Humble Fiber Created Fortunes, Wrecked Civilizations, and Put America on the Map*, New York: Viking, 2005
- Young Andrew, *A Way Out of No Way. The Spiritual Memoirs of Andrew Young*, Nashville: Thomas Nelson, 1994
- , *An Easy Burden. The Civil Rights Movement and the Transformation of America*, New York: HarperCollins, 1996

Historie ustne

Obficie korzystałem z historii ustnych zebranych przez Memphis Multi-Media Archival Project i przechowywanych w Ned R. McWherter Library przy uniwersytecie w Memphis. To niezwykle przedsięwzięcie badawcze, podjęte pod koniec lat sześćdziesiątych przez Memphis Search for Meaning Committee pod kierunkiem Carol i Davida Yellinów, obejmuje taśmy audio, taśmy wideo i historie ustne zebrane od setek naocznych świadków wydarzeń, które miały miejsce w 1968 roku w Memphis, czyli strajku śmieciarezy, wystąpień Kinga oraz zamachu i jego konsekwencji.

Mój udział w kręceniu przez Insignia Films filmu dokumentalnego *Roads to Memphis* (wyprodukowanego dla cyklu PBS zatytułowanego *The American Experience*) również zaowocował obszernym materiałem ustnym. W dokumencie tym wypowiedziały się takie osoby, jak: Andrew Young, Benjamin Hooks, Harris Wofford, Arthur Hanes jr., Ramsey Clark, Louis Stokes, Samuel „Billy” Kyles, Dorothy Cotton, Roger Wilkins, John Campbell, Vince Hughes, Joseph Sweat, Dan Rather i Gerald Posner.

Wybrane artykuły z czasopism

- Biles Roger, *Cotton Fields or Skyscrapers? The Case of Memphis, Tennessee*, „*Historian: A Journal of History*”, luty 1988
- Huie William Bradford, *I Got Involved Gradually, and I Didn't Know Anybody Was to Be Murdered*, „*Look*”, 22 listopada 1968
- , *I Had Been in Trouble All My Life, in Jail Most of It*, „*Look*”, 12 listopada 1968
- , *The Story of James Earl Ray and the Plot to Assassinate Martin Luther King*, „*Look*”, 22 listopada 1968
- , *Why James Earl Ray Murdered Dr. King*, „*Look*”, kwiecień 1969
- I Still Believe We Shall Overcome. The Martin Luther King Jr. Assassination, 40th Anniversary Issue*, „*Memphis*”, kwiecień 2008
- King Coretta Scott, *Tragedy in Memphis*, „*Life*”, 19 września 1969
- McKinley James, *Interview with James Earl Ray*, „*Playboy*”, wrzesień 1977
- McKnight Gerald D., *The 1968 Memphis Sanitation Strike and the FBI. A Case Study in Urban Surveillance*, „*South Atlantic Quarterly*”, wiosna 1984, vol. 83
- O'Neil Paul, *Ray, Sirhan – What Possessed Them?*, „*Life*”, 21 czerwca 1968
- Ray's Breakout*, „*Time*”, 20 czerwca 1977
- Ray's Escape*, „*Newsweek*”, 20 czerwca 1977
- Shaw Bynum, *Are You Sure Who Killed Martin Luther King?*, „*Esquire*”, marzec 1972
- Wills Garry, *Martin Luther King Is Still on the Case*, „*Esquire*”, sierpień 1968, przedruk w: *The New Journalism*, ed. Tom Wolfe, London: Picador, 1996

PRZYPISY KOŃCOWE

Prolog

- ¹ Ten i inne szczegóły dotyczące Jeff City zostały zaczerpnięte z artykułu: Patrick J. Buchanan, *Jefferson City. The Pen That Just Grew*, „Nation”, 6 listopada 1964.
- ² G. McMillan, *The Making of an Assassin. The Life of James Earl Ray*, Boston: Little, Brown, 1976, s. 173 – rozmowa z sędzią Sądu Penitencjarnego Stanu Missouri Fredem Wilkinsonem.
- ³ Doktor Henry V. Guhleman (więzienny psychiatra) przy Sądzie Penitencjarnym Stanu Missouri, 20 grudnia 1966, Hughes Collection.
- ⁴ Tamże.
- ⁵ Tamże.
- ⁶ Zob.: FBI, MURKIN Files, 4441, sec. 56, s. 4–6.
- ⁷ G. McMillan, *Making of an Assassin...*, dz. cyt., s. 181.
- ⁸ G. McMillan, rozmowa z więźniem Raymondem Curtisem, pudełko 1, notatki z rozmowy, McMillan Papers.
- ⁹ W. B. Huie, *He Slew the Dreamer. My Search, with James Earl Ray, for the Truth About the Murder of Martin Luther King*, New York: Delacorte Press, 1970, s. 40. Zob. także: J. L. Ray, L. Barsten, *Truth at Last. The Untold Story Behind James Earl Ray and the Assassination of Martin Luther King Jr.*, Guilford, Conn.: Lyons Press, 2008, s. 72, gdzie John Ray przyznaje, że odwiedził swojego brata w Jeff City w przeddzień jego ucieczki i zgodził się mu w niej pomóc (przez lata temu zaprzeczał, m.in. zeznając przed House Select Committee on Assassinations; dalej HSCA).
- ¹⁰ Ten i inne opisy ucieczki pochodzą z relacji samego Jamesa Earla Raya w: tegoż, *Tennessee Waltz. The Making of a Political Prisoner*, St. Andrews, Tennessee: Saint Andrew's Press, 1987, s. 42.
- ¹¹ J. E. Ray, *Who Killed Martin Luther King? The True Story by the Alleged Assassin*, New York: Marlowe, 1992, s. 57.
- ¹² James J. Kilpatrick, *What Makes Wallace Run?*, „National Review”, 18 kwietnia 1967.
- ¹³ Wallace w programie *Meet the Press*, 23 kwietnia 1967, cyt. w: S. Leshner, *George Wallace. American Populist*, Cambridge, Mass.: Perseus, 1994, s. 389.
- ¹⁴ Tamże, s. 390.
- ¹⁵ Tamże.
- ¹⁶ FBI, MURKIN Files, 3503, sec. 39, s. 9.
- ¹⁷ Cytat ten i inne relacje w pierwszej osobie o ucieczce Raya z więzienia pochodzą z: „20,000 Words”, HSCA, *Appendix Reports*, t. 12.
- ¹⁸ J. L. Ray, L. Barsten, *Truth at Last...*, dz. cyt., s. 73. John Ray przyznaje, że brat do niego dzwonił, przyjechał po niego do baru w środkowym Missouri i odwiózł do Saint Louis.
- ¹⁹ J. E. Ray, *Tennessee Waltz...*, dz. cyt., s. 45.

1. Miasto białego złota

- ²⁰ Przebieg Karnawału Bawełnianego w 1967 roku na podst.: P. Magness, *The Party with a Purpose. 75 Years of Carnival in Memphis*, Jonesboro, Ark.: Pinpoint Printing, 2006, s. 242. Opis królewskiej szkuty i atmosfery karnawału według materiałów prasowych z „Memphis Commercial Appeal” i „Memphis Press-Scimitar”, kwiecień i maj 1967.
- ²¹ O szczegółach wczesnej historii Memphis zob. w: G. M. Capers, *The Biography of a River Town. Memphis, Its Heroic Age*, New Orleans: Tulane University Press, 1966; J. Roper, *The Founding of Memphis, 1818–1820*, Memphis: West Tennessee Historical Society, 1970; P. Magness, *Past Times. Stories of Early Memphis*, Memphis: Parkway Press, 1994; J. Harkins, *Metropolis of the American Nile. Memphis and Shelby County*, Memphis: West Tennessee Historical Society, 1982.
- ²² Szczegóły dotyczące przemysłu bawełnianego na podst.: W. Bearden, *Cotton. From Southern Fields to the Memphis Market*, Charleston, S.C.: Arcadia, 2005; S. Yafa, *Big Cotton. How a Humble Fiber Created Fortunes, Wrecked Civilizations, and Put America on the Map*, New York: Viking, 2005. Oparłem się również na zbiorach Muzeum Bawełny w Memphis.
- ²³ Przejmujący opis epidemii żółtej febry w 1878 roku zob. w: C. M. Crosby, *The American Plague. The Untold Story of Yellow Fever, the Epidemic That Shaped Our History*, New York: Berkley Books, 2006.
- ²⁴ G. Wills, *Martin Luther King Is Still on the Case*, „Esquire”, sierpień 1968, przedruk w: *The New Journalism*, ed. Tom Wolfe, London: Picador, 1996.
- ²⁵ L. Weeks, *Memphis. A Folk History*, Little Rock, Arkansas: Parkhurst, 1982, s. 25–34.
- ²⁶ Osoby zainteresowane odważnym życiem tej nestorki praw człowieka odsyłam do jej znakomitych wspomnień: I. B. Wells, *Crusade for Justice. The Autobiography of Ida B. Wells*, ed. Alfreda M. Duster, Chicago: University of Chicago Press, 1970.
- ²⁷ Świetna biografia J. Hurst, *Nathan Bedford Forrest. A Biography*, New York: Vintage Books, 1994 zřęcznie odtwarza ewolucję Forresta w stronę umiarkowanych poglądów na kwestie rasowe – zob. zwłaszcza: s. 359–367.
- ²⁸ Zob.: P. Magness, *Party with a Purpose...*, dz. cyt., s. 205–210.

2. Postawić wszystko na jedną kartę

- ²⁹ Rozmowa Kinga z Davidem Halberstamem, cyt. w: M. E. Dyson, *I May Not Get There with You. The True Martin Luther King Jr.*, New York: Free Press, 2000, s. 39.
- ³⁰ Carson Clayborne (ed.), *The Autobiography of Martin Luther King Jr.*, New York: Time Warner Books, 1998, s. 338.
- ³¹ J. M. Washington (ed.), *A Testament of Hope. The Essential Writings of Martin Luther King Jr.*, New York: Harper & Row, 1986, s. 630.
- ³² N. Kotz, *Judgment Days. Lyndon Baines Johnson, Martin Luther King Jr., and the Laws That Changed America*, Boston: Houghton Mifflin, 2005, s. 382.
- ³³ T. Branch, *At Canaan’s Edge. America in the King Years, 1965–68*, New York: Simon & Schuster, 2006, s. 652.
- ³⁴ D. J. Garrow, *Bearing the Cross. Martin Luther King Jr. and the Southern Christian Leadership Conference*, New York: William Morrow, 1986, s. 602.
- ³⁵ Tamże, s. 572.
- ³⁶ Tamże, s. 592.

³⁷ T. Branch, *At Canaan's Edge...*, dz. cyt., s. 656.

³⁸ D. J. Garrow, *Bearing the Cross...*, dz. cyt., s. 583.

³⁹ Tamże.

3. Miesiąc iguany

⁴⁰ Scena ta opiera się przede wszystkim na przesłuchaniach Manuei Medrano przed HSCA, *Appendix Reports*, t. 4, s. 157, 158.

⁴¹ G. McMillan, *The Making of an Assassin. The Life of James Earl Ray*, Boston: Little, Brown, 1976, s. 263.

⁴² HSCA, *Appendix Reports*, t. 4, s. 157, 158.

⁴³ Podczas podróży badawczej do Puerto Vallarta odwiedziłem Rio, wciąż popularny hotel w centrum, i obejrzałem fotografie archiwalne z lat sześćdziesiątych.

⁴⁴ Zob. W. B. Huie, *He Slew the Dreamer. My Search, with James Earl Ray, for the Truth About the Murder of Martin Luther King*, New York: Delacorte Press, 1970, s. 94; G. McMillan, *Making of an Assassin...*, dz. cyt., s. 266.

⁴⁵ J. E. Ray, *Who Killed Martin Luther King? The True Story by the Alleged Assassin*, New York: Marlowe, 1992, s. 78.

⁴⁶ Tenże, „20,000 Words”, HSCA, *Appendix Reports*, t. 12, s. 69.

⁴⁷ William Bradford Huie odwiedził ten dom publiczny w 1968 roku i opisał go dosyć szczegółowo w: tegoż, *He Slew the Dreamer...*, dz. cyt., s. 95, 96.

⁴⁸ Opis ulubionego burdelu Raya pochodzi z podsumowania jego pobytu w Meksyku zawartego w: HSCA, *Appendix Reports*, t. 4; a także z: W. B. Huie, *He Slew the Dreamer...*, dz. cyt., s. 94, 95.

⁴⁹ G. McMillan, *Making of an Assassin...*, dz. cyt., s. 270.

⁵⁰ W. B. Huie, *He Slew the Dreamer...*, dz. cyt., s. 97.

⁵¹ J. E. Ray, *Tennessee Waltz. The Making of a Political Prisoner*, St. Andrews, Tennessee: Saint Andrew's Press, 1987, s. 66.

⁵² HSCA, *Appendix Reports*, t. 4, s. 159.

⁵³ Tamże.

⁵⁴ J. E. Ray, *Tennessee Waltz...*, dz. cyt., s. 61.

⁵⁵ Dobre podsumowanie zdarzenia w Casa Susana można znaleźć w: HSCA, *Final Assassinations Report*, s. 328, 329.

⁵⁶ Ten i inne szczegóły konfrontacji z czarnymi marynarzami pojawiają się w protokole z przesłuchania Medrano, HSCA, *Appendix Reports*, t. 4, s. 158.

⁵⁷ G. McMillan, *Making of an Assassin...*, dz. cyt., s. 269.

⁵⁸ W. B. Huie, *He Slew the Dreamer...*, dz. cyt., s. 97.

⁵⁹ J. E. Ray, *Tennessee Waltz...*, dz. cyt., s. 61.

⁶⁰ Przesłuchanie Raya, HSCA, *Appendix Reports*, t. 9, s. 488.

⁶¹ J. E. Ray, *Tennessee Waltz...*, dz. cyt., s. 62.

4. Postrach dla złoczyńców

- ⁶² D. J. Garrow, *The FBI and Martin Luther King Jr. From „Solo” to Memphis*, New York: W. W. Norton, 1981, s. 106.
- ⁶³ Tamże, s. 182.
- ⁶⁴ C. Gentry, *J. Edgar Hoover. The Man and the Secrets*, New York: W. W. Norton, 1991, s. 280.
- ⁶⁵ C. D. DeLoach, *Hoover’s FBI. The Inside Story by Hoover’s Trusted Lieutenant*, Washington, D.C.: Regnery, 1997, s. 67.
- ⁶⁶ Buchwald, cyt. w: R. G. Powers, *Secrecy and Power. The Life of J. Edgar Hoover*, New York: Free Press, 1987, s. 395.
- ⁶⁷ Capote, cyt. w: B. Hersh, *Bobby and J. Edgar. The Historic Face-Off Between the Kennedys and J. Edgar Hoover That Transformed America*, New York: Carroll & Graf, 2007, s. 464.
- ⁶⁸ C. Gentry, *J. Edgar Hoover...*, dz. cyt., s. 501.
- ⁶⁹ C. D. DeLoach, *Hoover’s FBI...*, dz. cyt., s. 95.
- ⁷⁰ Tamże, s. 109.
- ⁷¹ Hugh Sidey, „Life”, 12 maja 1972.
- ⁷² Jack Anderson, „Washington Post”, 3 maja 1972.
- ⁷³ Robert Kennedy, cyt. w: R. G. Powers, *Secrecy and Power...*, dz. cyt., s. 397.
- ⁷⁴ Tamże, s. 393.
- ⁷⁵ Prezydent Johnson, dekret 11154, 8 maja 1965, cyt. w: Ralph de Toledano, *J. Edgar Hoover. The Man in His Time*, New Rochelle, N.Y.: Arlington House, 1973, s. 301.
- ⁷⁶ Johnson, cyt. w: C. Gentry, *J. Edgar Hoover...*, dz. cyt., s. 611.
- ⁷⁷ „Newsweek”, 30 listopada 1964.
- ⁷⁸ R. G. Powers, *Secrecy and Power...*, dz. cyt., s. 416.
- ⁷⁹ D. J. Garrow, *FBI and Martin Luther King Jr.*, dz. cyt., s. 121.
- ⁸⁰ Tamże, s. 121.
- ⁸¹ Wywiad Kinga z 1965 roku dla „Playboya”, cyt. w: M. E. Dyson, *I May Not Get There with You. The True Martin Luther King Jr.*, New York: Free Press, 2000, s. 231.
- ⁸² R. G. Powers, *Secrecy and Power...*, dz. cyt., s. 417.
- ⁸³ C. D. DeLoach, *Hoover’s FBI...*, dz. cyt., s. 203.
- ⁸⁴ Tamże.
- ⁸⁵ B. Hersh, *Bobby and J. Edgar...*, dz. cyt., s. 386.
- ⁸⁶ Tamże, s. 379.
- ⁸⁷ R. G. Powers, *Secrecy and Power...*, dz. cyt., s. 420.
- ⁸⁸ D. J. Garrow, *FBI and Martin Luther King Jr.*, dz. cyt., s. 134.
- ⁸⁹ Tamże, s. 124.

5. Zachodnie Dixie

- ⁹⁰ Dziennikarz James Dickenson, cyt. w: S. Leshner, *George Wallace. American Populist*, Cambridge, Mass.: Perseus, 1994, s. 395.

- ⁹¹ Tamże, s. 401.
- ⁹² M. Frady, *Wallace. The Classic Portrait of Alabama Governor George Wallace*, New York: New American Library, 1968, s. 253.
- ⁹³ D. T. Carter, *The Politics of Rage. George Wallace, the Origins of the New Conservatism, and the Transformation of American Politics*, Baton Rouge: Louisiana State University Press, 1995, s. 313.
- ⁹⁴ Tamże, s. 161.
- ⁹⁵ M. Frady, *Wallace...*, dz. cyt., s. 9.
- ⁹⁶ S. Lesher, *George Wallace...*, dz. cyt., s. 184.
- ⁹⁷ Tamże, s. 199.
- ⁹⁸ „New York Times”, 17 września 1963, s. 1, 25.
- ⁹⁹ R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, New York: Harper & Row, 1989, s. 357.
- ¹⁰⁰ King do Dana RATHERA, cyt. w: D. T. Carter, *Politics of Rage...*, dz. cyt., s. 156.
- ¹⁰¹ „Life”, 2 sierpnia 1968, s. 17–21.
- ¹⁰² „Wall Street Journal”, 7 grudnia 1967.
- ¹⁰³ D. T. Carter, *Politics of Rage...*, dz. cyt., s. 294.

6. Absolwent

- ¹⁰⁴ Scena „immatrykulacji” opiera się przede wszystkim na przeprowadzonych przez FBI przesłuchaniach Tomasa LAUA i innych byłych uczniów szkoły dla barmanów. Zob. w: „Investigation of International School of Bartending, Los Angeles, Attended by Galt from January 19, 1968, to March 2, 1968”, FBI, MURKIN Files, 2325, sec. 22, s. 135, 136. Skorzystałem tutaj również z: W. B. Huie, *He Slew the Dreamer. My Search, with James Earl Ray, for the Truth About the Murder of Martin Luther King*, New York: Delacorte Press, 1970, s. 117; G. Posner, *Killing the Dream. James Earl Ray and the Assassination of Martin Luther King Jr.*, New York: Random House, 1998, s. 214; J. E. Ray, „20,000 Words”, HSCA, *Appendix Reports*, t. 12.
- ¹⁰⁵ Opis hotelu Saint Francis na podst.: W. B. Huie, *He Slew the Dreamer...*, dz. cyt., s. 99, i mojej osobistej wizyty w dawnym hotelu – obecnie bloku mieszkalnym – na Hollywood Boulevard w Los Angeles.
- ¹⁰⁶ Istnieje wiele znamienych poszlak wskazujących na to, że Ray nadal raczył się amfetaminą po ucieczce z Jeff City, m.in. wiele miesięcy później znaleziono strzykawkę w wynajmowanym przez niego pokoju w londyńskim pensjonacie. Charles Stein, znajomy Raya z Los Angeles, powiedział FBI, że Ray prawdopodobnie był „ćpunem”. Zob.: przesłuchanie Steina przez FBI, 5 maja 1968, MURKIN Files, 2751–2925.
- ¹⁰⁷ Duży pomarańczowy neon przed hotelem Saint Francis jest wymieniony w wielu dokumentach i książkach, m.in. w: G. Posner, *Killing the Dream...*, dz. cyt., s. 210.
- ¹⁰⁸ G. Frank, *An American Death. The True Story of the Assassination of Dr. Martin Luther King Jr.*, Garden City, N.Y.: Doubleday, 1972, s. 168.
- ¹⁰⁹ J. McKinley, *Interview with James Earl Ray*, „Playboy”, wrzesień 1977, s. 174.
- ¹¹⁰ G. McMillan, *The Making of an Assassin. The Life of James Earl Ray*, Boston: Little, Brown, 1976, s. 267.
- ¹¹¹ J. McKinley, *Interview with James Earl Ray*, dz. cyt., s. 76.

- 112 O lekcjach tańca w National Dance Studio opowiadam przede wszystkim na podstawie raportu FBI „Investigation at National Dance Studio, Long Beach, California, Where Galt Attended Classes, December 1967 to February 1968”, a także protokołu FBI z przesłuchania Arvidsona, National Dance Studio, 13 kwietnia 1968, MURKIN Files, 1051–1175, sec. 9, s. 276, 277.
- 113 Moja relacja z wizyt Raya u Freemana jest oparta przede wszystkim na zapisie rozmów dziennikarza George’a McMillana z Freemanem, pudełko 9, McMillan Papers.
- 114 G. Frank, *American Death...*, dz. cyt., s. 308, a także: G. Posner, *Killing the Dream...*, dz. cyt., s. 196.
- 115 G. McMillan, *Making of an Assassin...*, dz. cyt., s. 275. Zob. także przesłuchanie Freemana przez FBI, 19 kwietnia 1968, biuro terenowe w Los Angeles.

7. To, co ukradkowe, jest zaraźliwe

- 116 R. Clark, *Crime in America. Observations on Its Nature, Causes, Prevention, and Control*, New York: Simon & Schuster, 1970, s. 151.
- 117 Moja rozmowa z Clarkiem, 9 października 2008, Nowy Jork.
- 118 R. Clark, *Crime in America...*, dz. cyt., s. 95.
- 119 Tamże, s. 8.
- 120 B. Hersh, *Bobby and J. Edgar. The Historic Face-Off Between the Kennedys and J. Edgar Hoover That Transformed America*, New York: Carroll & Graf, 2007, s. 486.
- 121 Zob.: C. Gentry, *J. Edgar Hoover. The Man and the Secrets*, New York: W. W. Norton, 1991, s. 599.
- 122 Tamże, s. 601.
- 123 R. Clark, *Crime in America...*, dz. cyt., s. 65.
- 124 Tamże, s. 271.
- 125 Tamże, s. 276.
- 126 C. Gentry, *J. Edgar Hoover...*, dz. cyt., s. 500.
- 127 C. D. DeLoach, *Hoover’s FBI. The Inside Story by Hoover’s Trusted Lieutenant*, Washington, D.C.: Regnery, 1997, s. 11.
- 128 Tamże, s. 111.
- 129 Tamże, s. 24.
- 130 Tamże, s. 202, 203.
- 131 Tamże, s. 200.
- 132 D. J. Garrow, *The FBI and Martin Luther King Jr. From „Solo” to Memphis*, New York: W. W. Norton, 1981, s. 184.
- 133 Tamże.
- 134 Tamże.

8. Pełen jadu stentorowy głos

- 135 G. Posner, *Killing the Dream. James Earl Ray and the Assassination of Martin Luther King Jr.*, New York: Random House, 1998, s. 194.
- 136 D. T. Carter, *The Politics of Rage. George Wallace, the Origins of the New Conservatism, and the Transformation of American Politics*, Baton Rouge: Louisiana State University Press, 1995, s. 310.

- 137 Tamże, s. 311.
- 138 Relacja z wiecu Wallace'a w Burbank przede wszystkim według: D. T. Carter, *Politics of Rage...*, dz. cyt., s. 314, 315.
- 139 „New Republic”, 9 listopada 1968.
- 140 S. Leshner, *George Wallace. American Populist*, Cambridge, Mass.: Perseus, 1994, s. 410.
- 141 Korespondencja Raya przedrukowana w: HSCA, *Appendix Reports*, t. 13, s. 252.
- 142 List Raya, tamże, t. 4, s. 116.
- 143 Ray prawdopodobnie czytał „Thunderbolta” podczas pobytu w więzieniu; po zamachu na Kinga zatrudnił J. B. Stonera jako swojego obrońcę, a jego brat Jerry Ray służył adwokatowi za ochroniarza.
- 144 Zob.: D. T. Carter, *Politics of Rage...*, dz. cyt., s. 165.
- 145 Tamże, s. 166.
- 146 S. Leshner, *George Wallace...*, dz. cyt., s. 301.
- 147 G. McMillan, *The Making of an Assassin. The Life of James Earl Ray*, Boston: Little, Brown, 1976, s. 285.
- 148 W. B. Huie, *He Slew the Dreamer. My Search, with James Earl Ray, for the Truth About the Murder of Martin Luther King*, New York: Delacorte Press, 1970, s. 99.
- 149 Tamże, s. 110.
- 150 Moja relacja z incydentu w Rabbit's Foot opiera się głównie na przesłuchaniach naocznych świadków, zwłaszcza Bo Del Monte, przez FBI, 22 kwietnia 1968, MLK Exhibit F-168, w: HSCA, *Appendix Reports*, t. 4, s. 122. Zob. także: G. Posner, *Killing the Dream...*, dz. cyt., s. 215–217; W. B. Huie, *He Slew the Dreamer...*, dz. cyt., s. 109–112. Sam Ray omawia to zdarzenie, w dwóch różnych wersjach, w: tegoż, *Tennessee Waltz. The Making of a Political Prisoner*, St. Andrews, Tennessee: Saint Andrew's Press, 1987, i tegoż, *Who Killed Martin Luther King? The True Story by the Alleged Assassin*, New York: Marlowe, 1992.

9. Czerwone goździki

- 151 O sztucznych goździkach pisze Coretta Scott King w swoich wspomnieniach: tejeż, *My Life with Martin Luther King Jr.*, New York: Holt, Rinehart, and Winston, 1969, s. 308.
- 152 D. J. Garrow, *Bearing the Cross. Martin Luther King Jr. and the Southern Christian Leadership Conference*, New York: William Morrow, 1986, s. 588.
- 153 T. Branch, *At Canaan's Edge. America in the King Years, 1965–68*, New York: Simon & Schuster, 2006, s. 653.
- 154 Tamże, s. 678.
- 155 M. E. Dyson, *I May Not Get There with You. The True Martin Luther King Jr.*, New York: Free Press, 2000, s. 162.
- 156 William Rutherford, cyt. w: D. J. Garrow, *Bearing the Cross...*, dz. cyt., s. 617.
- 157 M. E. Dyson, *I May Not Get There with You...*, dz. cyt., s. 212, 213.
- 158 Tamże, s. 210.
- 159 Tamże, s. 276.
- 160 C. S. King, *My Life with Martin Luther King Jr.*, dz. cyt., s. 303.

¹⁶¹ M. E. Dyson, *I May Not Get There with You...*, dz. cyt., s. 214.

10. Boże Narodzenie na pomarańczowo

¹⁶² Protokół FD-302, przesłuchanie Marie Martin (Tomaso), przeprowadzone 13 kwietnia 1968 roku przez agentów specjalnych Williama Slicksa i Richarda Rossa.

¹⁶³ Tamże.

¹⁶⁴ O znajomości Charlesa Steina z Rayem piszę przede wszystkim na podstawie wstępnego przesłuchania Steina przez FBI 13 kwietnia 1968 roku, przeprowadzonego przez agentów specjalnych Slicksa i Rossa poza biurem terenowym w Los Angeles, a także właściwego przesłuchania 15 kwietnia 1968 roku. 13 kwietnia FBI przesłuchało również Ritę Stein (MURKIN Files, 1051–1175, sec. 9, s. 270), a 27 kwietnia matkę Steina (MURKIN Files, 3762, sec. 45, s. 43).

¹⁶⁵ Protokół FD-302, kolejne przesłuchanie Marie Martin, 14 kwietnia 1968.

¹⁶⁶ Żądanie Raya, aby Charles Stein, jego siostra i kuzynka pojechali z nim do siedziby Wallace'a i wpisali się na listę, pojawia się w protokołach przesłuchań Rity Stein, Charlesa Steina i Marie Martin.

¹⁶⁷ G. McMillan, *The Making of an Assassin. The Life of James Earl Ray*, Boston: Little, Brown, 1976, s. 280.

¹⁶⁸ G. Frank, *An American Death. The True Story of the Assassination of Dr. Martin Luther King Jr.*, Garden City, N.Y.: Doubleday, 1972, s. 165.

¹⁶⁹ Relacja z podróży do Nowego Orleanu przede wszystkim na podst.: „Analysis of James Earl Ray's Trip to New Orleans, December 15–December 21, 1967”, HSCA, *Appendix Reports*, t. 13, s. 268, 269.

¹⁷⁰ J. E. Ray, *Tennessee Waltz. The Making of a Political Prisoner*, St. Andrews, Tennessee: Saint Andrew's Press, 1987, s. 65.

¹⁷¹ G. Frank, *American Death...*, dz. cyt., s. 166.

¹⁷² G. Posner, *Killing the Dream. James Earl Ray and the Assassination of Martin Luther King Jr.*, New York: Random House, 1998, s. 206.

¹⁷³ J. E. Ray, „20,000 Words”, HSCA, *Appendix Reports*, t. 12, cyt. w: W. B. Huie, *He Slew the Dreamer. My Search, with James Earl Ray, for the Truth About the Murder of Martin Luther King*, New York: Delacorte Press, 1970, s. 105.

¹⁷⁴ Tamże.

¹⁷⁵ S. Leshner, *George Wallace. American Populist*, Cambridge, Mass.: Perseus, 1994, s. 400.

¹⁷⁶ Rozmowa Williama Bradforda Huie z Kossem w: W. B. Huie, *He Slew the Dreamer...*, dz. cyt., s. 114–116.

¹⁷⁷ Tamże.

¹⁷⁸ Tamże.

11. Chodzące myszołowy

¹⁷⁹ Pisząc o śmierci Roberta Walkera i Echola Cole'a, opierałem się przede wszystkim na artykule z „Memphis Commercial Appeal”, 2 lutego 1968. Zob. także: M. K. Honey, *Going Down Jericho Road. The Memphis Strike, Martin Luther King's Last Campaign*, New York: W. W. Norton, 2007, s. 1, 2; J. T. Beifuss, *At the River I Stand. Memphis, the 1968 Strike, and Martin Luther King*, Memphis: B & W Books, 1985, s. 30; T. Branch, *At Canaan's Edge. America in the King Years, 1965–68*, New York: Simon & Schuster, 2006, s. 684, 685.

- ¹⁸⁰ M. K. Honey, *Going Down Jericho Road...*, dz. cyt., s. 2.
- ¹⁸¹ „Memphis Commercial Appeal”, 2 lutego 1968.
- ¹⁸² T. Branch, *At Canaan’s Edge...*, dz. cyt., s. 685.
- ¹⁸³ P. Guralnick, *Careless Love. The Unmaking of Elvis Presley*, Boston: Back Bay Books, 1999, s. 288. Zob. także: T. Branch, *At Canaan’s Edge...*, dz. cyt., s. 685.
- ¹⁸⁴ A. Goldman, *Elvis*, New York: McGraw-Hill, 1981, s. 404.
- ¹⁸⁵ J. T. Beifuss, *At the River I Stand...*, dz. cyt., s. 40.
- ¹⁸⁶ Życiorys Loeba przedstawiono w długim, dwuczęściowym artykule, który ukazał się na łamach czasopisma „Memphis” w styczniu i lutym 1980 roku.
- ¹⁸⁷ Dziennikarz „Memphis Commercial Appeal” Joe Sweat, cyt. w: M. K. Honey, *Going Down Jericho Road...*, dz. cyt., s. 119.
- ¹⁸⁸ G. Wills, *Martin Luther King Is Still on the Case*, „Esquire”, sierpień 1968, przedruk w: *The New Journalism*, ed. Tom Wolfe, London: Picador, 1996, s. 392.
- ¹⁸⁹ M. K. Honey, *Going Down Jericho Road...*, dz. cyt., s. 117.
- ¹⁹⁰ Dobry szkic biograficzny dotyczący wczesnego okresu zaangażowania Lawsona w ruch praw obywatelskich zob. w: D. Halberstam, *The Children*, New York: Random House, 1998.
- ¹⁹¹ Lawson, cyt. w: M. K. Honey, *Going Down Jericho Road...*, dz. cyt., s. 211.

12. Na balkonie

- ¹⁹² G. Frank, *An American Death. The True Story of the Assassination of Dr. Martin Luther King Jr.*, Garden City, N.Y.: Doubleday, 1972, s. 90.
- ¹⁹³ Tamże, s. 91.
- ¹⁹⁴ Anegdota o podróży Kinga i Abernathy’ego do Acapulco na podst.: tamże, s. 91, 92, a także zeznań Abernathy’ego przed HSCA, t. 1, s. 33, 34.
- ¹⁹⁵ R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, New York: Harper & Row, 1989, s. 478.
- ¹⁹⁶ Zob.: T. Branch, *At Canaan’s Edge. America in the King Years, 1965–68*, New York: Simon & Schuster, 2006, s. 708.
- ¹⁹⁷ G. Frank, *American Death...*, dz. cyt., s. 92.

13. Twarze to moja specjalność

- ¹⁹⁸ M. Maltz, *Psycho-Cybernetics. A New Technique for Using Your Subconscious Power*, Englewood Cliffs, N.J.: Prentice-Hall, 1960, s. 17.
- ¹⁹⁹ Tamże, s. 37.
- ²⁰⁰ Tamże, s. 169.
- ²⁰¹ Tamże, s. vii, viii.
- ²⁰² Wizyty Raya w gabinecie Hadleya są opisane w protokole ze wstępnego przesłuchania Hadleya przeprowadzonego 2 października 1968 roku poza biurem terenowym w Los Angeles. Zob. także: W. B. Huie, *He Slew the Dreamer. My Search, with James Earl Ray, for the Truth About the Murder of Martin Luther King*, New York: Delacorte Press, 1970, s. 119–121; G. McMillan, *The Making of an Assassin. The Life of James Earl Ray*, Boston: Little, Brown, 1976, s. 285, 286; G. Frank, *An American Death. The*

True Story of the Assassination of Dr. Martin Luther King Jr., Garden City, N.Y.: Doubleday, 1972, s. 311; wersja samego Raya w: tegoż, *Tennessee Waltz. The Making of a Political Prisoner*, St. Andrews, Tennessee: Saint Andrew's Press, 1987.

²⁰³ J. E. Ray, *Tennessee Waltz...*, dz. cyt., s. 68.

²⁰⁴ Tamże.

²⁰⁵ Tamże.

²⁰⁶ Hadley, cyt. w: W. B. Huie, *He Slew the Dreamer...*, dz. cyt., s. 121.

²⁰⁷ T. Branch, *At Canaan's Edge. America in the King Years, 1965–68*, New York: Simon & Schuster, 2006, s. 717.

²⁰⁸ Wypowiedzi Kinga przytoczono w „Los Angeles Times” z 18 marca 1968, a także w: W. B. Huie, *He Slew the Dreamer...*, dz. cyt., s. 123.

²⁰⁹ „Investigation at St. Francis Hotel, Hollywood, California”, zebrane przez biuro terenowe FBI w Los Angeles. Oparłem się tutaj na protokole FD-302 z przesłuchania menedżera hotelu Saint Francis Allana O. Thompsona, przeprowadzonego 12 kwietnia 1968 roku przez agenta specjalnego Thomasa G. Mansfielda.

14. Coś wisi w powietrzu

²¹⁰ Moja relacja z przemówienia wygłoszonego przez Kinga 18 marca w Memphis opiera się na artykule z „Memphis Commercial Appeal”, materiale filmowym zamieszczonym w filmie dokumentalnym PBS *At the River I Stand* oraz relacjach z drugiej ręki w: M. K. Honey, *Going Down Jericho Road. The Memphis Strike, Martin Luther King's Last Campaign*, New York: W. W. Norton, 2007, s. 296–303; J. T. Beifuss, *At the River I Stand. Memphis, the 1968 Strike, and Martin Luther King*, Memphis: B & W Books, 1985, s. 193–196.

²¹¹ Mój skrócony opis historii w Lorraine w dużym stopniu opiera się na stronie internetowej National Civil Rights Museum, wycinkach z „Memphis Commercial Appeal” i książce: M. K. Honey, *Going Down Jericho Road...*, dz. cyt., s. 442.

²¹² G. Wills, *Martin Luther King Is Still on the Case*, „Esquire”, sierpień 1968, przedruk w: *The New Journalism*, ed. Tom Wolfe, London: Picador, 1996, s. 395.

²¹³ Zob. Abernathy o motelu Lorraine, HSCA, *Appendix Reports*, t. 1, s. 32.

²¹⁴ A. Young, *An Easy Burden. The Civil Rights Movement and the Transformation of America*, New York: HarperCollins, 1996, s. 460.

²¹⁵ Moja relacja z pobytu Raya w motelu Flamingo opiera się na następujących źródłach: W. B. Huie, *He Slew the Dreamer. My Search, with James Earl Ray, for the Truth About the Murder of Martin Luther King*, New York: Delacorte Press, 1970, s. 130, 131; G. Posner, *Killing the Dream. James Earl Ray and the Assassination of Martin Luther King Jr.*, New York: Random House, 1998, s. 219; G. McMillan, *The Making of an Assassin. The Life of James Earl Ray*, Boston: Little, Brown, 1976, s. 289; J. E. Ray, *Tennessee Waltz. The Making of a Political Prisoner*, St. Andrews, Tennessee: Saint Andrew's Press, 1987, s. 70; i na mojej osobistej wizycie w Selmie.

²¹⁶ M. K. Honey, *Going Down Jericho Road...*, dz. cyt., s. 323.

²¹⁷ J. T. Beifuss, *At the River I Stand...*, dz. cyt., s. 205.

²¹⁸ Tamże, s. 203.

²¹⁹ M. K. Honey, *Going Down Jericho Road...*, dz. cyt., s. 309.

- ²²⁰ Mój opis kamienicy czynszowej Raya w Atlancie opiera się na kilku artykułach z „Atlanta Constitution” oraz na protokołach FD-302 z przesłuchania właściciela czynszówki Jimmiego Garnera przeprowadzonych 14 i 15 kwietnia 1968 roku przez agentów specjalnych Johna Ogdena i Rogera Kaasa. Zob. także: W. B. Huie, *He Slew the Dreamer...*, dz. cyt., s. 132.
- ²²¹ Reed, cyt. w: T. Horwitz, *Confederates in the Attic. Dispatches from the Unfinished Civil War*, New York: Vintage Books, 1998, s. 283.
- ²²² J. E. Ray, *Who Killed Martin Luther King? The True Story by the Alleged Assassin*, New York: Marlowe, 1992, s. 89.
- ²²³ Protokół FD-302 z przesłuchania Garnera w biurze terenowym FBI w Atlancie.
- ²²⁴ C. Blair Jr., *The Strange Case of James Earl Ray. The Man Who Murdered Martin Luther King*, New York: Bantam Books, 1969, s. 139.
- ²²⁵ J. E. Ray, *Who Killed Martin Luther King?...*, dz. cyt., s. 90.
- ²²⁶ Opis zaznaczonych miejsc na planie Atlanty należącym do Raya znajduje się w raporcie FBI, MURKIN Files, 4143, sec. 52, s. 34. Zob. także: G. Frank, *An American Death. The True Story of the Assassination of Dr. Martin Luther King Jr.*, Garden City, N.Y.: Doubleday, 1972, s. 172, i G. Posner, *Killing the Dream. James Earl Ray and the Assassination of Martin Luther King Jr.*, New York: Random House, 1998, s. 220.

15. „Martin Luther King jest skończony”

- ²²⁷ D. J. Garrow, *Bearing the Cross. Martin Luther King Jr. and the Southern Christian Leadership Conference*, New York: William Morrow, 1986, s. 609.
- ²²⁸ G. D. McKnight, *The Last Crusade. Martin Luther King Jr., the FBI, and the Poor People’s Campaign*, Boulder, Colo.: Westview Press, 1998, s. 66.
- ²²⁹ J. T. Beifuss, *At the River I Stand. Memphis, the 1968 Strike, and Martin Luther King*, Memphis: B & W Books, 1985, s. 220.
- ²³⁰ „Memphis Press-Scimitar”, 29 marca 1968, s. 15.
- ²³¹ Thomas, cyt. w: B. G. Bond, J. Sherman, *Memphis in Black and White*, Charleston, S.C.: Arcadia, 2003, s. 123.
- ²³² M. K. Honey, *Going Down Jericho Road. The Memphis Strike, Martin Luther King’s Last Campaign*, New York: W. W. Norton, 2007, s. 349.
- ²³³ J. T. Beifuss, *At the River I Stand...*, dz. cyt., s. 225.
- ²³⁴ Tamże, s. 227.
- ²³⁵ M. K. Honey, *Going Down Jericho Road...*, dz. cyt., s. 366.
- ²³⁶ Holloman, cyt. w: „Memphis Commercial Appeal”, 29 marca 1968.
- ²³⁷ D. J. Garrow, *Bearing the Cross...*, dz. cyt., s. 611.
- ²³⁸ M. K. Honey, *Going Down Jericho Road...*, dz. cyt., s. 367.
- ²³⁹ D. J. Garrow, *Bearing the Cross...*, dz. cyt., s. 614.
- ²⁴⁰ R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, New York: Harper & Row, 1989, s. 420. Zob. także: D. J. Garrow, *Bearing the Cross...*, dz. cyt., s. 612; T. Branch, *At Canaan’s Edge. America in the King Years, 1965–68*, New York: Simon & Schuster, 2006, s. 734.

16. Rozgrywający

- ²⁴¹ Moja relacja z wizyty Galta w sklepie żelaznym Long-Lewis opiera się na wstępnym przesłuchaniu sprzedawcy Mike'a Koppa 8 kwietnia 1968, FBI, MURKIN Files, 2323, sec. 21, s. 143, 144.
- ²⁴² Halter, cyt. w: D. J. Garrow, *The FBI and Martin Luther King Jr. From „Solo” to Memphis*, New York: W. W. Norton, 1981, s. 196.
- ²⁴³ Sullivan do Haltera, notatka służbowa, 28 marca 1968, akta FBI na temat strajku śmieciarezy w Memphis, dok. 167.
- ²⁴⁴ G. C. Moore do Sullivana, notatka służbowa, 29 marca 1968, cyt. w: M. Friedly, D. Gallen, *Martin Luther King Jr. The FBI File*, New York: Carroll & Graf, 1993, s. 575, 576.
- ²⁴⁵ Sullivan do DeLoacha, notatka służbowa, 20 marca 1968, cyt. w: tamże, s. 570.
- ²⁴⁶ „Memphis Commercial Appeal”, 31 marca 1968.
- ²⁴⁷ Artykuł „Dallas Morning News” przedrukowany w: „Memphis Commercial Appeal”, 2 kwietnia 1968, s. 6.
- ²⁴⁸ Artykuł z „St. Louis Globe-Democrat” przytoczony w: M. K. Honey, *Going Down Jericho Road. The Memphis Strike, Martin Luther King's Last Campaign*, New York: W. W. Norton, 2007, s. 364.
- ²⁴⁹ Materiał filmowy o senatorze Robercie Byrdzie zamieszczony w filmie dokumentalnym Insignia Films *Roads to Memphis*, wyprodukowanym dla programu PBS *American Experience*, WGBH, Boston.
- ²⁵⁰ „New York Times”, 31 marca 1968, s. 46.
- ²⁵¹ „Memphis Commercial Appeal”, 30 marca 1968, s. 1.
- ²⁵² J. T. Beifuss, *At the River I Stand. Memphis, the 1968 Strike, and Martin Luther King*, Memphis: B & W Books, 1985, s. 253 – zacytowane są tam słowa Invadera Calvina Taylora: „Jest doktor King. Wyszedł spod prysznica”; T. Branch, *At Canaan's Edge. America in the King Years, 1965–68*, New York: Simon & Schuster, 2006, s. 737 – Branch mówi: „Właśnie wtedy wyszedł King, zapinając koszulę”.
- ²⁵³ M. K. Honey, *Going Down Jericho Road...*, dz. cyt., s. 373.
- ²⁵⁴ Mój opis rozmowy w apartamencie hotelu Rivermont między Kingiem a młodymi Invaders opiera się przede wszystkim na wypowiedziach ustnych spisanych w: J. T. Beifuss, *At the River I Stand...*, dz. cyt., s. 254.
- ²⁵⁵ Tamże.
- ²⁵⁶ Mój opis wizyty Raya w sklepie sportowym Aeromarine opiera się przede wszystkim na protokole z przesłuchań przeprowadzonych 5 kwietnia 1968 roku przez agentów specjalnych Neila Shanahana i innych z biura terenowego FBI w Birmingham. Wśród przesłuchanych byli ekspedienci U. L. Baker i Don Wood, a także klient Aeromarine John DeShazo.
- ²⁵⁷ Cytat z wypowiedzi Kinga wygłoszonej na konferencji prasowej w Rivermont zaczerpnąłem z materiałów filmowych przechowywanych w Sanitation Strike Collection, Memphis Multi-Media Archival Project, 29 marca 1968, rolki 35–37.
- ²⁵⁸ R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, New York: Harper & Row, 1989, s. 422.
- ²⁵⁹ Lee, cyt. w: C. S. King, *My Life with Martin Luther King Jr.*, New York: Holt, Rinehart, and Winston, 1969, s. 311.
- ²⁶⁰ R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, dz. cyt., s. 422.
- ²⁶¹ Tamże.
- ²⁶² Kolację szczegółowo opisuje Abernathy w: *And the Walls Came Tumbling Down*, dz. cyt., s. 423, 424. Zob. także rozmowę Rainesa z Abernathym w: H. Raines, *My Soul Is Rested. Movement Days in the*

Deep South Remembered, New York: G. P. Putnam's Sons, 1977, s. 466, 467; D. J. Garrow, *Bearing the Cross. Martin Luther King Jr. and the Southern Christian Leadership Conference*, New York: William Morrow, 1986, s. 615; T. Branch, *At Canaan's Edge...*, dz. cyt., s. 741.

²⁶³ Opis drugiej wizyty Raya w Aeromarine na podstawie wspomnianych przesłuchań pracowników sklepu przeprowadzonych przez FBI 5 kwietnia 1968 roku w Birmingham.

²⁶⁴ Materiały firmy Remington na temat charakterystyki gamemastera 760 cyt. w: W. B. Huie, *He Slew the Dreamer. My Search, with James Earl Ray, for the Truth About the Murder of Martin Luther King*, New York: Delacorte Press, 1970, s. 138.

²⁶⁵ Specyfikacja redfielda pochodzi z materiałów firmowych przytoczonych w: G. McMillan, *The Making of an Assassin. The Life of James Earl Ray*, Boston: Little, Brown, 1976, s. 292, 293.

17. Losy ruchu zależą od Memphis

²⁶⁶ James Orange, cyt. w: M. K. Honey, *Going Down Jericho Road. The Memphis Strike, Martin Luther King's Last Campaign*, New York: W. W. Norton, 2007, s. 381.

²⁶⁷ T. Branch, *At Canaan's Edge. America in the King Years, 1965–68*, New York: Simon & Schuster, 2006, s. 742.

²⁶⁸ Tamże.

²⁶⁹ D. J. Garrow, *Bearing the Cross. Martin Luther King Jr. and the Southern Christian Leadership Conference*, New York: William Morrow, 1986, s. 616.

²⁷⁰ Mój opis tego sporu i nagłego opuszczenia przez Kinga zebrania SCLC opiera się przede wszystkim na: R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, New York: Harper & Row, 1989, s. 425–427.

²⁷¹ Tamże. Zob. także: T. Branch, *At Canaan's Edge...*, dz. cyt., s. 743.

²⁷² R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, dz. cyt., s. 426.

²⁷³ A. Young, *An Easy Burden. The Civil Rights Movement and the Transformation of America*, New York: HarperCollins, 1996, s. 459.

²⁷⁴ T. Branch, *At Canaan's Edge...*, dz. cyt., s. 744.

²⁷⁵ Tamże. Zob. także: D. J. Garrow, *Bearing the Cross...*, dz. cyt., s. 617.

²⁷⁶ Kazanie Kinga streszczone według „Washington Post”, 1 kwietnia 1968. Zob. także: D. J. Garrow, *Bearing the Cross...*, dz. cyt., s. 618; T. Branch, *At Canaan's Edge...*, dz. cyt., s. 745; N. Kotz, *Judgment Days. Lyndon Baines Johnson, Martin Luther King Jr., and the Laws That Changed America*, Boston: Houghton Mifflin, 2005, s. 409.

²⁷⁷ N. Kotz, *Judgment Days...*, dz. cyt., s. 409.

²⁷⁸ D. J. Garrow, *Bearing the Cross...*, dz. cyt., s. 618.

²⁷⁹ D. K. Goodwin, *Lyndon Johnson and the American Dream*, New York: St. Martin's Press, 1976, s. 343.

²⁸⁰ N. Kotz, *Judgment Days...*, dz. cyt., s. 411.

²⁸¹ R. Dallek, *Flawed Giant. Lyndon Johnson and His Times, 1961–1973*, New York: Oxford University Press, 1998, s. 529, 530.

²⁸² T. Branch, *At Canaan's Edge...*, dz. cyt., s. 749.

18. Strzelanie do tarczy w Shiloh

- ²⁸³ M. Maltz, *Psycho-Cybernetics. A New Technique for Using Your Subconscious Power*, Englewood Cliffs, N.J.: Prentice-Hall, 1960, s. 37.
- ²⁸⁴ Przesłuchanie Annie Estelle Peters, kierowniczkii pralni Piedmont, przeprowadzone 16 kwietnia 1968 roku przez agentów specjalnych Charlesa Rose'a i Roberta Kane'a. Dokumentację księgową pralni włączono do materiału dowodowego.
- ²⁸⁵ Ray twierdził, że zakopał rewolwer w piwnicy czynszówki, która miała gruntową podłogę – J. E. Ray, *Who Killed Martin Luther King? The True Story by the Alleged Assassin*, New York: Marlowe, 1992, s. 91.
- ²⁸⁶ Ray powiedział swoim pierwszym obrońcom, a także dziennikarzowi Williamowi Bradfordowi Huie, że zjechał na pobocze w pobliżu Corinth w Missisipi, żeby przetestować nową broń – zob. W. B. Huie, *He Slew the Dreamer. My Search, with James Earl Ray, for the Truth About the Murder of Martin Luther King*, New York: Delacorte Press, 1970, s. 140; G. McMillan, *The Making of an Assassin. The Life of James Earl Ray*, Boston: Little, Brown, 1976, s. 297, 298. Wiele lat później, przed HSCA, Ray zmienił wersję i powiedział, że chociaż rzeczywiście przejeżdżał przez Corinth, nie przestrzelił broni.
- ²⁸⁷ Bierce, cyt. w: T. Horwitz, *Confederates in the Attic. Dispatches from the Unfinished Civil War*, New York: Vintage Books, 1998, s. 166, 170.

19. Ostrzeżenie przed tornadem

- ²⁸⁸ C. S. King, *My Life with Martin Luther King Jr.*, New York: Holt, Rinehart, and Winston, 1969, s. 314.
- ²⁸⁹ R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, New York: Harper & Row, 1989, s. 428.
- ²⁹⁰ Tamże.
- ²⁹¹ M. K. Honey, *Going Down Jericho Road. The Memphis Strike, Martin Luther King's Last Campaign*, New York: W. W. Norton, 2007, s. 403.
- ²⁹² Tamże, s. 402.
- ²⁹³ „Memphis Commercial Appeal”, 4 kwietnia 1968, s. 1.
- ²⁹⁴ R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, dz. cyt., s. 429.
- ²⁹⁵ J. T. Beifuss, *At the River I Stand. Memphis, the 1968 Strike, and Martin Luther King*, Memphis: B & W Books, 1985, s. 269.
- ²⁹⁶ Wszeczhronna kariera Burcha jest znakomicie opisana w antologii: L. Burch, *Lucius. Writings of Lucius Burch*, Nashville: Cold Tree Press, 2003.
- ²⁹⁷ J. T. Beifuss, *At the River I Stand...*, dz. cyt., s. 271.
- ²⁹⁸ Tamże, s. 272.
- ²⁹⁹ Oficjalne komunikaty policji w Memphis, „Edward E. Redditt, MC, 37, Detective with the police in Memphis” i „Ptm. B. Richmond, MC, 27, Inspectional Bureau”, pudełko 5, Posner Papers, Gotlieb Center.
- ³⁰⁰ Tamże.
- ³⁰¹ Tamże.

20. Nie boję się żadnego człowieka

- ³⁰² Przesłuchanie recepcjonistki motelu New Rebel Henrietty Hagermaster przeprowadzone 11 kwietnia 1968 roku przez agenta specjalnego Johna Bauera z biura terenowego FBI w Memphis.

- ³⁰³ Ray powiedział dziennikarzowi Williamowi Bradfordowi Huie, że 3 kwietnia ostrzygł się i kupił zestaw do golenia w Rexall w Memphis. Nalepki z tej drogerii znaleziono później na wielu porzuconych przez niego przedmiotach – zob.: W. B. Huie, *He Slew the Dreamer. My Search, with James Earl Ray, for the Truth About the Murder of Martin Luther King*, New York: Delacorte Press, 1970, s. 142.
- ³⁰⁴ Wśród porzuconych rzeczy Raya znaleziono później kilka nieotwartych puszek piwa Schlitz i na podstawie banderoli z akcyzą ustalono, że zostały kupione w sklepie wędkarskim w Southaven na przedmieściach Memphis.
- ³⁰⁵ „Staff Report: Compilation of the Statements of James Earl Ray”, HSCA, *Appendix Reports*, t. 3, s. 226.
- ³⁰⁶ Przesłuchanie Hagermaster przeprowadzone 11 kwietnia 1968 roku przez agenta specjalnego Bauera.
- ³⁰⁷ R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, New York: Harper & Row, 1989, s. 430.
- ³⁰⁸ O przemówieniu Kinga w Mason Temple piszę na podstawie materiałów telewizyjnych, relacji prasowych i filmu dokumentalnego *At the River I Stand*. Skorzystałem także z takich pozycji jak: R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, dz. cyt., s. 433; T. Branch, *At Canaan's Edge. America in the King Years, 1965–68*, New York: Simon & Schuster, 2006, s. 757, 758; M. K. Honey, *Going Down Jericho Road. The Memphis Strike, Martin Luther King's Last Campaign*, New York: W. W. Norton, 2007, s. 415–424; J. T. Beifuss, *At the River I Stand. Memphis, the 1968 Strike, and Martin Luther King*, Memphis: B & W Books, 1985, s. 277–280.
- ³⁰⁹ M. K. Honey, *Going Down Jericho Road...*, dz. cyt., s. 424.
- ³¹⁰ Rozmowy ze strajkującymi pracownikami miejskiego przedsiębiorstwa oczyszczania obecnymi w Mason Temple zamieszczono w filmie dokumentalnym *Roads to Memphis* nakręconym przez Insignia Films dla programu PBS *American Experience*, WGBH, Boston.
- ³¹¹ M. K. Honey, *Going Down Jericho Road...*, dz. cyt., s. 425.
- ³¹² Przesłuchanie Webba przeprowadzone 11 kwietnia 1968 roku przez agenta specjalnego Bauera z biura terenowego FBI w Memphis.
- ³¹³ Rozmowa z Kylesem, *Roads to Memphis*.
- ³¹⁴ Moja rozmowa z Georgią Davis Powers, 7 maja 2008, Louisville.
- ³¹⁵ Tamże.
- ³¹⁶ G. D. Powers, *I Shared the Dream. The Pride, Passion, and Politics of the First Black Woman Senator from Kentucky*, Far Hills, N.J.: New Horizon Press, 1995, s. 227.

21. Pokój z widokiem

- ³¹⁷ Przesłuchanie Sadie McKay, pracownicy pralni w motelu New Rebel, przeprowadzone 11 kwietnia 1968 roku przez agenta specjalnego Johna Bauera z biura terenowego FBI w Memphis, Hughes Collection.
- ³¹⁸ Zeznania Jamesa Earla Raya przed HSCA, *Appendix Reports*, t. 1, s. 101.
- ³¹⁹ Rozmowa z bratem Jamesa Earla Raya Jerryem Rayem w: G. McMillan, *The Making of an Assassin. The Life of James Earl Ray*, Boston: Little, Brown, 1976, s. 299.
- ³²⁰ Mój opis kamienicy czynszowej Bessie Brewer opiera się na wielu źródłach, m.in. na zdjęciach policji z miejsca zdarzenia, relacjach prasowych z 1968 roku oraz przesłuchaniach Brewer i jej lokatorów, a także mojej osobistej wizycie w tym budynku, w którym obecnie znajduje się filia National Civil Rights Museum.
- ³²¹ Moja relacja z zameldowania się Raya w czynszówce Brewer opiera się przede wszystkim na przesłuchaniach Brewer, zwłaszcza na wstępnym przesłuchaniu przeprowadzonym 5 kwietnia 1968 roku

przez agenta specjalnego Roberta Boyle'a, Hughes Collection. Posłużyłem się także kilkoma komunikatami policji w Memphis: „Statement of Mrs. Bessie Ruth Brewer”, 4 kwietnia 1968; „Statement of Jewell G. Ray, Captain of the police in Memphis ”, 17 kwietnia 1968; „Statement of James Vincent Papi, Lieutenant with the Memphis Police Dept.”, 16 kwietnia 1968. Wreszcie opierałem się na swoich rozmowach z Jewellem Rayem 13 lutego 2009 roku i Jamesem Papią 2 marca 2009 roku.

³²² Przesłuchanie Stephensa przeprowadzone 4 kwietnia 1968 roku przez agentów specjalnych Johna Bauera i Stephena Darlingtona, Hughes Collection.

³²³ Przesłuchanie Grace Walden przeprowadzone 4 kwietnia 1968 roku przez agentów specjalnych Bauera i Darlingtona, Hughes Collection.

22. Mężczyzna w 5B

³²⁴ Moja relacja z ostatniego posiłku Kinga opiera się na: R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, New York: Harper & Row, 1989, s. 437. Zob. także: zeznania Abernathy'ego przed HSCA, *Appendix Reports*, t. 1, s. 32; wypowiedź ustna Abernathy'ego w: H. Raines, *My Soul Is Rested. Movement Days in the Deep South Remembered*, New York: G. P. Putnam's Sons, 1977, s. 468.

³²⁵ M. K. Honey, *Going Down Jericho Road. The Memphis Strike, Martin Luther King's Last Campaign*, New York: W. W. Norton, 2007, s. 432.

³²⁶ D. J. Garrow, *Bearing the Cross. Martin Luther King Jr. and the Southern Christian Leadership Conference*, New York: William Morrow, 1986, s. 622.

³²⁷ T. Branch, *At Canaan's Edge. America in the King Years, 1965–68*, New York: Simon & Schuster, 2006, s. 760.

³²⁸ M. K. Honey, *Going Down Jericho Road...*, dz. cyt., s. 432.

³²⁹ Fragment dotyczący zakupu przez Raya lornetki w sklepie sportowym York Arms jest oparty przede wszystkim na wstępnym przesłuchaniu Carpentera przeprowadzonym 5 kwietnia 1968 roku przez agentów specjalnych Roberta Goodwina i Ralpha Liewera. Opierałem się również na komunikacie policji w Memphis „Ralph Meredith Carpenter, Salesman, York Arms Company”, 9 kwietnia 1968, Hughes Collection.

³³⁰ Moja relacja o inwigilacji straży pożarnej przez Redditta i Richmonda jest oparta przede wszystkim na komunikatach policji w Memphis, „Edward E. Redditt, Detective with the police in Memphis ”, 10 kwietnia 1968; „Ptm. B. Richmond, Inspectional Bureau”, 9 kwietnia 1968, pudełko 5, Posner Papers, Gotlieb Center, a także na mojej rozmowie z Richmondem 30 grudnia 2009 roku.

³³¹ Moja rozmowa z Georgią Davis Powers, 7 maja 2008, Louisville, Ky.

³³² R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, dz. cyt., s. 438; D. J. Garrow, *Bearing the Cross...*, dz. cyt., s. 622.

³³³ Moja rozmowa z Georgią Davis Powers.

³³⁴ Tamże.

³³⁵ A. Young, *An Easy Burden. The Civil Rights Movement and the Transformation of America*, New York: HarperCollins, 1996, s. 463, 464.

³³⁶ Tamże, s. 464.

³³⁷ Copeland została przesłuchana przez agentów FBI w Memphis 5 kwietnia 1968 roku, FBI, MURKIN Files, ME, sub. D, sec. 1, s. 18.

- ³³⁸ Przesłuchanie Hurley przeprowadzone przez FBI 5 kwietnia 1968 roku, FBI, MURKIN Files, ME, sub. D, sec. 1, s. 3.
- ³³⁹ Szczegóły zachowania Raya w pokoju 5B opierają się przede wszystkim na wizji lokalnej przeprowadzonej przez funkcjonariuszy policji i śledczych FBI bezpośrednio po zamachu. Na podłodze znaleziono paski od jego lornetki; komoda została odsunięta od otwartego okna; w oknie stało krzesło z wysokim oparciem.
- ³⁴⁰ Moja relacja z ostatniej godziny życia Kinga opiera się na wielu źródłach, m.in.: R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, dz. cyt., s. 438, 439; D. J. Garrow, *Bearing the Cross...*, dz. cyt., s. 623; T. Branch, *At Canaan's Edge...*, dz. cyt., s. 765. Zob. także zeznania Abernathy'ego przed HSCA, *Appendix Reports*, t. 1, s. 30.
- ³⁴¹ G. Frank, *An American Death. The True Story of the Assassination of Dr. Martin Luther King Jr.*, Garden City, N.Y.: Doubleday, 1972, s. 66.
- ³⁴² Relacja Kylea na temat popołudnia spędzonego z Kingiem i Abernathym w Lorraine opiera się przede wszystkim na jego wypowiedziach z filmu dokumentalnego *Roads to Memphis* dla programu PBS *American Experience* nakręconego przez Insignia Films.
- ³⁴³ Komunikat policji w Memphis, „Ptm. B. Richmond, Inspectional Bureau”, 9 kwietnia 1968, pudełko 5, Posner Papers. Opierałem się również na raporcie Richmonda dla Wydziału Kryminalnego Policji w Memphis, datowanym na 4 kwietnia 1968 roku i podpisanym „W. B. Richmond”, Hughes Collection.
- ³⁴⁴ Przesłuchanie Loenneke'ego przeprowadzone 13 kwietnia 1968 roku przez agentów specjalnych Edwarda Quinna i Shieldsa Smitha, Hughes Collection. Posłużyłem się także komunikatem policji w Memphis „George Loenneke, Lieutenant at Fire Station #2”, pudełko 5, Posner Papers.
- ³⁴⁵ Przesłuchanie Stephensa przeprowadzone 4 kwietnia 1968 roku przez agentów specjalnych Johna Bauera i Stephena Darlingtona, Hughes Collection.

23. Oto stoję nad rzeką

- ³⁴⁶ D. J. Garrow, *Bearing the Cross. Martin Luther King Jr. and the Southern Christian Leadership Conference*, New York: William Morrow, 1986, s. 607.
- ³⁴⁷ Zob.: D. S. King, *Growing Up King. An Intimate Memoir*, New York: Warner Books, 2003, s. 34, 35.
- ³⁴⁸ Bailey, cyt. w: „Memphis Commercial Appeal”, 6 kwietnia 1968, s. 8.
- ³⁴⁹ Przesłuchanie Anschutz przeprowadzone 4 kwietnia 1968 roku przez agentów specjalnych Johna Bauera i Stephena Darlingtona, Hughes Collection.
- ³⁵⁰ Przesłuchanie Stephensa przeprowadzone 4 kwietnia 1968 roku przez agentów specjalnych Johna Bauera i Stephena Darlingtona, Hughes Collection.
- ³⁵¹ Ten fragment oparłem przede wszystkim na: R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, New York: Harper & Row, 1989, s. 440. Zob. także zeznania Abernathy'ego przed HSCA, *Appendix Reports*, t. 1, s. 20.
- ³⁵² W grudniu 2008 roku ten skrawek papieru znaleziony w kieszeni płaszcza Kinga po jego śmierci został wystawiony na aukcję w nowojorskim oddziale Sotheby's przez przyjaciela Kinga, aktora i piosenkarza Harry'ego Belafontego, o czym rozpisywały się media. Belafonte zadeklarował, że środki ze sprzedaży przeznaczy na cele charytatywne.
- ³⁵³ Opis ostatnich słów Kinga do jego współpracowników, wypowiedzianych z balkonu, opiera się na wielu źródłach. Zob.: A. Young, *An Easy Burden. The Civil Rights Movement and the Transformation of America*, New York: HarperCollins, 1996, s. 464; R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, dz. cyt., s. 440. Zob. także: D. J. Garrow, *Bearing the Cross...*, dz. cyt., s. 623; T. Branch, *At*

Canaan's Edge. America in the King Years, 1965–68, New York: Simon & Schuster, 2006, s. 766; G. Frank, *An American Death. The True Story of the Assassination of Dr. Martin Luther King Jr.*, Garden City, N.Y.: Doubleday, 1972, s. 73, 74; H. Raines, *My Soul Is Rested. Movement Days in the Deep South Remembered*, New York: G. P. Putnam's Sons, 1977, s. 469. Wykorzystałem również rozmowy z pastorem Billym Kylesem i Andrew Youngiem z filmu dokumentalnego *Roads to Memphis* nakręconego przez Insignia Films dla programu PBS *American Experience*, WGBH, Boston.

³⁵⁴ Moja rozmowa z Georgią Davis Powers, 7 maja 2008, Louisville, Ky.

³⁵⁵ Opis działań Raya w łazience zaczerpnąłem z wyjaśnień samego Jamesa Earla Raya (złożonych w 1969 roku w ramach ugody z prokuraturą), a także akt śledztwa policji w Memphis i FBI wszczętego natychmiast po zamachu i protokołów przesłuchań mieszkańców, Charliego Stephensa i Williego Anschutz. Niektóre ustalenia: okno łazienki wychodzące na Lorraine było uchylone, oderwana moskitiera leżała na dole; na ścianie pozostawiono odcisk dłoni; na wannie znaleziono zadrapania.

³⁵⁶ Szczegółowy opis łazienki w kamienicy czynszowej, obejmujący stan muszli klozetowej i wanny, opiera się przede wszystkim na dokumentacji fotograficznej wykonanej przez funkcjonariuszy policji z Memphis 4 i 5 kwietnia 1968 roku, Hughes Collection. Obejrzałem również zdjęcia łazienki zrobione przez fotografa z Memphis Ernesta Withersa, Withers Collection.

³⁵⁷ Komunikat policji w Memphis, „Ptm. B. Richmond, Inspectional Bureau”, 9 kwietnia 1968, pudełko 5, Posner Papers, Gotlieb Center.

³⁵⁸ Tamże.

³⁵⁹ Przesłuchanie Stephensa, 4 kwietnia 1968.

³⁶⁰ Tamże.

³⁶¹ Przesłuchanie Anschutz, 4 kwietnia 1968.

24. Jak u człowieka na krzyżu

³⁶² M. Frady, *Martin Luther King Jr. A Life*, New York: Viking Penguin, 2002, s. 205.

³⁶³ Moja relacja z momentu zamachu i wydarzeń rozgrywających się bezpośrednio po nim opiera się na kilkunastu źródłach takich jak fotografie, materiały prasowe, wypowiedzi ustne i oficjalne dokumenty. W największym stopniu posłużyłem się zeznaniami Abernathy'ego przed HSCA, *Appendix Reports*, t. 1, s. 20; wspomnieniami tegoż, R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, New York: Harper & Row, 1989, s. 440–442; wspomnieniami Younga, A. Young, *An Easy Burden. The Civil Rights Movement and the Transformation of America*, New York: HarperCollins, 1996, s. 464, 465; komunikatami policji w Memphis oraz protokołami z przeprowadzonych przez FBI przesłuchań świadków w motelu Lorraine, Hughes Collection. Przejrzałem również: „The Last Moments: Memphis, Tenn. April 4, 1968”, HSCA, *Final Assassinations Report*, s. 282–285.

³⁶⁴ R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, dz. cyt., s. 441.

³⁶⁵ Przesłuchanie Canipe'a, 5 kwietnia 1968, Hughes Collection.

³⁶⁶ R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, dz. cyt., s. 441.

³⁶⁷ G. Frank, *An American Death. The True Story of the Assassination of Dr. Martin Luther King Jr.*, Garden City, N.Y.: Doubleday, 1972, s. 82.

³⁶⁸ Rozmowa z Kylesem na antenie CNN, wyemitowana 4 kwietnia 2009 roku. Kyles mówi: „Wyjąłem mu z dłoni zgniecionego papierosa. Nie chciał, żeby dzieci widziały, że pali”. Zob. także: M. Frady, *Martin Luther King Jr.*, dz. cyt., s. 205.

³⁶⁹ Historia o tym, jak Louw wykonał swoje słynne na cały świat zdjęcie na balkonie, najlepiej opowiedziana w: G. Frank, *American Death...*, dz. cyt., s. 77–80.

- ³⁷⁰ M. K. Honey, *Going Down Jericho Road. The Memphis Strike, Martin Luther King's Last Campaign*, New York: W. W. Norton, 2007, s. 442.
- ³⁷¹ Nagrania dyspozytora policji w Memphis z 4 kwietnia 1968, Hughes Collection.
- ³⁷² G. Frank, *American Death...*, dz. cyt., s. 85, 86.
- ³⁷³ Tamże, s. 83.

25. Tej broni nie wolno dotykać

- ³⁷⁴ Moja relacja z wydarzeń w Canipe's Amusement Company opiera się przede wszystkim na wstępnym przesłuchaniu właściciela sklepu Guya Canipe'a oraz przesłuchaniach klientów Juliusa Grahama i Bernella Finleya 5 kwietnia 1968 roku. Dodatkowe szczegóły pochodzą z moich rozmów z emerytowanymi funkcjonariuszami policji w Memphis Jamesem Papią i Jewellem Rayem, którzy jako jedni z pierwszych znaleźli się w firmie Canipe'a.
- ³⁷⁵ Nagrania dyspozytora policji w Memphis z 4 kwietnia 1968, Hughes Collection.
- ³⁷⁶ Tamże.
- ³⁷⁷ Przesłuchanie Stephensa przeprowadzone 4 kwietnia 1968 roku przez agentów specjalnych Johna Bauera i Stephena Darlingtona, Hughes Collection.
- ³⁷⁸ Moja rozmowa z Georgią Davis Powers, 7 maja 2008, Louisville, Ky.
- ³⁷⁹ G. Frank, *An American Death. The True Story of the Assassination of Dr. Martin Luther King Jr.*, Garden City, N.Y.: Doubleday, 1972, s. 85.
- ³⁸⁰ Fragment dotyczący wydarzeń w karetce pogotowia w przeważającym stopniu opiera się na relacji przedstawionej w: R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, New York: Harper & Row, 1989, s. 442.
- ³⁸¹ Moja relacja ze wstępnego przesłuchania Jewella Raya na miejscu zdarzenia u Canipe'a i w kamienicy czynszowej Bessie Brewer opiera się przede wszystkim na mojej rozmowie z Rayem 13 lutego 2009 roku. Rozmawiałem również z emerytowanym funkcjonariuszem policji Jamesem Papią, który razem z Rayem dokonał oględzin miejsca zdarzenia. Przeczytałem też raporty obu funkcjonariuszy oraz protokoły przesłuchań Williego Anschutz, Charliego Stephensa i Bessie Brewer. Zob. także: G. Frank, *An American Death...*, dz. cyt., s. 98–103.

26. Przerwa, która miała się nigdy nie skończyć

- ³⁸² Wzmianka Coretty Scott King o telefonie od Jacksona z Memphis pojawia się w jej wspomnieniach: C. S. King, *My Life with Martin Luther King Jr.*, New York: Holt, Rinehart, and Winston, 1969, s. 318.
- ³⁸³ D. S. King, *Growing Up King. An Intimate Memoir*, New York: Warner Books, 2003, s. 48.
- ³⁸⁴ Tamże.
- ³⁸⁵ Fragment dotyczący prób ratowania Kingowi życia na oddziale intensywnej terapii szpitala Saint Joseph's opiera się na wielu źródłach, przede wszystkim na raportach funkcjonariuszy wydziału zabójstw (Hughes Collection), którzy zaraz po śmierci Kinga przesłuchali wielu lekarzy i wiele pielęgniarek z tego oddziału. Inne ważne źródła to wypowiedzi ustne doktora Fredericka Gioii i innych obecnych w tym dniu lekarzy spisane w: J. T. Beifuss, *At the River I Stand. Memphis, the 1968 Strike, and Martin Luther King*, Memphis: B & W Books, 1985, s. 297–299; wspomnienia Abernathy'ego: *And the Walls Came Tumbling Down*, New York: Harper & Row, 1989, s. 443, 444; przejmująca relacja w: G. Frank, *An American Death. The True Story of the Assassination of Dr. Martin Luther King Jr.*,

Garden City, N.Y.: Doubleday, 1972, s. 90, 93, 95, 96, 119, oraz moja rozmowa z doktorem Tedem Galyonem 30 grudnia 2009 roku.

- ³⁸⁶ R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, dz. cyt., s. 443.
- ³⁸⁷ Za fragment o doktorze Gioii i jego próbach ratowania Kinga winien jestem wdzięczność jego córce Dominique Gioii Skaggs, z którą rozmawiałem i korespondowałem.
- ³⁸⁸ R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, dz. cyt., s. 443. Zob. także: H. Raines, *My Soul Is Rested. Movement Days in the Deep South Remembered*, New York: G. P. Putnam's Sons, 1977, s. 471.
- ³⁸⁹ Moja relacja z „pościgu” na CB-radio usłyszanego przez Bradshawa opiera się przede wszystkim na nagraniu dyspozytora (Hughes Collection), a także aktach śledztwa policji w Memphis i biura terenowego FBI, dotyczącego rozmów przez CB-radio (Hughes Collection).
- ³⁹⁰ A. Young, *An Easy Burden. The Civil Rights Movement and the Transformation of America*, New York: HarperCollins, 1996, s. 466.
- ³⁹¹ Tamże.
- ³⁹² D. S. King, *Growing Up King...*, dz. cyt., s. 48.
- ³⁹³ Tamże.
- ³⁹⁴ M. Frady, *Jesse. The Life and Pilgrimage of Jesse Jackson*, New York: Simon & Schuster, 1996, s. 229.
- ³⁹⁵ Tamże.
- ³⁹⁶ Williams, cyt. w: K. R. Timmerman, *Shakedown. Exposing the Real Jesse Jackson*, Washington, D.C.: Regnery Publishing, 2002, s. 8.
- ³⁹⁷ Tamże, s. 7.
- ³⁹⁸ M. Frady, *Jesse...*, dz. cyt., s. 229.
- ³⁹⁹ K. R. Timmerman, *Shakedown...*, dz. cyt., s. 8.
- ⁴⁰⁰ R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, dz. cyt., s. 443.
- ⁴⁰¹ Tamże, s. 443.
- ⁴⁰² J. T. Beifuss, *At the River I Stand...*, dz. cyt., s. 300.
- ⁴⁰³ M. L. King Sr., *Daddy King. An Autobiography*, New York: William Morrow, 1980, s. 189.
- ⁴⁰⁴ Tamże, s. 187.
- ⁴⁰⁵ Tamże, s. 189.
- ⁴⁰⁶ Fragment ten opiera się na zeznaniach Arthura L. Murtagha przed HSCA, *Appendix Reports*, t. 6, s. 107, oraz zeznaniach Jamesa J. Rose'a, tamże, t. 6, s. 125–127.

27. Kilka minut i kilka kilometrów

- ⁴⁰⁷ Fragment dotyczący analizy przez policję w Memphis żartu z pościgiem przez CB-radio opiera się przede wszystkim na szesnastostronicowym raporcie „Dr. Martin Luther King Jr. Homicide #3367, Supplement #85, Re: C. B. Incident”, Hughes Collection. Funkcjonariusze prześwietlili prawdopodobnego winowajcę, wymienionego w raporcie nastoletniego entuzjastę CB-radio. Zob. także: HSCA, *Final Assassinations Report*, s. 383–385.
- ⁴⁰⁸ Dokładna trasa wyjazdu Raya z Memphis nie jest z całą pewnością ustalona, ale on sam konsekwentnie twierdził, że pojechał na południowy wschód w stronę Birmingham, a zatem najszybszą i najlepiej mu znaną trasą byłaby droga 78, przy której spał poprzedniej nocy – zob.: J. E. Ray, *Tennessee Waltz. The*

Making of a Political Prisoner, St. Andrews, Tennessee: Saint Andrew's Press, 1987, s. 80, a także zeznania Raya przed HSCA, *Appendix Reports*, t. 3, s. 240.

- ⁴⁰⁹ We wszystkich zeznaniach Ray konsekwentnie twierdził, że o śmierci Kinga dowiedział się z radia w samochodzie. FBI, które znalazło później jego porzuconego mustanga, ustaliło jednak, że radio było zepsute.
- ⁴¹⁰ Mój opis wydarzeń na lotnisku w Atlancie opiera się na relacji z dziennika: „Atlanta Constitution”, 5 kwietnia 1968, s. 1, oraz wspomnieniach Coretty Scott King: teźże, *My Life with Martin Luther King Jr.*, New York: Holt, Rinehart, and Winston, 1969, s. 319, 320.
- ⁴¹¹ Moja rozmowa z Clarkiem, 9 października 2008, Nowy Jork.
- ⁴¹² Rozmowę między Clarkiem i DeLoachem wspomina ten drugi w swojej książce: C. D. DeLoach, *Hoover's FBI. The Inside Story by Hoover's Trusted Lieutenant*, Washington, D.C.: Regnery, 1997, s. 224.
- ⁴¹³ Zeznania DeLoacha, HSCA, *Appendix Reports*, t. 7, s. 22.
- ⁴¹⁴ C. D. DeLoach, *Hoover's FBI...*, dz. cyt., s. 222.
- ⁴¹⁵ Tamże, s. 226.
- ⁴¹⁶ Moja rozmowa z Clarkiem.
- ⁴¹⁷ C. D. DeLoach, *Hoover's FBI...*, dz. cyt., s. 225.
- ⁴¹⁸ Szczegóły biograficzne dotyczące Jensena pochodzą przede wszystkim z nekrologu w „Memphis Commercial Appeal”, 22 marca 1992, a także zeznań Jensena przed HSCA, *Appendix Reports*, t. 6, s. 586, 587.
- ⁴¹⁹ C. D. DeLoach, *Hoover's FBI...*, dz. cyt., s. 225.
- ⁴²⁰ Fragment dotyczący analizy materiału dowodowego przez Jensena opiera się przede wszystkim na protokole FD-302 złożonym 4 i 5 kwietnia 1968 roku przez oficera prowadzącego Jensena i agenta specjalnego Roberta Fitzpatricka, którzy wymieniają i opisują wszystkie przedmioty znalezione w porzuconym tobołku (Hughes Collection).

28. Wszystko zniszczyli

- ⁴²¹ Mój opis reakcji Johnsona na zamach opiera się na wielu źródłach, m.in.: N. Kotz, *Judgment Days. Lyndon Baines Johnson, Martin Luther King Jr., and the Laws That Changed America*, Boston: Houghton Mifflin, 2005, s. 415; R. Dallek, *Flawed Giant. Lyndon Johnson and His Times, 1961–1973*, New York: Oxford University Press, 1998, s. 533; C. Risen, *A Nation on Fire. America in the Wake of the King Assassination*, Hoboken, N.J.: John Wiley & Sons, 2009, s. 40–42, 53, 54; J. A. Califano, *The Triumph and Tragedy of Lyndon Johnson*, New York: Simon & Schuster, 1991, s. 273–275. Szczególnie pomocne były tutaj materiały „The President's Appointment File, 4/3/68 to 4/11/68”, pudełko 95, Lyndon Baines Johnson Papers, Johnson Presidential Library.
- ⁴²² Notatka znajduje się w Johnson Presidential Library.
- ⁴²³ Johnson, cyt. w: C. Risen, *A Nation on Fire...*, dz. cyt., s. 42.
- ⁴²⁴ R. Dallek, *Flawed Giant...*, dz. cyt., s. 533.
- ⁴²⁵ Orędzie prezydenta po zamachu na doktora Martina Luthera Kinga juniora, Johnson Presidential Library.
- ⁴²⁶ H. Busby, *The Thirty-first of March. An Intimate Portrait of Lyndon Johnson's Final Days in Office*, New York: Farrar, Straus and Giroux, 2005, s. 236.
- ⁴²⁷ Tamże.

- 428 Notatka służbowa dyżurnego z nocy z 4 na 5 kwietnia 1968, Johnson Library.
- 429 Floyd McKissick, cyt. w: „Washington Post”, 5 kwietnia 1968, s. 1.
- 430 C. Risen, *A Nation on Fire...*, dz. cyt., s. 56.
- 431 Stokely Carmichael, cyt. w: B. W. Gilbert i in., *Ten Blocks from the White House. Anatomy of the Washington Riots of 1968*, New York: Frederick A. Praeger, 1968, s. 60, 61.
- 432 Church, cyt. w: raport UPI o dalekopisach w Białym Domu w nocy z 4 na 5 kwietnia 1968, Johnson Presidential Library.
- 433 Pani Johnson, cyt. w: R. Dallek, *Flawed Giant...*, dz. cyt., s. 533; C. Risen, *A Nation on Fire...*, dz. cyt., s. 54.
- 434 „Memphis Commercial Appeal”, 5 kwietnia 1968, s. 1.
- 435 „Memphis Press-Scimitar”, 5 kwietnia 1968, s. 1.
- 436 Blanchard, cyt. w: M. K. Honey, *Going Down Jericho Road. The Memphis Strike, Martin Luther King's Last Campaign*, New York: W. W. Norton, 2007, s. 440.
- 437 J. T. Beifuss, *At the River I Stand. Memphis, the 1968 Strike, and Martin Luther King*, Memphis: B & W Books, 1985, s. 300.
- 438 M. K. Honey, *Going Down Jericho Road...*, dz. cyt., s. 444.
- 439 J. T. Beifuss, *At the River I Stand...*, dz. cyt., s. 283.
- 440 M. K. Honey, *Going Down Jericho Road...*, dz. cyt., s. 441.
- 441 J. T. Beifuss, *At the River I Stand...*, dz. cyt., s. 303.
- 442 Tamże.
- 443 Dyrektor straży pożarnej i policji, cyt. w: „Memphis Commercial Appeal”, 5 kwietnia 1968, s. 1.
- 444 M. K. Honey, *Going Down Jericho Road...*, dz. cyt., s. 447.
- 445 J. T. Beifuss, *At the River I Stand...*, dz. cyt., s. 301.
- 446 M. K. Honey, *Going Down Jericho Road...*, dz. cyt., s. 437.
- 447 Ray, cyt. w: M. Ayton, *A Racial Crime. James Earl Ray and the Murder of Dr. Martin Luther King Jr.*, Las Vegas: ArcheBooks, 2005, s. 143. Zob. także: G. Frank, *An American Death. The True Story of the Assassination of Dr. Martin Luther King Jr.*, Garden City, N.Y.: Doubleday, 1972, s. 390.
- 448 J. E. Ray, „20,000 Words”, HSCA, *Appendix Reports*, t. 12, cyt. w: W. B. Huie, *He Slew the Dreamer. My Search, with James Earl Ray, for the Truth About the Murder of Martin Luther King*, New York: Delacorte Press, 1970, s. 145.
- 449 J. E. Ray, *Who Killed Martin Luther King? The True Story by the Alleged Assassin*, New York: Marlowe, 1992, s. 97.
- 450 Tenze, *Tennessee Waltz. The Making of a Political Prisoner*, St. Andrews, Tennessee: Saint Andrew's Press, 1987, s. 80.

29. Krew ma w sobie moc

- 451 Hosea Williams, cyt. w: G. D. McKnight, *The Last Crusade. Martin Luther King Jr., the FBI, and the Poor People's Campaign*, Boulder, Colo.: Westview Press, 1998, s. 108.
- 452 G. Wills, *Martin Luther King Is Still on the Case*, „Esquire”, sierpień 1968, przedruk w: *The New Journalism*, ed. Tom Wolfe, London: Picador, 1996, s. 393.

- 453 A. Young, *An Easy Burden. The Civil Rights Movement and the Transformation of America*, New York: HarperCollins, 1996, s. 467.
- 454 Abernathy przed HSCA, *Appendix Reports*, t. 1, s. 19.
- 455 Bevel, cyt. w: A. Young, *Easy Burden...*, dz. cyt., s. 468.
- 456 Tamże.
- 457 G. D. Powers, *I Shared the Dream. The Pride, Passion, and Politics of the First Black Woman Senator from Kentucky*, Far Hills, N.J.: New Horizon Press, 1995, s. 233.
- 458 M. Frady, *Jesse. The Life and Pilgrimage of Jesse Jackson*, New York: Simon & Schuster, 1996, s. 232.
- 459 G. Frank, *An American Death. The True Story of the Assassination of Dr. Martin Luther King Jr.*, Garden City, N.Y.: Doubleday, 1972, s. 109.
- 460 Young, cyt. w: M. Frady, *Jesse...*, dz. cyt., s. 232.
- 461 Tamże.
- 462 „Atlanta Constitution”, 5 kwietnia 1968, s. 1.
- 463 K. Johnson, *Dr. King Leaves Little – He Gave It All Away*, „Atlanta Constitution”, 13 maja 1968, s. 1.
- 464 M. K. Honey, *Going Down Jericho Road. The Memphis Strike, Martin Luther King’s Last Campaign*, New York: W. W. Norton, 2007, s. 452.
- 465 „Memphis Commercial Appeal”, 2 kwietnia 1978.
- 466 Belafonte, cyt. w: C. S. King, *My Life with Martin Luther King Jr.*, New York: Holt, Rinehart, and Winston, 1969, s. 322.
- 467 Tamże, s. 321.
- 468 Tamże.
- 469 Szczegóły biograficzne i fizyczny opis doktora Francisca na podstawie wycinków z „Memphis Commercial Appeal” i mojej rozmowy z doktorem Franciszą 20 stycznia 2009 roku.
- 470 R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, New York: Harper & Row, 1989, s. 445.
- 471 Tamże.
- 472 Tamże.
- 473 Dokument policji w Memphis, „Martin Luther King Homicide No. 3367, Supplement #5, Re: Consent for Autopsy and Autopsy”, s. 2, Hughes Collection.
- 474 Moja rozmowa z doktorem Franciszą.
- 475 Tamże.
- 476 Protokół z sekcji zwłok przeprowadzonej przez doktora Francisca, Hughes Collection.
- 477 G. Wills, *Martin Luther King Is Still on the Case*, dz. cyt., s. 390.
- 478 Reakcja Grahama na zamordowanie Kinga i przytoczone w tym fragmencie wypowiedzi znanych osobistości z zagranicy na podstawie depech do Białego Domu, notatek służbowych ze sztabu kryzysowego i faksów otrzymanych przez Departament Stanu 4 i 5 kwietnia, Johnson Presidential Library.

30. Wezwanie do Memphis

- ⁴⁷⁹ Moja relacja z pierwszej podróży Clarka i DeLoacha do Memphis 5 kwietnia opiera się na różnych źródłach, przede wszystkim na: C. D. DeLoach, *Hoover's FBI. The Inside Story by Hoover's Trusted Lieutenant*, Washington, D.C.: Regnery, 1997, s. 228–230, a także na mojej rozmowie z Clarkiem przeprowadzonej 9 października 2008 roku w Nowym Jorku. Ważne przemyślenia znalazłem również w: R. Wilkins, *A Man's Life. An Autobiography*, Woodbridge, Conn.: Ox Bow Press, 1982, s. 211, 212; C. Risen, *A Nation on Fire. America in the Wake of the King Assassination*, Hoboken, N.J.: John Wiley & Sons, 2009, s. 95–97. Zob. także zeznania DeLoacha przed HSCA, *Appendix Reports*, t. 7, s. 18–117, oraz zeznania Clarka, HSCA, *Appendix Reports*, t. 7, s. 120–163.
- ⁴⁸⁰ C. D. DeLoach, *Hoover's FBI...*, dz. cyt., s. 228.
- ⁴⁸¹ R. Wilkins, *A Man's Life...*, dz. cyt., s. 212. Zob. także: C. Risen, *A Nation on Fire...*, dz. cyt., s. 95.
- ⁴⁸² J. E. Ray, *Tennessee Waltz. The Making of a Political Prisoner*, St. Andrews, Tennessee: Saint Andrew's Press, 1987, s. 80.
- ⁴⁸³ Agenci FBI odkryli później, że na mapie pozostawionej przez Raya w kamienicy czynszowej w Atlancie naniesione było kółko, prawdopodobnie przez samego Raya, w miejscu położenia osiedla Capitol Homes, co wskazuje, że już wcześniej zbadał to miejsce.
- ⁴⁸⁴ Opis porzucenia przez Raya jego mustanga na osiedlu Capitol Homes oparłem na różnych źródłach, przede wszystkim na trzydziestoczterostronicowym raporcie FBI zatytułowanym „Eric Starvo Galt, Bureau File #44–38861”, przygotowanym przez agenta specjalnego Alana G. Sentinellę z biura terenowego FBI w Atlancie, złożonym 18 kwietnia 1968 roku (Hughes Collection). Raport ten zawiera szczegółowy opis lokalizacji i stanu mustanga (opatrzone fotografiami), a także protokoły przesłuchań mieszkańców Capitol Homes (m.in. Mary Bridges), którzy widzieli mustanga i jego kierowcę. Wykorzystałem również artykuł: *Capitol Homes Stirred Up by That Mustang*, „Atlanta Constitution”, 22 kwietnia 1968.
- ⁴⁸⁵ Przesłuchanie Stephensa przeprowadzone 12 kwietnia 1968 roku przez agenta specjalnego Thomasa J. Barretta (Hughes Collection).
- ⁴⁸⁶ Wypowiedzi Abernathy'ego na porannej konferencji prasowej w motelu Lorraine przedrukowane w: „Atlanta Constitution”, 6 kwietnia 1968.
- ⁴⁸⁷ K. R. Timmerman, *Shakedown. Exposing the Real Jesse Jackson*, Washington, D.C.: Regnery Publishing, 2002, s. 9, 10.
- ⁴⁸⁸ Bevel, cyt. w: M. Frady, *Jesse. The Life and Pilgrimage of Jesse Jackson*, New York: Simon & Schuster, 1996, s. 230.
- ⁴⁸⁹ R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, New York: Harper & Row, 1989, s. 449.
- ⁴⁹⁰ Przesłuchanie Wooda przeprowadzone 5 kwietnia 1968 roku przez Shanahana w biurze terenowym FBI w Birmingham. Sporządzony przez Shanahana protokół FD-302 z tej rozmowy, razem z fakturą na karabin, znajduje się w Hughes Collection.
- ⁴⁹¹ Przesłuchanie DeShazy przeprowadzone 7 kwietnia 1968 roku przez agentów specjalnych Roberta Barretta i Williama Sauciera z biura terenowego w Birmingham (Hughes Collection).

31. Pętlice i wiry, pola i bruzdy

- ⁴⁹² Fragmenty dotyczące wstępnych oględzin przesyłki z Memphis do laboratorium FBI opierają się przede wszystkim na: „Report of the FBI Laboratory, FBI, April 17, 1968, Evidence Recovered in Front of 424 So. Main St. April 4th, 1968”, Hughes Collection. Wykorzystałem również: „Scientific Report on the Subject of Analysis of Fingerprint Evidence Related to the Assassination of Dr. Martin Luther King Jr. by the Finger-print Panel”, HSCA, *Appendix Reports*, t. 8, s. 109–121.

- 493 Historię, podbudowę naukową i niedoskonałości analizy odcisków palców doskonale przedstawiono w: Michael Specter, *Do Fingerprints Lie?*, „New Yorker”, 27 maja 2002.
- 494 „Testimony of the Firearms Panel”, HSCA, *Appendix Reports*, t. 4, s. 78–111.
- 495 Fragment dotyczący odbioru przez Raya prania w Atlancie przed południem 5 kwietnia opiera się przede wszystkim na wstępnym przesłuchaniu Peters przeprowadzonym 16 kwietnia 1968 roku przez agentów specjalnych Charlesa Paula Rose’a i Roberta Kane’a z biura terenowego FBI w Atlancie. Protokół FD-302 z tej rozmowy znajduje się w Hughes Collection. Wykorzystałem także zeznania Peters przed HSCA, *Appendix Reports*, t. 3, s. 302–514.
- 496 J. E. Ray, *Tennessee Waltz. The Making of a Political Prisoner*, St. Andrews, Tennessee: Saint Andrew’s Press, 1987, s. 80.
- 497 W książce *Who Killed Martin Luther King?* Ray pisze na stronie 100, że po przybyciu następnego dnia do Toronto zostało mu „tylko około tysiąca dwustu dolarów”.
- 498 Mój opis działań Raya w kamienicy czynszowej 5 kwietnia opiera się przede wszystkim na przesłuchaniach Garnera przeprowadzonych 14 i 15 kwietnia 1968 roku przez agenta specjalnego Rogera Kaasa z biura terenowego FBI w Atlancie. Protokoły FD-302 z tych przesłuchań znajdują się w Hughes Collection.
- 499 G. Wills, *Martin Luther King Is Still on the Case*, „Esquire”, sierpień 1968, przedruk w: *The New Journalism*, ed. Tom Wolfe, London: Picador, 1996, s. 393.
- 500 R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, New York: Harper & Row, 1989, s. 448.
- 501 A. Young, *An Easy Burden. The Civil Rights Movement and the Transformation of America*, New York: HarperCollins, 1996, s. 469.
- 502 G. Wills, *Martin Luther King Is Still on the Case*, dz. cyt., s. 394.
- 503 Tamże, s. 395.
- 504 Mój opis wystawienia ciała na widok publiczny przez dom pogrzebowy R. S. Lewis przed południem 5 kwietnia opiera się na reportażu z: „Memphis Commercial Appeal”, 6 kwietnia 1968, a także na fragmencie książki: J. T. Beifuss, *At the River I Stand. Memphis, the 1968 Strike, and Martin Luther King*, Memphis: B & W Books, 1985, s. 315, 316.

32. Uciekinier

- 505 Moja rozmowa z Clarkiem, 9 października 2008, Nowy Jork.
- 506 Tamże.
- 507 Rozmowa z Rogerem Wilkinsem: *Roads to Memphis*, film dokumentalny wyprodukowany przez Insignia Films na zlecenie programu PBS *American Experience*, WGBH, Boston.
- 508 Tamże.
- 509 J. T. Beifuss, *At the River I Stand. Memphis, the 1968 Strike, and Martin Luther King*, Memphis: B & W Books, 1985, s. 325.
- 510 Zeznania Hollomana przed HSCA, *Appendix Reports*, t. 4, s. 332.
- 511 Wypowiedzi Clarka podczas konferencji prasowej w Memphis wydrukowano w „Memphis Press – Scimitar”, 5 kwietnia 1968, i w „Memphis Commercial Appeal”, 6 kwietnia 1968.
- 512 C. D. DeLoach, *Hoover’s FBI. The Inside Story by Hoover’s Trusted Lieutenant*, Washington, D.C.: Regnery, 1997, s. 229.
- 513 R. Wilkins, *A Man’s Life. An Autobiography*, Woodbridge, Conn.: Ox Bow Press, 1982, s. 212.

- 514 Tamże.
- 515 C. D. DeLoach, *Hoover's FBI...*, dz. cyt., s. 229.
- 516 Andrew Young w *Roads to Memphis*.
- 517 Przesłuchanie mieszkańców Capitol Homes, protokół „Eric Starvo Galt, Bureau File #44–38861”, przygotowany przez agenta specjalnego Alana G. Sentinellę z biura terenowego FBI w Atlancie, złożony 18 kwietnia 1968 roku, Hughes Collection. Wykorzystałem także artykuł: *Capitol Homes Stirred Up by That Mustang*, „Atlanta Constitution”, 22 kwietnia 1968.

33. Rok 1812 *Redivivus*

- 518 King senior do Johnsona, telegram, cyt. w: C. Risen, *A Nation on Fire. America in the Wake of the King Assassination*, Hoboken, N.J.: John Wiley & Sons, 2009, s. 89.
- 519 H. Busby, *The Thirty-first of March. An Intimate Portrait of Lyndon Johnson's Final Days in Office*, New York: Farrar, Straus and Giroux, 2005, s. 238.
- 520 Tamże, s. 239.
- 521 Stokely Carmichael, cyt. w: C. Risen, *A Nation on Fire...*, dz. cyt., s. 93.
- 522 H. Busby, *Thirty-first of March...*, dz. cyt., s. 239.
- 523 Wstępną analizę włókien przedstawiono w: „Report of the FBI Laboratory, FBI, April 17, 1968, Evidence Recovered in Front of 424 So. Main St. April 4th, 1968”, s. 9, Hughes Collection.
- 524 Zob.: G. Frank, *An American Death. The True Story of the Assassination of Dr. Martin Luther King Jr.*, Garden City, N.Y.: Doubleday, 1972, s. 142.
- 525 Opierałem się tutaj przede wszystkim na osiemnastostronicowym raporcie FBI „Investigation to Trace the Laundry Marks Found on Underwear Abandoned near the Scene of the Shooting of Dr. King”, Hughes Collection.
- 526 R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, New York: Harper & Row, 1989, s. 450.
- 527 Tamże.
- 528 C. S. King, *My Life with Martin Luther King Jr.*, New York: Holt, Rinehart, and Winston, 1969, s. 325.
- 529 D. S. King, *Growing Up King. An Intimate Memoir*, New York: Warner Books, 2003, s. 52.
- 530 Tamże.
- 531 C. S. King, *My Life with Martin Luther King Jr.*, dz. cyt., s. 325.
- 532 A. Young, *An Easy Burden. The Civil Rights Movement and the Transformation of America*, New York: HarperCollins, 1996, s. 470.
- 533 Moja relacja z podróży autobusowej Raya na północ opiera się na jego zeznaniach przed HSCA, *Appendix Reports*, t. 3, s. 245, a także napisanych przez niego dwóch książkach: tegoż, *Tennessee Waltz. The Making of a Political Prisoner*, St. Andrews, Tennessee: Saint Andrew's Press, 1987, s. 81; tegoż, *Who Killed Martin Luther King? The True Story by the Alleged Assassin*, New York: Marlowe, 1992, s. 98. Zajrzałem również do materiałów sporządzonych przez Raya dla swoich adwokatów: „20,000 Words”, Hughes Collection.
- 534 „Atlanta Constitution”, 5 kwietnia 1968, s. 1.
- 535 HSCA, *Appendix Reports*, t. 3, s. 245.
- 536 Tamże.

- ⁵³⁷ Opowieść Ramseya Clarka, rozmowa 4, przeprowadzona przez Harriego Bakera 16 kwietnia 1969 roku, Johnson Presidential Library.
- ⁵³⁸ Moja rozmowa z Clarkiem, 9 października 2008, Nowy Jork.
- ⁵³⁹ R. Clark, *Crime in America. Observations on Its Nature, Causes, Prevention, and Control*, New York: Simon & Schuster, 1970, s. 95.
- ⁵⁴⁰ C. D. DeLoach, *Hoover's FBI. The Inside Story by Hoover's Trusted Lieutenant*, Washington, D.C.: Regnery, 1997, s. 230.
- ⁵⁴¹ Opis zamieszek w Waszyngtonie opiera się przede wszystkim na: C. Risen, *A Nation on Fire...*, dz. cyt.; B. W. Gilbert i in., *Ten Blocks from the White House. Anatomy of the Washington Riots of 1968*, New York: Frederick A. Praeger, 1968.
- ⁵⁴² Felietonistka Mary McGrory, cyt. w: C. Risen, *A Nation on Fire...*, dz. cyt., s. 127.
- ⁵⁴³ Moja rozmowa z Clarkiem.

34. Home Sweet Home w Toronto

- ⁵⁴⁴ Zob. zeznania Jamesa Earla Raya przed HSCA, *Appendix Reports*, t. 3, s. 245, a także jego dwie książki: tegoż, *Tennessee Waltz. The Making of a Political Prisoner*, St. Andrews, Tennessee: Saint Andrew's Press, 1987, s. 81; tegoż, *Who Killed Martin Luther King? The True Story by the Alleged Assassin*, New York: Marlowe, 1992, s. 98, oraz materiały sporządzone przez Raya dla swoich adwokatów: „20,000 Words”, Hughes Collection.
- ⁵⁴⁵ Cavanaugh, cyt. w: C. Risen, *A Nation on Fire. America in the Wake of the King Assassination*, Hoboken, N.J.: John Wiley & Sons, 2009, s. 141.
- ⁵⁴⁶ Zob. W. B. Huie, *He Slew the Dreamer. My Search, with James Earl Ray, for the Truth About the Murder of Martin Luther King*, New York: Delacorte Press, 1970, s. 148.
- ⁵⁴⁷ Mój opis pokoju i zachowania Raya w Ossington opiera się przede wszystkim na: P. O'Neil, *Ray, Sirhan – What Possessed Them?*, „Life”, 21 czerwca 1968. Wykorzystałem również reportaż: *King Murder Suspect Held – He Hid 1 Month in Metro*, „Toronto Daily Star”, 8 czerwca 1968, a także dostarczoną przez kanadyjską policję dokumentację na temat pobytu Raya w Toronto (Hughes Collection).
- ⁵⁴⁸ Zob.: S. Poitier, *This Life*, New York: Ballantine Books, 1981, s. 319, 320.
- ⁵⁴⁹ G. D. Powers, *I Shared the Dream. The Pride, Passion, and Politics of the First Black Woman Senator from Kentucky*, Far Hills, N.J.: New Horizon Press, 1995, s. 233.
- ⁵⁵⁰ Tamże, s. 234.
- ⁵⁵¹ Zob.: W. B. Huie, *He Slew the Dreamer...*, dz. cyt., s. 149; G. Posner, *Killing the Dream. James Earl Ray and the Assassination of Martin Luther King Jr.*, New York: Random House, 1998, s. 239, 240.
- ⁵⁵² Zob.: C. Gentry, *J. Edgar Hoover. The Man and the Secrets*, New York: W. W. Norton, 1991, s. 606.
- ⁵⁵³ Lawson, cyt. w: M. K. Honey, *Going Down Jericho Road. The Memphis Strike, Martin Luther King's Last Campaign*, New York: W. W. Norton, 2007, s. 473, 474.
- ⁵⁵⁴ W. B. Huie, *He Slew the Dreamer...*, dz. cyt., s. 149.

35. A potem przychodzi Wielkanoc

- ⁵⁵⁵ Moja relacja z wydarzeń z 8 kwietnia w Memphis opiera się przede wszystkim na artykułach z pierwszych stron: „Memphis Press-Scimitar”, „Memphis Commercial Appeal”, „New York Times”

i „Atlanta Constitution”. Wykorzystałem również kroniki filmowe z Mississippi Valley Collection. Zob. także: J. T. Beifuss, *At the River I Stand. Memphis, the 1968 Strike, and Martin Luther King*, Memphis: B & W Books, 1985, s. 340–343; M. K. Honey, *Going Down Jericho Road. The Memphis Strike, Martin Luther King’s Last Campaign*, New York: W. W. Norton, 2007, s. 474–482; R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, New York: Harper & Row, 1989, s. 458–460; C. S. King, *My Life with Martin Luther King Jr.*, New York: Holt, Rinehart, and Winston, 1969, s. 327–329.

⁵⁵⁶ D. S. King, *Growing Up King. An Intimate Memoir*, New York: Warner Books, 2003, s. 53.

⁵⁵⁷ „Memphis Commercial Appeal”, 9 kwietnia 1968, s. 1.

⁵⁵⁸ Ulotka przygotowana przez Lawsons, cyt. w: M. K. Honey, *Going Down Jericho Road...*, dz. cyt., s. 476.

⁵⁵⁹ Tamże, s. 478.

⁵⁶⁰ R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, dz. cyt., s. 458.

⁵⁶¹ „Memphis Commercial Appeal”, 11 kwietnia 1968. Zob. także: M. K. Honey, *Going Down Jericho Road...*, dz. cyt., s. 475; J. T. Beifuss, *At the River I Stand...*, dz. cyt., s. 341.

⁵⁶² Fragment dotyczący wstępnego przesłuchania pracowników motelu New Rebel przez FBI opiera się przede wszystkim na mojej rozmowie z byłym agentem FBI Stephenem Darlingtonem 15 maja 2009 roku. Wykorzystałem również protokoły z przesłuchań pracowników tego motelu przeprowadzonych przez agentów Darlingtona i Bauera 8 kwietnia 1968 roku (Hughes Collection).

⁵⁶³ Pisząc o poszukiwaniach pseudonimów w czytelnicy „Telegram”, korzystałem przede wszystkim z relacji samego Raya w: tegoż, *Tennessee Waltz. The Making of a Political Prisoner*, St. Andrews, Tennessee: Saint Andrew’s Press, 1987, s. 84; J. E. Ray, *Who Killed Martin Luther King? The True Story by the Alleged Assassin*, New York: Marlowe, 1992, s. 99. Z innych materiałów wynika, że Ray przeglądał mikrofilmy ze starymi wydaniem tej gazety w bibliotece publicznej w Toronto. Zob. także: G. Posner, *Killing the Dream. James Earl Ray and the Assassination of Martin Luther King Jr.*, New York: Random House, 1998, s. 240.

⁵⁶⁴ J. E. Ray, *Who Killed Martin Luther King?...*, dz. cyt., s. 98.

⁵⁶⁵ Dostarczona przez RCMP dokumentacja na temat pobytu Raya w Toronto, Hughes Collection.

⁵⁶⁶ Zob.: G. Posner, *Killing the Dream...*, dz. cyt., s. 240.

⁵⁶⁷ „Memphis Commercial Appeal”, 9 kwietnia 1968, s. 10.

⁵⁶⁸ Reuther, cyt. w: J. T. Beifuss, *At the River I Stand...*, dz. cyt., s. 343.

⁵⁶⁹ Cały tekst przemówienia Coretty Scott King w Memphis przedrukowany w jej wspomnieniach: tejże, *My Life with Martin Luther King Jr.*, New York: Holt, Rinehart, and Winston, 1969, s. 344–347.

⁵⁷⁰ M. K. Honey, *Going Down Jericho Road...*, dz. cyt., s. 481.

⁵⁷¹ C. S. King, *My Life with Martin Luther King Jr.*, dz. cyt., s. 345.

⁵⁷² Fragment ten opiera się na protokole z przeprowadzonego przez Shanahana i Sauciera 8 kwietnia 1968 roku przesłuchania właściciela kamienicy czynszowej Petera Cherpesa (Hughes Collection).

36. Niziny społeczne

⁵⁷³ Opis pogrzebu Kinga opiera się przede wszystkim na materiałach prasowych z „Atlanta Constitution” i „New York Timesa” z 10 kwietnia 1968 roku. Wykorzystałem również fotografie i inne eksponaty wystawiane w King Center w Atlancie. Zajrzałem też do wspomnień uczestników, m.in.: A. Young, *An Easy Burden. The Civil Rights Movement and the Transformation of America*, New York: HarperCollins, 1996, s. 477, 478; R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, New York: Harper & Row,

1989, s. 460–465; C. S. King, *My Life with Martin Luther King Jr.*, New York: Holt, Rinehart, and Winston, 1969, s. 329–336; M. L. King Sr., *Daddy King. An Autobiography*, New York: William Morrow, 1980, s. 190, 191; H. Wofford, *Of Kennedys and Kings. Making Sense of the Sixties*, New York: Farrar, Straus and Giroux, 1980, s. 203. Posłużyłem się wreszcie relacją w: C. Risen, *A Nation on Fire. America in the Wake of the King Assassination*, Hoboken, N.J.: John Wiley & Sons, 2009, s. 205–213.

574 Zob.: C. Risen, *A Nation on Fire...*, dz. cyt., s. 208.

575 „Newsweek”, 22 kwietnia 1968.

576 Tamże.

577 List ten należy do korespondencji eksponowanej w King National Historic Site w Atlancie.

578 Tamże.

579 „Time”, 21 marca 1969.

580 Moja relacja z poczynąń Raya 9 kwietnia w jego pokoju opiera się przede wszystkim na wywiadach udzielonych przez właścicielkę panią Feliksę Szpakowski różnym gazetom i czasopismom. Zob. zwłaszcza: P. O’Neil, *Ray, Sirhan – What Possessed Them?*, „Life”, 21 czerwca 1968.

581 Tamże.

582 J. E. Ray, *Who Killed Martin Luther King? The True Story by the Alleged Assassin*, New York: Marlowe, 1992, s. 99.

583 Moja relacja z rozmowy telefonicznej Raya z Bridgmanem opiera się na wspomnieniach jego samego, a także przeprowadzonych przez policję w Toronto przesłuchaniach Bridgmana: Royal Canadian Mounted Police Files, Hughes Collection.

584 Fragment ten opiera się na protokole z przeprowadzonego przez Shanahana i Sauciera 9 kwietnia 1968 roku przesłuchania Paisleya.

585 Zeznania Jamesa Earla Raya przed HSCA, *Appendix Reports*, t. 9, s. 430.

586 Pean Benjamin Maysa na cześć Kinga, cyt. w: „Atlanta Constitution”, 10 kwietnia 1968, s. 1.

37. MURKIN Files

587 Moja rozmowa z Clarkiem, 8 października 2009, Nowy Jork.

588 Notatka podpisana przez J. Edgara Hoovera, MURKIN Files, sec. 2, z której wersją na mikrofilmie zapoznałem się na Uniwersytecie Stanforda.

589 C. D. DeLoach, *Hoover’s FBI. The Inside Story by Hoover’s Trusted Lieutenant*, Washington, D.C.: Regnery, 1997, s. 233.

590 Informacje o różnych tropach w pierwszych tygodniach poszukiwań zob. w: MURKIN Files, sec. 2.

591 Zob.: G. Frank, *An American Death. The True Story of the Assassination of Dr. Martin Luther King Jr.*, Garden City, N.Y.: Doubleday, 1972, s. 143.

592 Raport policji z Memphis po analizie materiału filmowego nakręconego przez WMC-TV Channel 5, filię NBC w Memphis, datowany na 10 kwietnia 1968, pudełko 5, Posner Papers, Gotlieb Center.

593 „Memphis Press-Scimitar”, 19 kwietnia 1968.

594 G. Frank, *American Death...*, dz. cyt., s. 188.

595 Ten fragment opiera się przede wszystkim na: *Capitol Homes Stirred Up by That Mustang*, „Atlanta Constitution”, 22 kwietnia 1968.

- ⁵⁹⁶ Zob.: N. Kotz, *Judgment Days. Lyndon Baines Johnson, Martin Luther King Jr., and the Laws That Changed America*, Boston: Houghton Mifflin, 2005, s. 421; R. Dallek, *Flawed Giant. Lyndon Johnson and His Times, 1961–1973*, New York: Oxford University Press, 1998, s. 534.
- ⁵⁹⁷ Zob.: W. B. Huie, *He Slew the Dreamer. My Search, with James Earl Ray, for the Truth About the Murder of Martin Luther King*, New York: Delacorte Press, 1970, s. 154.
- ⁵⁹⁸ Tamże, s. 152.
- ⁵⁹⁹ Opierałem się tutaj na zbiorczym protokole z przeprowadzonych przez FBI przesłuchań mieszkańców tego osiedla: „Capitol Homes Interviews”, Hughes Collection.
- ⁶⁰⁰ *Capitol Homes Stirred Up by That Mustang*.
- ⁶⁰¹ Fragment ten opiera się przede wszystkim na protokole z oględzin mustanga: „Report of the FBI Laboratory, April 19, #44–38861”, Hughes Collection.
- ⁶⁰² Protokół z przeprowadzonych 11 kwietnia 1968 roku przez A’Hearna przesłuchań u dealera Forda w Cort Fox, w dokumencie zbiorczym „Los Angeles Investigations”, Hughes Collection.
- ⁶⁰³ Protokół z przeprowadzonych 12 kwietnia 1968 roku przez agenta Mansfielda przesłuchań w hotelu Saint Francis, w dokumencie zbiorczym „Los Angeles Investigations”, Hughes Collection.
- ⁶⁰⁴ Protokół z przesłuchania Pineli przeprowadzonego przez Johnsona i Kahla w pralni Home Service, w dokumencie zbiorczym „Los Angeles Investigations”, Hughes Collection.
- ⁶⁰⁵ Protokół z przesłuchań przeprowadzonych przez Aikena w National Dance Studio, w dokumencie zbiorczym „Los Angeles Investigations”, Hughes Collection.
- ⁶⁰⁶ Protokół z przesłuchań przeprowadzonych przez A’Hearna i Raysa w International School of Bartending, w dokumencie zbiorczym „Los Angeles Investigations”, Hughes Collection.
- ⁶⁰⁷ Tamże.

38. Kanada ci wierzy

- ⁶⁰⁸ G. Frank, *An American Death. The True Story of the Assassination of Dr. Martin Luther King Jr.*, Garden City, N.Y.: Doubleday, 1972, s. 172.
- ⁶⁰⁹ Tamże.
- ⁶¹⁰ Złożony 17 kwietnia 1968 roku protokół z przeszukania pokoju Raya przez agentów Harry’ego Lee, Johna Sullivana, Rogera Kaasa i Johna Ogdena.
- ⁶¹¹ Fragment ten opiera się na protokole z 13 kwietnia 1968 roku, przesłuchanie Steina przez Slicksa i Rossa, w dokumencie zbiorczym „Los Angeles Investigations”, Hughes Collection.
- ⁶¹² Protokół FD-302 z 13 kwietnia 1968 roku, przesłuchanie Tomaso (alias Marie Martin) przez Slicksa i Rossa, w dokumencie zbiorczym „Los Angeles Investigations”, Hughes Collection.
- ⁶¹³ G. McMillan, *The Making of an Assassin. The Life of James Earl Ray*, Boston: Little, Brown, 1976, s. 285.
- ⁶¹⁴ Protokół FD-302 z 14 i 15 kwietnia 1968, przesłuchanie Garnera przez Ogdena i Kaasa, Hughes Collection.
- ⁶¹⁵ J. T. Beifuss, *At the River I Stand. Memphis, the 1968 Strike, and Martin Luther King*, Memphis: B & W Books, 1985, s. 348.
- ⁶¹⁶ Zob.: M. K. Honey, *Going Down Jericho Road. The Memphis Strike, Martin Luther King’s Last Campaign*, New York: W. W. Norton, 2007, s. 489.

- ⁶¹⁷ J. T. Beifuss, *At the River I Stand...*, dz. cyt., s. 345.
- ⁶¹⁸ Reynolds, cyt. w: tamże, s. 346, 347.
- ⁶¹⁹ „Memphis Press-Scimitar”, 17 kwietnia 1968, s. 1.
- ⁶²⁰ „Newsweek”, 29 kwietnia 1968, s. 22.
- ⁶²¹ Opis pobytu Raya w Kanadzie w: MURKIN Files, 4442–4500, sec. 57, s. 61.
- ⁶²² Kopia wniosku Ramona Sneyda o wydanie świadectwa urodzenia w: HSCA, *Appendix Reports*, t. 5, s. 15.
- ⁶²³ Fragment dotyczący Lillian Spencer z biura podróży Kennedy opiera się na: *King Murder Suspect Held – He Hid 1 Month in Metro*, „Toronto Daily Star”, 8 czerwca 1968, s. 1. Wykorzystałem również protokół z przesłuchania Spencer: Royal Canadian Mounted Police Files, Hughes Collection.
- ⁶²⁴ W. B. Huie, *He Slew the Dreamer. My Search, with James Earl Ray, for the Truth About the Murder of Martin Luther King*, New York: Delacorte Press, 1970, s. 155.

39. Niebezpieczny i uzbrojony

- ⁶²⁵ Przesłuchanie Estelle Peters przeprowadzone 16 kwietnia 1968 roku przez agentów specjalnych Charlesa Rose’a i Roberta Kane’a, protokół FD-302, Hughes Collection.
- ⁶²⁶ „Scientific Report on the Subject of Analysis of Fingerprint Evidence Related to the Assassination of Dr. Martin Luther King Jr. by the Fingerprint Panel”, HSCA, *Appendix Reports*, t. 13, s. 109–121.
- ⁶²⁷ C. D. DeLoach, *Hoover’s FBI. The Inside Story by Hoover’s Trusted Lieutenant*, Washington, D.C.: Regnery, 1997, s. 242, 247.
- ⁶²⁸ Zob.: G. Frank, *An American Death. The True Story of the Assassination of Dr. Martin Luther King Jr.*, Garden City, N.Y.: Doubleday, 1972, s. 124.
- ⁶²⁹ Kopia nakazu rewizji wraz ze zdjęciami Galta-Raya przetworzonymi z fotografii wykonanej w szkole dla barmanów znajduje się w Hughes Collection.
- ⁶³⁰ Ray omawia owo przejście przez ulicę na dziko w obu swoich książkach: J. E. Ray, *Tennessee Waltz. The Making of a Political Prisoner*, St. Andrews, Tennessee: Saint Andrew’s Press, 1987, s. 84; J. E. Ray, *Who Killed Martin Luther King? The True Story by the Alleged Assassin*, New York: Marlowe, 1992, s. 99. Zob. także: W. B. Huie, *He Slew the Dreamer. My Search, with James Earl Ray, for the Truth About the Murder of Martin Luther King*, New York: Delacorte Press, 1970, s. 158.
- ⁶³¹ J. E. Ray, *Tennessee Waltz...*, dz. cyt., s. 84.

40. Nieuchwytny zbieg

- ⁶³² Sformułowania te pojawiły się w prasie zaraz po zidentyfikowaniu Raya przez FBI, m.in. w „Memphis Commercial Appeal”, „Washington Post”, „Atlanta Constitution”, „Newsweeku” i „Time”.
- ⁶³³ *Eric Ray, Alleged Brother Conspired to Assassinate Dr. King, FBI Declares*, „Atlanta Constitution”, 18 kwietnia 1968, s. 1, 29.
- ⁶³⁴ Tamże.
- ⁶³⁵ „Newsweek”, 29 kwietnia 1968.
- ⁶³⁶ „Memphis Commercial Appeal”, 16 czerwca 1968.
- ⁶³⁷ *Who Is Phantom Fugitive? Reporters Put Together Facts*, specjalny „raport zespołu zadaniowego”, „Atlanta Constitution”, 22 kwietnia 1968, s. 8.

- ⁶³⁸ Rozmowa pani Szpakowski z mężem na temat Raya zrelacjonowana w: G. Frank, *An American Death. The True Story of the Assassination of Dr. Martin Luther King Jr.*, Garden City, N.Y.: Doubleday, 1972, s. 316.
- ⁶³⁹ C. D. DeLoach, *Hoover's FBI. The Inside Story by Hoover's Trusted Lieutenant*, Washington, D.C.: Regnery, 1997, s. 241, 242.
- ⁶⁴⁰ Rozmowa DeLoacha z Lesem Trotterem: C. D. DeLoach, *Hoover's FBI...*, dz. cyt., s. 245.
- ⁶⁴¹ Tamże, s. 246.
- ⁶⁴² Tamże.

41. Pierwsza dziesiątka

- ⁶⁴³ Loo, cyt. w: „Memphis Commercial Appeal”, 10 czerwca 1968.
- ⁶⁴⁴ G. Posner, *Killing the Dream. James Earl Ray and the Assassination of Martin Luther King Jr.*, New York: Random House, 1998, s. 244, 245; W. B. Huie, *He Slew the Dreamer. My Search, with James Earl Ray, for the Truth About the Murder of Martin Luther King*, New York: Delacorte Press, 1970, s. 160.
- ⁶⁴⁵ Peterson, cyt. w: „Life”, 3 maja 1968.
- ⁶⁴⁶ Informacje dotyczące pobytu Raya w więzieniu opierają się przede wszystkim na protokołach z przesłuchań dawnych współwięźniów Raya w Jefferson City, zawartych w obszernym dokumencie zbiorczym St. Louis Files, Hughes Collection.
- ⁶⁴⁷ Zob.: B. Shaw, *Are You Sure Who Killed Martin Luther King?*, „Esquire”, marzec 1972.
- ⁶⁴⁸ Mój opis pierwszego kontaktu FBI z Johnem Rayem opiera się przede wszystkim na protokołach FD-302 z przesłuchań, St. Louis Files, Hughes Collection.
- ⁶⁴⁹ Przesłuchanie Johna Raya przeprowadzone 2 maja 1968 roku przez agentów specjalnych Jacka Williamsa i Patricka Bradleya, Raport FD-302, Hughes Collection.
- ⁶⁵⁰ Wstępne przesłuchanie Johna Raya przeprowadzone 22 kwietnia 1968 roku przez agentów specjalnych Harry'ego C. Juna i Roberta Hessa, protokół FD-302, Hughes Collection.
- ⁶⁵¹ Zob.: J. L. Ray, L. Barsten, *Truth at Last. The Untold Story Behind James Earl Ray and the Assassination of Martin Luther King Jr.*, Guilford, Conn.: Lyons Press, 2008, s. 109.
- ⁶⁵² Jerry Ray, cyt. w: „Chicago Sun-Times”, 3 maja 1968.
- ⁶⁵³ Jerry Ray, cyt. w: „Life”, 3 maja 1968.
- ⁶⁵⁴ Ray, cyt. w: J. McKinley, *Interview with James Earl Ray*, dz. cyt., „Playboy”, wrzesień 1977, s. 134.
- ⁶⁵⁵ Zdarzenie w supermarkecie Loblaws jest doskonale opisane w: G. Frank, *An American Death. The True Story of the Assassination of Dr. Martin Luther King Jr.*, Garden City, N.Y.: Doubleday, 1972, s. 317.
- ⁶⁵⁶ Tamże.
- ⁶⁵⁷ G. Posner, *Killing the Dream...*, dz. cyt., s. 249.

42. Miasto Zmartwychwstania

- ⁶⁵⁸ Young, cyt. w: G. D. McKnight, *The Last Crusade. Martin Luther King Jr., the FBI, and the Poor People's Campaign*, Boulder, Colo.: Westview Press, 1998, s. 84.
- ⁶⁵⁹ A. Young, *An Easy Burden. The Civil Rights Movement and the Transformation of America*, New York: HarperCollins, 1996, s. 481.

- ⁶⁶⁰ D. T. Carter, *The Politics of Rage. George Wallace, the Origins of the New Conservatism, and the Transformation of American Politics*, Baton Rouge: Louisiana State University Press, 1995, s. 320, 321.
- ⁶⁶¹ O planach i przygotowaniach do Kampanii Biednych Ludzi zob. w: R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, New York: Harper & Row, 1989, s. 500–506; A. Young, *Easy Burden...*, dz. cyt., s. 484, 485.
- ⁶⁶² G. D. McKnight, *Last Crusade...*, dz. cyt., s. 85.
- ⁶⁶³ Ramsey Clark, cyt. w: tamże, s. 110.
- ⁶⁶⁴ Tamże, s. 87.
- ⁶⁶⁵ R. Clark, *Crime in America. Observations on Its Nature, Causes, Prevention, and Control*, New York: Simon & Schuster, 1970, s. 235.
- ⁶⁶⁶ Opisując dzieje rodziny Raya, opierałem się przede wszystkim na studium psychologicznym McMillana: G. McMillan, *The Making of an Assassin. The Life of James Earl Ray*, Boston: Little, Brown, 1976, oraz dokumentach zawartych w McMillan Papers.
- ⁶⁶⁷ G. Posner, *Killing the Dream. James Earl Ray and the Assassination of Martin Luther King Jr.*, New York: Random House, 1998, s. 85.
- ⁶⁶⁸ „Life”, 3 maja 1968.
- ⁶⁶⁹ „Newsweek”, 29 kwietnia 1968.
- ⁶⁷⁰ Przesłuchanie Jerry’ego Raynesa przeprowadzone w Center w stanie Missouri przez Duncana i Duffeya 17 kwietnia 1968, protokół FD-302, Hughes Collection.
- ⁶⁷¹ Rozmowa McMillana z ojcem Raya, 20 października 1969, pudełko 1, McMillan Papers.
- ⁶⁷² Tamże.
- ⁶⁷³ Tamże.
- ⁶⁷⁴ Tamże.
- ⁶⁷⁵ Rozmowa McMillana z ojcem Raya, 20 października 1969, pudełko 1, McMillan Papers.
- ⁶⁷⁶ J. E. Ray, *Tennessee Waltz. The Making of a Political Prisoner*, St. Andrews, Tennessee: Saint Andrew’s Press, 1987, s. 86, 87.
- ⁶⁷⁷ Opis hotelu Sneyda i jego okolicy opiera się na: P. O’Neil, *Ray, Sirhan – What Possessed Them?*, „Life”, 21 czerwca 1968, oraz mojej osobistej wizycie w tym hotelu w lipcu 2007 roku.
- ⁶⁷⁸ W tym fragmencie opierałem się przede wszystkim na dokumentach FBI przygotowanych we współpracy z portugalską policją. Dokumenty te obejmują protokoły przesłuchań (urzędników imigracyjnych, personelu hotelowego, pracowników nocnych klubów i prostytutek, które miały kontakt ze Sneydem) przeprowadzonych w Lizbonie 8–12 czerwca 1968 roku i streszczonych w trzynastostronicowym dokumencie: „Lisbon Files”, Hughes Collection.
- ⁶⁷⁹ Tamże.
- ⁶⁸⁰ Tamże.

43. Plan emerytalny

- ⁶⁸¹ Rozmowa George’a McMillana z Jerrym Rayem, 1 kwietnia 1972, pudełko 5, McMillan Papers.
- ⁶⁸² Rife, cyt. w: G. McMillan, *The Making of an Assassin. The Life of James Earl Ray*, Boston: Little, Brown, 1976, s. 147.

- ⁶⁸³ Fragment dotyczący Curtisa opiera się przede wszystkim na: „Raymond Curtis Interviews, Whitfield County Jail, Dalton, Georgia”, pudełko 1, McMillan Papers. Zob. także: G. McMillan, *Making of an Assassin...*, dz. cyt., s. 175–185; G. Frank, *An American Death. The True Story of the Assassination of Dr. Martin Luther King Jr.*, Garden City, N.Y.: Doubleday, 1972, s. 183; G. Posner, *Killing the Dream. James Earl Ray and the Assassination of Martin Luther King Jr.*, New York: Random House, 1998, s. 136.
- ⁶⁸⁴ Fragment o Sutherlandzie i rzekomej nagrodzie za zabicie Kinga opiera się przede wszystkim na: „Evidence of a Conspiracy in St. Louis”, HSCA, *Final Assassinations Report*, s. 359–375. Wykorzystałem również zeznania Russella Byersa: HSCA, *Appendix Reports*, s. 177–310.

44. Plagi egipskie

- ⁶⁸⁵ Fragment o miasteczku namiotowym Kampanii Biednych Ludzi opiera się przede wszystkim na artykułach, które ukazywały się codziennie na łamach „Washington Post” przez cały maj i czerwiec 1968 roku, a także na: G. D. McKnight, *The Last Crusade. Martin Luther King Jr., the FBI, and the Poor People’s Campaign*, Boulder, Colo.: Westview Press, 1998, s. 107–139; C. Risen, *A Nation on Fire. America in the Wake of the King Assassination*, Hoboken, N.J.: John Wiley & Sons, 2009, s. 235, 236; R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, New York: Harper & Row, 1989, s. 494–539; A. Young, *An Easy Burden. The Civil Rights Movement and the Transformation of America*, New York: HarperCollins, 1996, s. 477–492.
- ⁶⁸⁶ Abernathy, cyt. w: G. D. McKnight, *Last Crusade...*, dz. cyt., s. 130.
- ⁶⁸⁷ R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, dz. cyt., s. 503, 516.
- ⁶⁸⁸ G. D. McKnight, *Last Crusade...*, dz. cyt., s. 116.
- ⁶⁸⁹ Tamże, s. 126.
- ⁶⁹⁰ A. Young, *Easy Burden...*, dz. cyt., s. 490.
- ⁶⁹¹ R. D. Abernathy, *And the Walls Came Tumbling Down*, dz. cyt., s. 517.
- ⁶⁹² Notatka Hoovera cyt. w: G. D. McKnight, *Last Crusade...*, dz. cyt., s. 128.
- ⁶⁹³ G. D. McKnight, *Last Crusade...*, dz. cyt., s. 134.
- ⁶⁹⁴ Tamże, s. 107.
- ⁶⁹⁵ R. Clark, *Crime in America. Observations on Its Nature, Causes, Prevention, and Control*, New York: Simon & Schuster, 1970, s. 236.

45. Wypłata z konta

- ⁶⁹⁶ Opis działań zespołu Sweeneya opiera się na: Royal Canadian Mounted Police Files, Hughes Collection. Zob. także: G. Posner, *Killing the Dream. James Earl Ray and the Assassination of Martin Luther King Jr.*, New York: Random House, 1998, s. 43.
- ⁶⁹⁷ Zeznania Westwood w sześćdziesięciotrzystronicowym dokumencie zbiorczym Scotland Yard Files, Hughes Collection.
- ⁶⁹⁸ Fragment ten opiera się na różnych relacjach londyńskiej prasy, m.in. „Timesa” i „Telegraph”, a także na mojej osobistej wizycie w zakładzie jubilerskim w pobliżu Paddington Station. Przeprowadziłem również rozmowę z synem państwa Isaacsów Vincentem Isaacsem 27 czerwca 2008 roku w Londynie.
- ⁶⁹⁹ Royal Canadian Mounted Police Files, Hughes Collection.

- ⁷⁰⁰ Telefony Sneyda do Colvina opisują przede wszystkim na podstawie artykułu: Colvin, *Dr. King Suspect Here 3 Weeks, Mystery Calls to the Daily Telegraph*, „London Daily Telegraph”, 10 czerwca 1968, s. 1. Zob. także: G. Frank, *An American Death. The True Story of the Assassination of Dr. Martin Luther King Jr.*, Garden City, N.Y.: Doubleday, 1972, s. 320.
- ⁷⁰¹ Nassau, cyt. w: W. B. Huie, *He Slew the Dreamer. My Search, with James Earl Ray, for the Truth About the Murder of Martin Luther King*, New York: Delacorte Press, 1970, s. 166.
- ⁷⁰² Moja relacja z napadu rabunkowego Sneyda jest oparta przede wszystkim na przesłuchaniach pracowników banku przez Scotland Yard: Scotland Yard Files, Hughes Collection. Zob. także: G. Posner, *Killing the Dream...*, dz. cyt., s. 249; W. B. Huie, *He Slew the Dreamer...*, dz. cyt., s. 166; G. Frank, *American Death...*, dz. cyt., s. 321.
- ⁷⁰³ Opis przesłuchania Ramona Sneyda przez Royal Canadian Mounted Police opiera się przede wszystkim na: „Statement of Ramon George Sneyd, Born October 8, 1932, Cautioned by: R. Marsh, Detective Sergeant, Metro Toronto P.D.”, Royal Canadian Mounted Police Files 1, Hughes Collection.
- ⁷⁰⁴ Opis pobytu Sneyda w Pax Hotel w Pimlico opiera się na: *The Man in Locked Room*, „Evening Standard”, 10 czerwca 1968. Zob. także: W. B. Huie, *He Slew the Dreamer...*, dz. cyt., s. 167.
- ⁷⁰⁵ A. Young, *An Easy Burden. The Civil Rights Movement and the Transformation of America*, New York: HarperCollins, 1996, s. 486, 487.
- ⁷⁰⁶ Tamże.
- ⁷⁰⁷ Colvin, *Dr. King Suspect Here 3 Weeks*, s. 1. Zob. także: G. Posner, *Killing the Dream...*, dz. cyt., s. 248.
- ⁷⁰⁸ Nekrolog Butlera, „Times” (Londyn), 21 kwietnia 1970.
- ⁷⁰⁹ C. D. DeLoach, *Hoover's FBI. The Inside Story by Hoover's Trusted Lieutenant*, Washington, D.C.: Regnery, 1997, s. 249.

46. Nie potrafię normalnie myśleć

- ⁷¹⁰ Fragment ten po części opiera się na: „Statement of Anna Elizabeth Thomas, Hotel Proprietress, Pax Hotel”, Flying Squad Office, New Scotland Yard, Hughes Collection. Zob. także: W. B. Huie, *He Slew the Dreamer. My Search, with James Earl Ray, for the Truth About the Murder of Martin Luther King*, New York: Delacorte Press, 1970, s. 167.
- ⁷¹¹ Moja relacja ze spotkania Sneyda i Humana na lotnisku Heathrow opiera się na: „Statement of Kenneth Leonard Human, Immigration Officer, London Airport Heathrow Terminal Two”, zeznaniu odebranym 10 czerwca 1968 roku w siedzibie Flying Squad, New Scotland Yard, Hughes Collection.
- ⁷¹² Opis pierwszego przesłuchania Sneyda przez Bircha opiera się na: „Statement of Philip Birch, Detective Sergeant, Special Branch”, zeznaniu odebranym 10 czerwca 1968 roku w siedzibie Flying Squad, New Scotland Yard, Hughes Collection.
- ⁷¹³ Fragment dotyczący przesłuchania Sneyda przez Butlera opiera się na: „Statement of Thomas Butler, Detective Chief Superintendent, Flying Squad, New Scotland Yard”, zeznaniu odebranym 10 czerwca 1968 roku, Hughes Collection. Wykorzystałem również: „Statement of Witness, Kenneth Thompson”, Scotland Yard Files, Hughes Collection.
- ⁷¹⁴ „Statement of Thomas Butler”, Hughes Collection.
- ⁷¹⁵ Tamże.

47. Trzy wdowy

- 716 Fragment ten opiera się przede wszystkim na: C. D. DeLoach, *Hoover's FBI. The Inside Story by Hoover's Trusted Lieutenant*, Washington, D.C.: Regnery, 1997, s. 249.
- 717 Tamże.
- 718 Tamże, s. 250.
- 719 Tamże.
- 720 Mój opis sceny przed katedrą św. Patryka jest oparty przede wszystkim na relacjach z pogrzebu Roberta Kennedy'ego, które ukazały się na łamach „New York Timesa” i „Washington Post” 9 czerwca 1968 roku.
- 721 Moja rozmowa z Clarkiem, 9 października 2008, Nowy Jork. Zob. także: R. G. Powers, *Secrecy and Power. The Life of J. Edgar Hoover*, New York: Free Press, 1987, s. 422; C. Gentry, *J. Edgar Hoover. The Man and the Secrets*, New York: W. W. Norton, 1991, s. 606, 607.
- 722 Williams, cyt. w: „Atlanta Constitution”, 9 czerwca 1968, s. 20.
- 723 Wypowiedzi Byrda przed komisją senacką w: MURKIN Files, sec. 57, s. 71.
- 724 Pogłębioną analizę napadu na bank w Alton i ewentualnego udziału braci Rayów można znaleźć w: HSCA, *Final Assassinations Report*, s. 342, 350.
- 725 Hoover, cyt. w: HSCA, *Appendix Reports*, t. 7, s. 7.
- 726 Moja rozmowa z Clarkiem.
- 727 Tamże.
- 728 C. D. DeLoach, *Hoover's FBI...*, dz. cyt., s. 256.
- 729 Zeznania DeLoacha przed HSCA, *Appendix Reports*, t. 7, s. 28.
- 730 C. D. DeLoach, *Hoover's FBI...*, dz. cyt., s. 257.

48. Stalowy pierścień

- 731 Wymiana zdań między Sneydem i Eugene'em w: G. Frank, *An American Death. The True Story of the Assassination of Dr. Martin Luther King Jr.*, Garden City, N.Y.: Doubleday, 1972, s. 201.
- 732 Tamże, s. 203.
- 733 W. B. Huie, *He Slew the Dreamer. My Search, with James Earl Ray, for the Truth About the Murder of Martin Luther King*, New York: Delacorte Press, 1970, s. 181.
- 734 Fragmenty dotyczące Eista i jego pobytu ze Sneydem w Londynie są zaczerpnięte z długiego przesłuchania Eista przeprowadzonego 4 sierpnia 1978 roku w Cambridge przez Edwarda Evansa, szefa zespołu śledczego: HSCA, *Appendix Reports*, t. 3, s. 264–284.
- 735 Tamże.
- 736 Tamże.
- 737 „Custody Log, James Earl Ray, June 19, 1968, Aboard USAF Plane C135”, MURKIN Files, 4901–4982, sec. 66, s. 178–181. Zob. także: G. Posner, *Killing the Dream. James Earl Ray and the Assassination of Martin Luther King Jr.*, New York: Random House, 1998, s. 55, 56.
- 738 Relacja z przyjazdu Raya do Memphis jest oparta przede wszystkim na artykułach z: „Memphis Press-Scimitar”, 19 lipca 1968; „Memphis Commercial Appeal”, 20 lipca 1968. Zob. także: G. Frank, *American Death...*, dz. cyt., s. 223, 234.
- 739 C. D. DeLoach, *Hoover's FBI. The Inside Story by Hoover's Trusted Lieutenant*, Washington, D.C.: Regnery, 1997, s. 254.

⁷⁴⁰ Tamże.

⁷⁴¹ G. Frank, *American Death...*, dz. cyt., s. 228–234.

Epilog

⁷⁴² Odtworzenie historii ucieczki Raya z więzienia opiera się przede wszystkim na relacjach z gazet i czasopism, które ukazały się w czerwcu 1977 roku, zwłaszcza na łamach „Atlanta Constitution”, „New York Timesa”, „Memphis Commercial Appeal”, „Tennessean” i „Washington Post”. Najbardziej pomocne były pogłębione analizy w tygodnikach „Time” i „Newsweek” z 20 czerwca 1977 roku. Zająłem również do *Building Time at Brushy*, fabularyzowanych wspomnień naczelnika więzienia Stonneya Lane’a: tegoż, *Building Time at Brushy*, Bloomington, Ind.: First Books, 2003. Bardzo wiele skorzystałem też na lekturze wywiadu Jamesa McKinleya z Rayem („Playboy”, wrzesień 1977).

⁷⁴³ „New York Times”, 12 czerwca 1977, s. 1.

⁷⁴⁴ Foreman, cyt. w: „Newsweek”, 20 czerwca 1977, s. 25.

⁷⁴⁵ J. McKinley, *Interview with James Earl Ray*, „Playboy”, wrzesień 1977, s. 176.

⁷⁴⁶ „Time”, 20 czerwca 1977, s. 17.

⁷⁴⁷ J. McKinley, *Interview with James Earl Ray*, dz. cyt., s. 86.

⁷⁴⁸ Abernathy, cyt. w: „Washington Post”, 11 czerwca 1977, s. A10.

⁷⁴⁹ „Time”, 20 czerwca 1977, s. 14.

⁷⁵⁰ Martin Luther King Sr., cyt. w: „Atlanta Constitution”, 13 czerwca 1977, s. 19A.

⁷⁵¹ Fragment o psach gończych przede wszystkim na podstawie mojej rozmowy z Sammym Joem Chapmanem, przeprowadzonej we wrześniu 2009 roku. Opierałem się również na: *How the Mountain Men Did It*, „Time”, 27 czerwca 1977, s. 11, 12; *Back in Cell. Ray Brought to Bay by Two Bloodhounds*, „Washington Post”, 14 czerwca 1977, s. 1.

⁷⁵² *How the Mountain Men Did It*, s. 11.

⁷⁵³ J. McKinley, *Interview with James Earl Ray*, dz. cyt., s. 94.

PRZYPISY

- [1] Ang. „*cotton candy*” – dosł. „bawełniane słodkości” (wszystkie przypisy dolne pochodzą od tłumacza).
- [2] Gra słów: ang. „*bluff*” znaczy zarówno „blef”, jak i „skarpa”.
- [3] W 1932 roku w Waszyngtonie zebrało się około 43 000 weteranów I wojny światowej, którzy domagali się natychmiastowej wymiany na gotówkę certyfikatów przyznanych im w 1924 roku w ramach ustawy odszkodowawczej dla weteranów. Ustawa przewidywała możliwość spieniężenia certyfikatów dopiero w 1945 roku, ale weterani, którzy na skutek wielkiego kryzysu często nie mieli pracy i znajdowali się w tragicznej sytuacji finansowej, żądali przyspieszenia tego terminu.
- [4] Gra polegająca na trafianiu krążkami w oznaczone cyframi pola.
- [5] Południe USA.
- [6] Amerykańscy rasiści do dzisiaj posługują się pojęciem „prawo stanów”, oznaczającym kompetencje ustrojowe poszczególnych stanów wobec rządu federalnego, jako uzasadnieniem wprowadzenia dyskryminacyjnych przepisów.
- [7] Organizacja zrzeszająca weteranów wojskowych.
- [8] Obrażliwe określenie czarnego.
- [9] Zniekształcone „*master*”, pan, w odniesieniu do właściciela plantacji.
- [10] Fragment pieśni religijnej *Rock of Ages* napisanej przez pastora anglikańskiego Augustusa Montague Toplady’ego (1740–1778).
- [11] „*Chicken*” w języku angielskim oznacza „kurczak”, ale także „tchórz”.
- [12] Kuchnia czarnoskórej ludności z południowych stanów USA wywodząca się z czasów niewolnictwa.
- [13] Ajschylos, *Oresteja*, w: tegoż, *Tragedie*, przeł. Stefan Srebrny, Warszawa: Państwowy Instytut Wydawniczy, 1952, s. 329.
- [14] William Shakespeare, *Hamlet*, przeł. Stanisław Barańczak, Poznań: W drodze, 1989, s. 86.
- [15] Ayn Rand, *Atlas zbuntowany*, przeł. Iwona Michałowska-Gabrych, Poznań: Zysk i S-ka, 2015, s. 745.
- [16] Wiersz Drydena jest satyrycznym podsumowaniem mijającego XVII wieku, a cytowane przez autora wersety wypowiada Momos, grecki bóg sarkazmu.
- [17] Ironiczna nazwa osad złożonych z prymitywnych drewnianych bud, stawianych przez bezdomnych w czasach wielkiego kryzysu, o który obwiniano prezydenta Herberta Hoovera.
- [18] Bitwa stoczona w 1876 roku między Indianami (głównie Dakotami) a armią amerykańską pod dowództwem George’a Custer’a, którą Indianie wygrali, zabijając wszystkich przeciwników, ale nie powstrzymało to podboju Wielkich Równin i Gór Czarnych przez Amerykanów.
- [19] Urodzony w 1918 roku amerykański baptysta, teolog i antropolog.
- [20] Napisana w 1861 roku pieśń patriotyczna autorstwa poetki, abolicjonistki i działaczki społecznej Julii Ward Howe.

WYDAWNICTWO CZARNE sp. z o.o.

czarne.com.pl

Sekretariat: ul. Kołłątaja 14, III p., 38-300 Gorlice

tel. +48 18 353 58 93, fax +48 18 352 04 75

mateusz@czarne.com.pl, tomasz@czarne.com.pl,
dominik@czarne.com.pl, ewa@czarne.com.pl, edyta@czarne.com.pl

Redakcja: Wołowiec 11, 38-307 Sękowa

redakcja@czarne.com.pl

Sekretarz redakcji: malgorzata@czarne.com.pl

Dział promocji: ul. Marszałkowska 43/1, 00-648 Warszawa

tel./fax +48 22 621 10 48

agnieszka@czarne.com.pl, dorota@czarne.com.pl,

zofia@czarne.com.pl, marcjanna@czarne.com.pl,

magda.jobko@czarne.com.pl

Dział marketingu: honorata@czarne.com.pl

Dział sprzedaży: piotr.baginski@czarne.com.pl,

agnieszka.wilczak@czarne.com.pl, urszula@czarne.com.pl

Audiobooki i e-booki: anna@czarne.com.pl

Skład: d2d.pl

ul. Sienkiewicza 9/14, 30-033 Kraków

tel. +48 12 432 08 52, info@d2d.pl

Wołowiec 2017

Wydanie I